

Greg Bear

Wężomag

Przełożył
Jan Malicki



Wydawnictwo **ALFA**

Warszawa 1997

Tytuł oryginału

The serpent mage

Copyright © 1986 by Greg Bear

Afterword copyright © 1992 by Greg Bear

Opracowanie graficzne

© Jacek Tofil

Ilustracja na okładce

© Jakub Kuźma

Redaktor serii i tomu

Marek S. Nowowiejski

For the polish edition

Copyright © 1997 by Wydawnictwo ALFA-WERO sp. z o.o.

For the Polish translation

Copyright © 1997 by Jacek Malicki

ISBN 83-7179-002-3

Wydawnictwo ALFA-WERO sp. z o.o. - Warszawa 1997

Wydanie pierwsze

Drukarnia WN ALFA-WERO sp. z o.o.

Zam. 3289/96

Cena zł. 25,-

Książkę tę dedykuję ostatecznie Kristinie
- nie znanej samej sobie,
typowej Beatrycze
1951-1971

Blade, przezrocyste postaci znowu pochylały się nad Michaeliem Perrinem. Gdyby nie spał, rozpoznałby trzy spośród nich, pogrążony był jednak w głębokim i pozbawionym marzeń śnie. Sen był nawykiem, w który popadł znów po powrocie. Pozwalał mu, choć na krótko, uciec od myśli o tym, co wydarzyło się w Królestwie.

Stara się być normalny, powiedziała bez słów jedna ze zjaw do swej siostry mającej w pobliżu.

Niech odpoczywa. Jego czas wkrótce nadejdzie.

Czy on to czuje?

Musi.

Czy powiedział już komuś?

Swoim rodzicom nie. Najbliższym przyjaciółom też nie.

Tak niewiele ma bliskich przyjaciół...

Michael przekręcił się na wznak odrzucając na bok prześcieradło i koce, spod których wyłoniły się szerokie, dobrze umięśnione bary. Jedna ze zjaw opuściła rękę, by dotknąć długimi palcami jego ramienia.

Przestań.

Dbaj o kondycję.

Czwarta zjawa, przypominająca kształtem ptaka, nie odzywała się. Stała przy drzwiach pogrążona w zadumie. Pozostałe trzy wycofały się od łóżka.

Czwarta w końcu przemówiła. *Nie wie o tym nikt z Rady.*

To było zaskoczeniem nawet dla nas, przyznała najwyższa z tamtych trzech.

Powieki Michaela zatrzepotały i otworzyły się. Zdążył jeszcze dostrzec biały opar rozpościerający się jak skrzydła, ale równie dobrze mogła to być mgiełka przesłaniająca wzrok tuż po przebudzeniu. Wzdrygnął się i poderwał do oczu lewą rękę, żeby spojrzeć na swój nowy zegarek. Była ósma trzydzieści. Zaspał. Niewiele czasu będzie mógł przeznaczyć na ćwiczenia.

Zbiegł po schodach w beżowym dresie, który dostał w prezencie od rodziców na ostatnie urodziny. Na jego prośbę w torcie nie było żadnych świeczek. Sam nie wiedział, ile właściwie ma lat.

Matka, Ruth, czytała w kuchni gazetę.

- Francuskie grzanki za piętnaście minut - uprzedziła uśmiechając się do niego. - Ojciec jest w warsztacie.

Michael odwzajemnił jej uśmiech i pochwywszy długi dębowy kij z kąta obok kuchennej spizarni, wybiegł drzwiami wychodzącymi na podwórko za domem.

Poranek był szary od lekkiej mgiełki, która za parę godzin odparuje w słońcu. Przy uniesionych drzwiach garażu zaadaptowanego na warsztat jego ojciec, John, polerował ręcznie blat klonowego stolika spoczywający na dwóch pochlapanych farbą kozłach. Spojrzał na Michaela i przedramieniem otarł z czoła wyimaginowany pot.

- Mój syn sportowcem - powiedziała Ruth wychodząc na kuchenne schodki.

- O ile mnie pamięć nie myli, nosił się zawsze z naręczami książek - poparł ją John. - Nie bądź dla niego za surowa.

- Śniadanie nie będzie czekać - powiedziała. - Macie piętnaście minut.

John przejechał palcami po jasnej, gładkiej powierzchni i znalazłszy chropowate miejsce zajął się doszlifowaniem. Michael stanął pośrodku podwórka i przystąpił do ćwiczeń z kijem trzymając go najpierw w wyciągniętych przed siebie rękach i truchtając w miejscu, potem unosząc go nad głowę i wykonując skłony w prawo i w lewo, tak żeby dotykać trawnika raz jednym, raz drugim końcem. Ledwie zdążył się dopracować pierwszego potu, kiedy w drzwiach kuchni znowu pojawiła się Ruth.

- Śniadanie na stole - oznajmiła.

Popatrywała czule znad filiżanki kawy na syna pałaszującego z apetytem francuskie grzanki i plasterki bekonu. Z mniejszym niż dawniej entuzjazmem rzucał się teraz na bekon - czy na jakikolwiek inny rodzaj mięsa...

Ale nie wyraziła głośno swojego spostrzeżenia. Sprawa pięcioletniej nieobecności Michaela była w domu praktycznie tematem tabu. John spytał go kiedyś o to i Michael okazał nawet ślad chęci do zwierzeń... Lecz reakcja Ruth - paralizujący rodzaj paniki, piskliwy głos - natychmiast zamknęła im usta. Matka dała całkiem wyraźnie do zrozumienia, że nie życzy sobie rozmów na ten temat.

Miała do powiedzenia jeszcze coś, co nie mogło jej przejść przez gardło. John już się z tym pogodził; Michael nie. Ta patowa sytuacja nie dawała mu spokoju.

- Przepyszne - pochwalił odnosząc swój talerz do zlewozmywaka. Pocałował Ruth w policzek i wbiegł po schodach na górę, żeby przebrać się w robocze ciuchy.

Michael nie wszedł jeszcze w obowiązki zarządcy majątku Waltiriego. Czas nie był po temu odpowiedni.

Po dwóch tygodniach poszukiwań znalazł posadę kelnera w nikaraguańskiej restauracyjce na Pico. Od trzech miesięcy dojeżdżał do pracy autobusem w każdy roboczy dzień tygodnia i w sobotę rano.

O dziesiątej trzydzieści Michael spotykał się przed restauracją z jej właścicielami - małżeństwem Berta i Olive Cantorów. Bert wydobywał z kieszeni wielkie kółko z pękiem kluczy i otwierał pojedyncze oszklone drzwi osadzone w drewnianej ramie. Olive uśmiechała się ciepło do Michaela, a Bert wbiiał nieruchomy wzrok w przestrzeń i pozostawał tak, dopóki nie postawiono przed nim ogromnego dzbanka z kawą. Wkrótce po opróżnieniu dzbanka Bert przystępował do wydawania grzecznych poleceń w formie prośb o przysługę i dzień rozpoczynał się oficjalnie. Jesus, szef kuchni, rodowity Nikaraguańczyk, który przybywał do pracy przed szóstą rano i wchodził przez drzwi od zaplecza, przywdziewał swój fartuch i czapkę i wspierał radą dwóch pomocników - Meksykanów, którzy kończyli przygotowywać specjalności dnia. Juanita, najstarsza kelnerka, tęga Kolumbijka, krzątała się po sali sprawdzając, czy wszystko jest poustawiane jak trzeba i czy lada z sałatkami znajduje się w idealnym porządku.

Bert i Olive traktowali Michaela jak odzyskanego syna, a przynajmniej jak szanowanego kuzyna. Do wszystkich swoich pracowników odnosili się jak do członków rodziny. Po przyjęciu do pracy Michaela Bert nazwał restauracyjkę swoim „domem emerytów Narodów Zjednoczonych”. „Mamy tu ryżego Irlandczyka, a przynajmniej na takiego wygląda, z pół tuzina rozmaitych typów latynoskich, a na czele parę zwariowanych Żydów.”

Michael podawał do stołu w porze lunchu i wczesnych godzinach obiadowych studiując ludzi, którym usługiwał. Restauracyjka przyciągała mieszkańców Los Angeles w szerokim przekroju, od Nikaraguańczyków spragnionych smaku domowej kuchni po studentów Uniwersytetu Kalifornijskiego, UCLA. Na lunch zbiegali się tu z okolicy o promieniu kilku mil klienci spod znaku białego kołnierzyka.

Tego ranka dzbanek kawy nie nastroił Berta do codziennych obowiązków. Bert sprawiał wrażenie dziwnie podnieconego, a Olive była niezwykle przygaszona. Wreszcie, na pół godziny przed otwarciem, Bert zabrał Michaela do magazynku za kuchnią, gdzie trzymano ogromne puszki i z różnymi gatunkami pieprzu i przyprawami oraz paki suszonych ziół, i wyciągnął dwa małe krzeselka spod stolika, na którym Olive prowadziła zwykle księgi rachunkowe.

Bert miał sześćdziesiąt pięć lat i był prawie łysy, a resztkę siwych włosów układał pedantycznie w przerzedzony loczek. Można było iść o zakład, że codziennie założy brązowe

spodnie i niebieski blezer narzucony na koszulkę z golfem i że na palcu jego prawej dłoni połyskiwać będzie szpanerski sygnet z wypukłym granatem, pamiątka ze szkoły średniej.

Siadając, zataczał rękoma małe kółka i potrząsał głową.

- Nie przejmuj się swoimi kłopotami. Jesteś dobrym pracownikiem - zagaił - obsługujesz stoliki jak stary fachman, jesteś uprzejmy i mógłbyś pracować nawet w szykownym lokalu.

- Ten lokal jest przecież szykowny - odparł Michael.

- Tak, tak, - Bert miał wątpliwości. - Tworzymy rodzinę. Ty jesteś częścią tej rodziny. Mówię to, żebyś wiedział, że możesz tu pracować, jak długo zechcesz i że cię lubimy... ale ty tu nie pasujesz. - Popatrzył uważnie na Michaela. - I nie chodzi mi wcale o to, że powinieneś być na uniwersytecie. Skąd pochodzisz?

- Urodziłem się tutaj - odparł Michael wiedząc, że nie o to chodzi Bertowi.

- Naprawdę? Dlaczego zatrudniłeś się tu, w tej restauracji?

- Nie rozumiem, o co panu chodzi.

- O to, jak patrzysz na klientów. Przyjaźnie, ale... Tak jakoś niesamowicie. Z dystansu. Jakbyś pochodził z cholernie daleka. Oni tego nie zauważają. Ale ja tak. I Juanita też. Ona uważa cię za *brujo*, wybaczyć mój hiszpański.

Wychowując się w Kalifornii, Michael poznał wystarczająco dobrze hiszpański, by domyślić się, że *brujo* to rodzaj męski od *bruja*, wiedźma.

- Bzdury - powiedział przenosząc wzrok na puszki ustawione na szarych, metalowych regałach.

- Ja się z nią zgadzam. Może nawet, wybaczyć mi, jesteś *dybukiem*. Juanita zmywa talerze, a ja próbuję dania i może wrzaskną raz na tydzień, ale to jest opinia nas obojga. Dwa końce tęczy myślą podobnie.

- A co na to Olive? - mruknął Michael. Olive przypominała mu nieco Goldę Waltiri, tyle że pulchniejszą.

- Olive chciałyby mieć pół tuzina synów i, Panie pobłogosław jej, nie zgadza się z nami. Ona za tobą przepada. Nie pomyśli o tobie źle, nawet kiedy widzi, jak „uczysz” się naszych klientów, jak na nich spoglądasz.

- Przepraszam, że pana denerwuję - bąknął Michael.

- Wcale mnie nie denerwujesz. Ci ludzie wracają. Nie wiedzieć dlaczego, lubią, kiedy zwraca się na nich uwagę tak, jak ty to robisz. Nie robisz tego dla korzyści, ale nadal twierdzą, że tu nie pasujesz.

Pomieszczenie było małe, a Bert patrzył z bacznym zainteresowaniem. Uniesione brwi marszczyły mu wysokie czoło.

- Olive twierdzi, że wokół ciebie unosi się aura poety. Ona się na tym zna. Za młodu spotykała się z mnóstwem poetów. - Rzucił na sufit krótkie, przepelnione zadawnionym cierpieniem spojrzenie. - Dlaczego więc podajesz do stołów?

- Muszę się nauczyć paru rzeczy.

- Czego ty się możesz nauczyć w małej, niepozornej knajpce na Pico?

- Ludzi.

- Ludzie są wszędzie.

- Nie zwykłem bywać... normalny - odparł Michael. - To znaczy bywać wśród ludzi, którzy są po prostu... ludźmi. Zwyczajnymi, prostymi ludźmi. Niewiele o nich wiem.

Bert wydał usta i pokiwał głową.

- Juanita mówi, że aby ktoś został *brujo*, musi mu się coś przydarzyć. Czy tobie coś się przytrafiło? - Uniósł brwi oczekując szczerzej odpowiedzi.

Michael poczuł dziwną pokusę.

- Tak - odparł.

Widząc, że trafił w sedno, Bert opadł na oparcie krzesła i chyba nie bardzo wiedział o co dalej pytać.

- Czy z twoimi starszami wszystko w porządku?

- Czują się świetnie - odparł machinalnie Michael.

- Wiedzą?

- Nie powiedziałem im.

- Dlaczego? Kochają cię.

- Tak. Ja też ich kocham. - Lęk ustępował. Michael, nie wiedząc czemu, zapragnął otworzyć się przed Bertem Cantorem. - Próbowałem im powiedzieć. Raz czy dwa prawie do tego doszło. Ale mama denerwuje się, zanim zdążę zacząć. A mnie wtedy zatyka i tracę ochotę do zwierzeń.

- Ile masz lat?

- Nie wiem - odparł Michael. - Może siedemnaście, a może dwadzieścia dwa.

- Dziwne - pokręcił głową Bert.

- Owszem - przyznał Michael.

Zaczął opowiadać swoją historię i trwało to kilka dni. Każdego dnia o jedenastej Bert wysuwał krzesła spod stolika i siadając naprzeciw Michaela słuchał ze zmarszczonym czołem

aż do pory lunchu, kiedy to Michael musiał się zająć obsługiwaniem napływającej fali konsumentów.

Czwartego dnia, kiedy opowieść dobiegła w zasadzie końca, Bert rozparł się na swoim krześle i zamknąwszy oczy pokiwał głową.

- Tak - powiedział - to ciekawa historia. W stylu Singera albo Alejchema. Ciekawa historia. Ten fragment, gdzie jest powiedziane, że Jehowa to czarownik, rani moje uczucia. Tak, ciekawe. I nie obraż się, że spytam, ale czy to wszystko prawda?

Michael skinął głową.

- Wszystko jest inaczej, niż to opisują gazety i historyczne książki?

- Tak, mnóstwo faktów wygląda zupełnie inaczej.

- Zapytuję sam siebie, czy ci wierzę. Może i wierzę. Czasami moje opinie są właśnie takie dziwne. Jesteś pewien, że wolisz być tutaj niż chodzić do szkoły?

Michael ponownie pokiwał głową.

- Mądry chłopak. Mój syn z pierwszego małżeństwa, James, chodzi do szkoły średniej, w której profesorowie nie znają *frijoles* o ludziach. Wiedzą tylko to, co przeczytają w książkach.

- Kocham książki. Czytam codziennie. Od kiedy przeczytałem wszystkie książki moich rodziców, chodzę do biblioteki. O tym też muszę się więcej dowiedzieć.

- Nie mam nic przeciwko książkom - zgodził się z nim Bert. - Ale przynajmniej starasz się patrzeć na to, co przeczytasz, z jakiejś perspektywy.

- Mam taką nadzieję.

- No tak - westchnął Bert i po długiej chwili milczenia spytał - Co zamierzasz?

Michael potrząsnął niezdecydowanie głową.

- Rozumiem cię. Po takiej historii - powiedział Bert. Potem wstał. - Czas podawać do stołu.

Zima w Los Angeles przypominała tego roku przedłużoną jesień i niepostrzeżenie przeszła w deszczową, rześką wiosnę; wiosnę, jakiej miasto nie doświadczyło od lat, roziskrzoną, zielonolistną wiosnę ze słońcem połyskującym w kropkach wody.

Perły pojawiły się na dłoniach Michaela w sześć miesięcy od powrotu z Królestwa, w pierwszym tygodniu tejże wiosny. Zagnieździły się na końcu jego linii życia; niematerialne, rozjarzone w ciemności niczym dwie ćmy. Po dwóch dniach zbladły i zniknęły.

Perły potwierdzały to, co podejrzewał od kilku tygodni. Zbliżała się pora owocowania wydarzeń.

Tak kończyło się chowanie głowy w piasek, okres normalności i anonimowości, ostatnie chwile, które mógł z ręką na sercu nazwać swymi własnymi.

Deszcz, który zaczął padać zaraz po obiedzie, lał już od kilku godzin bębniąc o dach nad pokojem Michaela i ściekając z szumem rynnami. Na liściach drzew morelowych i grusz adwokackich rosnących za domem połyskiwały w księżycowej poświacie perły wilgoci. Zaokrąglone kontury chmur o spodach podbarwionych przez światła miasta na kolor pomarańczowobrazowy przesuwały się bez pośpiechu nad wzgórzami Hollywood.

Michael zaszył się na górze, żeby poczytać, ale odłożył książkę - „Wiara w baśnie w krajach celtyckich” Evansa-Wentza - podszedł do otwartego okna i stanął w nim czując na twarzy chlupot wilgotnego powietrza.

Rozległy się znowu raz to przenikliwe, raz płynne trele nocnego ptactwa. Pieśń zdawała się ożywiać drzewa. Od miesiący nie słyszał, by śpiewały do tak późna; może zmylił je deszcz.

Michael zamknął okno, wrócił do łóżka i wyciągnął się na wznak z poduszką pod głowę. Sypiał nago; nie lubił skrępowania piżamą, kiedy leżał w łóżku, kiedy jego umysł działał jak antena, rozciągając się i odbierając, czy tego chciał, czy nie...

Nazajutrz Michael miał opuścić dom rodziców i przenieść się do domu Arno i Goldy Waltirich, by przejąć posiadłość. Planował tę przeprowadzkę, od kiedy zapowiedział Bertowi i Olive swoje odejście, ale do tej pory nie potrafił zdecydować, czy już na nią pora.

Teraz ta pora nadeszła. Pojawiły się nawet, jedna na drugiej, niezliczone roje pereł - nieomylnych znaków. Miewał niezwykle sny.

Zgasił światło. Z dołu dochodziły dźwięki koncertu fortepianowego Mozarta - nie wiedział którego - odtwarzanego na stereofonicznej aparaturze ojca. Czuł się senny, jednak część jego umysłu pozostawała czujna, wręcz ożywiona. Za oknem przepłynął cień chmury i pokój zalała nagle księżycowa poświata. Choć przymrużył oczy w wąskie szparki, widział wyraźnie oprawiony w ramy obraz pędzla Bonestella przedstawiający Saturna oglądanego z któregoś z jego bliższych księżyców.

Przez mgnienie oka, na pograniczu snu i jawy, ujrzał postać przemierzającą księżycowy krajobraz reprodukcji. Nie widział szczegółów obrazu, ale sama postać była ostra i wyraźna. Młody - bardzo młody - Arno Waltiri uśmiechał się i kiwał na niego...

Michael rzucił się na łóżku zaciskając teraz mocno powieki i odprężył się czując, jak spada poprzez kontynent, niebo i morze.

Zobaczył - w pewnym sensie stal się...

*

Panią Williamową Hutchings Cunningham, owdowiałą przed niespełna rokiem, lubującą się w długich wędrówkach po nowym lesie za swym domem w hrabstwie Sussex. Szła, ostrożnie stawiając obute stopy tonące w podmokłym dywanie zbitych liści, mchu i błota. Wczesnowiosenny kapuśniaczek osiadał błyszczącymi kropelkami na meszku jej wełnianego płaszcza i opadał prysznicem z potrącanych paproci.

Linia podziału pomiędzy lasem nowym i starym nie była wyraźnie wytyczona, ale pani Cunningham wiedziała, gdzie przebiega i przekraczając ją poczuła znajomy przypływ miłości i szacunku. Wysoko w biel wznosiły się tu wielkie dęby, grubo porośnięte zadziwiająco zielonym mchem, otoczone księżycami grzybów. Jej buty grzęzły w błocie, mchu i stosach liści.

Zapuszczając się w stary las, pani Cunningham czuła zawsze, jak staje się częścią zamierzchłej przeszłości. Niewiele teraz pozostało po niej w Anglii; tu i ówdzie jakiś skrawek przekształcony pod nadzorem (czuła to) skorumpowanych, a w najlepszym wypadku niekompetentnych i niefrasobliwych ministrów z rządu na drażniąco symetryczne osiedle mieszkaniowe. Uniosła nad głowę laskę z rączką w kształcie gęziej główki i z maską zawziętości na twarzy poszturchała nią po wietrze.

To ją uspokoiło. Znalazła szeroki płaski gład leżący w starym lesie pośrodku polanki, w pobliżu wiekowej, zarośniętej ścieżki biegnącej między drzewami prosto jak strzeł, bez jednego skrętu czy zafalowania. To drzewa przystosowały się do ścieżki, a nie odwrotnie, a przecież liczyły sobie setki lat. Ile lat mogła mieć ta ścieżka?

- Kocham cię - powiedziała pani Cunningham mając za świadków jedynie drzewa, mżawkę i gład. Ostrożnie omijając śliskie łachy mokrych liści i błota podeszła do kamienia, usiadła na nim i westchnęła z głośnym pufnięciem.

To tutaj, a nie na jego grób, który znajdował się na starannie wypieszczonym cmentarzu wiele mil stąd, przychodziła, by połączyć się myślami ze swym ostatnim mężem. „Kocham cię, Williamie”, powtórzyła ze spuszczoną głową, popatrując jednak w górę ciemnobrązowymi oczami. Przymknęła powieki i odchyliła głowę do tyłu, aby poczuć, jak na jej twarzy lądują maleńkie kropelki dżdzu.

- Czy pamiętasz - powiedziała - tę cudowną gospodę Pod Zielonym Ludzikiem, w której byliśmy wkrótce po ślubie, i gdzie karczmarz chciał koniecznie zobaczyć twój dowód osobisty, żeby sprawdzić po ile mamy lat?

Dla niektórych taki powtarzany dzień w dzień rytuał oznaczałoby niezdrowe samoumartwienie. Ale nie dla niej. Czowała rosnący dystans między sobą a przeszłością i czuła, jak rana się zabliznia. To było jak bandażowanie owych ran, zabezpieczanie ich tą formą ceremonii przed otarciami surowej rzeczywistości.

- A pamiętasz jeszcze, jak... - zaczęła i urwała nagle, a jej oczy przesunęły się z wolna na ścieżkę.

Do głazu, na którym siedziała, zbliżała się ścieżką wysoka ciemna postać, widoczna, choć od drzew dzieliło ją jeszcze kilka mil. Zdawało się to trwać wiele godzin, ale upłynęła zaledwie minuta, może dwie, kiedy postać na ścieżce, rosnąc w oczach i nabierając coraz większej wyrazistości, znalazła się wreszcie w odległości, którą pani Cunningham nazwałaby realną.

Wysoka kobieta o bladej cerze zrównała się z głazem i zatrzymała, dryfując jeszcze kawałek, jakby pod wpływem widmowego momentu bezwładności, odwracając się jednocześnie, żeby spojrzeć na panią Cunningham. Kobieta miała ciemnorude włosy i pociągłą, nie zdradzającą wieku twarz o głęboko osadzonych oczach. Ubrana była w szarą, a raczej przezroczystą czarną suknię. Pani Cunningham nigdy nie widziała nikogo podobnego.

Poczuła lekkie muśnięcie w głębi swojej świadomości, po czym kobieta przemówiła. Z każdym słowem jej ulotna postać coraz bardziej się materializowała, jak gdyby mowa wieńczyła akt stawania się częścią tej rzeczywistości.

- Jestem na starej Ziemi, czy tak? - spytała kobieta.

Pani Cunningham skinęła głową.

- Chyba tak - odparła najżywiej, jak potrafiła, a raczej jak śmiała.

- Jesteś w żałobie?

- Tak. - Na twarzy pani Cunningham pojawił się wyraz zaskoczenia przyprawiony domieszką bólu.

- Po kimś ukochanym? - spytała kobieta.

- Po moim mężu - odparła pani Cunningham z bardzo suchym gardłem.

- A więc to niepotrzebna żałoba - powiedziała kobieta. - Nie wiesz, co znaczy żałoba.

- Może i nie - przyznała pani Cunningham - ale mnie się wydaje, że wiem.

- Nie powinnaś dłużej siedzieć na tym głazie.

- Och?

Kobieta wskazała na ścieżkę w kierunku, z którego przyszła.

- Nadciąga mój lud - powiedziała.

- Och. - Pani Cunningham, kiwając lekko głową, popatrzyła szeroko rozwartymi oczyma na ścieżkę.

Błada twarz wysokiej kobiety jaśniała na tle ciemnych drzew i zamglonego nieba.

- Twierdę, że twoja żałoba jest niepotrzebną żałobą, bo on nie odszedł na zawsze, tak jak my odchodzimy, i wasza śmiertelność jest zapłatą za nieskończoność, która nam nie jest dana.

- Och - powiedziała znowu pani Cunningham, jakby rozmawiała z sąsiadką. Oczy tej kobiety były niesamowite, szarobłękitne z przebłyskami opalizującego ognia. Rude włosy opadały jej pasmami na ramiona, a czarna suknia zdawała się żyć liśćmi falującymi w jaśniejszych odcieniach szarości. Złoty chwast u jej talii żył swym własnym węzowym życiem.

- Właśnie wracamy - powiedziała do pani Cunningham. - Proszę cię, nie wchodź więcej na szlak.

- Na pewno nie wejść - przyrzekła pani Cunningham.

Kobieta wskazała długim palcem na głaz. Pani Cunningham podniosła się i cofnęła kilka metrów, poślizgnąwszy się po drodze na mokrych liściach i rozmiękłym błocie. Kobieta odpłynęła sunąc tuż nad ścieżką, zupełnie jakby szła, i zniknęła pani Cunningham z oczu wśród drzew.

Pani Cunningham stała tak przez chwilę poruszając ustami w bezgłośnej modlitwie, a potem spojrzała znowu w kierunku, z którego nadeszła kobieta. „Pan mym pasterzem”, wymamrotała. „Pan mym pasterzem. Nie będę pożądała...”

W istocie, nadchodzili następni. Trójkami i w wielkiej różnorodności - od najgłębszych, bezkształtnych cieni po blade ledwie kłaczki mgły przywodzące na myśl prawdziwe duchy. Jedni ociekali wodą, inni zdawali się być z wody, jeszcze inni byli zieloni jak liście w koronach drzew, a za nimi ciągnął tabun pięknych, muskularnych koni połyskliwej, srebrzystej maści... a nad całym tym konduktem, pomimo jego okazałości, unosiła się aura znużenia i desperacji uchodźców.

Pani Cunningham zdecydowała po kilku minutach, że najlepszym wyjściem będzie dyskrecja i wycofała się dalej od ścieżki - od szlaku - z oczyma pełnymi łez na wspomnienie piękna, jakie oglądała tego dnia i słów rudowłosej kobiety w żywej czarnej sukni.

Śmiertelność zapłatą za nieskończoność...

Tak, potrafiła to zrozumieć.

- Williamie, och Williamie - szeptała zdyszana biegnąc szybko przez las. - Nie uwierzyłbyś... co się... tutaj... przed chwilą... stało... - Dotarła do granicy, wbiegła w nowy las i wzruszenie osłabło, ale nie opuściło jej całkowicie.

- Ale komu ja o tym opowiem? - zapytała samej siebie. - Wrócił cały baśniowy lud, albo jego część, i kto mi teraz uwierzy?

Michael otworzył powoli oczy i zapatrzył się w świt rzucający kwadraty przytłumionego błękitu na zasunięte zasłony.

Za wizją pani Cunningham była jeszcze jedna, mroczniejsza. Widział coś długiego i wijącego się, pływającego z wieczną gracją w wodach mrocznej nocy, obserwującego go z odległości równej jednej czwartej obwodu świata. Była to nie tyle obserwacja, co taksowanie.

Rano, w dniu przeprowadzki, Ruth zaofiarowała się, że pomoże mu „ten ostatni raz” urządzić się w domu Waltiriego.

Michael grzecznie podziękował.

- Jak chcesz - powiedziała nakładając na talerze ostatnie domowe śniadanie składające się z jajecznicy i grzanek; świadomie odstawiła bekon. - Obiecay mi tylko, że nie będziesz brał wszystkiego na poważnie.

Spojrzał na nią uroczyście.

- Spróbuj się przynajmniej rozluźnić. Czasami chodzisz jak struty.

- Daj człowiekowi spokój - wtrącił się John podnosząc w górę kciuk na znak, że to przyjacielskie przekomarzanie się, a nie rodzinna sprzeczka.

Michael uśmiechnął się, a Ruth popatrzyła na niego z rozrzewnieniem, a potem z czymś w rodzaju uwielbienia. Potrafił niemal odczytać jej myśli. Oto jej syn o zdecydowanych rysach twarzy, które odziedziczył po ojcu, i z jej włosami - ale w jego twarzy było coś niepokojącego, jakaś uległość i...

Zawziętość. Gdzie on się podziewał przez te pięć lat?

Michael wyszedł z walizkami w ręku w jasne, soczyste światło poranka. Rosa skraplała się na trawnikach przed starymi domami i skapywała z tłustych zielonych liści krzaków kamelii i gardenii. Chodniki, nakrapiane oliwkowoszarymi zaciekami wilgoci pozostałej po deszczu, który padał w nocy, parowały teraz w słońcu.

Minął grupę dziewięciu dwunasto- może trzynastoletnich uczennic w jednakowych mundurkach składających się z białej bluzki, zielonoczarnej spódniczki i czarnego swetra.

Przechodząc obok odwróciły głowy, ale nie oczy i Michael wyczuł, jak jedna czy dwie z dziewcząt odwracają się i idąc tyłem patrzą za nim.

Rzadko zastanawiał się nad możliwościami, jakie stwarzała mu jego powierzchowność; schlebiało mu wrażenie, jakie wywiera na kobietach, ale nie wykorzystywał go. Wciąż czuł się winny śmierci Eleuth, Mieszanki, która oddała za niego życie i często myślał o Helenie, którą traktował tak, jak właściwie powinien traktować Eleuth.

Z takiego czy innego powodu tkwiła w nim głęboka niepewność, poczucie, że zwicznął nogę już na starcie i kulejąc rozpoczął bieg, że popełnił niewybaczalne błędy, które zmniejszyły jego szanse na utrzymanie się w czołówce. Nie był pewny ani swego morale, ani swych kompetencji.

Postawił walizki na ganku domu Waltiriego. Kluczami wręczonymi mu przez prawników załatwiających sprawy spadkowe otworzył masywne, mahoniowe drzwi. We wnętrzu panowała sucha, bezwonna atmosfera. Meble przykryte były plastikowymi płachtami. Wszędzie zalegał ziarnisty szary kurz.

Wniósł torby do holu i postawił je u stóp schodów. „Halo”, bąknął nerwowo. Obecność Waltiriego wydawała się wciąż na tyle silna, że głośna odpowiedź na powitanie wcale by go nie zdziwiła.

Na pierwszy ogień wybrał sypialnię gościnną na piętrze. Rozejrzał się za magazynkiem gospodarczym. Znalazł go pod schodami i wyciągnął odkurzacz - starego hoovera z workiem z czerwonego materiału, pracującego w pozycji pionowej. Zebrał kurz z dębowych parkietów na piętrze i na parterze i rozwinął orientalne dywany, po czym przykrył chodnikami schody. Wyjąwszy z szafki na bieliznę prześcieradła z poźółkłymi brzegami, zasłał mosiężne łóżko i złożył plastikowe płachty w równe kwadraty.

Potem wybrał się na obchód po pokojach przystając w każdym i zaznajamiając się z ich nową rzeczywistością - pozbawioną Waltiriego i Goldy. Dom, jeśli nawet nie należał jeszcze do niego, znajdował się teraz pod jego opieką i to on będzie tu na razie mieszkał.

Michael spędził większość swego życia w jednym domu. Przyzwyczajenie się do zmiany, zdawał sobie z tego sprawę, trochę potrwa. Będzie musiał wyrobić w sobie nowe nawyki, przywyknąć do nowego rozkładu pomieszczeń. Będzie musiał wryć sobie ten dom w pamięć i wypracować nowe schematy przebywanych codziennie tras.

Przeszedłszy do kuchni włączył do sieci lodówkę, wyjął ze środka pudełko sody oczyszczonej i odblokował podwójne drzwi, żeby mogły się zamknąć. Spizarnia - osobne pomieszczenie z półkami od podłogi do sufitu, oświetlane gołą żarówką zwisającą na grubym czarnym kablu - pełna była zapuszkowanych i suszonych artykułów żywnościowych, z

których do spożycia nadawały się jeszcze wszystkie prócz spuchniętej puszeki ananasów chyboczącej się przy dotknięciu. Wyrzucił ją i sporządził listę zakupów.

W trójstanowiskowym garażu, obok labiryntu metalowych regałów zastawionych pod sufit pudłami na akta, stał czarny Packard z 1939 roku, Michael obszedł dookoła to cudo i starszy palcami z błotnika warstwę kurzu podziwiał połysk chromu. Zachwycający, ale niepraktyczny. Ołowiowa benzyna premium (nazywana w złotych czasach Packarda etyliną) była teraz coraz trudniejsza do zdobycia; poza tym zwracałby uwagę - a tego wolał unikać - i sama eksploatacja kosztowałaby majątek. Zajrzał przez szybę do środka, a potem otworzył drzwiczki i usiadł za kierownicą. Wnętrze pachniało nowością: skóra, preparat do jej konserwacji, a do tego jeszcze cytrusowometaliczny zapach nowego samochodu. Można by pomyśleć, że ten Packard został wyprowadzony z autosalonu nie dawniej jak wczoraj.

Pomiędzy siedzeniem a oparciem prawego fotela tkwił złożony we dwoje arkusik pożółkłego kartonu. Wyciągnął go i przeczytał nadruk na okładce.

Premierowe Wykonanie
KONCERTU NIESKOŃCZONOŚCI
Opus 45
Kompozytor: Arno Waltiri
23 listopada, godz. 20:00
Pandall Theatre
Bulwar Zachodzącego Słońca 8538

Wewnątrz wydrukowana była lista wszystkich muzyków Większej Orkiestry Symfonicznej miasta Los Angeles. Program nie zawierał żadnych innych uwag ani objaśnień. Michael wpatrywał się weń przez kilka minut, a potem odłożył na siedzenie i odetchnął głęboko.

Na zewnątrz, przy wschodniej ścianie garażu, w krótkim zaułku otoczonym z trzech stron murem z żuźlowych bloków, stał zaparkowany Saab z końca lat siedemdziesiątych. Michael otworzył drzwiczki po stronie kierowcy i zasiadł w profilowanym fotelu obitym szarym welurem kładąc ręce na kierownicy.

Ten wóz był o wiele praktyczniejszy.

Dosiadał koni Sidhów, *abanował* w Królestwie z miejsca na miejsce i przemykał między miriadami widmowych międzyświatów, a mimo to nadal odczuwał dumę i przyjemność siedząc w samochodzie, wiedząc, że będzie mu posłuszny i zawiezie go tam,

gdzie tylko zechce i kiedy tylko zechce. Był dzieckiem swoich czasów. Po długich poszukiwaniach zwalnicza odblokował wreszcie maskę i zajrzał do nie znanego sobie silnika. Kable akumulatora zwisały odłączone. Przymocował je z powrotem do klem.

Znał się na tyle na układach zapłonowych, by nie naciskać pedału gazu przy uruchamianiu silnika. Silnik zaskoczył z gardłowym dudnieniem już za pierwszym podejściem. Michael uśmiechnął się, skręcił kierownicę w prawo, potem w lewo, ostrożnie wyprowadził wóz tyłem z zaułka, zawrócił na sporym betonowym placyku przed garażem i pojechał do supermarketu.

Tego wieczora sprawdził kominek i przewód kominowy w salonie i naznosił drewna na podpałkę ze stosu ułożonego obok Packarda. Po kilku minutach buzujący ogień rozjaśniał już salon i połyskiwał na czarnym lakierze wspaniałego fortepianu. Michael usadowił się w fotelu Waltiriego i nie myśląc prawie o niczym sączył ze szklaneczki cherry Goldy.

Nie był już tym samym chłopcem, który wkroczył do Mroku Sidhe poprzez dom Clarkhama. Wątpił, czy w ogóle jeszcze jest chłopcem.

Żurawice dobrze go wyszkoliły; nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Przetrwiał najgorsze ze wszystkiego, co Mrok Sidhe miał do zaoferowania - potworne pozostałości wczesnych tworców Tonna; ignoranckie i sfrustrowane okrucieństwo Buńczuczniaka Alyonsa; kontakty z Taraxem i samym Clarkhamem. Ale jaki był cel jego treningu? Czy miał tylko spełnić rolę bomby przynoszącej zagładę Izomagowi, jak nazywał siebie Clarkham? A może oprócz tego istniał jeszcze jakiś inny cel?

Płomienie tańczyły w szerokim kominku z frywolną wesołością, a głównie jarzyły się niczym otwory prowadzące do pięknego i zdradliwego świata czystego ciepła i światła.

Przysnął rad, że nie nękają go żadne nowe wizje.

O północy zaczął bić nakręcany zabytkowy zegar stojący w foyer i wyrwał go ze snu. Ogień przygasł do rozbłyskujących kapryśnie węgielków. Wszedł na górę do swojej sypialni i położył się na chłodnym, miękkim materacu.

Nawet w głębokim śnie jakąś cząstką siebie zdawał się być świadomy wszystkiego, co się wokół dzieje.

Pierwsza, oznajmił poważnym głosem zegar.

Druga. (Domowe skrzypienia.)

Trzecia. (Zaczął padać i zaraz przestał drobny deszczyk.

Czwarta. (Nocne ptactwo...)

Piąta. (Niemal doskonały bezruch.)

O szóstej bicie zegara zbiegło się ze stuknięciem gazety o drzwi frontowe. Oczy Michaela otworzyły się powoli. Nie był w najmniejszym stopniu oszołomiony. Nie miał snów.

Zszedł w szlafroku na dół, żeby zabrać sprzed drzwi gazetę owiniętą w folię dla ochrony przed wilgocią. Na bocznym dziedzińcu, po lewej stronie domu, nucił cicho i fałszywie jakiś mężczyzna. Michael uśmiechnął się słuchając tej produkcji.

- Nie płacz po mnie, ArgenTYYYYYYNO... - Mężczyzna wyłonił się zza węgła i zobaczył Michaela. - Dzień dobry! - zawołał machając ręką i potrząsając z zakłopotaniem głową. Miał jakieś czterdzieści lat, bujne jasnorude włosy i twarz naznaczoną niezaprzeczalnym piętnem życzliwości. - Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem. - Ubrany był w granatowy dres z jasnoczerwonymi lampasami biegnącymi wzdłuż rękawów i nogawek.

- Nie - powiedział Michael. - Zabierałem gazetę.

- Idę właśnie trochę pobiegać. Znałeś Arno i Goldę?

- Opiekuję się ich domem - odparł Michael.

- Mówisz tak, jakby mieli wrócić - zauważył mężczyzna ściągając usta.

Michael uśmiechnął się.

- Arno wyznaczył mnie na wykonawcę testamentu. Mam uporządkować jego papiery...

- Kawał roboty. - Mężczyzna podszedł do Michaela i stali teraz o metr od siebie. Wyciągnął rękę i Michael potrząsnął nią. - Nazywam się Robert Dopso. Mieszkam obok. Arno i Golda byli wspaniałymi sąsiadami. Mojej matce i mnie strasznie ich brakuje. Byłem żonaty, ale... - Wzruszył ramionami. - Rozwiodłem się i przeprowadziłem z powrotem tutaj. Wiem, maminsynek. Ale mamusia była bardzo samotna. Dorastałem tu; mój ojciec kupił ten dom w 1940. Golda i mamusia dużo ze sobą rozmawiały. To w wielkim skrócie moja charakterystyka. - Uśmiechnął się. - Jak się nazywałeś?

Michael przedstawił się i napomknął, że wprowadził się właśnie poprzedniego dnia.

- Jestem niezły w drobnych naprawach - powiedział Dopso. - Po śmierci Arno pomagałem Goldzie w tym i owym. Znam trochę tajniki tego domu... Gdybyś potrzebował pomocy, nie krępuj się. Żona trzymała mnie przy sobie rok dłużej, bo jak mówiła, beze mnie wszystko stałoby zepsute.

- Będę pamiętał - powiedział Michael.

- Może moglibyśmy spacerować albo biegać razem - wszystko jedno co. Ja wolę biegać, ale...

Michael skinął głową i Dopso ruszył dalej ulicą.

- Miałeś BYYYYYĆ NIEESMIERTelny...

Michael zaniósł gazetę do kuchni. Nalał sobie miskę gorącej owsianki i jedząc przerzucał pierwsze strony. Na większość artykułów - jakkolwiek ważne czy złowróżbne mogły się wydawać jego rodakom - ledwie zwracał uwagę.

Jego wzrok przykuła niewielka wzmianka na trzeciej stronie, zatytułowana:

ZWŁOKI W OPUSZCZONYM BUDYNKU

i w miarę czytania jego źrenice coraz bardziej się rozszerzały.

W niedzielę po południu, w opuszczonym pensjonacie Tippett przy Bulwarze Zachodzącego Słońca, niedaleko skrzyżowania z ulicą La Cienega, przypadkowy przechodzień znalazł zwłoki dwóch niezidentyfikowanych kobiet. Biuro koronera nie ustaliło przyczyny zgonu. Pytania stawiane przez reporterów na zaimprovizowanej konferencji prasowej pozostały w większości bez odpowiedzi. Pierwsze doniesienia wskazują, że jedna z kobiet ważyła co najmniej czterysta kilogramów i że znaleziono ją nagą. Drugie ciało znajdowało się w stanie zmumifikowania i ubrane było w niemodną od dawna suknię wieczorową. Hotel Tippett, nie zamieszkały od roku 1968, uchodził kiedyś za elegancki pensjonat dla emerytowanych i zaawansowanych wiekiem aktorów, aktorek oraz innych ludzi związanych z filmem.

Przeczytał tę notatkę kilkakrotnie, potem złożył gazetę i odłożył ją na stół. W misce stygła nie dojedzona owsianka.

Te zwłoki to może jakiś zbieg okoliczności, pomyślał. Równie rzadki jak czterystukilogramowe kobiety...

Ale w połączeniu z mumią odzianą w suknię wieczorową?

Zatelefonował do działu miejskiego gazety i poprosił o skontaktowanie z reporterem, który napisał tę wzmiankę, bo wydrukowano ją bez podpisu. Poinformowano go, że reporter jest w terenie i dyżurujący dziennikarz poradził mu, żeby zatelefonował na policję. Michael przechadzał się przez kilka minut po kuchni i przyległym do niej korytarzu, zanim zrezygnował z kontaktowania się z policją. Co by im powiedział?

Musiał sobie obejrzeć ten budynek. Adres z czymś mu się kojarzył. Bulwar Zachodzącego Słońca i La Cienega... Zaledwie siedem kilometrów od domu Waltiriego.

Poszedł do Packarda po program koncertu, a następnie poszukał planu miasta w schowku Saaba. Zabrał program i plan na górę, do gabinetu Waltiriego, mrocznego i

zatechłego pomieszczenia zastawionego regałami pełnymi płyt i taśm, i przystąpił do lokalizowania adresu Bulwar Zachodzącego Słońca 8538, gdzie zgodnie z programem koncertu miał się mieścić Pandall Theater.

Było to o niecałą połowę kwartału od skrzyżowania Bulwaru z ulicą La Cienega.

2

Michael, oddychając miarowo i głęboko, rozkoszując się chłodnym nocnym powietrzem i ciemnością, szedł szybko pod górę ulicą La Cienega w kierunku jej zbiegu z Bulwarem Zachodzącego Słońca. Mógł być anonimowy, sam bez tych wszystkich pułapek samotności; mógł być niemal kimkolwiek - niebezpiecznym włóczęgą albo dobrym samarytaninem. Noc przysłała wszystko, nawet motywy. Po jego lewej ręce wznosiła się biała ściana hotelu pomalowana w Mondrianowskie pasy i kwadraty. Przystanął na chwilę na rogu i spojrzał na paskudną, bryłową sylwetkę hotelu Hyatta mającą po drugiej stronie ulicy, przy Bulwarze, po czym skręcił w prawo. Jego sportowe buty niemal bezszelestnie stykały się z betonowym chodnikiem.

Minąwszy wejście do restauracji zbudowanej w miejscu, gdzie stał niegdyś dom gościnny Errola Flynn, dostrzegł budynek pensjonatu Tippett.

Górował nad Bulwarem kilkunastoma piętrami - stare, betonowe gmaszysko o zaokrąglonych narożnikach. Szyby w wielu oknach były wybite, a z kilku ziejących pustką framug wypełzały na mur czarne smugi sadzy. Parter budynku otaczało ogrodzenie z drucianej siatki. Wejścia do holu głównego strzegła brama z takiej samej siatki rozpiętej na ramie z metalowych rur. Do stojącego za płotem kontenera na gruz opuszczała się z dachu rynna zsykowa.

Budynek wywarł na Michaelu przygnębiające wrażenie. Kiedyś był wspaniały. Nawet teraz, w obecnym oplakany stanie, wyróżniał się spośród innych na tym odcinku Sunset Strip. Stał jednak niezamieszany od przeszło dwudziestu lat i, sądząc po aktualnym zaawansowaniu prac remontowych, mógł stać tak jeszcze drugie dwadzieścia.

Zatrzymał się przed bramą i przymrużył oczy, żeby odczytać zatarte, umieszczone nad drzwiami ze sklejki, aluminiowe cyfry składające się na numer domu: 8538. Cyfra 8 przekrzywiła się i wisiała bokiem.

Budynek pensjonatu Tippett stał na miejscu Pandall Theater. Upewniwszy się co do tego, Michael rozejrzał się płochliwie dookoła i zerknął przez ramię na oświetlone okna hotelu Hyatta.

W ogrodzeniu, na lewo od bramy, widniała załatana dziura; przy odrobinie wysiłku mógł rozplatać zadrutowany otwór i przeczołgać się dołem.

- Osobliwe miejsce, co?

Michael odwrócił szybko głowę i zobaczył brodatego, ogorzałego mężczyznę o gęstych tłustych włosach, w brudnozielonym, wyszmelcowanym ubraniu, stojącego na chodniku parę metrów od niego.

- Tak - odparł cicho.

- Jest starszy, niżby się wydawało. Wygląda nawet dosyć nowocześnie, nie?

- Chyba tak - bąknął Michael.

- Mieszkałem tu kiedyś - powiedział mężczyzna. - Teraz już nie mieszkam. Chcesz wejść? - Nieznajomy podszedł do niego wolno. Jego twarz wyrażała wielkie zaciekawienie i niemal równie wielką ostrożność.

- Nie - zaprzeczył Michael.

- Znasz ten dom?

- Nie. Spaceruję sobie po prostu.

- Chcesz się czegoś o nim dowiedzieć? Michael nie odpowiedział.

- Chcesz się dowiedzieć o tych dwóch kobietach, które znaleźli tam martwe?

- O kobietach?

- Jedna wielka, istny wieloryb, a druga mumia. Pisali o tym w gazetach. Czytałeś?

Michael zastanawiał się chwilę, potem skinął głową.

- Tak sobie pomyślałem.

- Ty je znalazłeś?

- Na Boga - powiedział mężczyzna kaszląc w zaciśniętą pięść. - Nie ja. Ktoś, kto niewiele wiedział. Kumpel. Taki głupi, że został w budynku na noc. - Skrzywił się spodziewając się sceptycyzmu i dodał: - Pełno w nim zjaw.

- No to po co tu się kręcisz? - spytał Michael.

- Bo tak mi się podoba - odciął się mężczyzna. Stał dwa metry od Michaela i nawet z tej odległości cuchnął obrzydliwie - uryna i zastarzały pot. - Wiesz, jak się nazywały?

- Kto? - spytał Michael.

- Te kobiety. Wieloryb i mumia.

- Nie - powiedział Michael.

- Ja wiem. Mój kumpel znalazł ich imiona na kawałku kamienia, który leżał obok nich. Dał go policji, ale się tym nie zainteresowali. Nie widzieli związku. Znasz francuski?

- Trochę.

- To będziesz wiedział, co oznacza jedno z tych imion. Melancholia. Po francusku. A drugie...

Michael postanowił zaryzykować.

- Lamia - strzelił.

Twarz mężczyzny zastygła w połowie między zdziwieniem a śmiechem.

- O kurczę - wykrztusił. - Kurczę pieczone. Jesteś reporterem. Wiedziałem. Dziwna pora na węszenie za faktami.

Michael potrząsnął głową nie spuszczać z mężczyzny oka. Nie próbował jeszcze odczytać czyjejs aury na Ziemi. Teraz nadarzała się okazja jak żadna. Natrafił na festiwal pomruków, jasny, mały węgielek inteligencji, targowisko pełne zgniłych warzyw. Wycofał się z przeszukiwań z jednym tylko faktem: Tristesse. Drugie imię. Pasowało do strażniczki bramy Clarkhama. Roznosicielka melancholii.

Lamia i Tristesse. Siostry...

Ofiary Sidhów poświęcone przez Clarkhama, by stały na straży i czekały... Ale jak zdołały przedostać się na Ziemię? I kto je zabił - a raczej zdezaktywizował, bo iskierka życia, jaka mogła się w nich tlić, była w najlepszym przypadku wątpliwa?

Nagle i niespodziewanie Michael zaczął płakać. Ocierając oczy podniósł wzrok na budynek pensjonatu Tippett.

- Coś się stało? To ja powinienem płakać - zdziwił się mężczyzna. - Reporterem nie jesteś... a może krewnym? Jezu, co ja gadam. Żadna z nich nie mogła mieć krewnych. One nie z tych.

- Czegoś się przyczepił? - warknął Michael. - Spływaj.

- Przyczepił? - pisnął mężczyzna cofając się o krok. - Ten dom był kiedyś mój. MÓJ WŁASNY, cholera! Kiedyś byłem kimś! Nie jestem jeszcze taki stary, do cholery, i nie upadłem jeszcze tak nisko, żeby nie pamiętać, co to znaczy mieć pieniądze i być... - poderwał w górę rękę z wyprostowanym palcem serdecznym, uniósł brwi i zadarł brodę - ważnym, cholera, obywatelem!

Michael wysondował jeszcze raz umysł mężczyzny i wyczuł szczery smutek pomieszany ze złością.

- Teraz wszyscy się tu kręcą. Ten cholerny bank nic w tej sprawie nie robi. Ani go nie zburzy, ani nie sprzeda. Nie może go sprzedać. Teraz zginęli w nim ludzie. Nic dziwnego. Dobrze, idę sobie. Rób, co chcesz. Ja się napatrzyłem.

- Poczekaj - powiedział Michael. - Kiedy go zbudowano?

- W tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym - odparł mężczyzna odwrócony już plecami do Michaela i oddalający się z przesadną godnością. - Dawniej był tu teatr, sala koncertowa. Zburzyli go i postawili to.

- Dziękuję - rzucił za nim Michael. Mężczyzna wzruszył ramionami i machnięciem ręki odpędził od siebie podziękowania.

Michael wsunął ręce w kieszenie płaszcza i zadarł głowę, żeby jeszcze raz spojrzeć na budynek. Wysoko na górze, blisko szczytu, jedno piętro pod tarasem, po zakurzonej szybie tańczył nikły czerwony ognek. Płonął tylko przez chwilę.

Czerwone światelko zabłysło na krótko jeszcze raz w wybitym, osmalonym oknie na trzecim piętrze. Potem zapanowały znów cisza i spokój.

Michael wzdrygnął się i ruszył w drogę powrotną Bulwarem w kierunku La Cienega.

3

Magia, taka, jaką stosowali Sidhowie, była na Ziemi trudniejsza do uprawiania; ludzie nie mogli się nią posługiwać. Tyle Michael wyniósł ze swego treningu w Królestwie, w Mroku Sidhe. Ale czy był to fakt, czy tylko przypuszczenie? Mieszkańcy - po części ludzie, po części Sidhowie - potrafili robić użytek z magii; najlepszym tego dowodem były Żurawice i Eleuth. Clarkham, Mieszaniec urodzony na Ziemi, niemal przewyższył Sidhów w ich własnej sztuce.

Sam Michael robił w Królestwie rzeczy, na które w słowniku nie było innego określenia, jak tylko magia. Zdołał nawet tak ukierunkować moce tkwiące w Pieśni Władzy, by zniszczyły Clarkhama. A w rok po powrocie na Ziemię przekonał się, że nadal potrafi podporządkować się dyscyplinie Sidhów i pobudzić hylokę, czyli wywoływać ciepło z wnętrza swego ciała, jak również dosię-widzieć, czyli sondować aurę czyjejś pamięci, celem wydobycia stamtąd informacji.

Na razie zadowolił się tym i nie wypróbowywał innych umiejętności nabytych w Królestwie. Nie wykorzystywał *evisy*, czy też odsię-widzenia, do rzucania cienia; nie było takiej potrzeby.

Każdego ranka ćwiczył na przestronnym dziedzińcu na tyłach domu. Biegał po okolicy ze swoim kima, kijem do biegania, w wyciągniętych przed siebie rękach, jak uczyły go Żurawice. Kilka razy biegał w towarzystwie Dopso, który zasypywał go zdyszonym potokiem pytań i spostrzeżeń. Pomimo wyraźnego zainteresowania, jakie wzbudzała jego

osoba w tym niezmordowanym w swej gadatliwości człowieku, Michaelowi przypadł on do gustu. Wyglądał mu na przyzwoitego faceta.

Co dzień Michael przeglądał inną teczkę z papierami Waltiriego i zaczął prowadzić katalog tego, co w nich wyszperał. W ciągu tygodnia przekopał archiwum zgromadzone w garażu i wiedział mniej więcej, co zawiera każdy skoroszyt - rękopisy, kontrakty oraz inne dokumenty urzędowe i korespondencję, wliczając w to drewniane pudełko pełne listów miłosnych Waltiriego do Goldy pisanych po niemiecku. Chociaż po powrocie z Królestwa uczył się niemieckiego, nie nabrał jeszcze biegłości i to utrudniało mu pracę. Zastanawiał się, czy nie wynająć by czasem studenta z kraju niemieckojęzycznego i opanować szybko język uciekając się do dosię-widzenia, ale postanowił na razie się z tym wstrzymać.

Skoncentrował się na rękopisach. Skromne wiadomości zapamiętane z lekcji muzyki, jakie brał przed ukończeniem trzynastu lat - kiedy to tupnął wreszcie nogą i stanowczo odmówił kontynuowania nauki gry na fortepianie - nie na wiele się zdały przy sortowaniu papierów Waltiriego.

Michael spisywał nazwy (jeśli takie istniały), numery opusów i znane informacje na temat każdego z rękopisów nutowych. Większość z nich stanowiły filmowe ścieżki dźwiękowe; między owocami tej czterdziestopięcioletniej pracy znajdowały się też jednak utwory bardziej osobiste, nawet szkic baletu na motywach Śpiącej Królowny.

Spędził w garażu wiele godzin, a potem zaczął przenosić posortowane pudła rękopisów do jadalni, gdzie układał je w stosy pod wolną ścianą.

Po rękopisie Opusu 45, czyli Koncercie Nieskończoności, nie było ani śladu.

Wieczorami przygotowywał sobie kolację i jadł ją w samotności. Raz w tygodniu chodził na obiad do rodziców i były to bardzo miłe wizyty; od czasu do czasu, pod takim czy innym pretekstem, do domu Waltiriego wpadał John i popijając piwo na tyłach posiadłości gawędzili sobie o wszystkim i o niczym. Ruth nigdy go nie odwiedzała.

Michael nie opowiedział Johnowi swojej historii, chociaż Ruth nie było w pobliżu, John chyba wyczuwał, że dla Ruth nie nadszedł jeszcze odpowiedni czas i że powinni wysłuchać tej opowieści razem, kiedy ów czas wreszcie nadejdzie.

W sumie, nie licząc odkryć, jakie poczynił pod pensjonatem Tippett, nie działo się nic szczególnego, Michael czuł się coraz mocniejszy pod wieloma względami: był silniejszy wewnętrznie, mniej zadręczał się popełnionymi dotąd błędami, i lepiej odnajdywał się w ziemskich realiach, które tak niewiele przypominały stosunki panujące w Królestwie.

Teraz, kiedy wrócił z zewnątrz i miał podstawę do porównań, największe wrażenie wywierały na nim stałość i dokładność Ziemi. W Królestwie wydawało mu się bez przerwy,

że nic nie zostało doprowadzone do końca; twór Adonny był bez wątpienia majstersztykiem i to miejscami precudownym, ale nie mógł się równać z Ziemią.

Chociaż Królestwo zbudowane zostało po to, by dać schronienie Sidhom - by utrzymać ich w ryzach - i chociaż nie brakowało w nim potwornych wynaturzeń, pod wieloma względami było miejscem subtelniejszym od Ziemi. Za wszelkie okrucieństwa istniejące w Królestwie winę ponosili jego mieszkańcy. Opanowawszy dyscyplinę Sidhów, Michael nie miał większych trudności z utrzymaniem się w ich Królestwie przy życiu. Wątpił, czy równie łatwo przyszłoby mu przeżyć w podobnych sytuacjach na Ziemi.

Wszystko wskazywało na to, że Ziemia nie została stworzona dla czyjejkolwiek wygody; ci, którzy na nią przybyli, bądź ci, którzy się na niej urodzili i rozwijali, wypracowywali sobie własne sposoby na przetrwanie, wyszukiwali odpowiednie miejsca, w których czuli się bezpiecznie, i walczyli o ich utrzymanie. Ziemia nigdy nie ustawała w wywieraniu na nich swych presji... Ani nie oddawała bez walki swych skarbów.

Za procenty wypłacone z konta Michael kupił magnetowid i zaczął wypożyczać kasety z filmami, do których muzykę napisał Waltiri. Oglądanie tych starych filmów i wsłuchiwanie się w podkłady muzyczne wzbudzało w nim coraz większy podziw dla niezaprzeczalnego talentu starego kompozytora.

Muzyka Waltiriego nie była w żadnym filmie agresywna. Zamiast wybijać się bezceremonialnie na pierwszy plan jakąś natrętną linią melodyczną, grała zawsze rolę służebną, podkreślając lub uwypuklając akcję toczącą się na ekranie.

Pewnego dnia Michael kilkakrotnie odtwarzał film Johna Hustona *Człowiek, który chciał zostać królem* z 1958 roku, rozkoszując się za pierwszym razem wspaniałą grą Bogarta w roli Peacheya Carnehana i Jacka Hawkinsa odtwarzającego postać Daniela Dravota, za drugim - wspaniałymi czarno-białymi zdjęciami i przepięknie wkomponowanymi dekoracjami studyjnymi, a w końcu - subtelnym podkładem muzycznym Waltiriego, ani nie współczesnym, ani archaicznym, ale pasującym w jakimś sensie do tych mężczyzn i ich przygód, Michael nie mógł wyjść z podziwu; wydawało mu się, że ten jeden dzień nadał wszystkiemu pewnej perspektywy i uporządkował jego myśli. Nagle poczuł się gotowy do stawienia czoła cemukolwiek, co tylko mogło się wydarzyć, z tą samą niepraktyczną zuchowatością Carnehana i Dravota. Następnego dnia spędził na pracy w ogrodzie, gdzie pogwizdując bez końca temat Carnehana wrywał chwasty i przycinał krzewy róż stosując się do zaleceń, jakie wyczytał w starym poradniku ogrodniczym znalezionym w bibliotece Goldy.

Pracując tak, myślał o Morze, kobiecie Sidhów spotkanej u Clarkhama, i o sposobie, w jaki przycinała swoje róże, oraz o otrzymanej od niej róży, która przemieniła się w szkło i owinięta w szmatkę wciąż leżała w kartonowym pudełku w gościnnej sypialni.

Humor popsuł mu się następnego ranka, kiedy to po raz kolejny gazeta okazała się zwiastunem niepokojących wiadomości. Znajdował się w niej artykuł zaczynający się na lewej szpalcie strony tytułowej i kontynuowany w głębi numeru, w sekcji A, liczący sobie dobre dwa tysiące słów. Opisywał fale tak zwanych nawiedzeń obserwowane w Anglii, Izraelu i wschodniej części Stanów Zjednoczonych.

W relacji tej powtarzało się kilkakrotnie określenie „pogwałcenia rzeczywistości”, ale ogólnie utrzymana była w lekkim tonie. Autor konkludował, że incydenty te mają więcej wspólnego z socjologią i psychologią niż z metafizyką. Przeczytał artykuł dwa razy, po czym złożył gazetę i zapatrzył się na różowe róże za kuchennym oknem.

Zadzwoił telefon. Michael zerknął na swój nowy zegarek - była dziesiąta - i podniósł staromodną, czarną słuchawkę.

- Rezydencja Waltiriego. Słucham.

- Czy mogę rozmawiać z Michaëlem Perrinem? - spytał rezolutny, dźwięczny kobiecy głos.

- Przy aparacie - powiedział Michael.

- Dzień dobry. Nazywam się Kristine Pendeers. Studiuję na wydziale muzycznym UCLA.

- W czym mogę pani pomóc, panno Pendeers? - spytał Michael przyjmując swój najlepszy (i nie wypraktykowany jeszcze) profesjonalny ton.

- Porządkuje pan spuściznę po panu Waltirim, nieprawdaż? Rozmawiałam z prawnikami, którzy poinformowali mnie, że teraz pan się wszystkim zajmuje.

- Tak wyszło.

- Prowadzimy tu prace nad ponownym odkryciem muzyki awangardowej z lat trzydziestych i czterdziestych. Interesuje nas odszukanie pewnych kompozycji Arno Waltiriego. Być może słyszał pan o nich albo natknął się na nie... choć zdaję sobie sprawę, że nie miał pan zbyt wiele czasu na grzebanie się w dokumentach.

- W jakich dokumentach? - spytał Michael, chociaż właściwie nie musiał; wydarzenia podążały w wyraźnie określonym kierunku: sny, pensjonat Tippett, ciała Lamii i Tristesse, nawiedzenia... i teraz to.

- Widzi pan, mamy kłopoty z dotarciem do pewnego nagrania, które szczególnie nas interesuje, a przecież nasze zbiory są bogate. No i nie dysponujemy żadnym zapisem

nutowym. Opieramy się tylko na tych fascynujących wzmiankach z pamiętników, gazet i z książki „Diabelska muzyka” autorstwa Charlesa Forta. Słyszał pan o niej?

- Szukacie Opusu 45 - stwierdził Michael.

- Tak! Właśnie tego.

- Nie znalazłem go.

- Czy to prawda? To znaczy, czy on istnieje? Zaczęliśmy go już uważać za jakąś mistyfikację.

- Jestem w posiadaniu programu koncertu premierowego - powiedział Michael. - Ta muzyka kiedyś istniała. Czy istnieje jeszcze, czy nie, po prostu nie wiem.

- No nie, to cudowne mieć jakieś potwierdzenie. Czy zdaje pan sobie sprawę, co by to było za wydarzenie, gdyby ponownie ją odkryć?

- Co zamierzacie zrobić z tym utworem, jeśli go odzyskam?

- Właściwie to jeszcze nie wiem - przyznała Pendeers. - nie spodziewałam się zajść tak daleko. Jestem koneserką muzyki filmowej, zwłaszcza tej z lat trzydziestych i czterdziestych. Muszę panu powiedzieć, że gdzie jak gdzie, ale tu, w Los Angeles, nie jest to mile widziane przez niektórych wykładowców wydziału muzycznego! Czy możemy się spotkać i porozmawiać? A gdyby pan coś znalazł, wie pan, zapis nutowy, nagranie, cokolwiek, to czy mógłby pan mnie powiadomić... pierwszą? Oczywiście, o ile ktoś nie ma już priorytetu... mam nadzieję, że nie.

- Nie ma nikogo takiego - zapewnił ją krótko Michael. - Gdzie się umówimy?

- Nie śmiem wpraszać się do domu. Rozumiem, że nie wszystko jest już uporządkowane.

Michael podjął szybką decyzję.

- Szczerze mówiąc, to zadanie mnie przerasta - powiedział. - Chętnie skorzystałbym z czyjejś pomocy. A może spotkamy się gdzieś na terenie uniwersytetu i porozmawiamy o współpracy ze strony UCLA?

- Wspaniale - powiedziała i ustalili czas oraz miejsce wspólnego lunchu w Westwood następnego dnia.

To zadanie naprawdę mnie przerasta, pomyślał Michael odkładając słuchawkę.

Kristine Pendeers była dwudziestodwuletnią, wysoką i smukłą dziewczyną o sylwetce tancerki i pięknych, jasnych włosach. Oczy miała zielone i bystre, dość głęboko osadzone, przy czym jedna powieka unosiła się nieco wyżej od drugiej, jakby w niemym znaku

zapytania. Ze swą pełną dolną i delikatną górną wargą sprawiała wrażenie, że prawie cały czas na wpol się uśmiecha. Miała na sobie dzinsy i fiołkoworożową jedwabną bluzkę.

Po niecałych piętnastu minutach spędzonych w obecności dziewczyny Michael był już nią zafascynowany. Jego zauroczenia zawsze przychodziły szybko i z trudem umierały - nieomylna oznaka niedojrzałej romantyczności, ostrzegł w duchu samego siebie. Ale takie ostrzeżenia nie na wiele się przeważnie zdawały.

Wybrali restaurację „Good Earth”. Usiadła naprzeciw niego w dwuosobowej łoży. Rozpościerał się nad nimi rozłożysty, podświetlony od góry, plastikowy baldachim imitujący klon; ponieważ znajdowali się poniżej poziomu ulicy, efekt był przekonujący. Kristine skrzyżowała przedramiona na blacie stolika, jakby chciała osłonić nimi filiżankę kawy.

- Mój główny problem polega na tym, że niewiele się znam na muzyce - powiedział Michael. - Lubię ją, ale nie gram na żadnym instrumencie.

Sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- To w jaki sposób dostałeś tę posadę?

- Poznałem Arno Waltiriego przed jego śmiercią. Zaprzyjaźniliśmy się.

- Co ci kazał zrobić z majątkiem? - Te oczy nadawały jej wygląd nonszalanckiej i zainteresowanej zarazem.

- Chyba posegregować wszystko i załatwić niezbędne formalności - odparł Michael. - Prawdę mówiąc, nie zostało to wyraźnie sprecyzowane. Istniało między nami coś w rodzaju zrozumienia bez słów... - Nie był właściwie pewien, czy to prawda. Nie mógł jednak powiedzieć: „Jestem tu dla czegoś większego...”

- Czy wspominał ci kiedykolwiek o Opusie 45?

Przerwała im kelnerka z zamówionym lunchem i odchyliła się do tyłu, żeby ułatwić jej podanie do stołu.

- Tak - powiedział Michael. Opowiedział jej wszystko pokrótce przy jedzeniu, opisując - do pewnego stopnia - współpracę Waltiriego z Clarkhamem i wydarzenia, jakie miały miejsce po premierze.

- To fascynujące - stwierdziła. - Teraz rozumiem, dlaczego ta muzyka przeszła do legendy. Sądzisz, że ten utwór jeszcze istnieje? To znaczy, czy... spalił go, czy ukrył w takim miejscu, gdzie nikt go nie znajdzie?

Michael potrząsnął głową przeżuając kęs ryby.

- Będę szukał - powiedział.

- Widzisz, badania, które teraz prowadzę... wykraczają właściwie poza to, co ci powiedziałam przez telefon. - Nie uszczknęła wiele ze swego omleta. Miała chyba większą

ochotę na rozmowę niż na jedzenie. - Próbuje... a tak właściwie to głównie ja próbuję przywrócić kompozytorom muzyki filmowej należne im miejsce w muzyce. Wielu z nich nie ustępowało talentem dzisiejszym kompozytorom... wydaje mi się, że nawet ich przewyższało. Ale tak zwane słabe strony, jakich się u nich doszukiwano, praca w popularnej dziedzinie przekazu, dla masowego odbiorcy... - Potrząsnęła powoli głową. - Ludzie związani z muzyką są snobami. Sami muzycy niekoniecznie, ale krytycy na pewno. Przepadam za muzyką filmową. Oni zdają się nie rozumieć, mówię o krytykach i niektórych akademikach, zdają się nie rozumieć, że muzyka do filmów, i to nie tylko do musicali, ma coś wspólnego z muzyką operową. Mam tu na myśli jej głębię, pełne podkreślanie dramaturgii scenariusza. - Uśmiechnęła się. - Będę skręcała na ten tor, ilekroć mi na to pozwolisz. Michael pokiwał głową.

- Ja też uwielbiam muzykę filmową - powiedział.

- To oczywiste. Czyż Waltiri powierzyłby ci opiekę nad swoim dorobkiem, gdyby tak nie było? Prawdopodobnie nadajesz się do tego lepiej niż niejeden pracownik naukowy z mojego wydziału. - Uniosła ręce rozszoszczona na samą siebie. - No popatrz tylko. Znowu marnuję żywność. Nic nie jem, tylko gadam.

- Tylko śpiewać, tylko tańczyć - podpowiedział z uśmiechem Michael.

Popatrzyła na niego uważnie.

- Masz bardzo dziwny uśmiech. Zupełnie jakbyś coś wiedział. Nie obrazisz się, jeśli spytam, ile masz lat?

Spuścił wzrok na blat stolika.

- To zależy.

- Przepraszam. Wtykam nos w nie swoje sprawy.

- Nie, to nie to - zaprzeczył. - To naprawdę skomplikowana sprawa...

- Twój wiek jest skomplikowany?

- Mam dwadzieścia dwa lata - powiedział.

- Wyglądasz na młodszego, a jednocześnie starszego.

Na kilka sekund nad stolikiem zawisła cisza.

- Chodziłeś do szkoły? - spytała Kristine.

- Do średniej nie.

Roześmiała się i wyciągnęła przez stół rękę, żeby postukać go palcem w grzbiet dłoni.

- Jesteś wspaniały - powiedziała. - Wszyscy mówią, że Waltiri był obrazoburcą. Ty jesteś żywym tego dowodem.

- Rozmawiałaś z ludźmi, którzy go znali?

- Tak. To wchodzi w zakres moich badań. Znam kompozytora nazwiskiem Edgar Moffat. Instrumentował ścieżki dźwiękowe Waltiriego i był jego asystentem w latach pięćdziesiątych. Pracuje teraz w Burbank nad muzyką do filmu Davida Leana. Będziesz musiał się z nim spotkać. Przez ostatnie kilka miesięcy przeprowadziłam z nim niejednego wywiad. To właśnie od niego dowiedziałam się o posiadłości Waltiriego. Nie znał twojego nazwiska, ale słyszał o tobie.

- Wspominał coś o Davidzie Clarkhamie? - spytał Michael.

- To chyba dawniejsze czasy. On ma dopiero pięćdziesiąt trzy lata.

- Dlaczego studiujesz muzykę?

- Jestem kompozytorką - powiedziała. - Zaczęłam pisać muzykę jeszcze jako nastolatka. A ty?

Michael uśmiechnął się.

- Ja jestem poetą - powiedział. - Piszę poezję od... od dawna.

Na twarzy Kristine pojawił się cień powątpiewania.

- Czy coś ci kiedyś wydali drukiem?

Potrząsnął przecząco głową.

- Właściwie to ostatnio niewiele pisałem. Miałem dużo rzeczy do przemyślenia, dużo spraw do załatwienia.

- Poezja i muzyka - rzekła w zamyśleniu. - W powszechnym odczuciu mają ze sobą sporo wspólnego. Ty też tak uważasz?

Jak miał na to odpowiedzieć, żeby nie pomyślała sobie, że jest pretensjonalny albo stuknięty? To, czego nauczył się w Królestwie - że wszystkie sztuki są ze sobą blisko spokrewnione, że każda opiera się na fundamencie, który można ukierunkowywać i kształtować w dążeniu do stworzenia Pieśni Władzy - nie należało do pojęć, które jest w stanie zrozumieć studentka muzyki uniwersytetu UCLA.

- Są bardzo zbliżone - powiedział.

- Pisanie nigdy nie przychodziło mi łatwo - przyznała Kristine. - Mocno się napociłam, żeby przebrnąć w szkole przez angielski i nauczyć się poprawnego budowania zdań.

- Ja z kolei niewiele się znam na muzyce - odwzajemnił jej szczerość Michael. - Dwie strony medalu. - Może trochę za dużo w tym zarozumiałości, pomyślał w duchu.

Kristine popatrzyła na niego z przejęciem.

- Wydaje mi się, że wydział muzyczny znajdzie miejsce na papiery Waltiriego - powiedziała. - Gdyby dziekanat wyraził na to zgodę, moglibyśmy je zabezpieczyć i pomóc ci w ich uporządkowaniu. Może przyspieszyłoby to odnalezienie rękopisu. Taka decyzja mogłaby równie dobrze pozostawić go bez pracy albo zmusić do dalszego wyludzania honorarium za realizację ostatniej woli zmarłego, chociaż nie miałby już nic do roboty.

- Zastanowię się nad tym - obiecał. Czy właśnie takiego załatwienia sprawy pragnąłby Waltiri? Kristine zdecydowanie odsunęła od siebie talerz, uniosła rękę, żeby przywołać kelnerkę i poprosiła o rachunek.

- Ja stawiam - oznajmiła. Michael nie zaprotestował.

- Kiedy będziemy mogli zobaczyć się ponownie i porozmawiać? - spytała. - Możesz się spotkać z Moffatem w Paramount... Obejrzeć bibliotekę wydziału muzycznego. Dziekan mógłby ci wyjaśnić, jak opiekujemy się naszymi zbiorami...

- Sam ustalam sobie rozkład zajęć - powiedział Michael. - Kiedy ci wygodnie.

Położyła na stoliku hojny napiwek i wstała z rachunkiem w ręku. Podszedł z nią do kasy, uregulowali należność i opuścili lokal. Z nutką żalu w głosie powiedziała, że musi wracać do kampusu. Samochód Michaela stał zaparkowany w przeciwnym kierunku. Przez chwilę rozważał możliwość odprowadzenia jej mimo wszystko, zdecydował jednak, że lepiej zbytnio się nie narzucać.

- Przyjemnie mi było zjeść z tobą lunch - powiedział. Przechyliła na bok głowę i zerknęła nań z ukosa. - Wiesz, jesteś naprawdę bardzo dziwny - powiedziała. - Jest w tobie coś... - Wzruszyła ramionami. - Nieważne. Dzwoni do mnie, jak coś znajdziesz. Albo po prostu, kiedy będziesz miał ochotę pogawędzić o muzyce, o poezji, o czymkolwiek.

Odeszła w stronę kampusu, a Michael pomaszerował do samochodu. Wiedziony jakimś przeczuciem zatrzymał się przy salonie płytowym „Vogue Records” spytał ciemnowłosego, szczupłego sprzedawcę o wydatnym, haczykowatym nosie, czy ma jakieś nagrania muzyki Arno Waltiriego.

- Tylko składankę RCA - odparł sprzedawca obrzucając go omdlewającym spojrzeniem. - Już pan ją ma, prawda? Dyryguje Charles Gerhardt.

Michael zaprzeczył. Sprzedawca wyszedł zza lady, zaprowadził go do rozległego działu filmowych ścieżek dźwiękowych i odszukał album. Michael przebiegł wzrokiem spis utworów: wybór podkładów muzycznych z filmów: *Ashenden*, *Człowiek, który chciał zostać królem*, *Ptaki wojny z Mindanao* oraz *Nazwij to snem*.

- Czy słyszał pan kiedyś o nagraniu *Koncertu Nieskończoności!* - spytał sprzedawcy.

- Możemy tego poszukać u Schwanna, ale słyszeć, nie słyszałem.

Przewertowanie kieszonkowego wydania katalogu Schwanna przyniosło informację, że składanka RCA jest jedynym dostępnym aktualnie w sprzedaży albumem, Michael podziękował ekspedientowi i kupił płytę.

W drodze do domu zatrzymał się przed sklepem papierniczym i nabył czysty brulion. Czuł, że nadszedł czas, aby znowu zająć się poezją, choćby tylko po to, żeby podbudować wiarę w siebie i nadać głosowi nieco więcej pewności, gdy następnym razem będzie wyznawał, czym się zajmuje.

Zajawszy miejsce za kierownicą, zerwał z brulionu foliowe opakowanie, podpisał się nazwiskiem na pierwszej kartce, a potem, jak zawsze, kiedy zaczynał nowy notatnik, przekartkował stronicę.

W połowie brulionu, po środku nie zaznaczonej w żaden inny sposób kartki, widniały wykaligrafowane starannie słowa:

Daj sobie spokój. Znalezienie go nie przyniesie nikomu niczego dobrego.

Przesunął jednym palcem po spęczniałym atramencie i powoli zamknął brulion.

4

Następnego dnia, w sobotę, pod pretekstem dokończenia przeglądu stolarki i fundamentów i sprawdzenia, czy wszystko jest jak należy, odwiedził Michaela w domu ojciec. Przyszedł o drugiej po południu i zrobił z Michaelem rundę dookoła domu zaglądając po drodze w wentryzniczki umieszczone poniżej poziomu podłogi.

- Matka się o ciebie martwi - mruknął John ostukując młotkiem o kulistym nosku drewno w otworze wentylacyjnym i wsłuchując się w odgłos, jaki wydaje. Wpełził do pasa w przestrzeń pod domem i jego głos dochodził stamtąd zwielokrotniony echem. - Uważa, że to zajęcie może ci wcale nie wyjść na zdrowie.

- Idzie mi świetnie - powiedział Michael.

John wynurzył się z otworu wentylacyjnego wypłutując sobie pajęczyny z włosów. - Na pierwszy rzut oka wygląda dosyć solidnie. No nic, ja też się o ciebie niepokoję. Nie mam zielonego pojęcia, gdzie byłeś przez te pięć lat, ale ciekaw jestem, na ile przez ten czas wydorósłaś.

- Dostatecznie - zapewnił go Michael. Ojciec zmierzył go poważnym wzrokiem i wstał z ziemi.

- Dziwne, jak matka stara się unikać rozmowy na twój temat. Ja też zachowuję się dziwnie nie chcąc nic słyszeć, dopóki i ona nie zdecyduje się słuchać. Nie dała nawet do zrozumienia, że jest ciekawa... znaczy się, tobie?

Michael pokręcił głową.

- Czy to było coś w stylu Williama Burroughsa?

- Nie. To nie miało nic wspólnego z narkotykami. Ojciec poczerwieniał na twarzy słysząc lekceważenie w głosie Michaela.

- Cholera, nie odnoś się do mnie tak protekcjonalnie... ani do mnie, ani do kogokolwiek innego.

Michael potrząsnął głową.

- Nie wydaje mi się, żebyś mi uwierzył.

- Nie jestem ciemniakiem. Wiem, że istnieją inne sposoby na życie niż ten. - Wskazał szerokim gestem na okolicę. - Do diabła, ćpania też próbowałem.

Michael wbił wzrok w trawę.

- Wstydzisz się czegoś? Czegoś... związanego z seksem?

- Jezu. - Michael potrząsnął głową i zachichotał. - Nie zviałem do San Francisco i... nic z tych rzeczy. Możesz o tym mamę zapewnić. - Zdenerwował go własny głos, który w tej chwili przeszedł niemal w skowyt.

- Wcale cię o to nie posądzaliśmy. Wierz albo nie, nieźle cię znamy. Może nie tak dobrze, żebyś nie mógł nas czymś zaskoczyć, ale na tyle, żeby uwierzyć, że nie posunąłeś się do czegoś, co prowadzioby do samodestrukcji. Myślmy po prostu, że ślęczenie całymi dniami w tym domu i przekopywanie się przez stosy starych papierzyk może nie wyjść ci na dobre.

- Czasami wychodzę. - Opowiedział Johnowi o telefonie z UCLA i celowo wspominał o Kristine. - Odbywam też długie spaceru.

Michael wprowadził ojca do środka przez ganek na tyłach domu. John obejrzał podgrzewacz wody.

- Zbiornik jest chyba w porządku, ale wolałbym spuścić z niego wodę i usunąć osad, sprawdzić dno i zorientować się, czy nie zaczyna rdzewieć. Masz jeszcze z czymś problemy?

- John przystanął i postukał kłykiem w boazerię pokrywającą szeroki, pusty pas ściany pomiędzy szafką grzejnika a drzwiami do spizarni.

A więc co miał w końcu powiedzieć ojcu - że nie spodziewa się, aby można było dalej wieść normalne życie, że zbliża się coś niewypowiedziane wielkiego?

- Raczej nie - powiedział. - W razie czego mogę wezwać konserwatorów.

- Nie bądź taki, daj staruszkowi szansę, żeby mógł się poczuć potrzebny. Czy znajdzie się jakiś lepszy stolarz w Południowej Kalifornii?

- Nie - przyznał Michael z uśmiechem.

Zabrzęczały dzwoneczki przy wejściu. Michael podszedł do drzwi frontowych i otworzywszy je ujrzał na ganku Roberta Dopso przestępującego nerwowo z nogi na nogę.

- Cześć - powiedział Dopso wyciągając rękę. - Widziałem, jak sprawdzacie fundamenty. Pomyślałem sobie, że zobaczę, czy nie przyda się wam jakiś kibic.

Michael uśmiechnął się. Konwersacja we trójkę będzie mniej niezręczna.

- Jasne. Jest tu mój ojciec. Oglądamy teraz zaplecze gospodarcze. Wejdz.

- Sam wiesz, jak to jest. Sobotnia nuda - usprawiedliwił się Dopso. - Lament kawalera. Michael przedstawił ich sobie.

- Robert się tu wychowywał - wyjaśnił ojcu. - On i jego matka dobrze znali Arno i Goldę.

- Jeśli już mowa o mojej matce, zaprasza cię dziś wieczorem na obiad - wtrącił Dopso.

- To jeszcze jeden z powodów, dla których przyszedłem.

John powrócił do oględzin ściany.

- Czy za tym jest jakaś wnęka albo coś takiego? - spytał po chwili. Stukot jego knykcii opukujących boazerię odbijał się głuchym echem.

- Nie - powiedział Michael.

- Aż trudno uwierzyć, że marnuje się tyle przestrzeni. - John spojrzął na podłogę i ukląkł. Przesunął palcem wzdłuż cieniutkiego, łukowatego zadrapania na linoleum, tuż pod krawędzią boazerii. - Tu były kiedyś drzwi. Nie sądzę, żeby Arno musiał kiedykolwiek ukrywać jakieś szkielety... co ty na to?

Michael zmarszczył czoło i potrząsnął głową. Dopso schylił się i pomacał palcem spoinę.

- Nie przypominam sobie, żeby tu była jakaś nisza.

- A jednak tam była szafa albo coś w tym rodzaju, a teraz ją zamaskowano. - W oku Johna pojawił się błysk. Mrugnął do Dopso. - Czy Arno wzięłby nam za złe, gdybyśmy to kiedyś zbadali, jak będzie miał pan chwilę czasu? Prawdopodobnie nie znajdziemy tam nic prócz pajęczyn...

- Prawdopodobnie - przytaknął skwapliwie Michael. Nie miał jakoś ochoty wciągać w to ojca czy Dopso. To odkrycie było zarazem podniecające i frapujące.

- Co z tobą? - spytał John wchodząc do kuchni. - Gdzie twoja żądza przygód? Stary dom, tajemnicza skrytka... Może Arno ukrył w niej swój skarb.

- Może - bąknął Michael.

- To by było interesujące - podchwycił Dopso. - Wreszcie jakieś urozmaicenie w tej sennej okolicy. Chociaż nie zawsze jest senna. - W jego spojrzeniu rzuconym Michaelowi była chyba próba przekazania jakiegoś niemego komunikatu. Michael nie miał najmniejszego pojęcia, do czego odnosiła się aluzja Dopso.

Sprawdziwszy jeszcze kilka miejsc przystanęli w przedpokoju i ojciec, tonem nie znoszącym sprzeciwu, zaprosił go na następny dzień na obiad.

- Niech matka wyda dla nas przyjęcie. Zamartwianie się leży w jej naturze, Michael.

- Wiem - powiedział ciągle skrępowany. - Dziś wieczorem obiad u Roberta, a jutro z tobą i z mamą. Nie można narzekać na brak gościnności.

- No to jesteśmy umówieni. O szóstej? I daj mi znać, kiedy zdecydujesz się wyważyć parę desek z tej boazerii.

Po wyjściu ojca i Dopso Michael wrócił do pomieszczenia gospodarczego. Ostukując boazerię zastanawiał się beznamiętnie, czy nie należałoby czasem spróbować wymacać jakich ewentualnych ukrytych dźwigni albo przycisków. Była tak ściśle dopasowana, że nie było chyba nawet gdzie wcisnąć paznokcia.

Znalazł latarkę i wyszedł przed dom, żeby jeszcze raz zajrzeć w otwór wentylacyjny. Wypchnął siatkę zabezpieczającą, którą ojciec zasłonił otwór, i poświecił latarką w przestrzeń konserwacyjną pod podłogą domu wyławiając z mroku zarysy belek, wsporników, kabli i rur. Snop światła padł na ciemnoszarą betonową ściankę usytuowaną mniej więcej pod pomieszczeniem gospodarczym.

Była tam piwnica.

Wycierając ręce o nogawki spodni Michael przeszedł do garażu i zaczął szperać w skrzynce z narzędziami szukając czegoś, co mogłoby posłużyć do zrywania boazerii. Znalazł łom i młotek do gwoździ, wniósł je przez tylne drzwi do domu i położył na podłodze pomieszczenia gospodarczego.

Kiedy zamaskowano wejście do tej piwnicy? Nie przypominał sobie, aby przed blisko sześciu laty ziemskiego czasu, kiedy był częstym gościem w domu Waltiriego, znajdowały się w tym miejscu jakieś drzwi.

Ale też niezbyt często zaglądał do pomieszczenia gospodarczego.

Czy drzwi zabito po śmierci Goldy, w ciągu tych pięciu lat, kiedy go nie było? A może zamaskował je sam Waltiri?

Oto otwiera się przed nim szansa, pomyślał. Był pewien, że w piwnicy znajduje się coś niezwykłego. Kiedy człowiek - a właściwie mag - taki jak Waltiri maskuje drzwi, to musi

mieć ważny powód. Tak czy inaczej, Michael mógł poprosić ojca, aby towarzyszył mu przy otwieraniu i zobaczyć, co tam jest, licząc się z tym, że cała historia może wyjść na jaw...

Jeśli jednak w piwnicy znajdowało się coś niebezpiecznego, lepiej, żeby ojca przy tym nie było. John nie potrafił rzucać cienia ani stosować innych forteli ułatwiających ucieczkę.

Jeszcze raz przesunął dłonią po boazerii nie szukając już żadnych ukrytych rygli, a raczej natchnienia, jakiejś wskazówki. Koncentrując się na tym, co znajduje się po drugiej stronie, zamknął oczy i przycisnął mocno rozwartą dłoń do drewnianej powierzchni.

Nic.

Ale przecież Żurawice nie obdarzyły go zdolnością przewidywania ani jasnowidzenia. Nie mógł liczyć na to, że jakiś wewnętrzny głos udzieli mu choćby mglistej wskazówki.

Ujął w dłonie łom i krzywiąc się od przenikliwego skrzypu opornie wychodzących z drewna gwoździ przystąpił do podważania listwy, którą była wykończona boazeria. Oderwawszy listwy, wsunął łom w szparę pomiędzy boazerią a krawędzią muru i naparł nań.

Płyta nie poddała się; posiniaczył sobie tylko dłonie. Spróbował jeszcze raz z nie lepszym rezultatem i przesunął łom w inne miejsce.

Po kilku minutach bezowocnych wysiłków zauważył, że płyta obluzowała się nieco i że łebki mocujących ją gwoździ wysunęły się na kilka milimetrów ponad jej powierzchnię. Wyrwał pazurem młotka jeden gwóźdź z górnego rogu płyty, wepchnął tam łom i naparł z całej siły. Nagrodą był jęk drewna i szpara szerokości centymetra, jak również kilka dalszych łebków gwoździ gotowych do wyrwania pazurem młotka.

Po dziesięciu minutach poluzował płytę na tyle, aby uchwycić ją obiema rękami. Pociągnął i nie spodziewając się, że oderwie się tak łatwo, poleciał z płytą w dłoniach do tyłu wpadając na pralkę. Oparłszy ciężki, gruby na dwa centymetry płat sklejki o framugę drzwi kuchennych przyjrzał się temu, co się spod niej wyłoniło: zamiast kryształowego, niewinnego powietrza - drzwi, niegdyś białe, jak praktycznie wszystkie inne wewnętrzne drzwi w domu, z mosiężną gałką.

Pod gałką był zamek, a w zamku tkwił klucz. Michael wyciągnął rękę, przekręcił klucz, potem gałkę i drzwi otworzyły się lekko do środka odsłaniając ciemność. Powiew suchego, zastalego powietrza przyniósł zapach kurzu. Czuć w nim było również dziwnie znajomą, słodkawą woń kwiatów przytłoczoną jednak bogatszym i trudniejszym do opisanía aromatem. Schował klucz do kieszeni.

Na ścianie po prawej znajdował się przycisk wyłącznika. Nacisnął go i u stóp stromych schodów zapłonęła zimnym, żółtym blaskiem goła, przezroczysta żarówka.

Michael zszedł z pierwszego skrzydła schodów, skręcił za róg i spojrzał w ledwo rozpraszany półmrok zalegający w dole. Tam gdzie kończyło się drugie skrzydło schodów usytuowane pod kątem prostym do pierwszego, znajdowała się niska nisza o powierzchni zaledwie czterech metrów kwadratowych. Nisza wypełniona była książkami, z których część obłożono w ciemne, nieprzemakalne płótno. Po prawej ręce Michaela, wciśnięta między przeciwległą ścianę a schody, panoszyła się wielka, czarna, rzeźbiona szafa. Michael nie potrafił sobie wyobrazić, w jaki sposób zniesiono do piwnicy tak masywny kawał mebla.

Zszedł z ostatnich czterech stopni obserwując swój ogromny cień kładący się na pudła. Źródło światła usytuowane było tak, że nie widział przed sobą prawie nic, bo własny cień przesłaniał wszystko, do czego się zbliżał. Odwrócił się do szafy i otworzył drzwi. Ledwie widoczne wewnątrz wypełniały małe pudełka wypchane papierami. Wyciągnął szufladę i znowu natrafił na papiery: koperty, paczuszki przewiązane sznurkiem, małe drewniane pudełko na cygara pełne kartek, które okazały się listami. W dolnym rogu tkwił mały stelaż na wino z trzema zakurzonymi butelkami.

Michael zaklął pod nosem i wspiął się po schodach po latarkę. Wróciwszy, przemiótł wiązką światła zawartość szafy i stwierdził, że większą część papierów stanowią listy, a większość listów pisana była w języku niemieckim. Zaciekawiony, zdjął butelkę ze stelaża i z trudem rozszyfrowując zawile liternictwo, odczytał etykietę.

Doppelsonnenuhr
Heinste Geistenbeerenauslese
1921

Na etykiecie widniał zegar słoneczny, a jego wskazówka rzucała dwa cienie. Pod napisem wymalowana była róża i kiść czerwonych winogron. Ostrożnie odłożył butelkę na miejsce.

Na górnej półce, nad szufladami, dostrzegł czarny notatnik z luźnymi kartkami o pomarszczonym grzbiecie. Ciężki, słodki zapach...

(I przypomniał sobie, z czym kojarzy mu się ten aromat - z nim samym, ilekroć dotykał wody w Królestwie, z zapachem nosiciela Pieśni Władzy.)

...przybrał na siłę, kiedy otworzył notatnik. Wydało mu się, że papier wewnątrz skręca się pod wpływem światła latarki połyskując niczym warstewka oleju na wodzie, otaczając znaki spaczonymi zmarszczkami oleistej czerwieni, purpury i zieleni. To był rękopis nutowy.

Podłożywszy palec pod tytuł widniejący na pierwszej stronie był jeszcze w stanie tak kierować snop światła z latarki, by przeczytać:

Das Unendlichkeit Konzert

Opus 45

von Arno Waltiri

Z każdej przewróconej strony unosił się coraz silniejszy, coraz wyraźniej określony aromat i w końcu Michael nie mógł już tego znieść. Wydawało mu się, że nisza zamyka się wokół niego przygniatając zmieszany woniami słodkiego deszczu, gnijących kwiatów, kurzu i nieskończonego opuszczenia. Zamknął notatnik i potrząsnął głową parszkając.

Wątpił, by notatnik i znajdujący się w nim rękopis miały te szczególne własności tuż po przelaniu nutowego zapisu muzyki na papier. Od tamtej pory coś zmieniło sam materiał, na którym zapisany został koncert.

Wzdrygnął się, odłożył rękopis na miejsce i zamknął drzwi szafy.

Michael przykucnął na trawie za domem w jasnym świetle kwietniowego popołudnia z twarzą ściągniętą głębokim zamyśleniem i zerwał kilka ździebeł.

Wszystkie karty zostały przed nim wyłożone; musi tylko zdecydować, od czego zacząć. Którą furtkę wybrać.

Nie mógł sobie pozwolić na luksus nie dokonywania żadnego wyboru.

5

Pani Dopso miała sześćdziesiąt kilka lat, była drobna i subtelna. Jedno z jej błękitnych oczu uciekało skosem ku górze w wyrazie nieustającego zainteresowania, a gdy mówiła, twarz często rozjaśniał jej błogi uśmiech. Robert zaprosił Michaela do środka i przedstawił ich sobie.

- Och, tak się cieszę, że wreszcie mamy okazję się poznać! - wykrzyknęła z entuzjazmem, wymachując jedną ręką, jakby odganiała ćmy.

Zasiedli do obiadu niemal dokładnie o szóstą, kiedy w kątach starego domu, o wiele mniejszego od domu Waltiriego, gęstniały już cienie. Robert wyjaśnił, że ulubionym hobby matki jest oszczędzanie elektryczności. Przykładając z wielkim namaszczeniem zapalną do knota i witając z wyrazem wdzięczności na twarzy każdy buchający płomyk, zapaliła jedną po drugiej wszystkie świece rozstawione w mosiężnych oprawkach na stole.

- Niech elektryczność mają sobie inni, ci, którzy bardziej jej potrzebują - powiedziała.
- Niech zwiększają produktywność naszego kraju, pompują ją w wielkie fabryki.

- Mama ma dosyć mgliste pojęcie o działaniu sieci elektroenergetycznej - wyjaśnił Robert.

- Być może, być może - przyznała bez urazy pani Dopso. - Tak się cieszę z odwiedzin Michaela. Mamy tyle tematów do rozmowy.

- Może by tak po kolei - zasugerował Robert.

- Mój synu. Słyszałeś kiedyś o takim synu? - Podreptała pospiesznie do kuchni z ramionami przy sobie, kręcąc powolne młynki dłońmi i wróciła z czubatą misą ugotowanych na parze jarzyn. W następnej kolejności na stół wjechały ser i potrawka z tuńczyka, a po nich czubaty talerz równo pokrajanego, dziewiczo białego chleba. - To nie ucza - powiedziała pani Dopso. - To po prostu posiłek, ale rozmowa jest ważniejsza od obiadu.

- Matka wie, że jesteś tymczasowym zarządcą posiadłości Waltirich. - Robert zgarnął na swój talerz trochę jarzyn. Podał Michaelowi potrawkę i ten nałożył sobie obfitą porcję. Dzięki wychowaniu, jakie odebrał - i kilku miesiącom umartwiania - nie miał nic przeciwko niewyszukanym daniom.

- Jeśli zaczniemy rozmowę teraz, nie skończymy jeść do północy i wszystko wystygnie - powiedziała pani Dopso. - A więc... ummm... omińmy główny punkt programu i napelnijmy najpierw nasze brzuszki. Potem... tak. - Uśmiechnęła się i dając przykład wsunęła w usta widelec ze skromną ilością potrawki.

Do końca posiłku wymieniali tylko niewymuszone uprzejmości. Michael czuł się trochę zaniepokojony. Zachowanie pani Dopso i jej syna było nienaganne, ale zarazem tajemnicze i to nie dawało mu spokoju; sprawiali takie wrażenie, jakby wiedzieli coś, co mogło się mu bardzo przydać.

Robert posprzątał ze stołu i przyniósł butelkę wina. Kiedy wyciągnął rękę z butelką, żeby pokazać ją Michaelowi, pani Dopso przygryzła dolną wargę.

Etykieta była podobna do tej, którą znalazł w nowo otwartej piwnicy. Zegar słoneczny z podwójnym cieniem wskazówki, róża i czerwone winogrona, zawile liternictwo.

- To nasza ostatnia butelka. Pomyśleliśmy sobie, że otworzymy ją dziś wieczór - powiedział Robert. - Pan Waltiri dał ją w prezencie mojemu ojcu blisko pięćdziesiąt lat temu. Być może słyszałeś nawet o dżentelmenie, który podarował ją panu Waltiriemu.

Michael uniósł brwi.

- Nazywał się David Clarkham. Był przyjacielem pana Waltirego, chociaż, o ile wiem, poróżnili się przed moim przyjściem na świat.

- Tak, kochanie, rok albo dwa przed twoim urodzeniem - przytaknęła pani Dopso.

- Mój ojciec spotkał kilka razy pana Clarkhama i był pod jego wielkim wrażeniem. Pan Clarkham był koneserem wina. Miał skłonności do rozprawiania o niezwykłych rocznikach. Przeważnie win niemieckich. O wielu z nich mój ojciec nawet nie słyszał, a sam był niezłym znawcą.

- Ale to wszystko - wtrąciła złowrogo pani Dopso - było dawno i nieprawda.

- Właśnie że nie. Ojciec wypił ostatnio jedną z tych butelek piętnaście lat temu i ocenił smak wina jako wcale niezły, jeśli nie niezwykły.

- Pamiętasz, co powiedział? - spytała pani Dopso.

- Tak. „Trochę nie z tego świata, z najniezwyklejszym posmakiem.”

Oczekiwali na jakąś reakcję Michaela.

- Znalazłem dziś kilka podobnych butelek - powiedział Michael.

- Wspaniale! A więc to nie ostatnia. Zauważ, że nie ma żadnej wzmianki o tym, jakie to wino. Najwyraźniej czerwone, ale z jakiej odmiany winorośli?

Michael potrząsnął głową.

- Zmierzamy do tego, że frapuje nas ten dom. Mieszkamy po sąsiedzku od bardzo dawna.

- Pewnego poranka, bardzo wcześnie - powiedziała pani Dopso z twarzą rozpromienioną nagle w blasku świec - wstałam z łóżka i spojrzałam nad murkiem z żuźlowych pustaków. Ranek był mglisty i nie miałam pewności, czy wzrok mnie nie myli. Mąż był w podróży służbowej, a więc zawołałam Roberta, biedne, zaspane dziecko, żeby potwierdził albo zaprzeczył.

- Potwierdziłem - powiedział Robert. - Była ósma rano.

- Dom był całkowicie pokryty ptakami - wyrzuciła z siebie jednym tchem pani Dopso.

- Wielkimi ciemnymi ptakami o czerwonych piersiach i koniuszkach skrzydeł. Kosy i drozdy wielkości kruków.

- Mama chce powiedzieć, że wyglądały jak kosy i drozdy, ale były duże jak kruki.

- I wróble. Rozpoznałam też inne ptaki. Pokryły sobą cały dach i przysiadły rzędem wzdłuż ściany. Żaden z nich nie wydał głosu.

- Rozumiesz, jak u Hitchcocka - zażartował z uśmiechem Robert. - Napędziły mi porządnego stracha.

- A kiedy mgła się podniosła, odleciały. Ale to nie wszystko. Widzieliśmy czasami, jak pan Waltiri i Golda, droga Golda, odjeżdżają spod domu samochodem, poprzednikiem

tego, którym ty teraz jeździsz, takim dziwnie wyglądającym, i po ich odjeździe, kiedy w domu nie mogło nikogo być...

- Słyszeliśmy, jak ktoś gra na fortepianie - dokończył z przejściem Robert pochylając się do przodu.

- Grał przepięknie, wspaniałą muzykę.

Robert odkorkował butelkę i rozlał wino do kryształowych kieliszków. Michael skosztował ciemnego, czerwonawobursztynowego płynu. Nigdy nie smakował niczego podobnego. To wykraczało całkowicie poza jego doświadczenie w kwestii win, które, przyznać trzeba, nie było zbyt rozległe. Po przełknięciu w ustach pozostawał łagodny i złożony, utrzymujący się przez długie chwile bukiet, w którym język odkrywał, jeden po drugim, coraz to nowe posmaki. Ta gama smaków urywała się nagle pozostawiając po sobie czystą próżnię. Pociągnął jeszcze łyceczek. Pani Dopso zamknęła oczy i uczyniła to samo.

- Tak samo cudowne, jak je pamiętam - skomentowała. - Za mojego drogiego męża. - Wzniesli toast za człowieka, którego imienia Michael nie znał.

- Tak sobie myślę, że być może jedyną osobą, która nie zdawała sobie sprawy, że coś się dzieje - powiedziała pani Dopso - była Golda. Arno chronił ją zawzięcie. Nic nie mogło się przydarzyć jego kochanej Goldzie, kiedy on był w pobliżu. Ale wiesz... kiedy odszedł, zmarł, sprawy zaczęły ją przytłaczać. Stres. Przez te lata musiała nabrać jakichś podejrzeń. Jakże by inaczej? - Pani Dopso pociągnęła łyk wina i uśmiechnęła się błogo. - Nie zdecydowaliśmy się jej powiedzieć, bo chociaż wiedzieliśmy, że dzieje się coś dziwnego, nie mogliśmy mieć pewności... Nie tylko te ptaki.

- Teraz ty tam mieszkasz - powiedział Robert. - Co o tym sądzisz?

Michael wpatrywał się w zadumie w swój kieliszek obracając w palcach nóżkę.

- Z mojego punktu widzenia jest zupełnie spokojnie - odparł.

- Grasz na fortepianie? - spytała pani Dopso. Pokręcił przecząco głową.

- Bo ktoś gra - oznajmiła dramatycznym to nem. - Słyszeliśmy po twoim odjeździe. I muzyka nie jest już taka urocza jak kiedyś. Powiedziałabym, że jest teraz gniewna. Co ty na to, Robercie?

- Grana ciężką ręką, wprawnie, ale... z pasją - powiedział Robert. - Nie jestem, pewien, czy określił bym ją jako gniewną. Może raczej jako potężną.

Wbrew samemu sobie Michael wzdrygnął się i poczuł, jak jeżą mu się włoski na przedramionach.

- Nie słyszałem żadnej muzyki - powiedział odstawiając kieliszek.

- Przez te wszystkie lata - powiedziała pani Dopso - przyzwyczailiśmy się do niej. Zastanawialiśmy się, czy pan Waltiri, Arno, albo może nawet Golda nie mają jakiegoś krewnego, który z nimi mieszka.

- Starego, garbatego kuzyna - zażartował Robert z niewyraźnym uśmiechem.

- Nie - zapewnił ich Michael uśmiechając się szeroko. - Jestem jedynym lokatorem. - Tego przynajmniej mógł być pewien.

- Przynieś magnetofon, Robercie - zarządziła pani Dopso. Robert wyszedł z jadalni i wrócił ze starym szpulowym ampexem. Taśma była już założona i gotowa do odtwarzania. Postawił magnetofon na wolnym krześle niedaleko gniazdka sieciowego i wsunął w nie wtyczkę przewodu zasilającego. Potem nacisnął klawisz odtwarzania i cofnął się.

Michael usłyszał fortepian. Dźwięk był zaszumiony i odległy, ale rzeczywiście niósł w sobie potęgę, pasję. Melodii jako takiej w tej muzyce nie było.

- Kiedy to zostało nagrane? - zapytał Michael.

- Wczoraj - odparł Robert.

- Jesteśmy bardzo zaintrygowani - powiedziała pani Dopso. - Zgodzisz się chyba z nami, że jest w tym coś tajemniczego?

Michael skinął głową, a obiad zaciążył mu nagle w żołądku.

- Niestety, nie mogę wam powiedzieć, co się dzieje. Po prostu nie wiem.

- Ten dom jest nawiedzany przez ducha kochającego muzykę - powiedziała pani Dopso z natchnionym wyrazem twarzy. - Jak to pasuje do domu Arno. Nie wydaje mi się młody człowieku, aby w tym domu coś ci zagrażało. - Wzięła głęboki oddech. - Ale powiadomisz nas, gdybyś odkrył coś nowego?

Wkrótce potem udała się na spoczynek. Robert chichocząc wyjaśnił, że jego matka wstaje z kurami i przeprosił za wtrącanie się w jego sprawy.

- Nie ma za co - uspokoił go Michael. - Czy skarżył się ktoś jeszcze?

- My się nie skarżymy; nie zrozum nas źle, proszę. No i nikt więcej tego nie komentował.

- Nagrasz mi to, jeśli znowu coś usłyszysz?

- Oczywiście - obiecał Robert. Podali sobie ręce w progu, ale mimo to Robert odprowadził Michaela do ulicy. Nad rozkołysanymi czarnymi zarysami sąsiednich drzew zapadał ciemnoniebieski zmierzch. - Dziękuję, że porozmawiałeś z moją matką.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Po powrocie do domu Waltiriego Michael stanął przy milczącym fortepianie i postukał w intensywnie czarną powierzchnię wieka.

- Arno? - spytał cicho i dźwięk tego imienia znowu zjeżył mu włoski na karku i przedramionach.

Nie było odpowiedzi.

Nie spodziewał się jej zresztą. Jeszcze nie teraz.

*

Snop późnopołudniowego słonecznego blasku rozgrzewał dębowy parkiet pod jego stopami. Siedział w bibliotece muzycznej Waltiriego ze starym, czarnym aparatem telefonicznym na kolanach, otoczony taśmami, płytami i książkami, i wykręcał domowy numer Kristine Pendeers. Po trzecim sygnale słuchawkę podniósł jakiś mężczyzna o grubym, niewyraźnym głosie. Michael spytał, czy może rozmawiać z Kristine.

- Kto mówi? - chciał wiedzieć mężczyzna.

- Mam na imię Michael. Będzie wiedziała, o kogo chodzi.

- Nie ma jej teraz w domu... chwileczkę. Właśnie wchodzi. Niech pan nie odkłada słuchawki. - Michael słyszał w tle rozmowę mężczyzny z Kristine. Chyba się sprzeczali. Dłoń, którą mężczyzna zasłaniał mikrofon, wywoływała cmokające dźwięki. W końcu w słuchawce rozległ się zdyszany głos Kristine.

- Znalazłem to, czego szukasz - zakomunikował Michael.

- Biegłam po schodach... do mieszkania. Zaczekaj chwileczkę. Nie mogę złapać tchu. Słyszałam dzwonek telefonu. Co znalazłeś... opus 45?

- Otworzyłem właśnie zamaskowane drzwi do piwnicy i znalazłem je pod domem między innymi papierami. - Uświadomił sobie, że obwieścił to bez szczególnego entuzjazmu. Po co w ogóle zadzwonił? Być może po to, by znów z nią porozmawiać, umówić się. Pod pretekstem swego odkrycia.

- To wspaniale, naprawdę. Kiedy będę mogła obejrzeć?

Przesunął ostrożnie palcami po spłowiałym, połyskującym rękopisie, który leżał na biurku Waltiriego.

- Nie jest w najlepszym stanie. Będziemy musieli zrobić kopię... może da się na ksero, może nie.

- A jaki jest ten stan?

- Musisz sama zobaczyć. - *Niebezpiecznie, niebezpiecznie!* Sam widok rękopisu wystarczał, by spacyć poczucie rzeczywistości patrzącego.

- Przyniesiesz mi go, czy ja mam do ciebie wpaść? - Chyba zorientowała się, że coś kręci, bo w jej głosie pojawiła się niepewność.

- Lepiej ty wpadnij - zdecydował Michael. - Ale już nie dzisiaj. Będę zajęty. Jutro. Może rano?

- Jeśli rano, to bardzo wcześnie. Koło wpół do ósmej.

- Świetnie. Będę czekał.

- Jakoś dziwnie mówisz, Michael.

- Po prostu mam przez ten czas mnóstwo do załatwienia. Porozmawiamy jutro.

- Okay. - Nastąpiła chwila niezręcznego milczenia, a potem z obu stron padło równocześnie „no to na razie”. Michael odłożył słuchawkę i odstawił aparat na półkę między książki. Potem podniósł rękopis do nosa i powąchał go. Słodka woń była tym razem słabsza, kojarzyła się z suszonym owocem.

„Każdy świat jest po prostu pieśnią dodawań i odbierań... Różnica między Królestwem a twoim domem rodzinnym to po prostu różnica między jedną pieśnią a drugą...” Tak powiedziała mu Eleuth w Królestwie.

Czy istniała zatem możliwość stworzenia pieśni - utworu muzycznego - która stanie w aktywnej opozycji do pieśni danego świata i subtelnie ten świat zmieni?

Gdyby tak potrafił grać na fortepianie i znał się lepiej na czytaniu nut. Niewykluczone, że słyszał już był fragment zapisanej w rękopisie muzyki - w Królestwie, kiedy waliły się dom Clarkhama i replika kopuły rozkoszy Kubłaj Chana - jednak w chwili obecnej nie przypominał sobie jej brzmienia. Linia melodyczna była trudno uchwytna, zaś aranżacja instrumentalna wyleciała mu zupełnie z pamięci.

Wsunął rękopis do szarej koperty, a tę włożył do sejfu Waltiriego. Zapamiętawszy kombinację zamka, zapisaną ręką Goldy na przyklepionym do drzwiczek skrawku gęziej skórki, odkleił taśmę, spalił ją w metalowej popielniczce stojącej na biurku i zatrzasnął drzwiczki. Dlaczego takie ważne wydawało mu się zachowanie tych środków ostrożności - nie był pewien.

(A może to wcale nie Arno - pod jakąkolwiek postacią - grał na fortepianie, kiedy dom stał pusty...)

Miał tego wieczoru wiele do zrobienia. Nie wróci do domu przed świtem.

Dokładnie o zmierzchu, kiedy zapalały się lampy uliczne, a lekki wietrzyk szumiał wśród liści klonów, Michael stanął przed domem Davida Clarkhama. Był tu po raz pierwszy od powrotu z Królestwa.

Opuszczony dom znajdował się w jeszcze gorszym stanie niż wówczas, gdy widział go po raz ostatni. Trawnik wysiał się i wyraźnie kontrastował z zielonymi, zadbanymi murawami wokół sąsiednich domów. Zapuszczone żywopłoty wdzierały się na podjazd z ułożonych równolegle betonowych płyt, sięgając do popękanych, pokrytych białymi stiukami ścian. Wbita we frontowy trawnik tabliczka z napisem NA SPRZEDAŻ pochylała się wciąż pod dziwnym kątem; albo pośrednicy w handlu nieruchomościami mający w ofercie tę posiadłość nie wpychali jej klientom, albo nie przypadała ona potencjalnym nabywcom do gustu, albo też tabliczka była tylko atrapą. Nie wypisano na niej numeru telefonu, a Michael nigdy nie słyszał o takiej firmie: Agencja Hamiltona.

Zamknął oczy i odszukał zagnieżdżony między myślami region, który sterował evisą i rzucaniem cienia. Znalazł go bez problemu, sztuka ta była na Ziemi równie prosta, jak wcześniej w Królestwie.

Przy krawężniku zostawił swojego nieruchomego i z wolna zanikającego sobowtóra. Gdyby ktoś go w tej chwili obserwował, szybko straciłby zainteresowanie i poszedł w swoją stronę; gdyby zaś nie odszedł, wizerunek wtopiłby się płynnie w cienie drzew i ciekawski też nie byłby mądrzejszy.

Michael z łomem w dłoni zbliżył się do frontowego ganku. Najlepiej zacząć od samego początku.

Z drzwiami uporał się w cztery minuty. Dom promieniował czymś nieprzyjemnym; był więcej niż zaniedbany, był odpychający, jak gdyby częśćka świata, którą zajmował, została źle wykorzystana i teraz boczyła się obrażona. Michaelowi nie spodobało się wcale to wrażenie, a jego uprzedzenie związane było nie tylko z ostatnim pobytom w domu Clarkhama.

Zapalił latarkę i przymknął za sobą drzwi. Stał w zakurzonej i cichym korytarzu, który prowadził do living roomu; sam living room był pusty i wionęło z niego jakąś melancholią. Na ścianę naprzeciwko okna padał kwadratowy odbłask latarni sterczącej po drugiej stronie ulicy.

Pomimo nieprzyjemnych wrażeń w miejscu tym nie było niczego magicznego ani nadprzyrodzonego. Michael nie wyczuwał żadnej ukrytej siły ani jej przyczajonych pozostałości. Doszedł do końca korytarza zaglądając po drodze do wszystkich pokoi na parterze i oświetlając każdy latarką, ale jego oczom ukazywały się tylko zakurzone podłogi i pustka. Wrócił na środek korytarza i skierował snop światła na skrzydło schodów prowadzących na pierwsze piętro. Za każdym postawieniem stopy na przykrytych chodnikiem stopniach w powietrze wzbijał się obłoczek kurzu.

Korytarz odbiegający od szczytu schodów prowadził do trzech pokoi na piętrze i kończył się na drzwiach do łazienki. Dom Clarkhama w kopule rozkoszy urządzone były w identycznym stylu; nic nowego. Michael zajrzał do pierwszej sypialni. Pusto. W drugiej sypialni, przestronnej i nie umeblowanej, okna udrapowane były wypłowiałymi na słońcu płachtami starego materiału, który przerzucono przez pozaginane karnisze. Wzdłuż ściany przeciwległej do okna stały kredensy i komody z szufladami, co przywiodło Michaelowi na myśl kostnicę. „Nic tu nie ma”, szepnął pod nosem. Nie bał się, nie był nawet specjalnie ostrożny, chociaż zdawał sobie sprawę, że nadprzyrodzona intuicja, którą wpoili mu Żurawice, przywiodła go tutaj nie po to, by cieszył oko widokiem staroci, a w jakimś konkretnym celu.

Podłogę ostatniej sypialni pokrywała cieniutka warstewka kurzu, zasnuwając mgielką ciemne drewno. Na razie postąpił tylko dwa kroki w głąb pokoju. Przesunął snopem światła z latarki tam i z powrotem po zakurzonym parkiecie.

Na środku podłogi jednolitą szarość mąciły ślady stóp. Prowadziły na korytarz i w miejscu, gdzie teraz stał, były zdeptane jego stopami. Ukląkł i przyjrzał im się uważnie. Kurz wokół śladów był nietknięty. Pozostawiła je tylko jedna para stóp - obutych w mokasyny lub sandały, gdyż nie odcinał się obcas - a ich właściciel (mężczyzna, bo ślad był długi i szeroki) maszerował pewnym krokiem, rozpoczynając przechadzkę ze środka pokoju.

Kłęcząc Michael dotknął najbliższego kompletnego śladu. Było coś dziwnego w ilości naruszonego kurzu. Stąpając wzdłuż śladów zauważył, że w pobliżu środka pokoju, skąd brały swój początek, są całkiem wyraźne. W miarę jak się oddalały, stawały się coraz mniej czytelne, by pod koniec naruszać warstewkę kurzu tylko nieznacznie, jak gdyby kroczącej osobie ubywało wagi.

Skierował snop światła nad miejsce, gdzie rozpoczynały się ślady i nie zobaczył niczego niezwykłego. Nie wyczuł niczego niezwykłego. Poza tymi śladami dom wydawał się nietknięty, najzwyczajniejszy pod słońcem. Nic nie mąciło tu wrażenia ziemskiej rzeczywistości.

A jednak Michael nie miał cienia wątpliwości, że dom Clarkhama ponownie stał się bramą.

Pensjonat Tippettt wyglądał pompatycznie i niegościnnie, i zupełnie nie pasował do współczesnej architektury Stripu. Smutne, okopcone okna z powybijanymi szybami i zsyp na gruz przymocowany do frontowej ściany budynku przydawały mu jakiejś przygnębiającej aury, sprawiały, że przypominał ofiarę partackiej operacji chirurgicznej, podejmowanych bez przekonania i źle prowadzonych prób przywrócenia go do życia.

Przez ogrodzenie z drucianej siatki Michael zauważył, że główne wejście zostało zabite na głucho wielkimi płatami pomalowanej na niebiesko dykty. A jednak poprzedni właściciel - jeśli tamten obdartus rzeczywiście nim był - napomknął, że paru ludziom udało się jakoś dostać do wnętrza budynku. Musiały istnieć inne wejścia.

Wsunął krótki łom w nogawkę spodni, zaczepiając go wygięciem o pasek. Mieszcząca się w dłoni latarka tkwiła w kieszeni kurtki.

Poprzez drzewa i opierające się o ogrodzenie krzaki widać było szerokie patio i basen po zachodniej stronie budynku. Z patio prowadziły schodki na położony wyżej, od południowej strony taras, z którego roztaczała się panorama miasta. Wszystko to oświetlały skąpo latarnie uliczne ciągnące się szpalerem wzdłuż Bulwaru Zachodzącego Słońca i wszechobecna poświata odbijająca się od dryfujących po niebie postrzępionych cumulusów.

Michael spojrzął przez prawe ramię na oświetlone okna w hotelu Hyatt, nieco dalej po drugiej stronie ulicy. Dwa przypadki włamania jednej nocy. Czy aby, pomyślał zabobonnie, nie skończy się to dwukrotnie gorzej niż tamtej nocy, kiedy po raz pierwszy przeszedł przez dom Clarkhama...

Nie mógł się włamać od frontu, bo istniało ryzyko, że zostanie zauważony. Ruszył więc Bulwarem Zachodzącego Słońca na wschód, skręcił w boczną uliczkę prowadzącą w dół zbocza, przeszedłszy nią kawałek skręcił jeszcze raz i znalazł się na tyłach budynku.

Do ślepej betonowej ściany po wschodniej stronie pensjonatu przylegał wyasfaltowany, niezle zachowany plac parkingowy. Michael stwierdził, że tędy raczej nie wejdzie.

Od strony zachodniej znajdował się wjazd do podziemnego garażu z miejscem na czterdzieści do pięćdziesięciu pojazdów. Blokowała go zamknięta na kłódkę prowizoryczna brama z drucianej siatki. Zastąpiła poprzednią bramę z metalowych prętów, przesuwaną na gumowych kółkach po szynie. W środku jedno miejsce parkingowe zajmował wciąż stary, przerdzewiały Buick.

Tylne drzwi i wejścia służbowe zabite były płatami niebieskiej dykty. Zadarł głowę i spojrzał na szczyt budynku. Znowu okna z powybijanymi szybami.

Stojąc w ciemności z rękami wepchniętymi głęboko w kieszenie kurtki westchnął i zamknął oczy.

Jak by tu wejść... po cichu, nie zwracając na siebie uwagi...

Żadnych wewnętrznych odpowiedzi. Psychiczna cisza Ziemi przeważała: żadnego Radia Śmierci, żadnych nadprzyrodzonych wskazówek, zwyczajny Michael Perrin zdany sam na siebie.

Obmacał płyty dykty zakrywające tylne drzwi. Podważając łomem te gwoździe narobi potwornego hałasu... Czy zwróci czyjąś uwagę?

- Wiedziałem, że wrócisz.

Zamarł i błyskawicznie wysondował aurę człowieka, który to powiedział. Zgniłe warzywa... supermarket przeterminowanych produktów, dawne wspomnienia, stare marzenia: były właściciel. W tych ciemnościach Michael ledwie go widział: mężczyzna stał wewnątrz ogrodzonego terenu, na południowym końcu alejki prowadzącej do basenu i majaczył szarym cieniem na tle rosnących z tyłu krzewów.

- Nie wyglądałeś mi na dziennikarza. Musiałeś je znać... te dwie kobiety. Tylko co taki smarkacz jak ty mógł mieć z nimi wspólnego? Jedna była chyba grubaską z cyrku, a druga... Licho ją wie.

- Bardzo mnie ciekawi ten budynek - wybąkał Michael.

- Podoba ci się, co? Ładny jest. Jak ładna kobieta. Świata z nią nie widzisz, a tu okazuje się, że to zwyczajna dziwka. No nie, ona nie jest dziwką, ale też nie tym, czego się spodziewasz. Dobrze ją zbudowali. Wciąż mieści się w standardach bezpieczeństwa na wypadek trzęsienia ziemi. Arcydzieło sztuki budowlanej. Chcesz wejść do środka?

- Tak.

- Tylko się rozejrzeć?

- Owszem.

- Wyglądasz mi na porządnego gościa. Nie z tych, co to podkładają ogień albo i gorzej. Dobra, chodź. Mam... - cień zaczął szperać w kieszeni - ...mam klucz. Stary klucz. Od wejścia dostawczego. Wróć się na parking - polecił wskazując ręką na wschód - i przeskocz przez tamten niski murek, a potem podczołgaj się tu do mnie wzdłuż ogrodzenia.

- Nie boisz się tam wchodzić? - spytał Michael.

- Nie. A ty nie boisz się wchodzić tam ze mną? Może i nie jestem nieszkodliwy, ale za to czysty. Pojechałem autobusem do siostry do Venice, wziąłem prysznic, wyszorowałem brud, i to nie żadnym, broń Boże, woolite'em. - Zachichotał bez cienia wesołości.

Michael zastosował się do instrukcji i po chwili stanął na ścieżce twarzą w twarz z mężczyzną. Nie czaiło się w nim żadne zagrożenie, jedynie jakaś osobliwa nadzieja, ale z czym związana - tego Michael nie był w stanie określić. Stare marzenia. Pogrzebane głęboko zbiorowisko zgniłych produktów. Upadłe idee.

- Dziennikarstwo zawsze mnie interesowało, pisanie i tak dalej. Moje nazwisko Hopkins. Ronald Hopkins. A twoje?

- Michael.

- Co, bez nazwiska?

Michael przecząco pokręcił głową; bez nazwiska.

Hopkins pokazał klucz, widoczny w mdłej poświacie jako matowy błysk, i skinął na Michaela, by poszedł za nim za południowy narożnik budynku.

Wejścia dostawczego strzegły szerokie, masywne, podwójne drzwi wstawione w jednej płaszczyźnie z murem. Przechodząc tędy wcześniej, Michael nawet ich nie zauważył. Hopkins wsunął do zamka klucz i pchnął drzwi odgarniając nimi z posadzki błoto.

- Nie ma prądu - zakomunikował. Michael wyjął latarkę i zapalił ją.

- Co się spodziewasz znaleźć? - rozległ się w ciemności cichy, chrypiący głos Hopkinsa.

- Sam nie wiem - odparł Michael. Poświecił latarką po ścianie z pustaków, wzdłuż biegnących pod sufitem rur wodociągowych i kanalizacyjnych, w górę skrzydła schodów na końcu korytarza. Przez otwarte drzwi po prawej zobaczył wielki bojler zawieszony wysoko nad zaśmieconą posadzką.

- Rozglądasz się za duchami? Badacz zjawisk paranormalnych?

Michael pokręcił głową. Jakkolwiek wdzięczny był Hopkinsowi za przysługę, wolał działać w tych ciemnościach sam i nikogo bez potrzeby nie narażać. (Czyżby wietrzył tu jakieś niebezpieczeństwo? Znowu jakieś czerwone światełko?)

- Mam być cicho, tak? - spytał Hopkins. Michael skierował na niego światło latarki.

- Zgadza się - odparł. - Dzięki, że mnie wpuściłeś.

- Nie ma sprawy. Wchodzisz na wyższe piętra?

- Chyba tak - odrzekł Michael.

- Ja tylko do holu. Ani schodka wyżej.

- Dobrze. - Wstąpili na schody.

- Gliniarze znaleźli te kobiety na dziesiątym piętrze - odezwał się z tyłu Hopkins. - Ale ja powtarzam, że wyżej jak do holu nie idę.

Michael nacisnął klamkę drzwi u szczytu schodów. Nie były zaryglowane. Wkroczyli do pogrążonego w ciemnościach holu. Hopkins cicho przymknął za sobą drzwi.

Powietrze było ciężkie od woni zgnilizny. Pleśń, kurz, butwiejący chodnik, stojące kałuże wody. Michael przekroczył stertę gruzu i połamanych desek i omiół hall światłem latarki. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnęła się długa lada obita wyblakłą czerwoną wykładziną z dermy - poprutą, poplamioną i całą w strzępach. Swego czasu przykrywał ją pewnie marmurowy blat, którego teraz nie było - musiał się komuś spodobać. Obdarte z tapety ściany

wokół windy i w pobliżu wejścia świeciły gołym tynkiem; gdzieś czerniały w nich dziury po kontaktach elektrycznych.

Wspaniałe, szerokie schody tuż za windą prowadziły na pierwsze piętro. Purpurowy niegdyś chodnik wyścielający stopnie miał teraz kolor brązowawoczarny i był cały w zaciekach i dziurach, spod których wyglądała nieśmiało betonowa posadzka i zbutwiała wykładzina.

Hopkins stanął za Michaeliem ogarniając wzrokiem ten obraz nędzy i rozpacz.

- Sama tego chciała - wymamrotał.

Drzwi od windy były na wpół otwarte i ukazywały pusty, pogrążony w ciemności szyb. Pogięte i porysowane płyty drzwi z wypolerowanego aluminium odbijały światło latarki Michaela z groteskowością godną gabinetu krzywych luster.

Nie wyczuwał nic prócz melancholii i bezmyślnego rozkładu. W takiej destrukcji nie było niczego nadprzyrodzonego. Była typowo ludzka; to co nie jest chronione ani zdolne do samodzielnego istnienia, ulega wkrótce erozji w prądach desperacji i nieodpowiedzialności; oportunistów i niszczącej ciekawości. Ludzie przepływali tędy jak woda kanałem - żłobiąc i podmywając. Mimo to czuł, że musi się mieć na baczności.

Sidhowie, pomyślał Michael, nigdy nie przyłożyliby ręki do bezmyślnego niszczycielstwa. Zdarzali się co prawda źli Sidhowie, ale nigdy nie byli aż tak prostacy, tak nieelegancy, by posunąć się do wandalizmu.

- Idę teraz na górę - oznajmił Hopkinsowi. - Będą mi potrzebne jakieś klucze?

- Nie - odparł stanowczo Hopkins.

Michael wstąpił na szerokie schody, przypominając sobie Lamię, wielki wór ciała, gdy stała u szczytu schodów w pierwszym domu Clarkhama w Królestwie...

Co lepsze - ludzkość ze swoją bezpodstawną, destrukcyjną bezmyślnością czy wyrafinowane okrucieństwo Sidhów, którzy zdolni byli tancerkę i miłośniczkę baletu przemienić w spalonego potwora?

- Uważaj na siebie - rzucił za nim Hopkins.

Z podestu schodów na pierwszym piętrze korytarze rozchodziły się w trzech kierunkach. Tylko tyle mógł stwierdzić w gęstych ciemnościach, przyświecając sobie latarką; nie widział końców długich korytarzy biegnących na wschód i zachód, za to korytarz południowy był krótki i po każdej z jego stron znajdowały się tylko jedne drzwi.

Poplamione zaciekami wody ściany upstrzone były napisami, bohomazami graffiti, wydrapanymi imionami oraz innymi bazgrołami bez ładu i składu. Nieco węższe schody,

zaczynające się z drugiej strony podestu, naprzeciwko drzwi windy, prowadziły na następne piętro. Michael wstąpił na nie; penetrowanie każdego pokoju z osobna miało się z celem.

Na czwartym piętrze przeszedł się od końca do końca każdym korytarzem i po wschodniej stronie natrafił na poobijane, ledwo trzymające się na zawiasach drzwi do jednego z apartamentów. Otworzył je kopniakiem i aż skrzywił się na widok panującego w środku pobjowiska. W kątach salonu wały się jakieś bezpostaciowe, zielone śmieci. Dywany były pocięte w strzępy, jakby jeżdżono po nich na ostrych jak brzytwa łyżwach. Spojrzał pod nogi i zobaczył kupkę zaschniętych odchodów. Na ścianie obok widniały żółtawe, ściekające ku podłodze smugi.

Oto, pomyślał Michael, dzieło potomków tych, którzy przez sześćdziesiąt milionów lat starali się stać na powrót ludźmi - albo czymś w tym rodzaju. Chlubna to historia, a na jej końcu pewna istota ludzka oddała tu na podłogę stolec, a na ścianę mocz.

W nagłym przypiływie gniewu Michaelowi przemknęło przez myśl, do jakiego stopnia winę za ludzką deprawację można było zrzucić na nierozwagę działań obdarzonych boskimi zdolnościami Sidhów - na Tonna, który biorąc sobie za wzór Baala i Jahwe stał się Adonną w Królestwie, i na ile jeszcze innych bóstw?

Stał wobec zagadki. Wiedział instynktownie, że za czyjeś ułomności nie ma co obwiniać bez reszty innych - dajmy na to, obwiniać Sidhów za ułomności jego własnego rodzaju. Ale na pewno można ich było obarczyć pewną odpowiedzialnością. Raczej nie wątpił, że Sidhowie naśladowali bogów, aby powstrzymać ekspansję ludzi, zapewnić swemu rodzajowi trochę więcej przestrzeni życiowej na Ziemi, którą opuścili przed wieloma setkami tysięcy.

Pokręcił głową i cofnął się od odchodów. Takie głębokie przemyślenia nad tak nędznym rekwizytem.

A ty, Michaelu? Zamykając się w skorupie zimnego, intelektualnego splendoru, mając świadomość, iż z uwagi na swą wiedzę stoisz wyżej, wiedząc, że nigdy byś nie był tak nieelegancki, by zesrać się na podłogę opuszczonego budynku... A więc dobrze, wyrastasz ponad swój rodzaj, jesteś bardziej elegancki; czyżby to oznaczało, że masz w sobie coś z Sidha?

Nagle gówno na podłodze i szczyny na ścianie wydały mu się niezmiernie zabawne. W pewnym sensie ten rodzaj fatalistycznego, zwierzęcego ignorowania przeszłości miał w sobie więcej klasy niż sztywna, metodyczna postawa Sidhów. Myśli Michaela wykonały w tył zwrot z przyprawiającą o zawrót głowy gwałtownością.

Żurawice, ujrzawszy na podłodze gówna, wysnułyby wnioski całkowicie odmienne od jego własnych. Zwróciłyby uwagę na ludzkie rozpasanie - nie tylko brak godności, ale i wszelkich zahamowań.

Opuścił apartament i wrócił na schody.

Na siódmym piętrze zaczął sobie mgliście uświadamiać, co go tu przyciągnęło. Wyczuwał coś w powietrzu; jakby rozrzedzenie albo nawet otwór. Wrażenie to było tak ulotne, że prawie nieuchwytnie, ale nachodziło go raz po raz.

W miarę jak mijał kolejne piętra pensjonatu Tippett, potęgowało się. W tej chwili nie odnotowywał niczego niezwykłego... ale kiedyś coś tu było i będzie znowu. Jakieś zakłócenie w psychicznym eterze i w ospałej, ale jednak wciąż się zmieniającej, nieskończenie złożonej rzeczywistości Ziemi. Coś muskało tę sferę świadomości, do której niegdyś docierało tylko Radio Śmierci - głos Tonna... i głos Arno Waltiriego. A jednak sprawcą tych muśnięć nie był żaden z nich.

Był to przebłysk innego miejsca, które leżało w pobliżu, odgradzone tu, w sąsiedztwie, ścianą znacznie cieńszą, odkąd odbyło się prawykonanie Koncertu Nieskończoności.

Michaela ogarnęło nagle radosne uniesienie. Ach, jakże chciało się doświadczyć przygody... Świtała tu nadzieja na przygodę nad przygodami, przygodę jeszcze bogatszą w tajemnice, niebezpieczeństwa i cuda niż ta, której doświadczył w Królestwie. Zaledwie cień stąd, za niewidzialną błoną... Wystarczy przebić ją ręką i zaczerpnąć garść tajemnic, cudów... zgrozy.

Na dziewiątym piętrze wyczuł jeszcze silniejszą obecność, całkiem różną od wrażenia bliskości innych światów. Zmarszczył czoło, próbując przeanalizować to doznanie i wyłowiwszy je z podświadomości zrozumiał, co oznacza.

Uwięziona muzyka. Nie *Koncert Nieskończoności*, lecz coś jeszcze potężniejszego.

Jak to możliwe?

Nagle owo doznanie zawróciło mu w głowie. Na chwilę zapomniał, kim jest i po co tu się znalazł. Rozejrzał się po podeście i podszedł do okna wychodzącego na Strip. Podmuch wiatru zza stłuczonej szyby połaskotał go po twarzy. Gdzieś w budynku prąd powietrza załkał za utraconą wolnością. Niepamięć podnosiła na duchu. Nagle mógł być kimkolwiek: mordercą, włóczęgą, miłosiernym samarytaninem, świętym.

Michael Perrin wrócił do siebie łagodnym, nieerozyjnym przypiływem. A wraz z powrotem pamięci raczej wyczuł przez skórę, niż usłyszał, że muzyka tego miejsca to nie *Koncert Nieskończoności*. Włosy zjeżyły mu się na karku. Muzyka była smutna, złowieszcza,

wibrująca, a przy tym wytracała energię. Było to brzmienie świata starzejącego się i świata młodego, pełnego życia, którego fundamenty stają się coraz starsze, coraz bardziej chwiejne i niebezpieczne. Zestawić je ze sobą...

Wszedł po schodach na dziesiąte piętro, ostatnie przed nadbudówką. Nie było tu apartamentów, tylko świetlice, salony gier; wielkie, puste sale zaśmiecone tylko trochę, tylko nieznacznie dotknięte rozkładem.

W jednej z tych sal, domyślił się Michael, znaleziono ciała Lamii i Tristesse. Nie potrafił sprecyzować w której. Jeśli nawet policja obrysowała zwłoki, to ślady kredy już się zatarły, a przynajmniej nie było ich widać w słabym świetle latarki.

Potrząsnął latarką zaniepokojony, że siadają baterie.

Błona pomiędzy nim a innością stawała się coraz cieńsza. Mógł dać głowę, że niedawno byli tu Sidhowie. Co robili i jaki cel im przyświecał - nie miał pojęcia.

Ktoś czy też coś powróciło przez dom Clarkhama. Był to powrót incydentalny i mało prawdopodobne, by nastąpiły dalsze, gdyż dom nie emanował już aktywnością. Natomiast na dziesiątym piętrze pensjonatu Tippett aktywność ta była wyraźnie wyczuwalna.

Sidhowie migrowali na Ziemię. Tyle widział w swoich „snach”.

Wkrótce otworzy się tutaj brama i przez ten budynek, być może nawet przez to piętro, przejdą rzesze Sidhów.

Niewykluczone, iż z początku Lamia i Tristesse próbowały zablokować przejście przez hotel. Sami Sidhowie obarczyli je przecież funkcjami strażniczki i odźwiernej, ale odkąd nieszczęsne siostry - niegdyś kochanki Clarkahama - przestały być potrzebne, ba, zaczęły wręcz przeszkadzać, mogły zostać wyeliminowane i usunięte z drogi przez daleko potężniejsze siły.

Pokruszony gumowy próg nie pozwalał się domknąć drzwiom na klatkę schodową prowadzącą do nadbudówki. Michael wszedł z dziesiątego piętra na jedenaste, pozostawiając za sobą uwięzioną muzykę.

Nadbudówka nie miała właściwie ścian, a same okna sięgające od podłogi do sufitu, przysłaniane niegdyś ciężkimi kotarami. Obecnie kotar nie było - pozostały tylko powykrzywiane i markotne karnisze, zaś szyby w oknach były powybijane. Pod stopami chrzęściły odłamki szkła. Po amfiladzie pustych pomieszczeń hulał wiatr, świszcząc - lecz nie łkając - gdyż ograniczał go tutaj jedynie szkielet budynku.

Michael stanął na dachu pod gołym niebem. Wiatr targał mu włosy, a on patrzył na wzgórze za Stripem. Większość okien w Hyacie była już ciemna. Przeszedł na drugą stronę dachu i spojrzął ponad jaskrawymi światłami śródmieścia Hollywood i rozciągającego się za

nim Los Angeles. Lekko jaśniejszy granat nocnego nieba na wschodzie zwiastował nadejście świtu. Powietrze miało zapach rozkoszny i świeży w porównaniu z zaduchem i smrodem panującymi w pomieszczeniach niżej. Odetchnął głęboko, rozpościerając ramiona i otwierając szeroko usta. Z napięcia zatrzeszczały mu kości karku.

- Co za noc - mruknął matowym głosem tłumionym przez wiatr.

Zdecydowanie na coś się zanosilo. Nie wiedział, czy jest na to gotów, ale czekał niemal niecierpliwie.

- Przybądź i weź mnie - powiedział i nagle przeszedł go zimny dreszcz. *Ale trzymaj się z dala od tych, których kocham.*

Nawet o tej porze światła miasta stwarzały wspaniały i podniosły nastrój. Długie szpalery pomarańczowych latarni ciągnęły się aż po linię horyzontu. Drapacze chmur, strzelające hen, daleko w przejrzyste nocne powietrze, świeciły przypadkową mozaiką pięter, na których kończyły właśnie pracę ekipy nocnych sprzątaczy.

Ludzie.

Jego gatunek.

Srający na podłogi.

Snujący marzenia, starzejący się lub śniący w kołyskach sny gorączkowe o nieodgadnionych niemowlęcych sprawach; pracujący do białego rana lub przewracający się niespokojnie z boku na bok, wynurzający się ze snu w świadomość wstającego dnia; może gdzieś ktoś zabija człowieka, zwierzę, owada, ktoś zabija sam siebie, ktoś się rodzi, ktoś uświadamia sobie nieprzystosowanie lub przygotowuje śniadanie dla rannych ptaszków; odsypiający popijawę lub uprawiający poranną miłość; wiercący się na łóżku w oczekiwaniu na sen, który nie nadchodzi. Oplakujący najbliższych. Nie mogący się doczekać świtu.

Zwyczajnie śpiący.

Zwyczajnie śpiący.

Zwyczajnie śpiący,

Nieświadomi.

Przeżywający całe życie pośród psychicznej ciszy, pośród ospałej i nieskończonej złożonej rzeczywistości. Nie wiedzący nic o odległej przeszłości z wyjątkiem może mglistych, zakodowanych w genach wspomnień, powracających od czasu do czasu w formie bajek i fantazji.

Żywiący nadzieję na magię i odmianę, rozpaczliwą nadzieję na ucieczkę; lub po prostu wegetujący, niezdolni do sięgnięcia dalej wyobraźnią. W zamkniętym kręgu, z którego jedynym wyjściem jest czarna dziura śmierci.

- Jezu - wyszeptał stojąc na dachu, nad miastem i wzgórzami. Jego umysł rwał ku przepaści.

Gdyby zebrać wszystkie, choćby najpośledniejsze emocje, wszystkie wielkie uniesienia, wszystko co zrodzone z Ziemi i przez Ziemię wykarmione, i tak byłoby to nic w porównaniu z tym, czego doświadczał Michael - z niekwestionowaną, niepodważalną świadomością istnienia innej rzeczywistości, innej historii i prawdy, przed którymi błędną najśmielsze wyobrażenia...

Znów zjeżyły mu się włoski na karku. Odprysk muzyki, którą czuł przez skórę piętro niżej, przeniknął przez mury budynku i ponownie go odnalazł. Wysokie, przeszywające, nie słabnące brzmienie rogów i skrzypiec, nuta zguby zmieszanej z nadzieją (jak to możliwe?), przenosząca emocję nie zaznaną od wieków

Michael zaczął drżeć emocją, która była pramatką wszystkich emocji, od której, niczym iskry z krzemienia, wytrysnęły wszystkie ludzkie uczucia.

Michael usłyszał w głowie jakiś głos - nie Radia Śmierci, ani Arno Waltiriego - głos, którego nie rozpoznawał, bardzo stary, niosący słowo „*Preedda*”

było to jej imię - imię emocji, która w nim płonęła i groziła wypaleniem od środka; jedynej prawdziwej emocji, od sześćdziesięciu milionów lat obcej Sidhom i niemal zapomnianej przez ludzi.

Michael upajał się nagłym wyłomem w psychicznej ciszy, a jednocześnie z przyprawiającym o skurcze mięśni prerażeniem nasiąkał płonąca *Preedą*.

Wkrótce się spotkamy, oznajmił pradawny głos.

Cisza Ziemi została przerwana.

W najgłębszych zakamarkach swego umysłu, Michael ujrzał odwzorowanie nieskończoności połyskliwych łusek i ciemnej, mętnej wody.

- Dość! - wrzasnął ponad miastem. - Błagam! Dość!

Budynek stał się równie martwy i cichy jak reszta Ziemi.

Michael przełknął ślinę, by zwilżyć wyschnięte gardło i otarł powódź potu z policzków i powiek. Może mieć przez tydzień chrypę. A już z pewnością będzie zachrypnięty, kiedy spotka się z Kristine Pendeers, by pokazać jej rękopis...

Wróciła codzienność. Myśli, troski, rozkłady zajęć, plany.

Preeda odpłynęła, ale pozostawiła po sobie wyraźny ślad. A zwabił ją do siebie koncentrując się na mieście i jego mieszkańcach - ludziach; koncentrując się na ich położeniu i przedzierając do swego rodzaju zrozumienia.

Przyczyniło się też do tego niepokojące brzmienie rogów i skrzypiec.

Hopkins czekał na niego w holu; siedział na ladzie i stukał piętami w postrzępioną dermę.

- Widział jakieś duchy? - spytał.

Michael pokręcił głową.

- Znalazł więcej ciał?

- Nie.

- Teraz rozumiesz, dlaczego nikt by tu nie za mieszkał?

Michael wsunął dłoń w kieszeń płaszcza i pokiwał głową.

- Mhm.

- Tak też pomyślałem. Wyglądasz mi na kumatego. - Na długiej szyi Hopkinsa zadrgało jabłko Adama. - Dzięki ci za to i amen - mruknął i odprowadził Michaela schodami do wejścia dostawczego.

Nie odzywając się już do siebie, rozstali się o pierwszym brzasku.

6

W ogóle się nie położył. Kiedy wrócił do domu, do przybycia Kristine pozostawała niecała godzina. Wziął prysznic, przebrał się, a potem przyszło mu do głowy, że właściwie nic nie stoi na przeszkodzie, by zrobić przepierkę. Nie chciało mu się spać; najwyraźniej zachował nabyte niegdyś umiejętności.

Zaciągnął wiklinowy kosz z brudną bielizną do przybudówki gospodarczej, naprzeciwko zamkniętych drzwi do piwnicy, i wepchnął wszystko do pralki, po czym nalał płynnego mydła z na wpół opróżnionego kartonu detergentu. Połówkę opakowania zużyła już wcześniej Golda.

Ni z tego, ni z owego, Michael poczuł się jak intruz. Bez względu na to, czy został tu zaproszony, czy nie, ten dom nie był jego; właściwie nie miał teraz na Ziemi żadnego swojego miejsca, a i w Królestwie nigdy takiego nie znalazł. Nie miał jeszcze ugruntowanej pozycji człowieka dorosłego, a stracił już przywileje wynikające ze statusu dziecka - miał tylko przynoszącą średni dochód synekurę.

Ale nie był aż tak naiwny, by wierzyć, że Waltiri załatwił mu tę synekurę z dobrego serca. „Zapracujesz na swoje miejsce”, powiedział do siebie, zanurzając rękę pod tryskający w pralkę strumień ciepłej wody.

Raczej odruchowo niż z rzeczywistej konieczności zajrzał jeszcze do biblioteki i upewnił się, czy aby nie trzeba tam czegoś uprzątnąć albo odłożyć na miejsce. W pokoju

panował ład i cisza. Otworzył sejf, wyjął rękopis Opusu 45 i wsunął go ostrożnie do szarej koperty. Zapach wywietrzał i Michael był z tego rad. Zaniósł paczuszkę do living roomu i położył na czarnej, wypolerowanej do połysku i polakierowanej tafli zatrzaśniętego wieka fortepianu.

Niech wszystko toczy się swoim trybem.

A kiedy zacznie sam kierować tym procesem?

O siódmej piętnaście rozśpiewał się kurantami gong u drzwi. Michael otworzył bez wahania i stanął twarzą w twarz z jakimś mężczyzną w brązowym garniturze, z założonymi na piersiach rękami, który ścisnął pod pachą czarną aktówkę zamkniętą na zamek błyskawiczny. Zaskoczenie na twarzy Michaela było bez wątpienia wyraźne.

- Pan wybaczy - powiedział mężczyzna. - Porucznik Brian Harvey z wydziału zabójstw. - Przycisnął łokciem aktówkę, wyciągnął odznakę w skórzanej okładce i potrzymał ją przez chwilę Michaelowi przed nosem. - Ten dom należy do... należał do pana Arno Waltiriego?

- Tak - odparł Michael. Nagle poczuł się winny. Bystre, nieruchome oczy mierzyły go uważnie, bez cienia podejrzliwości ani żadnej innej emocji, a mimo to Michael szukał już gorączkowo w myślach jakiegoś wyjaśnienia powodu wizyty policyjnego detektywa.

- Przepraszam za tak wczesne najście, ale muszę zadać panu kilka pytań - ciągnął Harvey. - Nazywa się pan Michael Perkins?

- Perrin - poprawił Michael.

- I zarządza pan posiadłością pana Waltiriego?

- Owszem.

- Czy mogę wejść?

Michael odsunął się na bok i gestem ręki zaprosił detektywa do środka. Harvey, unosząc brwi, rozejrzał się po holu i living roomie. Przystrzyżone na języka blond włosy cofały mu się z czoła. Twarz miał różowutką i lekko nalaną, ale poza tym był szczupły i wysportowany. Michael ani myślał sondować jego aury; w tych okolicznościach nie wydawało mu się to stosowne, a zresztą trudno przewidzieć, co mogłoby wyniknąć, gdyby porucznik zaczął go podejrzewać o jakieś niezwykle sztuczki.

Skąd ten niepokój? zadał sobie pytanie.

Pomyślał o Alyonsie i o Sidhach, którzy zabrali go do Irall... o ostatnim kontakcie z mianowaną władzą.

- Na nazwisko pana Waltiriego natknęliśmy się w dość niecodziennych okolicznościach - odezwał się w końcu Harvey przystając przed fotelem. - Można usiąść?

Michael skinął głową.

- Spodziewa się pan kogoś? - Porucznik rozsiadł się w fotelu i założywszy nogę na nogę położył na kolanach aktówkę.

- Właściwie tak - przyznał Michael. - Ale jeśli mogę w czymś pomóc...

- Niewykluczone, że pan może. Nie wiem. Odwiedzał pan kilkakrotnie pensjonat Tippett przy Bulwarze Zachodzącego Słońca. Po co?

Nerwy Michaela z miejsca się uspokoiły. Teraz już wiedział, w jakim kierunku potoczy się rozmowa i bez żenady wysondował porucznika; cichy, utrzymany w porządku gabinet ze stosami papierów oczekujących na metodyczną i pełną skupienia analizę. Michael niemal od razu polubił tego mężczyznę; to nie Alyons. Harvey był inteligentny i rozważny - profesjonalista w każdym calu. Michael nie miał żadnego powodu, by cokolwiek przed nim zatajać, ale też nie rwał się do odkrywania kart.

- Słyszałem, że znaleziono tam jakieś zwłoki - odparł. - Może posądzi mnie pan o niezdrową ciekawość, ale postanowiłem zobaczyć to miejsce na własne oczy.

- I właśnie dzisiaj rano pan Ronald Hopkins wpuścił pana do tego budynku. Jakies cztery godziny temu.

- Zgadza się. Podawał się za byłego właściciela.

- Czy mówił panu, że to miejsce jest nawiedzone? Michael pokiwał głową.

- Coś w tym rodzaju. Harvey uśmiechnął się z sympatią.

- A więc to czysty traf, ot, taki kaprys, że pan tam poszedł.

Michael odwzajemnił jego uśmiech.

- Czy wie pan coś na temat ciał, które znaleziono na terenie Tippett?

- Tak - odparł Michael. Harvey uniesieniem brwi wyraził swoje zainteresowanie i skinieniem głowy zachęcił go do kontynuowania. - Jedno należało do olbrzymiej kobiety, jakieś czterysta kilo wagi, a drugie było mumią.

- To wszystko?

- Hopkins mówił jeszcze, że nazywały się Lamia i Tristesse. Melancholia.

- I to pana zaintrygowało?

- Tak.

- Powiedział panu o znalezionym przy nich tekście?

- Wspominał coś o kamiennej tabliczce, na której wyryte były ich imiona.

- Ale na własne oczy tabliczki nie oglądał?

- Chyba nie. Nie wiem.

- A pan ją widział?

Michael potrząsnął przecząco głową.

- Rozumiem... nie widzieli jej też fotoreporterzy z gazet ani nikt spoza mojego departamentu. Mam zdjęcia zwłok. Byłby pan łaskaw je zidentyfikować?

Michael wzruszył ramionami.

- Nie powinno być z tym chyba kłopotu...

- Chciałbym się dowiedzieć, panie Perrin, czy wiadomo panu o jakichkolwiek powiązaniach pana Waltiriego z tymi kobietami?

- Nie.

- A więc to czysty zbieg okoliczności, że akurat teraz interesuje się pan tym budynkiem.

Michael nie odpowiedział. Harvey otworzył teczkę.

- Zaginął pan na pięć lat, prawda? Pańscy rodzice dali znać na policję pięć i pół roku temu, a pan po swoim powrocie nie udzielił żadnych wyjaśnień. Czy miało to jakiś związek z Arno Waltirim?

- Tak - odparł Michael.

- Arno Waltiri umarł jednak zanim pan... zniknął ze sceny. Czy przekazał panu jakieś instrukcje, coś w rodzaju ostatniej woli lub testamentu?

- Owszem.

- Co to było?

- Mam opiekować się jego posiadłością, posegregować jego papiery i przekazać je w formie darowizny jakiejś instytucji.

- Czy dał panu te instrukcje przed pańskim zniknięciem?

Michael pokręcił głową. Niech detektyw zinterpretuje to, jak chce.

- Znał pan te dwie kobiety?

Najprostszą odpowiedzią, doszedł do wniosku Michael, będzie milczenie.

Harvey odczekał cierpliwie chwilę, po czym, gdy Michael się nie odzywał, westchnął i podjął:

- Nie orientuje się pan, czy łączyło je coś z Waltirim?

- Nie.

- Bo widzi pan, zastanawia mnie nazwisko Waltiriego obok ich imion na tej kamiennej tabliczce.

- Nie rozumiem.

Porucznik wyjął z teczki błyszczącą fotografię osiem na dziesięć i trzymając ją palcami za dwa górne rogi podsunął Michaelowi do obejrzenia. Ten wziął zdjęcie i usiadł w

fotelu, naprzeciwko Harveya. Przedstawiało kamienny prostopadłościan, o powierzchni jakichś dziesięciu cali kwadratowych i kilku calach grubości, sądząc po długopisie położonym obok na podłodze celem zobrazowania skali. Na tabliczce widniał wydrapany napis:

Lamia
Tristesse
Niepotrzebne strażniczki
Ofiary Arno Waltiriego

- Rozumie pan teraz, skąd nasze podejrzenia, dlaczego uważamy, że może tu istnieć jakiś związek? - spytał Harvey. - Jeden z moich młodszych kolegów wiedział, że Waltiri był kompozytorem i że umarł przed kilkoma laty. Obrąłem to sobie za punkt wyjścia. Pan sprawił, że powiązanie wydaje mi się teraz znacznie silniejsze.

- Jak umarli? - spytał Michael.

- Nie wiemy. Mumia nie żyła już od pewnego czasu. A jeśli obawia się pan, że nie dam wiary jakiejś bardzo dziwnej historii... cóż, proszę śmiało mówić. Wysłucham wszystkiego.

- Nadal nie rozumiem - powiedział Michael.

Harvey odłożył fotografię i pochylił się w stronę Michaela.

- Ta grubaska zrzucała skórę. Wisiała na niej jak worek. A mumia... - Odchrząknął i zrobił zakłopotaną minę. - Cierpiała na bardzo dziwne schorzenie. Miała za dużo stawów. Swego rodzaju wybryk natury. Pomyśleliśmy sobie, że może to cudaki z cyrku.

- Nie mam pojęcia - odparł Michael.

Harvey odetchnął głęboko.

- Niewiele się od pana dowiedziałem, ale... Znowu rozległ się gong.

- Pański gość - domyślił się Harvey.

- Tak.

- Czy to było morderstwo? - spytał Harvey przyglądając się bacznie Michaelowi.

- Nie wiem - odparł Michael.

- Czy aby nie ukrywa pan czegoś, bo sam jest w to zamieszany?

- Nic podobnego - odrzekł Michael. - Trudno byłoby to wytłumaczyć. Może porozmawiamy... później? Pan opowie więcej mnie, ja powiem panu... - Co tu owijać w bawełnę, - Powiem panu takie rzeczy, że pan nie uwierzy. Nie chcę niczego ukrywać. Ich obecność w budynku była dla mnie wielkim zaskoczeniem.

Harvey wziął następny głęboki oddech i wstał.

- Jeszcze dzisiaj? - zaproponował.

- Zgoda.

- Czwarta po południu. Zadzwoń tutaj.

- Zgoda.

- Nie opuszcza pan czasem miasta, panie Perrin?

- Nie.

- Lepiej niech pan pójdzie otworzyć.

Michael otworzył drzwi i w progu ujrzał Kristine; uśmiechniętą, promienną i przestępującą z nogi na nogę. Kontrast nastrojów był tak silny, że Michael poczuł kolejne muśnięcie *Preedy*. Za jego plecami wyrósł Harvey, przywitał się uprzejmie z Kristine, ominął oboje i spoglądając po raz ostatni na Michaela wyszedł.

- Czwarta - przypomniał na odchodnym.

- Kto to był? - spytała Kristine. Harvey przeciął trawnik i otworzył drzwiczki nieoznakowanego błękitnego samochodu zaparkowanego przed domem Dopso.

- Policja - odrzekł Michael.

Kristine obrzuciła Michaela ostrym, przenikliwym i mocno zaintrygowanym spojrzeniem. Michael uśmiechnął się i wpuścił ją do środka.

- Masz jakieś kłopoty? - spytała beztrąsko, przekraczając próg. Chłonęła wewnątrz przemiatając je niespiesznie zachwyconym wzrokiem.

- Nie - odparł Michael. - Nie sędzę.

- Tutaj jest cudownie - orzekła zauroczona. Zerknęła nań przez ramię i posłała mu działający fascynująco na podświadomość uśmiech Momy Lizy. - Mam nadzieję, że nie weźmiesz mnie za fanatyczkę, jeśli spytam, czy mogę pozwiedzać?

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł Michael. Oprowadził ją po pokojach na parterze, sprytnie omijając pomieszczenie gospodarcze i bibliotekę, po czym weszli po schodach na piętro. Chłonęła wszystko z nabożeństwem, jakby odbywała jakąś upragnioną, zaległą pielgrzymkę.

- Tak mało o nim wiem - odezwała się. - Niewiele jest materiałów biograficznych... kilka wywiadów z jego kolegami plus to, czego dowiedziałam się od Edgara Moffata. Waltiri był swego rodzaju kwintesencją kompozytora muzyki filmowej lat czterdziestych... nie uważasz?

Michael ledwie dosłyszał pytanie.

- Chyba tak - bąknął zakłopotany. Całą prawie uwagę skupiał na Kristine, nie koncentrował się tak na innej osobie od czasu, kiedy był sam na sam z Heleną w Królestwie. (Gdzież ona teraz jest?)

Kristine obejrzała oprawione w ramki ryciny, którymi obwieszony był korytarz na piętrze.

- Z Niemiec - stwierdziła. - Są stare... musiały należeć do jego rodziny.

Czy Arno Waltiri miał kiedykolwiek jakąś rodzinę albo prawdziwą ludzką przeszłość? Jeśli nie, zgromadził skrupulatnie „dowody”, które miały to sugerować.

- Znałeś go tylko przez kilka miesięcy? Michael pokiwał głową.

- A on jakby cię zaadoptował?

- Byliśmy przyjaciółmi - odparł Michael. - Mój ojciec robił dla niego meble... taboret do fortepianu i takie tam. Zjawił się raz na przyjęciu u moich rodziców i tak go poznałem. Jego i Goldę.

- Edgar twierdzi, że Golda była czarującą kobietą.

- Była bardzo miła - przyznał Michael.

- Gdzie komponował?

- Na dole jest muzyczna biblioteka. To tam miał swój gabinet.

- Wspominałeś też coś o piwnicy, w której znalazłeś rękopis.

- Owszem... - powiedział z wahaniem. - Chciałbym, żebyś najpierw obejrzała ten rękopis. Jest tu jeszcze strych... pełno tam różnych pamiątek.

- Robisz się bardzo tajemniczy, Michael. - W spojrzeniu, jakim go obrzuciła, była zarówno ciekawość, jak i ostrożność. Uświadomił sobie nagle, że wszystkie dziecinne satysfakcje, jakie mógłby czerpać z odgrywania roli kogoś tajemniczego, nie mogły się w żaden sposób równać z przyjemnością jej ciągłego towarzystwa.

Znacznie bardziej wolałby być z nią szczery.

- Nie wiem od czego zacząć - wybąkał wbijając wzrok w dywan. Stali u szczytu schodów i on pierwszy ruszył po nich na dół. - Więc zacznę od rękopisu.

Zostawił go na fortepianie. Gdy znaleźli się z powrotem w living roomie, Michael wyjął rękopis z szarej koperty i podał go Kristine. Spojrzawszy na manuskrypt wzdrygnęła się lekko i wzięła go koniuszkami palców.

- Wygląda, jakby był czymś przesiąknięty - zauważyła. Potarła na próbę palcem połyskującą powierzchnię. - W takim stanie go znalazłeś?

- Tak.

- Ciężko coś rozczytać. Od czego ten papier tak się zmienił?

- Powąchaj - zachęcił. Uniosła rękopis do nosa.

- Mmm - mruknęła. - Ale aromat... podoba mi się. Perfumy? Mydło czy co? - Potrząsnęła przecząco głową, zanim zdążył otworzyć usta. - Chwileczkę. Sama zgadnę... - Przymykając powieki powąchała rękopis jeszcze raz, niemal tuląc go do piersi. - To doprawdy urocze. Mogłabym tak wachać cały dzień.

- Kiedy go znalazłem, woń była jeszcze silniejsza - powiedział Michael.

- Poddaję się. Co to takiego?

- Moim zdaniem muzyka. - Rzuciła mu surowe spojrzenie.

- Chociaż podziwiam Waltiriego aż taką fanatyczką nie jestem.

Jej reakcja zaskoczyła go.

- Nie nasuwa mi się żadne inne wyjaśnienie - usprawiedliwił się. - Wąchałaś kiedykolwiek coś takiego?

Zmarszczyła w zadumie czoło i po chwili pokręciła głową.

- Może sprowadził papier z Europy. Były tam jeszcze inne kopie... rozumiesz, dla orkiestry?

- Tylko ta jedna. Po tym, co się wydarzyło, mógł zniszczyć pozostałe egzemplarze.

- Okay. Mogłabym teraz obejrzeć gabinet i piwnicę? - Oddała mu, acz niechętnie, rękopis, a on włożył go z powrotem do szarej koperty. Poranne promienie słońca wlewające się przez zwieńczone łukami frontowe okna padły na kopertę i Michael zauważył, że jest bardzo wypłowiała. Wpływ rękopisu udzielał się kopercie.

- Może by tak odbić go na fotokopiarce? - zaproponowała Kristine. - Jeśli mi zaufasz, zrobię to w szkole...

- Ufam ci - wpadł jej w słowo Michael - ale wolałbym na razie zatrzymać ten egzemplarz.

- Rozumiem - mruknęła.

W muzycznej bibliotece było ciemno i chłodno. Michael zapalił biurkową lampkę i podniósł żaluzje w oknach wychodzących na tyły domu, wpuszczając do pokoju światło filtrowane przez zielone kępy gigantycznych rajskich ptaków rosnące w ogrodzie za domem.

- Wszystkie jego taśmy-matki i płyty - szepnęła z nabożnym zachwytem Kristine. - To cudowne. Muszą tu być setki partytur. - Szła wzdłuż półek zastawionych pudełkami taśm i starymi, wielkimi, lakierowanymi matrycami w grubych, tekturowych kopertach. - Słuchałeś ich już?

- Tych jeszcze nie - przyznał Michael.

- Och... ja na twoim miejscu bym nie wytrzymała. Przecież to bezcenne skarby. Koniecznie musimy je skopiować. To mogą być jedyne egzemplarze.

- Zastanawiałem się już, czy nie kupić nowego sprzętu nagraniowego i nie wziąć się za to - odpowiedział Michael. - Ale przecież dopiero zacząłem wszystko porządkować.

- Nie jesteś, zdaje się, zawodowym konserwatorem?- spytała.

- Nie - przyznał Michael.

- A taki tu właśnie potrzebny. Muzykolog i konserwator.

- Chyba masz rację. Chętnie bym przyjął każdą pomoc.

- Myślę, że uda mi się przekonać wydział, że to ważna sprawa. Co jest w piwnicy?

- Więcej papierów, rękopisów - odparł Michael.

- Chciałabym i na nie rzucić okiem.

- Pokażę ci, co zechcesz - powiedział. - Naprawdę mi nie zależy, by ukrywać... jeśli wiesz, o co mi chodzi.

- Nie - odrzekła. - Nie wiem, o co ci chodzi. Czy z tymi starymi papierami, płytami i taśmami wiąże się jakaś tajemnica?

- Wierzysz w opowieści o tym, co się wydarzyło podczas prawykonania koncertu? - Michael postanowił przyjąć jej taktykę pytania bez ogródek.

- Nie - odpowiedziała.

- A wierzysz, że muzyka niesie w sobie moc tkwiącą w nutach zapisanych na papierze i dźwiękach unoszących się w powietrzu?

Ściągnęła brwi poważniejąc. Widać było wyraźnie, że twarz ma nienawykłą do tego grymasu.

- Tak - odparła. - Ale nie jestem... łatwowierna. Jestem realistką do takiego stopnia, do jakiego tylko może nią być miłośniczka muzyki.

Nie tak dawno temu była prześlizniętym dzieckiem, pomyślał Michael. Po wczesnym rozwodzie rodziców wychowywała ją matka; dzieciństwo miała stosunkowo szczęśliwe i szybko się rozwijała, zarówno fizycznie, jak i umysłowo; była niezależna... Zamknął oczy, kiedy twarz miała zwróconą w inną stronę i stanowczo przerwał sondowanie. Wstyd mu było, że je w ogóle rozpoczął. Ale to, co zdołał ustalić, sprawiło, że Kristine wydała mu się jeszcze bardziej czarująca.

Kristine Pendeers była osobą prawdziwie dobrą, wolną od wszelkiej obłudy.

- Gdzie ta piwnica? - ponagliła, przylapując go z nieobecnym, zwróconym do wewnątrz wyrazem twarzy.

- Tędy.

Otworzył drzwi do pomieszczenia gospodarczego, zapalił światło i poszedł po latarkę. Kiedy wrócił, Kristine stała nadal u szczytu schodów i nie miała zbyt szczęśliwej miny.

- Nie lubię ograniczonych przestrzeni - powiedziała.

- Nie musimy przecież tam schodzić - zauważył.

- Och, już pójdę. Po prostu nie przepadam za ciemnościami i ciasnotą. Jakoś sobie z tym poradzę. - Ruszyła przodem, a Michael poświecił jej, by rozproszyć mrok i pokazać stopy papierów oraz ozdobną szafę. Wzięła głęboki oddech i skręciła w wąskie przejście między pudłami a szafką. Michael pozostał na schodach.

- Czy mogę...? - spytała dotykając lewych drzwi ozdobnej szafy. Michael skinął głową.

Otworzyła je i ujrzała leżące na półkach listy.

- O, butelki z winem - zakomunikowała z szerokim uśmiechem, lekko trącając jedną kolanem. - Pewnie nie czytałeś jeszcze tych listów?

- Jeszcze nie. Znalazłem tutaj rękopis i resztę odłożyłem sobie na później.

Pokiwała głową i dotknęła machinalnie krawędzi przewiązanej sznurkiem paczuszki listów. Potem wspięła się na palce, wysunęła paczuszkę na kilka cali i przechyliła ją, by odczytać adres na wierzchniej kopercie.

- O Boże - szepnęła.

- Co? - Michael, zaniepokojony, zszedł stopień niżej.

- Ten list na wierzchu... jest od Gustava Mahlera. Co prawda niemiecki znam ledwo ledwo, ale ten podpis... Możemy go otworzyć i przejrzeć pozostałe?

Michael wyciągnął z kieszeni szwajcarski nóż wojskowy i podał go Kristine. Przecięła ostrożnie sznurek, oddała mu nóż i zaczęła przerzucać kolejno listy jeden po drugim.

- Wszystkie od Mahlera... Bez dat... Ale niektóre w kopertach... Michael, one są warte fortunę!

- Kto jest adresatem? - zainteresował się Michael.

- W pierwszym jest napisane: „*Arno, lieber Freund*”. W następnym: „*Lieber Arno*”. Wszystkie do Waltiriego.

- Przecież kiedy żył Mahler, Waltiri był jeszcze chłopcem - zauważył Michael. Och?

- Tak czy owak, wszystkie adresowane są do niego. - Wręczyła mu stertę. Listy ze spodu zostały wysłane z Wiednia, czyli z Wiednia, a idąc dalej ku górze, kolejno: z Nowego Jorku, po czym reszta z München, Monachium, i znowu z Wiednia. Było tych listów ze dwa tuziny, a niektóre liczyły sobie więcej niż pięć stron.

- To się nazywa odkrycie - powiedziała z dumą Kristine. - Odkrycie z prawdziwego zdarzenia. Jeśli to nie przekona mojego wydziału, wycofuję papiery. Pudła i jeszcze raz pudła materiałów... któż zliczy ile korespondencji, z całego świata?

- Na strychu znajduje się rękopis oratorium Strawińskiego - dodał Michael. - I listy od najróżniejszych ludzi... od Clarka Gable'a.

Twarz Kristine płonęła podnieceniem.

- Dobra - zdecydowała. Dźwignęła się na nogi, przygarbiła i zwiesiła ręce jak świeżo opierzony pisklak. - Dostyc tego. Nie wszystko na raz. Rozchichotała się i zakryła dłonią usta.

- Wybacz. To wprost nieprawdopodobne. W tym domu roi się od skarbów!

- Doprawdy nie mam pojęcia, dlaczego zlecił mi nad tym wszystkim opiekę - powiedział Michael ruszając przed nią po schodach na górę. - Moja wiedza nie jest nawet w połowie wystarczająca. O Mahlerze słyszałem tylko dlatego, że wspominał mi o nim Waltiri.

- Wybrał ciebie, bo ci ufał - stwierdziła Kristine. - To oczywiste. Nie widzę w tym niczego niestosownego. Wiedział, że dobierzesz sobie właściwych ludzi i doprowadzisz wszystko do ładu. Kiedy człowiek słyszy, co się dzieje z innymi posiadłościami, z innymi bibliotekami jeszcze sławniejszych ludzi... włos się na głowie jeży. Sprzedane, zlicytowane, porozprasane, odrzucone przez wielkie uniwersytety pod pretekstem braku miejsca w archiwach. Boże. Płakać się zaraz chce. Ale to... to wszystko tutaj. - Stali w pomieszczeniu gospodarczym; pod wpływem nagłego impulsu Kristine rzuciła się Michaelowi na szyję. - Muszę już iść. Czy jeśli uda ci się skopiować rękopis koncertu, będę mogła go dostać jeszcze dzisiaj wieczorem?

- Postaram się - zapewnił Michael.

- Niedaleko jest ksero... trzy, czy cztery przecznice stąd.

Michael skinął głową.

- Policjant zapowiedział, że wróci dzisiaj po południu... - Kristine spojrzała na niego z ukosa. - Co ty na to?

- Na co?

- Dużo ci zajmie czasu?

- Niewiele - orzekł Michael.

- To dobrze. W takim razie zadzwonię koło szóstej. Może zjemy razem kolację?

Michael poczuł w głębi serca przyływ gorąca.

- Byłoby wspaniale.

Odprowadził ją do drzwi wejściowych i patrzył, jak podchodzi do samochodu. Chód Kristine, podobnie jak wszystkie jej ruchy, był zwinny i pełen gracji; z niewymuszoną swobodą stawiała kroki i poruszała rękami.

Jeszcze długo po jej odjeździe Michael nie kwapił się z zamknięciem drzwi. Czuł się śmiesznie, stercząc tak w samo południe w progu, ale teraz, kiedy odjechała, wszystko co miał do zrobienia, wydawało mu się jakieś mało ważne.

Cały trening, cała dyscyplina nie były w stanie wyprzeć uczucia pustki i zagubienia, jakie ogarnęło go, kiedy Kristine zniknęła mu z oczu.

- Rozkleiłeś się - mruknął do siebie i ze zdecydowaniem zatrzęsł drzwi.

7

Michael zaniósł rękopis *Koncertu Nieskończoności* do punktu ksero i ustawił się w kolejce za tęgą, przysadzistą kobietą w ciemnym wełnianym płaszczu, która przestępowała niecierpliwie z nogi na nogę i co chwila przyglądała pulchną dłonią rzadziejące włosy. Stojący przed nią mężczyzna w średnim wieku, z nosem jak kartofel, odbijał właśnie w kilkudziesięciu egzemplarzach formularz zeznania podatkowego. Skończywszy, uśmiechnął się od ucha do ucha, jakby rozwiązał wszystkie problemy świata, zapłacił operatorce i wyszedł.

Kobieta w ciemnym wełnianym płaszczu nie miała zielonego pojęcia o maszynach kserograficznych. Operatorka, chuda dziewczyna o szczerzej i sympatycznej twarzy, próbowała wyjaśnić, na czym rzecz polega, ale ujrawszy zawzięty wyraz oczu klientki, ostatecznie sama zabrała się za wykonanie usługi. Zerknęła na Michaela i uśmiechnęła się z przymusem.

- To potrwa tylko sekundkę - powiedziała. Zrealizowała zlecenie kobiety i przyjęła od niej ćwierć dolara. Klientka opuściła punkt mrużąc coś pod nosem i kręcąc z niezadowoleniem głową.

- Umie pan obsługiwać maszynę? - spytała operatorka. Miała na sobie dzinsy i obszerną białą, męską koszulę.

Michael skinął głową.

- Z tym, że to może nie być takie proste.

- O? A co pan chce odbić?

Wyjął z koperty rękopis.

- Jest czymś przesiąknięty - skłamał, żeby uniknąć dalszych wyjaśnień.

- Mam nadzieję, że nie odpadami toksycznymi - mruknęła operatorka, przyglądając się z niesmakiem rękopisowi. Powąchała go. - Cokolwiek to było, przyjemnie pachnie.

Ustawiła nowe parametry.

- Może tak się da - powiedziała.

Michael wyjął kartki z nutami spomiędzy kleszczy przeżartego zieloną pleśnią spinacza do papieru.

Maszyna nie zarejestrowała żadnych błyszczących, oleistych zacieków. Każda kolejna strona wychodziła z niej wyraźnie, czarno na białym, z poszarzałymi lekko brzegami.

Nieźle, co? - powiedziała operatorka.

- Świetnie - pochwalił zaskoczony Michael.

- Nie wybrudził pan szybki? - spytała od niechcienia, kiedy odbił ostatnią stronę.

- Nie, chyba nie - odparł.

- Ależ bym chciała wiedzieć, czym jest przesiąknięty - powtórzyła. - Ten zapach mógłby się spodobać mojemu chłopakowi.

Michael podziękował dziewczynie i zaniósł oryginał wraz z kopią rękopisu do Saaba. Gładko poszło, pomyślał. Ciekawe, ile czasu zajmie nutom duplikatu przetransformowanie bielutkiego papieru kserograficznego?

Rękopis razem z duplikatem zamknął w sejfie Waltiriego w bibliotece.

Przyniósł z piwnicy rozciętą paczuszkę listów Mahlera, odszukał słownik niemiecko-angielski, wyszedł na podwórko, usiadł na krzeselku ogrodowym i wygrzewając się w promieniach południowego słońca próbował tłumaczyć. Szło mu jak po grudzie. O ileż łatwiej by było, gdyby miał pod ręką kogoś mówiącego po niemiecku; mógłby wysondować jego wiedzę, użyć do-sięmowy i przetłumaczyć wszystko bez wysiłku. Przymknął powieki i zaczął penetrować sondą okolicę. Trudno było określić, jak daleko może nią sięgnąć. Przed wczorajszą nocą nie zapuszczał jej nigdy na odległość większą niż kilkadziesiąt metrów.

Miał wrażenie, że unosi się zawieszony w przecince pośród gęstego lasu, gdzie nie ma ani liści, ani światła. W tej „przecince” natknął się na...

...starszego mężczyznę o umyśle przypominającym spiętrzoną hałdę węgla, pochłoniętego bez reszty rozmyślaniami na jakiś temat, którego Michael nie potrafił sprecyzować; stary człowiek mówił tylko po angielsku i rysztockowym hiszpańskim.

...młodą dziewczynę, która wróciła przeziębiona do domu z wakacyjnego kursu i leżała w łóżku - ona również знаła tylko podstawy hiszpańskiego i zaczytywała się Walterem Farleyem; obok niej wznosił się stosik sześciu jego książek.

...kobietę sprzątającą wielki, elegancko umeblowany dom. Umysł miała pełen nadzwyczaj oryginalnego jazzu. Czy jest czarnoskóra? zachodził w głowę Michael. Nie dało się tego stwierdzić - jej myśli nie miały żadnej szczególnej barwy, zaś głosy łowione w głowach ludzi z reguły nie zdradzały żadnego akcentu. Nie mówiła po niemiecku.

...gospodynie domowe, złote rączki; ...podstarzałego mężczyznę, którego umysł przypominał zatechłą księgarstkę, stukającego na starym royalu; ...troje niemowląt samolubnych jak trzech Sknerusów, o umysłach niewiarygodnie chłonnych, wolnych od słów i świeżych jak oceaniczna bryza...

Wrócił do mężczyzny stukającego na maszynie do pisania. Z wiekowego royala o stromej klawiaturze wylaniał się artykuł na temat broni palnej - ocena nowego typu izraelskiego karabinu maszynowego.

Ten mężczyzna mówił biegle po niemiecku. Facet służył jako strażnik w ambasadzie amerykańskiej w Europie w latach pięćdziesiątych zabił kilkunastu żołnierzy azjatyckich na odludnej polanie był trzy razy żonaty i postrzelił drugą żonę na wyprawie myśliwskiej; ona jednak przeżyła i nie wniosła oskarżenia do sądu, za to czym prędzej się z nim rozwiodła, a on nie stawiał przeszkód.

Michael odskoczył odeń jak użądłony. Wolał nie sondować jego lingwistycznych możliwości w obawie, że napotka więcej tego rodzaju plugastwa.

Gdzie mieszka - i jak daleko?

Nie potrafił tego określić.

Wstrząs wywołany jaskrawą niegodziwością tego mężczyzny sprawił, że Michael wycofał w panice sondę, zataczając nią szeroki, niekontrolowany łuk.

I zobaczył... na krótką chwilę stał się...

Eldridge'em Gornem, handlarzem końmi. Takim eufemizmem Gorn określał łapanie dzikich koni i sprzedawanie ich rzeźnikom. Parał się tym zajęciem przez trzydzieści lat, a zaczął w 1959 - czyli dwa lata po wydaleniu go w niesławie z Marynarki.

Powrócił do Utah i został przyjęty przez swoją mormońską rodzinę z chłodną rezerwą. Eldridge Gorn nie spełniał oczekiwań ojca. Ojciec był twardym, nieustępliwym mężczyzną, którego Gorn darzył głęboką miłością i odrzucenie odczuł bardzo boleśnie.

Przeniósł się do Colorado, ożenił i w niespełna rok później - rozwiodł. Próbował odebrać sobie życie strzałem ze sztucera kaliber 12 w pokoiku motelu w Calneva; karabin zaciął się i Gorn przez dwadzieścia pięć minut na przemian to zanosił się śmiechem, to wybuchał płaczem, próbując naprawić broń. Nie dał rady.

Gorn uznał swój pech za widomy znak, że chyba jest jednak na świecie ktoś, komu na nim zależy.

Krótko po tym zatrudnił się na rancho w Nevadzie, gdzie poznał tajniki chwytania dzikich koni na rzeź. Pieniądze były z tego marne, i ostatnie dziesięć lat - do czego przyczyniła się również działalność kół obrońców zwierząt i wieczna karuzela przepisów prawnych - zmusiło go do zmiany taktyki; wytrwał jednak w swoim procederze. Nie miał złudzeń - w oczach opinii społecznej był nic niewartym człowiekiem z marginesu, odrażającym typem, który potrafi tylko przykładać rękę do przerabiania dzikich koni na pokarm dla psów. Ale on lubił swój fach.

I nawet lubił konie. Nieraz go przechytrzały, a on śmiał się do rozpuku jak wówczas, kiedy zaciął mu się sztucer, i machał do nich swoim wyświechtanym filcowym kapeluszem, wyjąc przy tym wniebogłosy.

Gorn siedział na dachu szoferki swojego pickupa, a lekki popołudniowy wiaterek muskał mu włosy i twarz. Gdzie nie spojrzeć, po horyzont pola szałwii, na wschodzie usypany z popiołu stożek wiekowego wulkanu i tylko cisza, a w odległości trzech mil tabun jakichś trzydziestu dzikich koni.

Dzisiaj tylko objedzie je dookoła, policzy i przyjrzy się z bliska. Właściwie to mógłby pojechać na przelaj przez szałwię i zapędzić je do zamkniętej kotliny, pół mili na zachód od stożka popiołu; ale lepiej wstrzymać się z tym do jutra, kiedy będzie miał do pomocy dwóch jeźdźców.

Zadarł nos i zaczął węszyć jak pies. Nagle chrząknął, splunął na maskę wozu i ponownie pociągnął nosem. Na pogodnym, błękitnym niebie nie było jednej chmurki, nawet obłoczka, a jednak wyczuwał coś kojarzącego się silnie z chłodem i zimą. Szczycił się swym węchem - przy sprzyjającym wietrze potrafił wyniuchać mustangi z odległości pięciu mil - i woń, którą teraz złowił, zaniepokoiła go.

Nie pasowała. Klóciła się z porą roku.

Zima. Śnieg i lód.

Coś migotało nie opodal stożka popiołu; przypominało to błyski rozsiewane przez krąg luster. Gorn poczuł się trochę niewyraźnie. Zaswędziały go pokryte złuszczone naskórkiem, opalone na czerwono ręce, a włoski na karku stanęły dęba. Ścisnął dwoma palcami nos i wysmarkał się w czyściusienką białą, bawełnianą chusteczkę.

Wietrzyk zalatywał teraz czymś z zatęchłej starej lodówki albo zamrażarki - czymś nie tyle zimnym, co zastałym i przez długi czas uwięzionym.

Od strony stożka popiołu zbliżały się konie - dwadzieścia, trzydzieści, a może i z pięćdziesiąt; nadbiegały galopem stamtąd, gdzie nie miało prawa ich być. To, co teraz wywęszył, przeważało szalę. Schronił się czym prędzej w szoferce furgonetki, woń bowiem stała się drażniąca, elektryzująca i złowieszcza. Zapуścił silnik i obserwował przez przednią szybę ten nowy tabun koni.

Wszystkie były siwej maści i zlewałyby się prawie z szalwiovym tłem, gdyby nie osobiwa opalizacja, bardziej pasująca do muszli ostrygi niż do konia.

I pędziły prosto na niego, pod górę łagodnego, porośniętego krzakami zbocza, szybciej od wszystkich koni, które dotychczas oglądał; szare, rozmyte smugi z długimi grzywami. Przepiękne zwierzęta. Gdyby tak udało mu się je złapać (co za właściciela miały te urodziwe konie, że pozwolił im się rozbiec samopas po zapadłym pustkowiu?), mógłby ubić dobry interes i lepiej zarobić, zmieniając taktykę - zamiast do rzeźni popędzić je prosto na aukcję zwierząt w Las Vegas albo w Reno.

Ćwierć mili od jego furgonetki tabun zaczął się rozdzielać. Gorn nawet z tej odległości dostrzegł swoim sokolim wzrokiem, że zwierzęta są muskularne, zwarte w sobie i dziwnie nieproporcjonalne w porównaniu z tymi, które znalazł do tej pory. Wyglądały jak obdarte ze skóry, łby miały niezwykle foremne, subtelniejsze w kształcie niż araby, były dzikie, tryskały energią i jakby umykały przed czymś, spłoszone. Pędziły wciąż galopem.

Nagle pięć czy sześć biegnących na czele koni oderwało się wszystkimi kopytami od ziemi. Od furgonetki dzieliło je w tym momencie zaledwie sto jardów i Gorn ujrzał wyraźnie, jak każde zwierzę podkurcza i rozprostowuje wszystkie cztery nogi, zupełnie jak na bzdurnych malowidłach o tematyce myśliwskiej w klubach dla bogaczy.

Prowadzące stawkę konie wydłużyły się, wysmuklały i nie biegły już, a szybowały nad ziemią nie trącając jej kopytami; zady zaczęły im się rozmywać, a szyje wyciągać, aż w końcu łby znalazły się w jednej linii z łopatkami...

- Jasna cholera - wymamrotał pod nosem Gorn.

Pięć prowadzących koni rozciągnęło się w pięć świetlistych strug żywego srebra, wtopiło w niebo i po prostu znikło.

W ich ślady poszła następna piątka.

Szereg po szeregu, wszystkie konie z perłowego tabunu wzbily się w niebo nad jego furgonetką i zniknęły.

Nie zauważył, by lądowały z powrotem na ziemi.

Silnik pracował. Gorn siedział za kierownicą i dopiero po kwadransie bez entuzjazmu skierował ponownie swoją uwagę na zwykle zwierzęta, stojące wciąż na ziemi pośród szałwiowych chaszczki.

Tego, co czuł w piersiach, nie dało się do niczego przyrównać.

Zagubienie. Pustka. Bolesne wrażenie piękna i pewnej ważnej rzeczy, która dawno temu umknęła z jego życia. Gorn nie wiedział co to takiego.

Ale wiedział, że spędzi resztę dnia, a może i dzień jutrzejszy, patrząc w niebo. Czekał.

Michael odłożył paczuszkę listów na bok i potarł palcami grzbiet nosa.

Jego życie dzieliło się właśnie na dwoje, a linia tego podziału gwałtownie się zacierała. Jak długo będzie w stanie powstrzymać oba wątki od nałożenia się na siebie... jak długo będzie mógł uczyć się i tylko obserwować, nie podejmując żadnych działań?

Niebo było bezchmurne i czyste - nadzwyczaj pewne siebie niebo, tak odmienne od niestałego i wciąż się zmieniającego błękitu w Królestwie. Różnice. Kontrasty to prosta droga do poznania.

Coraz bardziej uświadamiał sobie ludzką różnorodność; dla porównania, Sidhowie wydawali się prawie jednolici, pozbawieni różnic fizycznych i psychicznych oraz wypaczeń właściwych rodzajowi ludzkiemu.

Sidhowie byli istotami czystej krwi; ich rysy kształtowały się przez dziesięć milionów lat, kto wie, pod wpływem jakich nakazów i zakazów? Ludzie zaś wyodrębnili się ze świata zwierzęcego (nadal byli zwierzętami), z całą niezdyscyplinowaną wielopostaciowością natury.

Nie mogli się swobodnie ze sobą mieszać.

Michael odniósł paczuszkę listów do ozdobnej szafy w piwnicy, po czym przygotował sobie lunch - kanapkę z serem i jabłko. Pół godziny później wrócił do ogródka i tam, siedząc po turecku, nago, na trawniku, ze skórą rozgrzaną jak piec, ćwiczył *hylokę*.

- Salamandra - wymruczał czując, jak ekstaza rozpiętanego ciepła ustaje. Uświadomił sobie, że w takim stanie mógłby przejść bez szwanku przez płonący dom - byłby gorętszy od płomieni. Złagodził swą dyscyplinę i powstał na nogi. Jego nogi i pośladki w miejscu, gdzie siedział, pozostawiły na trawie poczerńnięte ślady. Znowu był głodny jak wilk.

Zjadł drugi lunch, prawie taki sam jak pierwszy i puścił na video *Człowieka, który chciał zostać królem*. W połowie filmu Michael zdał sobie sprawę, że gapi się tępo w ekran telewizora, zaś myślami jest zupełnie gdzie indziej - z handlarzem końmi na rozległym

puszku, z kobietą w podeszłym wieku w starym lesie... Krąży wokół pensjonatu Tippett i porucznika Harveya, ale zdecydowanie najwięcej uwagi poświęca Kristine.

Punkt czwarta rozległ się brzęczyk telefonu. Porucznik Harvey poinformował, że dzwoni z centrum.

- Musiałem na jakiś czas odłożyć sprawę, która nas obu interesuje, mówię o pensjonacie Tippett - oznajmił. - Ale później będę chciał pomówić z panem o szczegółach. Według mnie nie jest pan podejrzany, ale jeśli pan sobie życzy, rozmowa może się toczyć w obecności adwokata. Nie chodzi mi o żadną spowiedź ani nic podobnego, to chyba rozumiałe?

- Owszem - odparł Michael mając świadomość, że detektyw mówi prawdę; i że chyba on dowiaduje się o Harveyu więcej niż Harvey o nim.

- Ale to fascynująca sprawa i myślę, że usłyszę od pana wiele ciekawych rzeczy na jej temat?

- O ile ma pan otwarty umysł - zastrzegł Michael.

- Ohoho - chrząknął z emfazą Harvey. - Trzymajmy się może realnego świata, dobrze?

- Nie daję gwarancji - odparł Michael.

- Polegam na swoim instynkcie - powiedział cicho Harvey. - Rzadko mnie zawodzi. Niepokoi mnie to, co mi teraz podpowiada. Czy to uzasadniony niepokój?

Michael zwlekał chwilę z odpowiedzią. W końcu Harvey i tak musi się dowiedzieć. Sny przelewały się do świata realnego. Podział zacierał się zdecydowanie za szybko.

- Owszem - odrzekł wreszcie Michael.

- Coś mi się widzi, że czeka mnie wesoły weekend - powiedział porucznik. - Wpadnę do pana za kilka dni. Jeśli w międzyczasie wyjdzie na jaw coś nowego, to wcześniej.

Michael odłożył słuchawkę na widełki. Logicznie rzecz biorąc, Harvey powinien przesłuchać go najszybciej, jak to możliwe. Ale porucznik odwlekał jak mógł przykre obowiązki. Michael nie mógł mieć mu tego za złe.

Wszedł po schodach na piętro, spuścił ze strychu drabinę i wspiąwszy się po niej, stanął w zmurszałym cieple. Kiedyś, przesiadując tutaj z Waltirem, który przeglądał pudła starych listów i pamiątek, Michael odnosił wrażenie, że czas cofnął się lub w ogóle przestał istnieć - przez dobre czterdzieści lat nic się tutaj nie zmieniło.

Strych wciąż zdawał się zawieszony ponad rwącą na zewnątrz rzeką czasu. Michael wysunął machinalnie szufladę drewnianej szafki na dokumenty i zaczął wertować znajdujące się w niej papiery. Nazbierało się tego przez jedno życie... stosy listów, pliki rękopisów, czasopism i notatek...

Wyciągał jeden skoroszyt za drugim i zaglądał do środka. Kilka listów od Arnolda Schönberga, z datą z 1938 roku; te odłożył sobie z zamiarem późniejszego przeczytania. Schönberg, jak pamiętał Michael, był kompozytorem i może wspominał coś w listach o koncercie.

Potem znalazł rękopis oratorium Strawińskiego. Strawiński skomponował na początku wieku Święto Wiosny, a Disney skojarzył to dzieło z umierającymi dinozaurami. Każdy młody człowiek znał Strawińskiego.

Trzymał to oratorium w rękach ze świadomością, że ma przed sobą fragment historii. Dotknął delikatnie podpisu i listu, pod którym podpis był złożony, wyczuwając z fascynacją zadrapania, jakie przed laty zostawiła na papierze stalówka wiecznego pióra.

List nosił datę z 1937 roku. Wyobraził to sobie - tam na zewnątrz - spokojny, słoneczny, wiosenny dzień, samochody zaparkowane na ulicach i wybrukowanych kostką podjazdach, wszystkie oble i wypucowane do połysku, zupełnie jak jego Packard w garażu; srebrzyste samoloty DC-3 i Lockheed Vega podchodzące do lądowania na lotnisku Burbank, smukłe palmy na tle pogodnego nieba, wszystko jakieś bardziej rozproszone, mniej zatłoczone, niemal senne...

Michael oderwał szklisty, nieobecny wzrok od rękopisu. Przed wojną. Ostatnie dni kryzysu, z którego kraj dźwiga się już powoli, dzięki zapoczątkowanym przez Roosevelta zbrojeniom.

Dni względnej ciszy przed burzą.

Kristine chyba uważała Westwood za pępek wszechświata. Znała tu wszystkie najlepsze restauracje - przy czym „najlepsze” oznaczało w jej rozumieniu smaczne jedzenie za umiarkowaną cenę - i tego wieczoru wybrała spośród nich mniej obleganą. Lokal nosił nazwę Xanadu, co Michaela z jednej strony zmieszało, z drugiej rozbawiło. Wnętrze było wyłożone boazerią z ciemnego drewna, inkrustowaną wytłoczonymi na mosiężnych płytach scenami, które miały w sobie i nieco orientalizmu, i coś ze stylu art deco. Pod sufitem podwieszono białe, jedwabne baldachimy. Nie serwowano tu potraw chińskich, lecz współczesną kuchnię francuską i Kristine zapewniła go, że pomimo niewygórowanych cen potrawy są wyśmienite.

- Mają tu młodego szefa kuchni - powiedziała. - Dopiero stawia pierwsze kroki. Pewnie niedługo tu pobędzie - za jakieś dwa, trzy miesiące podkupi go konkurencja, a ja nie będę już mogła sobie pozwolić na delektowanie się jego sztuką kulinarną. - Kelnerka w smokingu zaprowadziła ich do stolika w kącie.

Kiedy kelnerka odchodziła na wysokich obcasach, kołysząc biodrami, Kristine patrzyła na Michaela ciekawa jego reakcji.

- Tak, trochę tu brak konsekwencji - stwierdziła ze śmiechem.

- Xanadu to dziwna nazwa dla takiej jak ta restauracji, nie uważasz? - spytał.

Wzruszyła ramionami.

- Wybierając ją chcieli chyba zasugerować... nie tyle związek z Chinami, co miłą atmosferę, ekstrawagancki charakter lokalu...

Michaela nasza nagle silna, szczeniacka pokusa popisania się swoją niezwykłą znajomością Xanadu, ale się jej oparł. Nie wyrze wrażenia na Kristine, pozując na jeszcze dziwniejszego niż do tej pory.

- Czytałeś o tych niesamowitościach? - zaczęła z innej beczki.

- Tak. W gazetach.

- Czyż to nie zastanawiające? Jak latające spodki w sezonie ogórkowym. Zupełnie nie z tej ziemi.

Spuścił wzrok na poręcz swojego krzeselka, gdzie położył kopertę z rękopisem. Czas zmienić zupełnie temat, zdecydował. Uniósł kopertę nad poziomem blatu stolika.

- Odbiłem - powiedział.

Spojrzała na kopertę, wyraźnie świadoma delikatności, z jaką podpierał ją koniuszkami palców.

- I jak wyszło? - spytała z przejęciem.

- Sama zobacz. - Wręczył jej odbitkę.

- Jakie bielutkie. - Wysunęła plik kartek do połowy z koperty. - Nie spodziewałam się, że kopia będzie aż tak wyraźna.

- Mamy szczęście - powiedział Michael.

- Dziękuję. - Przekartkowała stronicę, uśmiechając się szeroko wsunęła je z powrotem do koperty, a tę włożyła do workowatej płóciennej torby. Na widok miny Michaela uśmiech spelzł jej z twarzy i zastąpił go wyraz niepokoju. - Dobrze się czujesz?

Skinął głową.

- Jestem trochę podminowany - przyznał.

- Dlaczego? Chodzi o tę restaurację?

- Nie. Co zrobisz teraz z rękopisem?

Dziwne, ale wzruszyła ramionami, jakby nie przywiązywała do tego wielkiej wagi. Potem przez nonszalancję przebił się podekscytowany uśmiech i złożywszy ręce na stoliku, nachyliła się ku Michaelowi.

- Pokażę to na wydziale. Planujemy urządzić latem jakiś koncert... gdzieś w lipcu. Być może wykona my właśnie ten, o ile zdążymy się przygotować. Edgar też niech zobaczy.

Kelnerka wróciła, by przyjąć od nich zamówienia. Michael wybrał płastugę z wrzątku. W menu nie było żadnych dań wegetariańskich; czuł się mniej skrępowany jedząc mięso stworzeń morskich, ale miał świadomość, że każdy Sidh wzdragałby się przed takim niessaczym posiłkiem.

Kristine zamówiła medaliony z łososia. Kelnerka naląła im wina do kieliszków i Michael pociągnął rozważnie mały łyżeczek. Od swojego powrotu pił wino tylko raz, u pani Dopso, i nie miał pewności, jak podziała nań w jego obecnym stanie psychicznym. Chciał zachować trzeźwą głowę; niepokoiła go sama myśl, że mógłby się choćby wstawić. Ale wino było zachęcająco słodkie i lekkie, a jego działanie tak subtelne, że wręcz nieodczuwalne.

Raz wieczorem w butelkach piała dusza winna...¹

Baudelaire. Dlaczego skojarzył mu się akurat ten wers?

- Zaczynam mieć poważne wątpliwości co do całej sprawy z wykonaniem koncertu - odezwał się w końcu Michael, opadając powoli na oparcie krzeselka.

- A to czemu? - spytała zaskoczona Kristine. - Czyżby nie spoczywał na tobie obowiązek lansowania dzieł Walthieriego? Czyż nie na tym właśnie polega rola wykonawcy ostatej woli?

- Nie jestem wykonawcą testamentu w ścisłym tego słowa znaczeniu, ja tylko zarządzam posiadłością. Nie wiem. - Otworzył usta, żeby coś jeszcze powiedzieć, ale zamknął je i pokręcił głową. - Nie mam pojęcia, co tu, u diabła, robię. Przekazuję ci coś, czego nie możesz w żaden sposób zrozumieć...

- Zaraz, chwileczkę - wybuchnęła Kristine. Wskazał palcem jej torebkę, z której wystawał róg koperty.

- Kiedy zapisywano tę muzykę, papier był bielutki i czysty. Od tamtego czasu aż do tej pory nie był niczym nasączany. On się po prostu... zestarzał.

- Nie bardzo rozumiem.

- Wiem, nie ty jedna. - Poczul, jak wzbierająca w nim frustracja wydostaje się na powierzchnię. - Moje położenie nie jest bynajmniej godne pozazdroszczenia. Błądę po omacku.

- Jak...

¹ Fragment poematu Charlesa Baudelaire'a pt. „Dusza Wina” w przekładzie Bohdana Wydzgi (przyp. tłum.).

- Zatem... - Podniósł obie dłonie. - Proszę. Zdobądź się na chwilę cierpliwości i wysłuchaj mnie. Potem możesz mówić do woli, jaki jestem stuknięty. Zdaję sobie sprawę, że uchodzisz za eksperta od muzyki, w tym może nawet muzyki Walfiriego, ale wiedz, że tu chodzi o coś jeszcze.

- Nie rozumiem twoich wątpliwości. Myślisz... Urwała, widząc wyraz twarzy Michaela. Założyła ręce i odchyliła się na oparcie krzesła, zerkając nerwowo na jakiegoś gościa, który mijał właśnie ich stolik.

- Wspominałaś o tych niesamowitościach. Istnieje pewien związek.

- Z tym? - Położyła dłoń na kopercie. Michael skinął głową.

- Nie znam wszystkich szczegółów. Nawet gdybym je znał, opowiadanie ci o nich nie byłoby warte zachodu, bo na pewno byś nie uwierzyła.

- Jezu - wykrztusiła. - W co ty jesteś zamieszany?

Roześmiał się i zadarłszy głowę spojrzął na biały, podświetlony od góry baldachim.

- Czy ten policjant ma z tym coś wspólnego? - spytała.

- Właściwie to nie. Z nim jest tak jak z tobą. I z moim ojcem. I z Bertem Cantorem.

- Kto to jest Bert Cantor?

- Ktoś, kto wie. Z kim mam rozmawiać? I ile mu powiedzieć? Wszyscy żyjecie w realnym świecie.

- A ty nie?

Michael westchnął głęboko.

- Był taki czas, że nie. Nie było mnie w nim przez pięć lat, Kristine.

Ściągnęła brwi. Po chwili pochyliła się ku Michaelowi.

- Z powodu tego koncertu?

- Między innymi... tak. - A na koniec stanąłem w progach rekonstrukcji Xanadu o niebo lepszej niż ta restauracja... Stłumił stanowczo impuls, przez który o mało tego nie palnął. Trudna rzecz - z jednej strony chciał opowiedzieć całą historię, z drugiej jednak ograniczały go względy praktyczne - wiarygodność; wpływ, jaki zwierzenie to mogłoby wyrzucić na stosunku Kristine do niego; obawa, by nie wyjść na blagiera.

- No dobra. Słucham cię. - W jej oczach zauważył coś, co tylko pogłębiło jego stropienie. Była rzeczywiście zainteresowana i zaintrygowana. Swoją osobą wprowadzał w jej życie coś nowego, a jego postawa, ton głosu nie przemawiały za tym, że jest jakimś świrem albo łgarzem.

Co jeszcze bardziej zbijało go z tropu.

I zmroziło, zanim zdążył rozpocząć następne zdanie.

- Przepraszam - bąknął i poczerwieniał na twarzy jak burak.

- Powiedziałam, że dzisiejszego ranka byłeś tajemniczy - przypomniała mu Kristine. - Sama nie wiem, o co mi chodziło...

- Dobra - przerwał jej. - Tyle mogę ci powiedzieć. Dostałem ostrzeżenie, żebym nie robił nic z tych rzeczy. - Wskazał otwartą dłońią na rękopis. - Nie wiem od kogo. Ignoruję je, ale chcę, żebyś była świadoma ryzyka, które oboje podejmujemy.

- Jezu - szepnęła, spuszczać wzrok na blat stolika, na którym kelnerka stawiała właśnie zamówione sałatki. - Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

- Bo jestem idiotą. - Dotknął widelcem swojej sałatki.

- Wcale nie jesteś idiotą - zaprzeczyła gwałtownie Kristine, unosząc brwi, ale nie patrząc na niego, tylko na swój talerzyk.

- To może dlatego, że sam nie wiem, co o tym myśleć.

Zmierzyła go przenikliwym spojrzeniem.

- To czemu się nie wycofasz?

- Bo mi się podobaś - wyrwało mu się.

Przez kilka niezręcznych sekund Kristine nie odpowiadała.

- Mam kogoś - odezwała się w końcu.

- Spodziewałem się tego.

- Wolałabym, żeby łączyło nas zainteresowanie muzyką.

- Bo tak jest.

- I żebyś nie wykorzystywał tego wszystkiego jako pretekstu, by widywać osobę, która cię pociąga.

- Nie będę. No, może troszkę.

- Ile masz lat? - spytała Kristine. - Znaczy się, w rzeczywistości?

- Nie wiem - odparł Michael. - Nie było mnie przez pięć lat. Ale w moim odczuciu nie trwało to tyle.

- Myślałam, że jesteś starszy, niż mówisz.

- Jeśli już, to młodszy.

- No to ja już nic nie rozumiem. - Zdjęła serwetkę z kolan i położyła ją na obrusie. -

Nie mam jakoś apetytu.

- Ja też nie.

- Więc nie chcesz, żebym jakoś wykorzystała ten rękopis?

- Wręcz przeciwnie. Chcę. Zanieś go na wydział muzykologii, przejrzyjcie go tam, wykonajcie. Ale chyba powinnaś liczyć się z tym, że mogą wyniknąć pewne kłopoty.

- Czy zawsze przysparzasz kłopotów kobietom, które cię interesują?

Pytanie to spadło nań jak grom z jasnego nieba.

A żebyś wiedziała.

- To nie tak - odpowiedział. - To nie ja ich przysparzam.

- Jeśli dobrze rozumiem, próbujesz mnie przekonać, że jeśli wykonamy teraz koncert, wydarzy się to samo co w 1939.

- Albo coś jeszcze bardziej spektakularnego.

- A mnie mogą podać do sądu, jak wtedy Waltiriego.

- Nie wiem. Ale nie to mnie najbardziej niepokoi. Wydawało się, że taka ewentualność zafascynowała ją bez reszty.

- To by było... ciekawe. Ale masz rację; trudno mi w to wszystko uwierzyć.

- A usłyszałaś dopiero najstraszniejszą część - dodał Michael.

Znowu zapadło milczenie. Kristine, przygryzając dolną wargę, wpatrywała się w niego badawczo.

- Pomówmy teraz o twoim stosunku do mnie...

- Nie, proszę. To mnie krępuje. Za dużo już powiedziałem i powiedziałem to nie tak, jak trzeba było.

- Nie. Doceniam twoją szczerość. Jesteś szczery; to widać. I nie jesteś stuknięty. Wierz mi, miałam już do czynienia z tyloma stukniętymi... - Spojrzała w bok i dodała: - Lubię cię, ale ta... sytuacja.

- Nie marnujmy jedzenia - powiedział Michael.

- Masz rację. - Położyła sobie z powrotem serwetkę na kolanach, wzięła widelec i nadziała na niego liść sałaty.

- Napomknęłam o listach Mahlera Gregory'emu Dillmanowi. To ekspert od Mahlera, Straussa i Wagnera z naszego wydziału. Jest zafascynowany, mówi, że żaden z tych listów nie został nigdy opublikowany, co, jak sędzę, jest rzeczą oczywistą.

- Owszem - przytaknął Michael.

- Dillman doradza pewnemu facetowi nazwiskiem Berthold Crooke, który orkiestruje Dziesiątą Symfonię Mahlera.

- Tak?

- Mahler nie zdążył jej zorkiestrować, bo zmarł. Wprawdzie pewną wersję orkiestracji zaproponował przed dwudziestu laty Deryck Cooke, ale Crooke ma inną koncepcję. Obydwaj - Dillman i Crooke - wprost marzą o ujrzeniu tych listów.

- Wkrótce powinniśmy posadzić nad nimi tych twoich bibliotekarzy - powiedział Michael. - Cooke i Crooke. Zabawne.

- Owszem. - Uśmiechnęła się. - Różni ich tylko jedno małe „r”.

Na stolik wjechały główne dania i przez kilka minut koncentrowali się wyłącznie na jedzeniu, chociaż Michael nie był specjalnie głodny. Czuł w sobie pustkę niedosytu, który nie miał nic wspólnego z głodem. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach; spekulując, podsuwając przed oczy wyobraźni sceny, nad którymi obecnie nie miał prawa nawet się zastanawiać.

Spowodowała to nieświadomie Kristine, potwierdzając podejrzenia Michaela. Nie była jeszcze wolna; kto wie, czy go nawet nie odrzuci. To czyniło ją jeszcze bardziej pociągającą. Tak samo przedstawiała się rzecz z Heleną w Królestwie.

- Twoja sytuacja nie wygląda mi dobrze - powiedział pod wpływem impulsu.

Kristine nawinęła na widelec wiórek pietruszki pływający w małym bajorku sosu ziołowego.

- Nie poddajesz się łatwo, prawda?

- Po prostu mam w tym swój interes - odparł. - I trochę się niepokoję.

- No dobrze, mniejsza z tym - westchnęła. - Pożyjemy, zobaczymy.

- Mam nadzieję, że nie narobiłam ci kłopotu moim telefonem. Wydawało mi się, że słyszę sprzeczkę.

Kristine westchnęła i spojrzała mu w oczy.

- Wiesz, lepiej będzie, jak ci powiem, bo inaczej mogłabym się na ciebie pogniewać.

- Przepraszam - powiedział cicho Michael.

- Spotykam wciąż bardzo dziwnych mężczyzn. Naprawdę. Może to ryzyko zawodowe, może taki już los kobiety. Moja matka mawia, że większość mężczyzn jest jak dzikie konie. Nie można oczekiwać, że wszyscy okażą się lipicanami¹. Ale przypuszczam, że jestem jeszcze za młoda, by mieć wyrobiony smak. Wiesz, jak to jest. Nie da się od razu odróżnić wina dobrego od złego.

- No, a ja czym jestem, lipicanem czy mustangiem? - spytał Michael.

¹lipican - szlachetna rasa koni wierzchowych, hodowana w latach 1580-1918 w austriackiej stadninie dworskiej w Lipizy koło Triestu (przyp. tłum.).

- O Jezuu, nie wiem. - Dokończyła już swojego łososa i położyła widelec obok nietkniętych pędów brokułów. Oczy zwęziły się jej, gdy mierzyła go wzrokiem. - Właściwie to ja wcale cię nie znam, ale lipicanem nie jesteś. Nie jesteś ani oswojony, ani wytresowany. Ani w ogóle udomowiony. Sądzę, że musisz być... dziki, ale nie jesteś mustangiem. Raczej swego rodzaju czarodziejskim koniem z bajki.

Michael uniósł brew i uśmiechnął się szeroko.

- No więc jak, będziemy ze sobą szczerzy?

- Okay.

- To może białym ogierem. Takim roslým, smukłym, po prostu jak marzenie. Nie wiem, czy masz dobre serce, czy... nie. Wiem, że nie jesteś okrutny, ale... potężny. W jakimś sensie. A zresztą, dajmy temu spokój. - Potrząsnęła głową i grzywka opadła jej na oczy.

Gdy odgarniała kosmyki włosów, podeszła kelnerka i zapytała, czy życzą sobie deser.

- Kawy - powiedziała Kristine. - Napiłabym się kawy. A ty?

- Ja dziękuję, nic nie chcę.

- Latające konie, srebrzystosiwe i smukłe. Może czymś takim właśnie jesteś. Zeszłej nocy miałam o nich sen. Być może myślałam o tobie.

Michael poczuł, jak zapiera mu dech w piersiach, i że tężeje w środku, ale zaraz jako tako się opanował.

- Czyż nie taki właśnie powinien być poeta, potężnym i niesamowitym, że aż wzbudza dreszcze?

Nigdy jeszcze nie słyszał, by ktoś tak trafnie to ujął. Skinął głową. Ale...

...Kiedyś poeci byli czarownikami. Poeci byli silni, silniejsi od wojowników czy królów - silniejsi od starych, nieszczęsnych bogów. I przyjdzie czas, że znowu będą silni. Adonna - Tonn - powiedział mu to w Królestwie.

- Zatem istny z ciebie koszmar - stwierdziła Kristine, znowu się uśmiechając.

- To chyba lepsze niż być jakimś dupkiem.

- Tommy... facet, z którym jestem... mieszkamy ze Stephenem i Sue. To duży dom, z czterema sypialniami. Mamy osobne pokoje i łazienki. Tommy ma miłą naturę, ale brak mu pewności siebie. Dlatego często wpada w gniew, nie potrafi się kontrolować. - Podniosła obie ręce, trzymając w jednej serwetkę, i spojrzała w górę, jak gdyby chciała doszukać się na jedwabnym baldachimie odpowiednich słów.

- Gdybym go teraz rzuciła - powiedziała w końcu - mógłby się kompletnie załamać.

- Kochasz go? Ku swemu stropieniu ujrzał w jej oczach łzy.

- Niech to szlag - powiedziała dotykając serwetką policzka. - Za krótko mnie znasz, żeby zadawać takie pytania. Poprośmy o rachunek.

- Przepraszam. To dlatego, że tak się niepokoję.

- A zresztą - powiedziała bez urazy w głosie. - Trafiałeś w sedno. Nie. Nie kocham go już. To jeszcze jedna moja pomyłka spowodowana nieznaną nieznajomością mężczyzn.

Zapłacili na spółkę, ale Michael uparł się, że sam zostawi napiwek. Spodziewał się, że Kristine pożegna się z nim i odejdzie z rękopisem, lecz ona ruszyła Gayley w stronę Westwood, najwyraźniej oczekując, że za nią podąży. Zrównał się z nią krokiem.

- Wiesz, może tego lata udałoby się urządzić wielki koncert - zasugerowała z ożywieniem. - Coś jakby dopełnienie niemieckiej tradycji z początków tego wieku - Dziesiąta Mahlera i *Koncert Nieskończoności* Walthieriego. Czyż nie byłoby to wydarzenie? Porozmawiam z Dillmanem. Może do tego czasu Crooke ukończy swoją wersję koncertową i będziemy mogli zaprezentować ją na premierze. - Prowadziła go przed jasno oświetlonym frontonem kina. Michael odruchowo spojrzął na rozlepione w oszklonych, czterostronnych gablotach afisze filmowe - romantyczna komedia Blake'a Edwardsa pod tytułem *Tempting Fate*, wyświetlane w dwóch kinach *Black Easter* Davida Lyncha oraz kolejna ekranizacja *The Black Cauldron*. Afisz reklamujący *Black Easter* przedstawiał bój żołnierzy U.S. Army z demonami oblegającymi miasto o rozgrzanych do czerwoności murach z bloków żelaza.

Za linami rozpiętymi na mosiężnych słupkach wzdłuż chodnika stały długie kolejki. Mijając wraz z Kristine czekających przed wejściem ludzi, Michael odruchowo musnął sondą ich aury. Byli ożywieni, podlecem, w pełni świadomi, że występują na swego rodzaju forum publicznym; tryskali wigorem i doskonale się bawili. Michael, nie wiedząc czemu, poczuł nagle do nich głęboką sympatię.

- Jestem kobietą ambitną, Michael - odezwała się idąca przed nim Kristine, kiedy mijali wejście kina. - Nie odniosłeś dotychczas takiego wrażenia?

- Nie. Nie określiłbym tego mianem ambicji.

- A więc jestem marzycielką. Co ty na to?

- Już lepiej - przyznał Michael.

- Jezu. Z tymi filmami fantastycznymi. - Obejrzała się przez ramię i pokręciła zde gustowaną głową. - Czy one nigdy nie wyjdą z mody?

- Może istnieje jakiś powód, dla którego każdy gustuje w fantasy? - zasugerował Michael.

- Jaki?

- Widzenia. Sny o dzikich koniach.

- Co w nich takiego?

- Nieważne.

Nie ciągnęła go za język. Przystanęli przed księgarnią i zajrzeli przez szybę do środka.

- Nie chciałbyś zobaczyć tu kiedyś swoich książek? - spytała.

- Chciałbym - przyznał Michael.

- A ja chciałabym iść ulicami i na wystawach wszystkich sklepów muzycznych widzieć kompaktów z moją muzyką. - Roześmiała się, ale Michael spostrzegł, że oczy ma wciąż wilgotne. - No nic. Czas chyba wracać do domu. Tommy zabrał dzisiaj samochód. Przyjechałem autobusem. Mógłbyś mnie odwiedzić?

- Nie ma sprawy - odparł Michael.

Stosując się do jej wskazówek jechał na wschód w stronę Wilshire. Noc była ciepła, a powietrze stosunkowo czyste. W rozstępach między wiszącymi nisko chmurami, podświetlonymi bijącą od miasta pomarańczową poświatą, widać było kilka jasnych gwiazd. Kristine patrzyła na niebo przez otwarty szyberdach.

- Właściwie to nie jestem wcale malkontentką - powiedziała. - Moje życie toczy się gładko. Uwielbiam swoją pracę. - Spojrzała na Michaela. - A mimo to mam czasem ochotę uciec. Miałeś kiedyś takie uczucie? Pragnienie, by odlecieć gdzieś, w jakieś miejsce, z dala od wszystkiego, z dala od zgrzytów i wszelkiej odpowiedzialności? To chyba dosyć powszechne marzenie.

- Chyba tak - zgodził się Michael.

- Czy za takim właśnie impulsem poszedłeś? Mówiłeś, że nie było cię przez pięć lat.

- Ja nie uciekłem od odpowiedzialności.

- Czy możesz mi powiedzieć, gdzie byłeś? Jak dotąd to ja ci się przez cały wieczór spowiadam.

Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Skoro wciągamy cię do współpracy, nie wolno mi wywierać na tobie wrażenia, że jestem stuknięty, prawda?

- Zgadza się - odparła Kristine.

- Ale jedno ci wyznam.

- Mianowicie?

- Po tym, co usłyszałem od ciebie o Tommym, facet chyba nie za bardzo przypadł mi do gustu. Skoro czyni cię nieszczęśliwą.

- Michael, ale to właśnie ja czynię go nieszczęśliwym. Oboje unieszczęśliwiamy się nawzajem.

- Więc czemu go nie rzucisz?

- Mówiłam ci już. To ta następna ulica - South Bronson. Skręć w prawo. - Znaleźli się wśród starych, wielkich domostw, wśród których przeważały charakterystyczne dla Kalifornii bungalowy. Kristine kazała mu zwolnić i pokazała swój dom. Piętrowy budynek z szerokim gankiem od frontu, oddzielonym od ulicy niskim ceglany murkiem i z kolumnkami podpierającymi balkon na piętrze, sprawiał wrażenie ponurego i zaniedbanego. Z desek, którymi wyłożone były ściany, odłaziła płatami wyblakła żółta farba. Przed domem, przy krawężniku stał stary, czarny Trans-Am; wzdłuż jego burty i bagażnika ciągnęły się szare smugi farby do gruntowania. W wozie nikt nie siedział, reflektory były zgaszone, ale silnik pracował. W cieniu ganku stała jakaś postać. Michaelowi nie przypadła do gustu ta sceneria, ale Kristine nie wyglądała na zaniepokojoną.

- Tommy wrócił - stwierdziła. - Możesz mnie tutaj wysadzić.

Michael zatrzymał samochód. Kristine otworzyła drzwiczki i wysiadła. Postać na ganku zeszła po schodkach powolnym, rozkołysanym krokiem, parodiując chód kowboja. Michael z miejsca wysondował mężczyznę i odkrył posępną irytację, schludny, uporządkowany warsztat pełen części i narzędzi, migotanie światła na końcu długiego, pograżonego w mroku korytarza. Gdy Kristine zatrzaśniwała drzwiczki, mężczyzna przecinał właśnie ulicę. Pochyliła się do okna.

- Dzięki za podrzucenie. Opowiem ci przez telefon o spotkaniu z Edgarem i wizycie na wydziale. I pogadamy o udostępnieniu ludziom z biblioteki...

- Niezły wózek - powiedział Tommy zatrzymując się kilka jardów od samochodu i zakładając ręce na piersiach. Był średniego wzrostu, czarnowłosy, potężnie zbudowany. Krzywe nogi miał opięte wytartymi dżinsami, a tors czarną koszulką z krótkimi rękawkami. - Saab. Prawdziwa petarda. Profesor z college'u, zgadłem?

- Tommy, to Michael Perrin. Był taki dobry i podwiózł mnie do domu.

- Widzę. Miło mi cię poznać, Michael.

- Wzajemnie - odparł Michael.

- Czekałem.

- Nie było cię, kiedy wróciłam - powiedziała Kristine. - Nie mogłam zostawić ci wiadomości. I zabrałeś samochód. - Obejrzała się na Michaela dotykając ramion Tommy'ego.

- Świetnie - powiedział Tommy. - Dzięki, że ją podrzuciłeś.

Michael nie mógł uwierzyć w to, co się teraz stało. Mężczyzna wyciągnął od niechcenia jedną rękę, tak jakby chciał objąć dziewczynę. Przysunęła się bliżej, a on z półobrotu uderzył ją otwartą dłonią w policzek. Kristine przykucnęła, instynktownie wyrzucając przed siebie jedną nogę, żeby się nie przewrócić. Z torebki, która upadła na chodnik, wysunęła się koperta.

Zareagował instynktownie. Najpierw usłyszał, jak Tommy mówi coś cicho do Kristine, a potem jak otwierają się drzwiczki Saaba. Stał na chodniku na tyle długo, by mężczyzna zauważył jego obecność, a w następnej chwili Tommy leżał już na wznak z rozrzuconymi nogami i krwawił obficie z nosa.

Nawet nie zauważył, jak Michael, podrywając błyskawicznie nogę, wyprowadził kopniaka i trafił go czubkiem buta w twarz. Kristine sięgała akurat po kopertę i torebkę, i też tego nie widziała. Teraz, wlokąc za sobą torebkę, podsunęła się w kucki do Tommy'ego i uklękła przy nim.

- O, skuhwysyn - wybełkotał przez zapchany nos Tommy. - Dah my gusteczke.

- Nie jest złamany - powiedział z przekonaniem Michael, nadal zachowując spokój, ale czując gorącą lawę gniewnej reakcji wzbierającą wulkanicznym kominem ku głowie.

- Choleha - zaklął Tommy przyciskając do twarzy podaną mu przez Kristine apaszkę.

- Nic ci nie jest? - zwrócił się Michael do Kristine. Na lewym policzku wykwitał jej ślad po uderzeniu Tommy'ego.

- Nic - odparła. - On nie chciał mnie tak mocno uderzyć. O Jezu, co ja wygaduję? - Uderzyła nad nim w lament, powtarzając w kółko: - Ty idioto. Ty żałosny, głupi sukinsynu.

- Sostaf mne - wymamrotał Tommy, odpychając ją. Podniosła się na równe nogi. - Ne będziesz sie włóczyła z ynnymy bez moey wedzy - dodał.

- Załatwiałam, cholera, interes - warknęła. - Michael zarządza tą posiadłością, o której ci mówiłam.

Michael wysondował dźwigającego się z ziemi Tommy'ego, starając się przewidzieć, co teraz zrobi. Gniew Tommy'ego był teraz wymieszany w równych proporcjach ze wstydem, płaczem małego chłopca w tle, płonącym na czerwono światełkiem na końcu ciemnego korytarza. Michaelowi zrobiło się nagle bardzo żal tego człowieka i ogarnęło go zmieszanie.

- Jesteś moim obrońcą, tak? - zwróciła się do niego Kristine. Głos miała spokojny, spojrzenie szkliste.

- Przepraszam.

- Neżyły cos - wyseplecił Tommy, uśmiechając się przez apaszkę. W pomarańczowym świetle ulicznej latarni wydawało się, że szczękę ma umazaną na czarno. - Phofesoh collegu

ne snąłby takich chwytów. Ne gnęway se na neho, Hrystyne. Wygląpyłem se y dostałem za swohe. Psyłozył my.

Kristine patrzyła na nich jak na wariatów, przenosząc wzrok z jednego na drugiego. W końcu pokręciła głową i oddaliła się w stronę domu.

- Okay, Bichaël - powiedział Tommy wycofując się z jezdni na pas trawy przy krawężniku. - Psyłozyłes my. A te haz sostaf nas samych, co? - Zgasił pracujący na jałowym biegu silnik Trans-Ama, a potem z kluczykami w jednej, a z apaszką Kristine w drugiej ręce wszedł za nią po schodkach na ganek i zniknął w ciemnym domu.

Ominąwszy bezbłędny slalomem meble, Michael stał teraz z zamkniętymi oczami przy fortepianie i jego piersią wstrząsał co chwila tłumiony szloch, a ręce dygotały mu jak w febrze.

Realny świat.

Jakże odległe wydawało się teraz Królestwo, i jak nieważna większość jego problemów. Z każdym oddechem, z każdym stłumionym szlochem eksplodował wokół niego cały realny świat. Dorastanie, próba wpasowania się w struktury społeczeństwa, próba określenia kim i czym jest: bezpośrednia rzeczywistość.

Popelnianie błędów. Podejmowanie działań, o których nie wiadomo z góry, czy doprowadzą do dobrego, czy złego.

Rozkwaszenie nosa mężczyźnie, który i bez tego był bardzo zagubiony i nieszczęśliwy.

Ale on uderzył Kristine.

Michael był do głębi wstrząśnięty tym, co zrobił dzisiejszego wieczora - obojętne, czy czyn ten miał swoje usprawiedliwienie, czy nie. Wrażenie to potęgowała jeszcze świadomość, że wykorzystując tajemne umiejętności, których nauczyły go Żurawice, mógłby z łatwością Tommy'ego zabić.

A obudził się w nim taki impuls - nieutemperowane wzburzenie znajdujące szybko ujście w wybuchu złości. Jeszcze teraz czuł to przez skórę: Na świecie lepiej by się działo bez Tommy'ego.

Coś mu się skojarzyło. Coś w związku z Kristine. Z Królestwem. Jak to możliwe?

Naraz wszystkie emocje wycofały się niczym szybki morski odpływ. Stał w ciemności i przejęty głęboko tym, co sobie przypomniał, zachodził w głowę, czemu nastąpiło to dopiero teraz.

Kiedy po śmierci Alyonsa, Buńczuczniaka Ziemi Paktu, znalazł się po raz drugi na krańcach Przeklętej Równiny otaczającej Ziemi Paktu, napotkał tam szkaradnego, ślimakopodobnego stwora dźwigającego na grzbiecie skorupę-czaszkę. Potwór błagał go wówczas kobiecym głosem:

„Weź mnie ze sobą. Weź mnie ze sobą. Nie jestem tym, na co wyglądam. Nie jestem stąd.”

„Czym jesteś?”

„Jestem tym, czym życzy mnie sobie widzieć Adonna.”

„Kim jesteś?”

„Żoną Tonna. Porzuconą. Zdradzoną. Weź mnie ze sobą!”

Michael obszedł stwora szerokim kołem. Potwór nie starał się już zbliżyć do niego.

„Jesteś magiem”, powiedział. „Zabierz mnie tam, gdzie będę mogła znowu żyć. A ja ci powiem, gdzie jest teraz Kristine.”

„Przykro mi”, odparł wówczas Michael. „Nie jestem magiem. I nie wiem, kto to jest Kristine.”

Następnie przekroczył granicę Przeklętej Równiny, pozostawiając swojemu losowi uwięzionego w matni czaszkoślimaka - żonę Tonna, ofiarę magii Sidhów jeszcze straszliwszej niż ta, przy użyciu której przeobrażono Lamię i jej siostrę.

Ciarki przeszły mu po plecach. Żona Tonna zwracała się do niego jako do maga. A z tego wniosek, że Kristine miało przytrafić się coś, czemu Michael, dysponując niewielkimi lub zgoła żadnymi możliwościami, nie będzie w stanie zapobiec.

Dom Waltiriego coraz mniej przypominał sanktuarium, a coraz bardziej jawił się jako zastawiona przezeń pułapka swoistego rodzaju.

8

Utworzyłem drzwi do piwnicy - powiedział Michael do ojca. Siedzieli obaj na ganku na tyłach domu państwa Perrinów, a matka przygotowywała w kuchni mrożoną herbatę i kanapki.

- O? No i co odkryłeś?

- Piwnicę. Zawaloną mnóstwem papierów.

- John chce cię o coś spytać - powiedziała poważnym tonem Ruth, stawiając tacę na szklanym blacie stolika. Usiadła naprzeciwko nich ze ściągniętą twarzą. Długie ciemnorude włosy miała upięte z tyłu w kok.

- Wczoraj była tu policja w osobie detektywa - powiedział John. - Pytał nas o ciebie i o czas, kiedy cię nie było. Powiedzieliśmy mu, że wolelibyśmy dyskutować o tych sprawach w twojej obecności.

- I co on na to?

- Uśmiechnął się - odparła Ruth. - Powiedział, że w porządku, i że rozmawiał już z tobą. Mówił, że wydałeś mu się tajemniczy, ale chętny do współpracy.

- Więc po co tutaj przychodził? - zdziwił się Michael.

- Nie mam pojęcia - mruknął John. - Przypuszczam, że to ma związek z twoim zniknięciem.

Michael wziął z tacy kanapkę z ogórkiem, obejrzał ją i odłożył z powrotem.

- Zamierzam opowiedzieć wam wszystko - zaczął. - Nie obchodzi mnie, czy mi uwierzycie i czy w ogóle będziecie chcieli słuchać. To znaczy obchodzi, ale opowiem wam i tak.

Ruth objęła się ramionami. John zerknął na nią.

- Osobiście uważam, że już najwyższa pora - powiedział. Ruth przesiadła się na krzeselko koło niego i pokiwała wolno głową.

- Słuchamy - zachęciła go.

Michael wyjął z kieszeni małe tekturowe pudełko, postawił je na stoliku i otworzył. Wewnątrz, wtulona w bawełnianą gazę, spoczywała szklana róża podarowana mu przez Morę, wywodzącą się z rodu Sidhów pokojówkę Clarkhama.

I opowiedział całą historię, tak jak uprzednio zrelacjonował ją Bertowi Cantorowi; od letnich dni spędzonych wraz z Arno i Goldą poczynając, a na ostatnich dniach pobytu w Xanadu Clarkhama kończąc; następnie opowiedział, co się wydarzyło od czasu upadku Xanadu do otworzenia piwnicy oraz o odkryciu w niej zdumiewająco odmienionego rękopisu *Koncertu Nieskończoności*.

Opowieść ciągnęła się aż do wieczora, z przerwą na obiad. Wypili wiele szklanek herbaty, a potem i piwa; a pod koniec Ruth łkała cichutko - może z rozpacz, że postradał zmysły, może ze współczucia, że tyle przeżyła, tego Michael nie potrafił rozstrzygnąć.

Nad drzewami i żywopłotami na podwórku zapadał granatowy zmierzch. Michael został z ojcem na ganku, a matka weszła do domu po sweter.

- W Pomiędzy zawsze trwał zmierzch - powiedział Michael.

- Tam, gdzie Tristesse czekała na wędrowców - mruknął John.

- Niesamowicie było w tym międzyświecie. Mroczno, cicho. Chcę przez to powiedzieć, że wrażenie realności było tam bardzo kruche. Wszystko bardziej przypominało

sen albo koszmar. W Królestwie zaś wszystko było wyraziście realne, ale nie do tego stopnia, jak tutaj teraz. - Postukał w stolik.

Wróciła Ruth z różowym swetrem zarzuconym na ramiona.

- To takie rzeczy się zdarzają? - spytała poważnie męża. Zdziwiony John wybuchnął śmiechem.

- Niech mnie diabli, jeśli wiem.

- Zawsze starałam się być w tej rodzinie osobą myślącą realnie - powiedziała z twarzą zwróconą ku niknącemu na zachodzie błękitowi. Michael wyczuł w jej głosie fałsz, niemal pozerstwo. Zdał sobie sprawę, że matka gra jakąś rolę, kryjąc się za tą postacią jak za tarczą przed czymś, czym czuła się zagrożona. - John jest mistrzem stolarskim, a Michael... to kowal słowa. Talenty w tak odległych dziedzinach. Nigdy nie byłam pewna, na kogo Michael wyrośnie. - Zmierzyła syna krytycznym spojrzeniem. - Wiesz, że zawsze wolałam Updike'a od Tolkiena.

- *Czarownice z Eastwick?* - spytał z uśmiechem John.

- Tam nie było jak u Tolkiena - zaprzeczył Michael.

- No, ja myślę. A to jest jedyny dowód? - Dotknęła szklanej róży.

- Jest też kilka miejsc, które mogę wam pokazać. Pensjonat Tippett i dom Clarkhama. Zacząć by można od piwnicy Waltiriego.

- Jak to w bajkach bywa, będziesz nam musiał pokazać przed świtem trzy niemożliwe rzeczy - powiedział John podnosząc ostrożnie różę, by się jej przyjrzeć. W wieczornej szarówce widać było, jak wciąż jeszcze jarzy się słabiutko od wewnątrz.

- Wiesz coś o tych widzeniach, o których piszą w gazetach? - spytała matka. Michael pokręcił głową.

- Nie za bardzo. Chociaż wiem chyba, czego są zapowiedzią i dlatego wam teraz o tym wszystkim opowiadam.

- Czy dlatego nie przeszkadzasz Kristine Pendeers się angażować? - spytał John.

- Sam nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. - Michael wstał i pomógł ojcu posprzątać ze stolika po kolacji. Gdy naczynia znalazły się w automatycznej zmywarce, a stolik i szafki w kuchni zostały wytarte, Ruth stanęła z założonymi rękami w drzwiach prowadzących na ganek.

Pląkała. Policzki miała błyszczące, a na sweter skapywały jej kropelki łez.

- Ja nie mogę uwierzyć - zaszlochała. - Tak długo wmawiałam sobie, że to tylko jakiś koszmar. - Michael podszedł do niej, a ona objęła go i pogładziła palcami jednej ręki po głowie.

Michael otwierał już usta, żeby coś powiedzieć, ale John przechwycił jego spojrzenie i pokręcił głową.

Ruth poszła wkrótce spać, a Michael siedział jeszcze z ojcem w ogródku, pod gwiazdami błyszczącymi blado nad Los Angeles.

- Ona chce nam coś powiedzieć - odezwał się John. - Dusi to w sobie, jak długo ją znam. Ale nigdy nie pisnęła słówka. Mam wrażenie, że słuchając twojej opowieści omal nie wyrzuciła tego z siebie.

- O co chodzi? - zainteresował się Michael.

- Słowo daję, że nie wiem - odparł John.

- Czy to coś ważnego?

- Dla niej na pewno.

Porucznik Brian Harvey stał z Michaelem w tylnej sypialni domu Clarkhama i patrzył sceptycznie na odciski stóp biorące swój początek ze środka podłogi.

- A więc nie istnieje agencja handlu nieruchomościami o takiej nazwie - ni to stwierdził, ni spytał. - A więc nie ma w aktach niczego o właścicielu domu... ani o tym, kiedy dom zbudowano. A więc wszystko wskazuje, że to pustostan... Hmm, prawda jest taka, że cały czas przebywamy bez zezwolenia na terenie prywatnej posesji.

- Przeszkadza to panu? - spytał ironicznie Michael.

- Niespecjalnie - odparł Harvey. - Niezła sztuczka. - Wskazał palcem ślady. - Domyślam się, jak to zrobiono. Rozpylić po podłodze kurz... - Wsunął szczękę i potarł palcem wskazującym dolną wargę. - Pański ojciec jest kimś w rodzaju artysty, kimś, kogo mogłyby bawić takie sprawy, prawda?

- Chyba tak.

- Opowiedział mu pan wszystko co mnie?

- Bardziej szczegółowo. Mieliśmy więcej czasu. Zajęło nam to większość popołudnia i cały wieczór.

- Magowie, duchy, obce światy. - Harvey westchnął. - No dobra. Więc twierdzi pan, że ta Tristesse została przetransformowana - czy to właściwe słowo? - przez Shee'ów.

- Sidhów - poprawił go Michael.

- Nigdy tego nie wymówię - burknął Harvey. - Zafundowali jej dodatkowe stawy, a potem przemienili w mumię.

- Była wampirem - powiedział Michael. - Oglądał pan jej zęby?

- Nie. A pan?

Michael nie widział nawet jej twarzy.

- Jaką miała twarz? - spytał.

- Nie pamiętam. Chyba mumii. Ale wie pan, to dosyć dziwne... nie przypominam sobie.

- Nadal jest w kostnicy?

- Ponieważ nie zgłosił się nikt, kto zidentyfikowałby denatki, a koroner nie dopatrzył się znamion zabójstwa, zwłoki obu poddano kremacji. Myślę, że pozbyli się zwłok grubaski i mumii po prostu dlatego, żeby nie patrzeć na nie. Ale mam w aktach fotografie. Zostawiłem w samochodzie.

- To dlaczego nadal zajmuje się pan tą sprawą?

- Bo interesują mnie niesamowitości, panie Perrin. I chciałbym wiedzieć, co pana z tym wszystkim łączy. Co ma z tym wspólnego Waltiri. Jestem miłośnikiem tajemnic. W mojej pracy jest tak wiele niewyjaśnionych przestępstw i tak cholernie mało tajemnic. Rozumie pan?

- Chciałbym zobaczyć zdjęcia - odpowiedział Michael.

- Tego się domyślałem. Coś za coś. Pan opowiedział mi tę historię, oprowadził mnie po domu, a ja mam teraz pokazać panu zdjęcia. No cóż, pan się wywiązał ze swojej części układu.

Wsiedli do nieoznakowanego wozu policyjnego i Harvey podał Michaelowi teczkę z aktami sprawy.

- Są dosyć makabryczne - ostrzegł.

Michael otworzył teczkę i wyjął zdjęcia en face Lamii. Z czarno-białych fotografii wiało chłodem, a sposób, w jaki ciało olbrzymki sflaczało po śmierci, potęgował wrażenie sztuczności i kiepskiego upozowania.

Przełożył zdjęcie na spód kupki. Następna fotografia była zniszczona; na samym jej środku widniała jakaś oleista plama, jakby po lakierze. Michael pokazał zdjęcie Harveyowi.

- Niech to szlag - warknął Harvey. - Na pewno są jeszcze inne zdjęcia. Zrobimy nowe odbitki z negatywu.

- Śmiem wątpić, czy wyjdą - odparł Michael. - Musiała być bardzo piękna i bardzo słodka.

- Dlaczego pan tak uważa?

- Ponieważ Sidhowie przemienili ją w potwora i starannie zadbali, by nikt nigdy, przenigdy nie zobaczył już jej twarzy.

Harvey milczał przez chwilę, trzymając przed oczami zniszczoną fotografię.

- Teraz to mnie pan nastraszył nie na żarty - przyznał wreszcie. - I co, u diabła, mamy dalej robić?

Michael wzruszył ramionami.

- Chyba czekać. Chce pan dalej prowadzić dochodzenie?

- A czegoż tu można dochodzić? - wybuchnął Harvey. - W tej sprawie nie ma dosłownie niczego, co dawałoby jakiś punkt zaczepienia ludziom mojej profesji. Koniec świata.

- Może nie jest aż tak źle - pocieszył go Michael.

- Ja na pana miejscu robiłbym w portki ze strachu.

- A kto mówi, że się nie boję? - odparł Michael. Ale nie mogę ot, tak zaraz wszystkiego wstrzymać. Zachodził właśnie proces, którego on był jedynie częścią... jak ważną częścią - tego nie dało się określić.

Mag. Twarz w śnieżnej zamieci.

Największe jednak przerażenie wzbudzała w nim rodząca się świadomość, że jego rola może niebawem okazać się bardzo znacząca.

Kristine zadzwoniła nazajutrz przed południem. Odebrał telefon w głównej sypialni na górze i przysiadł na brzeżku łoża z baldachimem.

- Michael, przepraszam za wczorajszy wieczór. - Sprawiała wrażenie zmęczonej; mówiła pozbawionym niemal modulacji głosem.

- Ja też.

- Dalej jest źle. Nie wiem, do kogo mogę się zwrócić.

- Chyba nic ci już nie zrobił?

- Nie. Wsiadł w samochód i odjechał; nie wiem, gdzie teraz jest. Miałam jeden telefon... ale nie od niego. Od jakiegoś starszego mężczyzny. Wymienił twoje nazwisko. I powiedział, że szykują się straszne rzeczy.

Michael spuścił wzrok na swoje przedramiona. Porastające je włoski stały dęba.

- Przedstawił ci się?

- Nie. Domyślasz się, kto to mógł być?

- Nie jestem pewien - odparł Michael przymykając oczy.

- Miałam dzisiaj omówić sprawę koncertu z dziekanem wydziału. Teraz nie wiem, co mam robić. Michael, ten człowiek powiedział, że rękopis należy spalić. Nie musiał precyzować, o jaki rękopis chodzi. Chyba oboje wiemy, co miał na myśli?

- Tak.

- To jakiś żartowniś, prawda?

- Nie wiem.

- Zdenerwował mnie. Wszystko mnie teraz denerwuje.

- Chyba powinnaś się stamtąd wyprowadzić - zasugerował Michael.

- Och? A dokąd?

Michael nie odpowiedział.

- Hmm, no więc właśnie się pakuję. Poprosiłam kilka przyjaciółek, żeby znalazły mi jakieś lokum. Za wynajęcie byle kąta żądają dzisiaj bajońskich sum.

- Mogłabyś się przeprowadzić tutaj - wyrwało się Michaelowi i natychmiast tego pożałował.

Po drugiej stronie zapadło na dłuższą chwilę milczenie.

- To nie takie proste, wiesz dlaczego - usłyszał w końcu jej głos.

- Owszem. Ale dom jest duży i...

- Przemyślę to sobie. Jestem teraz u siebie. Po południu pojedę autobusem na uniwersytet i spróbuję trochę popracować. - Najwyraźniej pozostawiała sprawę otwartą.

- To może się później spotkamy? - zaproponował Michael. - Żadnych rozmów o koncercie ani o niczym ważnym. Najzwyczajniejsza pogawędka.

- Świetny pomysł - odparła z ulgą w głosie. - Michael, to co się stało na ulicy...

- Przepraszam...

- Nie w tym rzecz... to było głupie, zwariowane, ale chciałam ci podziękować. Zachowałeś się po rycersku.

Umówili się o piątej, przed Royce Hall na terenie kampusu. Michael otworzył oczy i odłożył słuchawkę na widelki starego, czarnego aparatu.

Odciski stóp na środku zakurzonej podłogi. Wpis do czystego notatnika. Gdzieś na samych obrzeżach sondy, którą prowadził podczas rozmowy telefonicznej, wyczuwał czyjąś obecność. W powietrzu wisiało jakieś zepsucie, od którego ścisnął mu się żołądek i kurczyły mięśnie.

Przeciągnął się i przez kilka minut ćwiczył dyscyplinę na twardej, drewnianej podłodze.

David Clarkham nie zginął w pożarze, który strawił jego Xanadu. Jakimś cudem udało mu się ująć z życiem i był teraz w Los Angeles, a już na pewno na Ziemi, i nie życzył sobie, by koncert został wykonany.

Pod powierzchnią napięcia i obawy roztaczała się spokojna oaza, której obecność Michael wyczuwał podświadomie dopiero od kilku tygodni. Częstka Michaela Perrina, która czekała i wzrastała w owej spokojnej oazie, ciekawa była, do czego posunie się Clarkham, żeby nie dopuścić do premiery.

Kristine, stojąc samotnie z rękami wbitymi w kieszenie wyszczotkowanego zamszowego płaszcza, wyglądała bardzo niepozornie na tle ceglanej fasady sędziwego Royce Hall. Michael przeciął trawnik i podszedł do niej betonową alejką. Odwróciła się w jego stronę i uśmiechnęła z ledwie skrywanym smutkiem.

Teraz nie miał już żadnych wątpliwości. Był po uszy zakochany w Kristine Pendeers. Objęła go na moment, po czym odsunęła się.

- Próbowałam złapać Tommy'ego przez telefon w garażu, w którym pracuje. Kolejny dzień z rzędu się tam nie zjawił. Nie wiedzą, co się z nim dzieje.

Michael wytłumił emocje, jakie się w nim obudziły na dźwięk imienia Tommy'ego.

- Niepokoję się o niego - ciągnęła. - On po prostu nie potrafi się kontrolować.

- A jak twoja sytuacja? Mogę ci pomóc w znalezieniu jakiegoś lokalu.

- Byłabym wdzięczna. Moi przyjaciele też szukają. Z pensją asystentki nie mogę sobie jednak pozwolić na wiele. - Podeszli do ławki i usiedli. Kristine założyła nogę na nogę, opadła na oparcie i odchyliła do tyłu głowę, zwracając twarz ku jasnemu, popielatemu niebu.

- Ty wiesz, kto do mnie dzwonił, prawda?

- Nazywał się - tak sędzę - David Clarkham. Jest bardzo stary. Pomagał Arno przy komponowaniu Opus 45.

- Ile ma lat?

- Kilkaset - odparł po prostu Michael. Kristine usiadła prosto i spojrzała na niego. - Matce i ojcu, oraz temu detektywowi, porucznikowi Harveyowi, opowiedziałem już, co się ze mną działo, kiedy zniknąłem.

- Sprawileś mi zawód - mruknęła Kristine. - Myślałam, że mnie pierwszej się zwierzysz. - Michael nie potrafił określić, ile w tym było ironii: z jej twarzy nie dało się tego wyczytać.

- Czy wierzysz w to, co powiedziałem... że może ci teraz zagrażać niebezpieczeństwo? Pokiwała głową, nie odrywając od niego wzroku.

- Opowiesz mi? - spytała.

- Opowiem - odparł.

- I nadal dążymy do wykonania koncertu, o ile uda mi się wszystko zorganizować?

- Tak.

- Mam biurko w pokoju w gmachu wydziału muzykologii. Możemy tam porozmawiać. Będzie przytulniej.

Michael przystał na jej propozycję. Ruszyli przez kampus, mijając po drodze skromny i nowoczesny Schönberg Hall. Michael rozpoczął swoją opowieść, zanim jeszcze znaleźli się w pokoiku.

Zdażył już nabrać nieco wprawy w opowiadaniu. Tym razem zmieścił się w czasie o wiele krótszym, bo pomijał nieistotne szczegóły.

Zjedli obiad w niewielkiej pizzerii w Westwood, po czym wybrali się do jednego z mniejszych kin na film Woody'ego Allena. Kristine najwyraźniej przyswajała sobie i uporządkowywała w głowie to, co usłyszała; nie przejawiała bowiem większego zainteresowania przebiegiem akcji na ekranie. Ich ręce zetknęły się na przedzielającej fotele poręczy i Michael wziął ją za przegub.

- Musiałeś umierać ze strachu - szepnęła.

- Tak było - przyznał.

- A więc wiesz, jak to jest z tymi widzeniami?

- Domyślam się.

- Myślałam, że jesteś niebezpieczny - powiedziała. - I miałam rację. Tylko tego było mi do szczęścia potrzeba.

- W twojej sytuacji... - zgodził się Michael. Siedząca w rzędzie przed nimi para w średnim wieku odwróciła równocześnie głowy i obrzuciła ich strofującym spojrzeniem.

- Chodźmy stąd - mruknęła Kristine. Michaelowi przemknęło przez myśl, że szkoda tych piętnastu dolarów za bilety. Znaleźli się z powrotem na ulicach Westwood i Kristine oprowadziła go po kilku sklepach z odzieżą, pokazując sukienki, które by sobie kupiła, gdyby było ją stać. Wciąż przetrawiała w duchu opowieść.

- Nie jesteś szalony - stwierdziła, kiedy opuścili butik specjalizujący się we współczesnych kreacjach japońskich. - To znaczy, wierzę ci... w pewnym sensie. Ale czy mógłbyś mi coś pokazać, choćby tę *hylokę*, czy jak to się tam nazywa?

- Raczej nie - odparł Michael. - Za nic na świecie nie chciałbym wyjść w twoich oczach na jakiegoś cudaka.

Pokiwała głową, pomyślała chwilę i odezwała się znowu:

- Nie chcę dzisiaj wracać do domu w South Bronson i nie jestem gotowa, by się z tobą kochać. Ale chciałabym do ciebie pójść. A może pokazałbyś mi dom Clarkhama? Mogłabym zahaczyć myśli o coś materialnego.

- Zgoda.

- I wcale nie wezmę cię za cudaka, jeśli pokażesz mi trochę magii, kiedy będziemy już w domu Waltiriego.

Michael nie odpowiedział. Zawrócili w stronę parkingu, gdzie zostawił swojego Saaba.

Michael leżał na wąskim, gościnnym łóżku z głową wspartą na splecionych dłoniach. Po małym pokazie, jaki zademonstrował Kristine, wciąż bolał go czubek palca. Biorąc sobie za przykład podpatrzoną w Królestwie sztukę Biriego, Michael wyszukał w ogródku za domem spory kamień i przytknąwszy doń palec wskazujący rozłupał go na cztery części bez najmniejszego odprysku. Kristine odskoczyła przerażona, a potem zaproponowała nieśmiało, żeby weszli już do domu.

Spała teraz w głównej sypialni, Michael wiedział o tym bez sondowania jej aury. Obecność świadomością na wielu płaszczyznach przychodziła mu teraz jakby sama z siebie. Wyczuwał oddech pogrążonych we śnie ludzi w okolicy, miał wrażenie, że słyszy, jak obraca się świat, a rozpościerające się nad głową konstelacje gwiazd widział niemal jak na dłoni poprzez sufit domu i zasnuwające nieboskłon chmury. Daleko na wschodzie, za górami, szalała burza; wyczuwał, jak deszcz bije w dachy odległych budynków, jezdnie, liście drzew i źdźbła trawy.

Ile w tym było wyobraźni, nie potrafił stwierdzić, ale sądził, że wcale. Michael po prostu dostrajał się do swojego świata. Jego wewnętrzny oddech synchronizował z drganiem molekuł w samym powietrzu, świszcząc unisono z ich wielokrotnymi zderzeniami. Miał wrażenie, że o rządzących atomami prawach dowiaduje się znacznie więcej, niż nauczył się przez całą szkołę.

Wiedział, jak każda cząsteczka informuje o swoim położeniu i naturze wszystkie inne cząsteczki: wydobywa posłańca ze studni nicości i wysyła go, natomiast cząsteczka odbierająca, wysawszy z posłańca wszystkie informacje, spuszcza go z powrotem w nicość. Trochę go to rozbawiło; między atomami we wszechświecie nie fruują żadne strzępki telegramów.

Tak, gdyby on projektował ten świat, takie rozwiązanie bardzo by mu się przydało.

Tuż przed odpłynięciem w sen wydało mu się, że czuje śpiew samej próżni; nie pustej, a pełnej niewiarygodnego potencjału - podłoża, na które świat jest tylko nałożony i wydaje się, że może go zmieść dostatecznie silna wola. Albo, co bardziej prawdopodobne, że na to podłożu stworzenia może zostać nałożony inny szablon - do złudzenia podobny, ale różniący się w masie szczegółów.

Ułożył fragment wiersza, wracając raz po raz do napisanych już słów i redagując tekst kilkakrotnie, aż wyszło mu:

Oto się objawia

Wątek tkaczki oczom.

Tańczą prządek motki,

Tu skręć, tam skocz.

Szarpnąć nicią czasu

Zakręcić atomem;

Węzeł taki zsupła

Śmierć kamiennym szponem.

Niechaj się ścieg kwiatu

Syci światłem złotem.

Nocną porą padnie,

Ścięty jego splotem.

Michael rozważał przez jakiś czas możliwość formowania rozmaitych rzeczywistości przez tych, którzy nie są bogami. Jednak owe karkołomne dywagacje były tak zawile i naciągane, że szybko podryfował z powrotem ku bardziej przyziemnym sprawom.

Nie był wcale rozczarowany, że do tej nocy Kristine nie dzieliła z nim łóżka. W miłości potrafił zachować cierpliwość. Była jeszcze spłoszona, ale już mu ufała i ofiarowała bezcenny dar, nie kwestionując prawdziwości jego opowiadania historii.

Uśmiechnął się w swoim transie. Nadal snuł filozoficzne rozważania, nadal wyczuwał pewną, regularną egzystencję śpiącej Kristine. Rad pozostałby w tym błogim stanie na zawsze, ale zdawał sobie sprawę, jak kruche są jego fundamenty.

Powiedział już wszystkim, którzy się liczyli, co do których żywił choćby najcichszą nadzieję, że mu uwierzą. Gdyby zachował sekret, gdyby stchórzył i nie puścił pary z ust, byłby zmuszony tańczyć tak, jak zagra mu Clarkham.

Nie będzie osamotniony.

Podejrzewał, że oto, doprawdy niewielkim kosztem, zyskał nieco na czasie.

A jednak, na samych obrzeżach jego percepcji, wciąż panoszyła się zgnilizna, trop Izomaga.

Clarkham wciąż miał nad Michaeliem przewagę: znany tylko jemu plan. Michael nie wiedział właściwie, co ma robić; nie znał nawet natury tego, co nadciąga.

10

Na dole ktoś łomotał zawzięcie do drzwi. Michael wyrwał się ze snu - sny były teraz niebezpieczne, bo ograniczały krąg jego świadomości - wyskoczył z łóżka, chwycił szlafrok i okrył nim swoją nagość. Wypadłszy na korytarz ujrzał Kristine stojącą w progu głównej sypialni. Miała na sobie nocną koszulę ze zwykłej, granatowej flaneli, należąca kiedyś do Goldy.

- Ktoś się dobija - wymamrotała zaspanym głosem.

Zbiegając boso po schodach, Michael rozszerzył zasięg świadomości. Aura stojącej za drzwiami osoby, mężczyzny, była znajoma i przyjazna, chociaż mąciła ją leciutka nieprawidłowość...

Otworzył drzwi. Ujrzał brodatego faceta po czterdziestce, masywnej postury, odzianego jak traper z powieści Londona, w skóry i futra, z przewieszoną przez ramię płócienną torbę. Krótkie siwe włosy sterczały mu we wszystkie strony.

- Nikołaj!

- Bogu dzięki - westchnął przybysz z nieznacznym rosyjskim akcentem. - Ile ja się naszukałem tego miejsca. Nie znam dzisiejszego Los Angeles, Michael. - Położył na stopniu płócienną torbę i dwukrotnie przycisnął Michaela do piersi, całując go z dubeltówki w oba policzki.

- Skąd się tu wzięłeś? - Michael nie posiadał się ze zdumienia; ostatnim razem widział Nikołaja w Królestwie, kiedy stali wraz z Birim, nowicjuszem z rodu Sidhów, oraz pokojówką Clarkhama, Morą, na przedpolu imitacji Xanadu.

- Przeszedłem - odparł Nikołaj.

Michael wpuścił go do środka; z pierwszego stopnia schodów przyglądała im się Kristine.

- To przyjaciel - zwrócił się do niej Michael. - Nazywa się Nikołaj Kuprin.

- Nikołaj Nikołajewicz Kuprin, dla przyjaciół Kola. - Uśmiechając się nieśmiało Nikołaj wrócił na ganek po swoją torbę.

- Nikołaj, to jest Kristine Pendeers.

- Krasawica, krasawica - szepnęła Nikołaj wpatrując się w nią z wprawiającą w zakłopotanie koncentracją. - Cała przyjemność po mojej stronie. - Ujął delikatnie jej dłoń; Kristine, co zauważył Michael, wyciągnęła do Nikołaja rękę po kobiecemu, podając mu same palce. - Nie widziałem ludzkiej kobiety od... eee, gdybym to ja wiedział od jak dawna. Zaraz się rozplaczę. Kryję się tu po kątach, chodzę nocami, bo chyba trochę podejrzenie wyglądam, nie uważacie?

- Jak przeszedłeś? - spytał Michael.

- Bardzo źle się teraz dzieje w Królestwie - odparł Nikołaj. - Podejrzewam, że mógł umrzeć Adonna. Nie ma nic pewnego.

- Czy to ten Nikołaj? - spytała Kristine głosem o oktawę wyższym.

- Powiedziałeś jej? To dobrze. Trzeba wszystkich przygotować.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - przypomniał mu Michael, zbyt zdumiony i uradowany, by okazać zniecierpliwienie.

- Bo trochę mi głupio - wyznał Nikołaj. - Oszukałem Kapłankę Godzin. Skorzystałem z kamieni przejściowych w Inyas Trai. - Wymieniwszy tę nazwę przeżegnał się prędko. - Rady Delf i Eleu zostały rozwiązane...

- Wiesz o nich?

- Tak, tak, Eleu wspiera udział ludzi w tworzeniu nowego świata, a Delf się temu sprzeciwia... Rada Delf opowiedziała się po stronie Malnu. Obie są teraz rozwiązane, i nawet w Malnie wszystko przewróciło się do góry nogami. Tarax gdzieś zniknął. Kryzys wszystkich podzielił. W Inyas Trai - ponownie się przeżegnał - znowu pełno Sidhów, obu płci i każdego rodzaju. Przygotowują kamienie do migracji. Wiele tysięcy już się przeniosło. Istny exodus. A tam są takie masy ludzi... nie śmiałem nigdy przypuszczać, że aż tylu ich jest w Królestwie! Tysiące. Skąd się tam wzięli? Nie mam pojęcia! Ale oddzieliłem się od tych więzionych w Euterpe. Musiałem wrócić na Ziemię, żeby cię ostrzec. Skorzystałem z kamienia nie udostępnionego jeszcze podróżującym. Nie jestem pewien, czy dobrze zrobiłem. - Rozejrzał się zauroczony po pokoju, rozdziawiając szeroko usta. - Jak znajomo. Jak pięknie. Zupełnie jak u moich rodziców w Pasadenie.

- Czemu nie jesteś pewien? - spytał Michael, wyczuwając znów w aurze Nikołaja pewną nieprawidłowość.

- Nie czuję się za dobrze. Czasami wszystko wydaje mi się jak malowanka na szkle. Widzę na przestrzał. Może kamień nie był... - Wzruszył ramionami. - Jestem zmęczony. Mogę usiąść?

Weszli do living roomu i Nikołaj położył się na kanapie, po czym wykręcił szyję, żeby spojrzeć na fortepian.

- Piękny instrument - pochwalił. - Twój?

- Należał do Arno Waltiriego - wyjaśnił Michael.

Pomimo wyczerpania Nikołaj zeszywniał.

- Wiesz o Waltirim? - spytał.

- Wiem tyle, że był magiem - odparł Michael.

- Magiem Cledarów. - Nikołaj przeniósł wzrok na Kristine i kiedy się uśmiechnął, jego ściągnięta, umorusana twarz rozjarzyła się jakby od środka. - Ptaki. Muzykalna rasa. Współpracował z Radą Eleu, głównie na Ziemi. Krążyła pogłoska, że Maln uprowadzał z Ziemi ludzi, takich jak Emma Livry... Zbyt wiele chaosu, zbyt wiele pogłosek.

- Nie powiedziałem jeszcze Kristine wszystkiego - rzekł Michael. - Dokąd migrują Sidhowie?

- Byłem obecny na ostatnim posiedzeniu Rady Eleu - odparł Nikołaj. - Kapłanka Godzin domagała się obecności jakiegoś człowieka, a ja najbardziej się nadawałem. Kapłanka weszła w skład Rady, ale jakie ma teraz zamiary, nie wiem. Nie mam pojęcia, co się dzieje w Irall. Maln nie zapuszcza się do Inyas Trai.

Kristine potrząsnęła głową, kompletnie zdezorientowana.

- Gada zupełnie jak ty - powiedziała.

- Nie powątpiewaj w słowa mojego przyjaciela - poradził poważnym tonem Nikołaj, unosząc się na łokciu, by na nią spojrzeć. - Choćby ci się wydawało, że plecie trzy po trzy. Michael to bardzo potężny facet. Okpił Izomaga i zniszczył go.

- Clarkham nie zginął - zauważył Michael. - Dokąd migrują Sidhowie? Proszę, Nikołaju, odpowiedz mi. To ważne.

- Z powrotem na Ziemię. Nie mają dość mocy, żeby udać się gdziekolwiek indziej. Tworząc Królestwo, Adonna umieścił je na sznurze światów koło Ziemi. Pozostaje im tylko wrócić.

- To te widzenia? - spytała Kristine.

- Tak mi się wydaje - odparł Michael.

- Kamień, przez który się przeniosłem, prowadzi prosto do Los Angeles - powiedział Nikołaj. - Licho wie dlaczego. Jeśli nie palnąłem jakiegoś głupstwa... - Opadł na poduszkę i przymknął oczy. - Masz aspirynę?

Michael przyniósł buteleczkę aspiryny i szklanę wody.

- W jakie konkretnie miejsce cię przeniosło? - spytał przykucając przy kanapie i wkładając Nikołajowi w dłoń dwie tabletki.

- Do Hollywood - odparł Nikołaj przełknąwszy pigułki i popiwszy je wodą. - Do jakiegoś wysokiego gmachu przy Bulwarze Zachodzącego Słońca. W środku jeden brud, smród i ubóstwo.

- Jesteś głodny? - spytała Kristine. Nikołaj spojrzał na nią jak na świętą.

- Jak wilk - odparł.

- No to zjedzmy śniadanie. - Poszła do kuchni. Nikołaj uśmiechnął się leciutko do Michaela.

- Jest bardzo miła - powiedział. - Dobrze ci się wiedzie, odkąd powróciłeś?

- Jestem zdrowy, coraz silniejszy - odparł Michael.

Nikołaj zmierzył go przenikliwym spojrzeniem.

- Silniejszy, znaczy się w rękach, w nogach?

- To też - przyznał Michael.

- Zaskoczyłem cię swoim powrotem, co? Nie jestem wielkim magiem i nawet Sidhowie niewiele się mną interesowali, a jednak udało mi się wrócić do domu albo prawie. Jaki mamy rok... znaczy się, tak naprawdę? Patrząc na miasto i mam wrażenie, że mogły minąć nawet stulecia.

- Jest rok 1990 - odparł Michael. - Dwunasty maja.

Na twarzy Nikołaja zagościł smutek zmieszany z konsternacją.

- Nie jest tak źle, jak myślałem. Tyle zmian! Jestem teraz jak Rip van Winkle, prawda?

Michael skinął głową.

- Między upływem czasu tutaj i w Królestwie nie ma, zdaje się, żadnego związku - powiedział. - Przeniosłem się na kilka zaledwie miesięcy, gdy tymczasem na Ziemi minęło całe pięć lat. Z kolei ty...

- Wspaniale cię znowu widzieć, wspaniale - wpadł mu w słowo Nikołaj. - Mąci mi się we łbie. Myśli się rozbiegają. Może jak coś przekąszę.

Michael wyciągnął nad Nikołajem ręce i zmarszczył czoło. Aura mężczyzny była niezmiernie słaba, prawie niewyczuwalna. Również poranne światło wpadające przez

frontowe okna odbijało się w oczach Nikołaja jakoś nie tak jak powinno - refleksy były dziwnie rozmyte, matowe.

Nikołaj wstał z kanapy i zatoczywszy się, potrząsnął głową. Weszli do kuchni, gdzie krzątała się Kristine, i zajęli miejsca przy małym stole. Kristine pochwaliła Michaela za zaopatrzenie spiżarni.

- Jesteś samodzielny - przyznała. - Większość kawalerów zachowuje się tak, jakby cały czas mieli na zawołanie mamusi, które wszystko za nich robią.

- Większość kobiet, które znam, dawno by już sfiksowała - odparł Michael.

- Sfiksowała? - powtórzył Nikołaj, przeżuując kromkę tosta, którą posmarował grubo masłem i marmoladą. - Czy to znaczy zwariowała?

- Jak długo go nie było? - spytała Michaela Kristine.

- Jakieś sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat - odparł Michael.

- Sześćdziesiąt siedem - sprecyzował Nikołaj. - Świetna by była z pani tancerka, panno Pendeers.

- Mam za ciężkie biodra i nogi - odpowiedziała.

- Ależ skąd. Najważniejsza jest siła i gracia. Grację pani ma, a siłę... - Powolnym ruchem odłożył ostatni kawałek tosta na talerz. - Oj, Michael, źle jest. To nie działa.

Michael już w ogóle nie wyczuwał jego aury. Wyciągnął instynktownie obie ręce, by przytrzymać Nikołaja.

- Wracam! - ryknął Nikołaj zrywając się z miejsca tak gwałtownie, że zachybotał się stół. Wzniósł ręce do sufitu i czepiając się rozpaczliwie powietrza, jęknął: - Litości, nie...

Ostatnie słowo przeciągnęło się w piskliwy skrzek. Stół zakołysał się, stojące na nim słoiki dżemu poprzewracały się, a kawa chlusnęła z filiżanek. Kristine krzyknęła i przywarła tyłem do zlewu. Michael zdążył jeszcze pochwycić Nikołaja za skórzaną kurtkę i czuł teraz, jak materiał wije mu się między palcami jak żywy.

Stół uspokoił się, a jedna z filiżanek sturlała na podłogę i stłukła. W miejscu, gdzie przed chwilą stał Nikołaj, rozgrzane powietrze drgało, jeszcze przez chwilę zachowując jego kształt. Nikołaj przepadł.

Kristine wybuchnęła płaczem.

- Michael, co się z nim stało? - Objęła się ramionami i odchyliła do tyłu nad zlew.

Michael odszedł od stołu i stanął ze zwieszonymi wzdłuż tułowia rękami, zaciskając i rozprostowując bezradnie palce.

- Co się stało? - spytała jeszcze raz, nieco ciszej.

- Chyba powrócił do Królestwa - odparł Michael. Jajka, które Kristine zaczęła uprzednio smażyć, dymiły teraz w żelaznym rondlu. Podniósł rondel z kuchenki, przeniósł ostrożnie obok Kristine, wstawił do zlewu i zalał wodą. Przyglądała mu się jak zahipnotyzowana.

- To nie są czyjeś głupie kawały? - upewniła się. - To się dzieje na poważnie?

Michael pokiwał głową i wzięwszy ją za rękę posadził na krześle, które wcześniej sam zajmował. Ustawił przewrócone krzesło Nikołaja i przesunął palcami po jego siedzeniu, jakby szukał tam jakiegoś śladu przyjaciela. Kristine, nie patrząc na niego, siedziała w milczeniu przez kilka dłuższych chwil. Stopniowo jej oddech uspokajał się i nie przełykała już tak często śliny.

- Nadal chcesz się angażować? - spytał Michael.

- W koncert? - Wzruszyła gwałtownie ramionami. Ręce jej dygotały. - Tak. Zmroziło mi krew w żyłach. To... - Michael ścisnął dłoń Kristine i wpatrywał się intensywnie w jej twarz - ...było zupełnie inne niż wszystko, co dotychczas przeżyłam. Znaczy się, to oczywiste, ale... Niewiarygodne. - Była pijana strachem i podnieceniem. - Chcę się dalej angażować. Tak, chcę!

- Dlaczego? - spytał Michael niemal gniewnym tonem. - Widziałaś, co się stało z Nikołajem. To nie przelewki.

- Więc czego ode mnie oczekujesz? Żebym się wycofała? Nie rozumiem cię.

- Jestem wściekły na siebie - powiedział Michael.

- To już twoja sprawa - odparła Kristine. - Uważam, że nieźle mi idzie.

Michael roześmiał się i pokręcił głową, po czym usiadł na krześle Nikołaja.

- Wydaje ci się, że to przygoda - stwierdził.

- A nie?

- Zdajesz sobie sprawę z niebezpieczeństwa?

- Czy Nikołaj nie żyje?

- Nie sądzę.

- Czy ktoś będzie usiłował mnie zabić? Nas?

- Bardzo możliwe - powiedział Michael. - Jeśli nie gorzej. Sidhowie są zdolni przemieniać ludzi w monstra albo trzymać ich w niewoli.

- Kiedy miałam dziewiętnaście lat - odezwała się po chwili ze słodką, na pozór spokojną miną - myślałam o samobójstwie. Właściwie byłam już na nie zdecydowana. Sztuka i muzyka są wspaniałe, ale czy mogą cokolwiek wyjaśnić? Czy mogły powiedzieć mi, po co żyję i o co chodzi na tym świecie? Wątpiłam w to. I od tamtego czasu żyję w kompromisie;

nie popełnię samobójstwa, bo zawsze istnieje jakaś szansa, że stanie się coś, co wszystko wyjaśni.

W Kristine była jakaś głębia, której jeszcze nie zaczął nawet badać. W jej słowach wyczuwał bez sondowania melancholię i zagubienie, które nim wstrząsnęły.

- Kiedy słuchałam twojej opowieści, miałam zwariowaną nadzieję, że to wszystko prawda i że nie jesteś stuknięty, ani mnie nie nabierasz. Nawet gdyby świat miał się istotnie okazać ścianą z papieru, a wszystko, czego się nauczyłam, nieprawdą. Bo to znaczyło, że za wszystkim coś jeszcze jest, jakiś cel albo większe... - Przebierała chwilę palcami prawej ręki, szukając odpowiedniego słowa. - Coś. Życie to przeważnie takie bagno, a wszystko, co powinno się w nim liczyć, miłość, praca i cała reszta, bywa tak małe i prozaiczne. Widziałam teraz na własne oczy jak człowiek, potwierdziwszy twoją opowieść, zniknął jak kamfora. I...

Policzki miała mokre od łez.

- A niech to - burknęła ocierając je zdecydowanym ruchem. - Jestem tak cholernie wdzięczna i wystraszona, i podniecona. A więc jest coś jeszcze, może się wreszcie dowiem, może będę jeszcze kimś naprawdę ważnym.

Michael uśmiechnął się.

- Zuch z ciebie - powiedział.

- Dlaczego musimy wykonać koncert? - spytała, nie wyrażając żadnych wątpliwości co do samego projektu, a pytając jedynie o motyw.

- Sam chciałbym wiedzieć.

Kristine zatrzymała się w domu Waltiriego tylko na dwie noce. Później znalazła sobie małą kawalerkę, w której zamieszkała ze starszą od siebie studentką geologii, spędzającą większość czasu na ekspedycjach naukowych na pustyni Mojave. O Tommym nie padło już ani jedno słowo; wyglądało na to, że zerwanie było definitywne. Kristine nie wspomniała też więcej o Nikołaju; jej graniczący niemal z paniką entuzjazm tamtego dnia wkrótce najwyraźniej uległ ostudzeniu.

Nadal z gorączkowym zaangażowaniem oddawała się przygotowaniom do koncertu, ale kiedy tylko powstawała sytuacja sprzyjająca czemuś więcej - czemuś bardziej intymnemu - pośpiesznie się wycofywała. W jej oczach pojawił się jakiś nieokreślony wyraz. Michael, choć go koreciło, nie sondował jej aury. Jego własne emocje jakby się niepostrzeżenie zneutralizowały. Ilekroć się teraz spotykali i dyskutowali nad wykonaniem koncertu, czuł się

bardziej odprężony i otwarty, swobodny. Choć byli sobą nawzajem zainteresowani, ich związek nie pogłębiał się. Kristine musiała wprawdzie dokonać przewartościowania, Michael zresztą również.

W domu Waltiriego zjawiali się studenci z uniwersytetu i odjeżdżali obładowani papierami. Przez tydzień Michael po prostu schodził z drogi grupie muzykologów i bibliotekarzy, którzy od szóstej rano do ósmej wieczorem katalogowali, przegrywali i zabezpieczali nagrania Waltiriego. Pracowali zazwyczaj w gabinecie muzycznym.

Tak minęły dwa tygodnie. Nie doświadczył już więcej żadnych wizji ani objawień, a i media nie donosiły o niczym bezsprzecznie niezwykłym. Odwiedził dwukrotnie pensjonat Tippett i złożył powtórnie wizytę w domu Clarkhama, ale za każdym razem zastawał tam tylko ciszę i spokój.

Ów spokojny okres miał się niebawem skończyć.

W głównej sypialni zaczął sypiać pod koniec maja. Bytność Kristine w tym pokoju złamała jakby nie pisane tabu, jakie dla Michaela wiązało się z małżeńskim łóżem Arno i Goldy. Zauważył, że tu śpi mu się spokojniej; cisza była jeszcze większa niż w pozostałej części domu. W tym pokoju jego świadomość podczas snu była bardziej wyostrzona.

Pewnej pochmurnej, deszczowej nocy na początku czerwca Michaelowi przyśniło się, że Morzole ponownie zasiedlają ziemskie oceany.

Unosił się tuż nad falami głębokiego oceanu, których grzbiety sięgały czterdziestu stóp. Na horyzoncie odrażająco wspaniały zachód słońca wkraczał w swój punkt kulminacyjny, zwieńczając każdą falę czerwienią i złotem. Od przycupniętego nad widnokretem czerwonego słońca nadciągały ku wschodowi kolumny chmur, z których każda nosiła czapę gasnącego blasku i spoczywała na poduszce beżu. Na północy lało jak z cebra. Michael czuł świeżość oceanicznej bryzy i chłód wodnego pyłu; był w stanie wyłowić zapach soli i rzeźwiącą woń deszczu. Nigdy nie czuł się bardziej żywy, chociaż zdawał sobie sprawę, że śni, i że jego cielesną powłokę dzieli w rzeczywistości szmat drogi od tego, co widzi.

Na zachodzie ściemniało się; chmury przybrały barwę szarą i brunatną, zaś ich brzegi - zielonkawą. Wydawało mu się, że patrzy prosto w zenit, obracając jakoś swoją bezcielesność, i bardziej wyczuwał, niż widział nieciągłość w zwartej, szarej chmurze sunącej wysoko nad jego głową. Zaczęła padać woda - nie deszcz, ale słonawa rdzawa ciecz, jak ta w morzu za Xanadu Clarkhama. Michaelowi przyszły na myśl wody odchodzące podczas porodu. Spód chmury zżerało promieniowanie czerni, z której lał się cały ocean, i to nie kroplami, lecz ciągłymi kolumnami o średnicy wielu jardów. W kolumnach tych Michael dostrzegł morsko-zielonych Sidhów obu płci, zlatujących wodospadem płetwiastymi stopami

do przodu, z ramionami uniesionymi wysoko nad głową, z palcami splecionymi w modlitewnym geście i ze spuszczoneymi w dół oczami: wokół nich zaś unosiły się ogromne bąble powietrza uwięzionego między słupami wody, a rozpościerającym się poniżej ziemskim morzem.

Ocean, jak okiem sięgnąć, był jednym kłębowiskiem piany, a powietrze wypełniał huk, który rozsądziłby mu bębni w uszach - gdyby słuchał uszami. Słupy wody, bijące z impetem w powierzchnię morza, wzniewały rozchodzące się we wszystkie strony niebotyczne bałwany.

W końcu niebo zamknęło się, a chmura rozwinęła.

Pole widzenia znacznie się teraz poszerzyło i Michael popatrzył w dół na wzburzone ziemskie morze. Jego cytrynowozielona powierzchnia kipiała. Horyzont ze wszech stron zasnuwała mgła i słone opary.

Wpierw dziesiątki, później setki, tysiące; wreszcie niezliczone rzesze Sidhów wynurzyły się równymi rzędami na powierzchnię, uformowały pod falami w cylindryczne szyki i zaczęły powoli odpływać z miejsca, w które wduśił je wodospad.

Michael ocknął się gwałtownie i leżał na łóżku, zimny jak lód. Trzeba było kilku minut *hyloki*, żeby jego ciało z powrotem się ogrzało.

- Zaczynała się masowa migracja.

*

Kristine znalazła miejsce na parkingu, naprzeciwko bramy wytwórni od strony Gower Street.

- Edgar ma teraz urwanie głowy. Przygotowuje sesję nagraniową ścieżki dźwiękowej do nowego filmu Leana... rozumiesz, to dla niego prawdziwy przełom. Lean zawsze korzystał z usług Maurice'a Jarre'a.

Michael skinął głową, bardziej zainteresowany obejrzeniem wytwórni niż sławnymi skądinąd nazwiskami. Nagie brązowe mury kojarzyły się bardziej z zakładami przemysłu ciężkiego niż z siedzibą fabryki snów.

Kristine przeszła przez ulicę i otworzyła przed nim oszklone drzwi, wskazując ruchem głowy recepcję po lewej stronie niewielkiej poczekalni. Za kontuarem siedziała kobieta w szaroniebieskim mundurze służb ochrony. Przed nią leżał terminarz i stał terminal komputerowy. Uśmiechnęła się do Kristine.

- Betty, to jest Michael Perrin - dokonała prezentacji Kristine. - Betty Folger. Zazwyczaj wyprasza za drzwi takie pospólstwo jak my, ale...

- Do pana Moffata? - spytała z uśmiechem Betty. Sprawdziła coś na ekranie monitora i zajrzała do terminarza. - Zapisał was na jedenastą trzydzieści. Do studia nagraniowego 3B jest pięć minut drogi. Jeśli wyruszyacie zaraz, zdążycie dokładnie na czas. - Chciała im podać plan kompleksu, ale Kristine machnęła ręką.

- Znam drogę - powiedziała. - Dziękujemy.

Michael podążył za nią, zdumiony panującą wewnątrz gmachu ciszą i atmosferą ładu. Kristine poprowadziła go korytarzem, po obu stronach którego mieściły się rozmaite biura. Wyszli na zewnątrz, przecięli mały skwerek ocieniony drzewkami oliwnymi i wkroczyli między dwa olbrzymie, podobne do hangarów studia. Za nimi, a przed dwoma następnymi, ograniczone sztucznym tłem imitującym niebo i skały, przycupnęło oryginalne miasteczko wyjęte żywcem z Dzikiego Zachodu. Teraz było wyludnione, wyjąwszy ekipę robotników i niebieskiego Forda pickupa załadowanego farbami i różnymi materiałami.

- Niezwykłe, prawda? - zachwyciła się Kristine.

Michael przyznał jej rację. Nigdy przedtem nie składał wizyty w żadnej wytwórni. Znał wprawdzie podstawy produkcji filmowej - zdjęcia w plenerach, dekoracje wewnętrzne montowane w studiach, efekty specjalne; ale to co teraz zobaczył i tak go olśniło.

Przeszli krawędzią płytkiego suchego basenu, zajmującego co najmniej dwa akry powierzchni, ku środkowi którego wybiegało molo z surowych desek. Na ścianie wyrastającego zaraz za basenem studia wymalowane było monumentalnej wielkości niebo upstrzone obłoczkami. Fundamenty studia przesłaniał szereg namalowanych, martwych palm.

- Do 3B musimy teraz zawrócić - poinformowała Kristine. - Nadłożyliśmy trochę drogi. Chciałam po kazać ci dekoracje. Żadna wycieczka nie może się obejść bez ich zaliczenia.

Wkroczyli do długiego białego, piętrowego budynku usytuowanego naprzeciwko posterunku wewnętrznej straży pożarnej, przeszli jeszcze jednym chłodnym, ciemnym korytarzem o ścianach obwieszonych oprawami w ramki zdjęciami dyrektorów wytwórni, kompozytorów oraz planów filmowych i zatrzymali się przed drzwiami oznaczonymi tabliczką: „3B - Nie upoważnionym wstęp wzbroniony”. Czerwona lampka nad drzwiami nie paliła się. Kristine zapukała cicho do drzwi. Otworzył ciemnobrody mężczyzna ubrany w dżinsy i koszulkę reklamującą film *Black Easter*.

- Frank, to jest Michael Perrin... Frank Warden.

Warden potrząsnął dłonią Michaela i wrócił do zajmującej całą ścianę sekcji aparatury stereo. 35-milimetrowe szpule podawały brązową taśmę nagraniową poprzez labirynt przewodnic i głowic, w pobliżu mrugały rzędy lampek, a wskaźniki poziomu wymachiwały strzałkami w reakcji na niesłyszalne dźwięki.

- Edgar przesłuchuje właśnie nagranie - powiedział Warden. - Ale możecie wejść. Mamy na warsztacie jednego rzepołą i przerabiamy go na cyfrowo. - Obrzucił ich znaczącym, surowym spojrzeniem: trudna sesja.

- To zupełnie inny świat niż w czasach Waltiriego - westchnęła refleksyjnie Kristine, gdy wchodzili drzwiami po prawej do reżyserki. Edgar Moffat - łysiejący mężczyzna po pięćdziesiątce, z wianuszkami krótko przyciętych siwych włosów - siedział w skórzanym fotelu obrotowym przed pulpitem z potencjometrami suwakowymi, pokrętłami i zestawem trzech wbudowanych małych ekranów komputerowych. Przylegające ściśle do jego uszu słuchawki odtwarzały ledwo słyszalną, niesamowitą muzykę. Przez szybę nad pulpitem widać było dźwiękoszczelne studio nagraniowe, a w nim dwóch wykonawców: jeden trzymał skrzypce, drugi długą taśmę z giętkiej stali. Zamieniali się smyczkami i w absolutnej ciszy wypróbowywali je na swoich instrumentach. Moffat zdjął słuchawki, pokręcił głową i stuknął w jakiś przycisk. Do reżyserki wdarł się wizg wibrującego metalu.

- Gordon, George, wciąż nie to co trzeba. Zróbcie sobie małą przerwę i weźcie się, cholera, w garść. Albo zagracie następnym razem po ludzku, albo syntetyzujemy. I możecie sobie podnosić krzyk, że to kolejny cios wymierzony w artystów.

Muzycy pokiwali ponuro głowami i odłożyli instrumenty.

Moffat obrócił się na krześle do Kristine i Michaela, i twarz rozjaśnił mu szeroki uśmiech.

- Miło cię znów widzieć, Kristine. To już ładnych parę tygodni, jak ostatni raz zstąpiłaś z wyżyn akademii w nasze skromne progi.

- Było dużo roboty. Bardzo dużo. Edgar, poznaj...

- Twojego nowego przyjaciela. A więc puściłaś w końcu kantem tego łobuza Tommy'ego?

Kristina obrzuciła go zbolałym spojrzeniem.

- To Michael Perrin. Zarządca posiadłości Waltiriego.

Moffat spoważniał na twarzy i wstał.

- Wybacz, ale dobrze wiesz, że tamten nie był ciebie wart. Miło mi cię poznać, Michael. Kristine przedstawiła mi sytuację. Pracowałem z Arno w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Można by rzec, że był moim mistrzem. Uparty stary ptak. - Uniósł

krzaczastą białą brew, jakby czekał teraz na jakąś reakcję. Michael spokojnie wyciągnął do niego rękę. - Kristine twierdzi, że znalazłeś czterdziestkę piątkę.

- Wykonamy ją, jeśli tylko uda mi się przepchnąć sprawę - oznajmiła z dumą Kristine.

- Chryste, a ja zawsze myślałem, że to mit. Rozmawiałem kiedyś ze Steinerem... powiedział, że był tam wtedy, w Pandall. Zatkanął sobie uszy bawełną. Powiedzcie, czy można dać temu wiarę? Mówił, że inni nie mieli tyle szczęścia co on. Friedrich, Topsalin... gdzie oni teraz są? Legenda głosi, że Topsalin wniósł sprawę do sądu.

- Wszystko jest prawdą - potwierdził Michael. - Słyszałem to z ust samego Arno.

- Cóż, nam Arno nigdy o tym nie opowiadał. Nie opowiadał nawet Previnowi, a Previn był jego prawdziwym oczkiem w głowie. W przeciwieństwie do mnie. Previn stawał mu okoniem i spójrzcie, gdzie teraz on, a gdzie ja. - Rozłożył ręce uśmiechając się smutno. - Użeram się z facetem przygrywającym na tępej, przeciętej w poprzek pile do drewna.

- Przyniosłam kopię - powiedziała Kristine odsuwając zamek błyskawiczny torby. Wręczyła mu ksero rękopisu. Zaprosił ich gestem, by zajęli miejsca w podniszczonych, lecz wygodnych fotelach wciśniętych w kąt pomieszczenia, po czym wsunął na nos okulary i zaczął przerzucać kartki.

- Ho-ho - mruknął przy trzeciej. - Obiło mi się kiedyś o uszy, że Schönbergowi, ze wszystkich dzieł Waltiriego, to najbardziej się podobało. Tak twierdził David Raksin. Jeszcze jedna legenda. Arnold i Arno. Arnold zarzucał bez przerwy Arno, że tworzy tylko na zamówienie Hollywood. - Przeszedł zgrabnie na wiedeński akcent Schönberga. - „Czterdziestka piątka to nie hollywoodzki chłam! Nareszcie!” Teraz rozumiem, dlaczego tak powiedział. Osobiście nie odważyłbym się dać tego kawałka do wykonania przypadkowej zbieraninie chałturzących grajków. Trudne toto. Partia fortepianu... Jezu, nie obejdzie się bez podrasowania normalnego instrumentu. Mosiężne pręty na struny, mikrofon podwiesić... cholera, tu aż się prosi o elektryczne pianino. Kosmiczny honky-tonk. - Kilka minut wertował pierwszą tercję koncertu, wreszcie złożył kartki i westchnął. - Absolutnie obłądne. Trudno to nawet nazwać dysonansem. Coś cudownego. No więc kto podejmie się wykonania?

- Miałam nadzieję, że ty nam kogoś polecisz. Mamy dobrą orkiestrę, ale...

- Potrzeba wam wytrawnych fachowców. Wielu profesjonalistów poszłoby na każdy układ, byle uczestniczyć w wykonaniu legendy.

- Masz kontakty - powiedziała Kristine. - Gdybyś mógł przeprowadzić małe rozeznanie...

- Próbowaliście już dotrzeć do Davida Clarkhama? - wpadł jej w słowo Moffat.

- Zniknął w latach czterdziestych - wtrącił Michael.

- A do czego on nam potrzebny? - spytała Kristine tężąc z napięcia.

- Jeżeli jeszcze żyje, mógłby mieć na ten temat coś do powiedzenia. Jest niemal tak samo legendarny jak czterdziestka piątka. Szara eminencja muzycznego Los Angeles. Mógłbym wam opowiedzieć takie historie... rzecz jasna, znam je z drugiej ręki... facet był ponoć obłąkany. Nigdy nie pojąłem, dlaczego Arno z nim współpracował, a on sam nigdy mi nie powiedział; zapytany, kręcił tylko głową i machał niecierpliwie ręką, żeby mu nie zawracać głowy.

- Co to za historie? - spytała z wymuszoną swobodą Kristine.

- Steiner powiedział mi kiedyś, przed śmiercią, że spotkał Clarkhama. Clarkham wyznał Steinerowi, że to on był tym tajemniczym nieznanym, który zlecił Mozartowi skomponowanie requiem. Stał mu nad głową.

Oczy Michaela rozszerzyły się.

- Całkiem możliwe - powiedział po prostu.

Moffat zmrużył oczy i przechylił głowę.

- Nie zwracaj uwagi na Michaela - wtrąciła Kristine. - On też jest pełen tajemnic.

- W każdym razie zespolenie talentów ich obu w jednym dziele... - Moffat z pewną niechęcią zwrócił Kristine zapis nutowy koncertu. - Trzeba to będzie przeorkiestrować. Już teraz mogę wskazać pasażę, których po prostu nie da się zagrać.

- Arno życzyłby sobie, żeby wszystko zostało, jak jest - zaproponował Michael.

- Na pewno - odparł Moffat unosząc brwi. - Kto lubi, kiedy szatkuje mu się jego dzieło. Ale Arno wiedział równie dobrze jak ja, że na zapis nutowy trzeba patrzeć realistycznie. Pewne zmiany są nieuniknione. Ja natomiast uważam, że nasze wykonanie może być lepsze niż wersja z 1939. Ta notacja tutaj... - Odebrał z rąk Kristine rękopis i otworzywszy go w połowie, wskazał palcem długie czarne, zygzakowate linie, półkola oraz krzyże maltańskie. - Jestem bodaj jedynym człowiekiem, który potrafi odcyfrować większość tych oznaczeń. Specjalne symbole Arno. Dekodowałem je już, orkiestrując mu swego czasu kwartety.

- Od razu wiedziałam, do kogo się zwrócić - ucieszyła się Kristine.

- Tak, tak, ale kto wszystko sfinansuje?

- W tym już moja głowa. Kiedy będziesz mógł zacząć?

- Poczynając od trzydziestego szóstego czerwca - zażartował Moffat. - Zależy, czy dogadam się z Leanem w sprawie tego, co teraz dla niego robię. Chce mieć takty walca w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. Uwielbiam Maurice'a, ale ci dwaj stanowczo za

długo ze sobą pracowali. - Położył dłoń na ramieniu Michaela. - Znasz się na muzyce, młody człowieku?

- Nie za bardzo - odparł Michael. - Uczę się dopiero od kilku miesięcy.

- Uwierz mi, w obecnej postaci to jest nie do ugryzienia. Odnoszę wrażenie, że zależy ci na... no właśnie, na czym? Na powtórzeniu konsekwencji oryginalnego wykonania?

Michael pokiwał głową.

- Chcesz, żebyśmy wszyscy poszli pod sąd? - Moffat uśmiechnął się szelmowsko i ściągnął siwe brwi. - A niech tam. Podejmę to ryzyko. W moim fachu nie można narzekać na nadmiar przygód. Będą mi potrzebne wszystkie prasowe notatki i artykuły na ten temat, jakie uda się wam wyszperać... oraz korespondencja, wszystko w czym Arno mógłby wyjawiać swoje intencje. Nigdy nie był zbytnio pedantycznym kompozytorem. Brak Waltiriego przy podejmowaniu ostatecznych decyzji będzie podwójnym utrudnieniem.

- W jego papierach grzebie się właśnie ekipa studentów z biblioteki muzycznej UCLA.

Moffat poklepał Michaela lekko po ramieniu.

- No to czekam na dalsze instrukcje. Tak na poważnie, z bieżącym nagraniem skończę się mordować za trzy tygodnie. Dopiero po powrocie z Pinewood mogę rozpocząć przymiarki. Umówmy się za półtora miesiąca.

- Niech będzie - zgodziła się Kristine.

- Świetnie. Teraz lećcie już i dajcie mi się poznać nad tymi moimi wirtuozami, Michael. - Wyciągnął rękę i Michael uścisnął ją. - Daleko mi do swata, ale ta kobieta... - Wskazał ruchem głowy na Kristine i puścił oko. - Wyjątkowy z niej kasek. Mogłeś trafić znacznie, ale to znacznie gorzej.

- Edgar... - ostrzegła go Kristine unosząc pięść.

- No, już was tu nie ma! Robota czeka. - Moffat otworzył na oścież drzwi i wyprosiwszy ich gestem ręki ze studia nagraniowego na korytarz, zatrzęsął je z hukiem. Nad drzwiami zaświeciła się czerwona lampka.

Kristine i Michael stali przez chwilę na korytarzu, patrząc jedno na drugie.

- Cóż - przerwała ciszę Kristine. - No to już go znasz. Myślę, że bez niego się obejdziesz. A ty?

- Ja również - przyznał Michael. - Zwłaszcza że nie wydaje mi się, by Arno pozostawił wiele instrukcji czy wskazówek. Przez ostatnich kilka tygodni przerzuciłem mnóstwo jego papierów i listów. Znalazłem tylko ten rękopis.

- Ale nie zaszkodzi przejrzeć go jeszcze raz - po wiedziała Kristine. - No nic. Gdybyś odwiózł mnie do kampusu... - Ruszyła korytarzem, ale po paru krokach zatrzymała się, odwróciła i przekrzywiła głowę. Michael stał nadal przy drzwiach studia i uśmiechał się do niej.

- No, idziesz?

Dogonił ją i opuścili razem budynek.

- Moffat jest dosyć bezpośredni, nie uważasz?

- „Dosyć” to mało powiedziane - odparła Kristine. - Widział Tommy'ego raptem raz, tylko przez kilka minut, a już... No nic. Nie ma o czym mówić.

- Dawno nie jedliśmy razem lunchu - zauważył nieśmiało Michael.

- Nie ma czasu, nie dzisiaj - ucięła Kristine. Nie nalegał. Nawet bez sondowania wyczuwał w niej niepewność i ból. Spojrzała na niego, gdy wsiadali do jej samochodu. - Cierpliwości, Michael. Proszę.

Pokiwał głową na znak zgody i wrzucił bieg.

*

Michael przyglądał się, jak jakiś bibliotekarz i ekipa studentów przenoszą ostatnie papiery z garażu do furgonetki kampusu. Strych był pusty; w gabinecie muzycznym, wyczyszczonym tydzień wcześniej, poza meblami nie zostało się prawie nic. Teraz, po wyniesieniu z garażu ostatniej partii materiałów, dom wydawał mu się jakiś mniej bezpieczny, a on sam bardziej narażony... ale na co - tego nie potrafił określić. Może na atak Clarkhama.

Ale Michael nie mógł uwierzyć, że właśnie Clarkham jest największym z jego problemów.

Jestem mrokiem!

Tęsknię za wzrokiem

Otchłań mą duszą

Światło mym okiem.

I znów jego wiersze były krótkie i enigmatyczne, tak jak niegdyś w Królestwie, jednak nie udzielały odpowiedzi na nurtujące go pytania; Radio Śmierci nie rozbudzało już w nim natchnienia.

Czemukolwiek będzie musiał stawić czoło - jest zdany tylko na siebie.

Furgonetka odjechała i Michael zatrzasnął drzwi garażu, w którym pozostały rzędy pustych metalowych regałów i stary Packard. Znieruchomiał na chwilę z kłódką w ręku, marszcząc czoło.

Chaos. Dywany na brudnych samochodowych częściach porozkładanych w ciemnych korytarzach. A nade wszystko - wstrętne, przyprawiające o mdłości plugastwo w głowie.

- Jaki piękny stary samochód.

Michael odwrócił się i na końcu alejki ujrzał Tommy'ego.

- Prawda? - odparł. - Szkoda tylko, że za drogi, by nim jeździć.

Tommy odpowiedział wzruszeniem ramion.

- Należał do twojego przyjaciela, tak? Do Waltiriego?

Michael skinął głową.

- Masz do mnie jakąś sprawę?

- Zostaw ją w spokoju.

- Kristine? Nie widziałem jej od dwóch dni. - Przełknął ślinę. - A poza tym rzuciła cię ładnych parę tygodni temu.

- Tylko od dwóch dni. Świetnie. Masz rację. Rzuciła mnie parę tygodni temu. Po trosze z mojej winy. Ale przede wszystkim przez ciebie.

W aurze mężczyzny Michael odkrył odrażające plugastwo, które wydało mu się aż za dobrze znajome. Idąc znów za głosem instynktu, ruszył brukowaną cegielkami alejką w stronę Tommy'ego. Zdawał sobie sprawę z grozy sytuacji.

- Znasz faceta nazwiskiem Clarkham? - spytał Tommy. Cofnął się krok do tyłu i zatrzymał, czekając na podchodzącego Michaela.

- Znam.

- On ciebie też. Obserwował ciebie i Kristine. Wszystko mi o tobie opowiedział. Ale żeś mi przyłożył. Poeta. - Parsknął śmiechem, jakby zobaczył jakiś zabawny numer w telewizji. - Jezu, poeta! Wyglądasz prędzej na jakiegoś cholernego osiłka, nie poetę.

- Pozory mylą - odparł Michael wyczuwając, że Tommy ma pistolet, wiedząc, że chowa go pod kurtką i trzyma w lewej ręce, którą wypchnął przez dziurę wyciętą w podszewce bocznej kieszeni. Mógł w okamgnieniu odchylić połę kurtki i wypalić. Michaela dzieliło od niego zaledwie pięć jardów.

- Mówił, że byłeś dla niej tak samo niedobry jak ja. Więcej razy ją uderzyłeś. Powiedział, że brałeś ją na... - wykonał zamaszysty ruch tam i z powrotem wolną ręką i dwukrotnie skłonił głębooko głowę - przyjęcia. Wprowadziłeś w ten światek. Przyzwyczajałeś

do koki. Cholera, w życiu bym jej nie wciągnął w coś takiego. - Przestał gestykulować. - Hollywoodzkie bagno.

Jeśli Tommy obdarzony był kiedyś wrodzoną inteligencją - przeżarła ją już zjadliwa wydzielina plugastwa Clarkhama. Michael wyczuwał bliskość Izomaga, jeśli nie w przestrzeni, to we wpływie; patrzącego oczami te go nieszczęsnego, a zarazem śmiertelnie niebezpieczne go pośrednika.

- Zwykły łgarz - powiedział Michael. - Chyba nie wierzysz w jego brednie.

- Nie, właściwie to nie wierze - odparł Tommy. - Nie wiedziałem, że ona jest taka. Byłem dla niej niedobry. Po prostu za bardzo ją kochałem i zrobiłem się zazdrosny, wiesz jak to jest.

Niedługo; to się stanie bardzo niedługo. Dwa i pół kroku. Był już w stanie ocenić kaliber broni. Pistolet automatyczny 0.45, naładowany wydrążonymi w środku pociskami. Mogły przeciąć go na pół. Clarkham przysłał mu bombę nafaszerowaną śmiercią, podobnie jak Sidhowie wysłali niegdyś Michaela do Clarkhama.

Próba powstrzymania Tommy'ego miała się z celem. Nawet gdyby Michael rzucił dla zmylenia cień, by zyskać nieco czasu na znalezienie sobie kryjówki, było całkiem prawdopodobne, że Clarkham przygotował już swego wysłannika na taką ewentualność, a nawet wyposażył go w pewne środki umożliwiające przejrzenie takiego podstępu. Umysł Michaela był ostry jak skalpel i przetwarzał jedną hipotezę po drugiej.

Wyczuł w pobliżu Roberta Dopso - gdyby Dopso lub jego matka wyszli teraz z domu, sprawa stanowczo by się skomplikowała. Zmysły Michaela wskoczyły na wyższy stopień wyostżenia.

- Nie chodzi o to, że cię nienawidzę - powiedział z uśmiechem Tommy, a jego wepchnięta w kieszeń kurtki ręka zadrżała. - Jesteś po prostu taki sam jak każdy sukinsyn. Jej ciało. - Twarz Tommy'ego wykrzywił ból. - Tylko o to ci chodziło. A mnie naprawdę na niej zależało. Chciałem, by stała się tym wszystkim, czym mogła się stać. - Głos miała chrapliwy. Trząsał się jak galareta.

- Jesteśmy przyjaciółmi i niczym więcej - powiedział spokojnie Michael. - Nie trzeba się zaraz denerwować.

- Moich potrzeb i twoich potrzeb do tego nie mieszajmy, dobra? - odparł Tommy. - Nie podchodź bliżej. Ostrzegł mnie, chociaż wcale nie musiał. Pamiętam. - Dotknął nosa.

- Clarkham to łgarz - powtórzył jeszcze raz Michael. - Napelnił cię całego złem... prawda?

W oczach Tommy'ego mignął błysk skojarzenia.

- Dotknął mnie, kiedy rozmawialiśmy.

Coś narosło błyskawicznie w Michaelu, jakiś cień inny od wszystkich, jakie do tej pory rzucał, inny nawet od tego, który cisnął na koniec w Clarkhama, by uwięzić go w Xanadu. Była to odmiana cienia, o jakiej wcześniej mu nie mówiono, a fakt, że znalazł go w sobie, przerażał niemal tak samo jak Tommy. Próbował go zatrzymać, ale nie potrafił; wyczulony instynkt podpowiadał mu, że nie ma innego wyjścia.

Ale Michael nie chciał uwierzyć. Nie chciał uwierzyć, że jest zdolny do zastosowania podobnej formy samoobrony.

Cząstka, która twierdzi, że śmierć jest snem. Uwolnij tę cząstkę. Cząstka, która potrzebuje ciepłego mroku i zapomnienia. Uwolnij tę część swojego ja. On ją przygarnie. On pragnie odpoczynku i ucieczki od bólu.

Głos, który podpowiadał Michaelowi, był jego własnym głosem.

Dopso nadszedł chodnikiem i mijając alejkę dojazdową zobaczył ich obu i uśmiechnął się do Michaela.

- Czołem - powiedział. Zaraz jednak zmarszczył czoło. - Co się...

- Nie! - krzyknął Michael. - Wracaj! - Jeśli miał poprzednio jakiś wybór, teraz mu go odebrano. Tommy zabije Dopso i każdego przypadkowego przechodnia. Bomba Clarkhama nie była precyzyjna i nie potrafiła się kontrolować, nie potrafiła rozróżniać.

Chodnikiem po drugiej stronie ulicy szła wolnym krokiem jakaś kobieta w średnim wieku, ubrana w różowy dres; prowadziła na smyczy sznaucera.

Tommy jednym szarpnięciem odchylił połę kurtki odsłaniając matowoszary pistolet.

Michael zareagował odruchowo. Cienia, który wysłał, nie było nawet widać. Nie przybrał kształtu Michaela. Uniósł po prostu w dal jego inne ja, ja, którego on sam nie potrzebował, a którym mógł się z korzyścią posłużyć.

Dopso i kobieta w średnim wieku zobaczyli, jak Tommy podnosi pistolet, wykonuje półobrót, wzdryga się i przystawia sobie lufę do głowy. Na jego twarzy pojawił się senny wyraz; ta sytuacja była możliwa, nie mniej jednak...

Michael wrzasnął w głębi duszy.

Pistolet wypalił.

Włosy Tommy'ego po drugiej stronie głowy uniosły się makabrycznie, a on sam runął na ziemię jak kopnięty przez byka. Michael zacisnął powieki i usłyszał ujadanie psa i krzyk kobiety. Otworzył oczy i ujrzał psa miotającego się na smyczy, ciągnącego kobietę tam i z powrotem na przestrzeni kilku jardów. Dopso odwrócił się wcześniej i nakrył rękami głowę, by nie słyszeć wystrzału. U jego stóp, na chodniku i trawie, czerwieniły się bryzgi krwi.

Michaelowi, chociaż zdawał sobie sprawę, że nie miał innego wyboru, zrobiło się niedobrze. Przymusił się do spojrzenia na ciało. Piętno plugastwa Clarkhama ulotniło się z martwego Tommy'ego niemal natychmiast. Tego, co pozostało, nie dawało się rozpoznać. Było powleczone połyskującą czernią i zapadnięte w głąb, jak dzieje się w bajkach ze złymi czarownicami; tylko pistolet się nie zmienił. Po kilku sekundach z Tommy'ego pozostała zaledwie kupka postrzępionego ubrania i śmierdzący złem pył.

Kobieta przestała krzyczeć. Pies przysiadł z wywalonym ozorem na chodniku.

- Nic panu nie jest? - zawołała kobieta chrapliwym głosem do Michaela. Michael był zbyt oszołomiony, by odpowiedzieć.

- Boże - wymamrotał Dopso, wpatrując się rozszerzonymi oczami w pył.

- Co z nim? - spytała kobieta piskliwym głosem, znów na pograniczu krzyku.

- Nie żyje - odparł Michael. - Wezwę policję.

- Zastrzelił się - powiedział Dopso. - Ale jest...

Michael skinął głową i spojrzał na kalenicę dachu domu stojącego dokładnie naprzeciw, po drugiej stronie ulicy. Przycupnął tam wielki, podobny do kruka ptak z czerwoną piersią.

Kobieta przecięła ulicę, ciągnąc za sobą na smyczy psa. Oczy szklily jej się, przygotowane na odpychający widok. Stała na krawężniku i utkwiała wzrok w kupce szczątków.

- Nie ma go tam - stwierdziła zdumiona. - Co się stało z ciałem?

- Proszę wrócić do domu - poradził Michael. Obdarzył ją delikatnie zapomnieniem, tym razem prawie nie zdając sobie sprawy, że korzysta z takiej umiejętności po raz pierwszy. Bezwiednie rozszerzył zapomnienie na psa. Kobieta, milcząca i spokojna, oddaliła się spacerowym krokiem.

Ptak, którego widział na dachu, już odfrunął. Nie chciał, żeby Dopso też zapomniał. Był na tyle blisko całego zajścia, że musiał zapamiętać i zrozumieć.

- Michael...

- Chcesz wiedzieć, co się naprawdę stało? - przerwał mu Michael.

- Chyba nie - odparł słabnącym głosem Dopso. Potrząsnął głową.

- Prędzej czy później będziesz musiał się dowiedzieć.

- Ale nie teraz... Dokąd on odszedł?

- Nasłał go David Clarkham.

- Tak...?

Michael doszedł do wniosku, że jeszcze nie pora, by wyjawić wszystko Dopso.

- Zadzwoń po policję - oznajmił.

Wrócił do domu, wszedł do kuchni i osunął się na krzesło. Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer, który dał mu porucznik Harvey. Odebrał partner Harveya, sądząc po głosie jakiś młodzieniec. Michael podał mu kilka szczegółów i poprosił, by porucznik jak najprędzej do niego zadzwonił.

- Przekażę mu, jak tylko wróci - odparł niepewnie partner.

Michael odłożył słuchawkę i powrócił do ubrania i pistoletu. Z pobliskich domów nikt nie wychodził, żeby sprawdzić, co się stało. Dopiero wrócił do siebie. Michael wyczuwał, jak siedzi tam w fotelu i nie odpowiada na pytania matki.

Kobieta z psem zniknęła z pola widzenia. Znowu zapanowały cisza i spokój.

Ubrania zdążyły się zdematerializować. Rękojeść pistoletu nabrała barw rdzawej i popielatej. Michael ujął go w dwa palce i zaniósł do domu.

Wiatr roznosił już to, co zostało z Tommy'ego, po chodniku, trawie i po krzewach porastających obie strony alejki.

12

Zdaje się, że jestem bardziej przejęty niż ty - odezwał się Michael; siedział naprzeciwko Kristine w jej ciasnym mieszkanku. Na ścianie kącika jadalnego, niczym dzieła sztuki, rozwieszono sprzęt wspinaczkowy; korytarz do łazienki i sypialni zastawiony był plecakami, namiotami oraz stelażami, na których leżały poukładane okazy skał i minerałów. Obecność Kristine właściwie niczym się tu nie odcisnęła. Nie licząc trójskrzydłowej, składanej półki na książki obok tapczanika i stosu czystych, poliniowanych papierów nutowych duch współlokatorki dominował, nawet pod jej nieobecność.

Kristine długo się nie odzywała. Oddychała głęboko i miarowo, i patrzyła przez oszklone, przesuwane drzwi na podwórko.

- Jesteś więc przekonany, że nie żyje. Nie wierzysz, że tylko zniknął.

- Umarł, a potem się rozłożył - wyjaśnił bez owijania w bawełnę Michael.

- Doprawdy nie rozumiem, czym się tak przejmujesz - powiedziała Kristine, nadal nie patrząc na niego. - Groził ci, a żyjesz. Wygrałeś. Biedny sukinsyn.

- Został wykorzystany - powtórzył po raz trzeci Michael.

- Czy on czuł, co robi... czy zdawał sobie sprawę.

- Tak sądzę - odparł Michael. - Chociaż głowy nie dam.

- Wiesz, twoja fantazy jest naprawdę wstrętna.

Michael nie rozumiał.

- No, ten świat fantazji dla prawdziwych facetów. Wyrzynanie się nawzajem to domena mężczyzn. - Jej cichy głos ociekał jadem. - Ja go kochałam. Mówiłam, że nie, ale... Nie potrzebowałam, żebyś mnie przed nim bronił. Nie obchodzi mnie, co powiedziałam.

- Zaraz, zaraz. Przecież nie skontaktował się z tobą po tym, jak Clarkham...

- Przestań z tym Clarkhamem. Ze wszystkim. Jezu, Michael, jakie to wygodne. Nawet ciało po nim nie zostało. Co na to ten twój porucznik policji?

- Jeszcze z nim nie rozmawiałem. Minęły dopiero dwie godziny. Ma do mnie zadzwonić.

- Próbujesz załatwić wszystko zgodnie z prawem i pozostać poza wszelkim podejrzeniem. Dobry ruch. - W ogóle nie płakała, ale oczy miała zapuchnięte. - Już mnie nie pociągają te wszystkie niesamowitości. Kiedyś, owszem. Wydawało mi się to takie fantastyczne: ludzie znikają, czarodzieje powracają na Ziemię, starzy magowie wojują muzyką. A teraz jest zupełnie jak na Bliskim Wschodzie. Terrorysty. Morderstwa. Żadnej różnicy.

- To nie są jakieś tam fantazje - zaprzeczył Michael. - To śmiertelnie poważna sprawa. Nie da się przed nimi uciec. - Ostatnie sześć słów zabrzmiało złowieszczo nawet w jego uszach. Kristine spojrzała na niego po raz pierwszy od chwili, kiedy dowiedziała się o wypadku. Przymrużyła oczy.

- Czy dużo jeszcze ludzi zginie?

- Nie wiem.

- Spodziewasz się jakiejś wojny, tak?

Michael potrząsnął przecząco głową.

- Ale tak naprawdę ty nie zabiłeś... Tommy'ego.

- Nakłoniłem go, żeby się zabił. Mniej więcej na jedno wychodzi.

- Nie można mówić o morderstwie, skoro on groził ci śmiercią. Zabójstwo w obronie własnej nie jest morderstwem. Clarkham nakładł Tommy'emu kłamstwo do głowy. A to oznacza, że on go zabił. Co ty na to? Czy nie nienawidzisz teraz Clarkhama?

Michael zastanowił się, po czym pokręcił głową.

- Nienawiść do niego czy do kogokolwiek innego nic mi nie da.

- Ale zabijesz go, jeśli nadarzy się okazja?

Michael znowu zwlekał z odpowiedzią.

- Zabiję - odparł po chwili.

Kristine nagle jakby się odprężyła i złagodniała. Przymknęła oczy, wzięła nierówny oddech i wypuściła z cichym westchnieniem powietrze.

- Wyrzuciłam go ze swego życia wiele tygodni temu. Czy to nie dziwne? Jeśli się od kogoś uzależnisz, wówczas wiadomość, że już nigdy tego kogoś nie zobaczysz, bo nie żyje, jest jak cios obuchem w głowę. Dociera do ciebie, że i ty też umrzesz. Czy wyrażam się z sensem?

Michael pokiwał głową. Alyons, Lin Piao Tai, Clarkham, a teraz Tommy. Bezpośrednio czy pośrednio, trzy śmierci i jeden nieudany zamach. Nie to miała na myśli Kristine, ale wrażenie było identyczne - czuł wyraźnie własną śmiertelność.

- Mam być w kampusie o drugiej - powiedziała Kristine. - Przemiję sobie twarz. - Wstała.

- Kristine, gdybym tylko miał jakieś inne wyjście, wybrałbym je.

- Nie obwiniam cię, Michael - powiedziała stojąc dwa kroki od stołu.

Michael patrzył na nią, dopóki nie odwróciła głowy.

- Między nami powinno dojść do czegoś więcej. Nie czujesz tego? - spytał.

- Czuję.

- I jakoś nie wychodzi.

- Łagodnie powiedziane.

- Pójdę już sobie.

- To nie tak, że ja chcę, żeby nie wychodziło - powiedziała Kristine. - Ale jesteśmy partnerami w czymś innym, prawda? - Zaciśnęła usta w wyzywającą, hardą linię.

- Mianowicie?

- Współpracujemy w sprawie koncertu. Clarkham nie chce, by go wykonano. To wystarcza, żeby mnie przekonać. A ciebie?

- Tak - zgodził się Michael. - Mnie też wystarcza.

- Więc róbmy, co do nas należy, a reszta niech się toczy własnym trybem.

- Zgoda.

- Daj mi znać, co miał do powiedzenia porucznik. A ja ci przekażę, co Moffat myśli o tej nowej orkiestracji.

Rozstali się przed główną bramą budynku i Michael wsiadł do Saaba. Siedział w samochodzie z rękami na kierownicy, niczego nie będąc pewnym i z poczuciem winy, bo cierpiał - ale nie dlatego, że jest mordercą, tylko dlatego, że nie ma przy nim Kristine.

Szczerze mówiąc, w Królestwie wszystko było o wiele prostsze, o wiele ostrzej zdefiniowane.

Harvey prowadził Michaela korytarzem, skrzypiąc brązowymi butami o podłogę, a każdy ich krok odbijał się pustym echem od rzędów stalowych drzwiczek. Kilka metrów z tyłu szedł towarzyszący im koroner w śnieżnobiałym fartuchu.

Zwane potocznie Noguchi, skrzydło Okręgowej Kostnicy w Los Angeles, dobudowane trzy lata wcześniej celem odciążenia pękającej od lat w szwach placówki, rzadko kiedy było zapełnione do ostatniego miejsca. Okute drzwiczki z nierdzewnej stali na końcu korytarza znajdowały się zarazem u wlotu innego, jeszcze nie wykończonego, odbiegającego w lewo na następnych kilkanaście jardów.

Harvey wskazał drzwiczki ręką i asystent wsunął do skrzynki kodowej kartę magnetyczną. Drzwiczki uchyliły się z cichym sykiem i z głębi komory wysunęła się automatycznie szuflada. Wewnątrz, opakowane w przezroczysty worek, leżało niebieskozielone ciało, długie na co najmniej sześć i pół stopy. Asystent rozsunął suwak worka na wysokości głowy zwłok i rozchylił folię, by Michael mógł się im dokładnie przyjrzeć. Nie licząc Alyonsa, Michael nigdy nie widział na oczy martwego Sidha.

- Wie pan, kto to może być? - spytał Harvey.

- Wygląda na Drzewolkę - odparł Michael.

- A cóż to takiego?

- Taka odmiana Sidhów, zamieszkująca lasy. Stanowią część lasów. Sprawują nad nimi pieczę. - Twarz kobiety Sidhów była łagodna i spokojna. Michael wyczuwał pewien rodzaj działającej pośmiertnej dyscypliny; samokontrola u Sidhów nie zanikała nawet z końcem życia.

- Ach tak - mruknął Harvey. - Nigdy nie widziałem u istoty ludzkiej takiego koloru skóry. Nawet u denata. Ani takiej długiej twarzy. Znał pan ją?

- Nie - odparł Michael. - Nie miałem znajomych wśród Drzewoli. - Widział Drzewoli zaledwie dwukrotnie, pierwszy raz nie opodal chaty Żurawic w Królestwie, kiedy dostarczyli mu przydział drewna. Była wtedy noc i nie mógł się im dokładnie przyjrzeć. Drugi raz mignęli mu w Inyas Trai, gdzie pilnowali biblioteki-lasu Kapłanki Godzin.

- No i niech mi pan teraz powie, czy mógłbym nie dawać wiary w pańską opowieść o tym całym Tommym?

Michael nie mógł oderwać oczu od niebieskozielonej twarzy.

- Raczej nie.

- Toteż panu wierzę. - Harvey skinął na asystenta i ten zasunął zamek błyskawiczny worka, wepchnął szufladę do komory i zatrzasnął drzwiczki. - Dziękuję. - Asystent odszedł korytarzem nie oglądając się ani razu za siebie. - Może nie okazywał tego po sobie, ale był wstrząśnięty. Wstrząśnięty po dwunastu latach pracy w tej placówce. Wszystko staje na głowie. Znaleźliśmy ciało - Harvey wskazał na drzwiczki komory - w Griffith Park, niedaleko obserwatorium. Zwłoki były oparte plecami o drzewo. Ktoś to coś zastrzelił. Ją. Jednym strzałem. To już trzecie zwłoki niewiadomego pochodzenia znalezione w tym miesiącu w Los Angeles.

- Chcę zadać panu jedno pytanie - podjął po chwili Harvey, przyglądając się oprawom świetlówek na suficie. - Co, u diabła, mamy robić, żeby się przygotować? Uciekinierzy z zaświatów. Jezu.

- Nie sądzę, żebyście byli w stanie się przygotować - odpowiedział Michael.

- Znosi się, że będzie ich więcej?

- Tak.

- A ilu więcej, i gdzie?

- Nie wiem ilu więcej ani nie znam dokładnie miejsca, gdzie się pojawiają.

- Pensjonat Tippett?

Michael skinął głową.

- Tam chyba będzie główna brama.

- A gdybym powiedział w swoim wydziale, że należy otoczyć pensjonat, a oni by mi tam uwierzyli i nie wysłali na zieloną trawkę celem ukojenia zszarganych nerwów, czy to by coś dało?

- Nie - odparł krótko Michael.

- Przecież można ich zabijać.

- Drzewoli, może nawet niektórych Magów, owszem, ale wątpię, by udało wam się powybić pewne inne odmiany, które będą do nas przechodzić. Nie radziłbym nawet próbować.

- „Nie radziłby mi próbować.” Jezu. Może mam po prostu położyć na tym krzyżyk, wdziak włosienicę i posypywać sobie głowę popiołem?

Michael uśmiechnął się.

Harvey skrzywił się z niesmakiem.

- Nie mam z pana żadnego, ale to żadnego pożytku - stwierdził. - I nawet nie mogę pana aresztować. Mamy świadka, że Tommy popełnił samobójstwo. Tego pańskiego sąsiada, Dopso. Pan mi tu mówi o samoobronie, a i tak liczą się przede wszystkim jego zeznania,

przypuszczam, że niedługo wpłynie zgłoszenie zaginięcia. Postaram się tym zająć. Ale co pan zamierza zrobić?

- Czekać. Zachowywać zimną krew. Przecież nie ja tym kieruję, poruczniku.

- A ktoś w ogóle kieruje?

- Być może.

- Jakiś człowiek?

Michael zawahał się, po czym potrząsnął głową: nie.

14

Szedł mila za milą szlakami pożarowymi przez wzgórza, czując rozwój, jaki w nim postępuje, i próbując postawić jasno kwestię, kim był do tej pory, a kim właśnie się staje. Tym razem przechodził ewolucję wewnętrzną; zapoczątkowaną ongiś przez trening Żurawic, obecnie jednak przez nikogo nie kontrolowaną. Nie miał do wykonania żadnego konkretnego zadania. Michael Perrin był co najwyżej odszczepieńcem, niespodziewanym produktem krótkowzroczności Sidhów i Mieszkańców.

Nieoczekiwanie dla samego siebie potrafił uprawiać na Ziemi potężną magię. Skłonienie kogoś do odebrania sobie życia wymagało bowiem magii niezwykle potężnej, bo inaczej słowo to pozbawione by było sensu.

Niebo było pogodne, gorące i mgliście błękitne. Wśród zarośli przekomarzały się wróble i przedrzeźniacze. Po niecałych dwóch tygodniach bez deszczu i zaledwie kilku upalnych dniach zbocza wzgórz brązowiały już i szarzały; z taką łatwością powracały do swego naturalnego stanu, zupełnie jakby nie odpowiadał im luksus wilgotnej wiosny. Michael też by tak chciał. Jego ostatnie ciche nadzieje na normalność i w miarę spokojne życie dawno już prysły jak mydlana bańka.

Nigdy nie usiadzie w przytulnym starym domku w Laurel Canyon, nie będzie tam tworzył poezji ani martwił się o pożary lasów. Trudno było wprawdzie powiedzieć, że żył tym marzeniem, ale mimo to ostatnio wkomponował w nie Kristine. Pod wieloma względami nie wyrósł dotąd z wieku młodzieńczego. Jego bujnej wyobraźni nie utemperowała jeszcze definitywnie rzeczywistość.

A niby dlaczego miałyby ją utemperować? Która rzeczywistość?

Takie rozważania czyniły dojrzewanie jeszcze cięższym.

Na jak zaawansowaną magię go stać, i na jak dalece wygórowaną ambicję? Nie palił się do wykorzystywania swoich zdolności (jeszcze nie umiejętności), ale był do tego

zmuszany. Mniejsza z tym, w jaki sposób zdolności te nabył i rozwinął, grunt to wiedzieć, jak posłużyć się nimi w obliczu zbliżającego się exodusu i zlewania Królestwa z Ziemią w jeden świat.

Zatrzymał się i osłoniwszy dłonią oczy przed słońcem, popatrzył na południe, gdzie roztaczała się panorama Los Angeles ze strzelistymi drapaczami chmur w śródmieściu, jakże teraz niepozornymi w zamglonej dali. Potem podniósł z ziemi patyk i wpiersz rozkruszywszy nim zaskorupiałą, wyschniętą nawierzchnię szlaku pożarowego na mialki pył, napisał: „Chroń to miasto przed nieszczęściem”.

Nie miał pojęcia, do kogo ani do czego adresuje swój tekst. Zatarł wyraz „miasto” i wpisał w jego miejsce „kraj”, po czym „kraj” również zmazał i zastąpił „światem”. Musi zacząć myśleć w znacznie szerszej skali. Nawet teraz wzbraniał się przed wymuszonym rozszerzaniem perspektywy. Znał chłopaków i dziewczyny - dziś już mężczyzn i kobiety - którzy pasjonowali się w głównej mierze powszedniością, którzy byli na bieżąco ze wszystkimi aktualnościami i mieli wyrobione zdania na tematy, które ich bezpośrednio nie dotyczyły. Michael zawsze czuł się inny od tych ludzi, być może bardziej skory do fantazjowania i bardziej zafascynowany światem wewnętrznym niż tym, który go otaczał.

W Królestwie wytrzepano zeń trochę skłonności do wędrówek w głąb siebie. I faktycznie, po incydencie z Tommym zatrzymał się na włosku ostatni jej strzęp.

W swoim odczuciu właściwie nie miał już żadnej tożsamości. Dawny Michael nie istniał od jakiegoś czasu, a nowy dopiero się kształtował i wcale nie był pewien, czy zmienia się na lepsze.

Studio Moffata przypominało wyjątkowo szeroki korytarz, mniej więcej trzy razy dłuższy niż szerszy. Pod ścianą naprzeciwko drzwi pyszniło się biurko. W kącie przy drzwiach stał synclavier, a obok niego wiolonczela w czarnym futerale z dermy. Na przykrytej dywanem podłodze pod szerokim oknem, przez które widać było szczyty stanowiących dekorację filmową budyneczków z Dzikiego Zachodu. Moffat porozkładał wydruki, arkusze papieru nutowego i malutkie żółte, samoprzylepne karteczki zapisane notatkami. Wydruki przypięte były też do przeciwległej ściany, a obok stosownych sekcji przyklepiono taśmą klejącą kserokopie uwag i spostrzeżeń. Na stolyczku na kółkach stał mały, laserowy audio-rejestратор, a odchodzące od niego przewody prowadziły do połączonej plątaniną kabli aparatury stereo.

- Witajcie w bałaganie - powiedział Moffat. - Skończyłem nagrywać materiał dla Lyncha i nic już nie stoi na przeszkodzie, żebym powolutku zagłębiał się w ten koszmar. - Wskazał na leżącą na biurku kopię opusu 45. - Opracowałem już kawałek na synclavierze.

Kristine miała na sobie szarą jedwabną sukienkę z bufiastymi rękawami i srebrzystoszare pończochy. Michael nigdy nie widział jej ubranej tak oficjalnie. Do tego zachowywała się jak typowa interesantka. Na zaproszenie Moffata zajęła drugi fotel. Moffat, zasiadł na swoim czarnym skórzanym tronie za biurkiem i obrzucał ich kolejno wzrokiem.

- Składa się z pięciu części - powiedział. - Na pewno oboje o tym wiecie. Wskazówki Clarkhama, bez wątpienia jego własne, bo są sporządzone po angielsku, a nie jest to pismo Arno, głoszą, że podczas prób nie powinno się grać razem kolejnych części, że z wykonaniem części czwartej trzeba poczekać do oficjalnej premiery. To tak, jakby przy montażu bomby nie dodać ładunku wybuchowego. - Uśmiechnął się, ale Kristine i Michael zachowali powagę. Moffat powściągnął uśmiech i pokręcił głową. - Chłodnawo tutaj, nie sądzicie? Może należałoby otworzyć buzie i wypuścić trochę powietrza, ogrzać ten kącik?

- Wybacz - odezwała się Kristine. - Myślmy o czymś innym.

Moffat obrócił się na fotelu, by spojrzeć na Michaela.

- Bez komentarza?

- Bez - odparł Michael. - Ale moim zdaniem powinienes zastosować się do rady Clarkhama.

- A jakże, zastosuję się, choćby po to, żeby zachować co do joty autentyczność. Ta zabawa też składa się na całą atrakcję, prawda? Zrobić wszystko dokładnie tak samo jak pięćdziesiąt lat temu. Na razie udało mi się skompletować fachową sekcję smyczkową. Mam dwa wymagane fortepiany i sprawdzonego gościa do jednego. Drugiego pianistę załatwię w tydzień. Dwa oboje, dwa fagoty... celesta. Trzy syntezatory perkusyjne to wprawdzie przesada, ale zamierzam trzymać się ściśle oryginału. Clarkham sugerował zastosowanie theremina. Zastąpię go czymś, co chyba bardziej odpowiada wymaganiom Waltiriego - moim synclavierem. To daje cztery syntezatory. Czy ktoś może kręcić nosem, skoro już ustaliliśmy, że cały ten kawałek jest jedną wielką przesadą? Na pewno nie ja. Pozostałe instrumenty wytrzaśnie się jakoś w ciągu paru tygodni z magazynu sesyjnego. Żaden problem. Teraz, jeśli chodzi o opłacenie tych ludzi...

- Uniwersytet podejmuje się płacić każdemu według obowiązującego taryfikatora za tydzień prób i dwa koncerty - wpadła mu w słowo Kristine.

- Praca dla idei, co? No, cóż. Nie jest to szczyt sezonu. Wszyscy szukają roboty. Okay. Jakoś przepchniemy sprawę. Mój agent będzie się krzywić, ale jakoś sprawę przepchniemy.

- Traktujesz sprawę jako wyzwanie, tak? - spytała Kristine.

Moffat zrobił zbolaną minę.

- Wyzwanie to nie jest właściwe słowo. Arno był zawsze typem, który żąda wydobywania z francuskich rozków sześćdziesięciu czterech nut. Ale w czasach, kiedy z nim współpracowałem, myślał zdecydowanie racjonalniej w porównaniu z okresem, kiedy tworzył opus 45. Tutaj niektóre fragmenty są bez dwóch zdań niepraktyczne. Paru taktów nie jest w stanie zagrać żaden człowiek, więc aby sprostać wymogom zapisu nutowego i zrealizować choć część zaleceń Waltiriego, zaprogramuje się odpowiednio synclavier. Nie będzie to dokładnie tak, jak na żywo, ale w końcu w ten sposób robi się dzisiaj muzykę. Chcę przedzielić z wami kolejne części kompozycji... z tobą też - dodał spoglądając na Michaela - i przekonać się, czy moje założenia wychodzą naprzeciw waszym oczekiwaniom. Pamiętajcie, że to z mojej strony wielkie ustępstwo.

- Będziemy pamiętać - powiedziała Kristine z cieniem uśmiechu.

- Tak trzymać. Żadnego ponuractwa. To wesoły kawałek.

Wręczył obojgu kopie rękopisu i przystąpił do objaśniania kolejnych części utworu. Pierwsza część rozpoczynała się w a-moll, krzyżyk zmieniał jej tonację na c-dur, po czym powracała do a-moll. Zatytułowana była: *Allegro eon brio*.

- Szybkie intro z sześcioma bardzo osobliwymi półnutami upchniętymi tam, gdzie powinno się akurat kończyć - powiedział Moffat. - Takt na osiem. Szybko, szybko. Tu największą robotę odwała pierwszy fortepian, *mezzo forte*. To dobrze. W drugiej części wchodzi okaleczony fortepian.

- Mamy w kampusie technika, który konstruuje z brązu mostek na struny fortepianu.

- Nie mogę się doczekać, kiedy usłyszę, jak działa. Z instrukcji nic nie kapuję, co toto ma robić z fortepianem?

- Nie wiemy - przyznał Michael.

Moffat uniósł brew.

- To dobrze. Lubię niespodzianki.

Druga część, utrzymana w tonacji c-dur-moll, była w normalnym tempie i wprowadzała całkowicie nowe tematy, które przechodziły stopniowo w o wiele wolniejsze i znacznie złagodzone powtórzenie pierwszej części w tonacji a-dur. Trzecia część stanowiła dialog pomiędzy nie wyszczególnionym z nazwy, ale dokładnie opisanym instrumentem - oryginalnie był to theremin, teraz jego rolę przejął synclavier - a „okaleczonym” fortepianem.

- Nie będzie łatwo - skomentował Moffat. - Co krok to pułapka. Do zagrania niektórych pasażów przy dałaby się armia pajęczków.

Czwarta część była rozdzierająco powolnym adagio w tonacji f-dur, które pod koniec przechodziło znowu płynnie w powtórzenie oryginalnego tematu przetransponowanego do tonacji b-dur. „To był właśnie ów »dynamit«”, powtórzył Moffat, „którego nie zalecano próbować z innymi fragmentami utworu ani grać razem z czterema pozostałymi częściami aż do pierwszego wykonania.” Część piąta, utrzymana w tonacji a-dur, była skocznym, romantycznym ländlerem, tańcem ludowym.

- Bardzo mahlerowska. Z animuszem, co prawda nie taka szybka jak pierwsza część, ale zmierzająca do uroczego finału, a wtedy... - Potrzęsnał głową. - Nagły przeskok do c-moll. Nie wiem, ja „nie słyszę” ostatnich stu taktów. Już czterdzieści pięć lat czytam zapisy nutowe, ale tych nut nie słyszę. Dziwna sprawa, a może nawet magiczna. Ale grałem je na synclavierze i na fortepianie i okazuje się, że brzmią bardzo interesująco.

- Ależ zamęt - przyznała Kristine patrząc na nuty. - Tyle tu tych nagłych zmian kluczy.

- Och, gorzej - powiedział Moffat. - Istny chaos. Tego się za cholere nie da zagrać. Psychotropowa struktura tonu, owszem, ale i tak brzmi to, jakby Korngold i Mahler wybrali się na wakacje z Schönbergiem i wylądowali na koniec z gamelanem¹ na Krakatau.

- Chcesz powiedzieć, że koncert jest kiepski? - spytał Michael czując, że ostatni pewny grunt usuwa mu się spod stóp.

Moffat uśmiechnął się do sufitu i przymknął oczy.

- Bynajmniej - mruknął. - Po prostu nieosiągalny, ale cudowny. Tych kilka fragmentów, które zagrałem... to majstersztyk. Szatański co prawda, ale majstersztyk. Liszt z włosami zaplecionymi w warkoczyki i na LSD.

Kristine parsknęła śmiechem; Michael usłyszał jej śmiech po raz pierwszy od paru tygodni. Spojrzała na niego, zacisnęła usta i potrzęsnała głową. Była już poważna. Opanowała się.

- Głowę dam, że coś tu przede mną ukrywacie - powiedział Moffat. - Wolałbym nie zgadywać co ta kiego. Jakiś skandal się szykuje? Związek Artystów Muzyków chce nas pikietować, żeby nie dopuścić do ponownego wykonania tego kawałka?

Kristine pochyliła się w przód.

- Nie mogłabym wybrać lepszego dyrygenta - powiedziała.

Moffat westchnął.

¹gamelan - indonezyjski ludowy zespół orkiestrowy złożony głównie z instrumentów perkusyjnych, dwu-, trzystrunowych i dętych zwykle łącznie z teatrem cieni (przyp. tłum.).

- A skąd pewność, że to ty mnie wybrałaś? - spytał. - Może w tej kompozycji tkwią jakieś siły, o których wiecie, albo nie. - Ich milczenie wprawiło go w zakłopotanie. - To był żart.

- Głupi, że aż miło - mruknęła Kristine. - Trzeba będzie dograć na uniwersytecie parę szczegółów, a potem zamówimy ci salę...

- Jaką? - wpadł jej w słowo Moffat.

- Royce Hall.

- Ten zabytek?

- Idealnie odpowiada naszym wymogom - odparła Kristine. - Chyba nie ma w okolicy sali koncertowej bardziej przypominającej stary Pandall Theater.

Moffat uśmiechnął się z przymusem i podniósł ręce w geście poddania.

- Niech będzie. Cały czas jesteśmy na jednym afiszu z Dziesiątą Mahlera?

- Będę to dogadywać dzisiaj po południu - odparła Kristine.

- Ależ wieczór się szykuje. - Moffat aż zatarł ręce. - Powalimy ich na kolana.

Kiedy szli do głównej bramy, Kristine wzięła Michaela pod ramię i ścisnęła jego dłoń.

- Chyba naprawdę do tego dojdzie - powiedziała.

- A myślałaś, że nie?

- Miałam pewne wątpliwości.

- Dlaczego?

Minęli strażnika, zatrzymali się przy krawężniku ulicy Gower i przepuściwszy jadące samochody, przeszli na drugą stronę do swoich aut.

- Ktoś ciągle rzuca nam kłody pod nogi. Jak dotąd bez powodzenia, ale nie daje za wygraną.

- Kto?

- Podejrzewam, że Clarkham - odparła prawie bez troski Kristine. Spojrzała na Michaela.

- Rozmawiał z tobą osobiście?

- A nie dzwonił do ciebie?

- Nie - odparł Michael.

- Może się ciebie boi.

Michael parsknął śmiechem.

- Wątpię.

- Mówiłeś, że kiedyś go pokonałeś.

- Owszem, mając za sobą wszystkich Sidhów.
- A jednak go pokonałeś.
- A on przetrwał. Wszystko na to wskazuje.
- Dlaczego boi się wykonania koncertu?
- Ja wiem, czy się boi? Nie był w stanie temu przeszkodzić, a jest o wiele potężniejszy niż... - Michael wzruszył ramionami. - Niż mogłoby się wydawać po tym, jak go pokonałem.
- Sądzisz, że on chce, by go wykonano? - spytała Kristine. - I robi cały ten zamęt tylko po to, żeby nas zmobilizować?

- Nie wiem.

Kristine puściła jego ramię i cofnęła się o krok.

- Nie mam zielonego pojęcia o magii - przyznała. - Co będzie, jeśli sprawy naprawdę się skomplikują?

Michael milczał przygnębiony.

- Mam nadzieję, że będziesz mnie chronił?

Michael poczuł pieczenie w gałkach ocznych, a za nimi, w głębi czaszki, wzmagające się ciepło. Obojętne, czy żartowała sobie z niego, czy nie, postanowił odpowiedzieć jej zupełnie poważnie i szczerze.

- Będę się starał - odparł. - Uczynię wszystko co w mojej mocy.

- Wiesz, wolałabym liczyć na siebie samą, ale gdybym się jednak przeliczyła... - Uśmiechnęła się do niego. - Wierzę ci. Muszę już iść... jestem umówiona na drugą z Bertholdem Crooke'iem. Z tym facetem od nowej orkiestracji Dziesiątej.

Przez chwilę stali dwa kroki od siebie w niezręcznym milczeniu. Wreszcie Kristine podeszła szybko i pocałowała go w policzek. Cofnęła się, a Michael splonął rumieńcem.

- I pomyśleć, że kiedyś porozmawiamy może o normalnych sprawach - powiedziała.

- Gorąco tego pragnę.

- Doczekamy się, Michael. Nie mam żadnych wątpliwości. - Przechyliła lekko głowę.

- Gdybym tak i ja ich nie miał - westchnął Michael.

- Czas na mnie. Wpadniesz jutro do biblioteki?

- Tak. Podpisać papiery.

- Więc tam porozmawiamy. - Podeszła do swojego samochodu.

Najważniejsze chwile życia można spędzić na ulicy, pomyślał Michael i otworzył drzwiczki Saaba. Całe jego ciało zdawało się pulsować, niespokojne i pobudzone zarazem.

Nazajutrz, o jedenastej rano, do drzwi domu Waltiriego zapukało dwóch świadków Jehowy, a Michael nie miał serca, by tak zwyczajnie ich odprawić. Starszy z dwójki, mężczyzna w średnim wieku ze starannie ułożonymi siwymi włosami, miał na sobie brązowy garnitur i złoty krawat; młodszy, adept, na oko dwudziestoletni, ubrany był w czarny garnitur i nosił krawat czerwony. Obaj mieli teczki.

Michael, przestępując z nogi na nogę, słuchał cierpliwie ich prorocत्व oraz cytatów z Biblii, a oni trzymali go w progu bite pół godziny. W końcu odważył się przyznać, że doprawdy nie jest zainteresowany, zatrzasnął im przed nosem drzwi i przymknąwszy oczy, bliski torsji, oparł się plecami o ciemne drewno.

Przepowiadali Apokalipsę. Sam wiedział, że nadchodzi... ale nie w takiej formie, jak przedstawiali to oni.

Niemal fizycznie czuł zatrutą, narzuconą przez Sidhów ignorancję, tę najwspółczesniejszą inkarnację tysięcy lat, przez które Tonn próbował być ludziami Bogiem. Wprawdzie część tych zatruwających umysły filozofii, pomimo wysiłków Sidhów, została przez człowieka przetransponowana - ale ileż jeszcze setek milionów ludzi tkwiło nieświadomie w okowach ciemnoty i okrucieństwa? Stał prosto, ale oczu nie otwierał.

- Za nic - powiedział cicho. - Jestem tylko dzieckiem. Za nic nie mogę pojąć, jak mam stanąć na czele tak wielu rodzajów ludzi. Nie chcę. Odmawiani. - Otworzył oczy i mrużąc je popatrzył na oprawione w ramki obrazy w korytarzu.

A kóż cię prosi, byś stawał na czele? zapytała cisza.

Michael wyczuł to pytanie tak samo niezaprzeczalnie, jak słyszał tykanie wiekowego zegara. Oto do czego wszystko zmierzało: jego dorastanie, jego dojrzewanie, wyzwania i Apokalipsa.

Zadrzał, wzdrygnął się i padł na kolana. Ramiona dygotały mu, dopóki nie zacisnął pięści i nie poczuł, jak jego wewnętrzne zdolności - *żadna z zewnątrz, wszystkie w nim, wszystkie z głębi niego* - mkną przezeń niczym prąd elektryczny linią wysokiego napięcia, słabną na chwilę, a potem wyzwają się z pełną mocą, napawając brakiem jakichkolwiek hamulców.

Przez moment był bliski śmierci. I chociaż zdołał w końcu zapanować nad tymi siłami i ścisnął je grubymi, stalowymi prętami swojej woli, dopiero po wielu godzinach uzmysłowił sobie, jak niewiele brakowało, by po prostu przestał istnieć; podobnie jak wcześniej Tommy, choć z innych powodów.

Wszedł powoli po schodach na piętro i osunął się na łóżko Waltiriego, nie zmęczony a oszołomiony, po raz pierwszy w pełni świadomy swojej wrażliwości i niebezpieczeństwa, jakie wrażliwość ta za sobą niesie.

Ciągnięcie tygrysa za ogon.

Michael - z tym, co w sobie miał, co generował nie swoim świadomym ja, ale czymś, co w nim tkwiło i nie miało nazwy - Michael sam sobie był tygrysem. Tracąc kontrolę, pożre żywcem sam siebie.

- Kim, u diabła, jestem? - mruknął chrapliwym głosem, ocierając z oczu pot.

W połowie lipca Kristine zawiozła Michaela do Morthridge na spotkanie z Bertholdem Crooke'iem. Crooke mieszkał w kompleksie kondominiów, na skraju rozległego pustego pola porośniętego wyschniętą, pożółkłą trawą. Uczył muzyki w młodszych klasach miejscowej szkoły średniej, nie zwracając na siebie większej uwagi do czasu, kiedy opublikował swoją wersję orkiestracji niedokończonych Dziesiątej Symfonii Mahlera.

Crooke był kościstym mężczyzną o granatowoczarnych włosach i jastrzębiej twarzy, wiecznie zacienionej szczecina kilkunastu letniego zarostu. Najbardziej uderzającą cechą jego aparycji były oczy - wielkie, jakby końskie. Również zęby miał duże i wystające. Mówił wolno i często się uśmiechał, odsłaniając przy tym szerokie, bielutkie zęby, czym mógłby wzbudzać grozę, gdyby nie wyzierającą z oczu łagodność. Był samokrytyczny, a jednocześnie pewny siebie. Michael z miejsca go polubił i nie odczuwał potrzeby sondowania jego aury; chociaż z pewną zazdrością i smutkiem zauważył, że Kristine także lubi Crooke'a.

Zasiedli u Crooke'a przy kuchennym stole i omówili punkt po punkcie założenia aranżacji. Po godzinie dyskusji Crooke poczęstował ich kawą i pączkami, po czym stanął za plecami Kristine i zaglądając jej przez ramię śledził, jak porównuje wymagania orkiestracji koncertu i symfonii.

- Właściwie to niewiele się od siebie różnią - stwierdziła, kręcąc z pewnym zaskoczeniem głową. - Na dobrą sprawę będziemy mogli wykorzystać tych samych muzyków. Edgar mówił mi, że do wykonania koncertu potrzebna będzie rozbudowana orkiestra, ale... - Spojrzała na Michaela. - Mahler nie uchodzi za oszczędnego w środkach.

- To fakt - przyznał Crooke. - Wspomniałaś, że Moffat skompletował już orkiestrę... Nie muszę ich aprobować ani nic w tym rodzaju, ale...

- Na próby będziesz miał tyle samo czasu - zapewniła go Kristine. - Uniwersytet od lat nie podejmował się tak ambitnego przedsięwzięcia. Wydaje mi się, że pomysł chwyta. Nikt na wydziale nie narzeka na koszt, a to prawdziwy cud.

- Miałem na myśli - powiedział z niewinnym uśmiechem Crooke - że w życiu nie dyrygowałem tak wielką orkiestrą. Jedynie orkiestrami szkolnymi. Próby będą potrzebne bardziej mnie niż muzykom.

Kristine poklepała go pocieszająco po ramieniu.

- Jesteśmy pełni zapалу - powiedziała. - Wszystko pójdzie dobrze.

Crooke skrzywił się i opadł z westchnieniem na swoje krzesło.

- Teraz prawie żałuję, że się tym w ogóle zająłem...

- A jak właściwie do tego doszło? - wpadł mu w słowo Michael.

Crooke splótł palce.

- Kiedy miałem szesnaście lat, usłyszałem po raz pierwszy nagranie tylko jednego zorkiestrowanego wówczas fragmentu Dziesiątej - *adagio*, pierwszej części - pod dykcją Rafaela Kubelika. Przesłuchiwałem tę płytę w swoim pokoju w samotności, odizolowany od reszty rodziny. Mieliśmy ogromny dom farmerski w Thousand Oaks, pełno korytarzy, sypialni - istny labirynt. Nawet nie odczuwało się w nim obecności szóstki dzieciaków. Muzyka wydała mi się bardzo smutna, niczym do jakiegoś wolnego i lunatycznego tańca; za to pod koniec części pojawia się dysonans: przenikliwe trąbki w A, orkiestra jakby krzyczała albo płakała z... - Po trząsnął głową. - Rzuciło mnie na kolana. W życiu nie słyszałem czegoś podobnego. Przywodziło na myśl... wszystkich uciśnionych, wszystkich dotkniętych bólem i nieszczęściem, którzy zrywają kajdany i podnoszą głowy. To było objawienie i śmierć zarazem. Wzruszyłem się do łez. Zacząłem drzeć i szlochać. - Na twarz powrócił mu niewinny uśmiezek. - Byłem przekonany, że musi istnieć dalszy ciąg. Wyszperałem orkiestrację Derycka Cooke'a pod dykcją Eugene'a Ormandy'ego i przesłuchałem ją. Piękna była, ale czegoś jakby brakowało. Ta symfonia stała się moją obsesją. Uważałem, że jeśli ów kawałek w ogóle można zorkiestrować tak, jak uczyniłby to Mahler, gdyby żył, wówczas... - Crooke podniósł ręce. - Bingo. Jak wyrazić to słowami? Byłoby to największe dzieło wszechczasów zachodniej muzyki, a przynajmniej najpotężniejsze. Bywało, że zorkiestrowawszy parę stron, po prostu nie mogłem ich potem słuchać. Nie byłem nawet w stanie zagrać fragmentów partii fortepianu.

- Słyszysz się głosy, że udało ci się osiągnąć efekt, pod którym podpisałby się sam Mahler - powiedziała Kristine. - Co ty na to?

- O tak - odparł Crooke, a twarz nagle ściągnęła mu się i spoważniała. Wyprostował się na krześle i odchrząknął. - To zabrzmiało głupio... może nawet trochę zwariowanie... - Postukiwał nerwowo palcem wskazującym o blat stołu. - Ale miejscami odnoszę wrażenie,

jakby pomagał mi sam Mahler. - Zachichotał nerwowo, potrząsając głową. - Słyszałeś to już kiedyś? - zwrócił się do Michaela. - Którąś z innych wersji?

- Od początku do końca nigdy - odparł Michael.

- Nie trzeba słuchać całości, żeby rozpoznać arcydzieło.

Michael przytaknął ruchem głowy. Ten dysonans, te przenikliwe trąbki w A - wszystko to doskonale już znał. Słyszał je penetrując wyższe piętra pensjonatu Tippett.

*

Pod koniec lipca w Los Angeles nastąpiła seria pochmurnych dni, których tak brakowało w czerwcu, przerwana przez tydzień bardziej normalnej letniej pogody, kiedy to temperatura podskoczyła do trzydziestu kilku stopni, a z nieba, chociaż wciąż zamglonego, zniknęły chmury.

Michael nie chodził na próby. Co kilka dni Kristine zdawała mu na gorąco relację z postępów w pracy. Poza tym nie widywali się.

Większość czasu spędzał trenując w ogródku za domem lub uprawiając jogging. Dopso nie towarzyszył mu już w przebieżkach. Po incydencie z Tommym Dopsowie unikali Michaela. Najwyraźniej cała tajemnica nabrała dla nich zbyt specyficznego posmaku.

Nocami Michael przesiadywał w domu przed kominkiem, ćwicząc swoją dyscyplinę.

Szesnastego lipca, o pierwszej w nocy, po sześciu godzinach nieprzerwanej koncentracji Michael sięgnął jedną ręką do Królestwa i zabrał stamtąd liść oraz przezroczystego czerwonego insekta, bardzo podobnego do biedronki. Insekt niebawem zdechł, a liść usechł i zwinął się w brązowy strąk.

Osiągnął dopiero poziom Eleuth. Najbardziej jednak zaniepokoiło go to, że trzymając rękę w Królestwie wyczuł pewną nieciągłość. Gdyby rzeczywistość opisać w kategoriach ciepła lub gorąca, jego ciało - spoczywające na orientalnym dywaniku w domu Waltiriego na Ziemi - znajdowało się w samym środku pieca, a rzeczywistość wdzierła się wszędzie jaskrawobiałym żarem.

W Królestwie wszystko było zimne. Ogień dogasał.

Prawdziwy ogień przed Michaeliem tlił się już tylko w rozżarzonych węgielkach, a on siedział zatopiony w myślach. Oczy miał przymknięte, a jego ręce, zwieszane wzdłuż boków, uniosły się niemal samorzutnie i znieruchomiały w odległości kilku cali od siebie. Zaszędziały go dłonie i naraz coś przez nie przemknęło - srebrzyste rozszerzenie jego dyscypliny i pierwotna emocja, *Preeda*. Próbował je złączyć, ale nie mógł; przerażony

otworzył oczy i ujrzał rozpiętą między dłońmi perłową nić, na którą nanizana była rozjarzona kula. Przez skórę dłoni i przedramion wyczuwał jej istotę; było to zawiniątko zawierające niektóre warunki, jakie naszkicował w swoim wierszu o węzłach rzeczywistości. Ale cóż to? Rozsunął powoli ręce i nić przerwała się. Kula ześlizgnęła się po nici do jego lewej dłoni, przywarła do niej na chwilę, a potem zniknęła.

W początkach sierpnia próby, zarówno koncertu, jak i symfonii, zbliżały się do końca. Na cztery dni przed pierwszym z dwóch planowanych wykonań w dodatku kulturalnym niedzielnego Los Angeles Times ukazały się ogłoszenia. Programy wysyłano pocztą i rozlepiano na tablicach informacyjnych na terenie kampusu. Kristine wykonała sporo tej pracy osobiście.

W czwartek wieczorem, ubrana w wytworną, granatowoczarną suknię, uśmiechnięta, z dwoma biletami w okrytej rękawiczką dłoni, zjawiała się na ganku domu Waltiriego.

- Okazja - zaznaczyła. - Idziemy, współniku?

17

Zapadał zmierzch. Na czystym, szafirowobłękitnym niebie rozpościerającym się nad Los Angeles błyszcząca wieczorna gwiazda. Kristine jechała przez Wilshire w stronę UCLA, opowiadając o ostatnich gorączkowych przygotowaniach, tłumacząc, dlaczego spóźniła się kilka minut - musiała uspokajać przez telefon zdenerwowanego Crooke'a, że wszystko pójdzie gładko - i wyrażając ogólnie swoje wątpliwości związane ze zbliżającym się wieczorem. Kiedy znaleźli się w okolicach Westwood, zamilkła nagle i spojrzała na Michaela unosząc nieznacznie jedną brew i zaciskając usta.

- Coś nie tak? - zaniepokoił się.

Roześmiała się i pokręciła głową.

- Odkąd cię poznałam, zmienił się cały mój świat, a ty pytasz, czy coś jest nie tak. Nie wiem, czy uda mi się wieść normalne życie po tym, jak... zniknął twój przyjaciel, po wypadku z Tommym. Powinnam być przerażona. Nie na żarty.

- To czemu nie jesteś?

- Bo mam u boku ciebie.

- Niewielkie to wsparcie - mruknął Michael odwracając głowę.

- Wiesz, dzisiaj wieczorem znowu zadzwonił Clarkham - powiedziała. - Zaraz po tym, jak skończyłam rozmawiać z Bertholdem.

Michael poczuł głębokie ukłucie gniewu i szybko zatopił je przyływem wewnętrznego ciepła *hyloki*.

- Co ciekawego miał do powiedzenia nasz duch?

- Twierdzi, że jeśli dzisiaj wieczorem odbędzie się wykonanie, to się z tobą spotka.

- I to wszystko?

- Tak. Już się go nie boję, Michael.

- A powinnaś. Oboje powinniśmy.

- Czyżbyś tego nie czuła? Dzisiejszy wieczór zapowiada się świetnie. Za naszą sprawą. Pokręcił głową.

- Po prostu się denerwuję.

- To ja powinnam się denerwować. Wręcz nie wierzę, że to wszystko dzieje się na jawie. Od chwili, gdy cię poznałam, wydaje mi się wciąż, że śnię. - Skręciła w zarezerwowane miejsce parkingowe i pokazała palcem BMW Moffata, a po drugiej stronie wiekowego, poobijanego Chevroleta Nova Crooke'a. - Wszyscy już są. Obsada w komplecie. Niech więc sen wejdzie w fazę kulminacyjną. - Kristine zgasła silnik i obróciła się na fotelu twarzą do Michaela. - Nie było łatwo, zwłaszcza tobie - powiedziała. - Nie byłeś... „cierpliwy”. To brzmi tak prozaicznie. Byłeś... - Potrząsnęła energicznie głową. - Wieczorem, po koncercie, będziemy musieli pójść ze wszystkimi do „Macho” na celebrację.

- Macho? - powtórzył z niedowierzaniem Michael.

- To taka meksykańska restauracja w Westwood. Mamy tam rezerwację. A potem, posłuchaj, bo to ważne, wrócimy razem do domu Waltiriego i będziemy się kochać. - Utkwiła w nim wzrok, przygryzając górną wargę. - Jeśli chcesz.

- Chcę. - Jego pożądanie zlało się z ciepłem *hyloki* i rozbrzmiało w podbrzuszu nieopisanym echem.

- To tak samo ważne jak wszystko, co się dzisiaj będzie działo - powiedziała Kristine.

- W każdym razie dla mnie. Angażowanie się nie przychodzi mi łatwo. Jestem ostrożna, zbyt ostrożna. Zauważyłeś zresztą.

Nie odpowiedział, po prostu wpatrywał się w nią bez słowa.

- Jesteś taki nieodgadniony - powiedziała uśmiechając się pod nosem. - Przebijmy się dzisiaj przez wszystko, przez muzykę, ten świat, wszystkie mury i pozory. - Otworzyła drzwiczki i wysiadła, po czym przeszli ramię w ramię przez trawnik, kierując się w stronę Royce Hall.

Teren UCLA wyglądał nocą atrakcyjniej niż w świetle dnia. Dzięki iluminacji i oświetlonym oknom budynków obok egipskich ciemności powstawały magiczne obszary

skapane w jasności. Między budynkami maszerowało szybkim krokiem kilku studentów; albo mieli okienko w wieczornych zajęciach, albo śpieszyli do biblioteki.

Tłumek ludzi czekających w ogonku przed sędziwymi kolumnami i ceglanymi, romańskimi łukami Royce Hall był budująco okazały. Michael spostrzegł w kolejce rodziców i przedstawił im Kristine. Dziewczyna przypadła do gustu Ruth, która jednak co i rusz zerkała z uniesionymi brwiami na Michaela. John zachowywał się jowialnie, tryskał humorem i rzucił myśl, żeby po koncercie urządzili sobie wspólnie jakąś małą uroczystość.

- O ile nadal tu jeszcze będziemy - dorzucił złowieszczym tonem.

- Jesteśmy już zaproszeni na przyjęcie dla orkiestry - wyjaśnił Michael. - Ale może jutro...

Ruth ścisnęła Johna za łokieć i zgodziła się, że byłoby wspaniale.

- Idźcie już. To wasz wieczór - powiedziała. John uniósł brwi. - Nie zwracajcie na niego uwagi. - Michael uśmiechnął się i uściskał ich oboje.

Kristine poprowadziła go wzdłuż bocznej ściany gmachu i dalej po betonowych schodkach do dwuskrzydłowych drzwi, gdzie bileter w golfie i białych spodniach obejrzał ich przepustki, wręczył im programy i wpuścił na salę. Zajęli miejsca pośrodku, w piątym rzędzie.

Michael odchrząknął i otworzył program.

- Nie sądzisz, że za blisko siedzimy? - spytał niezupełnie żartując.

- Najlepiej - powiedziała - żeby sprawcy przyjęli na siebie pierwszy impet, nie uważasz? - Poklepała go po ramieniu i otworzyła swój program.

- Tutaj minęli się z prawdą - zauważył Michael wskazując ustęp tekstu na drugiej stronie. - Clarkham nie popełnił samobójstwa... on ulotnił się przed rozpoczęciem procesu. Arno sam musiał ponosić konsekwencje.

- Hmm. Miejmy nadzieję, że nasze audytorium nie okaże się takie konfliktowe.

Kurtyna poszła w górę i ci z wykonawców, których instrumenty nie znajdowały się jeszcze na scenie, ściągali teraz wraz z nimi do swoich stanowisk. Zgodnie ze wskazówkami Clarkhama orkiestra była zobowiązana zwracać na siebie uwagę i przy uniesionej kurtynie demonstrować przebieg przygotowań do wykonania koncertu. Kopia tej instrukcji, skreślona oryginalnym piórem Clarkhama, widniała w broszurce z programem.

Przygasły światła, gwar głosów zaczął opadać i po chwili na sali zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Dziesiąta Symfonia Mahlera, gwóźdź programu, miała zostać wykonana jako pierwsza, a następnie, po pięciominutowym zaledwie antrakcie, przychodziła kolej na koncert.

Berthold Crooke stanął za pulpitem przed zebraną już w komplecie i wyczekującą orkiestrą. Zastukał cicho batutą w pulpit i wskazał na oboistę, by podał A z krzyżykiem. Orkiestra dostroiła się do tej tonacji i ryknęła zgodnym chórem instrumentów. Oboista znów podał A z krzyżykiem i znów zawtórowała mu orkiestra. Na koniec - kiedy ton zaczynał już ranić uszy - pianista przy klawiaturze synclaviera podał idealne, czyste A i orkiestra dostroiła się do niego. Wszystko to odpowiadało wytycznym Clarkhama - nie Mahlera ani nie Crooke'a. Gdy miła dla ucha kakofonia przebrzmiała, Crooke znowu zastukał i zaległa cisza.

Uniósł batutę.

Pierwszą część Dziesiątej stanowiło elegijne adagio dur-moll w F z krzyżykiem. Mimo że muzyka niosła w sobie silny niepokój i smutek, Michael pogrążył się w niej bez pamięci. Misterny splot dźwięków działał hipnotycznie; wahał się między sielskim spokojem na jednym, a złowieszczą groźbą na drugim biegunie. Efekt tej huśtawki nastrojów był niemal bolesny w swym natężeniu - nieharmoniczny zgrzyt orkiestry, potęgowany przez solową trąbkę wyciągającą wysokie A - śmierć i destrukcja, szok i przerażenie. *Adagio*, które dobiegło właśnie końca, samo w sobie zdawało się tworzyć całość i wydrenowało Michaela z wszelkich uczuć.

Część druga, *scherzo* - pierwsze z dwóch - stanowiła całkowity kontrast; zaczęła się od przewrotnej zmiany rytmów i temp, po czym przetransponowała temat pierwszej części w skoczny taniec ludowy. Zakończyła się wesoło w tonacji durowej, napełniając Michaela uczuciem nadziei.

Uczucie to utemperowała część trzecia, zatytułowana *Purgatorio*. Utrzymana w bes-moll i w takcie 2/4, oscylowała między niepokojem i nadzieją, słońcem i chłodnym cieniem, wyciągając własne wnioski... a wnioski te były mroczne, obezwładniające.

- O Panie, czemuś mnie opuścił? - wyszeptała Kristine.

- Co? - spytał Michael.

- Tak napisał Mahler w oryginale zapisu nutowego.

Początek drugiego *scherzo* omal nie wysadził go z fotela - wpiersz świdrujący dźwięk rogów i instrumentów smyczkowych, a potem znów taniec z życiem i nadzieją, bezwładem i śmiercią.

„*Ten biedny, smutny Niemiec.*”

„*Nie ponoszę żadnej odpowiedzialności za Maklera. Za jego dziecko również. To nie było wcale moje dzieło.*”

Scherzo przypomniało mu ten strzępek niegdysiejszej rozmowy Mory z Clarkhamem pod Kopułą Rozkoszy.

- Czy Mahler stracił któreś ze swoich dzieci? - zwrócił się Michael do Kristine.

- Córkę - odparła. - Drugą jego córkę uwięziono podczas drugiej wojny światowej w obozie koncentracyjnym - dodała szeptem, nachylając się do jego ucha.

- Przecież on już wtedy nie żył - zauważył Michael.

- Być może przewidział, co nadciąga. Dostrzegął, do czego zmierza stary świat.

Michael poczuł dreszcz sunący w górę kręgosłupa. Tak... Stary świat przechodzi w nowy.

Niepokój narósł po barwnym, romantycznym interludium. Rogi, akcenty ksylofonowe, klarnety i francuskie rożki - i znów koszarne, wgrzyzające się w ów niepokój solo na trąbce, zapowiedź urzekającego i potwornego objawienia.

Michael siedział skostniały w fotelu. Nie był niemal w stanie skupić myśli na tym, co się wokół niego dzieje. Stary świat w nowy.

A jednak to czysty zbieg okoliczności - skojarzenie Dziesiątej...

Nieukończonej. Przerwanej przez śmierć.

...z *Koncertem Nieskończoności*.

Chwila otuchy, znów niepokojące tony i na powrót sielska codzienność - świat, życie towarzyskie, dzieci...

Z wplecionym w nią przeczuciem nadciągającej katastrofy...

Oraz zmiany, traumy i antycypacji; wizja...

Zwiastun nowej ery, ery strachu i wręcz katastrofy...

Potem ciche, selektywne dźwięki pojedynczych smyczków, rozrzedzające materię rzeczywistości, przenoszące chłód z żołądka do głowy. W tle złowieszcze dudnienie kotłów.

Na największy na scenie kocioł - istne monstrum o średnicy ośmiu stóp - spadło jak grom uderzenie dobosza.

Chłód znikł, pozostawiając Michaela w stanie zawieszenia pośród publiczności, ledwie świadomego krzesel, orkiestry, ścian, sufitu. Nad głową wyczuwał niebo. Na jego lewej dłoni spoczywała perłowa kula. Zacisnął palce, by ją ukryć.

Kamuflaż. Wszystko zostało zakamuflowane, aby zwieść, zbić z tropu. *Koncert Nieskończoności* nie był sam w sobie Pieśnią Władzy. Wszelkie podobieństwa zdawały się tylko przypadkowe.

Dziesiąta Mahlera torowała drogę, rozliczała stary świat, opisując zmierzch długiej epoki (sześćdziesiąt milionów lat! a może po prostu koniec spokoju w Europie... a może jedynie marność życia jednostki; życia, które legło w gruzach po stracie córki... być może przeczucie, co druga córka będzie musiała wycierpieć w nowym świecie, dwukrotnie

ogarniętym przez szaleństwo) i wyrażając nadzieję na byt po śmierci. Bogata, niepokojąca, neurotyczna, podrygująca z każdym tikiem i drgnieniem przybierających zły obrót spraw epoka usiłująca zachować twarz i charakter pośród nadciągającego chaosu.

Pulsowanie olbrzymiego kotła akcentowało pogrzebowy nastrój. Znowu szczątkowe dźwięki, tym razem tłumionych trąbek... a potem fanfary, lekka i urokliwa, grana na flecie piosnka nadziei, podjęta przez smyczki... znowu wzbierająca napięciem, przekwitająca; życie przeżyte zbyt intensywnie, tiki i drgnienia...

Puls kotła. Przejmująca triada na trąbce.

Puls kotła. Niskie tony fagotów, rozwibrowywujące sekundy jego życia. Michael wciąż nie był w stanie ruszyć palcem.

(Podstęp. Kamuflaż. Zwodzenie.)

Tempo narasta do nowego tańca, nowej nadziei - rekonwalescencja, dochodzenie do zdrowia - i kolejna zapaść. Michael coraz wyraźniej uświadamiał sobie ową huśtawkę, ale tylko dzięki temu, że była tak zbliżona do codziennego rytmu jego życia. Życia w tym świecie, świecie przemijającym.

Podwyższenie do triady i...

Katastrofa. Cała orkiestra połączyła się jakby w nieharmonicznym zgrzycie, trąbka znowu ciągnęła wysokie A, podchwyciły to rogi, jeszcze jeden przyprawiający o ból głowy zgrzyt - nawiązanie do tematu codziennego życia... A potem trąbce, zwolnionej z roli przykrego dla ucha ostrzegania, pozwolono na skromne solo. Pozostałe instrumenty podjęły triadę w tonacji durowej, tchnęły nadzieją, nie siały już spustoszenia; a dalej sielanka.

pomost, tkanka łączna pomiędzy starym a nowym

Ileż było w tym podobieństwa do ostatnich wydarzeń, do dziwności mieszającej się z nieprzewidywalnymi skutkami z solidną ziemską realnością i wewnętrznym spokojem umysłu. Natężenie tego wrażenia zdawało się narastać do jakiegoś wyczekiwanego tryumfu, zadumanego, pełnego miłości i akceptacji... ale nieprzystępnego. Cicha kontemplacja.

Michaelowi wróciła władza w członkach. Zerknął nerwowo na Kristine, ciekaw, czy też to zauważyła. Symfonia zbliżała się do finału, a on czuł przyływ wewnętrznej siły.

Tryumf. Spokojny, silny i pewny - przewycięzający całą tragedię.

Tryumf.

Przebrzmiały ostatnie nuty Dziesiątej i Crooke jakby ponownie zmaterializował się za pulpitem, a orkiestra znowu stała się realna.

Na widowni zalegała martwa, przedłużająca się niezręcznie cisza.

- Spocileś się - mruknęła Kristine podając mu chusteczkę, którą wyjęła z torebki.

- Dzięki. - Michael przetarł czoło. Pot ściekał mu do oczu i szczypał. W sali było bardzo gorąco, wręcz duszno. Zerknął na dłoń. Perły już nie było.

W końcu audytorium zareagowało głośną, choć nie entuzjastyczną owacją. Wysłuchali, docenili, ale nie czuli, a jeśli nawet coś czuli, to nie rozumieli co. Kilka osób podniosło się z miejsc i jakby dla nadrobienia braku entuzjazmu pozostałych słuchaczy zgotowało wykonawcom gorący aplauz. Michael obejrzał się za siebie, ale nie mógł wypatrzeć swoich rodziców.

Crooke sprawiał wrażenie wyczerpanego, ale szczęśliwego. Skłonił się, po czym wziął do ręki podany mu mikrofon i oznajmił, że antrakt będzie bardzo krótki. Gdzieniedzie podniosły się pomruki niezadowolenia.

- Może rozprostujemy nogi? - zaproponowała Kristine.

Michael stanął obok niej i poruszał dyskretnie ramionami, napinając i rozluźniając jednocześnie mięśnie nóg - W płucach czuł to samo co niegdyś, kiedy w pracowni chemicznej przypadkowo wciągnął nosem rozrzedzone opary rozlanego kwasu azotowego - ucisk, ale jeszcze nie skurcz.

- To było cudowne - powiedział głosem, który nawet jemu nie zabrzmiał przekonująco.

- Jestem ogromnie dumna - odparła szeptem Kristine. - Wszystko wychodzi na medal. Nawet audytorium staje na wysokości zadania.

Powietrze, ni z tego, ni z owego, zrobiło się jakby o wiele świeższe. Znów był spokojny, przygotowany.

Dziesiąta Mahlera, prawidłowo zorkiestrowana, sama w sobie była Pieśnią Władzy. Modyfikowała stary świat, przedstawiała go szorstkim i wymagającym, uroczym i poetyckim, nieugiętym i niestałym.

Stara róża, przekwitająca i obrastająca cierniami. Jak uniknęła ścięcia przez Sidhów? Z drugiej jednak strony to nie była... Mahler zmarł przed jej ukończeniem. Wszystkie inne próby wypełnienia obietnicy spaliły na panewce...

Na podium wstąpił Edgar Moffat. Michael, pod wpływem impulsu, musnął ustami policzek Kristine i pogładził dłonią jej nagie ramię. Uśmiechnęła się doń niepewnie, po czym usiadła i skupiła uwagę na scenie.

Batuta powędrowała w górę i powoli opadła...

Część pierwsza rozpoczęła się zniemacka, prawie natychmiast wszedł nieokaleczony fortepian. Po chwili z podwójnych basów wydobył się głęboki, wibrujący dźwięk, który, wywindowany w górę przez smyczki, stał się niemal nie do zniesienia, przenosił się z

wiolonczeli na altówkę, z niej na skrzypce, aż utonął w niskim dudnieniu kotłów. Przerażliwymi fanfarami ożyły francuskie rożki i całym zastępem runęły w bitewny zamęt żwawo, żwawo, tańcząc; nieharmonicznie, a jednak idealnie; porywający galop widmowych rumaków, który ścichł z wolna, przechodząc w poszept smyczków.

Trawa morską wicherzona blaskiem księżyca.

Rogi nakreśliły kontur rozległego, przyczajonego w powietrzu niepokoju. Zatraciły wszelką muzyczną nutę i świszczały niczym wiatr - zwiastun puszystej, zimowej zamieci.

Pasaż pustych mogił, herold zmiany i koszmary przekreślonego dzieciństwa, zmory niezliczonej ludzkich istnień nigdy nie zapłodnionych przez dryfujące po bezkres dymy dusz.

Michael zamrugał powiekami powstrzymując napływające do oczu łzy i ścisnął dłoń Kristine. Ona też to przeżywała i miała mokre policzki.

Życia przeżyte i stracone. Tommy. Inni.

Eleuth.

Gdyby się teraz puścili, podpowiadała mu intuicja, zostaliby rozdzieleni. Kristine, cała drżąca, przytuliła się do jego ramienia.

- Czy właśnie to słyszeli tamci? - spytała. Michael przełknął ślinę.

- Nie. Wtedy wszystko było inaczej. Muzyka była i jest ta sama, ale teraz nadszedł dla niej właściwy czas.

- Skąd to wiesz? - zdumiała się.

Potrząsnął głową.

- Rezonuje.

- Czy ludzie znikną tej nocy lub później?

- Od samego słuchania na pewno nie - odparł.

Muzyka nabrała tempa i runęła falą do rogów, harfy i smyczków, z drugiego rzędu zawtórowały im szarpane zawzięcie struny skrzypiec. Muzycy grali jak w transie, a dyrygujący nimi Moffat ograniczał swe ruchy do minimum; batuta podawała takt, a ledwo uchwytnie gesty lewej ręki sygnalizowały emfazę; dawał im wskazówki, nie rozprasząc przy tym ich uwagi.

Muzyka nie łagodniała ani na moment. Kiedy do przyływu dołączył z powrotem fortepian, z pulsowania zaczął się wyłaniać zwichrowany i chaotyczny takt walca. Wyznaczany nieprzewidywalnymi i potężnymi grzmotami kotłów oraz rogów, stał się niebawem jeszcze bardziej arytmiczny i zgiełkliwy; później wyrównał się i nieco uspokoił.

Miarowe, kojące odgłosy przypominające bicie serca, cichnące, świdrujące strzępy nierównego tańca, powracającego jeszcze, ale już w wygładzonej formie, zwalniającego coraz bardziej tempo.

Preludium zakończyło się najsubtelniej, jak można to sobie wyobrazić. Bez chwili wytchnienia drugi, okaleczony fortepian rozpoczął spokojne i natarczywe, utrzymane w środkowym rejestrze solo, którego osobliwe, prawie niemiłe dla ucha, choć nie niepokojące dźwięki, uzbrojone w cierpliwość, wypatrywały swej pory. A muzyka niosła w sobie coś, czego Michael nigdy dotąd nie słyszał.

Opisywała czekanie. Solo fortepianu, choć samo w sobie nie takie długie, obejmowało tysiące, a może miliony lat.

Zerknął na Kristine. Oczy miała rozszerzone. Była oczarowana, bezkrytyczna: chłonęła wszystko całą duszą. Magia Waltiriego - niezaprzeczalna w nagraniach filmowych - tutaj jawiła się rozpasana.

W ślady fortepianu poszła ochoczo orkiestra. Tempo wciąż było nierówne... i narastało. Michael nie zwracał już dłużej uwagi ani na technikę, ani na tonację, strukturę czy sposób, w jaki tworzone są dźwięki.

Skoncentrował się natomiast na kontemplowaniu utajonego piękna tego utworu. Przyrównał go do „Kubłaj Chana”, do kopuły rozkoszy nawet w tej niekompletnej, chybionej postaci; przyrównał go do dopiero co odegranej symfonii. Były to pieśni podobne do siebie pod każdym względem, zagrane w różnych światach dla osiągnięcia podobnych celów. Subtelne wariacje w zalegających niżej warstwach mogły doprowadzić do diametralnie odmiennych rezultatów.

Mahler napisał swego czasu cykl pieśni/symfonię, którą zatytułował *Das Lied von der Erde - Pieśń Ziemi*. Sztyldem tym opatrzył być może niewłaściwe dzieło. To jego Dziesiąta była Pieśnią Ziemi, Ziemi jemu współczesnej.

Koncert Nieskończoności obwieszczał wszem i wobec nadejście Ziemi nowej.

I Michael wyczuwał swoją na niej obecność. Był tam wpisany - nie on osobiście, ale jego rola. Nabierająca znaczenia, mutująca, niekontrolowana, olbrzymi potencjał i mizerne dokonania. To go przerażało. Muzyka nie była już subtelna. Stała się zawila, wymagająca, pełna dysonansu.

Dysharmonii.

Dysproporcji.

Jeszcze raz.

Zjednoczyć. (Jak?)

Stworzyć. Co stworzyć?

Na sali podniósł się gwar, wybijający się nawet ponad głośną teraz muzykę. Było tu coś nierozwiązanego, co ludzie wyczuwali niemal zbiorowo.

Coś przyciszonego, natarczywego a cichego, wymagającego i zmutowanego...

Smyczki grają przy samych mostkach - ledwie je słyszeć; rogi stłumione - gubiące rytm. W tle pobrzękuje celesta. Napięcie rośnie...

Na to, co się teraz zdarzyło, ani Michael, ani członkowie orkiestry nie znajdowali słów. Muzyka nawiązała nagle do czwartej części, do *adagio*, które jeszcze nie było grane, i wybiegające naprzód odniesienie zadziało, ponieważ Michael - całe audytorium - wszyscy obecni wiedzieli z góry, co nastąpi w czwartej części.

Kristine uśmiechała się z zachwytem. Sala przycichła. Napięcie zostało w niewiarygodny sposób rozładowane.

Druga część dobiegła końca. Trzecia rozpoczęła się po kilkusekundowej co najwyżej pauzie. Synclavier i okaleczony fortepian uwikłały się w jakąś filozoficzną dysputę. Tak przebiegła trzecia część i Michael nie przypominał sobie jej przebiegu; nie pamiętał nawet, jak brzmiała. Została wykonana, ale dodawała tylko niezapamiętywalnego podtekstu całemu swojemu otoczeniu. Była to część i pomost sam w sobie, spełniający jedynie rolę komentarza.

Zaczynała się część czwarta. Twarz Kristine wyrażała podenerwowanie i ból. Ból, który przerodził się w konsternację.

Czwarta część nie była wcale tą częścią, do której nawiązywała wcześniej część druga. Były to w istocie dwa *adagia*, ale manifestowało się tylko jedno. Drugie istniało jedynie jako twór umysłów słuchaczy, jako widmo muzyki, a przecież Michael nie miał wątpliwości, że obie części zostały przez Waltiriego skomponowane i zinstrumentowane w najdrobniejszych szczegółach.

Zaczął się obawiać tego, co może przynieść część piąta.

Wykonywana właśnie czwarta była niemrawa, prymitywna, uboga, wręcz umyślnie nieelegancka. Był to nowy, nierozwinięty świat o nie zdefiniowanym jeszcze kształcie, mający już komplet żywiołów, które mieszały się właśnie i łączyły. Instrumenty grały w różnych rytmach, powoli dopasowując się do siebie, to cichnąc, to znów dochodząc do porozumienia, tematy spletały się i rozpletały, a na koniec powrócił oryginalny temat w przetransponowanej na B-moll wersji. Moffat określił całość jako „piorunującą”, a przecież nie była to żadna rewelacja.

Zaczął dominować normalny fortepian o precyzyjnym układzie poszczególnych nut i akordów - żadnych glissando, żadnych udziwień, zwyczajne szkicowanie tego, co nadchodzi.

Wtem, w sposób całkowicie niezmierny, synclavier zaczął przedrzeźniać fortepian. Wytwarzał glissanda i łączył naszkicowane harmonie. Nakładał je na siebie, tworzył i parafrazował kanony, tak jak to potrafi tylko maszyna.

Była to ludzka ingerencja w muzykę. Sidhowie nigdy nie zaaprobowałiby synclaviera ani niczego w tym rodzaju - nawet zwyczajnego theremina. Tylko ludzie byli w stanie wzbogacić muzykę tym, czego życzył sobie Waltiri. Posługując się techniką grali taką muzykę, jaką Sidhowie potrafiliby stworzyć jedynie dzięki magii.

Ludzie znaleźli sobie miejsce w nadchodzącym świecie. Żyli już w tym wszechświecie dostatecznie długo, by nauczyć się ujarzmić go nie magią, lecz po swojemu; nie poprzez zdolności czerpane z zaświatów, ale dzięki umiejętnościom wykształconym w twardej i nieelastycznej rzeczywistości. I umiejętności te posłużyły im do zbudowania urządzeń tworzących cudowną, niewiarygodną muzykę.

Tylko że to już nie jest muzyka, pomyślał Michael.

- Co to? - szepnęła Kristine.

Synclavier wysunął się na pierwszy plan, ale nie walczył o utrzymanie swej pozycji. Orkiestra z wyraźną niemal nutką zawstydenia zdominowała go szybko i powrotem, poświęcając jednak zwyczajny fortepian. Nie odezwał się już więcej w czwartej części i milczał przez całą ostatnią. W ostatniej części okaleczony fortepian i synclavier czuły się jak ryby w wodzie.

Michael zacisnął powieki. Wyglądało na to, że już za chwilę próbie poddane zostaną wszystkie jego nadzieje i troski. Część piąta będzie o nim. I wiedział, że Kristine czuje to samo - że piąta część będzie o niej.

Muzyka, zamaszty i wymagający taniec, była teraz poligonem doświadczalnym dla nowego świata.

W 1939 roku, kiedy nie nadszedł jeszcze właściwy dla niego czas, opus 45, na tym etapie wykonania, posiałoby ziarno stopniowego przekształcania Ziemi w Królestwo. Efekt taki wywarła kiedyś przypadkowo inna muzyka; Clarkham, być może przy współudziale Waltiriego, celowo zaprojektował *Koncert Nieskończoności* tak, by w ten sposób zadziałał.

Ale Waltiri wplótł w niego coś jeszcze. Dzięki temu efekt wywoływany przez muzykę miał się z czasem zmieniać. Nie miała ona przekształcać; miała przysposabiać. Słuchaczom uświadamiano świat, w którym przyjdzie im ostatecznie żyć.

Cel wziął górę nad muzyką.

Dopiero pod koniec piątej części pomocnicza Pieśń Władzy ocknęła się z letargu i objawiła swój pośredniczący charakter. Muzyka stała się lekka i urocza, świadomie efektowna i pełna melodii. Melodia ta przeskoczyła na C-moll.

- Jezu Chryste - powiedział głośno mężczyzna siedzący za Michaeliem.

Ostatnie sto taktów - taktów, o których Moffat, czytając zapis nutowy, mówił, że ich nie „słyszysz” - nie trzymało w napięciu, lecz wprawiało w stan łagodnego uspokojenia. Bomba była ostrożnie i wprawnie rozbijana. Światy spotkają się, przejdą jeden w drugi...

Nie zniszczą się nawzajem.

Koncert wszedł w ostatnią fazę (ale zakończona czwarta część wciąż jeszcze rozbrzmiewała echem; być może nigdy nie przestanie. Das Unendlichkeitkonzert.)

Muzyka zgasła.

Na sali zrobiło się cicho niczym w próżni.

Kristine zamknęła oczy i złożyła ręce jak do modlitwy.

- Spodoba im się - zapewnił ją Michael.

Audytorium eksplodowało. Wszyscy jak na komendę zerwali się z miejsc. Aplauz, okrzyki „Brawo!”, pełne zachwyty wrzaski i westchnienia. Michael wstał i rozejrzał się niespokojnie. Tu i ówdzie ludzie siedzieli nadal na krzesłach, bezwładni, z maślanymi oczami. Ale i oni podnosili się powoli z miejsc i przyłączali do owacji, powracając na salę z dalekiej podróży. Moffat uklonił się i wywołał zza kulis Crooke'a. Aplauz wzmógł się w dwójnasób i nie zmalął ani trochę, kiedy przedstawiano solistów. Michael, bijąc brawo, rzucał wokół nerwowe spojrzenia.

Nie wiedział, czego się teraz spodziewać. Czy niebo runie z hukiem na ziemię, a przestrzeń zaroi się od latających Sidhów, czy zjawi się sam Clarkham w aureoli płomieni, czy Waltiri i jego ptaki wypełnią salę? Wszystko wydawało się możliwe. Pieśń została wykonana. Kiedy pojawią się pierwsze efekty jej działania?

Z sali zaczęła się wylewać fala ludzi, porywając ze sobą Michaela i Kristine. Zatrzymała się na trawniku i chodnikach przed budynkiem, przekrzykując się i dyskutując. Kristine promieniała z radości.

- Zupełnie jak wtedy, kiedy grali Strawińskiego i Milhauda - powiedziała. - To się naprawdę zdarzyło!

- Wydawało mi się, że na Strawińskim fruwały w powietrzu poduszki z siedzeń - zauważył Michael.

- Nasza widownia jest na coś takiego zbyt liberalna - odparła Kristine. - Poszukajmy Bertholda i Edgara.

W „Macho” było gwarno i tłoczno. Michael nie udzielał się w towarzystwie, dając innym święcić ich sukces; doprawdy tak niewielki miał w nim swój udział. Crooke siedział zarumieniony z kuflem piwa w jednej dłoni i szklaneczką wody mineralnej w drugiej i pociągając to z jednej, to z drugiej, uśmiechał się do drobnej i bardzo zgrabnej kobiety, która mu towarzyszyła. Moffat wodził rej przy dużym, okrągłym stole, zabawiając swoje audytorium - studentów i ubranych oficjalnie wychowanków - historyjkami o Hollywood z lat pięćdziesiątych.

- A może wszystko dobrze się skończy, hmm? - zagadnęła Michaela Kristine, mijając go podczas jednej ze swych rund po sali. Co i rusz nawiązywała z nim kontakt wzrokowy i za każdym razem uśmiechała się uspokojona. Do Michaela dotarło, że Kristine jest nie pewna jego reakcji, a nawet boi się, że mógłby opuścić lokal bez niej.

Nie miała się czego obawiać. Nawet Pieśni Władzy z ich huśtawkami konających i rodzących się światów, bladły w porównaniu z tym, co przewidywał.

Zamówił i wypił kufel piwa, bardzo mu smakowało i niemal natychmiast tego pożałował; jego *hyloka*, utrzymywana pod wszystkimi miotającymi nim emocjami w stanie ciągłej gotowości, pod wpływem alkoholu rozbijała się dziko. Poczł nadmierne ciepło - podobnie jak wcześniej, przez pewien czas na koncercie - i zaczął się rozglądać za najkrótszą drogą przez tłum do toalety, na wypadek gdyby sprawy wymknęły mu się spod kontroli i musiał zrzucić ubranie.

Ale *hyloka* uspokoiła się i samopoczucie wyraźnie mu się poprawiło. Wszystko ułożyło się wspaniale. Clarkham - gdziekolwiek i kimkolwiek teraz był - znów przegrał z kretesem.

Podczas następnej rundy Kristine wsunęła mu rękę pod ramię i pociągnęła za sobą.

- Chodźmy do drzwi - powiedziała. - Późno się robi.

Pojechali do domu Waltiriego i Michael zaprowadził Kristine do sypialni na górze. Kiedy tulił ją do siebie ciepłą, wciąż kompletnie ubraną, czuł, że nic, nigdy przenigdy nie ma prawa pójść źle. Była podenerwowana; wyczuwał jej napięcie i rozładowywał je wprawnie palcami, przesuwając nimi w dół po obu stronach kręgosłupa, szukając fizycznych ośrodków jej pożądania, by je uaktywnić.

I znów umiejętności, o posiadanie których nigdy siebie nie podejrzewał.

Jeszcze więcej siły.

Otworzyła oczy i zaczęła rozsuwać zamek błyskawiczny sukienki, a on dokończył za nią dzieła, ściągnął sukienkę z ramion i ta zsunęła się swobodnie z bioder. Palcem wskazującym opuścił o kilka cali majteczki, ukląkł i potarł policzkiem jej brzuch, rozkoszując się ciepłem i gładkością jej skóry.

Kochali się, jakby wokół rósł gęsty las, i nic się nie liczyło ani nie mogło im zakłócić spokoju. Nie było niczego niewłaściwego ani podejrzanego, niczego, co by go powstrzymało lub zahaczyło jego entuzjazm rąbkiem konsternacji, niczego tragicznego.

Obłe kształty Kristine rysujące się pod prześcieradłem były piękniejsze nad wszystko, co kiedykolwiek miał nadzieję zobaczyć, a co dopiero posiadać. Wsparł się na łokciu i popatrzył na jej leżącą postać, skąpaną w widmowej poświacie wlewającej się przez okno. Oczy miała przymknięte, zaspane; była zadowolona, tak jak zadowolone jest drzewo po słonecznym dniu. Zapuścił delikatnie sondę w jej aurę i odkrył gładką ciągłość, nadchodzącą drzemkę, błogość.

Opadł z powrotem na wznak i złożył głowę na poduszce. Tej nocy będzie z nią spał. Będą śnić jedno obok drugiego. Po raz pierwszy od bardzo wielu miesięcy będzie zwyczajną ludzką istotą, nic, ale to nic nie znaczącą.

Gdy zapadał już w sen, zakończona czwarta część powróciła, by go prześladować i opasać zimnym, twardym kręgiem centrum jego zadowolenia. Wśród ciszy starego domu, pośród ciemności rozbrzmiewała niemal uchwytna dla ucha muzyka.

Bomba nie wybuchła.

Jeszcze nie.

Ale...

18

Michaelu.

Głos we śnie. Nie jest w stanie otrząsnąć się ze snu i ma wrażenie, jakby wszystkie zmysły miał omotane grubymi kłębami wełny. Walczy nie poruszając się i nie budząc.

Jestem tutaj od tygodni.

Wyczuwa ukrytą zgniliznę. Wypełnia mu umysł niczym mieszanina oparów gazu siarczanego i amoniaku.

Czekam.

Wełna rzędzie, nie na tyle jednak, by mógł się ocknąć albo zrobić użytek z dyscypliny. Nie wyczuwa obok siebie Kristine.

Zabieram ją. Ale nie dość na tym. Ty też musisz pójść. Stałeś się stanowczo zbyt niebezpieczny, zbyt wprawny. Spójrz na swój ród, Michaelu.

Słowa cichną.

Spójrz na swój ród. I przytłumiony, pełen pewności siebie śmiech.

Z fortepianu na dole dobywa się kilka potężnych, przejmujących taktów z drugiej części *Koncertu Nieskończoności*, a potem znowu ten śmiech. Michael usiłuje zerwać okowy snu, ale zdaje sobie sprawę, że jest o wiele za późno. Zaniechał ostrożności; był szczęśliwy i dopuścił, by szczęście i pragnienie bycia normalnym przesłoniło wszystkie umiejętności obronne, które bądź to wprost, bądź w inny sposób wpoły mu Żurawice.

Clarkham od tygodni przebywał w domu Waltiriego albo gdzieś w jego pobliżu, jeśli odległość mierzyć światami - Grał na fortepianie, kiedy Michaela nie było; być może dzwonił nawet z domowych telefonów do Kristine. Dom był bazą operacyjną Clarkhama.

Michael czuje, jak wszystkie te objawienia gasną. Otwiera oczy w samą porę, by zobaczyć jeszcze, że cała sypialnia skąpana jest w sepii. Lecz oto sepia jaśnieje, a on...

19

...poczuł ukłucie żalu tak dotkliwe, że aż skręciło mu wnętrzności. Kolejny ranek, kolejny dzień życia z poczuciem straty, w udęce własnej samotności i bezradności.

Zamknął oczy i wtulił twarz w poduszkę, usiłując powstrzymać łzy.

Nie.

Przekręcił się z powrotem na wznak, wciągnął w płuca głęboki haust powietrza i wypuszczał je powoli. Poprzez nieruchome zasłony zaciągnięte na otwartym oknie nie dobiegały z zewnątrz żadne dźwięki - ani szum samochodów, ani trele ptaków, jedynie monotonne, ciche zawrozczenie wiatru. Odgłosy rozpościerającej się za oknem pustyni. Pokój rozjaśniał się, to znów mroczniał, jakby słońce raz po raz przesłaniały obłoki. Spojrzał na drugą połowę łóżka. Była zasłana; gładź narzuconego na poduszki i prześcieradło koca w powłoczce burzyły jedynie ślady walki z sennym koszmarem.

Michael Waltiri

...nie...

wstał z łóżka. Założył szorty, potem spodnie i białą koszulkę polo, po czym kciukami naciągnął sobie na ramiona szelki. Workowate spodnie z szerokimi mankietami, podjeżdżające ponad pępek. Wełniane skarpetki i czarne skórkowe buty. Sportowa kurtka przerzucona przez oparcie krzesła przed toaletką; krzesła, na którym przed kilkoma zaledwie

tygodniami Kristine umalowała się, włożyła pończochy ze sztucznego jedwabiu, sukienkę i kapelusz.

Nie!

I pojechała Packardem do banku. Zwyczajny babski poranek.

Rozsunął zasłony i wychylił się przez okno. Padły nań ciepłe, żółte promienie słońca. Po niebie sunęły obłoki - obłe i bufiaste, regularne w kształcie i podobne do baranków.

Pojechała Packardem do banku i...

Zamknął oczy i schylili się, by zawiązać dyndające u butów sznurowadła. Wszystko było nie tak. Świat stał na głowie.

Odeszła. Tak nagle. W ten sam sposób co jego rodzice. Rozbili się Dakotą niedaleko Guam, dokąd lecieli wraz z zespołem artystycznym na

„...wojna skończona. Michaelu; skończyła się, zanim przyszedłeś na świat...”

występy dla żołnierzy. A on jest tutaj. 4F. Niepotrzebny. Sierota i wdowiec. Umarły dla świata, czymkolwiek jest ten świat na zewnątrz.

Zszedł po schodach na dół i przyrządził sobie w misce owsiankę, bezwiednie zakrapiając ją olejem i syropem karo. Przeżuwał mechanicznie posiłek, z umysłem wyłączonym zwyczajnie po to, by nie cierpieć.

Kiedy skończył, w korytarzu zabręczały kuranty. Podszedł do drzwi wejściowych i otworzył je. Na ganku, z kapeluszem w dłoni, stał partner jego ojca, David Clarkham. Ubrany był w bardzo szykowny płaszcz z wielbłądziej wełny, a pod szyją zawiązany miał szeroki błękitny krawat, cały upstrzony obłymi, bufiastymi obłoczkami podobnymi do baranków. Michael utkwiał wzrok w obłoczkach i obserwował, jak dryfują w poprzek krawatu.

- Wpadłem zobaczyć, jak się miewasz, Michael odezwał się Clarkham i przez jego gładką, młodzieńczą twarz przemknęła troska.

- Tak jak się należało spodziewać - odparł Michael. - Wejdiesz? Napijesz się czegoś? Kropelkę wina?

- Nie, dziękuję. Nawiasem mówiąc nie powinienes pić. Jest wiele do zrobienia. Uporządkowanie papierów twego ojca, załatwienie spraw w wytwórni. Rozmawiałem wczoraj z Zanuckiem. Prosił, żeby ci przekazać wyrazy współczucia, zarówno z powodu twoich rodziców, jak i Kristine...

- W porządku. - Z odrętwieniem. Rugując ból naporem wewnętrznej pustki. - Dziękuję. Powiedz mu... że tak.

- Dokończę *Yellowtail*. Tego życzyłby sobie twój ojciec.

- W porządku.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić, Michael? Może w wytwórni? Masz do załatwienia jakieś formalności prawne?

- Nie. Wszystko wzięli już w swoje ręce prawnicy.

- Twoi rodzice byli takimi wspaniałymi ludźmi, Michael. Na pewno chcieliby odejść razem. Ale co do Kristine, nie znajduję żadnych rozsądnych słów. Tyle śmierci za oceanem... te tutaj wydają się podwójnie bezsensowne... Błahe wypadki.

- Tak. Wiem. - Pragnął, żeby ten człowiek już sobie poszedł. Chciał zatrzaskać drzwi i odgrodzić się od słońca, nieba, obłych, podobnych do baranków obłoczków i cichego poszumu wiatru.

- Pójdę już. Tak tylko wpadłem. - Clarkham uśmiechnął się i przez moment Michael wyczuwał pod jego uśmiechem czarną głębię zgnilizny, która przyprawiała o zawrót głowy, która nieomal przywróciła...

- Dzięki za fatygę. - Zamknął zdecydowanym ruchem drzwi, wrócił do kuchni i nalał sobie kolejny kubek herbaty. Siorbał płyn marszcząc czoło. Dlaczego czuje taką niechęć wobec partnera swojego ojca? Po prostu kolejny objaw ogólnego stanu: jest wrakiem.

Zastanawiał się przez chwilę, czy nie poćwiczyć trochę w ogródku, ale doszedł do wniosku, że szkoda wysiłku.

Wtem Michaela Waltiriego spowił mrok, paraliżując jeszcze bardziej jego zmysły, zniechęcając do snucia jakichkolwiek planów i do zbyt głębokich przemyśleń. Kochał Kristine bardzo, bardzo mocno, a żyli ze sobą tak krótko (Ile? Parę godzin? Non sens) że jego własna młodość oraz pięć tuzinów plus dziesięć lat życia zdawały się spiskować przeciwko niemu, podsuwając posępną pustynię wieczności i pełne białych plam godziny, dni, lata...

Michael Waltiri czuł się tak, jakby skazano go na więzienie. Przeżyje je; przynajmniej tyle może zrobić.

Mijały dni i tygodnie, a on jadł, spał i pracował w ogródku za domem, przycinając tam róże. Połatał lampiony i zawiesił je z powrotem na sznurku rozpiętym między altanką a wbitymi na podwórku słupkami oraz przetaił emaliowany na biało stół z kutego żelaza ustawiony na murowanym patio. Nie lubił tego ogródka - przyprawiał o dreszcze - ale mimo to pracował nad jego należytym utrzymaniem. Ponieważ (musiało tak być, chociaż nie przypominał sobie szczegółów) spędzał tutaj czas z Kristine.

Pamiętał, że pewnego razu przy białym stoliku siedział ktoś ubrany w ekstrawagancką suknię. To musiała być Kristine. Ale suknia nie była w jej stylu (na pewno też nie w stylu Goldy - jego matki), i dlatego nękała go świadomość, że przeraził się jej, ubranej w tę suknię? Z żalu wszystko mu się mieszało.

Dni i tygodnie. Golił się francuską żyletką i puszczał na victrolu stare płyty na 78 obrotów - Toscaniniego, Reinera, Straussa i Stokowskiego. Nie kończące się godziny muzyki, wciąż od początku.

Żal i odrętwienie ani myślały się wynieść.

Nikogo nie widywał, nikt też do niego nie dzwonił. Czytał gazety i od czasu do czasu słuchał radia. Nie wydawało mu się to normalne, ale cóż?

Michael miał wrażenie, że jest w piekle.

21

W końcu wykrzesał z siebie dość energii, by wybrać się na dłuższy spacer. Wyruszył o zmierzchu, kiedy niebo było mgliście granatowe, kiedy półmrok zamierzał jakby trwać w nieskończoność, i przechadzał się wyludnionymi uliczkami, mijając tynkowane na biało i przyozdobione sztukaterią domy w hiszpańskim stylu, które dominowały w sąsiedztwie, oraz inne, w stylu ranczerskim, a także kalifornijskie bungalowy. W pewnej chwili przystanął i marszcząc czoło zaczął się przyglądać, jak wraz z zapadającym zmrokiem zapalają się latarnie i jak nad jedną z nich klon o brązowych liściach zwiesza swe konary, w których świszczę wiatr. Pierwsze gwiazdy zapalały się, wirowały przez chwilę jak ćmy na uwięzi, a potem nieruchomiały, niebo zaś stawało się galaretowato czarne.

Michael doszedł do La Cienega i skręcił w nią. Widział ludzi bądź to po drugiej stronie ulicy, bądź kroczących w pewnej odległości przed nim lub za nim, ale nikogo nie mijał i nie spoglądał na nikogo bezpośrednio. Wszystkie sklepy, restauracje, a nawet bary były pozamykane. Wojna, przemknęło mu przez myśl. Za mało towaru, żeby starczyło na cały dzień.

Nawet ludzi do obsługi za mało.

W pobliżu wzgórz ulica zwiężała się. Przystanął na rogu Bulwaru Zachodzącego Słońca i spojrzął w prawo, a potem w lewo. Po obu stronach ciągnęły się domy i sklepy, wszystkie ciemne i zamknięte, zaś nad dachami po prawej górowało stare kino. W jego stronę skierował swe kroki.

Nazwa kina wypisana była okrągłymi neonowymi literami na otoku markizy nad wejściem oraz pionowo, na maszcie radiowym wyrastającym ze srebrnej gipsowej kuli. Neon nie palił się.

P

A

N

D

A

L

L

P A N D A L L

Drzwi były zabite dyktą. W pustej przestrzeni między sklejką a szybą szemrał wiatr.

To miejsce było martwe. Zdawało się ledwie trzymać rzeczywistości, jakby istniało tylko jako wspomnienie. Nie podobało mu się tu. Odszedł kawałek i obejrzał się za siebie. Szła za nim jakaś ciemna postać i przerażenie odebrało mu rozsądek. Skręcił w boczną uliczkę, usiłując w możliwie najobojętniejszy sposób zgubić prześladowcę: wysoką siwowłosą postać w czarnej szacie.

Michael wrócił do domu i zatrzasnął drzwi.

Czuł się jak zamknięty w słoiku; niczym muzealny eksponat, z którego wydrenowano kompletnie życie, czas i krew zastępując formaldehydem.

22

Pewnego dnia zaczął pisać poezje, choć nie przypominał sobie, by czynił coś podobnego w przeszłości. Pisał o tym, o czym bez przerwy myślał: o Kristine.

Która we mnie trwa

Ta która wyciąga mą

Zagubioną myśl w świt jest

Niewinna podstępu

Ze snów zimnych w ogień o

Zmierzchu dnia zagania zoo

Mych zwierzęcych myśli Jest

Niewinna podstępu A

Mój labirynt tyleż zna

Co tułacza w eterze słowa na papierze

We mnie żyje Niegdyś

Własne miała życie

Teraz trwa samotna we mnie

Przesiedziawszy cały dzień w ciszy ciemnej sypialni na górze, wyciągnął ołówek i nagryzmolił na papierowej serwetce:

Patrz, jak się rozwija!

Lecz gdzież jego wiedza?

**Widzisz ten jasny punkcik? To ona. **

A dojrzałość?

**Przybywa jej z czasem. **

Widzę też ciemną plamę. Kogoś brakuje?

**Stracił kogoś. **

Wygląda, jakby próbował wypełnić

ciemne miejsce jasnym.

**Wydaje mu się, że mógłby odzyskać,*

*co stracił. **

Czy zdoła?

I brak odpowiedzi; ołówek zatrzymał się na końcu serwetki. Nazajutrz nie mógł odnaleźć tej serwetki ani żadnego z napisanych wierszy, a unoszący się w domu smród czegoś, co przypominało mieszaninę amoniaku i gazu siarczanego, wypędził go na dwór.

Siedział w kucki na chodniku przed kępą mieczyków, tak by nikt go nie widział - nikt widzialny w każdym razie - i trzymając w dłoni liść koncentrował się na nim.

Skupienie. Szczegół. Wyrzistałość. Ostrość.

Szczegół.

Nie mógł się skoncentrować na liściu. Jakby mu się wymykał; wszystkie najtajniejsze szczegóły liścia wiły się, a wraz z nimi falowała jego uwaga. Nic z tego.

Gniew, jaki go ogarnął, utonął wkrótce w przyływie ponurego nastroju.

Musisz się otrząsnąć z tego stanu. Nie możesz zebrać myśli.

Wyprostował się i bez wyraźnego powodu wytarł dłoń o spodnie. Był zawsze czysty; nie pocił się i nie kapał od

Od kiedy?

Popatrzył na ulicę i dopiero teraz zauważył, że obserwuje go jakaś białowłosa postać w czerni. Postać uniosła rękę i Michael popędził do domu. Nawet kiedy znalazł się już za drzwiami, wiedział, że tym razem nie umknie.

W ogromie jego przerażenia tliła się niewytłumaczalna iskierka nadziei. Gdyby widziadło okazało się śmiercią, która po niego przybywa, uniosłoby ze sobą całe brzemie jego ponurego życia, tego przytłaczającego piekła.

Stanął dwa kroki od drzwi i czekał.

Rozległo się ciche, niemal niedbałe pukanie.

Michael przełknął wyimaginowaną kulę pęczniejącą w krtani i sięgnął ręką do gałki. Nie zdążył jej jeszcze dotknąć, kiedy zamek szczęknął, zasuwę odsunęła się, a gałka sama przekręciła. Cofnął się o trzy kroki.

Drzwi otworzyły się z impetem. Stojącego na ganku mężczyznę gdzieś już kiedyś widział. Był wysoki i szczupły, choć wyglądał na bardzo silnego, jego wieku nie dało się określić. Twarz miał pociągłą i posępną, włosy białe i zwiewne jak krystaliczne nici w jaskini. Kołnierz szaty, koloru starych, uschniętych róż, był wykrojony z przykurzonego aksamitu i haftowany w kwieciste ornamenty, które zdawały się falować na wietrze, bynajmniej nie tym, który świstał teraz na dworze. Oczy mężczyzny były barwy pereł, skóra zaś blada jak tarcza księżycy.

- Michaelu Perrin. Czy mnie poznajesz?

Jego głos przywodził na myśl miecz przesywający zwoje jedwabiu. Michael wpierv pokręcił głową, ale zaraz potem nią pokiwał. Wyczuwał emanującą od mężczyzny moc.

- Czy wiesz, gdzie jesteś? - Na twarz mężczyzny wypłynęło uszczypliwe politowanie zmieszane z lekką wzgardą.

- Nie. Nie jestem w domu.

- Jesteś *loghan laburt*, przybity stratą. Ból przesłania ci wzrok. Spowija cię wielki, ale niewłaściwie ułożony *almeig epon*. Zły sen.

- Nazywasz się Tarax - powiedział Michael czując, że coś rozpruwa mu się w głębi czaszki; całun okrywający jego myśli. Jednak wymówienie tego imienia nie podniosło go na duchu. Zaczął drżeć.

- W istocie. Mogę cię stąd wyprowadzić, ale musisz coś dla mnie zrobić.

- Nie pamiętam dobrze. Myśli mi się rozbiegają.

Tarax przymrużył perłowszare oczy i Michael poczuł, jak całun rozdziera się jeszcze bardziej, uwalniając nieco wspomnień.

- Muzyka - rzekł Tarax. - Oddychające pieśni światów.

- Już tu byłem.

- Czyżby? - Nic nie jest tutaj jak należy. Gdzie jest Kristine?

- Może ją objąć nasza umowa.

- Czy nie żyje?

- I owszem, może umrzeć - odparł Tarax - jeśli nie przestaniesz się nad sobą rozczulać i nie zaczniesz trzeźwo myśleć.

- Ona żyje. - Welon rozjaśnił się i rozwiął. Żal rozpostarł skrzydła i odfrunął od niego w dal.

- Przeszedłeś trening u Żurawic - podjął Tarax. - Żurawice odeszły i obecnie nie ma komu ich zastąpić. A mnie potrzebna jest ich usługa. Ty mógłbyś się podjąć jej wykonania. - Tarax uśmiechał się ironicznie i z rezerwą: Że też przychodzi do zwykłego ludzkiego dziecka z taką propozycją...

Michael milczał; rozkoszował się po prostu odzyskaną klarownością umysłu i przepelniającym go uczuciem ulgi. Słuchał uważnie.

- Mam córkę - powiedział Tarax. Wszedł do środka, a drzwi zatrzasnęły się za nim bezgłośnie. - Jedyńckę. Jest w wieku, w którym powinna rozpocząć trening dyscypliny. Będzie mi asystowała jako kapłanowi Irall, dopóki jeszcze trwa, a potem na Ziemi. Wzmianka o Irall wymiotła zeń ulgę i napelniła go na powrót lękiem.

- Nosisz w sobie dziedzictwo Żurawic. Możesz... Musisz wytrenować moją córkę wedle ich sposobów. Jeśli się zgodzisz, powiem ci, jak wyrwać się z tego snu i powrócić do własnego świata.

Michael kiwnął raz głową, dając do zrozumienia nie tyle że się zgadza, ile że cały czas słucha.

- Jeśli uda ci się ją wyszkolić, wyjawię ci, gdzie jest więziona, podobnie zresztą jak ty uwięziony jesteś tutaj, kobieta imieniem Kristine.

- Jesteśmy wrogami - powiedział Michael. - Nienawidzisz mnie.

Tarax podniósł dłoń z wyprostowanymi długimi palcami i odpędził od siebie te słowa.

- Nie żywię do nikogo nienawiści. W przeszłości już ze sobą współpracowaliśmy i dobrze ci o tym wiadomo. Poza tym trzeba przestrzegać Prawa Magów.

Istotnie, niewykluczone, że niegdyś współpracowali; Tarax mógł uczestniczyć w spisku zmierzającym do unicestwienia Clarkhama. Ale cóż to za Prawo Magów?

- Ponieśliśmy wówczas porażkę. Clarkham nadal żyje.

- Żyje, ale nie w ścisłym tego słowa znaczeniu - skorygował Tarax. - Nie złożyliśmy jeszcze broni.

- Ostrzegano mnie, bym nigdy nie ufał Sidhom - powiedział Michael.

- A masz jakiś wybór? W najgorszym wypadku powrócisz przynajmniej do swojego świata.

Michael zastanowił się.

- A niby czego miałbym uczyć twoją córkę? - spytał.

Tarax po raz pierwszy zawahał się.

- No, chyba tego, czego uczyłyby ją Żurawice.

- I nie będziesz się na mnie mścił, jeśli nie zdołam wpoić jej dyscypliny?

- Nie.

Michael popatrzył Sidhowi w oczy, wyprostował się i powiedział:

- A więc się zgadzam.

- Teraz możesz się przenieść na Ziemię. Wiesz jak. Po prostu użyj swojej wiedzy. Zapytaj siebie, gdzie jesteś.

Tarax odwrócił się i drzwi stanęły przed nim otworem. Sidh wyciągnął długie palce i rozerwał drzwi w drzazgi, które w tumanie pyłu spadły na podłogę. Wiatr przestał zawodzić.

- Jak? - spytał Michael, czując nowy przyływ strachu.

Tarax rozmył się i zniknął.

Michael dygocząc patrzył na swoją dłoń. Czuł, że wspomnienie tego spotkania już mu umyka, a powraca posępna nostalgia. Postrzegął dom jako azyl, kąt, gdzie w ciszy i spokoju może przeżywać swój żal; odpowiadało mu to, gdyż wszystko utracił.

Przygryzł wargę i splótł dłonie. Gdzie ja jestem? zadał sobie pytanie. Przywołał z pamięci rozkład piętra i

W tym domu nie ma fortepianu. To nie jest dom Waltiriego, a Waltiri nie jest moim ojcem.

murowane patio oraz biały stolik z kutego żelaza, którego Kristine nie widziała nigdy na oczy, nie mogła więc za nim zasiadać, a także postać w sukni z falbanami. Tristesse, która była kimś czymś innym.

Jakież to było proste. Sięgnął ręką poprzez powietrze - nie przez, a poprzez stojącą mu na drodze przestrzeń - i rozdarł materię snu. Następnie przeszedł po gruzach pułapki Clarkhama.

I stanął (umykające odeń cienie)
na środku
(kurz na podłodze, pojedynczy ślad stopy)
pokoju na piętrze w domu Clarkhama.

O dach bębnił letni kapuśniaczek, wywołując odgłos tak naturalny i kojący, że Michael przymknął oczy i wsłuchiwał się z dobrą minutę. Później zszedł po schodach i wyszedł przez frontowe drzwi.

Nie był więziony w domu Clarkhama; zdał sobie z tego sprawę niemal od razu po powrocie. Clarkham, specjalnie dla niego, stworzył surowy, prosty światek i tam go przetrzymywał. Dom nie stanowił nawet jego integralnej części; miejsce, w którym się był znajdował, przypominało mianowicie mieszaninę domów Waltiriego i Clarkhama, a pewne elementy zapożyczono nawet z domu sąsiadującego z posiadłością Clarkhama.

Michael, wyczerpany lecz podniesiony na duchu, podreptał wolno chodnikiem do domu Waltiriego. Każdy łyk powietrza działał nań jak wyskokowy napój.

Jak długo go nie było?

- Nareszcie w domu! - Z ganku swojego domu patrzył na niego Robert Dopso.

- Jak długo mnie nie było? - spytał Michael.

- Dostyc długo, możesz mi wierzyć. Na tyle długo, żeby wszystko diabli wzięli. Twoi starzy wpadali tu parę razy, rozmawiali z moją matką i ze mną...

- A Kristine? Masz jakieś wiadomości o Kristine Pendeers?

Dopso zmarszczył czoło.

- Nikt więcej... Twoi rodzice wspominali o jakimś Moffacie. O kobiecie nic nie mówili. Mam twoje gazety, te, które ci co dzień dostarczano. W mieście panuje teraz kompletny bałagan. Nic już nie robi się na czas, na niczym nie można polegać.

- Dlaczego?

- No, nawiedzenia - mruknął Dopso kręcąc głową. - Minął co najmniej miesiąc, od kiedy ostatni raz cię widzieliśmy.

Michael przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi z nikłą nadzieją, że Kristine może czeka, ale dom był pusty. Uzbrojony teraz w wiedzę o czyhającym niebezpieczeństwie, wysondował głęboko wewnątrz w poszukiwaniu fizycznych bądź innych śladów obecności Clarkhama, nic jednak nie wykrył.

W progu stanął Dopso z nareczem gazet.

- Gdzie je położyć? - zapytał. - Przyniosłem też twoją pocztę. Niewiele tego.

Michael wskazał mu kanapę. Dopso złożył na niej swój ładunek i wyprostowawszy się wytarł dłonie o spodnie.

- Pomyślałem sobie - podjął - że może już czas, żebyś opowiedział wszystko mnie i mojej matce. Miałem czas na przeanalizowanie paru spraw... na przykład incydentu z facetem, który się zastrzelił i znikł. Doszliśmy oboje do wniosku, że jeśli ktoś się w ogóle orientuje, co tu jest grane, to tylko ty. Bylibyśmy ci bardzo wdzięczni, gdybyś nas wtajemniczył.

- Dobrze - mruknął Michael. - Daj mi tylko dojść do siebie. Wpadnę wieczorem. Która teraz godzina?

Dopso spojrzął na zegarek.

- Piąta trzydzieści.

- To umówmy się na ósmą.

Dopso skinął głową, stał jeszcze przez chwilę z rękami wepchniętymi w kieszenie spodni, jak gdyby chciał coś powiedzieć, a potem wzruszył ramionami.

- Aha. - Zatrzymał się w połowie chodnika, podnosząc głos, żeby Michael go słyszał. - Może będziesz musiał zrobić porządek w lodówce. Ostatnio zdarzają się wyłączenia prądu.

Pochłaniał łapczywie gazety; rzecz jasna nie było w nich żadnej wzmianki o śnie-pułapce Clarkhama. To, co wyczytał, w równej mierze przeraziło go i podekscytowało.

Na całej kuli ziemskiej pojawili się Sidhowie: setkami, tysiącami, jeśli nie milionami. Najwyraźniej migracja na szeroką skalę rozpoczęła się już w kilka dni po wykonaniu koncertu. Wertował nerwowo gazety, naddzierające z pośpiechu niektóre strony. Naturalnie, Anglia - oraz Irlandia i Szkocja - setki pojawień. Obecnie całe połączenie Irlandii były odgródzone nieprzeniknionymi i niematerialnymi barierami wzniesionymi przez Sidhów; nie wiadomo jakiego rodzaju Sidhów. Artykuły wstępne i reportaże przeglądał tylko pobieżnie; dziennikarze byli oczywiście niedoinformowani i snuli domysły iście karkołomne, ale bardzo

dwudziestowieczne: przybysze z kosmosu, dywersja terrorystów dysponujących wysoko rozwiniętą techniką.

Nie mieli pojęcia, co się dzieje.

Dopływ informacji z innych stref - z Indii, Chin, Związku Radzieckiego - ustał całkowicie, a granice tych państw zamknięto. Krążyły jedynie słuchy o wielkim rozprężeniu, a nawet zamieszkach.

W Los Angeles „centrum” inwazji stał się pensjonat Tippet, z którego, na przestrzeni zaledwie dwóch ostatnich tygodni, wyszły setki „wysokich, dziwnie ubranych” osobników. Budynek otoczony był teraz przez oddziały Gwardii Narodowej, ale (Michael krzyknął i pokręcił głową) nie przeszkadzało to osobnikom odfruwać z dachu - bądź na grzbietach siwych wierzchowców, bądź o własnych siłach - i znikać na niebie.

Sidhowie powracający na Ziemię trafiali jakby do gniazda szerszeni. Ilu do tej pory zginęło - zarówno Sidhów, jak i ludzi?

Czekał go nawet pracy. Po pierwsze, musi się czym prędzej spotkać z rodzicami.

A potem - z Kristine. Nie miał pojęcia, jak ją odnaleźć. Z frustracji chciało mu się walić pięściami w ściany. Zaciskał palce na stronicach wczorajszego Timesa tak mocno, że mięty papier zdawał się wić w boleściach.

Kiedy Tarax przyśle do niego swoją córkę - i czy można mu w ogóle wierzyć? Michael odnalazł drogę powrotną - ten punkt umowy został wypełniony. Ale nic poza nim...

- Jaki ze mnie cholerny ignorant! - wrzasnął w pewnej chwili, strącając gazety z kanapy. Zaczerwieniony z gniewu, powlókł się ociężale do kuchni i wystukując na klawiaturze telefonu numer swoich rodziców, palcami drugiej ręki usiłował doprowadzić do porządku fryzurę.

Ruth siedziała w living roomie i patrzyła w przestrzeń skupiając wzrok na wyimaginowanym punkcie daleko za ścianą naprzeciwko. John, z obwisłą niemal twarzą, popatrywał nerwowo na syna.

- Wszystko, co działo się tutaj, odkąd zniknąłeś, było dla mnie czymś więcej niż koszmarem - powie działa Ruth. John pochylił się ku niej i wziął ją za rękę.

- To realny świat - podjęła. Takie rzeczy nie powinny się zdarzać. Ale kiedyś już się zdarzały i teraz znowu.

Spójrz na swój ród. Michael siedział sztywno, jakby kij połknął, w znajomym fotelu, w znajomym living roomie. Otaczały go meble wykonane przez ojca z drewna dębowego, klonowego i palisandrowego. Zegar magnetowidu stojącego w szafce pod telewizor i na

sprzęt stereo mrugał jasnoturkusowymi cyframi: 12:00, 12:00, 12:00. Nie był nastawiany od ostatniej przerwy w dopływie prądu.

- Nie powiedziała dotąd żadnemu z nas - mruknął John. - Przez lata próbowałem to z niej wyciągnąć.

- Ale teraz zamierzam powiedzieć - oznajmiła Ruth. - Spójrz na swoje włosy, Michael.

- To raczej nie takie proste - zauważył z uśmiechem John. - Łatwo ci mówić.

Ruth postukała palcami jego wyciągniętą dłoń, ale nie chwyciła jej.

- To kolor włosów mojej prababki... - Westchnęła. - W Zachodniej Wirginii, dawno temu, kiedy to była jeszcze stara Wirginia, przed Wojną Domową, mój pradziadek pojął za żonę wieśniaczkę z Południa. Jej imię wpisane do Biblii brzmiało Underhill. Salafrance Underhill.

Michael czytał kiedyś nazwiska widniejące w ich Biblii, i to zawsze wydawało mu się osobliwe i piękne, ale nigdy nie opowiadano mu o tak odległych przodkach.

- Była wysoką kobietą. Niektórzy uważali ją za wiedźmę. Mój dziadek zawsze mówił, że umarła, ale zdaniem babki ona po prostu odeszła na przełomie wieków. Pradziadek już się później nie ożenił. Z kolei dziadek, zanim zachorował i umarł, prosił moich rodzi ców, żeby zawsze krótko mnie strzygli, zaś kiedy dorosnę, żeby natychmiast wydali mnie za mąż, bo „w naszej rodzinie kobieta jest przekleństwem”. Tak właśnie się wyraził. A mój ojciec był zawsze bezwzględnie posłuszny swemu ojcu. Miewałam różne sny i w środku nocy ojciec z matką wchodzili do mojego pokoju, ojciec mówił, że miałam zły sen - on wiedział, co mi się śniło - i bił mnie.

Twarz miała teraz łagodną, a oczy powiększone. Sprawiała wrażenie, jakby płakała, ale nie widać było śladu łez.

- Śniłam o lasach i o Salafrance Underhill żyjącej pośród wirginskich kniei, w samej ich głębi, gdzie klony i dęby mogą swobodnie nucić swe pieśni, wtórując wiatrowi szepczącemu w ich konarach. Oczy miała koloru starych srebrnych dolarówek. Oto co mi się śniło, a kiedy śniłam, wiedziałam, że ona wciąż żyje... ale nie na Ziemi. Odeszła wraz ze swym plemieniem. Zostawiła mojego pradziadka z dwójką małych dzieci na karku; jednym była dziewczynka, która umarła w dzieciństwie. Myślę, że ją zabił. Drugim był chłopiec. Mój dziadek. I szybko wybito mu z głowy sny.

John postukiwał miarowo ręką o poręcz jej fotela.

- Zatem z tego, co opowiadałeś, wynika - podjęła Ruth - że moja matka musiała być z Sidhów, a w takim razie ty i ja jesteśmy Mieszkańcami.

- Boże - powiedział chrapliwie John. Odchrząknął. - Ale dzień, co?

- Opuściłam Wirginię, kiedy miałam piętnaście lat i rozpoczęłam pracę w Ohio. W 1965 spotkałam twojego ojca i po trzech latach małżeństwa zdecydowałam się wreszcie na dziecko. Twój ojciec bez przerwy na to nalegał, ale ja się bałam i nie potrafiłam mu wyjaśnić dlaczego. Nie wiedziałam co robić, jeśli urodzi się dziewczynka. Co mam jej powiedzieć.

- Masz w sobie moc? - spytał rzeczowo John.

- Nigdy nie próbowałam się o tym przekonać - odparła. - Nie liczę różnych przeblysków, które równie dobrze można nazwać intuicją. Ale Michael... Zawsze miał coś w spojrzeniu, taki wrażliwy. Chociaż był mężczyzną, obawiałam się o niego. Jego poezja i przemyślenia. Coś w sobie miał. No a teraz to. Teraz ludzie mogą sobie wierzyć w historie o kobietach z Południa, o strachu, o obcinaniu włosów na krótko, by powstrzymać coś nieprawidłowego, coś niechrześcijańskiego. Kiedy odszedł... czułam, gdzie jest i nie mogłam powiedzieć tego nawet tobie, mój mężu. Sama nie mogłam w to uwierzyć, bo minęło tyle czasu, a wszystko było jak za mgłą. Przez wiele lat starałam się o tym zapomnieć - o biciu i o snach. Moja matka wyglądała na przestraszoną i zagubioną.

Uniosła ręce i Michael zbliżył się do niej, a ona objęła go i spytała:

- Co zamierzasz zrobić?

- Doprawdy, nie mam żadnego wyboru - odparł stłumionym głosem, tuląc twarz do jej ramienia. Oderwała jedną rękę i skinęła na Johna, by do nich dołączył. Usiedli na tapczanie, tak samo jak wtedy, gdy powrócił Michael, wszyscy razem, w milczeniu.

- Czy oni kiedykolwiek odejdą? - przerwała ciszę Ruth. - Sidhowie?

Michael pokręcił głową.

- Wątpię, czy mogą - odparł. - Nie powracaliby na Ziemię, gdyby nie było to absolutnie konieczne.

- I kochasz tę kobietę, Kristine.

- Tak - odrzekł.

- A ona ciebie?

- Tak.

- A więc jest zakładniczką.

- Nie wiem, dlaczego ją przetrzymuje.

- Czy on może wyrządzić ci krzywdę? - spytała Ruth.

Michael wstał i popatrzył jej w oczy.

- Teraz już nie - odparł. - Nie sądzę.

- Bądź bardzo, ale to bardzo ostrożny.

- Czy cokolwiek przytrafiło się twemu dziadkowi? - spytał. - I ojcu? - Nie mógł zapytać prosto z mostu, czy dana im była nieśmiertelność Sidhów.

- Dziadek zginął w wypadku samochodowym - odparła Ruth. - Ojciec po prostu zniknął w rok po mojej ucieczce z domu.

Opuścił dom rodziców oszołomiony i zamyślony. Ileż jeszcze razy wszystko objawi się w nowym świetle? Czy poza Clarkhamem - który najwyraźniej wiedział - ktoś jeszcze ma pojęcie, że jest Mieszkańcem? Żurawice albo sam Waltiri? Jak wielu Mieszkańców znajduje się dziś na Ziemi?

Teoretycznie, za sprawą Aske i Elme, w żyłach większej części rodzaju ludzkiego mogła płynąć krew Sidhów; pogodził się z tym wiele miesięcy temu. Ale świadomość, że osobiście jest tak blisko spokrewniony z Sidhami - niemal równie blisko jak Eleuth - spowodowała wstrząs, na który nie był przygotowany.

Jakkolwiek wyjaśniało to bardzo wiele.

Pani Dopso siedziała w swym przepastnym fotelu. Blask lampki do czytania, omijając jej twarz, rzucał ciepłą poświatę na kolana, gdzie spoczywała Biblia otwarta na Objawieniu. Robert siedział naprzeciwko niej na krześle z jadalni, Michael zaś na tapczanie.

- A więc ten dom był jednak nawiedzony - powiedziała pani Dopso, wyraźnie czerpiąc satysfakcję z potwierdzenia swoich domysłów.

- Owszem, w pewnym sensie.

- Ale to i tak nie ma już większego znaczenia - ciągnęła. Teraz cały świat jest nawiedzony.

Michael pokiwał głową.

- Czytam właśnie Biblię - podjęła pani Dopso. - I coś czuję, że nie podnosi mnie to zbyt na duchu.

Michael, mając w pamięci rozmowę ze świadkami Jehowy, nie odzywał się.

- Czy wybuchnie wojna? - spytał. - Chodzi mi o to, czy będziemy zrzucać na nich bomby?

- Nie sądzę, żeby groził nam ten rodzaj wojny - odparł Michael. Staruszka skinęła głową. Dopso przysunął się z krzesłem bliżej.

- Czy powinniśmy ewakuować się z miasta? - zapytał.

Michael pokręcił głową.

- Nie. Nie radziłbym.

- Co masz zamiar zrobić? - pytał dalej Robert.

- Mam wiele... do zrobienia. Wiele zadań. Nie bardzo wiem od czego zacząć.

- Może zostaniesz dyplomatą - zasugerowała pani Dopso.

- Może.

- Taki młody. Sprawy przybierają poważny, zbyt poważny obrót dla kogoś tak młodego. - Zamknęła Biblię. - Czy Chrystus zstąpi znów na Ziemię?

- Mamo... - mruknął Robert z nutką dezaprobaty.

- Muszę wiedzieć. Czy to Apokalipsa? Nie sądzę, byś mógł być Antychrystem... ale czy jest nim w takim razie Clarkham? Albo któryś z tych... jak im tam... Szihów?

- Nie wydaje mi się - odparł cicho Michael.

- Ale wszystko się zmieni - powiedział Robert.

- Wszystko musi się zmienić.

- Nie wierzę. - Robert wstał i rozciągnął ramiona. - Świat nie funkcjonuje w ten sposób. To złudzenie.

Michaelowi nie przychodziła na myśl żadna riposta.

- Byłem wam winny wyjaśnienie - powiedział po chwili milczenia. - I mówię wam, co wiem, a jest tego niewiele. Przypuszczam, że innym też będę mu miał powiedzieć. Nie mam pojęcia, ilu mi uwierzy. I tak są już prawdopodobnie tysiące ludzi, którzy usiłują zbić kapitał na całym tym zamieszaniu. Moja opowieść nie będzie ani trochę bardziej zwariowana od ich wywodów.

Robert pokręcił głową. Pani Dopso położyła po prostu dłoń na spoczywającej na jej kolanach Biblii.

- Z Bogiem - powiedziała.

Tego wieczora, leżąc w łóżku na dole, lecz nie śpiąc (być może nigdy już nie uśnie) Michael zastanawiał się, czy nie zaofiarować swej pomocy tym, którzy zajmują się sprawą Sidhów. Wystąpić w charakterze mediatora, dyplomaty albo zwykłego doradcy. Niewykluczone, że porucznik Harvey chętnie skorzystałby z takiej konsultacji.

Ale natychmiast zdał sobie sprawę, że nie może niczego takiego uczynić. Zaangażowanie się w cały ten bałagan byłoby posunięciem odważnym i szlachetnym, ale do niczego nie prowadzącym.

Przerażające rozmiary chaosu nie mieściły się w głowie. Miliardy ludzi w przeciągu jednej nocy uświadamiają sobie nową rzeczywistość... Nie potrafił sobie wyobrazić wrzenia na taką skalę. Niektórzy powitają zmianę, postrzegając ją jako pewną przygodę - ci pozbawieni złudzeń, rozczarowani, wyczekujący Apokalipsy czy to chrześcijańskiej, czy nuklearnej, czy pod jakąkolwiek inną postacią. Inni będą przemykać oczy, ignorować ją albo

po prostu wznosić na własną rękę barykady, skutkiem czego popadną w obłęd, niezdolni stawić czoła rzeczywistości, na którą nie byli przygotowani. Realistyczne ustosunkowanie się do zmiany, przyszło na myśl Michaelowi, będzie niemal niemożliwe dla ludzi jemu współczesnych, zaplątanych w dotychczasową rzeczywistość od tak wielu tysięcy lat...

Gdyby zaangażował się bezpośrednio, zostałby zdmuchnięty przez huragan zniszczenia i nie pomogłaby mu jego moc.

Ale istniał też inny, z pozoru nie tak brawurowy sposób działania. Będzie robił swoje, ale za kulisami - odnajdzie Kristine, wypełni umowę z Taraxem, odszuka i wyeliminuje Clarkhama - dokładając jednocześnie starań, by zrozumieć podstawowe problemy.

Gdy będzie gotów, podejmie się każdej, najodpowiedniejszej dla siebie roli.

- Tchórz - szepnął w ciemności. Następnie, reagując impulsywnie na samooskarżenie, w natychmiastowym odruchu rozwinął swe zmysły.

I wyczuł:

Miasto rozpostarte na wzgórzach i płytkich, szerokich dolinach wibrowało, płynęło jak leniwa rzeka popychana to w tę, to w tamtą stronę prądami myśli mieszkańców; przypominało rozjątrzone mrowisko, w które znikąd wbito kij. Dzieci, widząc na niebie nie odrzutowce, samoloty, szybowce czy choćby latające spodki, lecz Amorfitów, widma i duchy, bądź też słysząc o nich nie tylko od innych dzieci, ale również od dorosłych w telewizji, śniły koszmarne sny.

Tysiące pogrążone w zadumie nad swymi grzechami, nad marnością swych żywotów, nad niemożnością stawienia czoła nieprzewidzianej zmianie, rozmyślające o samobójstwie.

Skupił uwagę na:

ciężarnej kobiecie mieszkającej najwyżej pięć przecznic dalej, promieniejącej zdrowiem, która, obejmując wypełniony brzuch, leżała z szeroko rozwartymi oczami u boku pogrążonego we śnie męża, a umysł przesłaniał jej cień: *zdecydowałam się je mieć i spojrz teraz, spojrz teraz na jaki przyjdzie świat;*

Na

czternasto-, piętnastoletnim chłopcu o umyśle spaczonym jak wrak zatopionego okrętu, z głową pełną tłukących się bez ładu i składu myśli, kipiącym z gniewu, usiłującym instynktownie wymacać sobie drogę do metody usystematyzowania garstki informacji, jakie posiadał, lękającego się, czy czasem wraz z duchami nie powraca jego zmarły ojciec, by go ukarać. Idzie teraz samotnie ulicą miasta - Santa Monica Boulevard - uzbrojony w mały pistolet, wyczekując, kiedy wyłoni się przed nim jak spod ziemi coś niesamowitego; tak, potrafi sobie radzić z owymi zwidami prosto z tuzina kinowych ekranów, i z wielkimi

spluwami, i z krwią z ketchupu, z fruującymi w powietrzu śmiertelnymi kaskaderami, i na koniec z księżmi o ściągniętych twarzach, unoszącymi ogromne krzyże, którzy przegrywają walkę z szatanem;

na

Czarownikach tłoczących się pod mostem w mieście, wycieńczonych i opadłych z sił, przygotowanych na rzucenie cienia w razie odkrycia: których magia działała tu znacznie słabiej; przerażonych i zagubionych tak samo jak ludzie spotykani do tej pory, a kto wie czy nie bardziej;

Mroczkach, ciemnych, zasępionych i potężnych, którzy wygrzebywali sobie jamy w ziemi pod drzewami w Griffith Park i czekali na noc albo też, oślepieni światłem słonecznym, zaszywali się w jakimś cieniu szeptali coś między sobą przez cały wlokący się leniwie dzień.

Morzole nawiązali już znajomość ze stworzeniami morskimi i w towarzystwie wielorybów, rekinów i olbrzymich, szerokopłetwych mant pluskali się w migoczących, posrebrzanych blaskiem księżyca wodach na południe od portu San Pedro.

Powiększył zasięg swojej sondy i jeszcze raz skupił się na ludziach. Musiał coś w sobie rozwinąć - wycucie świata. Znów zaczął oblewać się potem. Wysilek przyprawiał go niemal o ból, ale nie zwracając na to uwagi zapuszczał coraz dalej sondę i powiększał jej szerokość, dopóki nie poczuł, że sięga już wysoko w niebo, głęboko w ziemię i na całe mile w miasto. Wtedy zredukował wysokość i głębokość, i przez chwilę miał wrażenie, że trzyma ów obszar w dłoniach i muska lekko milion, dwa miliony, pięć milionów umysłów.

Różnorodność przepływu myśli była oszałamiająca. Wycofał się i dostroił jeszcze raz, tym razem do znacznie większej strefy.

śpiące miasto, ciemne i niespokojne

oto czym są ludzie

tyrasz cały Boży dzień tyrasz jak dziki wół za marny grosz, liczysz że coś będziesz z tego miał a tutaj zwala ci się na łeb ta cała paranoja zostajesz na lodzie na lodzie takie jest życie zagapisz się a ono zaraz podłoży ci świnię Oj mówi tatuś mówi mamusia nieładnie, nieładnie męczyć tak kotka Trzeba mi było posłuchać i nie zajmować takiego stanowiska na posiedzeniu. Jaka satysfakcja że świat się wali a ja siedzę beztrosko w ogródku jak gdyby nigdy nic rozgniatam w palcach grudki ziemi i sypie się mączka kostna, pomyśleć to kiedyś było zwierzę, pewno jakaś krowa, a teraz to ogródek oto czym będziemy ziemią ogrodową my mięso z kością chodzący nawóz pod ziemski ogród. Tak to był seks i nie wiem co robić kiedy mnie ogarnia, podkrada się muszę reagować jak zwierzę nie anioł, małpa, nie anioł staram się nad sobą zapanować ale co u diabła. Pigułki i taka śmierć i najzwyczajniejsza radość

we flaszczyce tak trudno tak trudno być samemu dobrym, kiedy to co wydaje mi się dobre zabija mnie na raty tak jak zapowiedziała, przychodzi do mnie we śnie i nic tylko przygląda się tym samym spojrzeniem co za życia ciekawym, czy to naprawdę ona czy to ona mówi do mnie we śnie? Spalona strategia wszystko diabli wzięli tyle roboty tyle wyrzeczeń a teraz wszystko o dupę potłuc, no ale jestem wolny [jutro z powrotem do tego *kieratu, jakby wszystko było po staremu a nie jest teraz tam za oknem jeden koszmar*] *Gęste oleiste szafirowe fale obmywają mi zdrętwiałe kostki zdążę się obudzić nim sięgną mojej głowy wiem że zdążę ale jeśli wcale nie śpię sen ten sam to już było jednak czuję ich chłód i wiem że się unoszą widzę nad głową księżyc w pełni i tamtych ludzi na brzegu widzę jak wodorosty oplątują mi nogi wiedzą że nóż jest tępy.* Te głupie parszywe żydy z roku na rok coraz bardziej nienawidzę krętaczy i tych czarnuchów z ich babami rozplodówkami i tych flejów metysów z południa a teraz jeszcze te łajzy, kto zrobi z tym porządek może się jedni z drugimi wytluką a to co zostanie będzie moje, nasze.

Przyjmij to no przyjmij to i bądź przeklęty CROSSING OVER, zaprawdę Bóg jest ze mną i przekroczę bystrą rzekę rzekę grzeszników. Cicho! Muszę się modlić do Jezusa o picie. Czekać aż słońce rozciągnie mi niegodziwe ramiona i ogrzeje je swymi promieniami iść wieczorem spać nasłuchiwać rano ciężarówek, nie wolno pić cały wieczór bo zaśpię, ciężarówka zabierze mnie połknie mnie. Czego ja je teraz nauczę, wszystko się pozmieniało i tak ciężkie czasy kto teraz przyjdzie na klasówkę, kiedy po ulicach wałęsają się duchy i o Boże, strach pomyśleć co one muszą czuć to tylko dzieci a mają nóż na gardle

Dobić go, po co to żarł, tak się męczy cholerny kundel, wylizał wszystko do czysta. Pacierz Pacierz Grabież Przemierzyłem wszystko wzdłuż i wszerz. Jak żaby na liliach wodnych przyglądające się sobie nawzajem, ach to boli, pragnę miłości. Pogoń za nirwaną, tak niech pragną oświecenia. Rozwalić wszystko. Nie potrafię wyrazić co czuję, dwadzieścia lat byliśmy razem i ona jest dla mnie wszystkim i tak się boję o nią o siebie. Jutro może nie będę już żył i znikną wszystkie zmartwienia, to czego się spodziewam jest coraz bliżej jeszcze pięć lat może sześć

Dorośli nie wiedzą, nikt nie wie, co mam powiedzieć mojej siostrze, burczenie w brzuchu. Brud brud i degradacja. Pozabijać ich. Pozabijać ich gwizd. Nie mogę już znieść głodu i dzieci, ten sukinsyn go zabił. Dlaczego nie pozwolili mi być. *Cicho! Ktoś podsłuchuje! Czuję...*

Rozszerzył jeszcze bardziej zasięg sondy. Wykonał ten manewr pozornie bez wysiłku, ale miał spore trudności z dostrojeniem się...

I nigdzie śladu Kristine

Piękne kobiety kochają się w łóżkach nie myśląc o miłości ani o mężczyznach, niektóre myśląc o samochodach. Wysokie ze szkła i stali. Bóg mógł przewidzieć zadzwonię do Marge nie zmienię jutro scenariusza Zabić ich Zatrzymać imigrację Moje dziecko moje dziecko [Pustka, smutek bliski rozkoszy który wżera się tak głęboko] Farby mętnieją kiedy używasz tych barw Żle się mieszają Stacja wyłącza pięć anten i Utah oszczędza dzięki temu 50 000 watów Zapamiętam i jutro Rzeka płynie głęboka rzeka jasny księżyc w moich łędźwiach tętni krew z księżycem Nienawidzę jej za to co zrobiła ale nienawidzę też wszystkich bo wiem że oni nienawidzą mnie Jak ich przekonać że są tak znudzeni że równie dobrze mogliby być martwi

[Ból tak intensywny i przewlekły że wykrzywia twarz]

Przerwa

Coś go szuka, nie Clarkham, nie Tarax, coś długiego, pływającego w wodach Ziemi, jakaś ogromna i pradawna grzeszność, w duchu ludzka.

Spróbował się wycofać, ale to coś już go namierzyło, pochwyciło z nieskruszoną delikatnością, przekazując posłanie:

Musimy się wkrótce spotkać. Nasz czas nadchodzi.

I puściło go.

I Michael, zimny i nieruchomy, leżąc z piekącymi oczami w łóżku na dole, wydedukował, pojął, co już kilka razy wchodziło z nim ostrożnie w kontakt: najstarsza żyjąca istota na Ziemi, nawet teraz, gdy powracali tu Sidhowie; jedyny reprezentant pierwszych ludzi, wyłączny przedstawiciel swej rasy, który na mocy klątwy Sidhów miał zachować rozum, podczas gdy cała reszta została przemieniona w dzikie zwierzęta. Pod tą klątwą żył, myślał i pamiętał przez sześćdziesiąt milionów lat.

Wężomag.

Michael wycofał się w siebie i za pomocą dyscypliny usiłował zwalczyć rozsadzający mu czaszkę ból. Zapuścił się za daleko; natknął się na moc, która przerastała jego własną.

Pensjonat Tippettt znajdował się obecnie w samym centrum ewakuowanej ziemi niczyjej o średnicy trzech długich przecznic. Helikoptery patrolowe krążące w porannej szarówce nad Stripem i wzgórzami Hollywood przeczesywały reflektorami ulice wyludnione z powodu obowiązującej jeszcze godziny policyjnej. Za barykadami wzniesionymi z worków

z piaskiem i gruzu kryli się podenerwowani żołnierze. Większość z nich przez całą noc była na nogach.

Michael szedł jakby nigdy nic Bulwarem Zachodzącego Słońca w kierunku barykad. Jeźdźnię przed Hyattem blokowały ustawione w ukośnej linii wozy policyjne Funkcjonariusze drogówki i Policji Miejskiej stali z założonymi rękami i rozmawiali. Nie zwracali na niego większej uwagi. Gapie kręcili się tu na okrągło od wielu dni.

Musnął sondą ich myśli, wchłaniając wszystko co się działo - co się działo w ich mniemaniu - i z tych rozmaitych punktów widzenia wydestylował w miarę klarowny obraz sytuacji.

Pensjonat uaktywnił się szczególnie przed jakimiś dwoma tygodniami. W budynku zaczęły się pojawiać setki Sidhów, którzy opuszczali go, głównie przez parter, i rozchodzili się po mieście. Niektórzy sfruwali z dachu na eponach - sidhowych koniach. Tippett jako stację exodusu upodobał sobie zwłaszcza Amorfici i Czarownicy. Inne rodzaje Sidhów - chociażby Morzole z jego sennej wizji - wybierały inne przejścia, korzystały z innych bram.

Większość Sidhów bez problemu mogła porzucić swoje szaty, a następnie znaleźć, ukraść albo nawet kupić sobie inne i wmieszać się w populację ludzką. Czarownikom na przykład wystarczało kilka prostych sztuczek - kosmetyczny retusz wyglądu zewnętrznego - i mogli śmiało uchodzić za ludzi.

Teraz jednak brama poprzez Tippett była zamknięta, przynajmniej na Ziemi. Michael musiał odwiedzić ponownie budynek i zorientować się w sytuacji. Jeśli po tamtej stronie liczba oczekujących na migrację wzrastała, prędzej czy później coś tutaj pęknie, a z tym wiązało się niebezpieczeństwo, że ucierpi bądź zginie więcej ludzi - i być może Sidhów.

Nie to jednak było jego głównym celem. Istniała możliwość, że brama jest dwudrożna - a jeśli tak, wówczas wykorzystując swoje umiejętności zdoła może przejść do Królestwa. I może tam ktoś mu powie, gdzie jest Kristine...

Żona Tonna.

Niechętnie zdawał się na Taraxa, na jego dobrą wolę, w sprawie odzyskania Kristine.

Nietrudno było się przedostać przez rząd policyjnych wozów i kordon policjantów. Rzucił cień swojej postaci oddalającej się ulicą, a sam przemknął się niepostrzeżenie obok nich. Kilkanaście jardów dalej ulicę blokowało stanowisko z worków z piaskiem, za którym kuliło się trzech żołnierzy Gwardii Narodowej z gotową do strzału bronią wycelowaną w stronę pensjonatu Tippett. Byli odwróceny plecami do Michaela. Zasugerował im, że jeśli się odwrócą, wezmą go za swojego kolegę. Żaden się nie obejrzał.

Boczne wejście do hotelu było z ich stanowiska niewidoczne. Michael przelazł szybko przez podziobane kulami ogrodzenie od frontu i stwierdził, że boczne drzwi są uchylone na kilka cali. Zatrzymał się, wziął głęboki wdech, przymknął oczy i skoncentrował się na znajdującym się za tymi drzwiami korytarzyku wejścia dostawczego. Nikogo. Korytarz był pusty podobnie jak cały parter - pusty, to znaczy nie było tam nikogo ani niczego, co potrafił wyczuć swoją sondą. Zdawał sobie sprawę, że Sidha, jeśli jakiś tam był, niekoniecznie musiałby wykryć.

Wygląd holu zmienił się nieco, odkąd Michael był tu poprzednim razem. W brudnych, pogiętych drzwiach windy odbijał się zamazany, zniekształcony obraz światła wpadającego przez szpary między deskami, którymi niedawno zabito wejście. W deskach widniały dziury po pociskach, a na wyblakłej i poprutej wykładzinie dywanowej niczym blade diamenty mieniły się okruchy szkła.

Michael ruszył powoli schodami do góry. Przystanął na podeście i obejrzawszy się przez ramię, z wysokości półpiętra objął wzrokiem hol. W powietrzu, niczym dym po wypalonym tu papierosie, wisiały nieokreślone emocje i wspomnienia: niedobre emocje i niehumanitarnej natury.

Potrzebował kilku chwil, by rozpoznać w nich mentalny ślad pozostawiony przez wystraszonych Sidhów.

Na pierwszym piętrze ujrzał jakąś szmatę rzuconą w kąt naprzeciwko drzwi windy. Schylił się, podniósł ją i rozpostarł w powietrzu. Był to ciemnobursztynowy kaftan haftowany w jaskrawe jeżyny i nie znane mu cierniste kwiaty. Pachniał jak las zimą. Zaintrygowany, odłożył kaftan i zauważył inny element ubioru, a także drewnianą laskę leżącą na stopniu schodów.

Im wyżej wchodził, tym więcej znajdował porzuconych części garderoby i ozdób: odłamki wypolerowanych i grawerowanych kamieni, nawet kryształy wizyjne podobne do tych, do których zaglądał w chacie Żurawic, tyle że ciemne i bez obrazu; długą, obszerną szatę żywą błyskiem pioruna; kilka par przypominających pantofle trzewików; a także klejnoty, które w normalnych czasach byłyby warte fortunę.

Na trzecim piętrze Michael przystanął. Trop był tutaj tak silny, że skurczył mu się żołądek. Sama myśl o potężnych i wyniosłych Sidhach ogarniętych takim strachem, wręcz paniką, przyprawiała o dreszcze.

Na czwartym piętrze raczej wyczuł, niż usłyszał jakieś poruszenie w mroku. Szarówka przedświt nie rozpraszała zbyt ciemności. Wkroczył w rzadki las przewodów elektrycznych, które na podobieństwo pnączy zwisały z sufitu. Ścianki działowe zburzono tu

już dawno temu i piętro stanowiło teraz jedną wielką halę, w której pozostała tylko obudowa szybu windy i klatki schodowej.

Stąpił małymi kroczkami ku tylnej ścianie budynku, a podłoga pełzała pod stopami i falowała. W pewnej chwili o łydkę otarło mu się coś miękkiego i przystanął; spłoszone stworzenia zbiły się bezszelestnie w gęstą chmurę i odfrunęły.

Wzrok przywykł mu do mroku z zadziwiającą szybkością.

- Ptaki - szepnęła. Całą posadzkę pokrywały roje wróbli, gołębi, drożdów i kosów. Wszystkie przyglądały mu się czujnie, bez wrogości, ale i bez strachu, i w milczeniu; były ich tysiące, a ani jeden nie ćwierknął, nie zagruchał.

Na werandzie, za pustą, przekrzywioną ramą rozsuwanych, oszklonych swego czasu drzwi, na samym brzeżku betonowej balustrady przycupnął znacznie większy od innych ptak, wysoki na jakieś dwie stopy. Wiatr wichrzył mu pióra. Ptak spojrział na Michaela.

Gdyby nie krwistoczerwone pierś i dziób, przypominałby kruka: ślepka miał małe, czarne niczym perełki i otoczone białą obwódką. Michaelowi przemknęło przez myśl, że może to być ten sam ptak, który siedział na dachu, kiedy zjawił się Tommy.

Wielki ptak z czerwoną pierśią kujnął dziobem w kierunku wyższych pięter i kiwnął trzy razy łebkiem wydając z siebie cichutkie „głyk”.

- Arno? - spytał Michael. Ptak, nie zwracając nań uwagi, czochrał sobie dziobem piórka. Potem wyglądził je i ponownie wskazał na wyższe piętra.

Michael wycofał się ostrożnie poprzez kobierzec milczących ptaków i ruszył wyżej. Nie znajdował już więcej porzuconych części garderoby; co ciekawe, klatka schodowa i korytarze każdego piętra wydawały się mniej zaśmiecone niż podczas pierwszego rekonesansu, jaki tu przeprowadził, zupełnie jakby jakaś ekipa zaczęła sprzątać puste pokoje, przygotowując je do zasiedlenia.

Wchodząc na dziesiąte piętro wyczuwał już wyraźnie jakąś obcość. Brama była wciąż otwarta. I ktoś przed nią stał... Tyle tylko wykrywał swoją sondą. Stał przy windach i spojrział w długą, mroczną gardziel południowego korytarza. Wszystkie drzwi po obu jego stronach były pozamykane. W głębi korytarza zalegała nienaturalna ciemność - kończył się prostokątem grobowej czerni. Na tle tej czerni stała białowłosa postać w ciemnych szatach.

Michaelowi serce podeszło do gardła wprawdzie ze strachu, a potem z osłupienia. Strach ogarnął go na myśl, że to Tarax. Właściwie spodziewał się zastać tu Taraxa, być może wraz z córką, ale to indywidualium nie było żadnym z nich. Kiedy oczy przywykły mu do ciemności, spostrzegł, że postać ma długie ręce i nogi, a krótki tułów, co z kolei wprawiło go w osłupienie; pomyślał bowiem, że to któraś z Żurawic. Po chwili zjawy zbliżyła się do niego.

Istotnie, była to Mieszanka, ale nie Nare ani Spart, ani Coom. Długie jasnoblonde włosy opadały jej na ramiona. Usta miała pełne, różowe, wręcz zmysłowe, lecz jej skóra dorównywała białą włosom. Świdrowała go podejrzliwie małymi, błękitnymi oczkami osadzonymi blisko wąskiego nosa. Ubrana była w czarny, męski garnitur wiszący na niej jak worek, sztywną, nakrochmaloną białą koszulę (też obszerną), a pod szyją zawiązany miała wąski czarny krawat.

- Jestem tu od dwóch dni - odezwała się z ledwie wyczuwalnym szkockim akcentem. Nie sondowała jego aury, by dowiedzieć się, jakim językiem ma przemówić.

- Wąż kazał mi na ciebie czekać i przyprowadzić do siebie.

- Kim jesteś? - spytał Michael. Czemu takie proste pytanie zabrzmiało tak niezręcznie? Ponieważ znał już odpowiedź, znał ją jeszcze przed zadaniem pytania. - Należysz do jego świty - stwierdził.

Przytaknęła ruchem głowy.

- Wąż oczekuje cię. Jesteś kandydatem.

Wypowiedziawszy te słowa skinęła, by za nią poszedł.

- Nie jest to ten szlak, którym przybywają z Królestwa Sidhowie - powiedziała czekając, aż zbliży się do niej na zaledwie dwa kroki, po czym wskazała ręką bezdennie czarny prostokąt na końcu korytarza. - Tamten jest chwilowo zamknięty, ale jego moc tkwi tutaj i czeka na tych, którzy wiedzą, jak z niej korzystać.

- Mieszanka zatopiła rękę w czerni i przeszła cała przez jej ścianę. W korytarzu błysnęło na moment oślepiające światło dnia. Czerń zawarła się za nią i z mroku wystawała tylko jej lewa ręka z kiwającym nań, przyzywającym go palcem.

Światło dnia błysnęło teraz wokół niego i znalazł się na jałowym brzegu rozległego ciemnoszarego jeziora. Pora była wczesnopopołudniowa. Nad jeziorem i sąsiadującymi z nim brązowymi wzgórzami wisiały gęste chmury. Nie opodal na skaliste wybrzeże wdzierały się karłowate sosny. Na przeciwnym brzegu snuły się mgły przesłaniające odleglejsze wzgórza i niewielki półwysep z rzadka porośnięty sosnami. Powietrze było chłodne i wilgotne, ale nie zimne. Mieszanka stała jakieś pięć jardów dalej, tuż nad nieruchomą taflą jeziora.

- Wiesz, gdzie jesteś? - spytała. Michael pociągnął nosem.

- Na wschodzie - stwierdził. - Anglia... albo Szkocja.

- Byłeś tu kiedyś?

Pokręcił głową.

- Czy wiesz, czemu zostałeś tu wezwany?

- Nie bardzo.

- Czy słyszałeś opowieść... o Wojnie i o upadku, o stracie i odrodzeniu, ucieczce i powrocie?

- Tak - odparł Michael.

Skinęła głową i już jej nie było. W miejscu gdzie stała, sterczał teraz pniak, o korzeniach oplecionych pod powierzchnią mrocznej wody przez wodorosty.

- Dzięki ci - powiedział Michael z udawanym entuzjazmem. Po chwili przysiadł na jednym z głazów i czekał z osobliwą cierpliwością. Nadzwyczajny spokój, jaki go ogarnął, mąciła jedynie dręcząca myśl o uprowadzeniu Kristine.

Nadszedł wreszcie czas i to wystarczało samo w sobie. Czuł coś na kształt dumy, ale dumny nie był. Był godzinę spotkania z Wężomagiem, ale czy to świadczyło o jakimś wywyższeniu? I tak, i nie. Gdyby Michael zastanowił się nad tym po ludzku, odpowiedziałby: tak. Gdyby zaś podszedł do problemu jak Sidh, wysnułby wniosek całkowicie odmienny. Oznaczałoby to dlań wtedy wpasowanie się w obecny układ, ostateczną integrację z całą tą historią.

Późne popołudnie przeszło niepostrzeżenie w zmrok. Nie był ani znudzony, ani zaintrygowany. Po prostu czekał, a pulsująca *hyloka*, niczym drugi oddech, to rozgrzewała, to chłodziła. Michael nie oddawał się rozmyślaniom, nie popuszczał wodzów fantazji ani nie drzemał. Godzina nadchodziła. Kiedy wybije, będzie czuł lęk, a nawet przerażenie; wszak nie stoi ponad swoim plemieniem. Może i je przewyższa, ale się go nie wyrzeka.

Aby tu dotrzeć, przebył daleką drogę. Odległość w przestrzeni była najbliższą składową tego długiego, skomplikowanego wektora. Nauczył się wielu poruszających rzeczy o sobie, o świecie i o swej rodzinie. Nie był już tym samym Michaelem Perrinem, który dawno temu przeszedł pierwszy raz przez dom Clarkhama, wkroczył do sąsiedniego, minął podwórko Tristesse i aleją dotarł do bramy, która wiodła do Królestwa.

Tafla jeziora uniosła się pośrodku szklistym, puchącym garbem, a potem wygładziła z powrotem bez jednej fali na powierzchni. Garb wyrósł teraz dwa razy bliżej brzegu, burząc powierzchnię wody drobnymi zmarszczkami. Noc zbliżała się wielkimi krokami, a mgła gęstniała, zraszając mu perlistymi kroplami koszulę i jasną kurtkę.

Najstarsza żyjąca istota na Ziemi, a może i gdziekolwiek. Starsza nawet od Adonny zwanego Tonnem.

Powietrze ogrzało się. Michael przecesał wzrokiem pobliskie wody. Tuż pod powierzchnią jeziora, jakieś dziesięć jardów od brzegu, gdzie zaczynała się głębia, leżał bardzo długi, czarny, zwinięty kształt mierzący sobie od końca do końca dobre dwadzieścia jardów.

Stwór rozwinął majestatycznie swe cielsko i zaczął płynąć falistym ruchem w stronę brzegu, wzniesając na gładkiej powierzchni jeziora drobniutkie zmarszczki rozchodzące się leniwie pięknymi kręgami. Na płyciźnie jego łeb wychynał ponad wodę i Michael poczuł na sobie posępny wzrok.

Wężomag był szkaradny. Oślizgła czarna skóra, usiana na całej powierzchni naroślami jak u sędziwego zębacza albo węgorza elektrycznego, pokryte błoną oczka, małe haczykowane płetwy oraz stercząca w połowie długości cielska płetwa grzbietowa, nieco większa niż grzbiet kolcowatych cierników, przydawały mu groźnego wyglądu. Miał półtora jarda szerokości i pękaty przekrój, jak gdyby nawet w wodzie rozpieął go bagaż czasu i doświadczeń.

Michael zadrzał. Łeb stwora wyslizgnął się na brzeg spiętrzając przed sobą hałdę piasku i żwiru. Potem znieruchomiał i przechylił się lekko na jedną stronę nie odrywając od niego wzroku, milcząc pod każdym względem.

Paszczę miał szeroką, a wypukła pręga warg sięgała poza tępy, dwugarbny pysk. Paszcza rozwierała się nieznacznie i zamykała. W głębi, za wargami, biegł rząd ostrych ząbków, nie większych od zębów Michaela, ale znacznie liczniejszych.

Michael spuścił nogi z głazu i wyciągając przed siebie ręce, z drżącymi palcami, ruszył w stronę Wężomaga.

Czerń nieba przecinała tylko cieniutka, ostatnia pręga wyznaczająca obrys podświetlonej księżycem chmury. Widział Węża wszystkimi swymi nowo nabytymi zmysłami, i kiedy tak patrzył, Węża spowiła nagle poświata zimnego ognia. Od pyska do ogona przebiegały mu perłowe pasma. Ślepie upodobniły się do matowych, krwistych rubinów. Po chwili widowisko się skończyło i gad przestał się wyróżniać czymkolwiek poza niezwykłą długością i grubością. Leżał na brzegu, czarny jak wypolerowany obsydian, czarniejszy od mętnych wód jeziora i zamglonej nocy.

- Wzywałeś mnie - odezwał się w końcu Michael.

- Owszem - wydobył się z długiego cielska głos. Stwór przemawiał ludzkimi słowami, ale nie brzmiało to po ludzku. Za dużo było w tym wieku, za dużo czasu spędzonego na samotnych kontemplacjach.

- Nie rozumiem, po co mnie wezwałeś.

- Musimy omówić twoje zadania - odpowiedział Wężomag. - Świat się przeobraża.

- Zamieniam się w słuch - odparł Michael, przystając dobre trzy kroki od łba Węża.

- Nie jestem tu po to, żeby udzielać ci instrukcji - powiedział Wąż. - Przede wszystkim chcę ci złożyć pewną propozycję. Reszta zależy od ciebie. Wiesz, czym teraz jesteś?

- Mieszanka, która mnie tu przyprowadziła, powiedziała, że jestem kandydatem. Przypuszczam, że chodzi o kandydata na maga.

- I co ty na to? - Wąż przekręcił się nieco na bok i zaczął szorować cielskiem tam i z powrotem o kamyki, jakby się drapał.

Michael potrząsnął głową. Zwyczajna rozmowa kwalifikacyjna, pomyślał.

- To śmieszne. Jestem słaby, niezorientowany i nieprzygotowany.

- A czego się oczekuje od nowego maga? - zapytał Wąż.

- Nie bardzo wiem - odparł Michael. - Przypuszczam, że ma się wykreować na przywódcę i działać na rzecz pogodzenia ludzi z Sidhami, zaprowadzenia wśród nich pokoju.

- Jesteś pewien, że to możliwe?

- Nie. Ale wiem, że tak trzeba, bo inaczej wszyscy zginiemy.

- Wysłuchuję rodzaju ludzkiego od sześćdziesięciu milionów lat, mniejsza o parę milionów w te czy wewte, wysłuchiwałem także Sidhów. Sięgałem swoją sondą w każdy zakątek świata i dalej, i śledziłem losy żyjących istot. Kiedy nasz rodzaj nie był zdolny do myśli głębszych niż planowanie następnego posiłku albo spółkowania, ja czekałem. Widziałem, jak ich snom przybywa subtelności i mocy, obserwowałem, jak usiłują się z nich wyrwać. Ziarno odrodzenia, jakie w nich posiałem, zaczynało kiełkować. Ale czas ciągle się włócił.

Żyję i jestem uwięziony w tym ciele o wiele za długo. Tak długo, że zdążyłem już tysiące razy popaść w obłąd i przetrwać każde obłąkanie. Po wielokroć osuwałem się w szpony zdziczenia, ale zawsze torowałem sobie wyjście z matni, mimo że ze zdziczeniem i obłądem było mi znacznie lepiej; wiedziałem bowiem, że nadejdzie czas. Inni magowie też to chyba wiedzieli. Ale ja, w przeciwieństwie do innych magów, nie mogłem uczestniczyć w przygotowaniach. A w chwilach przeblysków świadomości układałem sobie, co powiem, kiedy pojawi się nowy kandydat.

Lunął deszcz i jezioro, smagane podmuchami wichury, zaczęło szumieć i syczeć.

- Przemierzałem oceany świata, odnajdywałem w głębinach przejścia pod lądami i udawałem się do tych śródlądowych akwenów na spoczynek. Kiedyś, nie tak dawno temu, sprowadziła mnie do swego ogrodu Elme i przez jakiś czas uczyłem jej dzieci, które spłodziła z Aske, i inne, które się tam gromadziły. Kiedy Tonn panował jako Jahwe, nasze chwile spędzone w ogrodzie urosły do legendy, do której potem zakradł się fałsz, ja zaś, załamany i na powrót obłąkany, tysiące lat pływałem tylko w głębinach. Znienawidziłem wszystkie żyjące istoty. Sądziłem, że przeszłość, ta sprzed Wojny, uległa na zawsze zapomnieniu. Nawet dziś życie ludzkie wydaje mi się w przeważającej mierze tańcem ignorancji z żądzą.

Jeśli tli się w nim jakiś płomycek światła, to jest on słabutki, a odkryty, zostaje zazwyczaj zdmuchnięty. Czy wiesz, kto go najczęściej zdmuchuje?

Michael zastanawiał się przez chwilę, a krople deszczu skapywały mu z twarzy i parowały pod wpływem ciepła emitowanego przez jego ciało.

- Tarax i Maln - odpowiedział w końcu.

- Tak, ostatnio to oni. Czy wiesz, dlaczego ludzie musieli się zmagać z tyloma przeciwnościami losu przez minione tysiące lat?

- Z powodu ingerencji Sidhów.

- Owszem. Czy nienawidzisz ich za tę ingerencję?

Michael znów chwilę pomyślał, po czym pokręcił głową.

- To by nic dobrego nie przyniosło - powiedział.

- Czyż nie najlepiej byłoby się uwolnić niszcząc wszystkich Sidhów?

- Nie. Potrzebujemy ich.

- A oni nas?

- Jeszcze bardziej.

- Znanie ci są niektóre działania podejmowane przez Sidhów. Ale ich knowania sięgały głębiej, niż przypuszczasz. Kiedy pomyślisz o najświetniejszych ludzkich osiągnięciach, praktycznych i artystycznych, nazwiska same ci się nasuną. Wymień jakies bez zastanowienia.

- No... Leonardo da Vinci - zaczął Michael. - Shakespeare, Beethoven, Einstein, Newton.

- Oraz setki innych, na wschodzie i zachodzie, w większości zapomnianych przez historię. Mam nadzieję, że doceniliście Bacha... nie tak dawno słuchanie jego muzyki pomogło mi odzyskać dzisiejszą klarowność umysłu. W waszej kulturze ci giganci uchodzą za wybitnych, czyż nie? Ale to jeszcze nie szczyt ludzkiego potencjału. Oni byli na tyle niegroźni, że Sidhowie zostawili ich w spokoju. Niektórych ignorowano do czasu, a kiedy nieoczekiwanie zaczęli niepokoić Sidhów, ich życia i kariery były rujnowane i zniwiedniały się urywały. Ale najświetniejszych, najwybitniejszych - takich, których rozpoznałbym jeszcze w łonie matki, bo już tam emanuje ich geniusz - porwali Sidhowie bądź przed osiągnięciem przez nich dojrzałości, bądź zanim zdążyli doprowadzić do końca swe dzieło. Przez dziesięć tysięcy lat wykradano niemal wszystkich najświetniejszych, a my i tak dojrzewaliśmy i robiliśmy postępy. Sidhowie znów ponieśli klęskę. Ale o mały włos nas nie okaleczyli.

Michael nie odzywał się; po prostu słuchał i czekał.

- Teraz, przez zaledwie kilka ostatnich wieków - przez mgnienie oka - co poniektórzy Sidhowie oprzytomnieli. Nakreślono plany i starły się ze sobą poszczególne frakcje. Ty wyszedłeś z tego cało i przybyłeś tu, by mnie wysłuchać. Słuchaj więc uważnie, bo to najistotniejsza ze wszystkich informacji.

Światy się łączą. Królestwo Adonny okazało się niewypałem. Zabrakło mu doskonałości poprzednich tworów. A tutaj, w naszym wszechświecie, sztuka tworzenia światów uległa już zapomnieniu. Prawdziwi mistrzowie polegli w Wojnie lub zostali przemienieni w zwierzęta i wkrótce potem umarli. Od tamtej pory ten świat - nasz świat - nie był konserwowany. Mało kto nawet pamięta, że niegdyś tworzenie światów uchodziło za najszlachetniejsze i najbardziej użyteczne rzemiosło.

- Ktoś stworzył ten świat... Ziemię? - spytał z niedowierzaniem Michael. - Jakież to logiczne! Ile wyjaśnia wątpliwości...

- Nie tylko samą Ziemię. Cały wszechświat.

- Ależ on jest taki olbrzymi - zauważył Michael. - Nie pojmuję jak ludzie, czy nawet Sidhowie, mogliby stworzyć coś tak ogromnego, tak zawilego.

- Zawilść nie zawsze jest pożądana. Wielkość... owszem. Potencjał wzrostu tkwił w nim od początku. Teraz jednak wymknął się całkowicie spod kontroli. Setki twórców, dziesiątki magów dokładały starań, by uczynić go najwspanialszym ze światów... i udało im się. Ale Wojna położyła kres współpracy. Dziś już tylko ja pamiętam owe czasy.

- Więc kiedyś ludzie żyli tylko we wszechświatach, które sami sobie stworzyli?

- A czemuż miałyby być inaczej? - odpowiedział pytaniem Wąż. - Jesteś dzieckiem swoich czasów. Czyż nie budujecie sobie domów i nie zamieszkujecie w nich, by nie wystawać na wietrze i słońcu?

- Ale to niezupełnie to samo. Wydawało mi się, że Królestwo jest pewną naroślą, polipem lub czymś w tym rodzaju na naszym wszechświecie.

Wąż zacharował. Michaela znowu przeszedł dreszcz, ale po chwili zdał sobie sprawę, że stwór się śmieje. Nie spodziewał się tak ludzkiej reakcji po wyciągnięciu na piasku potworze, lecz wnet uświadomił sobie, jak zagadkowa w gruncie rzeczy jest ta bestia. Wąż był bardziej ludzki niż on. Wiek i transformacja nie przesłoniły jego człowieczeństwa.

- To wszystko, na co było stać Adonnę - odezwało się w końcu monstrum. - Wysilek godny podziwu, ale nieprzemysłany. Sidhowie zniszczyli bądź przemieniali wszystkich magów i ludzi, którzy mogli pomóc Adonnie w odniesieniu sukcesu. Dali dowód swojej skrajnej próżności.

- Jak można odzyskać kontrolę nad wszechświatem?

- Wszechświata już nigdy nie da się kontrolować.

Gdy zaniedba się ogród, to po jakimś czasie przestaje on być ogrodem, a staje się dzikim lasem albo dżunglą i nie można go tak po prostu uporządkować, wypielić i zagospodarować na nowo. Świat rozplenił się tak, że ponowne okiełznanie go przekracza nasze możliwości. Przemieszał się z innymi światami, skrzyżował z nimi i przyswoił sobie ich właściwości. Ty widzisz tylko cząstkę tego ogromu - to my jesteśmy teraz polipem na światach stwórców pozostających poza naszym zasięgiem i zdolnościami pojmowania.

Prócz tego twój lud - moje dzieci - wyewoluował w tej powstałej z ogrodu dżungli. Poznaliście część jej praw; dostroiliście się w końcu, nie bez oporów, do jej charakteru. Świat stał się dla was okrutny i surowy i uczynił z was istoty twarde, twórcze i elastyczne. Sidhowie, pomimo całej swej magii, nie mają nawet co marzyć o dorównaniu waszej twórczości.

Na Ziemi ludzka dyscyplina jest teraz silniejsza niż ich. A najsilniejsza co do potencjału jest dyscyplina Mieszkańców. Oni, przekraczając bariery oddzielające Sidhów i ludzi, dziedziczą po obu ludach.

- Jestem Mieszkańcem...

- Mimo to więcej w tobie z człowieka niż z Sidha. Nie jesteś nieśmiertelny i posiadasz cud zwany duszą.

- Co... co to takiego? - spytał Michael.

- Dziwne, iż sądzisz, że to wiem - odparł Wąż.

- A nie wiesz?

- Ja odkryłem tylko jak zniszczyć duszę; nie jak ją zrozumieć. Być może to ostateczna tajemnica, na zawsze niezgłębiona dla tych, którzy żyją we wszechświatach. Ci, którzy nie muszą mieszkać w muszlach, którzy wytrzymują najgorętsze promienie słońca i najulewniejsze z deszczy, warunki, o jakich nie słyszano na żadnym ze światów, ci może rozumieją duszę. Albo może takie staną się nasze dusze, gdy w pełni dojrzeją... niezależne, wolne.

- Czy Sidhowie już nigdy nie będą mieli dusz?

- Nie, moje dzieło było nieodwracalne.

- Nic dziwnego, że cię znienawidzili. Byłeś gorszy od nich.

Wąż przekręcił się z powrotem na brzuch i Michael poczuł na sobie spojrzenie jego przymglonego oka.

- Bardziej zły, bardziej zawzięty, bardziej twórczy. Dostyc miałem czasu, by przemyśleć swoje ekscesy.

- A więc są zgubieni.

- Nie. Istnieje sposób, by ich ocalić. Nie poszczególne jednostki, lecz rasę jako taką. A oni w tym celu muszą poświęcić swą rasową czystość.

- Muszą połączyć się z ludźmi. .

- Tak.

- Ale przecież nas nienawidzą.

- Wielu z nich nas nienawidzi i boi się zarazem. Teraz to od nas wszystko zależy. Oni są elegancyjcy i wytworni; dojrzały i doświadczony. Nasze atrybuty to gniew, litość i potencjał twórczy. Oni ściągają na Ziemię i ukrywają się. Czują się zaszczyceni, czują się zagubieni. Obawiają się zemsty, w razie gdyby ludzie odkryli, do czego posuwali się Sidhowie, by powstrzymać ich rozwój.

- Ludzie będą potrzebowali wiele czasu, by pogodzić się z tym, czego się dowiedziałem - powiedział Michael. - Nawet mnie nie przyszło to łatwo, chociaż tyle widziałem na własne oczy.

- Oni również są teraz naocznyimi świadkami wydarzeń. Ziemia nie będzie już taka sama. Królestwo nie zniknie tak po prostu... gdy już się ostatecznie zdeintegruje, pozostawi po sobie piętno. I nikogo, kto przeżyje ten kataklizm, nie będzie dziwić nowa rzeczywistość.

Michael najpierw przykucnął, a potem, z głębokim westchnieniem, usiadł na piasku.

- Dlaczego wciąż tylko katastrofy?

- Ponieważ nasz wszechświat utracił wszelkie zabezpieczenia. Ogrody wypełniły się lwami i skorpionami. Ogrodnicy nie żyją, albo, podobnie jak ja, są już nieskuteczni, uszła z nich większość umiejętności, jakimi dysponowali.

- Do niedawna żyłem sobie bezpiecznie i spokojnie - powiedział Michael. - Nadal nie mogę się nadziwić, że właśnie we mnie upatruje się kandydata na kogoś tak ważnego jak mag. Tylko patrzeć, jak obarczony zostanę zadaniem cerowania istniejących już światów i tworzenia nowych.

- Takie będzie ostatecznie twoje posłannictwo - przyznał Wąż. - Skąd obawa, że się do tego nie nadajesz?

- Zdarza mi się popełniać głupstwa - odparł Michael. - Zabijałem ludzi. Moja magia jest stosunkowo słaba. Jestem młody i zazwyczaj czuję się niedojrzały. I... - w końcu wyrzucił to z siebie - nie chcę być kimś potężnym i ważnym.

- Nikt przy zdrowych zmysłach nie chce zostać magiem - powiedział Wąż. - Na większe poświęcenie i cięższy los nie można już się dobrowolnie skazać ani zostać skazanym.

O nie; ktoś, kto chce być magiem, nie może być nawet brany pod uwagę jako poważny kandydat. Weźmy takiego Clarkhama. Toczy go żądza władzy.

- Przecież jestem głupcem! - krzyknął Michael. - Kiedy byłem w Królestwie, pokochała mnie pewna Mieszanka. Poświęciła się za mnie, bezinteresownie, a ja... - Urwał, przełykając gwałtownie ślinę i stwierdził, że nie jest w stanie wykrztusić słowa więcej. Potrząsnął głową i otarł napływające do oczu łzy.

Wąż obserwował go w milczeniu.

- Teraz wpakowałem w tarapaty następną kobietę.

Muszę ją odnaleźć. Nie wiem, co będę musiał zrobić, by ją uratować.

- Naturalnie zrobisz, co będzie trzeba - powiedział Wąż. - Walka jest częścią twojej egzystencji. Dlaczego wstydzisz się swoich błędów?

- Dla głupców nie ma usprawiedliwienia. Byłem ślepy. Ograniczony.

- Uważasz, że zgrzeszyłeś? - spytał Wąż.

Michaelem wstrząsnął nieco fakt, że wyznanie, przed złożeniem którego dotąd się wzbraniał, przyszło mu tak nadspodziewanie łatwo.

- Przypuszczam, że tak.

- Czy wiesz co to grzech?

- Popędzanie głupstw, których można było uniknąć. Kierowanie się nienawiścią i egoizmem. Zapominanie, że inni też są żyjącymi i myślącymi istotami.

Wąż zacharczał.

- Grzechem jest nieprzyjmowanie rzeczy takimi, jakimi są i niewyciąganie z nich wniosków. Grzechem jest błędzić świadomie i z premedytacją. Zbłądziłeś kiedyś świadomie?

- Nie - odparł Michael. - Ale działałem we własnym interesie. Nie myślałem o Eleuth. Wykorzystałem ją.

- To typowo młodzieńczy postępki.

- Niemniej jednak karygodny.

- Wszak sama postanowiła się poświęcić, czyż nie?

- Tak, i nie powiedziała mi, że to ją zabije, ale ja powinienem był to przewidzieć.

- Adonna, kiedy grał rolę Boga, zaszczepił w umysłach ludzi wielce niewłaściwe i tendencyjne pojęcie grzechu. Powiedział, że grzech to pogwałcenie boskiego prawa. Takie rozumowanie godne jest tyrana, nie stwórcy. Adonna pragnął utrzymać wszystkich ludzi w posłuszeństwie i niewiedzy. Rozwój rodzaju ludzkiego był dlań przekleństwem. Chciał utrzymać nas w niewiedzy i ciemności. To nie jest boskie prawo. Po cóż bóg miałby narzucać arbitralnie jakieś ograniczenia? Jest tylko rozwój i pojmowanie. Z rozwoju i pojmowania

bierze się miłość. Gdy nie ma pojmowania i nie ma rozwoju, gdy panuje tylko ignorancja - nie ma i miłości. Oto jest grzech. Ale rozwijać się znaczy popełniać omyłki. Nauka wymaga niekiedy prób i błędów. Powinno być teraz dla ciebie jasne, że wszystkie grzechy to tylko przewiny młodości. Całe zło bierze się z młodości. Po kilku tysiącach lat myśli o czynieniu zła stają się niewysłowienie nudne, jak przywoływanie do porządku źle wychowanych dzieci.

- Ale ja czułem zło. W Clarkhamie...

- Żaloszna postać ten Clarkham. Ambitny, niekompetentny, utalentowany, ale na wskroś zepsuty. Taki sam był kiedyś Adonna. I oto jak Clarkham został ostatecznie pokonany - zniszczyli go ci, którzy mogli sięgnąć pamięcią wstecz do swoich przeszłości i na tej podstawie przejrzeć jego naturę. Clarkham ma zaledwie kilkaset lat. Adonna, członkowie Malnu oraz Rad Eleu i Delf mają ich po kilkadziesiąt tysięcy.

- Ale co z niego zrobili... napełniając złem.

- Clarkham sam je na siebie ściągnął. Za młodu dobił pewnego targu. Magia za zepsucie. To jeden ze sposobów na zdobycie mocy... sposób dla krótkowzrocznych i głupich. A gdy już miał tę swoją moc, zapragnął pozostać takim, jakim był, po wsze czasy. To zaś oznacza, że nie jest zdolny się rozwijać i uczyć. Na kandydatów często czyhają takie pokusy. Jeśli im ulegną, są na zawsze napiętnowani i łatwi do przejrzenia.

- Ja nie byłem wystawiany na taką próbę - powiedział Michael.

- Jeszcze nie - podkreślił Wąż.

- I nawet gdybym został magiem, nadal będzie istniała możliwość, że zgrzeszę, tak? Wąż przekręcił się i potarł cielskiem o kamyki.

- Chodzi mi o to - podjął Michael - że ty zgrzeszyłeś... na Wojnie.

- Walczyłem. Wszyscyśmy zgrzeszyli.

- Ale ty pozbawiłeś Sidhów dusz.

- I tego jeszcze było mało. Zniszczyłbym ich zupełnie, gdybym tylko mógł.

- Dlaczego?

- Bo oni postanowili zniszczyć mój lud. Byłem magiem i zaprzysiągłem bronić swego ludu.

- Zatem zło rodzi zło.

- Skutki widać dookoła. Konflikt. Chaos. Strach. A także...

Michael czekał na dalszy ciąg, ale głos Węża po prostu się urwał. Stwór zamilkł.

- Piękno - dokończył za niego Michael.

Wąż zacharował.

- Nasłuchałem i napatrzyłem się już tyle, że nic mnie nie znuży ani nie zdziwi. Żyję zdecydowanie za długo, ale nie mogę umrzeć. Jeśli ci się powiedzie, być może zostanę uwolniony.

- Ale wciąż nie powiedziałeś mi wszystkiego o obowiązkach maga.

- Mag troszczy się o swój lud. Mag, albo magini, bo niektórzy magowie są płci żeńskiej, chociaż nieliczne to przypadki, wygładza ścieżki. Mag musi rozumieć swój lud. Czy ty rozumiesz swój? Mam na myśli ludzi.

Michael pokręcił głową.

- Zastanów się dobrze i nie odpowiadaj od razu. Czy znasz naturę ludzi?

- Bez przerwy mnie zaskakują. Jakżeż mógłbym ich poznać?

Zatem wiesz już, że ludzie są nieprzewidywalni.

Sidhowie tylko z rzadka. Sidhowie są pedantyczni. Pod jakimi jeszcze względami różnią się ludzie od Sidhów?

- Ludzie nie są obdarzeni magią.

- Ale niektórzy umieją się nią posługiwać, prawda?

- Mieszkańcy.

- Michaelu, jesteś w przeważającej części człowiekiem; to, co masz w sobie z Sidha, samo w sobie nie wystarczyłoby do odziedziczenia umiejętności magii, gdyby talent magii przysługiwał jedynie Sidhom.

- A więc okłamano mnie.

- Jeśli ktoś nie wierzy w możliwość posługiwania się magią, to i nie potrafi się nią posługiwać. Proste i skuteczne: jeszcze jedno ogniwo łańcucha, który Sidhowie ukuli tysiące lat temu. Adonna wmówił ludziom, że nawet jeśli magią można się posługiwać, jest ona złem, jest grzechem. Jak zrekompensowali to sobie ludzie?

- Pracując nad materią. Zajmując się nauką i techniką.

Z głębi krtani Węża dobył się jakby pomruk.

- Zgadza się. Niespodzianka. Zrobili użytek z dzikich owoców zaniedbanego ogrodu. Dostroili się do wszechświata, zamiast dopasowywać wszechświat do siebie. Nasłuchiwali echa długiej, zawilej pieśni, którą stał się świat i zaakceptowali ją, a nie wykpiłi. Oryginalny pomysł. Sidhowie tego nie uczynili; uprawiali dalej swoją magię, ale magia w pewnym sensie jest zaprzeczeniem, nie akceptacją rzeczywistości.

I tak ludzie są twórcami narzędzi, kowalami żelaza, konstruktorami metalowych skrzydeł i wirtuozami roślin oraz zwierzęcego mięsa. Ten kierunek poszukiwań Sidhowie uważali przed tysiącami lat za prostacki i prowadzący donikąd: znacznie bardziej niepokoiłi

ich wasi artyści i muzycy. Nie prześladowali waszych naukowców. Nie rozumieli ich. A poszukiwania ludzkiej nauki zaczęły tymczasem przynosić efekty często przerastające ich twórców. I w dwudziestym wieku nauka stała się potężniejsza od Sidhów.

- Ale naukowcy nie potrafią tworzyć wszechświatów.

- Na razie - zaznaczył Wąż. - Dajmy im jeszcze ze sto lat, odrobinę czasu, a będą potrafili i to. O ile zaistnieje taka potrzeba. A może zaistnieć. Ale nie będą wykorzystywać do tego magii. A prawdę powiedziawszy nawet Sidhowie nie potrafią już tworzyć udanych światów. Adonna był z nich najzdolniejszy, a przecież gdy my tu rozmawiamy, jego Królestwo odchodzi w niebyt. Powróćmy jednak do mojego pytania. Czym są ludzie?

- Ludzie są zwierzętami - powiedział Michael. - Nie uważają się za nie, ale w gruncie rzeczy nimi są.

- Istotnie, ale nie w tym sensie, o jakim myślisz. Ludzie są jak zwierzęta, bo wiele zwierząt, nawet karaluchy, Michaelu! było kiedyś, dawno temu, ludźmi. Sidhowie zmusili mnie, bym przemienił mój własny lud w zwierzęta. Przetransformowali wszystkich swych pokonanych wrogów. Znasz losy ludów Cledar i Sprygglą. Ich potomkowie są ptakami i ssakami morskimi.

- Ja miałem na myśli to, jak niewielu ludzi potrafi wybiec myślą poza swe doczesne sprawy.

- To może doprowadzić do tragedii, ale czy przyjmując inną postawę zdołaliby przetrwać? Wszechświat nie jest już opiekunem i karmicielem.

- Ale niektórzy są okrutni.

- Niektórzy Sidhowie też są okrutni. Czym się od siebie różnią?

- Nie rozumiem, co chcesz mi powiedzieć - mruknął zbity z tropu Michael.

- Czy wyczuwasz leżące u samych podstaw podobieństwo między ludźmi i Sidhami? Podobną skłonność do czynienia zła?

- Tak - odparł Michael.

- Nasz rodzaj, i Sidhowie, i wszyscy inni stanowili niegdyś jedno. Zastanawiałeś się kiedyś nad korzeniami tych, którzy zamieszkiwali pierwsze z ukształtowanych przez siebie światów?

Nigdy o tym nie myślał.

- Skąd przybyli? - spytał.

- Nie mają początku. Nie zostali nigdy stworzeni.

Michael zmarszczył nos.

- To bez sensu.

- Jesteśmy wieczni. Zmieniamy się, umieramy, powracamy, i te kombinacje i permutacje ciągną się od wiek wieków. I stopniowo robimy postępy. Coraz większe i większe. Wyobrażam sobie, że bardzo dawno temu byliśmy tylko zawirowaniami nicości, małymi piosnkami, różniącymi się od siebie tylko w subtelnych szczegółach. Jak długo istniały te proste piosnki, któż to wie? Stawały się jednak coraz bardziej złożone i ściślej ze sobą powiązane. Piosnki łączyły się i splatały. Co i rusz tworzyły wspólnie nowe układy, a układy te rozrywały się, by utworzyć jeszcze inne. Nowe zbiory pieśni, nowe style, selektywny dobór elementów. Czasami dochodziło do czegoś, co mogło zdawać się krokiem wstecz, wręcz katastrofą. Ale jeśli za miarę przyjąć dłuższe przedziały czasu, ciągle trwał postęp. Żeby dalej skoczyć, trzeba się najpierw cofnąć.

I w końcu w procesie tym zaistnieliśmy my. Ale nie było żadnego jasno zdefiniowanego początku. Nie będzie też końca. Tylko wariacje na temat, nigdy się nie powtarzające, zawsze lepsze od poprzedniej wersji.

- Sidhowie i ludzie byli niegdyś jednym rodzajem? - nie dowierzał własnym uszom Michael. .

- Kiedyś musiało tak być. Różnorodność bierze się z jedności. A poza tym występują pewne podobieństwa.

- Tak...

- Głębokie podobieństwa. Chociaż minęły tysiące mileniów, potomkowie pierwotnych Sidhów nadal mogą się krzyżować z reewoluowanymi ludźmi. Pieśni przywołują się nawzajem.

- Więc o co ta cała draka? - spytał Michael. Wąz zacharczał donośnie i zaczął się tarzać tam i z powrotem po skałach. Michael cofnął się, nieco zatrwożony.

- No właśnie, o co ta draka! Wydaje ci się, że znam odpowiedź na wszystkie pytania? - wykrztusiła w końcu bestia, opanowawszy śmiech.

- Powinieneś, naprawdę - odparł urażonym tonem Michael. - Jesteś wystarczająco stary.

- W istocie, powinienem. Ale moje życie w ciele węża nie ciągnęło się nieprzerwanie i racjonalnie. Jak już powiedziałem, dużo czasu spędziłem będąc niewiele więcej niż bezdusznym potworem miłującym mrok i głębiny, z rzadka tylko popadającym w stany jako takiej świadomości. Na szczęście w obecnym okresie umysł mam w miarę klarowny. Ale... nie całkiem. Kiedyś wiedziałem znacznie więcej niż w tej chwili. Być może potrafiłem nawet udzielić wyczerpującej odpowiedzi na pytanie: „O co ta cała draka?”

- Może nie powinienem już zadawać więcej pytań - burknął z niezadowoleniem Michael.

- Ależ bynajmniej. Pytaj dalej. Mamy znacznie więcej do omówienia... Ale powinienem cię ostrzec. Nawet te odpowiedzi, których ci udzieliłem, nie są pewne. Mogą okazać się niezupełnie prawdziwe. Jestem o wiele za stary, by mieć pewność, czym jest prawda. Moje własne fantazje i sny... Mogą mi się wydawać bardziej realne niż rzeczywiste wspomnienia.

Rozmawiali tak, dopóki blask przedświt nie rozjaśnił zalegającej mgły. Wąż zostawił Michaela na brzegu, sam zaś ześlizgnął się na pewien czas do wody, by zatoczyć na jeziorze krąg. Potem zaproponował mu kąpiel i Michael, zrzuciwszy ubranie, wszedł do mętnej wody. Nie dotknął ani razu Węża, tylko pływał w pozycji stojącej poruszając rytmicznie kończynami i wzbudzając fale, które rozchodziły się od niego szerokimi kręgami. Głowa wystawała mu ponad powierzchnię niczym czubek wypolerowanej przez wodę kłody.

Co kilka godzin Węża rozświetlał pewien bajeczny ornament - skrzące się niczym klejnoty guzy, które ciągnęły się rzędami wzdłuż cielska, wielkie i bogato zdobione płewy, migoczące łuski. Jednak przez większość czasu stwór pozostawał czarny lub zamulony, pomarszczony i szkaradny, odwieczny.

Gdy słońce stało już dokładnie w zenicie, a mgła rozproszyła się bez śladu, ponury krajobraz wokół jeziora zajaśniał odludnym pięknem. Michael wyciągnął się na piasku i kamykach, by osuszyć ciało. Woda miała ostry smak, jak słaba herbata.

Wąż wypętlął do połowy na brzeg i przewrócił się na grzbiet, ukazując błękitny pas ciągnący się wzdłuż brzucha. Na pasie wryty był szereg jakichś symboli przypominających znaki runiczne.

- Co to takiego?

- Warunki mego uwięzienia. Lista moich zbrodni.

- Myślałem, że Sidhowie czują wstręt do pisma.

- Czują wstręt do lekkomyślnego szafowania pismem. Brzydzą się gromadzeniem księgozbiorów czy spisywaniem historii. Dla poezji albo muzyki pismo jest rzeczą nieodzowną. Te symbole to moje więzienie.

- Cóż takiego głoszą?

- Nie wiem - odparł Wąż. - Nie mam jak ich obejrzeć.

Gdybym wiedział, mógłbym się uwolnić. A nikt nie jest w stanie mi ich pokazać.

Przez kilka chwil leżeli w milczeniu na słońcu.

- Kim był ostatni człowiek, z którym rozmawiałeś? - spytał Michael.

Wąż przeobraził się w wulkaniczną, rozjarzoną na czerwono smugę, po czym przygasł i żarzył się słabo.

- Nie rozmawiałem z człowiekiem w cztery oczy od niemal dwóch tysięcy lat - wyznał stwór. - Nie jest to przyjemny temat do rozmowy.

- Dlaczego?

- Ponieważ ostatniego ludzkiego kandydata przepelniała obsesja postrzegania naszej rozmowy jako pokusy. Był to ktoś niezwykle. Mógł zostać magiem najwyższej klasy, ale za młodu zwrócił na siebie uwagę Adonny. Miał w sobie jakąś inność... coś, co wykraczało poza granice wyznaczone mu przez Adonnę, co stało ponad wszystkimi podziałami, coś bardzo pięknego, wolnego od nienawiści, wolnego od żądy. Jednakże nosił piętno Adonny...

Jego filozofia, chociaż pociągnęła za sobą rzesze ludzi, tyle samo wypaczyła i zniszczyła, co ulepszyła i wniosła. Od tamtej pory pojawiali się też inni, podobni mu, ale daleko mniej potężni. Z żadnym z nich nie rozmawiałem.

Michaela korciło, by drążyć dalej temat, ale ton głosu Węża wyperswadował mu ten zamiar. Po chwili, gdy jego ubranie było już suche, Michael wstał i przeciągnął się.

- Nie mam zbyt wiele czasu - powiedział. - Muszę odszukać Kristine.

- Daleko zawędrowaliśmy słowami, prawda? - spytał Wąż. - Ile się nauczyłeś?

- Trochę. Niespecjalnie dużo - odparł Michael.

- Zatem wiesz już, że tego, czego musisz się na uczyć, nie sposób przekazać słowami.

Michaela przebiegł dreszcz.

- Musisz się teraz poświęcić.

- Nie rozumiem.

- Szczycisz się swoją indywidualnością, swymi osobistymi wspomnieniami i dokonaniem. Ale gdybyś tak umieścił wszystko co wymyśliłeś, czym byłeś i czego dokonałeś na wierzchu tego, co tkwi we mnie, swoje liche dwie dekady na moich milionach lat, byłoby to mniej niż kropla w morzu.

- Tak. Zapewne.

- Właśnie to musisz zrobić - wymruczał cicho Wąż.

Michael wytrzeszczył ze zdumieniem oczy.

- Dlaczego?

- Z tym, co obecnie sobą reprezentujesz, nie możesz zostać magiem. Potrzebne ci doświadczenie. Musisz się uczyć.

- Nie chcę być magiem - powiedział cicho Michael, znowu dygocząc.

- Czy masz jakieś inne wyjście? - spytał Wąż.

- Czy to samo proponowałeś temu ostatniemu człowiekowi, z którym rozmawiałeś? - spytał Michael. Wąż nie odpowiedział. - Czy tak?

- Tak.

- A on odmówił?

- Nosił piętno Adonny.

- Czy ja noszę piętno Adonny?

- Ty nie - powiedział Wąż. - Ty pozbyłeś się w Królestwie.

- I chcesz, bym nosił twoje piętno?

Wąż znów zapłonął czerwienią lawy, a woda wokół jego zanurzonego ciała zaczęła bulgotać i parować.

- Musisz łączyć światy. Musisz tworzyć nowe. Musisz jednoczyć rasy.

- Tak, tak, ktoś to musi robić! Wiem.

- A ty jesteś kandydatem. Być może najlepszym.

- Ale dlaczego, muszę zatopić się w... w tobie?

- Ja mam doświadczenie. Wspomnienia. Nie mogę ich wykorzystać. Ty możesz.

- Masz coś jeszcze - powiedział Michael, z trudem dając wiarę temu, co czuł, co cisnęło mu się na usta. Jakiś wewnętrzny głos krzyczał nie bez racji, że postępuje po szczeniacku i głupio. Kim był, by rzucać wyzwanie najstarszej żyjącej istocie ludzkiej? Ale z drugiej strony podjudzał go inny, silniejszy głos. Oba głosy należały bezwzględnie do niego. Musiał dokonać wyboru. - Nosisz w sobie koszmary przeszłości. Jeśli wchłonę cię i zatracę się w tobie, stanę się tobą. A ty byłeś równie zły i rozwydrzony jak Adonna.

- Rozmyślałem nad swoimi ekscesami - powtórzył Wąż. Czernił się teraz cały jak obsydian.

- Ale dopuściłbyś się tych ekscesów znowu... by ocalić swój lud? - Michael zaczął się ubierać.

Wąż zsunął się o kilka jardów do wody.

- Gdybym nie miał innego wyboru, tak.

- Czy naprawdę nie miałeś innego wyboru, kiedy usiłowałeś zniszczyć Sidhów? Czy po prostu ich nienawidziłeś?

- Nienawidziłem ich - przyznał Wąż.

- I spróbowałbyś jeszcze raz?

- Są teraz za słabi.

- Spróbowałbyś ich zniszczyć? - Michael poczuł wzbierający paniczny opór. - Mógłbyś, teraz, kiedy są słabi. Mógłbyś dokończyć to, co zacząłeś.

Z wody wystawały na brzeg już tylko trzy jardy tułowia Węża i jego łeb.

- Mam nadzieję, że bym tego nie zrobił.

- Ale w każdym razie... mógłbyś.

- Mógłbym - przyznał Wąż.

- Nie mogę stać się tobą! - krzyknął znowu Michael. - Nie mogę być magiem tego rodzaju co ty. W ogóle nie nadaję się na żadnego maga.

- Jesteś bardzo młody.

- Gdyby tak istniał sposób przejścia od ciebie tego co niezbędne bez ryzyka. Jeśli to możliwe...

Ale Wąż zanurzył się już bez słowa w jeziorze. Zmarszczki na wodzie przy brzegu wygładziły się i Michael pozostał sam. Odwrócił się w stronę pnia drzewa, gdzie zniknęła Mieszanka ze świty Węża.

Stała tam znowu. Jej białe włosy skrzyły się w promieniach słońca. Czarny obszerny garnitur, wykrochmalona biała koszula i wąski czarny krawat prezentowały się dokładnie tak samo, jak je zapamiętał.

- Pójdź za mną - poleciła. Oddarła fragment krajobrazu za pnem i wstąpiła w atramentową ciemność. Michael wcisnął się za nią w dziurę.

I powrócił na dziesiąte piętro pensjonatu Tippett. Mieszanka majaczyła przed nim, w połowie korytarza, jako półprzeźroczysty cień.

- Oblałeś - powiedziała głosem tak słabym, jak jej wizerunek. - Nie jesteś już kandydatem. Idź do domu i oplakuj swój lud i swój świat.

Michael stał w korytarzu; samotny, zły i nieruchomy jak otaczające go obłupane, gipsowe ściany. *Czemu to zrobiłem?* zadał sobie pytanie, rozluźniając zaciśnięte pięści i mięśnie ramion. *Bo jestem tchórzem? Bo lękam się podporządkować wyższej osobowości?*

- Nie - powiedział głośno. Czuł, jak powraca mu siła - ta siła, która rosła sama z siebie, od kiedy powrócił z Królestwa, od kiedy wyrwał się z sieci zawitych intryg pomiędzy Sidhami, Waltirim i Clarkhamem. Powracała mu siła, ale nie dało się tego powiedzieć o pewności siebie. Rozmowa z Wężomagiem była tak interesująca... i nie mógł ścierpieć myśli, że wskutek jego żywiołowego wybuchu tak niespodziewanie i boleśnie się zakończyła.

W pewnym sensie na taką właśnie konferencję czekał od miesiący.

- Jestem renegatem - powiedział. Skoro wyrwał się już całkowicie z tej sieci, miał teraz wolną rękę i mógł postępować wedle własnego uznania...

Co chyba zresztą i tak od dawna robił.

Obrócił wzrok na prostokąt czerni. Przechodząc tamtędy po raz pierwszy za starą Mieszanką, po specyficznym mrowieniu dłoni wyczuwał naturę rozciągającego się po drugiej stronie obszaru. Teraz czuł identyczne mrowienie. Owa bliżej nieokreślona brama nie prowadziła do żadnego konkretnego miejsca; było to przejście nie przyporządkowane żadnemu ustalonemu punktowi docelowemu. Ludziom nie mającym za sobą żadnego treningu - na przykład żołnierzom i policjantom patrolującym ulice na dole - wydałoby się najwykleszą ślepą ścianą, przyciemnioną przez coś w rodzaju polaryzowanego filtra. Dla kogoś nienależycie wyszkolonego mogła stanowić poważne niebezpieczeństwo. Michaela mogła zaprowadzić albo do jakiegoś międzyświata, skomplikowanego i iluzorycznego niczym senny koszmar... albo tam, dokąd pragnął trafić.

Do Królestwa.

By odszukać żonę Tonna, czaszkoślimalaka, o ile jeszcze żyje...

„Toh kelih ondulya, med nat ondulya trasn spaan nat kod...”

W te słowa odezwała się doń Eleuth w Królestwie, zanim przyniosła z Ziemi żuczka.
„Wszystko to fale, a nic nie faluje, gdziekolwiek spojrzeć.”

„Sidhowa część Mieszkańca”, wyjaśniła mu, *„wie instynktownie, że każdy świat jest po prostu pieśnią dodawań i odbierań. Żeby uprawiać wielką magię, trzeba dostroić się całkowicie do świata - dodając, kiedy ten świat dodaje, odbierając, kiedy odbiera.”*

Czy czuł wyraźnie ten instynkt? Kiedy poprzednim razem stał na ostatnim piętrze pensjonatu Tippett i obserwował stamtąd panoramę miasta, czuł, że jest w kontakcie z mieszkańcami Ziemi w promieniu wielu mil... jeszcze zaś silniej odczuwał ten kontakt nieco później, gdy leżał w łóżku, w domu Waltiriego. Ale mieszkańcy to jeszcze nie świat. Musiał stworzyć ostatnie ogniwo.

Było pewne, że nikt inny tego za niego nie zrobi. Działał teraz w pojedynkę, bez wsparcia żadnej frakcji czy stronnictwa. Musi przejść sam siebie.

Doznał chwilowego poczucia klęski i rozpacz, które przyprawiło go o zawrót głowy. Jakież był niekompetentny, nieodpowiednio przygotowany i jak mało wiedział...

A mimo to...

A mimo to się nadawał. Miał predyspozycje do przeprowadzenia tego, co trzeba było przeprowadzić. Pomijając nawet, co myśleli o nim Clarkham, Wężomag, Adonna, Tarax, a nawet Waltiri, Michael czuł w sobie siłę. Owoc wieloletniej dyscypliny.

Korytarz przed nim jakby zniknął na moment i Michael nie widział nic prócz fal ciemności, połyskujących jedna na tle drugiej. Dodawanie i odbieranie... wzloty i upadki. Szczyty i doliny. Czuł w dłoniach nucenie, śpiewy wszelkiej rzeczywistości i przymknął oczy, by się do niej dostroić.

Idąc za radą Taraxa, wydostał się z nietrwałego świata-pułapki Clarkhama.

Teraz...

Odwrócił się do mrocznego prostokąta. Przypomniawszy sobie ton i tembr Królestwa. Odróżnił Ziemię od Królestwa. Ich ciągi fal rozdzielały się i Michael odczuwał wyraźne nucenia. Wyciągnął rękę, czując wciąż to brzęczenie w dłoni, i napałł nią na ciemność.

Dodawanie.

Odbieranie.

Ciemność stała się namacalna. Przez chwilę wyczuwał pod palcami ohydę międzyświata i chciał cofnąć rękę, ale wytrzymał i dostroił się o interwał wyżej. Już blisko. Jeszcze o interwał.

Palcem wskazującym naciął ciemność i na stopy padł mu snop dziennego światła. Szarpnięciem poszerzył otwór i poczuł, że ten stawia mu opór i usiłuje zewrzeć się na powrót.

Rozpościerające się za mrokiem Królestwo było wprawdzie wyraźne i realne, ale balansowało na granicy stabilności. Samo to, że próbował się do niego wedrzeć sprawiło, że jego ton i tembr zaczęły fluktować. Dodał zaimprovizowane tremolo. Ciemność przerzedziła się.

Przeszedł.

I stanął pośród trawiastej doliny, mając za plecami gęsty zielony las. Nad głową, w szarówce gasnącego dnia, niczym ćmy na krótkiej uwięzi wirowały gwiazdy, a księżyc wycinał swym sierpem drogę po niebie, pozostawiając za sobą perlistą smugę.

Królestwo.

Przez kilka pierwszych godzin Michael delektował się czystym, chłodnym powietrzem, które wiatr niósł nad rozrzuconymi tu i ówdzie łachami śniegu i poprzez mile ciągnącego się nieprzerwanie lasu. Zapuszczał sondę, szukając w swoim zasięgu czyjejś obecności, lecz natrafił jedynie na aury kilku samotnych Drzewoli oraz sugestię innych w stronie zachodzącego słońca. Potem usiadł pośród zimnego wieczoru, czerpiąc ciepło ze swojej *hyloki*.

Gdziekolwiek zapuścił sondę, napotykał poszept zniszczenia. W jednym z kierunków wyczuł wyraźny kraniec Królestwa - krawędź, za którą rozpościerało się coś

przypominającego swoją ohydą Przeklętą Równinę otaczającą Ziemię Paktu. W miarę jak gęstniał mrok, wyczuwał coraz więcej takich krawędzi. Królestwo było teraz pocięte kosami rozkładu. Michael nie wiedział, czy uda mu się przekroczyć taką nieciągłość ani czy Królestwo przetrwa jeszcze na tyle długo, by zdążył odszukać żonę Tonna, ale mimo to czuł podnoszące na duchu zadowolenie. Nareszcie robił coś, by zlokalizować Kristine. To wszystko, na co było go aktualnie stać.

Dopóki, rzecz jasna, nie ujawni się Tarax, by przedstawić mu swoją córkę. Kiedy - i o ile - to nastąpi, Michael odpowiednio zmodyfikuje swoje plany. Ale zrywał się na myśl o biernym czekaniu na ruch Taraxa. Lepiej, jeśli nie pewniej, będzie liczyć tylko na siebie.

Michael nigdy nie podejrzewał siebie o taką buntowniczość. Trenował pod okiem Żurawic niemal bez sprzeciwu, godząc się z sytuacją i koniecznością podporządkowania się ich dyscyplinie. Teraz lekceważył prawie na pewno potężniejszego od siebie Taraxa, a wcześniej zignorował Wężomaga, który był bez wątpienia od niego mądrzejszy.

Ale zepsuty. Jeśli mądrość przeszłości zawierała w sobie wszystkie schematy i pomyłki tejże przeszłości, z pewnością istniał inny i lepszy sposób.

Bił się z tymi myślami aż do świtu, który nadszedł znacznie wcześniej, niż Michael się spodziewał, nawet jeśli brać pod uwagę nietypowy upływ czasu w Królestwie.

Wówczas wyruszył w kierunku, skąd napływał szmer tłumu aur; z każdą przebytą biegiem lub szybkim marszem milą utwierdzając się w przekonaniu, że w grupie tej są ludzie... cała masa ludzi. To budziło w nim jeszcze inną nadzieję, a mianowicie że będzie mógł uratować ludzi, których zostawił w Królestwie. Nigdy nie przeszedł nad tym do porządku dziennego. Bez względu na to, jak był słaby, powinien wówczas próbować im pomóc... Ale wtedy nie był sobą. Wypełniał misję kogoś innego.

A jeśli to samo robisz teraz, nawet o tym nie wiedząc? Nurtujące pytanie zrodziło się w nim samym; nie pochodziło z żadnego zewnętrznego źródła. Tak niewiele teraz znaczył, był do tego stopnia odtracony i lekceważony, że nikt w całym Królestwie nie uznawał za konieczne zaćmiewać mu umysłu instrukcjami.

Nawet Adonna, który być może nie żyje... choć trudno było w to uwierzyć. Co mogłoby uśmiercić bogom podobnego Sidha? Chyba nic, jedynie kres jego największej kreacji. Skoro Adonna ukształtował Królestwo z siebie, to śmierć Królestwa oznacza i jego koniec.

Po dwóch nieregularnych dniach i dwóch nocach Michael stanął wśród drzew na skraju lasu, który niegdyś otaczał Przeklętą Równinę. Nie opodał jak dawniej płynęła rzeka, a jałowy, nadpsuty krąg samej Przeklętej Równiny nadal rozlewał się jak ropiejący wrzód. Ale

miejsce, gdzie rozpościerały się niegdyś ziemie Paktu, gdzie stały wioski Euterpe i Półmiasto oraz dom należący ongiś do Clarkhama, zionęło teraz pustką. Przekłęta Równina rozszerzała się bez pośpiechu, lecz systematycznie, by tę pustkę wypełnić.

W pobliżu nie wyczuwał ani ludzi, ani Mieszkańców, ani, co naturalne, Sidhów... z jednym wyjątkiem. Michael sondował ostrożnie, wzdragając się przed ewentualnym napotkaniem umysłów Dzieci, jeśli któreś z nich jeszcze się ostało.

Ale Dzieci też już tu nie było. Zostały usunięte przez Sidhów, którzy być może przesiedlili ludzi i Mieszkańców tam, gdzie Michael wyczuł wielką grupę ludzi.

Pomyślał o Lamii, ostatniej lokatorce domu Clarkhama. Domu, ani pola uschniętych winorośli, które się za nim rozpoczynało i sięgało po brzeg rzeki, nie było.

Michael osłonił swe myśli przed wszelkimi skojarzeniami i asocjacjami, poszukując śladu jednej jedynej aury: żony Tonna przemienionej w czaszkoślimaka.

Bezskutecznie. Skoncentrował się i zapuścił sondę ponownie, zawężając jej szerokość. Znowu nic... i wciąż ani śladu Dzieci lub jakiegokolwiek innej żywej istoty - czy choćby namiastki życia - na Przekłętej Równinie.

I naraz natrafił na chwiejny, ledwie wyczuwalny punkcik świadomości.

Bez wahania wyszedł z lasu i wkroczył na Przekłętą Równinę, wzbijając stopami obłoczki suchego jak pieprz pyłu.

Nim upłynęła godzina, znalazł kadłub czaszkoślimaka. Jego odrażająca skorupa zaklinowała się pomiędzy dwoma pochylonymi skalnymi kolumnami o barwie i teksturze zakrzepłej krwi. Obszedł kadłub w pomarańczowej poświacie zasnutego pyłami nieba, oglądając zasuszone szczątki istoty, która zamieszkiwała skorupę. Skóra na tułowiu i mackach stwardniała i przypominała korę drzewa; podobne do latarni wypustki na końcach odnóży były ciemne i nieprzeźroczyste.

A jednak żona Tonna nie umarła. Sięgnąwszy sondą w głąb kadłuba musnął bezpośrednio słabiutką aurę.

Słońce. On mnie w końcu zabije.

„Wróciłem”, zasygnalizował Michael.

Chłopiec... Teraz szukasz?

„Mówiłaś, że wiesz, gdzie mogę znaleźć Kristine.”

Wtedy nie wiedziałeś nawet, kim jest Kristine.

„Nie, nie znałem jej wówczas. Skąd ty wiedziałaś?”

Żona maga posiada dużo umiejętności. Nauczyłam Tonna bardzo wiele. Magia jest przekazywana przez kobiety.

Michaela zastanowiło to oświadczenie, ale pominął je milczeniem. Nie sądził, by żona Tonna pożyła jeszcze długo.

„Gdzie ona jest?”

Wtedy wiedziałam. Wiedziałam, gdzie będzie... Ale ty zmieniłeś bieg spraw. Odpowiedź jest teraz mniej czytelna.

„W jaki sposób zmieniłem bieg spraw?”

Nie skoncentrowałeś się na Clarktamie. Myślałeś, że jest pokonany na zawsze, podczas gdy on został jedynie wyłączony z kręgu zainteresowań Sidhów. Widziałam, że przetrzymuje ją Tarax, aby zmusić cię do wyszkolenia jego córki, tak jak uczyniłyby to Żurawice. Ale równie dobrze mógł ją teraz zabrać Clarkham. Obraz nie jest wyraźny.

Skórzasta wypustka stercząca z „nosa” czaszkiskorupy drgnęła i podjechała kilka stóp w jego kierunku. Michael nie odsunął się. Stwór nie był w stanie wyrzucić mu żadnej krzywdy.

Proszę. Musisz wezwać Drzewoli. Ja umieram.

„Nie ma żadnych w pobliżu. Królestwo jest w trakcie ewakuacji.”

A więc to koniec. Nie pozostanie po mnie nawet wspomnienie.

„Gdyby miał ją Clarkham, to gdzie mógłby ją więzić?”

Praktykowanie. Gry pozorów, marzenia, nieudane próby zostania magiem.

„Więziłby ją w innym niekompletnym świecie, tak jak mnie?”

Nie było odpowiedzi.

„W którym świecie? Proszę... opisz pieśń, tembr.”

W świecie zbudowanym tak, aby pomieścić jego zło. W niestabilnym, obwarowanym świecie, pułapce dla wszystkich, nawet dla niego. Ona nie wie.

„Jak ją odnajdę?”

Szkoląc córkę Taraxa. Albo... jesteś teraz silny, dużo silniejszy.

Kadłub drgnął między skałami.

Skoro Drzewole nie mogą przybyć, nie będę czekała. Ostatni punkcik świadomości prysł jak bańka mydlana, zniecka i ostatecznie. Kadłub był teraz pusty i dla Michaela bezużyteczny.

Michael stał kilka chwil nad szczątkami czaszkoślimaka, przepełniony uczuciem z pogranicza żalu i wzburzenia. Z tego, co wyczuł swoją sondą, wnioskował, iż żona Tonna - nie znał nawet jej imienia! - była niegdyś Sidhem niemal równie szlachetnym co Kapłanka Godzin. Czym więc zasłużyła sobie na taką karę? Czym zasłużyły sobie na nią Lamia i

Tristesse? Kampanię wymierzoną przeciw Wężomagowi był w stanie zrozumieć, ale na co tyle niepohamowanego i bezsensownego okrucieństwa?

Przekraczając w drodze powrotnej granicę Przeklętej Równiny, Michael spostrzegł, że niebo i słońce przechylają się i zaczynają obracać. Padł na ziemię i poczołgał się w stronę drzewa. Cienie lasu cofnęły się gwałtownie, a potem znieruchomiały. Spojrzał szeroko rozwartymi oczami w górę, po czym podźwignął się na kolana. Pozmieniały się wszystkie kierunki.

Skóra go świerzbiła, a włosy stały dęba. Jedynym, co nie ulegało wątpliwości, było to, że kruszą się fundamenty konstrukcji Królestwa.

Ale w którym kierunku teraz się zwrócić? Nie mógł się kierować według słońca... które, wsmarowane jakby w nieboskłon i podobne do rozjarzonej mgiełki, zastygło w bezruchu nad lądem. Wyszedł na polankę i osłonił oczy przed ciepłem i blaskiem bijącym od całego nieba. Będzie musiał podróżować w szybkim tempie. Czasu pozostało bardzo niewiele.

Mobilizując całą swoją dyscyplinę, wziął kilka głębokich oddechów i puścił się biegiem przez las, przez pola, biorąc kurs na znacznie teraz słabszy i bardziej chaotyczny sygnał pochodzący od zbiorowiska ludzkich umysłów. Nie ubiegł daleko.

Drogę zagroziła mu szeroka na kilka mil przepaść, powstała w wyniku gwałtownego rozstąpienia się ziemi. Sfrustrowany i bardziej niż trochę przestraszony, zwolnił kroku. Nigdy dotąd nie widział w Królestwie takiej formy ukształtowania terenu; było to coś nowego, wyglądało niebezpiecznie i z pewnością nie da się przebyć z marszu. Krawędzie przepaści obsypywały się; grudy ziemi spadały w nicość z majestatyczną powolnością.

Michael podpełzł ostrożnie po podłożu z litej skały na skraj przepaści, najdalej jak się odważył, macając palcami, czy grunt nie zdradza oznak drżenia lub niestabilności. Daleko w dole ujrzał fundament tworu Adonny, wzburzony i mieniący się wszystkimi kolorami tęczy w opalizującym oparze. I nic więcej.

Przepaść zdawała się rozciągać w obie strony w nieskończoność. Odcięła go od szmeru aur ludzi. Oddzieliła go nawet od wyczuwanych dotąd w oddali Inyas Trai i Irall.

Jeśli nie zdoła się przepawić na drugą stronę, to w Królestwie nie ma już czego szukać. Wycofał się ostrożnie znad krawędzi przepaści i dla bezpieczeństwa zagłębił na dobrą milę w las, by tam przeanalizować na nowo plan działania i rozejrzeć się za jakąś inną drogą.

Skąd u mnie takie dobre samopoczucie? zadał sobie pytanie, stojąc pod konarami gigantycznego drzewa iglastego, pośrodku koła na wpół stopniałego śniegu. Przecież nic się nie układa... - Ale znał już odpowiedź. To dlatego, że był z powrotem w Królestwie.

Królestwo nawet teraz tchnęło pięknem, którego Michaelowi po powrocie na Ziemię niezmiernie brakowało. Pięknem... i grozą, i przygnębieniem, znacznie bardziej niż na Ziemi skumulowanymi. Każde doznanie było tutaj intensywniejsze i bardziej dojmujące zarazem.

Niewytłumaczalna groza bijąca od żony Tonna; surrealistyczna obmierzłość Przeklętej Równiny; zmieniające się jak w kalejdoskopie dni i pory roku. Bujność lasu i zdziczałych sadów. Inyas Trai. Przeklęte terytorium Lin Piao Tai. Jak będą się czuli Sidhowie zmuszeni do powrotu na Ziemię po spędzonych tu wiekach?

Jakim sposobem mag ma wymieszać poszukującą wielorakość Ziemi z głębią Królestwa?

Zamknął oczy i rozcapierzył palce rąk. Widział wszystko poprzez skórę. Królestwo drgało i odbijało mu na powiekach swój kontur. Niemal czuł jego głęboką strukturę, pojął sekret tworu Adonny...

- Człowieku-dziecko.

Michael otworzył oczy i ujrzał zbliżającego się sidhowego konia. Widmo Taraxa - wyraźnie nie sam Sidh, lecz jego cień - prowadziło *epona* między drzewami, trzymając go ręką za pysk. Cień uśmiechnął się.

- Próbujemy sił w magii?

Michaela zatkało i nie mógł wykrztusić słowa; w końcu, zarumieniony, przytaknął tylko skinieniem głowy.

- Byliśmy umówieni - powiedział cień. - Najwyraźniej nie możesz poruszać się po Królestwie bez pomocy. Nawet większości Sidhów sprawia to teraz trudność. Adonna może ci użyczyć na twoją wyprawę jednego ze swych *eponów*. Spotkamy się pod Testamentem Irall.

Cień rozplątał się. Koń, zamiatając ogonem, grzebiąc przednimi kopytami w trawie i ściółce, wpatrywał się uporczywie w Michaela.

- Hej - odezwał się doń Michael.

Epon potrząsnął łbem i odwrócił się bokiem, by Michael mógł go dosiąść.

Sidhowy koń, o beznamiętnych jak lód oczach i srebrzystoperłowej maści, porażającej wzrok w rozproszonej poświacie nieba, odbił się kopytami od obkruszającej się krawędzi przepaści i wyciągnął w locie jak struna. Michael, z walącym jak oszalałe sercem, przywarł do jego grzywy i zawołał:

- Abana!

Przepaść, rozdzielone przez nią części Królestwa, opar tworu Adonny daleko w dole - wszystko to przekrzywiło się i wywinęło kozła. Koń wydał z siebie przeraźliwy okrzyk i otoczyła go aureola ognia, która wnet rozprysła się za nimi na kawałki niczym szkło. Chłód był tak przenikliwy, że Michael omal nie zamarł, zanim zdołał rozniecić swą *hylokę*. Wargi konia cofnęły się obnażając zęby, a mięśnie w jego bokach ściskanych udami jeźdźca stwardniały na kamień. Michael miał wrażenie, że zaraz eksploduje mu głowa.

Podróż była drogą przez mękę. Ostatnim razem przebiegała inaczej. Królestwo nie przyzwalało już bez protestu na tak szybką jazdę. Prześlizgiwali się przez postrzępione, krwawiące granice Królestwa, Ziemi i tysięcy międzyświatów. Królestwo stanowiło otwartą ranę, a Ziemia poza nim broniła się tnąc głęboko jak nożem. Michael ledwie dotrwał do końca podróży, kiedy to koń zrzucił go z siebie, a sam padł na bok wierzgając i kwicząc.

Potoczył się po płaskiej, szorstkiej powierzchni i zerwał instynktownie na nogi. Ręce i kolana miał posiniaczone i podrapane, ale poza tym wyszedł z upadku bez szwanku. Dobra nasza, pomyślał. Podczas ostatniego pobytu w Królestwie rzadko kiedy udawało mu się ustrzec dłużej niż przez parę godzin od uszczerbku na zdrowiu. Koń, roztrzęsiony, lecz najwyraźniej zdrowszy i cały, podźwignął się na nogi i spojrzał z wyrzutem na Michaela.

Znajdowali się w zaciemnionym kamiennym gościńcu, poboczami którego ciągnął się szpaler błyszczących czarnych filarów; każdy z nich pełen był maleńkich iskerek gorejących jak ślepia wokół ogniska - przyglądających mu się bacznie i ubawionych jego zdezorientowaniem. U kresu tego gościńca, pod połyskliwym, rozpalonym, mlecznobiałym niebem wznosiło się Irall podobne ogromnemu szaremu strąkowi. Na drugim zaś końcu, za plecami Michaela, rozciągało się Inyas Trai o barwie rozżarzonego marmuru, miasto, które przed wiekami zaprojektował dla Sidhów ostatni z Cledarów.

Poza nimi na gościńcu nie było nikogo. Koń, uspokojony pieszczotą jego dłoni, pozwolili się ponownie dosiąść.

Zachwyt Michaela Królestwem znacznie już osłabł. Niebo było tu bardziej rozpalone, nienaturalnie jaskrawe. Nachylone do wewnątrz, czarne jak węgiel zewnętrzne wieże Irall wyrastające z kopuły jedwabście szarej skały, ostro z nim kontrastowały. Z centralnego punktu kopuły wystrzelała czarna iglica, której obwiedziony aureolą czubek ledwie było widać na tle oślepiającej bieli.

Poprzednim razem wkraczał do Irall nie z własnej woli, eskortowany przez konny orszak Sidhów.

Nie był wcale przekonany, że tym razem jest inaczej.

Zatrzymał konia i rozejrzył się po równinie, na której wznosiły się Inyas Trai i Irall. Miasto wyglądało na opustoszałe - błyskawiczna sonda nie natrafiła tam na najmniejszy ślad Sidhów, Mieszkańców bądź ludzi. Być może większość z nich została już ewakuowana poprzez udostępnione wreszcie kamienie przejściowe, o których wspominał Nikolaïj. Kolejna sonda, zapuszczona ostrożnie i na próbę w głąb samego Irall wykazała, że i tam nie ma żywej duszy.

Spróbował namierzyć znowu komasację ludzkich aur i kiedy mu się to udało, wyczuł oddzielającą go od nich wielką połąć wody i górski masyw. Ci ludzie znajdowali się po drugiej stronie Nebchat Len, w górach, w których Sidhowie zwykli szkolić swoich nowicjuszy. Michael przechwycił pewne emocje jeńców - i po raz pierwszy oszacował z grubsza ich liczbę.

Było ich nie mniej jak pięć tysięcy - tak wielu mieszkańców Euterpe nigdy sobie nie liczyło. Niektórzy byli przestraszeni, inni spokojni i wyczekujący. Nie miał czasu, aby z tego zbiorowiska wyłuskać indywidualne aury osób mu znajomych - Nikolaïja albo Heleny. Gdyby nie rozmowa z Taraxem, pomyślałby, że być może czeka tam i Kristine.

Michael wprowadził swego wierzchowca w bramę Irall, szeroką tylko na tyle, że z trudem mogły się tędy przecisnąć trzy konie idące pierś w pierś. Przypomniawszy sobie wklęsłe, ciemne ściany rozpoczynającego się za bramą tunelu, podobne ścianom lodowej jaskini. Podłogę zaścieniały tym razem nie uschnięte kwiaty, lecz świadectwa popłochu i panicznej ucieczki - strzępy garderoby, ślady ubłoconych bosych stóp, połamane i pozbawione mocy różdżki; podobnie jak na schodach pensjonatu Tippett.

Tunel rozszerzył się, lecz pozostał mroczny; brakowało wypełniającej go niegdyś zielonkawej poświaty.

Chodniki biegnące pod obiema ścianami świeciły pustką; w Irall nie było już zniewolonych Mieszkańców w służbie Adonny, Taraxa czy Malnu.

Tunel wychodził na ogromną salę, której krańce tonęły w mroku. Tam gdzie przedtem ku sklepieniu unosił się dym, teraz zalegało po prostu chłodne, nieruchome powietrze. Następna sala, przypominająca wnętrze ula, była zalana po końskie pęciny rdzawą wodą, która zatopiła amfiteatr wpuszczony w podłogę pośrodku. Michael poprowadził konia po obwodzie komnaty i skierował go w inny tunel, wysłany kłaczkami elektrycznie błękitnej mgiełki. Przynajmniej tutaj nic się nie zmieniło; zbliżali się do Testamentu.

Dotychczas przemierzali tylko sale wykute w murach świątyni. Teraz wynurzyli się z tunelu i znaleźli w centralnym wydrążeniu kopuły. Unosił się tu zapach kurzu i zgnilizny oraz

cierpki odór trujących kwiatów. A jednak Michael nie odczuwał strachu. Już większą trema miał przy spotkaniu z Wężomagiem.

Wlokły się minuty, a oni posuwali się w głąb, otoczeni zewsząd błękitną, naigrawającą się z nich mgiełką, która rodziła ruchliwe wiry i podobne do węży spirale, te zaś nęciły i nacierały, co przypominało Michaelowi tamten błękit, który wypłynął z jednego kwiatu, by zniszczyć Lin Piao Tai. (Czyżby cała magiczna moc brała się z nielicznego zbioru prostych elementów, tworzących ze sobą związki podobne kombinacjom liter niesłychanie oszczędnego alfabetu?)

W końcu ich oczom ukazał się kamienny stół otoczony takimiz siedziskami o wysokich oparciach. Tym razem z mgły nie wyłonił się pełen Sidhów amfiteatr opasujący swym kręgiem stół, a i siedzisk nikt nie zajmował.

- Dokąd zmierzam? - spytał Michael, nie zwracając się do nikogo konkretnego, z wyjątkiem może konia. Poklepał *epona* po łopatce. Zwierzę obróciło łeb spoglądając nań swymi niezgłębionymi, lecz spokojnymi oczami i rozszerzyło nozdrza. Następnie obeszło stół i Michael już wiedział, dokąd zmierza. Koń niósł go do studni pośrodku Irall.

Pomkną ku wirującemu, spiżowemu cylindrowi unoszącemu się ponad mgłą, poniżej właściwego Królestwa.

I tak się stało.

Skalną sztolnię, przez górną warstwę skały i dolną warstwę błękitnego, przezroczystego lodu, zmaconego teraz mlecznymi żyłkami pęknięć, ku plamce światła mieniącej się wszystkimi kolorami tęczy i wreszcie na dno szybu... Kopyta konia szukały rozpaczliwie gruntu, lecz na próżno; rozwiana grzywa i ogon falowały mu w pędzie, ściągnięte wargi odsłaniały wyszczerzone, tygrysie zębiska gryzące pustkę, jaka się przed nim otwierała...

Pod chropawym, lodowym brzuchem Królestwa, ponad chaosem i mgłą...

Ku wirującemu, spiżowemu cylindrowi, szerokiemu może na milę i długiemu na dwie...

I w otwór ziejący w jego środku. Poprzednim razem pozbawiło go przytomności kopyto wierzgającego w panice konia. Teraz wszystko widział. I nadal nie odczuwał strachu.

Koń niósł go przez płataninę pogiętych, zwichrowanych pomostów zamontowanych na dźwigarach, które nikły w szarym mroku. Cylinder nie był najwyraźniej przeznaczony do zamieszkania; co najwyżej przypadłby do gustu jakiejś komunie pustelników, z których każdy mógłby sobie siedzieć na osobnej platformie, odizolowany od reszty, i kontemplować zielone wrzody śniedzi oraz wieczny ruch obrotowy wokół przebiegającej przez puste wnętrze

wyimaginowanej osi. Michael sondował metodycznie niezliczone szeregi platform, ciągnące się, jak stwierdził, kiedy wzrok przywykł mu już do ciemności, aż po odległą o milę ścianę cylindra. Wszystkie pomosty były puste i zbierał się na nich tylko kurz. Po co to wszystko?

Pomyślał o cmentarzu w przeciwległym końcu cylindra, gdzie tysiące szkieletów Sidhów, Mieszkańców i ludzi, przykutych łańcuchami do mosiężnych prętów, tworzyły sieć unoszącą się swobodnie w powietrzu. Czy Adonna naprawdę żądał tak wielu ofiar? Czy też były to zwłoki przestępców pojmanych i straconych przez Taraxa?

Na widok cmentarza, pełnego wciąż prochów i szczątków skazańców, który zamajaczył przed nimi, koń wzdrygnął się i Michael zwrócił go w inną stronę. Oblecieli korkociągiem wiązkę kości. Michael ujrzał platformę, z której przemówił do niego Tarax, kiedy skuty łańcuchami ocknął się pośród zwłok. Koń wyprężył się jak struna, ominął wirazem platformę i śmignął ku centrum, z powrotem ku osi, cmentarz za ich plecami zaś rozpadł się w siatkę brązowych punktów.

Powroty do miejsc już odwiedzonych. Wariacje wciąż na te same tematy.

Tym razem jednak Michael wiedział, że w jakimś stopniu kontroluje sytuację. Tarax go potrzebował - a przynajmniej zachowywał się tak, jakby zależało mu na Michaelu.

Przed nimi zamajaczył masywny, ślepy koniec cylindra upstrzony czarnozielonymi zaciekami rozchodzącymi się od centrum ku krawędziom. I w tym momencie pośrodku zabłysł punkcik światła, i jał się rozrastać. Jego krawędzie jarzyły się i iskrzyły. Za nim, w dole, w odległości, której nie dało się określić - jeśli odległość miała tu jakieś znaczenie - kłębiła się mgła, chaos i potencjał, a podświetlał to wszystko z bolesną tajemniczością wir pastelowych kolorów tęczy. Michael nie mógł sobie pozwolić na odwrócenie głowy. Musiał stawiać czoło takim...

O ile marzy mu się kariera maga. A marzy mu się? Jakiż byłby z niego mag bez poparcia Węża? Laik i słabeusz? Mag-renegat. Coś młodego, potężnego i niespodziewanego.

Pokręcił z wolna głową i uśmiechnął się. Każdą swoją myślą potwierdzał, jakim w istocie jest głupcem.

Otwór przestał się rozszerzać, a jego krawędzie stężały, przybierając fakturę świeżo polerowanego mosiądzu, jakby dopiero co przewiercił go jakiś gigantyczny świder. Pośrodku unosiły się dwie postaci. Michael rozpoznał Taraxa. Obok niego dryfowała kobieta Sidh, wysoka i smukła. Koń zadrzał i przyspieszył; zagrały mu mięśnie karku.

Zbliżywszy się na odległość stu jardów, Michael wyraźnie już ujrzał spokojną, znużoną twarz Taraxa, otoczoną rozwianymi pasmami puszystych białych włosów. Sidh miał

na sobie tę samą szatę co wtedy, gdy posyłał Michaela we mgłę na spotkanie z Adonną: wijące się pasma pływające nad czarną tkaniną formowały splątane wzory.

Nie masz nawet szal, jakie przystoją magowi, zganiał się w duchu Michael. Tarax dostrzegł na jego wargach nikły uśmiech. Koń wykręcił i zwolnił zaledwie pięć jardów od pary Sidhów - ojca i córki. Wszyscy dryfowali teraz jakby w pustce ponad mgłą; gdyby nie oglądać się za siebie, albo na odległe, mieniące się krawędzie otworu, jedynym świadectwem obecności cylindra byłoby wrażenie bezgłośnego ruchu czegoś ogromnego.

- Dojrzałeś, człowieku-dziecko - odezwał się Tarax. - Nie jesteś już bezwolnym narzędziem, zaprogramowaną bronią.

Michael przyglądał się córce Taraxa. Jej twarz olśniewała właściwą Sidhom surową pięknnością, z którą nigdy się nie oswoił, choć długo wśród nich przebywał; pociągła, ostro wycięta, z wielkimi bladymi oczami i ciemnorudymi włosami. Nie potrafił określić wieku dziewczyny; jej kształty zdradzały wprawdzie pewną dojrzałość, ale stanowczo nie były zmysłowe. Miała na sobie białą bluzkę z podwiniętymi powyżej łokci rękawami i bryczesy do konnej jazdy. Czarne buty z cholewami sięgały jej do pół łydki. Spojrzenie miała poważne i spokojne. Poza typową dla Sidhów urodą Michael nie dostrzegwał w niej dziedzictwa Taraxa ani nikogo innego; mogłaby nawet uchodzić za Mieszankę. Była wyższa od Michaela o jakieś trzy, cztery cale, o ile w tej nieważkości ponad mgłą można było w ogóle oceniać wzrost.

Wyobraził sobie przechadzkę z nią jakimś deptakiem na Ziemi, pośród tłumu ludzi. Od biedy może by i uszła.

- Nie chce mi się wierzyć - powiedział Michael. - To twoja córka?

Tarax skinął głową. Nie próbował nawet sondować aury Michaela, podobnie zresztą jak Michael. Wzajemny respekt.

- Nazywa się Shiafa - oznajmił Sidh. I to by było na tyle, jeśli chodzi o prezentację, pomyślał Michael. - W co ci się nie chce wierzyć. Człowieku-dziecko?

- Gdy spotkaliśmy się poprzednim razem, żądałeś mojej głowy. Byłeś bardzo niepokieszony, że Adonna mnie oszczędził.

- Jeszcze bardziej przybiła mnie wieść, że przeżyłeś starcie z Izomagiem.

- To prawda. Cóż, ocaliłeś mi życie, ściągnąłeś tutaj na jednym z koni Adonny, chyba nie zostaną aresztowany pod zarzutem jego kradzieży? I traktujesz mnie z uprzejmością, wręcz szacunkiem, chociaż ciągle nazywasz Człowiekiem-dzieckiem.

- Przepraszam, jeśli cię uraziłem. Wszyscy ludzie są dla mnie dziećmi. Shiafa to też jeszcze dziecko, a jest przecież od ciebie trzy razy starsza, licząc wedle ziemskiego upływu czasu.

Michael wzruszył ramionami.

- W porządku. Nie rozumiem tylko, dlaczego zmienił się twój do mnie stosunek?

- Sidhowie potrafią wyciągać korzyść zarówno z pomyślnych, jak i niepomyślnych zdarzeń losu. Moja porażka, fakt, że przeżyłeś i dojrzałeś, wyszła na dobre mojej córce, zważywszy że Żurawice odeszły.

- Nie żyją?

W długim, wyniosłym milczeniu Sidha i jego kamiennej twarzy było coś z dawnego Taraxa.

- Odeszły - powtórzył - a moja córka musi być szkolona. Teraz tylko ty potrafisz jej przekazać dyscyplinę Żurawic.

- A co z Biridashwą-Birim? Przecież jego też szkolili Żurawice.

- To Sidh. Ty jesteś Mieszkańcem. Szkolenie muszą prowadzić Mieszkańcy.

- Czemu? - zdziwił się Michael.

Podczas tej wymiany zdań Shiafa prawie się nie poruszała. Teraz odsunęła się od Taraxa i bez słowa wskoczyła na konia za plecami Michaela.

- Dyscyplina Mieszkańców odznacza się pewną subtelnością - wyjaśnił Tarax. - Subtelność ta jest nowicjuszowi Malnu nieodzowna.

Michael wyczuł, że Tarax nie mówi mu całej prawdy.

- Czy istnieje jeszcze kapłaństwo? - spytał.

- Słyszałem, że Adonna nie żyje, a Rady zostały rozwiązane.

- Adonna nie żyje - przyznał Tarax. - Ten twór dogorywa i wkrótce też umrze. Ale kapłaństwo będzie jeszcze potrzebne. Wyszkol moją córkę, a dowiesz się, gdzie Izomag więzi twoją kobietę.

- Czego mam jej uczyć? - spytał Michael, oglądając się przez ramię na Shiafę.

Ale Tarax już zniknął. Czarne szaty Sidha rozpląwały się jak farba na wodzie. Twarz, dłonie i stopy wydłużały mu się w rozmyte smugi. W pewnej chwili otaczający go kłęb mgły rozblęsnął i zafalował, i Tarax znikł.

- Będę pierwszą kapłanką nowego maga - odezwała się Shiafa głosem matowym, śpiewnym i pięknym. - Mój ojciec. - Położyła swoje długopalczaste dłonie na biodrach Michaela. - Będziesz mnie szkolił na Ziemi...

- Będę cię szkolił, gdzie mi się spodoba, do cholery - wpadł jej w słowo Michael, reagując gniewem na podniecenie, jakie wzbudził w nim dotyk dziewczyny.

- Nie wiem jeszcze, czego mam cię uczyć, ale zaczniemy w Królestwie. Wiele pracy przed nami.

Nowy mag. Michael zawrócił konia i ruszyli z powrotem wzdłuż cylindra.

- Naszym pierwszym zadaniem będzie odkręcenie wszystkiego, co twój ojciec i Sidhowie uczynili z ludźmi w Królestwie - powiedział. - Jeśli odmówisz mi pomocy, zostawię cię tutaj i możesz sobie wracać do Taraxa.

- Pomogę - powiedziała Shiafa bezbarwnym głosem. Michael obejrzał się na nią trochę zaskoczony. Oczy miała przymrużone. - Jesteś mistrzem dyscypliny. Ale czasu nie pozostało nam wiele. Mój ojciec lada dzień zdeintegruje Królestwo.

- Następcą Adonny, co? - spytał Michael w smagającym ich tumanami pyłu wietrze, jaki dął od dryfującego w powietrzu cmentarza. Shiafa nic nie odpowiedziała.

Lód pod Królestwem był popękany, pożyłkowany i kruszył się na ogromne drzazgi i całe góry lodowe. Michael z pewną trudnością odnalazł studnię prowadzącą z powrotem do Irall i wznieśli się nią na powierzchnię Królestwa.

27

Noc w rozpadającym się Królestwie była nieprzenikliwie ciemna. Po wstędze księżycy, która rozciągała się niegdyś po niebie, oraz wirujących gwiazdach osadzonych w nieruchomej nocnej kopule nie pozostało śladu. Wokół ogniska szeleściły tylko trawy i zawodził zimny wiatr.

Michael rozniecił ogień koncentrując *hylokę* w jednym palcu i przytykając go do małej kupki suchego chrustu i liści. Shiafa przyglądała się jego zabiegom z pewnym zainteresowaniem, a później sama spróbowała sił na swojej kupce liści. Ona również zdołała rozniecić niewielki płomyk, który następnie podsyciła dorzucając patyków. Obróciła blade, błękitnozielone oczy na Michaela i zamrugła powiekami.

- Nie jestem pewien, czy mogę cię czegokolwiek nauczyć - powiedział Michael. - Moje umiejętności jeszcze nie okrzepliły.

Nie odpowiedziała, tylko podeszła do konia i wyciągnąwszy ze swego tobołka zgrzebło, zaczęła szybkimi ruchami czesać krótką, gęstą sierść zwierzęcia od szyi po kłęby.

- Są tutaj ludzie... rodem z Ziemi - ciągnął Michael. - Niektórych znam. Chciałbym wydostać ich z Królestwa, zanim przepadnie.

Shiafa pokiwała głową.

- Masz jakieś propozycje? - spytał Michael.

- Kapłanka Godzin buntuje się przeciw mojemu ojcu - odezwała się wreszcie. - Mógłbyś się jej poradzić.

- Czy nadal przebywa w Inyas Trai?

- Nie. Miasto jest puste.

Na razie mówi prawdę, przemknęło mu przez myśl.

- Czy Kapłanka ochrania ludzi?

Shiafa potrząsnęła głową, cofając rękę po długim suwie zgrzeblem, od którego zwierzę zadrżało z rozkoszy.

- Nie wiem.

- Nieźle mówisz po angielsku - pochwalił ją Michael. Ani Tarax, ani jego córka nie uciekali się do dosię-mowy. - Gdzie się nauczyłaś?

- Od mojej *Mafoc Mar* - odparła. - Mojej Piastunki. Zanim nie przeniosła się na dobre do Królestwa, służyła na Ziemi w Mab. Mab miał układy z Anglikami i Szkotami. Mój ojciec też przebywał kiedyś na Ziemi.

- Twój ojciec nadal nienawidzi ludzi.

- Tak - przyznała zgodnie z prawdą. Michael westchnął i utkwiał wzrok w trzaskających płomieniach.

- Jeśli stanie się magiem, w nowym świecie, który stworzy, nie będzie miejsca dla ludzi, prawda?

Nie odpowiedziała. Rzecz była zrozumiała sama przez się.

- Przecież to absurd - prychnął Michael. - Prawdopodobnie sam instynkt czyni cię magiem lepszym ode mnie.

- Nie - zaprotestowała. - To nie tak. Ty pokonałeś Izomaga. Mój ojciec nie był do tego zdolny.

- Korzystałem wtedy z pewnych wskazówek - powiedział Michael. *I z elementu zaskoczenia.* - Jakie zamiary ma twój ojciec względem tutejszych ludzi?

- Nie wiem.

- Czy jest w konflikcie z Kapłanką Godzin?

- Nie wiem.

Michael splótł dłonie i rozprostował palce, aż chrupnęło mu w stawach; nie robił tego od lat. Głos Shiafy wywierał na niego niepokojący wpływ. Podniósł poziom dyscypliny, aby osłonić się przed jego urokiem.

- Nigdy nie sypiasz, prawda? - spytał.

- Nie.

- Jadasz coś?

- Jadam to, co uzna za niezbędne nauczyciel.

Nadszedł czas, by zadać kluczowe pytanie.

- Jeśli twemu ojcu nie przypadnie do gustu sposób, w jaki będę cię uczył, wówczas nie powie mi, jak mam odnaleźć kobietę, której poszukuję, mam rację?

- Nie wiem - odparła Shiafa.

- A może śledzisz mnie z jego polecenia? Szpiegujesz?

- Nie będę się komunikować z ojcem do czasu zakończenia szkolenia.

- Słowo?

Shiafa po raz pierwszy zdradziła oznakę poirytowania.

- Ludzie uważają może Sidhów za niegodnych zaufania - powiedziała. - Ale ja nigdy w życiu nie skłamałam. Mój ojciec też nie.

- Niektórym Sidhom nie był dany ten luksus - powiedział Michael, myśląc o Birim i Morze, usługującej Clarkhamowi kobiecie Sidhów. - Czy ty też nienawidzisz ludzi?

- Jesteś pierwszym, jakiego spotykam.

- Czy trzymasz stronę ojca?

- Niewiele miałam kontaktu z moim ojcem.

- A z matką?

- Nie widziałam jej od dnia narodzin.

W odróżnieniu od ludzi Sidhowie uważali za naturalne, że nie znają swoich matek, przypomniał sobie Michael.

- Zamknę teraz oczy i odpocznę - oznajmił po chwili. Położył się na wznak i podsycił *hylockę*, dopóki nie opatulilo go szczelnie ciepło. Po kilku godzinach otworzył oczy i ujrzał Shiafę siedzącą na piętach i wpatrującą się spokojnie w mrok.

Przemknęło mu przez myśl echo zasłyszanych niedawno słów. „*Magia jest przekazywana przez kobiety.*”

Świt objawił się nagłą stalową szarością i przyprawiającą o ból zębów wibracją, od której zadrżały trawy. Wibracja wprawdzie szybko przeminęła, lecz wprawiła Michaela w stan dezorientacji oraz niepewności: Gdzie ja jestem i co tu robię? Shiafa też była zbita z tropu.

- Poranek jeszcze nigdy nie był taki zły - zauważyła. - Musimy się śpieszyć.

Michael miał w zanadrzu kolejną serię pytań, jednak pomny tego, czego dowiedział się w nocy - niewiele mu dały owe informacje - zachował milczenie. Dosiedli konia. Michael rozpostarł sondę na otaczające ich rubieże w poszukiwaniu śladu ludzi, ale dezorientacja go nie opuszczała.

- Wszystko zmieniło położenie - stwierdził. - Nic nie jest na tym samym miejscu co wczoraj.

- Zmarli bogowie mają złe wspomnienia - dobiegł go zza pleców głos Shiafy.

- Sądziłem, że twój ojciec zajmuje miejsce Adonny.

- Nie jest potężniejszy od Adonny - odparła. - A musiałyby być o wiele potężniejszy i inteligentniejszy, żeby nie dopuścić do rozpadu Królestwa.

Michael zebrał wszystkie siły i omiótł swoją sondą szeroki krąg, jak niegdyś na Ziemi. Efekt był zdumiewający. Po raz pierwszy wyczuł krawędzie Królestwa - nie rozpadliny przecinające je niczym krzywo pokrajany placek, lecz granice, które dzieliły je od międzyświatów i Ziemi. Nie były to granice liniowe ani nawet miejsca styku - były to strefy rozdziału trudne do wyobrażenia, a jeszcze trudniejsze do ogarnięcia rozumem. Mogę czerpać naukę z obserwacji rozpadającego się świata, pomyślał. Ale jaką naukę? Jak zostać magiem?

W granicach tych, wciąż w tej samej odległości, ale po innej stronie, odnalazł ponownie kłębowisko ludzkich aur. Ich ogólna barwa jakby się zmieniła od poprzedniego dnia. Michael pochylił się i chciał szepnąć coś koniowi do ucha, ale nagle wyprostował się tknięty pewną myślą.

- Czy to twój koń... ten, którego będziesz musiała...

Shiafa pokręciła głową.

- Tamtego przyprowadzi mi Tarax. To będzie koń specjalny.

- Czyli z tym koniem mogę się zespolic?

- Spróbuj - odparła. - Nie wszystkie wierzchowce Adonny są skore do współpracy.

Michael zmarszczył czoło i przystawił znów wargi do nagiego, ciepłego wnętrza końskiego ucha.

- Tyś moją duszą, jam twoim panem - wyszeptał. Koń zastrzygł uszami i odwrócił łeb spoglądając na niego. Michael ujrzał znów lodowate, zawzięte oczy nakryte do połowy powiekami, przepełnione jasnością, która przywodziła na myśl sen zmarzniętego człowieka o ogniu.

- Tak - westchnął Michael. - Nic z tego. Shiafa uśmiechnęła się i Michael szybko odwrócił wzrok. Bardzo niebezpieczny był uśmiech na tej pociągłej, uroczej twarzy.

- Zatem naszego konia tylko pożyczamy - powiedział Michael. Pogłaskał rumaka po szyi, a następnie pogładził pod uchem, wzdłuż cofniętej głęboko linii szczęki. Poprzez palce przekazał zwierzęciu pewien rodzaj odsię-widzenia, czyli *evisy*. Koń zadrzał i ruszył kłusem przez trawę w obranym przez Michaela kierunku.

Michael postanowił, że przynajmniej na razie zrezygnuje z forsownej *abany*. Ostatnia taka podróż nie należała do przyjemnych; Michael doszedł do wniosku, że nadzwyczajne predyspozycje konia najlepiej wykorzystywać jedynie w sytuacjach krytycznych. Wzbraniał się nawet przed ponagleniem go do spektakularnego podniebego galopu, z taką łatwością skutecznianego przez tę rasę wierzchowców. I tak przemierzali miarowym jednochodem te niestabilne okolice, godzinami oglądając terytoria, gdzie panowały pospołu wiosna z zimą.

Kiedy wspięli się na szczyt wzgórza i objęli wzrokiem rozległą połoninę, z rzadka porośniętą drzewami, ujrzeli w dali kolejną przepaść. Odpływała nią, kołysząc się majestatycznie, wyspa długa na dobre dziesięć mil, dźwigająca na swym szerokim grzbiecie górę. W pobliżu wyspy unosiły się odłamy skalne szerokie na kilkaset jardów.

- Urodziłaś się w Królestwie? - spytał Michael.

- Tak - odparła Shiafa.

- Ale na Ziemi nigdy nie byłaś.

Gdy nie doczekawszy potwierdzenia obejrzał się na nią, pokręciła głową.

- Ojciec ostatnio mi o niej opowiadał.

- Co wiesz o magii? Chociażby o takiej *lengu spu*, dosię-mowie.

- Znam jedynie podstawy - odpowiedziała Shiafa. - Tylko jeden na jeden. W szerszym gronie nie potrafię się nią posługiwać.

- Czy wyczuwasz moją emanację?

Pozwolił jej odczytać ze swojej pamięci znaczenie tego słowa.

- Tak - odparła. - Jakbym miała przed sobą słońce.

- Czy znasz trzy dyscypliny walki: *isray*, *vickay*, *strayl*

- Słyszałam o nich - powiedziała. - Kobiety Sidhów nie zawsze trenuje się w tej materii. *Mafoc Mar* przeznaczają nam do nauki inne sztuki obrony.

Michael zdał sobie nagle sprawę, że nie potrafi szkolić tej kobiety tak, jak niegdyś jego szkolili Żurawice. Prawdę mówiąc w niewielkim stopniu mógł wykorzystać ich program nauczania... bowiem szkolili go pod tym kątem, pod jakim szkoli się mężczyznę. Nie miał zielonego pojęcia, jak ćwiczyć kobietę Sidhów. Shiafa będzie musiała udzielać mu wskazówek... Jajko uczące kurę.

- Potrafisz rzucać cień?

- Tak. Rozróżniamy wiele rodzajów cieni. Jest cień przygotowujący do narodzin, wysyłany, zanim przyjdziemy na świat, by odprowadzić wszelkie choroby i fizyczne defekty. Ten cień zabiera i niszczy *Ban Sidhe*. Rzucamy go instynktownie. Istnieje również cień rzucany przed parzeniem się i cień macierzyństwa.

- Tylko tyle ich znasz? - spytał żartobliwie Michael.

- Nie tylko - odburknęła trochę urażona Shiafa. - My, kobiety, walcząc zarzucamy na przeciwnika cień przypominający sieć...

- Umiesz rzucać taki cień?

- Nie. Tego musisz mnie nauczyć.

Jezu, jęknął w duchu Michael.

- Doprawdy nie wiem, czemu twój ojciec uważa, że jestem w stanie rzetelnie cię wyszkolić.

- Ja też nie - przyznała Shiafa. - Ale tak już uważa i nie masz wyboru.

No, trudno.

Jechali tak aż do zmroku i gdy ten zapadł znienacka, rozbili prowizoryczny biwak. W ciemnościach posilili się kawałkami przejrzałego owocu znalezionego w uschniętym zagajniku.

Wraz z nadejściem nocy znów powstała pewna nieciągłość i znowu pozmieniały się wszystkie odległości i kierunki - jednak tym razem na korzyść. Michael wyczuł, że ludzie są teraz dużo bliżej. Nazajutrz dosiedli konia i rozpoczęli wędrówkę w nowo obranym przez Michaela kierunku, przez znacznie rozleglejszą polonię porośniętą szmaragdową trawą.

- Zbliżamy się chyba do *Chebal Malen* - odezwała się Shiafa. - Czujesz śnieg?

Michael pociągnął nosem, ale nic nie poczuł.

- Trochę się ochłodziło - zauważył. - Może znów zmieniają się pory roku.

- Nie sądzę - odparła Shiafa.

Pod koniec dnia znaleźli się w niemal wyschniętej niecce. Swego czasu było tu olbrzymie jezioro, szerokie na jakieś pięćdziesiąt mil i na dobrą miłą głębokie; teraz na dnie, rozrzucone tu i ówdzie, mieniły się zielenią bajora stojącej wody.

- *Nebchat Len* - oznajmiła Shiafa.

- Ktoś opisał mi je kiedyś jako morze - mruknął w zadumie Michael, pocierając palcem policzek. - Ciekawe, dlaczego tak wyszło...? - Po chwili potrząsnął głową i uśmiechnął się szeroko. - Chyba już wiem. Mieszkali tu Morzole, prawda?

- Tutaj i w mosiężnym oceanie na krawędzi świata - powiedziała Shiafa.

- Myślę, że większość z nich jest teraz na Ziemi. Przenieśli się wodospadem.

- Widziałeś?

Skinął głową.

- Dlaczego nie wszyscy jeszcze Czarownicy opuścili Królestwo? Wielu przebywa już na Ziemi.

- To ty jesteś nauczycielem - odpowiedziała mu cicho Shiafa.

- Znaczy się, nie wiesz.

- Znaczy się, nie wiem.

- No dobrze. Okrążymy to jezioro. Za lasem zwanym Kohnem, dobrze mówię? natrafimy na *Chebal Malen*. Czarne Góry. A gdzieś w *Chebal Malen* jest *Sklassa*, twierdza Malnu. - Ściągnął brwi i zapuścił sondę w poszukiwaniu ludzi. Serce mu zamarło. Ponad wszelką wątpliwość właśnie w niej byli przetrzymywani. - Musimy tam dotrzeć - powiedział.

- To niemądre. Może nie starczyć czasu, a do *Sklassy* dotrzeć bardzo trudno. Jest strzeżona. - Beznamiętny dotąd głos Shiafy zabarwiła emocja. Michael po raz pierwszy wyczuł u niej niepokój.

- Mimo wszystko udamy się tam - powiedział kategorycznie Michael. - Tam właśnie więzieni są moi ludzie. Byłaś tam kiedyś?

- Nie - odparła. - Wychowywałam się w Inyas Trai i Irall.

- Jakiego rodzaju przeszkód możemy się tam spodziewać?

- Ty jesteś nauczycielem - odparła nieco pewniej Shiafa.

- Ale ty wiesz - nalegał Michael.

- Nie powinnam wiedzieć.

- Co to znaczy?

Shiafa odwróciła wzrok i na jej twarzy pojawił się na chwilę dziwny, wyzywający wyraz - wysunęła podbródek, zmrużyła oczy.

- Będąc dzieckiem, podsłuchałam raz *Mafoc Mar*, kiedy nie powinnam. Rozmawiali między sobą o *Sklassie*. To nie miejsce dla młodych Sidhów.

- Ale ty jesteś córką Taraxa - przypomniał jej Michael.

- To nie miejsce nawet dla mnie.

- Jakoś nie chce mi się w to wierzyć - powiedział Michael. - O jakie przeszkody tu chodzi?

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Jestem twoim nauczycielem - naciskał Michael. Shiafa otworzyła szeroko oczy i zacisnęła usta w wąziutką linię.

- A więc wspólnie się przekonamy - powiedziała.

Michael pokręcił głową i uśmiechnął się. Zalążki dyscypliny, pomyślał. Nastraszyć ucznia, nowicjusza, wykorzenić wyrobione sądy. W ostateczności - przerazić. Tak robiły z nim Żurawice. Tylko kto tu kogo straszy?

Skoro córkę Taraxa zatrwożyła sama myśl o udaniu się do *Sklassy*, jaką więc postawę powinien przyjąć on? Puścił konia stępa w długą drogę wokół obrzeża wyschniętej niecki *Nebchat Len*, nie wiedząc już, czy lepiej wlec się niemiłosiernie tym jednochodem... czy może wykorzystać ponownie nadzwyczajne predyspozycje konia.

- Lepiej by się było pospieszyć - odezwała się po godzinie Shiafa.

Westchnął i zerknął na czyste, błękitne niebo.

- Też tak myślę - powiedział. - Jesteś przygotowana na *abanowanie*?

- Na wszystko - odburknęła podenerwowana Shiafa. - Ty jesteś nauczycielem.

- Nauczyciel prosi, byś więcej tego nie powtarzała. - Michael pochylił się. - Trzymaj się mocno - polecił i szepnął do końskiego ucha: - *Abana!*

Tym razem podróż była o wiele bardziej mordercza.

Na odpoczynek zatrzymali się w cieniu skalnego nawisu. Koń, zdyszany i rozdygotany, przymknął do połowy oczy. Shiafa padła na bok, a Michael przysiadł ciężko obok niej. Przez godzinę żadne się nie poruszyło.

- Następnym razem spróbujemy zwykłego galopu. - Nawet mówienie było udręką. W końcu, mobilizując całą siłę woli i przezwyciężając protest mięśni, Michael podźwignął się z ziemi i wyszedł na słońce. Oslaniając dłońmi oczy, odwrócił się w stronę litej czarnej skały dolnych stoków jednej z gór masywu *Chebal Malen*. Nie było tu podgórze, teren nie wznosił się, by przejść stopniowo w szczyty; *Chebal Malen* strzelały stromo w górę niczym olbrzymie czarne monstra o zboczach pocętkowanych łachami zalegającego tam śniegu, nakryte od góry potężnymi, śnieżno-lodowymi czapami, skryte częściowo w chmurach, nurkujących i kołujących niczym potężne szarobiałe ptaszyska.

- *Sklasa* jest po drugiej stronie *Chebal Malen*, tak? - spytał Michael powracając w cień nawisu.

Shiafa przekręciła się na bok i skinęła ospale głową.

- Tak - odparła.

- Od tej strony jest bliżej do Kamiennego Pola, prawda? Tego miejsca, gdzie szkoli się nowicjuszy płci męskiej?

Pokiwała głową.

Sklasa znajdowała się tam, gdzie kazał iść koniowi; najwyraźniej zwierzę nie mogło go posłuchać. A więc nie można było tak po prostu *przyabanować* do twierdzy Malnu. Michael wątpił, by koń był zdolny do podobnej wspinaczki galopem, pomimo że tak niezwykle bywa galop *epona*.

Co gorsza, nie wyczuwał ludzkich aur; po ostatniej *abanie* zupełnie stracił z nimi kontakt.

- Nie mamy czasu na wspinaczkę po górach - powiedział. - Ani na obejście ich dookoła, to na pewno odpada. I nie powinniśmy już chyba próbować *abanowania*.

Shiafa usiadła po turecku.

- Nie - przyznała.

- Masz zatem jakieś propozycje?

Shiafa spochmurniała tylko.

To zniecierpliwilo Michaela.

- Ja też nigdy tutaj nie byłem - powiedział. - Najwyraźniej natrafiliśmy właśnie na jedną z tych przeszkód, o których wspominałaś. Jeśli nie potrafisz mi powiedzieć, czym są te przeszkody, to... - Opanował się i potrząsnął energicznie głową. - Cała ta szopka jest śmiechu warta. Twój ojciec ma chyba nie po kolei w głowie.

Shiafa przyglądała mu się bez słowa.

- W takim razie jak dociera tam Maln? Mają jakieś hasło albo specjalnie tresowane konie? Sekretne przejście? Kamień przejściowy?

Wciąż żadnej odpowiedzi. Michael pochodził chwilę tam i z powrotem, po czym przysiadł na kolanach i zamknął oczy, badając okolicę umysłem i omiatając ją sondą. Znowu wyczuwał granice Królestwa; nieubłagane się kurczyły. W najlepszym razie pozostało im kilka dni, a pod koniec nawet czas stanie się czymś niepewnym.

- No dobrze - powiedział. - Właściwie nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy od zaraz rozpoczęli twój trening. Chodź ze mną.

Shiafa podreptała za nim do łąchy śniegu wypełniającego płytki wąski jar. Wyrastająca ponad śnieg czarna skała po obu stronach była dwukrotnie wyższa od Michaela; na końcu jaru, jakieś sto jardów dalej, ściany zbiegały się tworząc formację w kształcie litery V.

- Czym według ciebie jest sidhowa magia? - spytał Michael Shiafę, stając dwa kroki przed nią z rękami założonymi na piersi.

- Wszyscy się jej uczymy. To synchronizowanie się z Królestwem. Umysł, chłonący bodźce z otoczenia, powinien się zgrać z rytmem oddechu świata.

- A jeśli świat stawia opór?

- Masz na myśli Ziemię?

- Tak.

- Wówczas magia jest trudniejsza, ale nie niemożliwa.

- Czy ludzie rzeczywiście nie mają predyspozycji do uprawiania magii?

- Nie wiem. Niewielu jest magów wywodzących się z rodzaju ludzkiego.

- Ale przecież ja jestem w przeważającej mierze człowiekiem. Dziś wszyscy ludzie mają pewną domieszkę sidhowej krwi. A więc czy koniecznie trzeba być Sidhem?

Shiafa potrząsnęła bez przekonania głową.

- Wychodzi na to, że nie - ciągnął Michael. - Ale Sidhowie, a nawet Mieszkańcy, pragnęliby utrzymać ludzi na obecnym etapie rozwoju. Tych zaś, którzy tu przybyli, lub których sprowadzono tu siłą, umyślnie utrzymuje się w niewiedzy. Doszedłem do wniosku, że nie ma znaczenia, kim się jest. Kluczem jest koncentracja i postrzeganie świata bez uprzedzeń. Czy masz jakieś uprzedzenia?

- Muszę - odparła Shiafa, stanowczo zbyt racjonalnie. Spodziewał się po niej młodzieńczej buntowniczości, ale wnet przypomniał sobie, że przecież Shiafa jest trzy razy starsza od niego.

- Bo ja z pewnością je mam. Wierzę, że jestem słaby. I od tego jestem słaby. Kiedy wierzę, że coś się dzieje w określony sposób, to tak się właśnie dzieje. Ilekroć naprawdę przełamie... - Uśmiechnął się. Formułował rozproszone do tej pory i niezorganizowane myśli. Nauczanie było zarazem uczeniem się albo przynajmniej uświadamianiem sobie. - Ilekroć przełamie swoje uprzedzenia, zdobywam się na coś nowego. Czasami odnoszę dzięki temu sukces. Zyskuję nowe zdolności. - W pobliżu nie było kwiatów. Schylił się, by podnieść kamień wielkości piłki golfowej. - Sidhowie nie lubią pisania bez uzasadnionej potrzeby. Pismo zamraza rzeczywistość i generuje jeszcze silniejsze uprzedzenia. Jest niebezpieczne. Ale uprzedzenia zawiera w sobie każdy język. Każdy sposób porozumiewania się. Oto dlaczego słowa są potężne: przekazują myśli innych. A myśli innych mogą zakłócić twoje własne. - Otworzył dłoń. - Co to jest?

- Kamień - odparła.

Zacisnął palce - próbując czegoś, co, jak przypuszczał, stosowały wobec niego Żurawice - i otworzył dłoń. Shiafa uśmiechnęła się na widok tej sztuczki. Kamyk przemienił się w motyla.

- A teraz? - Ponownie zamknął i otworzył dłoń. Jego potężna *evisa* robiła na niej wrażenie nie większe niż dziecinne czary-mary.

- Kamyk - powiedziała.

- Czy wiesz, jak być motylem, a pozostać kamykiem?

- Rzucam cień.

- Teraz cię zaatakuję - oznajmił niespodziewanie Michael, odstępując od niej na kilka kroków. Czas się przekonać, do czego jest zdolna. Shiafa zaczynała swoją edukację od poziomu znacznie bardziej zaawansowanego niż niegdyś Michael. - Nie będzie więcej ostrzeżeń. Przygotuj się.

Shiafa stanęła z rękami zwieszonymi po bokach i lekko opuszczoną głową. Wciąż była nieco otumaniona po *abanowaniu*. Świetnie, pomyślał. Wyszarpnąć ją raz a dobrze z tej niepewności, tak jak niegdyś jego wyszarpnęły Żurawice.

Otoczyło ją nagle pięciu Michaelów. Uniosła ręce i zaczęła obracać się w miejscu, przyglądając się bacznie każdemu po kolei. Jeden z Michaelów postąpił ku niej, inny wyraźnie szykował się do zapuszczenia w jej stronę raptownej sondy; jeszcze inny zaczął krążyć wokół niej z szerokim uśmiechem.

- Nie da się przewidzieć zachowań ludzi - wyrecytowała chórem cała piątka. Po czym odzywali się kolejno jeden po drugim:

- Dlatego są niebezpieczni.

- Obca im jest dyscyplina.

- Nie znają magii, cechują ich za to przebiegłość i nieprzewidywalność wynikające ze słabości i strachu.

- Drzemią w nich emocje, z których nie zdają sobie sprawy.

- Mogą w okamgnieniu dać upust złości. Niektórzy, za sprawą nieprawidłowego wyszkolenia i wykształcenia, są upośledzeni, a co za tym idzie, zdegenerowani.

- Mogą cię napaść bez uprzedzenia. Mam wrażenie, że nawet niektórzy Mieszkańcy nie przepuszczą okazji, by się na tobie zemścić.

- A niektórzy Mieszkańcy znają dyscyplinę. Mogą cię zaatakować magią.

- Chcąc cię osaczyć, ludzie i Mieszkańcy mogą zjednoczyć swe siły. Gdy znajdziesz się na Ziemi, musisz się z tym liczyć; ciężkie i gorzkie to będą czasy.

- Zwłaszcza jeśli ludzie odkryją swą prawdziwą historię. Żadnej litości. Żadnej godności, żadnego stylu. Tylko żądza odwetu.

- Jesteś na to przygotowana?

- Nie - powiedziała Shiafa, spoglądając w oczy kolejno każdemu z napastników.

Otoczyli ją kręgiem.

- Z którym z nas najpierw się zmierzysz?

- Z prawdziwym - odparła Shiafa.

- Jak będziesz walczyła z tym prawdziwym?

Pokręciła głową, rozkojarzona.

- Pomyśl - zaintonowały chórem cienie.

- Po co to wszystko? - wybuchnęła. - Mówiłam przecież, że nie umiem się bronić...

- A ja ci mówię, że umiesz - wpadł jej w słowo Michael.

Ściągnęła brwi i prześwidrowała pojedynczą sondą jeden z cieni. Wysiłek ten prawie pozbawił ją tchu. Potrząsnęła głową i wymierzyła słabiutką sondę w inną postać. Całą jej energię pochłonęła pierwsza, zdecydowanie za silna sonda. Powinna była musnąć tylko za jednym zamachem cały krąg, sięgając wyważoną dosię-mową po informacje, co Sidhowie czynili za każdym razem instynktownie. Ale ona wpadła w panikę.

Michaela korciło, żeby wysondować ją w tej chwili słabości; sforsować bariery, jakie mogła ewentualnie pozostawiać i wydobyć potrzebne mu informacje

O *Sklassie*. Byłby to zabieg usprawiedliwiony; wszak w grę wchodziło wiele istnień ludzkich, a jak podkreślała ustawicznie Shiafa, niewiele czasu im pozostało. Nie zrobił tego jednak. Cienie, ku jej przerażeniu, zacieśniały bez przerwy krąg, postępując naprzód krok za krokiem.

Daleko pod powierzchnią jej wyczerpania i młodzieńczej amatorszczyzny było coś głębszego, silniejszego. Wyczuwał to bez sondowania. Była córką Taraxa...

I jeśli zdoła dotrzeć do tej głębi, być może sam czegoś się nauczy.

Wyprostowała się.

- Nie zrobisz mi krzywdy - powiedziała. - Jesteś moim nauczycielem, nie wrogiem.

No tak! Tu ją miał. Silne uprzedzenie. Jeden z cieni zrobił się czarny jak węgiel i z wysokości ramion wypuścił w jej kierunku długą smugę koloru nocy. Smuga owinęła się jej wokół głowy. Shiafa zaczęła się szamotać, by ją rozerwać. Smuga wysysała jej oddech. Michael wyczuwał katusze, jakie przeżywa dziewczyna. Zadawanie uczniowi cierpienia nie było ze strony nauczyciela niestosownością, jakkolwiek niestosowne było to, iż sam jej cierpienia nie dzielił. *Szkoląc mnie, Żurawice czuły ten sam ból co ja, tę samą konsternację i strach*, uświadomił sobie teraz. *Pozostawiwszy mnie na szlaku Amorfistów, robiły to samo co ja teraz.*

Shiafa autentycznie się bała. Nie mogła złapać tchu i była bliska omdlenia.

- No, dalej - mruknął pod nosem Michael. - Poszukaj dobrze.

Shiafa wydała stłumiony okrzyk. Michaelowi zrobiło się słabo; miał ochotę podbiec i zerwać z niej ten całun. Lecz nagle coś się w niej przełamało. W Sidhach nie mogły się wyzwalać żadne zwierzęce odruchy, jako że nigdy zwierzętami nie byli, zalegały w nich jednak głębsze i prymitywniejsze pokłady sidhowości. Shiafa sięgnęła do jednego z tych

pokładów, by podeprzeć się instynktowną magią, która - teraz wiedział to już niezbiecie - była niegdyś wspólnym dziedzictwem wszystkich ludzi.

Pozostawiła cień swojej postaci opatulonej czarnym welonem, sama zaś wystąpiła poza krąg cieni Michaela. Wysondowała delikatnie i sprawnie pozostałe postaci i zlokalizowała go. Następnie odwróciła się czarnego cienia i, podbarwioną na czerwono gniewem, zarzuciła na Michaela.

Michael uchylił się przed całunem - ale ledwo ledwo - i rozwiął swoje cienie. Stali naprzeciw siebie w śniegu i mierzyli się spojrzeniami.

- Zmarzły ci stopy - zauważył Michael. - Podsyć *hylokę*.

Osunęła się na kolana. Policzki i szyję miała zaognione.

- Dlaczego? - wykrztusiła chrapliwym głosem.

- Czujesz swoją moc? - spytał wyciągając dłoń, by pomóc jej się podnieść.

Nie patrzyła na niego. Nastraszył ją nie na żarty.

- Czuję coś...

- Od tego musimy zacząć. Masz ją w sobie. Jest bliżej powierzchni, niż była u mnie. Musisz ją odnaleźć i oswoić się z nią. Jest jak *epon*. Musisz się z nią zespolić.

Zaprowadził ją z powrotem pod skalny nawis i obserwował uważnie, jak siada i kontroluje poziom swojej energii. Jej skóra przybierała powoli normalny kolor.

Czasu miał zbyt mało by powyżwalać wszystkie jej umiejętności i normalnym trybem prowadzić szkolenie; jeszcze mniej niż kiedyś Żurawice na szkolenie jego samego. Musiał skoncentrować się jeszcze bardziej na utrzymaniu chwiejnej równowagi pomiędzy zaufaniem, lub przynajmniej szacunkiem niezbędnym w relacji nauczyciel - uczeń, a bezpardonowymi posunięciami do których zmuszał pośpiech.

- Ponieważ nie chcesz mi powiedzieć jak dostać się do *Sklassy*, udamy się na Kamienne Pole. Spróbujemy skłonić konia do galopu. Wyruszymy jak tylko dojdiesz do siebie.

- Teraz ją czuje - stwierdziła Shiafa spoglądając nań ze zdumieniem. - Jest we mnie. Płonie. Dziw bierze, jak mogłam jej wcześniej nie odkryć.

- To dobrze - powiedział Michael. Coś ścisnęło go lekko w żołądku.

Galopem - jeśli można to tak określić - sidhowy koń poruszał się znacznie wolniej niż w *abanie*, ale teraz skutki dezintegracji Królestwa nie dawały się już tak we znaki. Na wpeł gnali, na wpeł frunęli przez łańcuchy *Chebal Malen*, wypatrując szlaku, który doprowadziłby ich do Kamiennego Pola. Koń nie mógł tak po prostu, jednym susem, pokonywać wysokich

szczytów; jego lot był w jakiś sposób uzależniony od stabilności podłoża, co Michael zdążył już zaobserwować, ale nie rozumiał jeszcze, na czym to polega. Sidhowe konie odfruwaly wprawdzie z dachu pensjonatu Tippet na Ziemi, wzbijały się w niebo z prerii na oczach osłupiałego handlarza koni, ale wzniesienie się na dziesiątki tysięcy stóp, bo tyle mierzyły sobie skalne urwiska przepaści, przekraczało po prostu ich możliwości.

Shiafa nie miała najmniejszego pojęcia, gdzie znajduje się ów szlak ani czy taki w ogóle istnieje. Michael spróbował raz jeszcze namierzyć aury ludzi bądź Sidhów, ale po tej stronie gór najwyraźniej nie było żywego ducha. Jak okiem sięgnąć, przykryta bladym niebem monotonia czarnej skały i śniegu, i nienaturalny w tym regionie chłód.

Podczas postojów na odpoczynek Michael zdradzał Shiafie tajniki prawidłowego, precyzyjnego posługiwania się *hyloką*. Pod koniec drugiego dnia, kiedy przemierzali w obrębie *Chebal Malen* tysiące mil, wciąż nie natrafiając na żaden szlak. Michael skierował konia na wysepkę pośród ścinanego przez mróz strumyka wody z roztopionego śniegu.

- Zsiadaj - warknął do Shiafy. Kończyła mu się cierpliwość.

Dziewczyna zeskoczyła na ziemię i stanęła obok konia.

- Coś tu musi dać za wygraną - powiedział spoglądając z ukosa na niebo. - Ktoś musi dać za wygraną. Przesadzamy już trochę z honorem i uczciwością. I kręcimy się w kółko. Nie możemy nawet dotrzeć do Kamiennego Pola. Straciłem kontakt z ludzkimi aurami, które przedtem wyczuwałem z daleka.

Shiafa wbiła wzrok w śnieżną gładź okalającą jej stopy.

- Masz jakieś propozycje?

Pokręciła głową.

Michael zaklął pod nosem.

- No to w porządku - powiedział. - Wracamy na Ziemię. Pokonałeś mnie. Ludzi zostawiamy tutaj; wątpię, by ci z Malnu przywiedli ich ze sobą na Ziemię. Przyjdzie im zatem zginąć w Królestwie. A wszystko to przez honor jakiejś sidhowej młódki. - Pomyślał o Nikołaju, o Helenie i Savarinie i reszcie mieszkańców Euterpe. Pomyślał też o tysiącach ludzi porywanych z Ziemi przez tysiąclecia i przetrzymywanych w Królestwie - istna śmietanka ludzkości. Nawet dyscypliną nie mógł zdławić gniewu i frustracji. Podszedł do Shiafy i spojrzał jej z bliska w oczy.

- Diabli z tobą i twoim ojcem - wycedził. - Byłem idiotą sądząc, że można jakoś... - Z wściekłości nie był w stanie się wysłowić.

- To nie będziesz mnie uczył? - ni to stwierdziła, ni spytała Shiafa.

- Za cholere. Mozesz tu sobie sterczeć i marznąć. Wracam do Inyas Trai. Moze odnajde tam jakis kamien przejsciowy... przez te pare dni, jakie pozostaly.

- Tutaj jest jeden kamien przejsciowy - powiedziala cicho Shiafa.

Michael wybaluszyl na nia oczy.

- Przeleczami, ktore mamy pod soba, nie mozna dotrzeć do *Sklassy* ani do Kamiennego Pola. Trzeba przeniesc sie kamieniem przejsciowym do Inyas Trai i dopiero stamtad, innym, do twierdzy. Nie ma innej drogi do Inyas Trai. Wstep do miasta jest zakazany

- Dlaczego mowisz mi o tym dopiero teraz? Czemu nie wzescniej?

- Bo musze zostac wyszkolona - odparla Shiafa. - Mniejsza o to czy zginę, czy nie, musze zostac wyszkolona przez ciebie. Odbycie treningu pod twoim okiem ma wiecej wage niz wyjawianie ci sekretow, ktore nie powinny byc mi znane.

Michael pociagnal nosem i poczuwszy w nozdrzach nagle swedzenie, potarl je palcem. Zlosc jeszcze go nie opuscila; wciaz wahal sie, czy nie lepiej zabrac sie i odejsc, pozostawiajac dziewczynie swojemu losowi. Bylby to jednak zbyt desperacki krok.

- Poprowadzisz konia do tego kamienia przejsciowego? - W glowie kiełkowala mu nowa mysł; byc moze nie beda musieli udawac sie do Inyas Trai.

- Poprowadze - odparla.

- Wiec badz uprzejma to zrobic i wskakuj z powrotem na grzbiet.

Shiafa stanela przy koiiskim łbie i, podobnie jak wzescniej Michael, pomacala zwierze wzdluz linii szczeki, przekazujac mu za posrednictwem odsie-widzenia lokalizacje kamienia przejsciowego.

- Znajduje sie na skraju *Chebal Malen*, ponizej *Sklassy* - poinformowala Michaela, dosiadajac konia za jego plecami. Kiedyś z niego korzystano, ale ostatnio nie.

Po wielogodzinnej wędrowce staneli na stopniach najwiekszego kamienia przejsciowego, jaki Michael kiedykolwiek ogladal. Wyrastal z podloza rozleglej skalistej doliny, zamknietej z jednej strony ogromna sciana lodu; Michael nie potrafil stwierdzic, czy to lodowiec, czy tez jakis inny, nieczesto spotykany w Krolestwie element krajobrazu. Sam kamien przejsciowy, szeroki na co najmniej sto jardow, mial kolisty ksztalt, a na jego srodku ulozono szeroką na dwadzieścia jardow plyte z bialego marmuru, po bokach ktorej staly dwa obeliski. Byly to graniastoslupy o podstawie kwadratu, sędziwe wiekiem i pozbawione jakichkolwiek ekstrawaganckich ozdób. Na powierzchni wiekszego z kamieni nanoszony wiatrem snieg ulozyl sie w półksięzyce.

Dalej ruszyli pieszo.

Michael wspiął się po schodach prowadzących na białą płytę i stanął na niej z rozpostartymi ramionami. Włosy rozwiewał mu mroźny wiatr. Postąpił powoli naprzód, szukając bramy. Przeszedł między obeliskami, odwrócił się i spojrzął na Shiafę, która pozostała na stopniach.

- Nic - oznajmił. - Zamknięte.

- Tego nie wiedziałam - odparła. - Chociaż może powinnam się była spodziewać. Skoro wstęp do miasta jest zakazany... - Michael mógłby przysiąc, że gdyby była człowiekiem, wybuchnęłaby teraz płaczem. Ale ona nie rozpląkała się.

Zwinał dłonie w pięści i utracił kopniakiem rożek idealnego śnieżnego półksiężyca. Znów strata cennego czasu. *Poszukaj dobrze. Rozprostował palce. Nawet nie warto o tym myśleć. Po prostu szukaj dobrze i do dzieła.*

Popatrzył na swoje dłonie. Granice możliwości, jego zdolności... Jakie są te granice? Śpiewne mrowienie w poduszkach dłoni uzmysławiało mu istotę Królestwa. Z wyjątkiem pierwszej, nieudanej próby dostania się do Królestwa oraz ucieczki z okołoziemskiego koszmaru Clarkhama, korzystał z bram stworzonych przez innych, bądź adaptował do swoich celów bramy już istniejące. Teraz... utworzyć tylko przejście pomiędzy dwoma punktami świata... Nigdy dotąd tego nie robił.

To nic wielkiego. Dla wtajemniczonego Sidha lub Mieszkańca to fraszka. Coś w tym rodzaju robią konie, *abanując*, a przecież to tylko zwierzęta. Nawet nie ma się nad czym zastanawiać. *Poszukaj dobrze. Ostatnia szansa. No...*

- Podejź tu - polecił Shiafie. - I przyprowadź konia.

Zrobiła jak jej kazał, i stanęła między obeliskami obok Michaela. Przymknął oczy i jął wsłuchiwać się dłońmi w różne części tej pieśni, którą było Królestwo; pieśni teraz nieharmonijnej, o słabej i postrzępionej linii melodycznej.

Zrób dokładnie to samo, do czego zmusiłeś Shiafę. Odnajdź bijące wewnątrz źródło.

Nigdy jednak nie zapuszczał się tak głęboko w swój mroczny, niezbadany potencjał. Nigdy nie odczuwał takiej potrzeby; w gruncie rzeczy nigdy nie sądził, by pozostały mu jeszcze do spenetrowania aż takie głębie.

- Uczę się - oznajmił Shiafie.

- Czego się uczysz?

- Że miarą twojej wartości nie jest sukces czy porażka, ale to, czy masz odwagę stawić czoła wyzwaniu.

A jeśli odważę się zostać magiem, wystąpić przeciwko Taraxowi, Clarkhamowi i wszystkim innym?

Przez dosłownie moment nie miał najmniejszej wątpliwości, że jest w stanie otworzyć drogę bezpośrednio do *Sklassy*, z pełnym pominięciem Kamiennego Pola, wszelkich barier i fortyfikacji. Po prostu odwróci pieśń, odtworzy ją wspak, doda, gdzie normalnie by się odebrało, a potem odbierze, gdzie należałoby dodać...

Bzdura.

Ale poskutkowało. Oddarł płat pustego powietrza i poszerzył otwór dla konia. Shiafa wpiła wzrok w jego twarz, z której biły gorąco i moc, spojrzała mu na dłonie, żarzące się niczym rozpalone do białości żelazo, i przesmyknęła się wraz z koniem przez szparę. Michael poszedł w jej ślady i zawarł za sobą szczelinę.

Doznał przyprawiającej o zawrót głowy egzaltacji, takiej jaką odczuwał, kiedy nie panował jeszcze nad swoją *hyłoką*. Chciało mu się skakać, tańczyć i potrząsać rytmicznie grzywą włosów. Ale miejsce, w jakim się znaleźli, momentalnie go otrzeźwiło.

- *Sklassa* - powiedziała Shiafa głosem przepełnionym na poły ciekawością i strachem.

28

W architekturze twierdzy Malnu widać było rękę Spryggli. Michael i Shiafa stali na szczycie szerokiego, grubego muru z polerowanego czarnego kamienia. Mur ten wybrzuszał się przyjmując kształt płatka olbrzymiego pękatego, czarnego kwiatu, który rozkwita na wierzchołku góry. Na idealnie gładkich ścianach *Sklassy* nie osiadł ani jeden płatek śniegu. Chociaż w gładkim kamieniu, na którym stali, majaczyły ich odbicia, w tle nie odbijało się rozpalone, mleczne niebo; miast niego w czarnej głębi muru połyskiwały gwiazdy. Twierdza-kwiat została być może wykuta z litego bloku samej przestrzeni.

Pomiędzy dwiema wielkimi ścianami-płatkami rozpięty był pajęczy most ze srebrzystej koronki. Brał swój początek zaledwie dziesięć jardów od miejsca, w którym stali i kończył się przed małymi pojedynczymi, drewnianymi drzwiami.

- To niesamowite - powiedział Michael. - Oglądana stąd nie robi takiego wrażenia.

- Nie weszliśmy jeszcze do środka - przypomniała mu Shiafa.

Wyczuwał bardzo bliską obecność ludzi, ale nie potrafił sprecyzować ich liczby.

- Adonna ją zbudował? - spytał.

- Zbudował ją mój ojciec - odparła Shiafa bez cienia dumy czy jakiegokolwiek innego zabarwienia emocjonalnego w głosie. - Projekt wyszedł spod ręki pewnego Spryggli, Adonna zatwierdził plany, ale budowę nadzorował Tarax.

- Wszechstronnie uzdolniony Sidh z tego twojego ojca - mruknął Michael. - Zdaje się, że jedyna droga do środka prowadzi przez ten most.

Shiafa pokiwała głową.

- O ile mi wiadomo, nawet ta droga nie jest pewna.

Michael czuł się teraz bardzo pokrzepiony. Skinąwszy na Shiafę, by poszła za nim, ruszył w stronę przyczółka mostu.

- Konia zostawiamy tutaj. Tak czy owak jest pożyczony; zapewne ktoś się nim zaopiekuje, jeśli... - Uśmiechnął się do niej. - Jeśli. Przejdę pierwszy. Kiedy uda mi się przekroczyć próg drzwi, ruszysz za mną.

Dotknąwszy odciążu po lewej Michael stwierdził, że ma przed sobą napięty, bardzo wymyślny most linowy. Jego żeberka, posplatane w zawile wzory przedstawiające rozbłyски, liście i kwiaty, jarzyły się wewnętrzną poświatą, łącząc w sobie piękno jedwabiu i mlecznego opalu. Zbadał stopą naprężenie konstrukcji. Ku jego zaskoczeniu lina nie ustąpiła pod naciskiem; zupełnie jakby most był wykuty z żelaza. Ostrożnie poklepał odciąż dłońią, sprawdzając, czy aby nie pęknie. Trzymał mocno.

- Pan Bóg strzeże tego, co na zimne dmucha - mruknął do siebie, mieszając dwa przysłowia. Następnie, z początku noga za nogą, potem krocząc już śmieiej, przeszedł na drugą stronę. Stanąwszy przed drewnianymi drzwiami schylił się i obejrzał je dokładnie, suwając palcem po powierzchni rzeźbionej w zawile deseń. Drewno było szerniałe i nadgryzione przez ząb czasu, wypolerowane dłońiami, które je od wieków dotykały. Ryty na czterech panelach, tworzących zwarty maltański krzyż, układały się w labirynty i wiry. Środek każdego panelu zdobił symboliczny kwiat wyobrażający *Sklasse*. Drzwi nie miały jednak żadnej klamki ani gałki.

- Sezamie, otwórz się - wymamrotał Michael. Wczepił się rękami w panel i szarpnął drzwi do siebie, ale ani drgnęły. Czuł lekkie mrowienie w dłoniach i słyszał melodię płynącą w rytm swojego oddechu. Przywołał tę melodię na usta i zagwizdał ją cicho. Drzwi uchylily się na kilka cali, a potem otworzyły na oścież do środka. Jego oczom ukazał się korytarz oświetlony klinem wpadającego z zewnątrz mlecznobiałego dziennego światła.

Michael wkroczył do korytarza, po czym odwrócił się i skinieniem ręki przywołał do siebie Shiafę. Przeszła bez szwanku przez most.

- Będziemy potrzebowali światła - powiedział. - Umiesz tak podsycić *hylokę*, żeby rozjarzyła ci rękę?

Pokręciła głową.

- Ale potrafię widzieć w ciemnościach.

- Dobrze i to - mruknął Michael.

- A ty to potrafisz? - spytała.

- Spróbować zawsze można. - Podjął taką próbę i stwierdził, że przy pewnym wysiłku istotnie widzi, jak przez noktowizor, gardziel korytarza. Zielonkawy, widmowy obraz drgał niczym ciepły miraż. - Czy tym cudom nigdy nie będzie końca?

- Chyba nie mówisz poważnie? - zdumiała się Shiafa.

- Niepoważnie się czuję - odparł Michael. - Już mi się przejadły te sidhowe cuda i sztuczki. To miejsce jest niesamowite. Piękne, osobliwe, potężne... ale mnie to już doprawdy nie rusza. Chcę tylko wydostać stąd moich ludzi i wrócić na Ziemię. I jestem głodny. Ależ bym wszamał poczciwego, dobrego hamburgera. .

Spojrzał na nią przepraszająco. - Wybacz mi moje barbarzyńskie dziedzictwo.

- Zwierzęce mięso? - domyśliła się.

- W rzeczy samej.

Wzdrygnęła się.

- Czy ludzie przestaną jeść mięso, gdy zamieszkają wśród nich Sidhowie?

- Dobrze pytanie - przyznał Michael. - Szczerze mówiąc nie znam odpowiedzi.

- Ale to doprowadzi do... - musnęła jego aurę - tarć.

Skrzywił się i zachichotał.

- Później będę się o to martwić. - Obecność ludzi była o wiele wyraźniej wyczuwalna. Michael usiłował ustalić, gdzie się znajdują. - Jesteśmy chyba tuż tuż - powiedział. - Wszędzie dookoła wyczuwam moich ludzi. - Korytarz kończył się okrągłym szybem o średnicy dwudziestu jardów. Wzdłuż jego ścian wiała się spirala schodów. - Schodzimy - zdecydował Michael. Ale nim zaczęli zstępować na dół, złapał Shiafę za ramię. - Czy jak przyjdzie co do czego, pozostaniesz lojalna swojemu nauczycielowi, nawet wbrew interesom Sidhów?

- Możesz na mnie polegać - dobiegł go z ciemności głos Shiafy. - Bez dyscypliny jestem niczym, a to ty masz mi wpoić dyscyplinę.

Zeszli na dno szybu. Od początku pobytu w *Sklassie* Michael ani razu nie wyczuł śladu Sidha. Brak takiego śladu nic mu nie mówił. *Sklassa* była miejscem o nieodgadnionych właściwościach i przebywający w jej murach Sidhowie mieli obowiązek zachowywać czujność; znajdowali się tu pod ochroną, jak powiedziała mu Shiafa, nie precyzując jednak, co to za ochrona. A mieliby dobry powód, żeby chronić więzionych aktualnie w twierdzy ludzi, izolować ich od Ziemi. Mogą tu być setki potencjalnych magów, pomyślał Michael, nie bez cienia niepokoju. Pragnienie zostania magiem, które niedawno w sobie odkrył,

doskwierało mu jak drzazga. Po co być magiem? Żeby stawić czoła wyzwaniu. Bo inni kandydaci się nie nadają. Czy to wszystko?

Bo to daje siłę. Czyż to nie byłoby coś?

Korytarz urywał się raptownie. Przed chwilą Michaelowi wydawało się, że widzi zakręt, teraz okazało się, że to ślepa ściana. Dotknął muru ręką - zimny kamień. Nic poza tym. Odwrócił się. Za Shiafą zobaczył drugą ścianę.

- No nie - odezwał się. - Tylko tego brakowało. - Wyciągnął przed siebie dłonie i precyzyjnie przesunął je obok niej w ciasnej celi, jaka się wokół nich utworzyła. - To jedna z tych pułapek, o których nie wiedziałaś?

Potrząsnęła przecząco głową i zaczęła szybciej oddychać.

- Panuj nad sobą - powiedział. - Powietrze może się skończyć. - Albo i nie. Wszystko... wibrowało podejrzanie. Uśmiechnął się i poczuł znów swoją moc, jakby doładowywało go wewnętrzne dynamo. Zdawała się w nim pęcznieć niezależnie od jego woli.

- Gdybym to ja projektował *Sklassę* jako twierdzę nie do zdobycia - zaczął rozważać na głos, odwracając się do drugiej ściany - mając do dyspozycji potęgę Sidhów, jak bym do tego podszedł? Czy budowałbym fizyczne pułapki? To zbyt prostackie. Nie, pokusiłbym się raczej o coś bardziej wyrafinowanego, bardziej chytrego. Coś, co świadczyłoby lepiej o stylu i geniuszu projektanta. - Kluczem do tego więzienia była koncentracja. Cienie potrafiły przyjmować różne postaci.

Niebieski kwiat, żółty kwiat. Czarny kwiat. Twierdza-kwiat nie była realna.

- Musimy zamknąć oczy i oczyścić umysły - powiedział Michael. Tak też zrobili. Po kilku chwilach Michael otworzył oczy i dotknął ramienia Shiafy.

Stali na krańcu sztywnego jedwabnego mostu. Koń przyglądał im się z zaciekawieniem, mrugając powiekami. Czarna twierdza-kwiat zatracala kontury i rozsypywała się w proch, którego ławice wirowały w powietrzu zestalając się w nowy kształt.

Ten nowy kształt był mniej finezyjny, za to znacznie bardziej złowieszczy. Stali teraz na skraju urwiska, mając przed sobą tenże most, ale *Sklassa* przeistoczyła się w rozległe, wielopoziomowe zamczysko. Jego mury były obłe jak wyszlifowane przez wodę skały, wieże niskie, przysadziste i toporne, poziome powierzchnie błyszcząły niczym wypolerowany armatni spisz, z powierzchni pionowych spływały lizaje czarnych i rdzawych zacieków.

Most prowadził do tych samych drewnianych drzwi, osadzonych teraz w metalicznej ścianie, u podstawy jednej z pozbawionych wyrazu wież. Michael zmrużył oczy, nadal mrowiły go dłonie. Shiafa milczała przyglądając mu się pilnie, co przyprawiało go o leciutką irytację.

- Dlaczego te drzwi są z drewna? - przerwał ciszę Michael.

- Nie wiem - odparła Shiafa.

Obrzucił ją pełnym dezaprobaty spojrzeniem.

- Wierzysz w ten kształt? - spytał, wskazując na zamek.

- Mam pewne wątpliwości - powiedziała.

- Ja też. - Koncentracja. Wyciągnięte dłonie. Konstrukcji może być tyle, ile kombinacji pasków, dzwoneczków i owoców na bębnach jednorękiego bandyty. Każda z nich może być prawdziwa. Wybranie nieprawdziwej może się dla nich skończyć zwabieniem do więzienia ułudy, a nawet śmiercią. Z niektórych pułapek pozostawianych w fałszywych konstrukcjach mogło bowiem nie być wyjścia.

A poza tym, co oczywiste, równie dobrze i w prawdziwej *Sklassie* mogło się roić od jej własnych pułapek.

- Przygoda - mruknął pod nosem Michael. - To przypomina mi grę „Przygoda”. Nigdy jej nie lubiłem.

Rusz głową.

- Mam dla ciebie ćwiczenie - zwrócił się do Shiafy. - Zakładam, że tak samo jak ja nie masz zielonego pojęcia, która konstrukcja jest tą prawdziwą?

- Zgadłeś - przyznała Shiafa. - Nie mam już nic do ukrycia.

- Gdybyś wznosiła twierdzę, która będzie się musiała opierać szturmom prowadzonym na dziesiątki czy setki sposobów, jaką konstrukcję wybrałabyś jako rzeczywistą? Wczuj się w Spryggłę... albo w Sidha nadzorującego Spryggłę.

Shiafa utkwiała wzrok w spiżowych murach.

- Jedyne cel, jakiemu służą w Królestwie fortyfikacje, to obrona przed magiem. Żadnemu Sidhowi ani Mieszkańcowi, ani tym bardziej człowiekowi, nie przyszłoby do głowy wystąpienie przeciwko Adonnie.

- To... - Michael urwał. - Hmm. Nie ma tu żadnych magów poza Adonną i być może Clarkhamem. Czy boją się Clarkhama? Nie sądzę. Ale musieli się kogoś bać. Tylko kogo? Waltiriego? Węża? Obawiali się, że ich magia może przestać działać?

- Już przestała - powiedziała Shiafa. - Królestwo ginie.

Michael miał mętlik w głowie. Siłą woli uporządkował myśli. Czasu pozostało im niewiele i nie mogli sobie pozwolić na spekulowanie w nieskończoność.

- Żadne fizyczne bariery nie przeszkodziłyby magowi w przedostaniu się do twierdzy. Żalotne są te mury i wieże. Nie wierzę w istnienie tutaj jakiegokolwiek fortecy. Myślę... że to

oaza spokoju dla Sidhów z Malnu. Jest przeciwieństwem Irall, przeciwieństwem chłodu, wilgoci i surowości.

Wyciągnął rękę, rozcapierzył palce i napałł dłonią na wizerunek zamku, po czym płynnym ruchem, wkładając w tę czynność wiele umysłowego wysiłku, stał widziadło niczym warstewkę kurzu z okiennej szyby. Shiafa zbliżyła się do niego, a on, za pośrednictwem subtelnej *evisy*, przekazał jej to, co zobaczył.

Połykliwy, jedwabny most spinał teraz dwa brzegi kryształowo czystego potoku, rwącego bystro wśród zielonych, rozfalowanych szuwarów. Po drugiej stronie rozpościerała się łąka porośnięta wysoką niebieskozieloną trawą i kwieciami. Na samym jej środku strzelała w niebo wieżyca żywcem wzięta z malowidła Boscha, rzeźbiona jakby w czerwonym koralu. Była wysoka jak, nie przymierzając, słusznych rozmiarów drapacz chmur i bogato zdobiona w stylu, z rozpoznaniem którego Michael nie miał problemów. Zaprojektował ją Sprygglą; wyglądało na to, że właśnie Sprygglą był pomysłodawcą wszystkich iluzorycznych form Sklassy.

Michael przeszedł przez most, Shiafa podążyła za nim. Koń znów pozostał na miejscu, tym razem jednak mógł sobie skubać do woli trawę rosnącą kępami przy krawędzi urwiska.

U kruszącej się podstawy koralowej wieży, po murach której pięła się winorośl dźwigająca kiście wielkich koralowoczerwonych jagód, natrafili na szeroką bramę wykutą z przezroczystego kryształu. Jej flanki stanowiły filary rzeźbione w materiale przypominającym kość słoniową. Michael pchnął lekko wrota. Otworzyły się do środka. Spomiędzy filarów runęła wirtualna powódź oznak ludzkiej obecności; obecności tysięcy ludzi i kilku zaledwie Sidhów.

Pośród tych Sidhów wyczuwało się ponad wszelką wątpliwość aurę Kapłanki Godzin. Michael zaczynał powoli rozumieć; pomimo rozwiązania Malnu opozycja wobec niego wciąż działała. Jak powiedziała Shiafa, obecność Kapłanki w *Sklassie* była nieodzowna ze względu na bezpieczeństwo ludzi, których Maln gromadził tu przez wieki - w tym może i ludzi z Euterpe oraz Mieszkańców z Półmiasta. Ale gdzie się podziała reszta Sidhów z Malnu? Z pewnością było ich więcej niż garstka...

Wtem niebo spowiała antracytowa czerń, na którą nakładała się oleista plama widmowej czerwieni, zieleni i błękitu. Było to coś więcej niż zwyczajny, raptownie zapadający zmrok; był to kres nieba nad Królestwem.

Łąka i wieża pogrzały się w półcieniu. Jak okiem sięgnąć, trawa schła, a kwiaty stulały i spuszczały swe pąki. Po chwili, gdy ciemność zaczynała się stawać przygniatająca, wieża rozjarzyła się od środka ciepłą, wabiącą poświatą, która absolutnie nie przystawała do

opowieści, jakie Michael słyszał dotąd o Malnie, i to obudziło w nim podejrzenie, czy aby nie dał się zwieść kolejnej iluzji.

Nawet nikczemnicy dobrze by się czuli w raju, pomyślał.

- Nie wiedziałam o tym - przerwała ciszę Shiafa. Przeszli między filarami z kości słoniowej przez kryształową bramę i stanęli na wyłożonej białymi płytami posadzce, pod szeroką granatową kopułą przedstawiającą mapę ziemskiego nieba. Każdą gwiazdę imitował jakiś połyskujący klejnot; w lazurytowy firmament wtopione ich były tysiące.

Michael oderwał wzrok od skrzącego się nieba i spojrzał przed siebie. Stał przed nimi jakiś młody Sidh odziany w kompletny strój w czarno-szarych barwach Malnu, narzucony na czerwoną togę. Dyscyplina ścinała jego twarz w nieruchomą maskę. Upłynęło parę chwil, zanim Michael go rozpoznał.

- Nie spodziewaliśmy się tu ciebie, człowieku-dziecko - odezwał się Sidh z nieznacznym uśmiechem. - Sądziliśmy, że zrobiłeś już, co miałeś tutaj do zrobienia.

- Biri! - wykrzyknął zaskoczony Michael. Biridashwa... ten sam, wespół z którym pobierał nauki u Żurawic, który próbował zaszczepić mu trującą filozofię Sidhów i który następnie obserwował z pogardą, jak Michael, po unicestwieniu kopuły rozkoszy, zostaje zmieciony z powrotem na Ziemię. Ruda czupryna ówczesnego nowicjusza była teraz krótko przystrzyżona, a z oczu, jakby nawiedzonych, źle mu patrzyło.

- Nie potrzebujemy cię tutaj - powiedział Biri postępując krok w ich stronę. Wyciągnął przed siebie prawą dłoń, z której wyrosła natychmiast różdżka przypominająca u nasady gałąź, lecz kończąca się ostrym grotem.

Michael obrzucił wymizerowanego Sidha smutnym spojrzeniem.

- Przyprowaździłem córkę Taraxa...

- Tarax nie należy już do Malnu - przerwał mu Biri. - Znajduje się w izolacji, której musi poddać się każdy, kto aspiruje do roli maga. Jego córka nic nas nie obchodzi.

Michael zerknął na drewniane drzwi wbudowane w zaokrągloną ścianę sali.

- Jest tu Kapłanka Godzin. Chroni część moich ludzi.

- Jesteś Mieszkańcem. Twoi są Mieszkańcy, nie ludzie - przypomniał mu Biri. Michael niemal czuł zapach jego desperacji... i strachu. Jednakże od obu tych uczuć razem wziętych silniejsza była żrąca nienawiść, która paliła głębie błękitnych oczu Sidha.

- Bzdura - odparł niemal bezwiednie Michael. Jego pewność siebie była niezachwiana; przechodziła wręcz w arogancję. Rozumiejąc to i nie chcąc przeciągnąć struny, uśmiechnął się pobłaźliwie. - Przybyłem, aby zabrać moich ludzi do domu.

- Od wyroku na nich nie ma odwołania - oznajmił kategorycznie Biri. - Nie pozwolimy ci zabrać ich na Ziemię.

- Dlaczego?

- Wciąż jesteś człowiekiem-dzieckiem, skoro tego nie pojmujesz.

Michael założył ręce na piersiach. Arogancka poza, ostrzegł się w duchu. Nie lekceważ tego Sidha. Już raz wystawił cię do wiatru.

- Jestem pewien, że Kapłanka Godzin chciałaby ze mną porozmawiać - powiedział Michael. - Chyba jej w tym nie przeszkodzisz.

- Przebywa tutaj na mocy postanowień paktu. Pozostanie z ludźmi, dopóki wszyscy nie poumieramy.

- Kto tak zarządził?

- Ja. Przejąłem po Taraxie godność przewodniczącego Malnu.

- Nie wiedziałem, że Maln jeszcze istnieje.

Twarz Biriego nieznacznie pobladła, co przydało cerze Sidha miłej dla oka, perłowej opalizacji.

- Istnieje w mojej osobie - powiedział. - Rady zostały rozwiązane. Spełniły już swoją rolę i przestały być potrzebne.

- Z chwilą, kiedy Tarax postanowił zostać magiem.

- Z chwilą, kiedy sukcesja została zabezpieczona.

- Wystąpiły przeciw Adonnie?

- Pod koniec Tarax mu się przeciwstawił. Rady zgodziły się z jego opinią, że Adonna dogorywa.

- Więc za kogo się poświęcasz? - spytał Michael.

- Za mój lud - odparł Biri.

- Sądysz więc, że godząc się na śmierć wszystkich tutejszych ludzi - i Mieszkańców, i swoją własną - sprawisz, że Sidhom będzie na Ziemi bezpieczniej?

Biri zacisnął zęby i na obrysie jego szczęki zagrały napięte mięśnie.

- Jeśli tak, to wiedz, że nic przez to nie wskórasz - ciągnął Michael. - Na Ziemi Sidhowie są bezsilni. Magia nie jest w stanie zapewnić im tam dominacji. Będą zmuszeni pertraktować. Zabicie tych ludzi nie przechyli szali - ponieważ mój lud już zwyciężył.

Shiafa, milcząca i nieruchoma, stała krok za Michaelem. Nie mógł zbadać jej emocji nie zaprzestając koncentrować się na Birim, a tego uczynić nie miał odwagi. Fasada dyscypliny, za którą krył się Sidh, była niezachwiana, a pod presją Michaela tylko się

wzmacniała. Nie chciał walczyć z Birim - jeszcze nie teraz. Ale w końcu będziesz musiał pokonać Taraxa, przeciwstawić się Wężowi, uporać się z Clarkhamem...

- Czy to prawda? - zwrócił się Biri do Shiafy.

- Z tego co mi wiadomo, tak - odparła Shiafa.

- Na Ziemi nie ma żadnych fortec?

- Nauka bije magię na głowę - powiedział Michael. - Może nie pod względem subtelności, i nie magię najwyższych lotów, jednak w ostatecznym rozrachunku, gdy wziąć jeszcze do tego mój świat, taki, jakim jest obecnie... To dlatego Sidhowie wycofali się ostatecznie z Ziemi.

- Czy na Ziemi toczy się wojna? - Biri stracił nieco ze swej wyniosłości. Wyraźnie nie uśmiechała mu się perspektywa śmierci... zwłaszcza śmierci nie umotywowanej żadną wyższą racją.

- Nie mam pojęcia, co się teraz dzieje na Ziemi, ale owszem, bardzo prawdopodobne, że Sidhowie i ludzie giną masowo. Chciałbym zapobiec dalszym ofiarom. Ale nie mogę nic zdziałać, dopóki jestem uziemiony tutaj.

Biri bił się przez chwilę z myślami.

- Musisz stąd odejść - stwierdził w końcu. - Ta decyzja nie zależy ode mnie.

Biri, odkąd tylko się pojawił, cały swój potencjał obronny ukierunkowywał na Michaela. Bariery od strony Shiafy były znacznie słabsze. Michael zespolił swoją butę z rozsadzającą go frustracją, zaś z rdzenia swej *hyloki* zaczerpnął tyle mocy, ile tylko mógł wygospodarować, nie narażając przy tym życia. Przetrzymywał tę mieszankę tak długo, na ile się odważył, po czym, uformowaną w zjadliwy cień, odbił od Shiafy. Shiafa aż się zatoczyła i z trudem utrzymała równowagę. Biri wytrzeszczył oczy czując, że spowija go mrok przesączający się przez jego bariery obronne. Natężył wolę, ale moc Michaela zdawała się przenikać go na wskroś; im większą złość i frustrację odczuwał Michael, tym bardziej absorbujący i napastliwy, tym potężniejszy stawał się cień. Po kilku chwilach szamotaniny Biri padł na posadzkę.

Michael wysondował Sidha, nie wiedząc wprawdzie dokładnie, czego szuka, ale z przekonaniem, że to coś na pewno w nim jest. Żarząca się nić. Sznur. Więź, która scalała dyscyplinę Biriego.

Ktoś tkwiący na dnie podświadomości Michaela wpadł niemal w histerię. *Jezu! Przestań! Przestań, zanim pożresz siebie żywcem!* On jednak na to nie zważał. Przeciął sznur dyscypliny Biriego. Spojrzał na Shiafę osuwającą się na kolana, po czym przeniósł wzrok na Biriego, który leżał na posadzce, bezsilny jak nie sterowana przez nikogo marionetka.

- Przepraszam - zwrócił się Michael do Shiafy.

Nawet się nie siliła, by użyć angielszczyzny.

- Yassira bettl striks - syknęła. - Stosujesz niedozwolone chwyt.

- A dozwolone jest wytrzebiecie tysięcy niewinnych istot? - spytał zgryźliwie Michael kręcąc głową. - Do diabła z honorem Sidhów. Przepraszam, że wykorzystałem cię bez pytania. Nie było na to czasu.

Podźwignęła się na nogi i popatrzyła szeroko rozwartymi oczami na Biriego.

- Był przewodniczącym Malnu. Miał olbrzymią moc... Przewodniczącego wyposaża się w ukryte sfery dyscypliny.

Znów jestem bombą, pomyślał Michael. Bombą potężniejszą niż kiedykolwiek i z minuty na minutę coraz bardziej nieobliczalną. Ktoś będzie mnie musiał powstrzymać, nim to się skończy, albo...

Pokręcił wolno głową i zapuścił sondę w poszukiwaniu kolejnych Sidhów. Natrafił na dwoje; w jednym rozpoznał Kapłankę Godzin. Doszedł do wniosku, że nie napotka już na opór. Sidhowie z Malnu porzucili swą własną twierdzę, udając się prawdopodobnie na Ziemię... i pozostawili tu tylko Biriego. Nie spodziewali się, by ktokolwiek wdarł się tak głęboko w ich fortyfikacje.

Michael sięgnął do aury Biriego, by odczytać z niej, które drzwi wybrać. Sidh przetoczył się po posadzce i z trudem zaczerpnął haust powietrza, nadal nie mogąc się oswobodzić z uścisku cienia. Michael wahał się, czy nie rozwiąć cienia, ale po chwili porzucił tę myśl. *Nie kuś losu.*

Ruszył przez komnatę w kierunku właściwych drzwi. Dogoniła go Shiafa.

- Boję się o ciebie, Nauczycielu - wyszeptała chrapliwie. - Nie zdajesz sobie do końca sprawy, co czynisz.

- Amen - odparł Michael. Po spędzeniu w Królestwie tylu miesięcy w roli bezwolnego pionka czuł nieopisaną euforię, przekuwając teraz swoją niepewność, a nawet strach na oręż. Jak daleko może jeszcze w to brnąć, zwyciężając dla samego odegrania się? - Zbliży się czas, kiedy Sidhowie będą musieli sprostać wyzwaniu na swoim własnym terytorium. Maskowanie okrucieństwa obowiązkiem oraz nazywanie przez Sidhów nienawiści i zazdrości honorem i czystością przyprawiają mnie o mdłości. Diabli z wami wszystkimi.

Wyczuł w pobliżu tchnienie niepohamowanej furii Węża i aby ją zneutralizować, pogładził drzwi z nadmierną troskliwością, jak gdyby pieścił Kristine. Drewno było chropawe i nieheblowane. Tak jak się po części spodziewał, przemówiło do niego:

- Witaj, Człowieku-dziecko. - Głos był mu znany; to go zaskoczyło. Należał do służki Kapłanki; Michael poznał ją w Inyas Trai, gdy podróżował wraz z Nikołajem.

- Ulath?

- To zaszczyt dla mnie, że pamiętasz. Kapłanka cię oczekuje. Jest w swojej komnacie.

- Nie żyjesz? - Z doświadczenia wiedział, że tylko myśli umierających Sidhów wtłaczano w drzewo.

Głos roześmiał się.

- Ależ skąd! W tych drzwiach kryje się tylko cień. Tak mało nas tutaj i z tak wielu powodów musimy mieć się na baczności. Wejdz, człowieku-dziecko.

29

Drzwi otworzyły się do wewnątrz i Michael przekroczył próg. Shiafa nie weszła za nim.

- Ona zostaje - wyjaśniła Ulath.

- Czemu? - zdziwił się Michael, choć w duchu odetchnął z ulgą, że dziewczyna choć przez chwilę nie będzie mu deptać po piętach.

- Proszę, żadnych pytań. Musisz się pospieszyć.

Rozkład mrocznych, cichych pomieszczeń za sklepioną salą przypominał przekrój kostki pumeksu. Głos Ulath przeprowadzał Michaela z jednej okrągłej izby-bąbla do drugiej i zapamiętanie przebytej drogi oraz określanie aktualnego położenia przysparzało mu sporo trudu. Posadzki przykryte były sprężystymi dywanami tkanymi w mozaikowe wzory lśniące złotym blaskiem słońca i czerwienią koralu. We wszystkich salach, na szynach rozciągających się od ściany do ściany, rozpięto prześwitujące jedwabne zasłony farbowane w liściaste, kwieciste i geometryczne wzory.

Zdecydowanie nie tak wyobrażał sobie Michael twierdzę Malnu. Miejsce to tchnęło kobiecą wręcz wrażliwością i elegancją, tak kontrastującymi z wielowiekową działalnością Malnu.

- Stój - nakazał cicho głos Ulath, kiedy Michael znalazł się na samym środku kolejnej wielkiej, sklepionej sali, bardzo zresztą podobnej do tej, z której wyruszyli. Tu jednak pod kopułą zawieszono wymyślną imitację nieba za dnia, z sunącymi po nim tam i z powrotem kłaczkami obłoków i stylizowanym na złoty liść słońcem, które słało na wszystkie strony promienie przywodzące na myśl konary rozjarzonego drzewa.

Przez drzwi po przeciwnej stronie weszła do sali kobieta-Sidh ubrana w kremową szatę z czerwonym oblamowaniem. Po śniadej cerze, czarnych włosach, pełnych ustach i asymetrycznych brwiach Michael rozpoznał Morę, niegdysiejszą towarzyszkę Clarkhama. Uśmiechnęła się ciepło, choć z pewnym niepokojem, i zbliżyła powoli do Michaela, wlokąc za sobą tren sukni.

- Zdziwiasz nas wszystkich - odezwała się. - Sidhowie sądzili, że więcej cię nie ujrzą. Nawet Kapłanka.

Michael pokiwał głową.

- Żeby się tu dostać, musiałem... zmierzyć się z Birim. Pokonać go.

Mora nie wyglądała na stropioną.

- A więc nadzwyczaj urosłeś w siłę. Nielatwo zwyciężyć Birię. - Wyczuła zakłopotanie Michaela, wywołane jej szorstkim tonem. Biri, o czym dowiedział się Michael w ostatnich chwilach swojego pobytu w Xanadu Clarkhama, był kochankiem Mory, która służyła Clarkhamowi tylko przez wzgląd na interes Sidhów. - Przebywam tu w odosobnieniu, z dala od Birię, żeby nie przeszkadzać mu w karierze. - Patrzyła mu badawczo w oczy, chcąc wyczytać z nich coś więcej, ale Michael trzymał swe reakcje pod ścisłą kontrolą. - Czemu wróciłeś?

- Przybyłem tu, by zabrać ludzi z Królestwa z powrotem na Ziemię.

- Jeśli jesteś w stanie to zrobić, możesz liczyć na naszą współpracę. Kamienie przejściowe, które prowadziły na Ziemię, zostały zamknięte; nie mamy pewności, kto to zrobił.

- Może Tarax - zasugerował Michael.

- Może. Tak czy inaczej, Ulath utrzymuje, że powinniśmy zorganizować spotkanie z Kapłanką i z Mahlerem, który, jak sądzę, jest ci znany.

- Słuchałem trochę jego muzyki - powiedział Michael. - Waltiri widział... znał go; kiedyś, dawno temu. Korespondowali ze sobą. - Uniósł ze zdumieniem brwi. - Jest tutaj? Żywy?

- Tak. Mamy tu również człowieka nazwiskiem Mozart... W przeszłości on i Mahler kłócili się ze sobą. Polemizowali, że użyję fortunniejszego sformułowania. Mozart był zdumiony, kiedy Kapłanka zezwoliła Mahlerowi skontaktować się z ludźmi z Ziemi.

- A kiedy to się stało? - zainteresował się Michael.

- Niedawno. Parę dni, tygodni, może miesięcy temu, licząc według upływu czasu na Ziemi. Te tajne kontakty nawet się jeszcze nie zaczęły na dobre rozkręcać, Michaelu.

Wszystko stoi na etapie rozgrywek o władzę i wzajemnych podchodów. Mahler może zapoznać z twoimi planami wszystkich tu przetrzymywanych.

- A ilu ich jest? - spytał Michael.

- Pięć tysięcy dwudziestu jeden. Artyści, poeci, powieściopisarze, bajarze, kompozytorzy, garncarze, tancerze, wizjonerzy...

- I wszyscy... ostatnio? - *Od paru dni, miesięcy... wieków?*

- O nieba, nie - odparła ze śmiechem Mora. - Maln gromadził ich przez dziesięć tysięcy lat, odkąd skończył się Raj. Kapłanka została wyznaczona przez Adonnę do sprawowania nad nimi pieczy.

- A więc... nie tylko Emmę Livry tu sprowadzono.

- Ależ skąd. W żadnym razie. Jej przypadek był szczególny, jeśli zważyć na cierpienia, jakich doznała. Maln pozwolił Kapłance sprowadzić ją do Królestwa, choć nie stanowiła już dla nich zagrożenia ani nie mogła zostać wykorzystana przez ich wroga numer jeden, Clarkhama. Pozostali ludzie, którymi Maln nie interesował się aż do czasu, kiedy dali się poznać jako potencjalnie niebezpieczni, mieli największego pecha... Są wśród nich Mahler i Mozart.

Michael pokręcił ze zdumieniem głową.

- A więźniowie z Euterpe?

- Też tu są.

- A Nikolaj?

- Jest i on, wrócił z krótkiej ekspedycji na Ziemię. Jego wyprawa zaniepokoiła Biriego, który może, ale nie musi stosować się do poleceń Taraxa odnośnie zamykania przeznaczonych dla ludzi kamieni przejściowych w Inyas Trai.

- Czyli Kapłanka starała się umożliwić im powrót na Ziemię.

- Oczywiście. Oni nie mogą tu pozostać.

- Zatem wszyscy jesteście więźniami... a za strażnika macie Biriego?

- Są też inni strażnicy - powiedziała Mora, wzdrygając się nieznacznie. - Od czasu zejścia Adonny Królestwo stało się o wiele bardziej... twórcze, że tak powiem. Skorzystał na tym Maln. Wydostanie się stąd będzie dużo trudniejsze niż przejście w tę stronę.

Można się było tego spodziewać, przemknęło przez myśl Michaelowi.

- Chcę się teraz zobaczyć z Kapłanką - oświadczył.

Mora skinęła raz głową i odeszła. Michael odetchnął głęboko i przygotował się; podczas ich ostatniego spotkania to Kapłanka była panią sytuacji... czas zdawał się wtedy stać w miejscu, a wspomnienia o niej pojawiały się jedynie po długich godzinach kontemplacji, i

to w takiej sekwencji, by uświadomił sobie coś, co Kapłanka chciała mu przekazać: to mianowicie, że pełni jedynie rolę pionka.

Patrząc przez pryzmat własnych doświadczeń Michael mógł śmiało stwierdzić, że Kapłanka uprawiała magię specyficznego typu. Nie była to magia czynna, lecz bierna. Nie była arbitralna, nie służyła tworzeniu ani niszczeniu, ale dawała wskazówki, dopieszczała szczegóły i akceptowała sugestie z zewnątrz. Wbrew pozorom wcale nie ujmowało to Kapłance mocy.

Nie poszła za przykładem swej siostry, Elme, i nie odwróciła się od ich ojca, Tonna, maga Sidhów. Pozostała lojalna Tonnowi, późniejszemu Adonnie, Bogowi Królestwa. W podziękowanie Adonna obdarzył ją siedzibą i pozycją w Inyas Trai, i poparł co najmniej część jej starań podejmowanych na rzecz ludzi w Królestwie. Czyż tak naprawdę różniła się zatem od Elme? Może sposobem działania, ale czy intencjami?

Usłyszał i wyczuł, że nadchodzi. Aurę miała rozległą i przyjemną... jak również, więcej niż trochę, zwodniczą. Spenetrował warstewkę iluzji i odkrył pod nią ciepło. Prócz tego natrafił też na coś, od czego w oczach zakręciły mu się łzy, a krtań ścisnęło wzruszenie.

Kapłanka Godzin przekroczyła próg sali; za nią, jak cień, podążała Ulath. Dzienna kopuła jakby ożyła cieplarnianą duchotą. Kapłanka była smukłej postury, nosiła oblamowaną srebrem i złotem suknię w kolorze przesłaniających słońce obłoków. Z godną tancerki gracją sunęła bezszelestnie przez salę - *Kristine prawie dorównuje jej wdziękiem* - przez cały czas uśmiechając się do niego. Jedyne co było w niej zimnego, to oczy. Ponure, intensywnie niebieskozielone jak lód pod Królestwem, a kontrast jeszcze potęgował ów chłód. Była ponętna, ale wyraz jej oczu zdecydowanie odradzał jakikolwiek flirt.

I nie stosowała taktyki, której użyła podczas ostatniego ich spotkania. Nie traktowała go jak pionka ani bezradnego petenta.

Złotorude włosy miała przewiązane białą szarfą opadającą na plecy. Wyciągnęła do Michaela rękę, a ten ujął ją i nachyliwszy się odruchowo, ucałował.

- Witaj - odezwała się. - Przyjaciółko Nikolaja i oręż jednorazowego użytku w ręku Rad zerwał teraz pęta i znarowił się. - Miała zniewalający uśmiech, który znamionował subtelne poczucie humoru i brak jakichkolwiek skłonności do manifestowania swojego starszeństwa.

Traktuje mnie jak równego sobie... albo jak sprzymierzeńca, przemknęło przez myśl Michaelowi. *Mimo iż wcale sobie na to nie zasłużyłem. Kulturuje to, co we mnie tkwi.*

- Dziękuję - powiedział cicho Michael. - Prawdziwy to dla mnie zaszczyt stanąć znów przed twoim obliczem, Matko. - Sam był zaskoczony swoim układnym tonem, niemniej wydawał się on być jak najbardziej na miejscu.

- Tak się niefortunnie składa, że pozostało niewiele czasu na przedyskutowanie spraw i nawet my nie jesteśmy w stanie powstrzymać agonii tworu mego ojca. Choćbyśmy nawet wzięli się wszyscy za ręce i skoncentrowali całą naszą zespoloną moc.

Wyciągnęła przed siebie ręce i Michael je ujął. Wrażenie, jakiego doznał, było obezwładniające; rezonowało w nim jak echo pewnych zdolności, które, z czego od pewnego czasu zdawał sobie sprawę, rozwijały się w nim bez jego woli i wiedzy. Przy czym u Kapłanki zdolności te, choć słabsze (!), znajdowały się pod pełną kontrolą, w ryzach świadomości.

- Nawet wtedy - westchnęła z rezygnacją Kapłanka. - Jak zamierzasz ocalić naszych ludzi i Mieszkańców?

- Dokładnie jeszcze nie wiem - odparł Michael. - Wpierw muszę się dowiedzieć, co stoi na straży *Sklassy* i czy uda mi się otworzyć dostatecznie duże przejście na Ziemię, i to na wystarczająco długi okres.

- Już mnie zatem prześcignąłeś, skoro bierzesz w ogóle pod rozwagę takie przedsięwzięcia - stwierdziła żartobliwie Kapłanka. - Jedyne czarownicy plemienni, no i, naturalnie, mój ojciec, potrafią takie rzeczy, z tych zaś prawie wszyscy są już na Ziemi, razem ze swoimi ludami.

- To co mam... czym jestem... nie jest jeszcze rozwinięte, Matko - bąknął zmieszany. - Nie wiem, gdzie są granice moich możliwości. Mogę stanowić zagrożenie.

- A owszem, nawet je stanowisz. Ale jesteś dla nas ostatnią deską ratunku. Przypuszczam, że widziałeś prawdziwą *Sklassę* ?

Pokiwał głową.

- Nie to spodziewałem się ujrzeć - przyznał.

- Wizje fortec i makabreski... obawiam się, że są to w pewnym sensie żarty mojego ojca. Nakazał Taraxowi zbudować ów azyl, gdzie w zgodzie i harmonii mogłoby przebiegać współzycie Sidhów płci męskiej i żeńskiej. Twierdzą tą administrował Maln. Tu właśnie sprowadzono Sidhów wszystkich ras, z całego Królestwa, celem pojednania... - Posmutniała nagle. - Od milionów lat postępuje systematycznie degeneracja naszego gatunku. Fakt istnienia *Sklassy* utrzymywano w tajemnicy, ponieważ nie była centrum surowej mocy, lecz jedynie nadziei. I nadzieja ta okazała się płonna. Przyszła tu na świat zaledwie garstka dzieci. W ich liczbie nie ma nawet córki Taraxa, choć ten wziął sobie żonę właśnie ze *Sklassy*. Jego żona umarła. Zresztą większość kobiet, które tu przybyły, bądź już nie żyje, bądź wolałaby... W tej samej chwili Kapłanką owładnął mrok, który zmroził Michaela do szpiku kości. Sidhowie byli ginącym gatunkiem. Nawet Kapłanka postawiła już na nich krzyżyk.

- Zdaje się, że przyprowadziłeś ją ze sobą? - spytała. - Córkę Taraxa, Shiafę?

- Tak.

- I gdyby ci się powiodło, ona też przejdzie z nami na Ziemię?

Skinął głową.

- Póki co, jestem jej nauczycielem - oświadczył.

- Ach tak. Sam wiele się od niej nauczysz - powiedziała Kapłanka. - Łatwiej ci pójdzie, jak sądzę, jeśli zwiedzisz teraz kwatery swoich braci i siostr, prześledzisz nasze przygotowania do zbliżającego się końca i spotkasz się z Mahlerem. Od niego możesz uzyskać więcej praktycznych informacji.

Kapłanka pożegnała go słabiutkim uśmiechem. Ulath wzięła Michaela za rękę i wyprowadziła go przez inne drzwi..

- Kapłanka jest bardzo zmęczona - wyjaśniła. - Śmierć Adonny i piętrzące się od tamtego czasu problemy to nawet dla niej zbyt wielkie brzemię.

- Skąd się tu wzięłaś? - spytał Michael. - I gdzie jest reszta Malnu?

- Gdy Tarax przywiódł tu ludzi z Inyas Trai i innych ich siedzib w Królestwie, Kapłanka uparła się, że z nimi zostanie. Wtedy żył jeszcze Adonna, którego, coraz mniej wprawdzie, ale wciąż, bądź co bądź, słuchano. Niedługo po tym Maln rozwiązał się, by stworzyć czarownikom plemion i ras warunki do skoncentrowania się na problemie dezintegracji.

Kroczyli wijącym się sinusoidalnie korytarzem, mijając po drodze wiele drewnianych drzwi, na których literami alfabetu łacińskiego i nie tylko, wydrapane były imiona.

- Dezintegracji?

- Kiedy żywot Królestwa dobiegnie ostatecznie końca, musi się ono zdezintegrować. Ponieważ Królestwo usytuowane jest w szeregu światów nie opodal Ziemi, jego kres pociągnie za sobą konsekwencje.

- Tym akurat niewiele się do tej pory martwiłem.

- A zmieni rzeczywistość na Ziemi i wiele czasu upłynie, zanim wpływ rzeczywistości otaczającej Ziemię ponownie się ustabilizuje.

Gdy doszli do końca korytarza, Ulath otworzyła kolejne masywne drewniane drzwi i przepuściła Michaela przodem. Jego oczom ukazał się rozległy zapuszczony ogród wpełzający na wzgórze, których czarne, skalne, poszarpane uskokami szczyty najeżone były pniami dogorywających drzew, i ześlizgujący się w doliny, niegdyś kipiące zapewne bujną zielenią. Michaela ogarnęła nagle dezorientacja: Gdzie się podziała wieża? Za plecami mieli jedynie drzwi w niskiej cylindrycznej budowli z cegły, przypominającej przysadzisty silos. A

i niebo nie było teraz oleisto popielate, lecz zamglone, ciemne i niebieskoszare, jak półmrok spowijający międzyświaty.

Po ogrodzie snuli się, pojedynczo lub grupkami, mężczyźni i kobiety - ludzie - ubrali się po sidhowemu w białe *seple* i długie szare togi. Spacerujący najbliżej mężczyzna w średnim wieku, o orientalnych rysach, przyglądał się wprawdzie z pewnym zaciekawieniem Michaelowi i Ulath, ale podejść się nie kwapił.

- Oto nasi ludzie - oznajmiła z uśmiechem Ulath. - Dla Kapłanki stali się z czasem jak rodzone dzieci... - bo i rzeczywiście, w pewnym sensie jest ich ciotką.

- Gdzie jesteśmy? - spytał Michael.

- Cały czas w wieży. W budulec jej murów wtłoczono samoistne odsię-widzenie. Kapłanka i Adonna zaprojektowali to przed tysiącami lat, żeby Sidhowie mieli gdzie romansować i szukać ukojenia. Od dawna już nikt tego nie doglądał.

- Widzę. Smutno tutaj.

- W ogóle smutna z nas rasa - powiedziała cicho Ulath. Szli kamienną alejką, kluczącą między wzgórzami. Tu i ówdzie, pośród zarośli i między szkieletami drzew, rozrzucone były domki, bardzo podobne do chatki zamieszkiwanej przez Żurawice. - Niektórzy zdecydowali się wieść życie tutaj, inni w samej wieży.

- A poza wieżą?

- Biri zgromadził wszystkie chybione twory Adonny i rozlokował je właśnie na terenach przylegających do wieży. Nikt tam nie chodzi.

Przed nimi, na wzgórku górującym nad jeziorem o ołowianej toni, stał domek niepodobny do innych, mały i kwadratowy, opasany rozchwierutaną werandą. Najwyraźniej wzniesiono go niedawno i w pośpiechu, toteż nie posiadał właściwego pozostałym budynkom starodawnego charakteru.

Drzwi wychodzące na stronę przeciwną do jeziora były na wpół otwarte. Ulath zapukała lekko we framugę.

Otworzył mały, chudy, lekko przygarbiony człowieczek. Popatrzył na Michaela i Ulath znad binokli nasadzonych na wąski orli nos. Zaczesane do tyłu szpakowate włosy odsłaniały wysokie czoło i wieńczyły jego zabiedzoną postać; promieniował energią, która z miejsca zafascynowała Michaela.

- To ten nasz zbawiciel? - spytał człowieczek po angielsku, z leciutkim wiedeńskim akcentem.

- To Michael Perrin - odparła Ulath. - Chyba Poznajesz Gustava Mahlera? - zwróciła się do Michaela.

Michael wyciągnął niepewnie rękę. Mahler wpierw przyjrzał się jej ze ściągniętymi brwiami, po czym ścisnął obiema dłońmi i serdecznie potrząsnął.

- Zapraszam do środka - powiedział Mahler. Weszli do izby skromnie umeblowanej sprzętami z wikliny i drewna. Było tam małe biurczko i krzesło przykryte kawałkiem wytartego materiału w charakterystyczne dla Sidhów szaro-czarne kwieciste wzory. Na biurczku piętrzyły się stosy czerpanego domowym sposobem papieru, którego kremowe arkusze o postrzępionych brzegach pokryte było nabazgranymi pospiesznie nutami i kleksami wodnistego atramentu. Obok jednego ze świeżych kleksów leżało gęsie pióro. Pod przeciwległą ścianą stała wąska wiklinowa prycza zasłana bogato tkanym czerwonym pledem. Wszystkie ściany były gołe, jeśli nie liczyć obumarłych gałęzi sterczących z kątów izby na kształt uschniętych rąk.

Michael oniemiał. Mahler nie żył ponoć od osiemdziesięciu lat, a przecież obecny tu mężczyzna wiernie przypominał tego z fotografii, które pokazywała mu kiedyś Kristine, chociaż wydawał się o kilka lat starszy. Osłupienie Michaela potęgowało jeszcze wspomnienie niezwykłego koncertu w Royce Hall.

W przypadku Kapłanki Godzin miał do czynienia z magicznym zjawiskiem, z wielowiekową osobowością, którą przepajała moc nieludzkiego pochodzenia oraz sidhowa mistyka. Mahler był człowiekiem - pewnie nawet nie Mieszkańcem, w odróżnieniu od Michaela - a jego talenty miały naturę czysto ludzką, były śmiertelne.

- Dobrze wypadło? Byłeś tam? - dopytywał się Mahler.

- Co, proszę?

- Koncert. Nowa orkiestracja mojej symfonii, mojej Dziesiątej.

- Tak. Wypadła znakomicie - odparł Michael. Mahler zatarł kościste dłonie.

- O! Jak dobrze - wyrzucił z siebie niemal jednym tchem. - O jak świetnie. Zdolny był Jüngling z tego Bertholda Crooke'a. Podsuwałem pomysły, na ciskałem, a on był na tyle uprzejmy, że mnie słuchał. Frustrowało mnie, że nie mogłem tam być *incarnatus*, ale przecież jestem teraz duchem, prawda? Mużę. Niewiele wiem o obecnej Ziemi. To, co mi niegdyś pokazano... odrzuciło mnie. Ale muzykę praktykuje się na niej nadal. A i moja muzyka wciąż cieszy się powodzeniem. Jest... - Wziął głęboki oddech. - Jest, jak mniemam, bardziej popularna niż za mojego życia. I na ileż sposobów możecie jej teraz słuchać...!

Nagle jego twarz, która do tej pory wyrażała anielski wprost entuzjazm, pobladła i zdrętwiała. Popatrzył na Michaela i gestem zachęcił go do zajęcia miejsca na drugim wiklinowym krześle. Sam natomiast przysunął sobie krzesło sprzed biurka, usiadł na nim, po czym, wsparłszy łokcie na kolanach, splótł palce i nachylił się w jego stronę.

- Potrafisz przenieść nas z powrotem na Ziemię? Przywrócić nas wszystkich do życia?

- Przybyłem tu, żeby spróbować - odparł Michael.

- Czy... czy moja córka jeszcze żyje? Czy Anna jeszcze żyje?

Michael spojrział na Ulath.

- Nie wiem - powiedział.

- Kiedy mnie zabrano, kiedy umarłem, wasi... urządzili jej takie piekło. - Mahler potrząsnął gniewnie głową, a twarz mu poczerwieniała. - Kiedy mi pokazano, kiedy Maln... kiedy Tarax, ten przeklęty sukinsyn, mi pokazał... Ślubowałem, że nigdy już nie chcę nieć do czynienia z Ziemią.

- Nie rozumiem - powiedział Michael.

- Nakłonili mnie, żebym dla nich pracował - wyjaśnił Mahler. - Maln pozwolił mi się przekonać na własne oczy, co się wyprawia na Ziemi. Alma! Jej mogę jeszcze okazać zrozumienie i przebaczenie, choć ten cały Werfel... - Pokręcił ze smutkiem głową. Jego huśtawkę nastrojów dałoby się przyrównać do gry światła i cienia podczas wietrznej, pochmurnej aury. - Ale moja najmłodsza córka! Moja jedyna córka!

Michael wciąż milczał skrępowany.

- Nie słyszałeś o nich, o obozach, strażnikach, krematoriach? Zmuszali moją córkę do muzykowania ku uciesze ludzkich bestii. Kazali jej zabawiać muzyką tych, którzy w każdej chwili mogli ją zabić, tak jak czynili to ze wszystkimi dookoła. Patrzyłem na to i nienawidziłem. Nienawidziłem własnych rodaków. Przysięgam, że nigdy... - Poderwał się z krzesła i pochylił nad biurkiem, odwracając twarz od Michaela. Zachowywał się nieco teatralnie, ale autentyczność jego uczuć była niekwestionowana.

Michael wysondował delikatnie mężczyznę i zaczerpnął z jego aury gmatwaninę zatrwających wizji: obozy koncentracyjne zakładane przez Niemców w Europie przed i podczas drugiej wojny światowej.

- Maln pokazał panu to wszystko? - spytał z niedowierzaniem Michael.

- Tak. Żydzi. Cyganie. Katolicy. Dzieci. Starcy. Cały mój świat pożarty przez wojny! Błogosławiłem dzień, kiedy zabrano mnie z tego ohydneho ziemskiego padołu.

Policzki Mahlera były mokre od łez. Nagle się wyprostował, objął rękami w pasie i spojrział na Michaela smutnym, nieobecny wzrokiem.

- Chcieli ode mnie pieśni. I tworzyłem dla nich pieśni. Nieporównywalne jednakże z symfoniami, z moją Dziesiątą. Nie jestem teraz na Ziemi, a wszak z Ziemi właśnie czerpałem swoją siłę. Erde. Moja matka, matka pól, lasów i przestworzy. - Podniósł ręce i pokiwał wymownie głową, wysuwając do przodu spiczasty podbródek.

- No nic. Oto z czym się do mnie zwrócili. Powiedzieli, że moja muzyka, moja Dziesiąta, jest Pieśnią Władzy. Mówili, że wykonana prawidłowo umożliwi Królestwu, po krótkotrwałej agonii, gładkie zespolenie z Ziemią, nie grożące destrukcją tej ostatniej. Że zharmonizuje oba światy. Tak więc pracowałem w snach owego młodzieńca, Analizatora mojej symfonii, której sam nie mogłem ukończyć, głównie przez... Sidhów! - uśmiechnął się ironicznie i Michael wbrew woli uczynił to samo. - Nasłuchasz się od nich. Diabelnie trudno ze mną współpracować. Jestem perfekcjonistą. Perfekcji wymagam jednak w granicach rozsądku. Nie mogłem oczekiwać perfekcji dyrygując młodym człowiekiem jak lalkarz, któremu obcięto połowę sznurków. Ale mogłem oczekiwać siły i najwyraźniej... wydobyłem ją. Bez mojej muzyki... - Wyrzucił przed siebie ręce i rozcapierzył palce. - Gdyby nie one, Sidhowie wróciliby do naszego świata i wyginęli wkrótce po krachu Królestwa.

- Wszystko to wyjaśnił panu Maln? - domyślił się Michael. Zaczynał dostrzegać inne oblicze Malnu, różniące się diametralnie od tego, które poznał podczas swojej pierwszej tutaj wizyty.

- Nigdy mnie nie okłamali - oświadczył uroczyście Mahler. - Obchodzili się przyzwoicie z nami wszystkimi... Odkąd tylko zostaliśmy tu przeniesieni. Jediną torturą, jaką zadawali, było ukazywanie nam, co dzieje się na Ziemi. Nasze dzieci i wnuki pomordowane, miasta w płomieniach, szaleństwo i szaleńcy. „Oto wasze człowieczeństwo”, mawiali.

Michael poczuł nagły przyływ gniewu.

- A pokazali panu inne rzeczy? Ludzi zwyciężających choroby, usiłujących zwalczać skutki głodu i klęsk żywiołowych? Podróżujących na Księżyc?

Mahler pokręcił głową, jakby uważał te sprawy za nie warte uwagi.

- Prawdą było, co pokazali. - Obrzucił Michaela surowym spojrzeniem. - Podróżujących na Księżyc?

Michael skinął głową.

- Ładujących na Księżycu - przytaknął.

- Wasi ludzie oglądali jedynie to, co Maln uznał za stosowne im pokazać - zabrała głos Ulath - i to tylko w szczególnych przypadkach.

- Twierdzili, że Sidhowie - powiedział cichym, bezbarwnym tonem Mahler - za sprawą magii byli na Księżycu i dalej... - Usiadł z powrotem. - Pokazywano mi maszyny, które grają muzykę, zapisują... nagrywają ją. Sidhowie też tak potrafią. Umieją wyczarować z powietrza całą orkiestrę... - Pstryknął palcami. - Chcieli mnie przekonać, że wszystko co się robi na Ziemi, wszystko co robią ludzie, oni również potrafią. Jakież to deprymujące.

Michael stłumił wzbierający w nim gniew i podążył wewnętrznym tokiem myśli, rozwijającym się tak szybko, że ledwie mógł za nim nadążyć. Nie tyle śledził przebieg zdarzeń, co był ich biernym obserwatorem: krawędzie Królestwa ścierały się z granicami Ziemi i wygładzały na rubieżach - zarówno tych namacalnych, jak i duchowych.

Nawet jeśli Pieśń Władzy Mahlera zadziała, śmierć Królestwa i tak zmieni ziemską rzeczywistość. Wszystko co pozostanie w Królestwie, ulegnie destrukcji. W żaden sposób jednak nie był w stanie otworzyć bramy dla pięciu tysięcy ludzi. Zresztą i tak mogłoby się to okazać nienajfortunniejszym rozwiązaniem.

Michael doznał ponownie zimnego, świdrującego uczucia niepewności. Zamknął na kilka sekund oczy i przemógł strach. Krok, jaki rozważam... nie rozważam, obserwuję raczej w swoim wykonaniu... Miarą wartości jest odwaga. Nie sukces czy porażka.

Powstał i uściśnął wyciągnięte dłonie Mahlera.

- Może pan zaimprovizować pewną kompozycję? Naraz do chatki wkroczył jakiś wielki czarnoskóry mężczyzna i na widok Ulath oraz Michaela skłonił się nisko przed służką Kapłanki, składając przed sobą ręce.

- Proszę wybaczyć - powiedział tubalnym głosem. - Gustavie, w wieży zbiera się komitet. Bes Amato i Hillel pytają, czy się wybierasz. Chcą omówić ponownie *Die Zauberflöte*.

Michael bez trudu odczytał aurę mężczyzny. Przed ponad dwoma tysiącami lat był on żołnierzem w armii mauretańskiego króla Bocchusa. Michael nie znał tamtej epoki na tyle dobrze, by móc rozeznawać się w jego wspomnieniach. Zorientował się jedynie, że kiedyś mężczyzna był najwyraźniej gawędziarzem, śpiewakiem i łucznikiem.

- To jest Uffas - przedstawił przybysza Mahler. - Dyrektor naszego spektaklu.

- Jakiego spektaklu? - spytał Michael.

- Muzyczno-teatralno-tanecznego - wyjaśnił Mahler. - Ku upamiętnieniu naszego ocalenia od śmierci w niewoli. Uffasie, komitet powinien wiedzieć, że może nie starczyć nam czasu na zaprezentowanie spektaklu. Ten człowiek przybył tu, by nas uratować.

Uffas przyjrzał się Michaelowi z leciutką, niemal wyrozumiałą podejrzliwością.

- Przygotowania prowadzimy od miesięcy - po wiedział.

Mahler otoczył wielkiego Murzyna ramieniem.

- Uffasie, od jak dawna tu jesteś?

- Od wieków. Sam nie wiem.

- I czym się tutaj zajmujesz?

- Zabawiam Sidhów śpiewem i opowieściami.

- Tak jak moja córka - wtrącił cicho Mahler, patrząc na Michaela. Przeniósł wzrok na Ulath, smukłą i nieruchomą. - Tak jak Anna muzykująca dla bestii. Komitetowi o niczym nie mów. Niech sobie planują. Być może znajdzie się czas i będziemy celebrować coś innego. Życie.

Uffas wyszedł i Mahler zamknął za nim drzwi.

- Przepraszam, o co to pytałeś, zanim zjawił się Uffas?

- Pytałem, czy może pan zagrać na fortepianie utwór, zupełnie nowy utwór, bez nut, bez wcześniejszych prób?

W oczach Mahlera pojawił się tęskny wyraz.

- Nie za bardzo - przyznał. - Ale znam kogoś, kto potrafi.

- Kto to taki?

- Wolferl - odparł Mahler. - Mozart. On celuje w tego typu popisach. Do czegoż potrzebna jest taka umiejętność?

- Do uratowania nas wszystkich będzie mi potrzebna muzyka - wyjaśnił Michael. - Zaimprovizowana Pieśń Władzy.

Mahler uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Wiesz, Mozart śmiertelnie się tu nudzi. Tak jak ja, jak większość z nas, nad tę przechowalnię przedkłada zdecydowanie dramaturgię i gorycz Ziemi. Mam nadzieję, że Kapłanka nie uważa nas za niewdzięczników... Ale tak to już tutaj jest. Mozart i ja często się kiedyś ze sobą sprzeczałyśmy. Ale myślę, że zgodzi się spróbować.

Michael wytłumaczył Ulath, co będzie potrzebne.

- I przyprowadźcie tu Shiafę - dodał.

- Kapłanka nie życzy jej sobie w *Sklassie* - oznajmiła Ulath.

- Powiedz Kapłance, że będę jej potrzebował - powiedział stanowczo Michael. Jego *hubris* popchnęła go do przeciwstawienia się samej Kapłance Godzin! Odwrócił się z powrotem do Mahlera. - Gdzie jest teraz Mozart? - spytał, rozpierany znów niewysłowioną euforią. Mozart!

- Chodźcie za mną - powiedział Mahler. - Jeśli nie zajmuje się akurat muzyką albo pogaduszkami, zastaniemy go w jego komnacie w wieży.

Wolfgang Amadeusz Mozart, który na Ziemi umarł rzekomo na tyfus w wieku trzydziestu pięciu lat, drewniane drzwi swojej komnaty pozostawił otwarte, a kotarę

odsuniętą. Mahler zapukał cicho w koralową ścianę, po czym osłonił dłonią usta i odwrócił się do Michaela.

- Drzemie - szepnął z nabożnym niemal szacunkiem. - Nie będziemy...

- Nie mamy wyboru - przerwał mu Michael. Wkroczyli całą trójką do środka. Mozart leżał na wiklinowej pryczy, przykryty brązowym kocem. Miał na sobie szarą szatę haftowaną w czarne liście, szytą najwyraźniej na Sidha, bo sięgała mu aż za stopy. Pod zwiewną tkaniną rysował się wyraźnie jego wydatny brzuch. Michael stanął nad śpiącym i pochyliwszy się dotknął jego ramienia.

Mozart otworzył oczy i popatrzył na Michaela, po czym obrócił głowę i ujrzał stojącego w progu Mahlera.

- O Boże, Gustavie, nie teraz - stęknął po niemiecku. - Przecież śpię. Później pogadamy o tym spektaklu. - Spojrzał ponownie na Michaela i uniósł się na łokciach. - Jesteś w mojej komnacie - warknął. - Nie gap się tak.

Mozart przypominał bardzo elokwentne, smutne dziecko. Mógł mieć lat trzydzieści, ale równie dobrze i czterdzieści; gdyby sędzić po wyglądzie, czas zatrzymał się dla niego w jakimś nieokreślonym punkcie między wiekiem średnim a statecznym. Jego wielkie, lekko wylupiaste oczy patrzyły z sympatią, nawet kiedy się irytował. Przerzedzające się rudawe włosy miał krótko przystrzyżone i starannie zaczesane do tyłu.

Nie nosi peruki, przemknęło, przez myśl Michaelowi.

- Potrzebujemy pana - odezwał się. - Wracamy na Ziemię.

Mozart zamrugał oczami i uśmiechnął się.

- Mahler też? - spytał.

- Wszyscy.

- Skoro Mahler wraca, ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

- Ależ Wolferl - upomniał go Mahler. - Sprzecząmy się czasem - wyjaśnił Michaelowi - ale tak w ogóle to jesteśmy przyjaciółmi.

- Mowa-trawa - prychnął Mozart. Wodził badawczym wzrokiem po twarzy Michaela.

- Coś ty za jeden? - spytał wreszcie.

- Jestem z Ziemi - wyjaśnił Michael. - Bawię tu od niedawna.

- Tak, ale ktoś ty?

- Nazywam się Michael Perrin - odparł Michael. - Jeśli to coś panu mówi.

- Nic a nic - mruknął Mozart.

- Czas nagli.

- To prawda? - zwrócił się Mozart do Ulath, która kiwnęła głową. - Niech wam będzie - burknął siadając na pryczy. - Pal lichu to *Ort*. Byle dalej stąd. To wszystko było jednym wielkim zawracaniem dupy.

Michael odwrócił się do Ulath.

- Czy jest tu jakaś wielka sala, która pomieściłaby wszystkich? - spytał.

- Jest. Na szczycie wieży. Amfiteatr niebios.

- Przecież został zarezerwowany na spektakl wtrącił Mozart. - Co, odwołano go?

- Przekaż, proszę, Kapłance, że każdy, kto przebywa w *Sklassie*, a pragnie powrócić na Ziemię - pragnie żyć - musi się niezwłocznie stawić w amfiteatrze. Macie tu chyba jakiś fortepian?

- Mamy - przytaknęła Ulath. - Jak również inne ludzkie instrumenty... sprowadziliśmy je tutaj za zgodą Malnu...

- Na spektakl - wpadł jej w słowo Mozart. - Cóż za śpiewaków zaangażowano do mojej opery! Kapłanka we własnej osobie w roli Królowej Nocy, a Uffas... poznałeś Uffasa? W roli Monostatosa...

- Chodzi tylko o fortepian. Proszę ustawić go w amfiteatrze.

- Co tu jest grane? - wtrącił się oburzony Mozart.

- Wiadomo panu, że muzyka może przenosić ludzi do Królestwa? - spytał Michael.

- Owszem - odparł Mozart, odsłaniając w uśmiechu nierówne zęby. - Sam napisałem sporo takiej muzyki. Tak mi przynajmniej mówią. - Mrugnął porozumiewawczo do Ulath.

- My spróbujemy na odwrót. Musi pan zagrać utwór, który przeniesie nas na Ziemię. Ma to być najbardziej wirtuozerski i czarowny kawałek, jaki kiedykolwiek pan zagrał.

Mozart wpatrywał się zdumiony w Michaela.

- To tyś go na mnie napuścił - zwrócił się oskarżycielskim tonem do Mahlera.

- A co, nie podołasz? - spytał prowokująco Manier.

Mozart wzruszył ramionami.

- Dajcie mi się ubrać - powiedział. - Prób nie będzie?

- Nie mamy czasu - odparł Michael.

- Ja miałbym nie podołać - gderał Mozart. - Dziwię się, że nikt mnie dotąd o to nie poprosił. „*Wir wandeln durch die Tones Macht / Froh durch des Todes diistre Nacht.*” Znasz to?

Michael przyznał, że nie.

- „Ražno kroczy w śmierci noc / Z pieśnią, co stwarza naszą moc.” Szkoda, że odwołano spektakl, nie będziesz miał okazji posłuchać, jak to gramy. Głosy mamy tutaj

najbardziej *engelgleich* pod słońcem. Ale przecież bezproduktywnie spędziłem te parę ładnych dziesiątków lat w towarzystwie samych Czarowników i zblizowanych geniuszy. Okropna męczarnia. - Spuścił nogi z pryczy, wstał, przeciągnął się i obrócił. - Co mam założyć? - spytał.

- Sugerowałbym strój uroczysty - odpowiedział Mahler.

- O tak. Mój ulubiony. A teraz bądźcie łaskawi zejść mi z oczu, wszyscy.

Michael wrócił na zewnętrzny dziedziniec, by sprawdzić co z Birem. Zastał go w nie zmienionym stanie, bezradnego, usidlonego przez cień. Biri przypatrywał mu się poprzez macki cienia pustym wzrokiem spętanego prosięcia, pogodzonego z myślą, że idzie na rzeź.

- No i jak będzie? - zagaił Michael. - Nadal zamierzasz mi się przeciwstawiać?

Biri milczał.

- Poradziłeś mi, bym nigdy nie ufał żadnemu Sidhowi. Z drugiej strony tutejsi ludzie powiadają, że Sidhowie nigdy ich nie okłamali. Myślę... - Ukucnął, by spojrzeć Biriemu prosto w oczy. - Myślę, że zostałeś wykorzystany w nie mniejszym stopniu niż ja przez Maln i całą resztę. Morę też wykorzystano. Poświęcili cię. Sam chyba masz teraz tego świadomość. Zostawili cię tu na pewną śmierć.

Biri odwrócił głowę i wbił wzrok w posadzkę.

- Cóż, przegrałeś. Ale nie musisz ginąć. Jeśli się nam powiedzie, w taki czy inny sposób, przeniesiesz się na Ziemię wraz z nami. Poproszę Kapłankę, by miała cię na oku. Mogę nie uwalniać cię z tego cienia. Ale udajesz się na Ziemię.

- Jestem pohańbiony - wyrzucił w końcu z siebie Biri. - Stokroć lepiej byłoby mnie zabić.

- Bzdura - odparł Michael. - Zbyt wiele czeka nas pracy. Musimy pomóc twemu ludowi na Ziemi. Z pewnością będę potrzebował wsparcia. Myślę, że czas kłamstw skończył się definitywnie. Pomożesz?

Cera Biriego przybrała kolor perłowszary.

- Według ciebie wszyscy jesteśmy pionkami.

- A gra wkracza w decydującą fazę. Nie ma już większości figur. Pionki mają teraz teraz kluczowe znaczenie. Maszerujemy przez szachownicę. Grasz w szachy?

- Sidhowie nie grają w gry ludzi. Niemniej znam reguły.

- Zatem wiesz, że jeśli pionek dojdzie do końca szachownicy, może się stać bardzo potężną figurą?

- Tak, ale nigdy królem. Michael wzruszył ramionami.

- Reguły się zmieniają. Czy obdarzając cię teraz zaufaniem, palnę głupstwo?

Biri popatrzył mu prosto w oczy.

Cień rozwiął się za dotknięciem Michaela.

- Zbieramy się wszyscy w amfiteatrze - zakomunikował Michael.

Ze szczytu wieży można było objąć wzrokiem to wszystko, co pozostało z Królestwa. Olbrzymie połacie łądu zniknęły bezpowrotnie w czeluściach przepaści; terytoria okalające *Chebal Malen* zostały przeszyte wyrzynającymi się z ziemi igłami lodu. Podłoże, jak okiem sięgnąć, nie ustawało w ruchu, kolebiąc się i podrygując w rytm powolnego, spazmatycznego tańca. Stojąc na koronie amfiteatru, pod lśniącym czarnym niebem. Michael obserwował, jak głównymi wejściami usytuowanymi wokół sceny wlewa się sukcesywnie pięć tysięcy ludzi. Amfiteatr był dostosowany do przyjęcia publiczności czterotysięcznej; podczas występu będzie ścisk, co jednak nie powinno zakłócić słuchaczom odbioru.

Przejściem na koronie widowni zbliżyła się do niego Shiafa. Włosy miała zwichrzone i pozlepiane. Michaelowi wydała się podobna do sponiewieranej dziewczyny rodzaju ludzkiego; uświadomił sobie z bólem, że tak wystraszonego i nieszczęśliwego Sidha jak ona nie zdarzyło mu się jeszcze spotkać. Shiafa sądziła, że wszystkich ich czeka rychła śmierć, i straciła zaufanie do swojego nauczyciela.

- Na co ci jestem tutaj potrzebna? - spytała z wyrzutem. - Krzywo tu na mnie patrz. Są zdania, że noszę piętno mojego ojca.

- Magia jest przekazywana przez kobiety - powiedział Michael. - Nie potrzebuję twojej magii dla siebie, lecz do pomocy w przeniesieniu nas wszystkich na Ziemię. Ponieważ nie ma czasu na bawienie się w subtelności, będę musiał... - Potrząsnął głową. - Nawet nie potrafię tego wyrazić. Gdy już będzie po wszystkim, poznasz swój potencjał i czas twojego szkolenia ulegnie znacznemu skróceniu.

- Czy ty aby wiesz, na co się porywasz? - upewniła się.

- Nie - przyznał Michael. - Nie za bardzo. - *Wszyscy ryzykujemy życiem.*

Popatrzyła na góry. Z miejsca, gdzie stali, widać było bezludne Kamienne Pole i pustą nieckę *Nebchat Len*.

- Mój ojciec wcale cię nie zna - stwierdziła. - Nie myślisz kategoriami Sidha. Człowieka również nie.

Michael skinął głową, choć tak naprawdę myślami był gdzie indziej. Wsłuchiwał się w pewną wewnętrzną konwersację, za którą tylko częściowo nadażał; w konwersację pomiędzy różnymi częstkami samego siebie, w gwar wszystkich swoich głosów przemawiających naraz. Te części nie mogły już trwać dłużej we wzajemnej separacji. Gdy dzieło zostanie dokonane, nie będzie już w stanie wyodrębnić poszczególnych swoich „ja” i poświęcać ich

w charakterze cienia; będzie mógł rzucić jedynie ten cień, który towarzyszy śmiertelnemu zejściu. Zatraci tę właściwą neofitom umiejętność. Zgubiłeś się już z Michaeliem Perrinem. Gdzież on, pośród tych wszystkich głosów?

- Królestwu nie pozostało już chyba więcej jak godzina - stwierdził Michael. W dłoniach czuł przyprawiającą niemal o mdłości wibrację.

W kierunku górnych rzędów amfiteatru przeciskało się przez tłum troje ludzi. Wykaraskawszy się z ciżby, weszli po schodkach na koronę i ruszyli w stronę Michaela i Shiafy. Ujrawszy idącego na czele Nikołaja, Michael uśmiechnął się szeroko, wnet jednak stropił się rozpoznawszy w towarzyszącej mu dwójce Helenę i Savarina. Ale nie było już w nim żadnej goryczy. Tamte cienie poświęcił dawno temu.

Nikołaj podbiegł do Michaela i wyściskał go serdecznie.

- No to jesteśmy w komplecie! - wykrzyknął Rosjanin z twarzą poczerwieniałą z wysiłku. - Ach, cóż to się nie działo, odkąd próbowałem stąd uciec! Ale grunt, że tu jesteśmy, całe Euterpe... Emma Livry i inni... no i ty!

Helena, uśmiechając się nerwowo, trzymała się trochę na uboczu. Nikołaj odsunął się, a Michael wyciągnął do nich ręce.

- Przyjaciele - powiedział.

Helena z trudem przełknęła ślinę i ujęła delikatnie jego dłoń. Savarin pokiwał uroczyście głową i uczynił to samo. Nikołaj wyjął chusteczkę i głośno wysmarkał nos. Na widok łez w ich oczach Michael doświadczył kolejnego ukłucia niepokoju. Nie mógł przeżywać tak silnych emocji w trakcie swych wewnętrznych przygotowań.

- Jak wspaniale - rozczulił się Nikołaj. - Zbliży się koniec, a my wszyscy razem.

- Jaki tam koniec - zaoponował Michael. - Wracamy na Ziemię. Powrócimy tą samą drogą, którą tu przybyliście.

- Krąży pewna plotka... - odezwał się Savarin. - Że Mozart będzie grał... A spektakl odwołano. Czy to prawda?

Michael skinął głową.

Helena, mrużąc oczy, zerknęła ponad ramieniem Michaela na Shiafę. Helena wyraźnie się postarzała... wyglądała na kobietę po trzydziestce albo i starszą. Michael wątpił, by w Królestwie mogło upłynąć aż tak wiele lat.

- Lepiej zajmijcie już miejsca - poradził Michael.

- Nie uwierzysz, kto tu z nami jest! - paplał dalej Nikołaj. - Oprócz Mozarta. Ludzie, o których nigdyśmy nie słyszeli, choć wybitni z nich artyści i... - Ujrzał zafrasowanie Michaela

i klasnął przed twarzą dłońmi. - Później. Później porozmawiamy. - Pchnął Savarina i Helenę po schodkach do miejsc pod koroną.

Twarze ludzi wypełniających tłumnie amfiteatr były tak różne, jak liście na drzewie jesienną porą. Michael widział reprezentantów wszystkich ras i z pewnym zaskoczeniem - czy to wszystko przestanie go kiedykolwiek zadziwiać? - stwierdził, że ponad połowę, może i trzy czwarte zgromadzonych tu ludzi stanowią kobiety

Oto ci najznamienitsi, ci, w których Sidhowie upatrywali największe zagrożenie dla swojej dominującej pozycji na Ziemi. Maln od tysiąca lat wyluskiwał te jednostki z ludzkiej społeczności i przenośli do Królestwa... a przeważały wśród nich kobiety.

Magia jest przekazywana przez kobiety. Czyżby owo porzekadło, czy jak je tam nazwać, odnosiło się zarówno do Sidhów, jak i ludzi? I czyżby niniejsze proporcje tłumaczyły główną osobliwość związaną ze środowiskami artystycznymi na Ziemi, a mianowicie supremację mężczyzn?

Jedynie szerokie przejście między skrzydłami amfiteatru świeciło już prawie pustkami. Michael i Shiafa ruszyli po schodkach na dół, mijając po drodze kilkoro ludzi odzianych w sidhowe szaty przystrojone wykonanymi własnoręcznie ozdobami właściwymi epokom, z których pochodzili. Nieznajomi przyglądali się w milczeniu przechodzącym obok Michaelowi i Shiafie. Michael zaś wyczuwał u nich coś, w czym zawsze upatrywał różnicę między ludźmi a Sidhami: głęboko zakodowaną rezerwę i styl, godność. Wyczuwał również siłę ich osobowości, dostrzegał klarowność oczu, bez względu na wiek, jakiego dożyli w nietypowej skali czasu obowiązującej w Królestwie, oraz twarze wyrażające spokojne oczekiwanie. Bali się, ale nie ulegali panice; niepokoili, ale nie popadali w histerię. Wszyscy, co do jednego, gotowali się na rychłą śmierć, ale pogodzeni z losem zachowywali zimną krew.

Michael i Shiafa wystąpili na środek amfiteatru, na eliptyczną estradę o szerokości sześćdziesięciu stóp i głębokości trzydziestu. Stał już na niej ciężki czarny fortepian z otwartym wiekiem.

Czy Pieśń Władzy można zagrać na samym fortepianie? Do wykonania koncertu Walthieriego i symfonii Mahlera potrzebowano całych orkiestr... no, ale były to przecież utwory rozpisane na wiele instrumentów. Mozart zagra coś znacznie mniej złożonego. Tajemnica nie tkwiła w skali, lecz w subtelności kompozycji. A jeśli ta muzyka nie wystarczy... Wówczas wkroczy Michael, z mocą swoją i Shiafy.

A jednak w wylupiastych oczach Mozarta coś się czaiło. W tym czymś było więcej magii niż w całej dyscyplinie Sidhów.

Michael omiótł wzrokiem wewnętrzny krąg ławek i dostrzegł siedzące nie opodal Ulath i Kapłankę Godzin. Ulath przypatrywała mu się z chłodnym zainteresowaniem. Obok Kapłanki siedziała subtelnej urody tancerka Emma Livry wraz ze swą dziwną, chudą towarzyszką. Emma nie patrzyła w stronę Michaela; czekała na Mozarta, skupiając całą uwagę na scenie.

Nigdzie nie było widać Mahlera.

Michael coraz bardziej się niecierpliwił. Zapуścił sondę w poszukiwaniu Mozarta i odnalazł kompozytora w małym, ciemnym pokoiku pod sceną, szepczącego o czymś z Mahlerem. Mozartowi nie udzielało się napięcie, był niemal na luzie, ale drzemały w nim olbrzymie pokłady energii, a jego pewność siebie działała wielce pokrzepiająco. Nie wątpi, że mu się powiedzie, uświadomił sobie Michael. Miarą wartości jest odwaga.

Czas zaczynał już wyczyniać dziwne harce. W miarę jak Królestwo zagęszczało się i zapadało, gnijąc i rozsypując się na kawałki, Michael nawet w *Sklassie* wyczuwał konwulsyjne skurcze każdej usiłującej przeminąć chwili, każdej jakby wstrząsanej bólem sekundy.

Mozart odetchnął głęboko, wyszedł z pokoiku i wbiegł po paru schodkach na scenę. Miał na sobie błękitny surdut, białe pantalony, długie pończochy oraz upudrowaną białą perukę na głowie. Na jego widok Kapłanka rozpromieniła się i Michael wywnioskował że Mozart, podobnie jak Livry, jest jednym z jej ulubieńców.

Michael wysondował jego wspomnienia i ujrzał tam upiorną postać w czerni, zlecającą Mozartowi skomponowanie requiem... i interwencję Malnu, w celu przerwania jego kariery na Ziemi, zanim to requiem ukończy...

Clarkham! Z tego co słyszał Moffat, tą postacią w czerni nie mógł być nikt inny. Mozart niemal na pewno jako pierwszy, jeszcze przed Coleridge'em, padł ofiarą Clarkhama.

I znów to, co czuł do Clarkhama, zaczęło w nim wzbierać i odkładać się ciężarem; był to nie tyle gniew, co swego rodzaju determinacja.

Myśli Michaela zbliżyły się do ostrej granicy podziału. Spojrzał na scenę, gdzie Mozart, rozluźniony, jakby nie towarzyszyło mu żadne audytorium, zasiadał właśnie do fortepianu.

Stojąc pod kopułą oleisto czarnego nieba, wyczuwając w dłoniach puls czasu przypominający szamotaninę zranionego gołębia, Michael uświadomił sobie nagle, że po policzkach ściekają mu łzy.

Zginiesz z własnej ręki. Pożegnaj się z tym wszystkim, czym do tej pory byłeś. Tkwi wciąż w tobie szesnastoletni chłopiec, którego jedynym pragnieniem jest normalne

dorastanie. Zabijesz go: a to ty właśnie. Stąd bierze swój początek nowa osoba, osoba niezwykajna, przygnieciona brzemieniem niewyobrażalnej wprost odpowiedzialności. Pomyślał o kluczu, o notce Walthiriego i drzwiach domu Clarkhama. Gdyby najzwyczajniej w świecie nie przemierzył wówczas tamtej alejki, czy doszłoby do któregoś z późniejszych wydarzeń? Czy uwikłałby się w ten niesamowicie zagmatwany, piękny i straszny zarazem koszmar? Wyglądało na to, że przekraczając próg owych drzwi zapoczątkował gruntowną zmianę całej rzeczywistości.

Świadkowie Jehowy hołdujący szalonym i niewzruszonym wyobrażeniom o historii i prorocztwie, o drodze do wieczności... Czy byli choć trochę bardziej szaleni niż on z całym bagażem swoich nowych doświadczeń? Chyba nie.

Byli jednak słabsi.

Najbardziej zatrząsała go myśl, że w tym specyficznym koszmarze właśnie on ma grać pierwsze skrzypce. Mógł modelować światy na rozmaite sposoby, tworzyć z nich raje bądź piekła lub po prostu czuwać nad ich dalszym rozwojem, z poszanowaniem dorobku przeszłości.

Mozart zdecydowanym ruchem położył palce na klawiszach.

Jestem kluczem. Niewielu jeszcze zdaje sobie z tego sprawę. A ja nie mam nawet pewności, kim jestem ani kim się stanę. Michael próbował wskrzesić w sobie poczucie pewności siebie, którego wcześniej doznawał; niezachwiane przekonanie o słuszności podjętych działań. Nie potrafił. Takie przekonanie było konieczne, ale nie czuł się z nim dobrze.

Wciąż nie był mu dany luksus długotrwałej introspekcji.

Mozart siedział przy fortepianie z przekrzywioną na bok głową, wsłuchując się w muzykę, którą jego palce wydobędą za chwilę z instrumentu. Wreszcie zaczął grać, z początku powoli, z implikacjami niepokoju i strachu, w tonacji G-moll. Wnet jednak przeszedł do tonacji dur i muzyka zaczęła nabierać werwy.

Przez moment Michael próbował analizować tę muzykę. Ale zaraz dał sobie z tym spokój i przymknął oczy, po prostu się na nią otwierając. Bez żadnych analiz, bez doszukiwania się za dźwiękami jakiegoś zapisu nutowego - którego oczywiście nie było - muzyka ta była w stanie osiągnąć postawiony przed nią cel. Definiowała nie pojedyncze słowa i myśli, lecz tworzyła cały język światów i prowadziła Michaela, a jednocześnie rzucała czar na audytorium. Dostrzegą różnice między światami i odkryją, że mają wybór...

Bo gra Mozarta była w istocie definicją zdrowych zmysłów, ładu i pokoju. Nie znaczyło to, że brakuje w niej konfliktu: nie była cukierkowata. Spokojnie, acz zdecydowanie szkiełowała miejsce, gdzie będzie się żyło cudownie.

Z tego co pamiętał Michael o utworach Mozarta słuchanych kiedyś z płyt Waltiriego, praktycznie cała jego muzyka czyniła to samo. Niczym zbawienie wprowadzała pewną alternatywę w świat ludzi, którym żyć przyszło w ciężkich czasach, pośród tarć społecznych i szarej rzeczywistości.

Najlepsze, czym możemy być.

Michael spuścił wzrok na swoje złożone ręce. Między splecionymi palcami coś się jarzyło. Ulath cały czas go obserwowała. W jej oczach czaił się lęk. Kapłanka Godzin, wsłuchana w muzykę Mozarta, z dłońmi złożonymi na wysokości piersi i pochyloną głową, pograżyła się jakby w modlitwie.

- Shiafo - szepnął Michael unosząc ręce. - Czy zespolisz się ze mną, ten jeden raz?

Wstrząsały nią dreszcze.

- Umrzemy - wyrzuciła z siebie. Michaelowi przypomniła się Eleuth, która, nie będąc jeszcze przygotowaną, spróbowała potężnej magii.

- Nie sądzę. Jeśli nie spróbujemy, też umrzemy, a z nami oni wszyscy.

- Mój ojciec mnie ochroni - odparła. - Jest Bogiem Królestwa.

- Powierzył cię mnie - przypomniał jej Michael.

Czy Tarax będzie interweniował?

- Czego ode mnie oczekujesz? Czy tego, co mogę przekazać jedynie w akcie parzenia? Nawet nie wiem, co to może być.

- Nie chodzi o parzenie - uspokoił ją Michael. - Obejdzie się bez niego. Potrzebuję tego, co nosisz w sobie, a czego sam nie mogę wziąć. Ty jedna możesz mi, nam, to dać i zapewniam cię, że sobie tego nie przywłaszczę.

Shiafa wzniosła oczy do nieba. Muzykę nie tyle się teraz słyszało, co przeżywało. Mozart był na dobrej drodze.

- Tak się boję - szepnęła wzdrygając się.

- Ja też. - Michael rozłączył dłonie, uwalniając spomiędzy nich światło. Wyciągnął do niej prawą rękę. Z wyjątkiem Ulath nie zwracał na nich uwagi nikt z zahipnotyzowanego muzyką audytorium. - Czasu jest za mało, by cię wyszkolić i wpoić ci dyscyplinę. Nie mogę uczynić cię taką, jaką pragnąłby cię widzieć twój ojciec. Stare tradycje nie zdadzą się już na nic. Pomóż mi ukuć nowe.

I Shiafa ujęła jego dłoń i delikatnie ją ścisnęła.

Spomiędzy ich palców wymknęło się mlecznobiałe światło.

Dłonią wolnej ręki Michael poczuł, że czas kruszy się jak ściśnięta grudka ziemi. Niepewna czerń nieba przerodziła się w niebyt i bezpostaciowość śmierci. Amfiteatr przekrzywił się i jał ulatniać ku górze, czemu towarzyszyło rozpadanie się i rozmazywanie całej jego koralowej czerwieni.

Teraz nasza kolej, przekazał Michael Shiafie poprzez ich połączone dłonie. Ludzi w amfiteatrze zaczarowała muzyka Mozarta, ale czasu na ich przeniesienie już nie było. Michael musiał teraz stworzyć swój pierwszy, mały światek i zawrzeć ich wszystkich w nim.

Gdzie jesteście? zapytała Shiafa.

Chyba nie żyjemy, poinformował ją Michael. Nic nie widzieli, nic nie czuli; istniały tylko ich myśli i połączona energia. Wokół nich - jeśli słowa „wokół” można w ogóle użyć dla określenia relacji w warunkach braku przestrzeni i spójnego czasu - znajdowali się ludzie, którzy poprzednio zasiadali w amfiteatrze oraz muzyka Mozarta, sam jej wzór bez dźwięku. Michael obrał ten wzór za model.

Nie było czasu na położenie pod powstający świat solidnych podwalin. Zaczął tworzyć „prowizorkę” - z ciepłem, odległością, namiastką czasu. Czego jeszcze potrzebuje świat? Granic. Ustanowił pewne rozmiary.

Ujrzał trzy ręce. Złączone w uścisku swoją i Shiafy oraz drugą swoją. Na dłoni wolnej ręki zobaczył perłę wielkości włoskiego orzecha. Perła zakwitła i przeistoczyła się w koralowoczerwoną różę. Krawędzie różanych płatków rozwinęły się w czerwone linie, wibrujące pod wzór muzyki Mozarta. Czerwone linie wybrzuszyły się i zetknęły ze sobą, wyznaczając zamkniętą przestrzeń, po czym zanikły. I znów na jego dłoni pojawiła się znikąd perła, tym razem wielkości piłki baseballowej. Ścisnął ją w garści i odesłał - nie była potrzebna. Przyda się kiedy indziej.

Pięć tysięcy ludzi otoczyła przestrzeń i spowiło ciepło. Michael nasłuchiwał odgłosów Ziemi. Była oczywiście całkiem niedaleko i nuciła swą skomplikowaną, miarową, lecz w pewnym sensie niedostrojoną melodię.

Czujesz Ziemię? zwrócił się do Shiafy.

Tak.

Oto co pozostawiła wojna między Sidhami a ludźmi - dziczały ogród. Nienawiść, ból i zdradę.

Tak.

Nasze ludy są bardziej do siebie podobne, niż im się wydaje.

Tak.

Musisz mi pomóc w przeniesieniu nas wszystkich na Ziemię. Czy czujesz, jak należy się do tego zabrać? Trening wymuszony przez okoliczności...

Odparła, że czuje ten przymus, ale nie wie jeszcze, jakimi metodami mu sprostać.

Po prostu się wsłuchaj... poradził. Wczuj się w dodawanie i odbieranie. Musimy przybyć na Ziemię w momencie, kiedy nie zachodzi ani dodawanie, ani odbieranie: następnie zaś musimy się do niej dostroić.

Już się nie bała. Wyczuł u niej nieco tej pewności siebie, która wcześniej udzielała się jemu.

Śmiało, zachęcił.

Poniżej zamajaczył szereg międzyświatów przypominających koszarne mapy plastyczne, przewinęły się wszystkie cienie i zaniechane ewentualności. Odwrócił się do nich plecami, twarzą ku pieśni autentycznej i skończonej Ziemi.

Granice światka Michaela rozmywały się. Kres jego pierwszej kreacji był już bliski.

Ukazała się Ziemia, a wokół niej wszelkie możliwe punkty przestrzeni i czasu. Zignorował punkty prawdopodobieństwa - *jak Sidhowie odnajdywali drogę między gwiazdami, zanim ten świat nie połączył się jeszcze z innymi światami, kiedy był tak nieporównywalnie mniejszy* - i skoncentrował się na tym, co było mu znajome.

Młody, tęskniący za domem Michael Perrin w jednej chwili rozrósł się niewyobrażalnie i przejął inicjatywę. Shifafa nie opierała się. Ten nowszy, potężniejszy Michael też nie. W dole objawiało im swoje nocne oblicze Los Angeles.

Potrzebowali miejsca, gdzie mogłaby ostatecznie prysnąć otaczająca ich bańka, miejsca, które pomieści wszystkich, pustego miejsca...

Stadion Dodgersow, opustoszały, drzemający w mroku pod ciepłym, nocnym niebem

Przygarnął ich i pierwszy świat Michaela umarł.

Jak boisko długie i szerokie, na jego naturalnej murawie, na polach wewnętrznym i zewnętrznym, aż po samo ogrodzenie z siatki, stało pięć tysięcy ludzi, a wśród nich i tacy, którzy nie oglądali Ziemi od mileniów.

Martwe Królestwo nakładało się na Ziemię i przenikało przez nią; księżyc i słońce przemknęły cieniem i ogniem po nieboskłonie. Zadrzał grunt i wszyscy popadali na ręce i kolana. Łoskot i wstrząsy trwały bardzo długo; Michaela nurtowało pytanie, czy symfonia Mahlera jest aby w stanie zamortyzować ten upadek. Naraz łoskot ustał i grunt znieruchomiał.

W ciszy, jaka zapadła, Michael puścił dłoń Shiafy.

- Dziękuję - powiedział.

Shiafa pozbierała się z ziemi i usiadła po turecku.

- To Ziemia? - spytała, podnosząc wzrok na szeregi ciemnych siedzeń w koncentrycznych rzędach i palące się gdzieś gdzieś światełka sygnalizacyjne.

- Tak - powiedział Michael.

- Nie sprawia korzystnego wrażenia - stwierdziła. - Nieprzyjemnie tu.

Nie zaprzeczył.

32

Blask porannej zorzy muskał już strzępiaste obłoki sunące wysoko nad Los Angeles. Michael w asyście Shiafy, Nikołaja i Ulath przechadzał się wśród ludzi siedzących, stojących, rozmawiających lub wodzących po prostu pustym wzrokiem - po niebie, po ścianach, po rzędach siedzeń - i usiłował oszacować wagę ich wspólnego problemu.

Pięć tysięcy ludzi. Przestraszonych, w przeważającej mierze nie znających dzisiejszej Ziemi. Mających niebawem zgłodnieć. Sprowadzonych raptem do świata i tak pełnego już niepokojów i chaosu. Przebywających tu w większości nielegalnie.

- Trzeba to jakoś zorganizować - odezwał się. - Jak administrowała nimi Kapłanka w Sklassie?

- Mają rzeczników - jednego na każdą pięćdziesiątkę - oraz trybuna na każdym dziesięciu rzeczników. Trybuni zaś kierują petycje do asystentów Kapłanki - wyjaśniła Ulath.

Michael zacisnął usta, zastanawiając się nad czymś gorączkowo.

- Gdzie Biri? I reszta asystentów? - spytał.

- Widziałem Biriego, jak badał ściany otaczające to boisko - pośpieszył z odpowiedzią Nikołaj. Michael poszukał Biriego sondą i odnalazłszy go, posłał ociągającego się Nikołaja, by sprowadził Sidha do środka grupy koczującej koło drugiej bazy.

- Nikomu nie wolno opuszczać stadionu, dopóki nie dowiem się, jakie warunki panują na zewnątrz. Sądzę - właściwie już to wiedział, ale nie oswoił się jeszcze z tą świadomością - że Biri będzie z nami współpracował. Wspólnymi siłami zdołamy utrzymać porządek... a gdzie Kapłanka? - Wyczuwał jej obecność, ale nie potrafił sprecyzować, gdzie się właściwie znajduje.

- Postanowiła rozprzestrzenić się wśród swoich dzieci - powiedziała Ulath.

- Co to znaczy?

- Jest teraz rozproszona. Będzie towarzyszyć nam wszystkim oraz przebywającym na Ziemi Sidhom.

- Jak mamy się z nią kontaktować?

- Jestem z nią w kontakcie - oznajmiła Ulath.

- No dobrze, ale czemu zrobiła to teraz, kiedy jej potrzebujemy?

- Bo jest tutaj Tarax. Doprowadził Królestwo do kresu istnienia i teraz rozpoczyna swoje panowanie na Ziemi. Rozprzestrzeniając się, Kapłanka zapewnia nam najskuteczniejszą ochronę.

Michael przymknął na moment oczy, by poszukać jej myśli. *Co się z tobą stało? Nie żyjesz?*

- Kapłanka żyje.

- A ja wciąż wiele jeszcze muszę się nauczyć o Sidhach - westchnął.

- Może o samej Kapłance - zasugerowała z uśmiechem Ulath.

Nadeszli Nikołaj z Birim; Biri podążał kilka kroków za Rosjaninem.

- To zepsute miejsce - powiedziała Biri. - Jest brudne i nieprzyjemne.

- Nie ma to jak w domu. - Michael poinformował go, że będą musieli ustanowić strefę bezpieczeństwa, by uniemożliwić ludziom z zewnątrz dostanie się na teren stadionu, a przebywającym tutaj samowolne jego opuszczenie.

- Nie będzie z tym większego problemu - uznał Biri.

- Pomoże ci Ulath i reszta asystentów Kapłanki.

- Poradzę sobie sam.

- Świetnie. Będę musiał udać się na zewnątrz i przygotować grunt. Czy poza Kapłanką wszyscy tu są?

- Ależ Kapłanka też tu jest - powtórzyła z uporem Ulath.

- Niech ci będzie. Więc jak?

- Chyba wszyscy - powiedział Nikołaj.

- Gdzie Mozart i Mahler?

- Poszukam ich - zaofiarował się Nikołaj i ruszył biegiem między grupkami ludzi.

Wciąż sprawują się nad podziw dobrze, pomyślał Michael. Żadnego biadolenia, żadnej paniki ani samowoli. I to wcale nie dlatego, że są oszołomieni. Być może będzie miał mniej problemów, niż zakładał, przynajmniej z tymi pięcioma tysiącami na stadionie.

Do Michała zbliżył się samotnie Savarin. Szaty miał powalane na zielono od trawy i lekko przykurzone.

- To naprawdę Ziemia? - zagadnął.

- Tak - odparł Michael. - Nie jesteś przypadkiem rzecznikiem albo trybunem?

- Henryk jest trybunem - oznajmiła Ulath. Savarin uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Zawsze miałem dryg do organizowania - wytłumaczył.

- To dobrze. W takim razie pomożesz nam... - Kątem oka dostrzegł Nikołaja powracającego w towarzystwie Mahlera i Mozarta. - Przepraszam - zwrócił się do Savarina.

Michael uściśnął serdecznie Mozarta i potrząsnął ręką Mahlera.

- Udało wam się - powiedział.

- Wolferl zagrał fenomenalnie - przyznał Mahler.

- Hmm, cóż, przy takiej publiczności, *nein*?

- Czy zechcecie mi obaj towarzyszyć? - spytał Michael. - Na zewnątrz będę potrzebował pomocników. Nikołaju, ciebie też...

- Z chęcią - wpadł mu w słowo Nikołaj. Mahler westchnął głęboko i pokręcił głową.

- Powietrze bardzo brzydko tutaj pachnie - stwierdził.

- Do wielu rzeczy trzeba się będzie przyzwyczać. Mam tu kilku znajomych, którzy bardzo chcieliby was poznać. Muszę przedzwonić w parę miejsc... to znaczy porozmawiać z nimi. - O ile działają jeszcze telefony.

- Ja idę - oświadczył ochotczo Mozart. - To doprawdy pasjonujące. - Nie widać było jednak po nim zapалу, na jaki wskazywałby jego ton.

Mahler przesunął dłonią po wysokim czole i siwych włosach.

- *Ja* - mruknął. - Tylko nie forsuj nas zbyt. No wiesz, nie jesteśmy już młodzieniaszkami.

- Mów za siebie - burknął Mozart. Przepięli się całą grupą przez tłum zgromadzony na płycie boiska i zeszli pochylnią pod trybuny. Michael rozglądał się za jakimś automatem telefonicznym, chociaż pamiętał, że w kieszeniach swoich obszarpanych łachów nie ma ani centa.

- Przed nami jakiś przestraszony człowiek - oznajmiła Shiafa, gdy mijali drzwi szatni. Michael też go wyczuł., w dodatku był uzbrojony.

- Pewnie strażnik - domyślił się Michael. - Lepiej się ujawnijmy. - Otoczył dłońmi usta. - Hej! Potrzebujemy pomocy.

Z ciemności wyłonił się mężczyzna w średnim wieku, w szarym mundurze, z rewolwerem w ręku.

- Coście, u diabła, za jedni? - warknął.

- Potrzebujemy pomocy - powtórzył Michael, odsuwając ręce od tułowia i dając innym znak, by uczynili to samo. - Muszę zadzwonić. Na boisku jest pełno ludzi.

- Widziałem. Coś jak te cudaki, co teraz wyłażą z każdej dziury.

- Nie nie, oni nie z tych - uspokoił go Michael. - Większość z nich to ludzie, tak jak ja. Trzeba się nimi zająć. Musimy zadzwonić na policję, do miasta. Nie mają dachu nad głową, jedzenia, ubrania.

- Co tu jest w ogóle grane? - spytał strażnik, zupełnie skołowany. Był teraz tak blisko, że Michael widział jego spoconą twarz i złowróżbny odbłask na czarnej lufie służbowego rewolweru.

- Szukam telefonu - rzucił Michael.

- Nie działają. Znaczą się działają, ale nie przez cały czas. A ty kto?

Michael zbliżył się powoli, z rozłożonymi rękami do strażnika i podał mu swoje nazwisko oraz adres. Strażnik przychylił się w końcu do prośby i zaprowadził ich do automatu na końcu korytarza. Broni jednak nie schował i wciąż trzymał bezpieczny dystans.

Michael podziękował mu uśmiechem i wykręcił numer centrali. Usłyszał najpierw sygnał, a potem głos z taśmy wyrecytował: „Z połączeń telefonicznych można korzystać tylko w sytuacjach kryzysowych. Za chwilę zgłosi się dyżurny. Jeśli nie jest to sytuacja kryzysowa, proszę się rozłączyć. Nieuzasadnione niepokojenie służb kryzysowych będzie karane”. ...

Pół minuty potem w słuchawce rozległ się znużony męski głos:

- Tylko sytuacje kryzysowe. Mogę w czymś po móc?

- Owszem. Muszę się skontaktować z biurem burmistrza.

- Chyba żeś się z choinki urwał - rozsierdził się dyżurny. - Dzwonisz z automatu. Nie obsługujemy automatów, o ile nie jest to wezwanie policji albo zgłoszenie wypadku z rannymi.

- No dobrze - powiedział cierpliwie Michael. - Proszę mnie więc połączyć z centralą policji.

- Na twoją odpowiedzialność.

Nim połączenie zostało zrealizowane, minęło kilka minut. Wreszcie w słuchawce odezwał się jeszcze bardziej znużony, kobiecy głos.

- Chcę rozmawiać z porucznikiem Harveyem z wydziału zabójstw - powiedział Michael.

- Porucznik Harvey nie pracuje już w wydziale zabójstw. Został przydzielony do Sił Przeciwinwazyjnych.

- Wszystko jedno gdzie pracuje, muszę z nim porozmawiać.

- Czy to uzasadniony przypadek?

- Tak - odparł Michael. Zerknął na strażnika. - Rozmawiam właśnie z policją - oznajmił osłaniając dłonią mikrofon słuchawki.

- Siły Przeciwinwazyjne, sierżant Donato przy aparacie.

- Moje nazwisko Michael Perrin.

W słuchawce rozległ się świst gwałtownego wdechu, a potem wyrzucane w pośpiechu słowa:

- Chwileczkę. Już przełączam do pokoju porucznika Harveya.

- Dziękuję - powiedział Michael. Podsycił ostrożnie *hylokę*, dopiero teraz uświadamiając sobie, jaki jest zmęczony. Strażnik pozostawał wciąż na swoim miejscu, ale opuścił już rewolwer o parę cali i osuszał właśnie czoło chusteczką. Przyglądał im się bacznie, przenosząc wzrok z błękitnego surduta, białych pantalonów i rajtuz Mozarta na ciemną szatę Mahlera, a następnie na obszarpane spodnie i luźną bluzę Shiafy.

- A tak właściwie to skąd żeście się tu wzięli? - spytał niespokojnie.

- Z krainy snów - odparł Mozart. - Właśnie się przebudziliśmy.

- Niemcy?

- Ja jestem Rosjanin - sprostował skwapliwie Nikołaj.

- A wy?

Michael z miejsca rozpoznał donośne „halo” porucznika Harveya.

- Gdzie pan, u diabła, jest? - spytał Harvey. Sądząc po głosie porucznik był u kresu sił.

- Niedaleko. Dzwonię ze Stadionu Dodgersów. Mam tu w pewnym sensie sytuację kryzysową.

- Tak? - spytał niepewnie Harvey.

- Potrzebuję żywności, odzieży i schronienia dla około pięciu tysięcy ludzi. Istot ludzkich. Jest tu też kilku Sidhów.

Milczenie Harveya przedłużało się.

- Będzie z tym mały kłopot - powiedział w końcu. - Stadion Dodgersów? Jak to?

- No, na boisku.

- Pytam, skąd oni się tam wzięli?

- Z Królestwa - wyjaśnił Michael.

- Wszyscy naraz?

- Wszyscy naraz.

W śmiechu Harveya zabrzmiała jakaś ostra nuta.

- Wie pan - powiedział - prawie się już przyzwyczailem do tego bajzlu. To pan pomógł mi się przygotować. Chyba jestem winien panu wdzięczność. Czy ci ludzie są niebezpieczni? .

- Nie - zapewnił Michael. - Są w większości przestraszeni. Niektórzy nie byli tu od bardzo dawna.

- W porządku. Zobaczę, co się da zrobić. Zamierza pan tam pozostać?

- Raczej nie - odparł Michael myśląc gorączkowo. - Mam jeszcze na głowie mnóstwo innych zajęć. Powołamy tu komitet, który spotka się z pańskimi ludźmi i podejmie z nimi współpracę.

- Zaraz skompletuję zespół. Trochę mi głupio o to pytać, ale kiedy się znowu usłyszymy?

- Nie wiem - powiedział Michael. Po prostu nie był w stanie przewidzieć, ile czasu zajmie mu uporanie się z kilkoma kolejnymi wyzwaniem. - Może mi pan udostępnić otwartą linię? Muszę porozmawiać z rodzicami.

- Jasne zaczekać.

- Dzięki

Taksówkarz - tęgi Libańczyk z przyciętym równo wąsem i ciekawskimi, rozbieganymi oczkami - wiozący Michaela, Shiafę, Mahlera i Mozarta trasę z postoju przy stadionie pod dom Waltiriego pokonał w rekordowym czasie. Ulice świeciły pustkami.

- Ja jeden w taką porę na mieście - zagał łamaną angielszczyzną. - Każdy inny to w domu zostaje. Ja się nie boję te duchy. Strach ludziom szkodzi. - Zerknął nerwowo na odbicie Shiafy we wstecznym lusterku. - Nie myślicie, że strach ludziom szkodzi?

Nikt mu nie odpowiedział. Mahler i Mozart patrzyli jak urzeczeni. Nowoczesne budynki i wielkomięjski galimatias Los Angeles stanowiły całkowite przeciwieństwo wszystkiego, co do tej pory znali.

- Paskudztwo - pomrukiwał raz po raz Mahler, ale nie odwracał oczu.

Oślupiały Mozart, siedzący na tylnej kanapie między Mahlerem i Shiafą, ścisnął kolanami złożone jak do modlitwy ręce i nie poruszając głową rzucał na boki spłoszone spojrzenia.

Michael był tak wycieńczony, że zdobył się jedynie na wyemitowanie słabego kręgu świadomości nastrojonego na Taraxa i Clarkhama. Jego bardziej doświadczone oko -

wspomagane sporadycznymi uwagami kierowcy - dostrzegało już w mieście nowe, dziwne nieprawidłowości.

Poranne niebo nad miastem pocięte było dziko skłębionymi chmurami sunącymi na kilku poziomach. Czegoś takiego Michael nigdy jeszcze nie widział. Powietrze pachniało elektrycznością, a z odczuwanego nieustanne w dłoniach świerzbień wnioskował, że śmierć Królestwa zakłóciła pieśń Ziemi. Ziemia, być może za sprawą Taraxa, przejęła też od Królestwa niektóre właściwości. Michael uświadomił sobie, że uprawianie magii na Ziemi nie będzie już teraz takie trudne.

- Żaden człowiek na całym Wilshire. We środę! - zalił się taksówkarz, wskazując wymachem wolnej ręki za okno. - Wy dzisiaj moje pierwsze pasażery. Bóg wie, po co ja pracuję, ale ani żonę mam, ani dzieci, i ta taksówka całe moje życie.

- Doceniamy fakt, że pan pracuje - przyznał Michael.

- Posłuchajcie moja rada. Wyglądacie wszyscy zaniepokojeni. Należycie do jakiś rockowy zespół, kapela jakaś? Widzę ja wasz strój. Fajna ta peruka. Wszyscy jacyś wymiętoleni, jakbyście cała noc grali koncert... Dobrze. - Pokręcił głową.

- Tak, jesteśmy muzykami - przyznał Michael. Naraz przyłapał się na potakiwaniu głową w rytm wybijany przez jakiś wewnętrzny bęben i wysiłkiem woli powstrzymał ten niekontrolowany odruch. - Ciężkie czasy nastały.

Nagle Mozart, nie wiedząc czemu, parsknął śmiechem i przyciągając się za oparcie przedniego fotela, nachylił się do Michaela.

- Wszędzie jest tak szpetnie? - jęknął żałośnie. - Naprawdę nie ma już na czym zatrzymać oka?

- Przykro mi - odparł Michael. - Wkrótce będziemy w domu. - Zerknął na Mahlera. - W domu Arno Waltiriego.

I znów ujrzał w oczach Mahlera ów wyraz tęsknego rozmarzenia.

- Waltiri. Olśniewający młodzieniec. Jest już pewnie bardzo stary.

- Nie żyje - uściślił Michael. Na wyjaśnienie szczegółów przyjdzie jeszcze czas.

Gdy taksówka z czwórką pasażerów zatrzymała się przy krawężniku, John i Ruth podnieśli się z frontowych schodków domu Waltiriego. John zapłacił za kurs, a Ruth wzięła Michaela w objęcia. Reszta stała na chodniku mrużąc i osłaniając oczy przed rażącymi promieniami słońca.

- Każdy ma tutaj własną maleńką posiadłość - zauważył Mozart rozglądając się po okolicy.

Michael i John uścisnęli się bez wylewności, po męsku.

- Witaj w domu - powiedział John. - Wracasz, kiedy najgorsze już za nami. Ruth i ja domyśliliśmy się, że na powrót wybierzesz sobie dzisiejszy poranek. Po prostu... wydawał się stosowny.

- Po trzęsieniu ziemi - dodała Ruth. - I po fałszywym świecie.

Ruszyli powoli w stronę domku i po drodze Michael dokonał wzajemnych prezentacji. Kiedy zatrzymali się przed drzwiami, sięgnął po klucz, mimo wszystkich przejść wciąż tkwiący w kieszeni, wsunął go w zamek i przekręcił.

Ze środka powiało ciepłym wiatrem niosącym zapach jaśminu, kapryfolium i herbacianych róż. Całe wnętrze domu Waltiriego zarastały rozkwitające rośliny i winorośle. Pięły się po ścianach do samego sufitu, splątywały pod nim w łuk i oplatały wszystkie meble; nie było ich tylko na podłodze i w wąskim korytarzyku. Ze wszystkich konarów i gałęzek, z każdej maleńkiej dziupli, mrugając oczkami, przypatrywały się Michaelowi zaszyte wśród listowia ptaki. Gołębie i wróble urzędujące na podłodze wzbijały się z furkotem skrzydeł w powietrze i rozpięchły, spłoszone ruchem otwierających się coraz szerzej drzwi: pozostałe ptaki obserwowały intruzów zaspanymi czarnymi ślepkami, nic sobie nie robiąc z ludzkiej obecności.

- W porządku - wymruczał powoli Michael, zatrzymując się w korytarzu i rozkładając szeroko ręce.

- Czuję moc - odezwała się Shiafa. Ruth obrzuciła ją spojrzeniem pełnym nieskrywanego lęku, przypominając sobie najwyraźniej wieśniaczkę z Południa, którą jej pradziadek pojął był za żonę.

Mozart usiadł na stopniu schodków prowadzących na ganek i wsparłszy głowę na dłoni patrzył tępo na ulicę, nazbyt już oszołomiony oglądanymi na każdym kroku cudami, by zdumiewać się teraz widokiem domu pełnego leśnej roślinności i ptactwa.

- Gdzie będziemy spać? Tam? - spytał i wskazał za siebie.

Michael, Shiafa i Mahler, brodząc w kwiatach, przeszli korytarzykiem do schodów, które prowadziły na pierwsze piętro. Ptaki usuwały im się z drogi, nie okazując zbytniego zaniepokojenia.

- To na pewno czary - podsumował Mahler. - Tyle ptactwa, a tak tu czysto.

- Czujesz coś? - zwrócił się Michael do Shiafy.

- Tak. Czuć moc. Jest tu ktoś ważny.

Ze szczytu schodów jął zeskakiwać wielki czarny kruk z czerwono upierzoną piersią i oczkami w białych obwódkach. Nie zwracając na nich uwagi, pokonywał w skupieniu kolejne

stopnie i dopiero stanąwszy na samym dole, zaczął przypatrywać się Michaelowi. Wysuwał przy tym z otwartego dzioba cienki czarny języczek i przekrzywiał łebek pod różnymi kątami.

- Arno? - spytał cicho Michael.

Kruk zadarł łepkę.

- Arno nie żyje - wykrakał. - Nastął czas cudów. Z chłopca mężczyzna. Śmierć światów. Bogowie też mrą.

Michael przykucnął, by przyjrzeć się ptakowi z bliska.

- Byłeś Arnem? - spytał.

- Pomagało nim być. Arno był człowiek. Odszedł gdzie zmarli.

- Jesteś...

- Jestem pierzasty mag - przerwał mu kruk stąpając majestatycznie. Rozpostarł skrzydła i prezentował w całej okazałości opalizujące czarne upierzenie i widomy dowód swojej niewoli pod obydwoma skrzydłami.

Mahler wzdrygnął się zaskoczony. Jakiś wróbel przysiadł mu na ramieniu i zacwierkał; był to w istocie pierwszy ptasi szczebiot, jaki tu usłyszeli. Mahler nie odpędził ptaszka, wyraźnie oczarowany, ale i markotny zarazem.

- Co to niby ma znaczyć? - spytał.

- Tylko tyle, że spać będziemy u moich rodziców - odparł Michael. - Prawda? - zwrócił się do kruka.

- Wracaj. Czas się narodzić. Okowy wkrótce pękną. Ciebie wybieramy. Wracaj.

- W porządku - powiedział Michael wyprostowując się. - Wrócę.

Kiedy byli już na zewnątrz i przeszli parę przecznic, kierując się w stronę domu rodziców Michaela, John spytał:

- Przepraszam Michael, że tak ci wierzę dziurę w brzuchu, ale co to wszystko właściwie znaczy?

- Na Ziemię znów zawitała magia i już nie tylko Sidhowie nią władają - wyjaśnił ojcu.

- Dostyc złowróżbne słowa, synu - stwierdził oschle John. - Wytłumacz mi to na chłopski rozum.

- Ja już chyba wiem - odezwała się Ruth. - Znów wszyscy jesteśmy razem. Nie ma już dokąd pójść. Kraina Czarów umarła. Musimy się nauczyć żyć obok siebie.

- Złożymy się na komorne - wtrącił skołowany Mozart. - Daleko to jeszcze?

Byli prawie na miejscu.

John sprawiał wrażenie oszołomionego. Za Mozartem, Mahlerem i swoim synem wszedł po schodach na piętro. Mozart zajrzał do łazienki, gdzie Michael wyjmował akurat ręczniki z szafki na bieliznę.

- Mamy tu mnóstwo miejsca - oznajmił John. Mahler przeciągnął się i ziewnął. John zaczął nagle przyglądać się uważniej dwójce mężczyzn i oczy coraz bardziej mu się rozszerzały. Michael przeszedł obok niego z naręczem ręczników.

- Chyba damy ich do pokoju gościnnego: są tam dwa łóżka - zaproponował John.

- Jednego można zakwaterować u mnie - powiedział Michael. - Ja raczej nie będę sypiał.

- Zgoda. Pan do pokoju Michaela.

Mozart chciał wiedzieć, gdzie to jest, i John otworzył mu odpowiednie drzwi.

- Znakomicie. Ciasny, ale własny. Biorę. - Podziękował Johnowi i zatrzasnął za sobą drzwi. John stał nadal na korytarzu z rękami wbitymi w kieszenie, mrugając oczami jak sowa.

- Głęboko doceniamy pańską gościnność - zwrócił się do niego Mahler. - Tylko nie rozumiem, dlaczego pana syn nas tutaj przyprowadził.

- Ja też nie - odparł John. - Ale miło nam... podejmować panów.

Michael wyszedł z łazienki.

- No. Wszystko gotowe. Sypia pan? - spytał Mahlera.

- Od lat nie zmrużyłem oka, ale dziś... owszem. Prześpię się. - Wszedł do gościnnej sypialni i zamknął drzwi. Nim szczęknęła zasuwka, Johnowi mignęła jeszcze w szparze jego uśmiechnięta twarz.

Michael otoczył ojca ramieniem.

- Przepraszam, że tak niespodziewanie zwałam się wam na głowę.

- Mną się nie przejmuj - mruknął John. - Ja po prostu nie potrafię przejść do porządku dziennego nad tym, co się teraz wyprawia. A tamci dwaj... to naprawdę Mahler, Gustav Mahler, i Wolfgang Amadeusz Mozart?

- We własnych osobach - przytaknął Michael.

- Byli w niewoli u Sidhów... przez cały czas?

- Trudno określić, jak długo to trwało w ich odczuciu - przyznał Michael. U szczytu schodów przystanął. Ruth była w living roomie i ścieliła pracowicie tapczan, najwyraźniej szykując go Shiafie, która stała przy drzwiach wejściowych i bacznie obserwowała jej poczynania.

- Shiafa też chyba nie sypia - powiedział Michael.

- A co ona za jedna? - spytał szeptem John.

- Skąd jesteś? - zapytała Ruth swoim cienkim, niespokojnym głosem, dobrze słyszalnym na schodach.

- To córka Sidha, który nazywa się Tarax - wyjaśnił Johnowi Michael, zbyt cicho, by usłyszała go matka.

- Urodziłam się w Królestwie - dobiegła ich odpowiedź Shiafy.

John zerknął na Michaela. Zatrzymali się w połowie schodów, podsłuchując tę rozmowę za niewypowiedzianą, obopólną zgodą.

- O? Czyli w miejscu, które dotychczas zwaliśmy Krainą Czarów, czy tak?

- Nie wiem.

- Tak. Chyba tak. Wiesz, przypominasz mi... No nic, mniejsza z tym. Od dawna znasz mojego syna?

- Od niedawna - odparła Shiafa.

- Czy wiele dla ciebie znaczy?

- Tak.

- Och - wyrwało się ścielącej tapczan Ruth. Przez cały czas śledziła Shiafę kątem oka.

- Długo się u nas zatrzymacie? O, przepraszam. To nieuprzejme z mojej strony. - Wyprostowała się, nerwowym ruchem wygładziła sukienkę na biodrach i odgarnęła z czoła kosmyk włosów. - Niełatwo mi się z tym oswoić. Czy ty i Michael, mój syn... kochacie się?

- Jezu - jęknął pod nosem Michael i natychmiast zbiegł ze schodów.

- Nie - odparła Shiafa. - On jest moim nauczycielem.

- Mamo, nie czas teraz na to - przerwał im Michael. - Shiafa zapewne nie będzie spała.

Może chce się umyć...

- Dobry... Boże - wykrztusiła Ruth, wpijając w Michaela rozplomieniony wzrok. - John, czy to wszystko dzieje się naprawdę?

- Przecież wiesz, że tak - fuknął John.

- Wygląda zupełnie jak moja prababka. Mogłaby być moją prababką!

- Nie, to wykluczone - zaprzeczył kategorycznie Michael.

- Pełno ich teraz na całym świecie, czyż nie? Takich samych jak ona.

- I jak my, mamo - dodał Michael. Ścisnął się oburącz za ramiona. - Posłuchaj. Na oswojenie się z tym, co się dzieje, jesteś przygotowana lepiej niż większość ludzi. Shiafa jest Sidhem czystej krwi. Szkołę ją, a przynajmniej próbuję. Ci ludzie na górze...

Gniew ścinający rysy Ruth wyparła teraz udręka.

- Michaelu - wpadła mu w słowo - jak my mamy rozmawiać z tymi ludźmi, no jak mamy z nimi rozmawiać? Z Mozartem!

John wzruszył ramionami

- Jak mamy rozmawiać z ludźmi liczącymi sobie setki lat, z duchami? Z umarłymi? Ze słynnymi umarłymi?

Michael uśmiechnął się mimowolnie.

- Przepraszam - mruknął. - Powinienem był was uprzedzić.

- Do diabła z tobą. - Zaczynała się śmiać i płakać jednocześnie. - Do diabła ze wszystkimi. - Odwróciła się do Shiafy. - Przepraszam. Sami już nie wiemy, jak na to wszystko reagować.

Michael wyczuwał promieniujące od Shiafy napięcie. Nie mógł ręczyć za to, co się stanie, jeśli jej zaraz nie odizoluje.

- Musimy teraz wyjść. Wrócę za kilka godzin. Muszę skontaktować się z paroma osobami... ale korzystanie z telefonów jest ograniczone. Jestem więc zmuszony porozmawiać z nimi osobiście. Mahler i Mozart to dopiero początek. Wrócę z masą innych... będzie ich z pięć tysięcy.

Ruth pobladła na twarzy.

- Tutaj? - wykrztusiła.

- Są na Stadionie Dodgersów. Właśnie stamtąd do was dzwoniłem. Muszę przygotować dla nich grunt. Przebywali w Królestwie bardzo długo, niektórzy parę tysięcy lat.

- W porządku - mruknęła Ruth. Wskazała ruchem brody na Shiafę. - Ona idzie z tobą?

- Tak - odparł Michael. - To dla niej trudne chwile. Nie wie, gdzie jej dom.

- Nie ma już domu - westchnęła refleksyjnie Shiafa.

- Bardzo więc proszę, wytrzymajcie jakoś ze mną, z nami - ciągnął Michael. - O ile przecucie mnie nie myli, Mahler i Mozart będą teraz spali jak susły. Mam nadzieję, że wrócę, zanim się obudzą. Czasu mam niewiele.

- Poradzimy sobie - zapewnił John, przygarniając do siebie ramieniem żonę. - Prawda?

- Musimy - przytaknęła Ruth. - Czym ich karmić?

- Dajcie im coś z mięsa - poradził Michael. - Nie mieli go w nadmiarze tam, gdzie byli. - Na wzmiankę o mięsie skóra Shiafy wyraźnie poszarzała.

- Wyglądacie mi na zmęczonych - stwierdziła Ruth. - Oboje. Przepraszam, że byłam taka niegrzeczna...

- Nie ma czasu na odpoczynek. Ani na składanie samokrytyki. Niedługo wrócimy.

- Dlaczego w domu Waltiriego było tyle ptaków?

- Mamo, proszę.

- No dobrze. Idźcie już.

Michael zapuścił sondę w poszukiwaniu Edgara Moffata i odnalazł go w salce nagraniowej tego samego studia, w którym kiedyś się zapoznali. Miał wrażenie, że jego sonda szoruje po brzytwach; teraz, kiedy Królestwo osiadło już na ziemskich mieliznach, rzeczywistość zdecydowanie schropowaciała.

- Zabierzemy się znowu tą maszyną? - zapytała Shiafa.

- Tak będzie najprościej - przyznał Michael. - Mój samochód ma chyba jeszcze pełny bak.

W szarówce pochmurnego popołudnia wrócili piechotą do domu Waltiriego.

- Tracisz energię - zauważył, kiedy skręcili w podjazd.

- Okropnie tutaj cuchnie - powiedziała ostro Shiafa. - Pachnie śmiercią.

- Tutaj konkretnie? - spytał zerkając na chodnik, gdzie zastrzelił się, a potem rozsypał w proch i zamienił w kupkę szmat Tommy.

- Wszędzie. W całym mieście. Michael wzruszył ramionami.

- Zdążyłem się przyzwyczaić. Nie zwracam już na to uwagi.

- Przypomina mi się zapach martwych lasów - stwierdziła Shiafa. - Zapach jakiegoś poronionego płodu Adonny.

Uświadomił sobie, że jej obiekcje nie dotyczą smrodu spalin - dziś akurat bardzo ulotnego, zauważył - lecz przede wszystkim technologii i ludzkiej tu bytności. Otaczające ich domy postawiono z nie poświęconego drewna. Biegące górą linie wysokiego napięcia mogły zakłócać sidhową wrażliwość. Gdyby działała reszta ludzkich urządzeń, powietrze byłoby pełne wypromieniowywanej energii - emitowanej przez radary, telewizję i radio. Jak na tę nagłą zmianę otoczenia reagowały dziesiątki tysięcy pozostałych Sidhów?

Nastrój Shiafy udzielił się teraz i jemu. Skwitował to lekkim wzruszeniem ramion i kazał dziewczynie zejść z podjazdu. Potem podeszedł do Saaba i otworzył drzwiczki. Silnik kaszlnął i zaskoczył, pomrukując poprzez dysze dwóch rur wydechowych.

Wycofując się podjazdem, zerknął przez szybę od strony pasażera na ścianę domu i klapę zamykającą dostęp do przestrzeni konserwacyjnej pod podłogą.

Butelki wina w piwnicy.

Na samym początku swojej pierwszej wizyty w Królestwie Michael przeszedł przez dogorywającą winnicę na tyłach zrujnowanej posiadłości Clarkhama, pełną poskręcanych,

szczerniałych, grubych kikutów tysięcy uschłych winorośli. Jakie było ich przeznaczenie? Za każdym czynem Clarkhama krył się jakiś zamysł.

Clarkham sprezentował Waltiriemu butelki wina. Waltiri porozdawał część z nich sąsiadom.

Zdjął nogę z gazu. Nie wszystko naraz. Po kolei. Z dreszczykiem podniecenia sięgnął do klamki drzwiczek od strony pasażera, by otworzyć je Shiafie.- Clarkhamowi nie udało się stworzyć samemu Pieśni Władzy; będąc nawet u szczytu swoich czarodziejskich możliwości, zawsze zdawał się na geniusz innych. Obcował z poetami, kompozytorami, tancerzami... z architektami mu nie wyszło. Czy uprawiał winorośle dla własnego kaprysu, i może na przekór bardziej wstrzemięźliwym Sidhom... czy może miał w tym jakiś ukryty cel?

Shiafa zajęła z oporami miejsce na przednim siedzeniu.

- Zamknij drzwiczki - polecił Michael. Popatrzyła na niego płomiennymi oczyma. Westchnęła i sam sięgnął ręką do jej drzwiczek. - O, tak - powiedział chwytając za rączkę, by je zatrzasnąć.

- Za dużo tu żelaza - powiedziała cicho. - Ono zabija.

- Jakoś to wytrzymasz. Sidhowie wykorzystują żelazo do swoich własnych celów.

- Ale nie takich.

Skręcił z podjazdu na ulicę. Drzewa rzucały długie cienie. Czas upływał zbyt szybko; na Ziemi odczuwało się teraz wyraźnie chronometrie Królestwa. Nie wiadomo było, co o tym sądzić. Czy to jakiś przejściowy efekt, czy może trwałe zakłócenie?

Z pochmurną miną prowadził Saaba szerokimi opustoszałymi ulicami miasta. Zachodziły też inne zmiany. Liście na drzewach miały jakby ciemniejszy odcień, skraje ulic i obrzeża domów zaś były mniej wyraziste, jakby oglądane przez mgłę.

- Twój świat jest niezdrowy - stwierdziła Shiafa, kiedy skręcali w Melrose.

- Co przez to rozumiesz?

- On cierpi.

- Z winy Królestwa?

Kiwnęła głową, patrząc na niego z wyrazem twarzy, jakiego nigdy u niej nie widział -: było to coś pośredniego między żądzą, z trudem utrzymywaną na wodzy, a silnym niepokojem. Wstrząsnęło to nim do głębi.

- Skąd wiesz? - spytał, powodowany nie tyle różnicą zdań, co rozgoryczeniem.

- Pomijając już zapach śmierci, to miejsce toczy jakaś choroba.

Zacisnął usta i wzruszył ramionami. Teraz zaniepokoił się już nie na żarty. Kto pracował nad ponownym doprowadzeniem wszystkiego do porządku - Tarax, który rozbił

Królestwo o rafę, po czym, być może, zaczął dezintegrować samą rafę? Czy Clarkham, ukrywający się gdzieś...

w butelce wina

- Jezu - szepnął. Wino władzy. Smak, który kusi; kres, który trwa wiecznie. Wydawało się całkiem prawdopodobne, że Clarkham trzymał tę sztukę w odwodzie. Była praktycznie niedostępna dla Sidhów, którzy - jak sam Clarkham twierdził - „nie przepadają za ludzkimi trunkami”. Zniechęcał ich naturalnie nie smak, lecz następujące po spożyciu otępienie. Z tego właśnie powodu najznamienitsi z Sidhów - ci, którzy mogli być zainteresowani Pieśnią Władzy - czuli wstręt do wszelkich napojów alkoholowych.

Jakim to słowem określa się sztukę robienia wina? Winoznawstwo? *Ojnologia*. Poniósłszy porażkę na wszystkich frontach, Clarkham mógł się przyzwyczaić i uzbrojony w cierpliwość czekać na właściwy moment. Przygotowywać się do sprawienia niespodzianki.

W Królestwie Clarkham serwował nie wino, lecz brandy... przez dziesięciolecia uprawiał potajemnie swoje rzemiosło w piwnicy Waltiriego, gdzie nawet mag Cledarów nie spodziewałby się sabotażu.

Michael był tak podekscytowany, że musiał przytłumić *hylokę*, by nie spalić sobie ubrania i samochodowego fotela. Shiafa przyglądała mu się z zachłannym, pożądlivym wyrazem twarzy... i poczuł, że nie pozostaje to bez odzewu z jego strony. Wykorzystał jej magię. To ich w pewien sposób związało, mogło też ich ku sobie przyciągnąć...

Skonsternowany odwrócił od niej wzrok i skupił się na prowadzeniu wozu.

Brama studia Gower stała otworem. Recepcjonistka spojrzała objętnie na wchodzących Michaela i Shiafę, po czym uniosła się z krzesła i powiedziała:

- Halo. Nikogo tu nie ma. Wszyscy poszli do domu.

Michael uśmiechnął się do niej i skinął głową.

- Jest tutaj Edgar Moffat - odezwał się.

- Owszem - przytaknęła recepcjonistka. - Edgar jest. Oczekuje was?

- Nie - odparł Michael.

- Ale was zna?

Michael znów skinął głową.

- Ciebie sobie przypominam, ale jej nie. Gdzie Kristine Pendeers?

- Nie wiem - powiedział Michael. - Właśnie jej szukam i pomyślałem sobie, że Edgar mógłby mi w tym pomóc. - Kłamstewko było naiwne, ale miał nadzieję, że jakoś przejdzie. I przeszło. Recepcjonistka wzduszyła ramionami i opadła z powrotem na krzesło.

Michael odszukał właściwy korytarz w gmachu wydziału muzycznego i zapukał do drzwi studia nagraniowego. Tym razem otworzył mu osobiście Moffat, ubrany w szare spodnie i strasznie pomiętą białą koszulę biurową. Jego zaczesane do tyłu, przylizane, ciemne od potu włosy wyglądały tak, jakby przez całą noc przyglądał je dłońmi. Widok Michaela nie wywołał u niego żadnej reakcji, ale kiedy zobaczył Shiafę, na twarz wypłynął mu wyraz niepokoju.

- Jestem jedyną osobą, która tu pracuje. Ci z Hollywood spakowali już pewnie manatki i nawiali w góry. Czujesz trzęsienie ziemi?

- Czuję. Jesteście nam potrzebni, żeby zorganizować to i owo. Ty i Crooke.

- Z Crooke'em nie widziałem się od ładnych paru dni. Nawet nie wiem, gdzie teraz jest.

- Sprawa jest poważna. Czy Kristine opowiedziała ci kiedykolwiek o tym, co wiedziała?

- Znaczą się, o tobie i tym facecie, który wyparował na jej oczach?

- Tak.

- Coś tam mówiła. Dość, by reszta tej historii stała się... istnym koszmarem. Mgliste pojęcie jest jeszcze gorsze od zupełnej niewiedzy.

- Chciałbym cię poznać z paroma ludźmi - oznajmił Michael.

Edgar otworzył szerzej drzwi i skinął na nich, by weszli do środka.

- Gdzie się ubierasz? - zagadnął Shiafę. - Mogłabyś zrobić furorę w branży odzieżowej.

- Jak już poznasz tych ludzi, będziesz mi musiał zorganizować akcję pomocy. Zmobilizuj wszystkich artystów, muzyków i pisarzy, jakich znasz. Potrzebne nam domy - setki domów - i to w parę dni albo i wcześniej.

- Na co?

- Dla uchodźców - wyjaśnił Michael.

- Kogóż to mam poznać?

- Gustava Mahlera i Wolfganga Amadeusza Mozarta - odparł Michael.

Edgar uśmiechnął się niepewnie.

- Napoleona też? A może jeszcze Chrystusa?

Michael potrząsnął przecząco głową. Uśmiech Edgara przygasł.

- Jezu. Crooke wspominał, że w snach ukazywał mu się Mahler, zupełnie jak żywy. - Edgar przelknął nerwowo ślinę i zatrzepotał rękami. - Z krwi i kości?

- A do tego pięć tysięcy innych osób.

- Przeniesionych z powrotem przez koncert i symfonię?

- W pewnym sensie. Umowa stoi?

Edgar zerknął na rzędy aparatury elektronicznej i znów przygładził palcami włosy.

- Mam jeszcze jedno pytanie, o ile już nie usłyszałem na nie odpowiedzi. Czy świat zmierza ku zagładzie na skutek tego, cośmy zrobili?

- Nie - powiedział Michael.

- W porządku. I tak marnuję tu tylko czas. Na razie nikt nie będzie kręcił filmów. Komu dziś potrzebna fantasy? Wystarczy to, co się dzieje na świecie naprawdę.

35

Nie wszystko naraz. Michael zlokalizował Crooke'a siedzącego na ławce pod obserwatorium Griffith Park - po prostu siedzącego i zapatrzonego w przestrzeń nad miastem. W Griffith Park Michael wyczuwał mnóstwo ukrywających się Sidhów; policja z Gwardią Narodową nieoficjalnie zamknęła ten teren. Michael i Shiafa, połączywszy swoje dyscypliny, przedostali się przez prowizoryczne barykady i podjechali krętą drogą pod obserwatorium, i po krótkiej rozmowie z Crooke'iem nakłonili go, by z nimi poszedł.

Moffat czekał w swoim wozie przed domem Perrinów. Razem z Crooke'iem wstąpili za Michaeliem po schodkach i weszli do domu, witani w progu przez ojca. Michael przedstawił ich Mahlerowi i Mozartowi. Crooke patrzył jak urzeczony.

- Nie mogę ci zarzucić partactwa - zwrócił się do niego Mahler. Mozart z marsową miną trzymał się z tyłu. Mars ten ustąpił miejsca konsternacji, kiedy z wymalowanym na twarzy uwielbieniem zbliżył się do niego Moffat.

- Ty naprawdę jesteś Mozart - wykrztusił Moffat. - Jezu. Wszyscy zgodnie utrzymywali, że portrety są skopane, ale rozpoznają cię. Znam cię z twojej muzyki.

- No cóż - bąknął Mozart, wciąż się mitygując.

Potrząsnął szybko dłonią Moffata. - Tyle tego. Po co to wszystko?

- To mówisz, że z iloma wróciłeś? - spytał Crooke. W samochodzie Michael zreferował mu już pokrótce sytuację.

- Z około pięcioma tysiącami.

Crooke odciągnął Moffata na stronę i naradzali się przez kilka minut. Kiedy wrócili, Moffat oznajmił:

- Myślę, że to zadanie w sam raz dla pani Pierce-Fennady.

- Zbiera pieniądze dla Huntingtona - dodał Crooke. - Zna masę ludzi.

- Przedstawimy ją Mahlerowi i Mozartowi.

- *Mein Gott* - jęknął Mozart. - Kobieta z wyższych sfer.

- Ona jest kimś więcej - powiedział Crooke. - To urodzona działaczka.

- A ciepło u niej w komnatach? - spytał Mozart, nie wyjaśniając co ma na myśli.

Nie wszystko naraz.

- Muszę już lecieć - odezwał się Michael. - Shiafa idzie ze mną. Być może wrócimy niedługo, ale nie obiecuję.

- Co chcecie zrobić? - spytała Ruth błędąc. Nie odrywała wzroku od Shiafy. W jej spojrzeniu można by się doszukać wszystkiego prócz aprobaty.

- Sam jeszcze nie wiem - odparł Michael.

Miarą wartości jest odwaga.

36

Zmierzch rozlewał się ścianą ognia nad wierzchołkami drzew. Powietrze było chłodne, rześkie, naładowane lekko elektrycznością. Zbliżając się za Shiafą pieszo do domu Clarkhama, Michael widział drobne pasemka ciemności strzelające na kilka cali ponad czarną murawę okolicznych trawników. Róże w zadbanych ogródkach jarzyły się nienaturalnie jaskrawą różowością i krwistą czerwienią.

Dwupiętrowy dom Clarkhama zdawał się być pograżony w cieniu ciemniejszym od panującego naokoło półmroku. Michael uchylił powolutku drzwi. Stojąca za nim Shiafa wpatrywała się w jego plecy, jakby chciała nakłonić go do czegoś siłą woli. Wyczuwał tę koncentrację, lecz nie był w stanie przeniknąć jej myśli. Wciąż czuł, że może jej potrzebować; jego magia mogła nie sprostać sama temu, co czekało ich dalej.

A jeśli ucieknie się jeszcze raz do wykorzystania jej ukrytej głęboko mocy... Co wtedy? W jakim stopniu będzie się czuł zobowiązany i czego ona będzie mogła zażądać w zamian?

Niewiele formalnego szkolenia przeszła pod jego okiem.

Uczę ją chyba bardzo złych nawyków.

Zignorował schody i spenetrował pomieszczenie gospodarcze oraz kuchnię, rozglądając się za drzwiami, które gdzieś tu musiały być. Shiafa jakby wiedziała, czego on szuka, choć jej o tym nie powiedział; przywołała go bowiem do spiżarni i wskazała małe drzwiczki zamknięte na starodawną, mosiężną kłódkę. Michael pobrał ze swego wnętrza niewielką ilość mocy i stopił skobel, pobudzając do śpiewu drewno, w którym ten tkwił. Pod

sufit uniósł się i tam rozproszył mały, widmowy obłoczek dymu. Shiafa odetchnęła głęboko. Zerknął na nią, lecz szybko odwrócił wzrok. W ciemnej klitce spiżarni jej twarz miała kolor księżyca.

Drzwi otworzyły się łatwo i bezgłośnie. Poprosiwszy Shiafę, by została przy drzwiach, sam zszedł po wąskich schodach na dół. Piwnica była znacznie większa, niż można by przypuszczać; rozciągała się na całą długość i szerokość domu, poprzecinana jedynie ciemnymi konturami beczek, stelaży i grubych kwadratowych wsporników.

W jednym z kątów stała wielka śruba Archimedesza przytykająca do dna metalowej rynienki - wyciskarka do winogron. W przeciwległym kącie, w drewnianych skrzyniach, piętrzyły się wyschnięte, zakurzone skórki wyciśniętych winogron wraz z łodyżkami - przypominały trochę szczątki Tommy'ego. Przyjrząwszy się im z bliska Michael zauważył, że rozsiewają wkoło leciutkie tęczowo-hematytowo-oleiste blaski.

- Wino - mruknął. Pachniały słodziej niż zwyczajne winogrona; słodko jak woń, którą on wydzieliał w Królestwie, ilekroć wszedł w kontakt z wodą, lub jak rękopis opusu 45.

W stelażach nie było butelek. Obszukał skrupulatnie kąty piwnicy, lecz nie znalazł śladu ukrytych zapasów. Z piwnicy nie korzystano od jakiegoś już czasu - może i od pięćdziesięciu lat.

Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko wrócić do domu Waltiriego i znów zakłócić spokój ptakom - Cledarom.

U szczytu schodów zagroziła mu drogę Shiafa. Jej twarz jaśniała w mroku chłodną, przyjemną poświatą. Wargi miała wyczekująco rozchylone, a odsłonięte zęby szarzały pięknym odcieniem masy perłowej. Rozpuszczone pachnące, rude włosy dziewczyny były nastroszone niczym pióra.

- Nic? - spytała.

Potrząsnął przecząco głową, bacznie się jej przypatrując.

- Możemy się zespolic, aby odnaleźć to, czego szukasz - zaproponowała.

- To chyba nie najlepszy pomysł.

- Raz już zaczerpnąłeś ode mnie mocy - powiedziała. - Czyli nie byłaby to dla nas żadna niewiadoma. Czyż nie po to właśnie zabrałeś mnie ze sobą?

Przytaknął ruchem głowy.

- Owszem. Ale w tej chwili nie potrzebuję niczyjej pomocy.

- Być może ja potrzebuję twojej - odparła.

Kristine wydała mu się nagle bardzo odległa i niezbyt odpowiednia na partnerkę dla maga. Jak mógłby żyć z kobietą czysto ludzką, która nie miała pojęcia o jego problemach i zdolnościach?

Wstąpił na kolejny stopień i Shiafa niechętnie usunęła mu się z drogi.

- Wiem, dokąd powinniśmy... powinienem pójść - oznajmił.

Wyszła za nim z domu.

Liście na okolicznych drzewach skrzyły się w ciemności niczym kryształy. Gwiazdy na niebie prawie niedostrzegalnie drgały. Ochłodziło się jeszcze bardziej i Michael marzył teraz nawet pomimo podsycenia *hyloki*. Rzeczywistość stawała się coraz bardziej niegościnna - dlaczego? Czyżby przyczyniało się do tego brzemie umarłego Królestwa? Czy może przewidywał to plan... plan Taraxa lub Clarkhama?

Nawet z odległości pół przecznicy dom Waltiriego emitował wyraźną aurę życia i energii. Zdawał się wprost kipieć pogodą i radością. Kiedy byli już blisko Michaelowi od razu poprawił się humor, nawet Shiafa nie wydawała mu się już tak zniewalająca i groźna. Otworzył drzwi kluczem, który wyjął z kieszeni wchodząc po schodkach.

- Życie twe to otwieranie drzwi - odezwał się mag Cledar, zagnieżdżony w korytarzu pośród gołębi i wróbli. Popatrywał na Michaela z nieludzkim, ale przyjaznym i dziwnie znajomym błyskiem przekory w biało obwiedzionych oczkach. Michael wyczuwał teraz wyraźną więź. Stworzenie to było niegdyś częścią Arno Waltiriego; częścią głęboko zagrzebaną, lecz niebagatelną.

Shiafa postanowiła zostać na zewnątrz i stała na przeszywającym mrozie na końcu frontowej alejki. Michael nie myślał teraz o niej. Kroczył między ptakami, które rozstępowały się bez skargi na boki, do pomieszczenia gospodarczego.

Piwnicy ptaki nie zajęły. Szafa stała nietknięta od miesięcy, kiedy to opróżniono ją z papierów. Pozostało ledwie kilka drobiazgów - w jednym kącie kamienne przyciski do papieru i kozioł z kominka, a na dnie mały stelażyk z trzema butelkami wina, każda opatrzona etykietką „*Doppelsonnenuhr. Feinste Geistenbeerenauslese, 1921*”.

Wypij mnie, Alicjo.

Wyczuł nad sobą obecność maga Cledarów, czekającego cierpliwie, aż podejmie decyzję, lecz nie śpieszącego ze swą opinią ani radą. Pełnego życia, pełnego radości. *Wyczuwają coś poza krawędzią szorstkiej, schorowanej rzeczywistości, poza tym przeszywającym chłodem i nocą.*

Wyczuwają mnie.

Ufają mi.

Gdyby to wino istotnie przeniosło go do ukrytej, eksperymentalnej rzeczywistości Clarkhama, do jego embrionalnej pokusy zastąpienia tego świata innym, istniała szansa, że spotka tam Kristine lub chociaż wpadnie na jej trop.

Wówczas umowa z Taraxem przestanie być potrzebna. Michael zawsze czuł się ze Shiafą nieswojo; teraz na samą myśl o niej przeszedł go dreszczyk grozy.

Tak wiele mogła od niego zażądać, a nie wiedział, czy będzie zdolny jej odmówić. Prosta droga do...

Do czego? Do potępienia?

W każdym razie oddalająca go od Kristine.

Oddalająca od honoru i zaufania do samego siebie. Michael czuł, jak maleńka sidhowa cząstka jego „ja” rwie się do Shiafy, by się z nią zjednoczyć. Z trudem opierał się tej presji.

Zaferowana w końcu prosta droga... podobna do drogi, którą być może obrał Clarkham. I Clarkhama przepelniało teraz odradzające się wciąż zło. O tak wielu rzeczach nie miał Michael pojęcia, tak wiele zagadek musiał sam rozwikłać...

A jednak radził sobie jak do tej pory.

Wyjął ze stelażyka jedną butelkę wina i obejrzał ją w bladym świetle rozjaśniającym piwnicę. Korek pod ołowianym kapturkiem rozkruszył się i wino dawno już wyschło na czarną papkę. Odstawił pierwszą butelkę na bok i podniósł drugą; w środku tej nadal lśnił płyn.

Zawartość widziana przez zielone szkło była klarowna, soczyście zielonobrazowa, przejrzystością i sugestywnością prześcigająca głębie szlachetnego kamienia. Lato i zima uchwycone w jednym łyku, mgły i gleba, ziemia, niebo i słońce, przedestylowane czas i rzeczywistość. Próbką z jądra wszechświata: nie kulturalnego wszechświata książek, muzyki i sztuki, lecz świata jako takiego, ukształtowanego przez ludzi.

Ojnologia. Jedyna sztuka, którą Sidhowie prawie na pewno by zignorowali. Jedyna sztuka, której nie przekazali wyewoluowanym ponownie ludziom Sidhowie.

Poczuł przed Clarkhamem większy respekt. *Nigdy nie lekceważ swoich wrogów.* Wyjął z kieszeni scyzoryk z zamiarem rozerwania ołowianego kapturka, ale sparaliżowany niezdecydowaniem nie mógł się na to zdobyć. Wypić je tu czy gdzie indziej? Podzielić się z Shiafą? Ostatnia myśl szczególnie nim wstrząsnęła.

Pijąc to wino może zyskać coś więcej niż transport. Może się czegoś nauczyć, otrzymać jakieś wskazówki. Nie chciał, by córka Taraxa stała się potężniejsza od niego.

Wepchnął ostrze nożyka pod folię opasującą szyjkę butelki. Ściągnął ołowiany kapturek, zrywając wraz z nim lakową pieczęć, i odgiąwszy ze scyzoryka korkociąg, wbił

jego szpic w ciemny korek. Korek wyglądał na skruszały. Gdy czubek korkociągu natrafił wreszcie na opór, Michael zaczął kręcić rękojeścią scyzoryka. Z nie taką może wprawą, jakiej by sobie życzył, ściskając butelkę kolanami i zerkając co i rusz na schody, czy nikt go nie obserwuje, wyciągnął wreszcie korek z szyjki.

Spód korka powleczonego był ciemnym, czerwono-fioletowym szkliwem. Powąchał korek i uśmiechnął się - zwyczaj jego ojca - po czym przytknął nos do otworu butelki. Woń nie była silna; przywodziła na myśl nie tyle kwiaty i owoce, co kurz. Czy dla uzyskania najlepszego efektu powinien dać winu trochę pooddychać? Na ile wypada być wybrednym odkorkowując wino między światami?

Uniósł butelkę do ust. W innych okolicznościach z decyzją tą mógłby się nosić kilka dni, starając się wpierw dopełnić najdrobniejszych formalności - z winnymi rytuałami ojca włącznie.

Trunek liznął jego dolną wargę. Był chłodny i śliski. Spłynął mu na język cieniutką strużką i Michael roztarł sobie tę próbkę wina po podniebieniu i po całym języku.

Oczy wyszły mu z orbit.

Ledwie powstrzymując odruch wymiotny, wypluł wino na zakurzoną podłogę i czym prędzej otarł dłonią usta. Cierpkie i gorzkie. Wino skwaśniało. Przyjrzał się korkowi pod światło; był zmurszały i kruszył się. Do butelki dostało się za dużo tlenu.

Ale mimo to...

Przez chwilę czuł, jak rozgrzewa mu się skóra, a włosy stają dęba. Kontury piwnicy jakby się zmieniły. Gdy zamrugał powiekami, wrażenie ustąpiło. Mógł ulec złudzeniu.

Zakorkował z powrotem niewłaściwą butelkę. Wino, którym częstowali go Dopsowie, smakowało o wiele lepiej, ale naturalnie nie było winem władzy. Ostatecznie mógł być na złym tropie. Albo też Clarkham zarezerwował najlepsze butelki do własnego użytku, a Waltirim sprezentował jedynie *vin ordinaire*.

Odstawił zakorkowaną butelkę na stelażyk i wyjął ostatnią. Ta z kolei była jakby bardziej zakurzona, a jej zawartość, oglądana przez szkło, mniej klarowna. W środku odłożył się grubą warstwą osad, pokrywający prawie jedną czwartą obwodu butelki.

Zdarł folię, wyciągnął korek i uniósł butelkę do nosa. Zamknął oczy i wciągnął zapach w nozdrza.

Gdy otworzył znów oczy, żarówka bzycała jak owad. Ściany wybrzuszyły się na zewnątrz. Wdychana nosem słodycz spływała mu gardłem do żołądka i dalej, aż do centrum jego jestestwa. Oczy miał jak inkrustowane tęczą. Przyjrzał się uważnie korkowi i stwierdził że ciemność pokrywającej jego spód powłoki jest absolutna.

Pociągnął łyk z butelki.

Ta słodycz kojarzyła się z porą roku... ze schyłkiem lata.

Świerzbienie w nozdrzach przypominało rozbłysk światła słonecznego w oczach; był coraz bliższy kichnięcia.

Gładkie, niemal oleiste wrażenie było odległym jeziorem, falującym ospale w blasku zamglonego słońca. W jeziorze nurzał się Wąż. We wspomnieniach Węża zaś - mieszanina zagrożeń i sposobności.

Zapach odległych malin: winorośl pnąca się po altance w ogrodzie bez strażniczki, bez Tristesse siejącej postrach i trwogę. Droga stoi otworem.

wybieraj

spośród mnóstwa możliwych do odwiedzenia miejsc.

Wino nie było kluczem do odrębnego świata. Było

co tylko podejrzewał

wytrychem

Clarkham, daleko potężniejszy od Waltiriego, a nawet od maga Cledara, i na swój sposób znacznie subtelniejszy, podsycający właśnie, wzniecający niepokoje i podżegający do starć

wytrychem do co najmniej dziesiątków światów stworzonych przez Clarkhama; otwartym zaproszeniem, ponieważ wina nie pozostawiono by tutaj, gdyby Clarkham sobie tego nie życzył; wyzwaniem - *odnajdź mnie w tym kłębowisku moich kreacji.*

Na tle cienia powleczonego spodu korka Michael ujrzał dom Izomaga jawiący się jako swoisty szkielet. Zobaczył też jego kopułę rozkoszy oraz dom w Los Angeles. Były to cienie kreacji Clarkhama, obecnie już niedostępnych. Smak wina nadal omywał mu łagodnie język, odsłaniając warstwy bukietu jedną po drugiej.

Oto prymitywny, zaskorupiały świat, w którym został uwięziony Michael. Poza jego obrębem znajdowało się coś bardziej złożonego, ale trudnego do rozpoznania; smak jakby zmętniał. Na innym poziomie Michael ujrzał rozpostarte w dolinie miasto, miejsce rozlazłe i słoneczne... niepodobne, stwierdził, do Los Angeles z lat trzydziestych i czterdziestych. Wzgórza Hollywood i Griffith Park zdawały się odstawać od całości, podobnie wielkie jak stodoła studia i olbrzymie połacie pustych pól, na których w czasach Michaela spocznie większa część miasta. Pochodna kreacja.

Sondował ten świat i obserwował prądy swej energii rozbiegające się od końca do końca tego maleńkiego tworu o średnicy zaledwie dwudziestu mil. Twór był pusty; podobnie

jak poprzednie więzienie Michaela, zapępiały go tylko blade cienie, architektoniczne manekiny, sugerujące, gdzie można napotkać ludzi.

Po języku rozeszła się następna warstwa smaku. Zobaczył morze żółtej trawy, dalej niskie, złote wzgórza, a nad nimi intensywnie niebieskie, niemal fioletowe niebo.

Pośród trawy, pod rozpalonym słońcem, stał David Clarkham. Z gęstymi brązowymi włosami i bujnym wąsem wyglądał na młodszego - na jakieś trzydzieści parę lat. Twarz miał pociągłą, z wąskim jastrzębim nosem i wydatnymi kośćmi policzkowymi, oczy zaś rozmarzone, pogodne. Twarz wykrzywił mu leciutko rozmarzony uśmiech. Michael łyknął wina i poczuł, jak w krąg jego tężejącego ciała kładzie się na boki trawa. W miarę jak przybierał materialną postać, jego buty grzęzły w błocie.

- Cześć - odezwał się młody Clarkham.

Michael osłonił dłonią oczy przed słońcem i przestroił całą *hylockę* na falę defensywną. Ale atak Clarkhama nie następował. Michael zapuścił szybką sondę. Clarkham zaś, nim postawił blokadę, pozwolił mu na zbadanie swojej rzeczywistości i charakteru.

Był to w istocie Clarkham, ale nie całkiem realny, jak i nie całkiem cień; ten Clarkham był kreacją w niemal równej mierze, co rozciągająca się wokół nich preria. Mimo to pod wizerunkiem wyczuwało się najprawdziwsze znamię niezbywalnego plugastwa Clarkhama.

- Cześć - odparł Michael czując, że na czoło występuje mu pot. Słońce prażyło prawie nie do wytrzymania. Clarkham, ubrany w ciemny sztruksowy garnitur i białą płócienną koszulę, zdawał się naśladować pioniera Dzikiego Zachodu. Poprzez trawę Michael widział na jego nogach zdarte skórkowe buty z cholewami, skrytymi pod nogawkami spodni.

- A to ci niespodzianka - mruknął Clarkham, zaczepiając kciuki o kieszenie marynarki.

- Jesteś bardziej zaradny, niż myślałem. I potężniejszy.

- Szukam Kristine - powiedział Michael.

- Nie ma jej tutaj. Nie mogę ci jej oddać, zwłaszcza teraz. Właśnie na taką ewentualność ją zabrałem.

- Dlaczego? Przecież ona jest jedynym powodem, dla którego tutaj jestem. - Michael zdawał sobie sprawę z płytkości tego osobliwego kłamstwa; a jednak, wypowiadając je, sam uwierzył, że tak właśnie jest. Pewna jego część skłonna byłaby wszystko wybaczyć, byle tylko Ziemia wróciła do normalności, a on odzyskał Kristine.

Clarkham uśmiechnął się szerzej.

- Zaszedłszy tak daleko, nie masz już większych ambicji? Z pewnością napotkałeś... nazwijmy to sposobnościami, jeśli nie pokusami?

Normalność była teraz równie nieosiągalna, co spokojne ostudzenie ich dyskusji. Michael nie mógł wieść normalnego życia; Clarkham nie miał takiego nigdy. Michael odrzucił owo pragnienie wiotkiego siebie-cienia i stawiał Clarkhamowi czoło na swoich warunkach. Na oko nic się między nimi nie zmieniło, jednak nowa postawa Michaela została przez Clarkhama natychmiast zauważona.

- Tak już lepiej - przyznał były Izomag. - Bardziej uczciwie.

- Nie chciałem zostać magiem - powiedział cicho Michael.

- A ja tak. Brnę przez swoją praktykę, czy jak ją tam zwać, całe wieki dłużej, niż ty żyjesz. Twoja interwencja wprowadza zamieszanie i jest niepożądana. Wyrządziłeś mi wiele szkód.

- Cała ta dyskusja... - Ogromu szkód wywołanych przez konflikty między Sidhami a ludźmi Michael nie podejmował się nawet oszacować. Całe dzieje człowieczeństwa... Wzruszył ramionami.

- Twoja dojrzałość to już historia; jest co najwyżej słabiutka - stwierdził Clarkham. - Mimo to nie wyglądasz na nieroztropnego. A ambicję masz prawie tak silną jak ja. Może kiedy podyskutujemy, uzmysłowisz sobie, jak beznadziejne są w istocie twoje perspektywy i ile zła możesz wyrządzić, próbując walczyć jednocześnie z Taraxem i ze mną.

- W porządku - zgodził się Michael.

- Znajdujemy się w jednym z moich próbnych habitatów - wyjaśnił Clarkham. - To coś jak szkic artysty. Stanowi częśćkę mojego większego świata. Jest on, jak sądzę, skończenie doskonały. Ma mocne korzenie i naśladuje większość zawilosci wszechświata, w którym się narodziliśmy. Oczywiście wielkością nie może się z nim równać.

- Czy jest kompletny? - spytał Michael. .

- Nie - przyznał Clarkham. - Chodź ze mną. Poszukamy jakiegoś chłodniejszego miejsca.

Szli przez prerię. Michael wyczuwał dłońmi charakter i spoistość tego próbnego świata. Był on rzeczywiście misterny, niemal nie do odróżnienia od Ziemi. Sam nie potrafiłby stworzyć czegoś tak potężnego i realnego... jeszcze nie teraz, a być może i nigdy.

A jednak korciło go, żeby spróbować. Ta jego częśćka, która miała aspiracje zostania magiem - poetą wszechczasów, twórcą światów - była wprawdzie pod wrażeniem, ale daleki wszakże od fascynacji.

W kotlinie pośród prerii leżało małe miasteczko zbite z szarych desek i poprzeryzanych bali. Wzdłuż jedynej, gruntowej ulicy znajdowały się po jednej stronie zakład fryzjerski, saloon i hotel, po drugiej zaś warsztat rusznikarski i sklep

ogólnospożywczy: nigdzie ani żywej duszy. Szukając w tym świecie faktów, których znajomość mogłaby mu się przydać. Michael rozcapierzył szeroko mentalne palce i zwinął je z powrotem w pustą pięść. Świątek był próbny, misternej roboty, ale pozbawiony głębi.

Pochodna. Michael uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd skosztował wina. Clarkham zrozumiał odcień tego uśmiechu i twarz mu się wydłużyła, nos wyostrzył, a policzki pobladły.

Doszli gruntową ulicą do saloonu i Clarkham pchnął i przytrzymał wahadłowe drzwi. Michael wkroczył w upragniony, chłodny cień. Spod okrągłego, rozchwierutanego stolika Clarkham wysunął krzeselko i Michael usiadł.

- To wszystko co mam - powiedział Clarkham, ogarniając rozłożonymi ramionami pomieszczenie i świat poza jego ścianami; nie tylko ten jeden świat, lecz i inne, które Michael wciąż wyczuwał wierzchem podniebienia. - Resztę utraciłem z twoją pomocą. Nie mogę teraz wrócić na Ziemię. Nie osobiście, nie fizycznie.

Michaelowi przypomniały się odciski stóp na zakurzonej podłodze. W takim razie czyje były? Jakiegoś Sidha - może samego Taraxa albo Biriego - który przecierał prowadzącą do Królestwa bramę Clarkhama, rozprawił się z Lamią i Tristesse, przenosząc je następnie do pensjonatu Tippet... i pozostawiając tam, być może jako ostrzeżenie dla Kapłanki, że ludziom nie wolno tamtędy przechodzić...

Czy dowie się kiedykolwiek? Chyba nie.

- Nie mogłem się udać do Królestwa, ale ono teraz i tak nie żyje, a Ziemia niedługo podzieli jego los, co nie? Tak więc nie ma czego żałować. Zabrałeś mi tylko to, o utratę czego sam się prosiłem. Komfort psychiczny to największy wróg maga. Komfort psychiczny i brak czujności.

- Ziemia umiera? - spytał Michael, znów czując się jak dziecko proszące nauczyciela o wyjaśnienie. Taką rolę pragnie mi narzucić. *Tajemnica władzy tkwi w spychaniu innych na pozycję słabszego.*

- Tarax nie popisał się tym wmanewrowaniem statku na rafę, prawda? Wyrzucił kapitana za burtę, a sam nie potrafił posługiwać się sterem. Zapomniał się pozbyć niepotrzebnego, martwego ładunku - fundamentów Królestwa. Chaosu, mgły kreacji, które teraz zanieczyszczają Ziemię. Wkrótce wszystko będzie możliwe. A kiedy wszystko jest możliwe, nic nie jest realne. Z równym skutkiem można by rozprosząć terpentynę po świeżym olejnym obrazie. - Clarkham usiadł przy stoliku naprzeciwko Michaela i założył ręce. Chłodny półmrok saloonu ocieniał mu twarz, on zaś promieniał siłą, młodością i zadowoleniem. - Jego kwalifikacje na maga nowej Ziemi z każdym dniem wydają się nam wszystkim coraz niższe. Możliwe, że nawet jemu samemu.

- Nam wszystkim?

- Waż jeszcze śpi. A któż może zaręczyć, że nie ma innych? Mogą się rzucać w oczy jeszcze mniej od ciebie. A ty miewasz chwile, kiedy nawet nie chcesz zostać magiem. - Uśmiech miał całkowicie szczery i przyjazny. - Rozstrzygnięcie musi zapaść jak najszybciej. Wszyscy mamy zobowiązania wobec swoich ludów, a jaki pożytek ze świata bez ludzi? Podobnie jak Adonna, rozważałem kiedyś możliwość zaludnienia swoich światów, ale... - Westchnął. - Efekty widzisz sam. A tak nawiasem mówiąc, jak uciekłeś? Moja pułapka była wyjątkowo perfidna.

Michael nie widział powodu, żeby kłamać.

- Tarax mnie uwolnił. - odparł.

- Pod jakim warunkiem?

- To część paktu. Ja mam wyszkolić jego córkę, a on powie mi, gdzie ukryłeś Kristine. Uśmiech Clarkhama rozszerzył się.

- Ciekawe. Prawo magów. Żaden kandydat nie skrzywdzi kontrkandydata ani nie umniejszy jego szans. Ale jak widzisz, ja niespecjalnie trzymam się tych reguł. Córka Taraxa... Sidh? Jeśli dobrze pamiętam, jego kobieta była Sidhem czystej krwi. Adonna popełnił ten sam błąd. - Pochylił się i oparł łokcie na stole. - Napijesz się czegoś?

Michael pokręcił głową. Nie chciał rozcieńczać ani splukiwać smaku wina.

- Dlaczego był to błąd?

- Dla maga to może być wielki błąd. Jeśli nie zdecydujesz się zostać magiem, jeśli świadomie zrzekniesz się pozycji, którą, po części mimo woli, osiągnąłeś, to nie ma żadnego zagrożenia. Ale mówię za dużo. Wciąż jesteś moim wrogiem.

Michael pokiwał głową.

- Tak - przyznał. - Zabiłeś Tommy'ego.

- Miał lekką śmierć. Popełnił samobójstwo. Znasz ludzi, Michael? Wydaje ci się, że jesteś jednym z nich. I jesteś, w przeważającej mierze. Ale nie znasz ich. Czy uważałeś na lekcjach historii, czytywałeś gazety? Nie walczyliśmy ze sobą o przewożenie wyższej rasy, Michael. Zmagamy się o przywództwo nad zwierzętami... pozbawionymi zasad, okrutnymi, ślepymi i upartymi. Kiedy Sidhowie opuścili ostatecznie Ziemię przenosząc się do Królestwa, ludzie byli już na dobrej drodze, by uczynić ją nawet dla siebie nie do życia. Teraz mają moc, żeby zniszczyć każdego.

Ludzie są uparci i ślepi. Nie uznają wartości. Wyłapują tych obdarzonych geniuszem, przeżuwiają ich i wypluwają. Artyści i poeci są często tacy... - Twarz znowu mu pobladła i

kolor powrócił na nią dopiero z kolejnym szerokim uśmiechem. - Ich naukowcy mają przewagę. Ujarczmią zdziczały ogród.

- Sidhowie próbowali odebrać nam magię - powiedział Michael. - Bez magii mogliśmy jedynie uczyć się, jak wykorzystywać Ziemię. To naukowcy uczynili nas potężnymi.

- Nas? - powtórzył Clarkham z symulowanym niedowierzaniem. - Stawiasz się na równi z naukowcami?

- Bardzo bym chciał - odparł Michael.

- Kandydat na maga przejawiający uwielbienie dla zepsutego i pogrążającego się świata. Aż dziw bierze, jak nisko upadli ludzie.

Michaela ogarnęło nagle znudzenie. Otrząsnął się z niego, żeby nie przytępiało mu percepcji i czujności.

- Próbujesz ubić ze mną interes - powiedział.

- Ja? - udał zdziwienie Clarkham.

- Ty - odparł Michael z wysuwającą się znowu na pierwszy plan szaloną pewnością siebie. *Na ileż to rzeczy trzeba mieć baczenie.*

- No dobrze. Ale być może nie jest to interes o którym myślisz. Talent masz wielki, ale nie rozwinięty. Moglibyśmy się wspomagać. Potrafię stworzyć sam odpowiedni świat... Ale wspólnymi siłami nasza trójka może kontrolować ambicje Taraxa i stworzyć nową Ziemię dla wszystkich ras, a przynajmniej dla tych, które nas zaakceptują.

- Trójka?

- Ciągnie cię w pewnym sensie do córki Taraxa. Jej moc, jeśli odpowiednio ją ukierunkować, może być bardzo użyteczna. A ja potrafię zadbać, by w następstwie waszego zespolenia nie doszło do najgorszego. - Wzrok mu się jakby zachmurzył. - Eufemizmy. W następstwie uwiedzenia ciebie przez nią albo jej przez ciebie.

Michael udawał, że trawi w myślach jego słowa, ale głowę rozsadały mu dzwonki alarmowe. To, co wyczuwał u Shiafy... żony Tonna na Przeklętej Równinie. Istniał związek. Przerażający związek. Ci, którzy aspirują do roli maga...

- A co z jej lojalnością wobec Taraxa?

- Wątpię, żeby poczuwała się do jakiegokolwiek lojalności.

Michael spuścił wzrok na zniszczony blat stolika.

- Jakiego rodzaju świat zamierzasz stworzyć dla wszystkich ras? - spytał.

- Budowanie światów samo w sobie jest stosunkowo proste - wyjaśnił Clarkham. - Kłopoty sprawia dopiero kontrolowanie mieszkańców. Z ludźmi idzie szczególnie trudno.

Jeśli nie trzymać ich krótko, zaraz zaczynają ci majstrować przy fundamentach. Sidhów łatwiej utrzymać w ryzach. Dla Sidha istnieją przynajmniej pewne granice.

- A jak ich kontrolować?

- Twardą ręką - odparł Clarkham mrużąc oczy. - Zbuntowali się przeciw mnie. Nigdy więcej nie wolno dopuścić, by uzbroili się w taką siłę i upór.

- Czyżby nie było innego sposobu? Clarkham pokręcił powoli głową.

- Jeśli masz inne zdanie, toś naiwny. Kłania się historia, Michaelu. Wojny, eksterminacje, zbrodnie i okrucieństwa. Wypaczone umysły, wypaczone społeczeństwa. Wątpię, czy jesteś świadomy, do jak daleko posuniętej deprawacji są zdolni ludzie.

- Za wiele naszych problemów ponoszą odpowiedzialność Sidhowie.

- Może i tak - przyznał Clarkham. - Ale korzenie tkwią głębiej. Sidhowie próbowali jedynie naginać gałęzie. A zresztą obojętne, kto przysporzył tych problemów; ja, jako mag, i tak muszę je rozwikływać. Rygorystyczne pielenie i strzyżenie. Byłbyś w stanie temu podołać?

Michael nie odpowiedział. Odsunął się z krzesłem od stolika. Bukiet wina zaczynał tracić wyrazistość.

- Czy jeśli podejmę współpracę i przydam ci mocy Shiafy, uwolnisz Kristine?

Clarkham wykonał zamaszysty gest ręką.

- Traktuję ją jedynie jako narzędzie kontroli nad tobą. Zapewniam cię, że jej nie pożadam.

- Nikt cię o to nie posądza - bąknął Michael rumieniąc się.

Clarkham wstał i nachylił się przez stół, wspierając ciężar ciała na wyprostowanych ramionach i palcach rozstawionych szeroko na szerniałym drewnie.

- Nie próbuj mieszać się w ten konflikt, chyba że po mojej stronie. Masz pewne zdolności, ale brak ci do świadczenia. Nie znasz potencjałów. Cokolwiek robisz, nie wolno ci przeciwstawiać się mnie. Oszacowałem twoją wartość, Michaelu Perrinie. Znam twoje słabe punkty.

Michael kiwnął potakująco głową.

- Nie możemy sobie pozwalać na cnotę cierpliwości, dobroci i honoru - podjął Clarkham, badając wzrokiem przestrzeń za Michaelem. - Znaczy się, jeśli mamy być magami.

Michaela zaświerzbiałły dłonie. Podniósł rękę udając, że chce potrzeć nos, i ujrzał na dłoni nabrzmiewającą perłową narośl.

- Zawsze chciałeś zostać magiem, prawda? - spytał.

- Tak.

- A ja nie - powiedział Michael. - Nie dano mi właściwie wyboru. - Już dawno stało się to dla niego zupełnie oczywiste. Potarł językiem podniebienie, wysysając do ust ślinę, by rozcieńczyć bardziej smak wina.

- Rozważ poważnie moją ofertę - poradził Clarkham. - Inne rozwiązania nie przedstawiają się zachęcająco.

Saloon pociemniał i powróciły ściany piwnicy. Butelka wysunęła mu się z rąk i leżała teraz na podłodze w kałuży rozlanego wina. Michael schylił się, by podnieść korek i zatkać ją z powrotem, ale w środku nie było już ani kropli płynu.

Kiedy się wyprostował, zobaczył na przeciwległej ścianie barwny punkcik. Sama ściana wydała się intensywnie ziarnista; widać było na niej każdy szczegół, każdą plamkę, każdy cień. Michael przymrużył oczy i barwny punkcik rozlał się w obszerny rękaw z wynurzającą się z niego dłonią. Wzrok Michaela, sunąc po tym rękawie, zdawał się malować płaską postać odzianą w przezroczyste szaty, przez które prześwitywała betonowa szarość ściany. Twarz postaci, nadal płaska, ale już kompletna, nabrała życia. Michael cofnął się jak oparzony; rozpoznawał mgliście tego Sidha.

- Pewnie się zżymasz że masz tłok w domu - wyszeptał Sidh głosem sączącym się z wibrujących ścian.

- Tonn - wykrztusił cicho. Michael.

- Miałem nadzieję lepiej ci się zaprezentować, ale nawet jako mag nie mogę dać rady siłom, które skrupiły się na mnie. Prezentuję ci bardzo słaby cień, słaby legat... - Postać uśmiechnęła się i z tym wyrazem twarzy zdawała się niemal występować z betonu. Michael przywarł mocniej do poręczy schodów.

- Nie dysponując wiedzą większą niż obecnie, nie jesteś w stanie pokonać Izomaga. Jest tylko jeden sposób na zdobycie wiedzy... Wąż. Ten cień nie może ci jej przekazać. Adonna darzył cię przez pewien czas względami; czułeś to? Rokujesz duże nadzieje, a inni, cóż, Adonna miał powody, by za nimi nie przepadać. Musisz wziąć to, co ma Wąż; on zaś nie da ci swej wiedzy bez bagażu minionego zła. Jeśli jednak zachowasz ostrożność, możesz wszystko wziąć nie łamiąc prawa magów. Do czynu musisz przystąpić niezwłocznie... To ostatni cień, jaki może wyczarować Królestwo. Nie ma takiego lasu, w którym starczyłoby drwa, by pomieścić maga.

Cień Tonna jął się zacierać, blaknąc bardziej od piwnicznego mroku niż od światła, aż przed Michaeliem nie pozostało nic prócz ziarnistej ściany, na której nawet szczegóły straciły swą wyrazistość.

Michael przełknął ślinę. *Czy kiedyś stanę się równie ulotny?*

Wyszędłszy z piwnicy, Michael ukląkł przed magiem Cledar. Ptak patrzył mu prosto w oczy, mrugając co kilka sekund ślepkami.

- Tyś mnie w to uwikłał - powiedział Michael na wpół oskarżycielskim tonem.

Lepiej uczestniczyć w przemianach niż stać beczynnym na uboczu i tylko zawadzać.

Ptak zaniechał zwykłej mowy i zwracał się do Michaela poprzez *ewisę*.

- Ile było ciebie w Waltirim?

Dość, by kochać Goldę. Ta wojna wszystkim nam postawiła dziwne wymagania.

- Wiedziałeś, że był tu cień Tonna?

Tak.

- Czy współpracowałeś z nim od samego początku?

Nasze cele, choć niezależnie od siebie, ewoluowały jednak w tym samym kierunku.

- I na co tutaj czekasz?

Na koniec, bądź na wypełnienie przez ciebie obietnicy. Michael wstał i pokręcił wolno głową.

- Nie jestem tym samym chłopcem, którego zwabiłeś niegdyś do domu Waltiriego. Od tamtej pory straciłem tak wiele swoich „ja”, że sam już prawie nie wiem, kim jestem.

Takie jest przekleństwo przywódcy.

- Nigdy nie byłem przywódcą - powiedział cicho Michael.

Oczy zaszyły mu mgłą. Rozejrzał się po living-roomie, który obsiadły ptaki wszelkich gatunków, od dużych śnieżnych sów i rudoogoniastych jastrzębi po gołębie i wróble. Ptaków wielkości kruków i upierzonych jak drozdy, takich, których chmarę pewnego mglistego poranka zaobserwowali na dachu domu Dopsowie, było wśród nich zaledwie kilka.

- Jesteś dużo młodszy od Węża - stwierdził. - Czy dorównujesz wiekiem Tonnowi?

Teraz przerastam go wiekiem.

- Ten napis... czy zawiera warunki twojej klątwy? Mag każdej rasy musi dźwigać jej okowy. Michael pokręcił głową, zaciskając ze smutkiem usta.

- Jak długo obowiązywać będzie twoja klątwa?

Dopóki nie odzyskamy twarzy. Ptak otworzył dziób i przekrzywił łeppek. *Wąż zostanie wkrótce oswobodzony. Śmierć Tonna i zanik ciągłości między magami Sidhów rozerwie jego kajdany. Jednakże ci, którzy urodzili się pod swymi obecnymi postaciami, uwolnieni nie zostaną. Wolności nie odzyska nikt z mego ludu.*

- Z karaluchów nie wyrosną Urgowie, a Spryggle nie utoną w morzu... - mruknął w zadumie Michael, uśmiechając się na myśl, że nie ziści się jednak jego wizja apokalipsy.

Strzeż się Węża.

- Strzegę się.

I przyjmij moje przeprosiny.

- Pomyślę nad tym - odparł Michael. - Ostatnie pytanie. Czy Shiafa jest dla mnie zagrożeniem?

Ani śmiertelnym zagrożeniem, zdradziecką dywersantką, ani jakąś szczególną podporą. Jej los spoczywa w twoich rękach.

- Dawano mi do zrozumienia, że jest wprost przeciwnie.

Ty możesz się zmienić. Ona nie. To ty dyktujesz warunki.

- Żona Tonna...

Adonna był pomyłką.

Nie bardzo wiedząc, jak pożegnać maga ptaków, Michael po prostu odwrócił się i wyszedł przez frontowe drzwi. Shiafa siedziała po turecku na trawniku o czarnozielonej murawie, mieniającej się niczym klejnot w promieniach opalizującego jaskrawo słońca. Przyglądała mu się bacznie, jak zamyka drzwi na klucz.

- Jak długo tam byłem? - spytał.

- Nie mam wycucia czasu - odparła Shiafa.

- Musimy porozmawiać w cztery oczy - powiedział Michael. - Ale najpierw udamy się w podróż.

- Dokąd?

- Na spotkanie z Wężomagiem.

Pierwszy raz ujrzał na jej twarzy wyraz skrajnego przerażenia. Ale nie protestowała.

Nie przejmując się potencjalnymi gapiami z sąsiedztwa - takich zresztą, jak okiem sięgnąć, nie było - Michael oddał płat powietrza, odkrywając ciemność i punkcik zieleni, po czym skinął na Shiafę, by przeszła pierwsza. Posłuchała, a on podążył w ślad za nią, maskując z powrotem szczelinę.

Noc, niczym rozgrzana czarna, ceramiczna misa, przykrywała łąki nad jeziorem. Jego toń była nieruchoma, cicha i praktycznie niewidoczna; nie sondując otoczenia Michael miałby spore trudności z odszukaniem brzegu. Głęboko w jeziorze, setki stóp pod powierzchnią, w niszy pod skalnym nawisem drzemał Wąż. Michael nie wyczuwał nigdzie jego asystentki - Mieszanki.

- Wyczuwasz go? - zwrócił się do Shiafy, majaczącej w mroku plamą ciemnej szarości.

- Tak - odparła łamiącym się głosem. - To on ukradł nam dusze...

- Wet za wet - mruknął Michael, bez powodzenia usiłując stłumić przyływ głupkowatej wesołości, która znowu zaczynała go ogarniać. *Nie orientujesz się w skali niebezpieczeństwa. Nie wyczuwasz faktycznego zagrożenia.* Głos w głowie należał do niego; to przemawiała jego część wcielająca się w role Clarkhama, Węża i maga Cledarów jednocześnie. - Teraz nie zamierza wyrządzić krzywdy nikomu, a już zwłaszcza tobie.

- Przez niego sama sobie szkodzę - powiedziała Shiafa. - To co za jego sprawą odczuwa mój lud... wściekłość i przerażenie osłabiają nas. Nie możemy się wyrwać z tego zaklętego kręgu. Psychiką upodobniliśmy się do zwierząt łownych.

Michael szedł skarpą nad brzeg i wyciągnął przed siebie ręce. Jedną dłoń wciąż przesłaniała mu perłowa narośl; ukrywanie jej przed Shiafą, a nawet przed ptasim magiem przychodziło mu z niemałym trudem. Nie wiedział dokładnie, co oznacza w tej chwili, a kilka podejrzeń, jakie żywił, bynajmniej nie nastrajało go optymistycznie.

Przyszło mu na myśl, że spełnia podobną funkcję, co pewien organ, który aktywizuje się w ciele przy traumie. Wskazywałoby to na istnienie jakiejś więzi między światami i ich mieszkańcami, co absolutnie wykraczało poza jego dotychczasową wiedzę, choć nie było wykluczone. Taką „prawdę”, jeśli to właściwe określenie, mógł znać i Clarkham.

W każdym razie wszelkie kwestie dotyczące jego własnych potrzeb, jego osobistych decyzji, mogły wkrótce stracić zupełnie na znaczeniu. Według najczarniejszego scenariusza jego rola mogła być z góry określona, a jeśli rzeczywiście tak było, to bardzo prawdopodobne, że resztkę jego indywidualności - wszystko, za co mógł jeszcze ręczyć - odpadnie niczym zmartwiały paznokiec.

Liczył, że znajdzie sposób, by tego uniknąć.

Kristine.

Stłumił narastającą irytację i niecierpliwość. Musisz ją odnaleźć... i to szybko... Przede wszystkim jednak, żeby mieć ją gdzie sprowadzić, musiał uchronić świat przed rozpadem.

Przejrzałem twe plany, Michaelu. Dobywające się z głębin jeziora słowa Węża brzmiały tak wyraźnie, jakby stali obok siebie. *Jesteś ostateczną zemstą Tonna za to, co spotkało jego lud.*

Słyszac w głowie te słowa, Shiafa jęknęła cicho. Pałała niemal namacalną odrazą.

- Mówiono mi dwukrotnie, że potrzebuję tego, co masz ty - odezwał się Michael. - Sam mi tak powiedziałaś.

I możesz to osiąść.

- Nie sądzę, byś kiedykolwiek szczerze pragnął mnie z tym czymś widzieć. Wolaleś raczej przerobić mnie na broń. To świadczy najlepiej, jak niewiele w istocie rozumiesz.

Mogłeś przejść po mnie spuściznę.

- Wątpię, byś zechciał przekazać mi ją w całości. Nie powiedziałeś mi, że zbliża się kres twojej klątwy.

Waż, wijąc się, wyruszył w długą drogę ku powierzchni.

Przemieszczasz się pomiędzy światami, jak i po tym świecie, niczym mag. Twoja kandydatura była wątpliwa tylko dlatego, że odrzuciłeś to, co ci najpotrzebniejsze.

- Jestem kwiatem - odparł Michael. - Przez cały czas pojmowałem ten związek błędnie. My nie tworzymy światów. To światy tworzą nas. Albo jedno i drugie.

Albo żadne z dwojga. Nie obowiązuje tu żadna reguła. Jestem różą wydaną przez krzew zrodzony na łonie świata. Ty też nią kiedyś byłeś. Ale przegniłeś. Całe two pokolenie... wszyscy Sidhowie i ludzie twoich czasów... po prostu przegnili.

Jeśli chcesz mieć to co ja, powinieneś ze mną popływać...

Michael ściągnął buty i koszulę. W czarnym jak smoła mroku zszedł niżej do samej linii wody i tu się zawahał. Woda pachniała torfem i starością. Brodząc w niej po kostki, pomyślał o czeluściach jeziora, o tym, z jaką łatwością mogło pogrążyć się w niej na zawsze ciało... skubane przez łososie, którymi żywił się Wąż, obdzierane z mięsa dopóty, dopóki nie pozostaną z niego jedynie pozółkłe kości rozrzucone po mulistym dnie jak odłamki potłuczonej ceramiki.

Pożyj moim życiem. Może wtedy zasłużysz na przegląd moich wspomnień.

Waż pływał kilkaset stóp pod powierzchnią, w odmętach mrocznych jak pochmurna noc nad jeziorem. Michael zanurkował i popłynął ku środkowi jeziora stylem wyuczonym na szkolnej pływalni. Woda miała kwaśny smak. Była bardzo zimna. Pobrał ze swego wnętrza więcej ciepła i płynął, dopóki nie znalazł się dokładnie nad Wężem. Tam zatrzymał się, poprzestając na lekkich ruchach rąk, by utrzymać się na powierzchni.

Moja klątwa już wkrótce wygaśnie. Nikną resztki mocy Adonny, a wraz z nią znikną słowa, które wypisał mi na brzuchu. Wtedy zajmę swoje stanowisko wobec innych kandydatów. Nie życzę sobie, żeby wyręczał mnie w tym jakiś chwiejny chłopiec.

Michael wyczuwał pod sobą napór wynurzającego się Węża. W sączącej się przez przerwę w chmurach mdłej, szarej poświacie żeliwnego księżyca woda przypominała do złudzenia rtęć; przy każdym ruchu jego ramion burzyła się i rozchodziła powolnymi kręgami.

- Co ja tu, u diabła, robię? - zapytał sam siebie, krztusząc się wodą. Wąż, przesywający mrok spiralą swego cielska, znajdował się już zaledwie sto stóp pod nim. Sześćdziesiąt stóp. Trzydzieści. Dwadzieścia.

Michael nabrał powietrza w płuca i zanurzył się. Wrota wody zatrzęsły mu się nad głową. Chociaż piekły go oczy, powstrzymywał się od zamknięcia powiek i patrzył w dół. Dziesięć stóp. Pięć. Dzięki nielicznym, rozproszonym fotonom przefiltrowanej księżycowej poświaty, rozpoznał poniżej podłużny kształt, teraz już nieruchomy.

Mój świat, przemówił Wąż. Czy zapracowałeś na to, co pragniesz wziąć?

Nie, odparł Michael. *Ale mimo to spróbuję*. A gdyby mu się powiodło, czyż i on nie złamałby wówczas prawa magów? Cień Adonny dał mu do zrozumienia, że nie, ale tak założyć było najwygodniej.

Wyzbył się skrupułów. Prawo to powstało niewątpliwie w czasach spokoju i dobrobytu, kiedy zmiana magów mogła być dokonywana bez pośpiechu i w zgodzie z przyjętymi zasadami. Takie przynajmniej nasunęło mu się usprawiedliwienie. Wciąż jednak pozostawał złodziejem. I nawet gdyby wszystko dobrze się skończyło., czy usankcjonuje to czyn, który zamierza popełnić?

Silne motywacje. Wręcz brawura.

Głowa Węża rozjarzyła się teraz własnym światłem. Małe, mętne oczka i obły łeb z cofniętą szczęką uzbrojoną w dwa rzędy białych ząbków były aż nazbyt wyraźne. Michael odniósł wrażenie, że zaraz stanie mu serce. Wąż mógł połknąć go w całości kilkoma kłapięciami paszczy, w akcie postawionego na głowie, przewrotnego kanibalizmu... albo zwykłej walki o przetrwanie.

A więc stańmy do współzawodnictwa, zdecydował Wąż. Jesteś tego wart. Przekonaj się, czy potrafisz wziąć to, czego potrzebujesz.

Wąż wychynął nad powierzchnię. Podobnie uczynił Michael. W tejże chwili księżyc olśnił gładkie jezioro obfitym zimnym, platynowym światłem. Snop tego światła ciągnął po śladzie Węża linię i w jej blasku Michael ujrzał połyskującą klejnotami skórę gada oraz nowe, silne ramiona, które wraz z ogonem i pogrubiłymi płetwami służyły mu do poruszania się w wodzie.

- Ty rzeczywiście jesteś częścią grzechu pierworodnego, prawda? - zarzucił mu Michael; jego głos odbijał się echem od wzgórz i skał na przeciwległym brzegu. Zdawał sobie sprawę z tego, co robi. Mimo wszystko pierwsze spotkanie z Wężomagiem zrobiło na nim silne wrażenie. Teraz tracił resztki szacunku; tego, co teraz planował, nie byłby w stanie uczynić z zimną krwią nikomu, przed kim żywił respekt.

Michael skierował się do brzegu. Wąż płynął za nim dostosowując swoją szybkość tak, że jego tępy, węgorzowy nos przez cały czas nie pozostawał w tyle dalej niż na trzy jardy.

Michael wyczuł nogami dno i stanął. Wąż milczał. Od brzegu dzieliło ich nie więcej jak kilka jardów, a światło księżyca zaczęło blednąć. Michael nie próbował sondować myśli Węza; mógłby w ten sposób zdradzić, co kłębi się i tężeje w nim samym.

Mój czas zatoczył znowu pełne koło. Michaelu Perrinie. Powraca mi twarz.

Wąż wywindował swe cielsko na kamienisty brzeg. Na jego skórze tańczyła odblaskami prześwitująca przez sporadyczne przerwy w chmurach poświata księżyca. Dłonie świerzbiły teraz Michaela intensywnie, aż do bólu. Shiafa...

Musnął lekko jej umysł. Wciąż nie znajdował w sobie dostatecznej siły, by dokonać tego, co było konieczne. Zawstydzony, zwrócił się do niej o pomoc - po raz kolejny - i poczuł falę seksualnego odzewu, magicznej siły związanej w splot. Nie wiedziała, co robić ze swoją mocą, ale rozumiała, co oznacza jego „pożyczanie”. Trudno mu było teraz uniknąć splecenia.

Już go prawie miała.

Smutek buzujący w Michaelu był równie dotkliwy jak ból rąk. *Kristine.*

Sześćdziesiąt milionów lat obłądu przemieszanego z szaleństwem, marzeń z intrygami. Wężowi, cokolwiek uczynił, należał się ów nadchodzący moment wyzwolenia od sidhowej klątwy...

Michael poczuł delikatne muśnięcie perswazji Węza i postawił przed nim blokadę. Z jego emocjami igrano na zbyt wielu poziomach, by mógł mieć na nie wszystkie baczenie. Sondy Węza były niewiarygodnie subtelne, nie zauważył ich do tej pory...

Co znaczyło, że Wąż zdawał sobie sprawę z tego, jakie zagrożenie przedstawia sobą Michael.

Michael zadał sobie pytanie: *Czym, na Boga, jesteś*

Brzeg jeziora eksplodował, zarośla i trawa rozbłysły na moment jasnością dnia i zapłonęły z przerażającym świstem zasysanego powietrza, na co wody wzburzyły się i odskoczyły ku środkowi

Ty, który to zrobisz

Wąż zaś, puściwszy się skał, wił się w konwulsjach na brzegu... Z jego karpich oczu i półksiężycowatych ust w cofniętej szczęce wylania się twarz, zmienia się, teraz znowu ma twarz, twarz tego, który jest

Postrachem przeniesionego tu mego ludu (Shiafa)

ogniowarem dogasających już po tej orgii fajerwerków, księżyc przepadł, niebo niczym hełm

Wyprost. Podryg. Który jest

nie otumaniałym teraz Wężem, lecz Michaeliem. Michael stoi nad nim, Wąż grubiej i grzbietem sięga mu już pasa, kształtuje się twarz, przystojna twarz, nawet podobna do sidhowej, pierwsza od sześćdziesięciu milionów lat twarz ur-człowieka widziana na Ziemi, twarz brata Sidhów, można by rzec.

A w jego umysł, uruchomiwszy zdolności, których istnienia nie był dotąd świadom, wpycha się nachalnie Michael, wypierając osobowość Węża i wykradając spośród zasobów wiedzy to co mu potrzebne. Niezdolny uniknąć pewnych aspektów przeistoczenia się w Węża, albowiem wiedza jest ludzką rzeczą (i z każdą chwilą wykorzystywania mocy Shiafy coraz silniej się z nią splatając) stojąc bez tchu nad Wężem obserwuje

Kto podpalił zarośla... dywersja, ale czyja?

Ile mam umysłów

Szesnastoletni chłopiec skurczył się do nicości, pozostawiając po sobie jedynie cień wspomnienia

Shiafę na swoim miejscu

Panie, panie mej młodości, dokądkolwiek odszedłeś, kimkolwiek jesteś, chyba żeś jest jednym spośród nas, którzy aspirujemy do tworzenia światów, tylko silniejszym, nie mogę cię prosić o pomoc, to nie wypada, ale potrzebuję twej pomocy

Wąż stawiał nieoczekiwane opór i Michaelowi wydało się, że głowa eksploduje mu zaraz ogniem, jak stało się to przed chwilą z nadbrzeżnymi zaroślami. Płomienie wypaliły na duszy Michaela słowa kłątwy Węża.

Nie uzyskałeś żadnego prawa, żeby mi to robić.

- Więc daj mi, czego potrzebuję! - wrzasnął na całe gardło Michael. Niektóre z tych słów wykrzyczała razem z nim Shiafa, nie w pełni mu jeszcze podporządkowana.

Zmusisz nas do życia wraz z nimi, po tym, co nam zrobili...

- I żadnego odwetu! Koniec wojny!

Nigdy.

Ale Michael czerpał już od Węża naukę, wybierając sobie to, czego potrzebował. Zrozumiał znaczenie owych narośli na dłoniach i pojął, kim jest. Dawno temu, przed sześćdziesięciu milionami lat, takich jak on było wielu; wraz z ich przemianami świat został praktycznie skazany na pogrążenie się w chaosie.

Nie byli magami. Służyli magom, którzy stworzyli ten świat i wiele innych (!) mu podobnych. Zwano ich twórcami. Wobec braku tej skomplikowanej organizacji, o której wspomnienia zachowały się w pamięci Węża, Michael musiałby przejąć obowiązki twórcy i maga, rzemieślnika i kreatora.

Wąż szamotał się z nim zajadle, rozkopując kamienie. Kilka większych kamyków trafiło Michaela i Shiafę. Choć krew pociekła mu z ręki i z czoła, a Shiafa zgięła się z jękiem w pół, nie mrugnął nawet okiem.

Transformacja postępowała, jednak symbole na brzuchu Węża nie znikwały. Wręcz przeciwnie, rozjarzyły się teraz nową wrogością, nowym życiem. W rykach wydawanych przez zwijające się i tarzające po plaży stworzenie, zdzierające z siebie zdobne łuski, pobrzmiwało cierpienie, którego sprawcą nie mógł być sam tylko Michael.

Wąż powracał coraz bardziej do postaci Manusa - tak brzmiało imię maga przed sześćdziesięcioma milionami lat, zanim ludzie przegrali z Sidhami decydującą bitwę, po której kazano mu dźwigać wieczne brzemie klęski.

Michael chłonał wspomnienia Węża - Manusa - najpośpieszniej jak mógł, jednak te nikły i wykoślawiały się straszliwie pod zapuszczanymi sondami. Manus wił się po brzegu, a z liter na jego ciemnej, złocistej skórze buchała para. Wszystkie drogocenne łuski podpadały mu już, zaścielając plażę niczynie rozsypana zawartość skrzyni ze skarbami.

Mag miał teraz dwie ręce i dwie nogi. Ogon skurczył mu się do czarnego guza u podstawy kręgosłupa. Przewrócił się z jękiem na plecy. Twarz znów miał całkowicie ludzką... ale pozbawioną wyrazu.

Sonda Michaela miotała się bezradnie po ogromnej grocie.

- Nic tam nie ma - stwierdził Michael, dźwigając się na kolana. Poczł przyplływ nudności; wyczerpanie prawie odbierało mu czucie. - Gdzie on się podział?

Shiafa wycofała się na czworakach, rakiem, od wody i walczących. Michael zwolnił ją od udziału w starciu.

- Kto gdzie się podział? Tam jest. - Wskazała długim palcem ciało, ledwie widoczne nad brzegiem rozedrganej wody.

- Jest pusty. W jego wspomnieniach nic nie ma. Niedawny Wężomag patrzył tępo w niebo. Twarz miał pustą jak u trupa, pierś unosiła mu się i opadała ciężko, dłonie to się zaciskały, to rozluźniały. Kwilił cicho i przeginał się niemrawo, szorując plecami o kamyki. Księżyc odbijał się w oczach maga, matowych i ślepych jak oczy dawno zdechłej ryby, zimnych jak źrenice węża. Litery, którymi przed milionami lat napiętnowali go Sidhowie, odrzynały mu się na brzuchu pozłocistymi pręgami.

Korzystając ze skradzionej wiedzy, Michael mógł je teraz odczytać i dostrzec, jakiej uległy przemianie wraz z przepoczwarczeniem się Węża.

Dopóki Sidhowie znają mrok, co jest wewnątrz, jest poza. Taką to klątwę rzucił przed sześćdziesięcioma milionami lat mag Sidhów. Ale teraz pojawiła się nowa linijka.

Co jest poza, jest wewnątrz.

Michael podpełzł do maga i dotknął go, wyciągając rękę. Ciało było ciepłe. Manus wyglądał na zdrowego średniolatka, choć subtelne cechy jego rysów nie pozwalały na dokładne oszacowanie wieku.

Michael wyczuł obecność rozwierającej się bramy i ujrzał biegnącą ku nim asystentkę maga. Świt rozładniał już na wschodzie atrament nieba. Mieszanka przystanęła między swoim mistrzem a nieruchomymi wodami jeziora, odcinając się niewyraźną sylwetką na tle iluminowanej niebieskości, po czym uklękła na kamykach. Dotknęła leżącego, kładąc dłoń tuż obok dłoni Michaela.

Nagle przeniosła wzrok na Michaela, mrużąc oczy, by w szarówce księżycowej poświaty i rodzącego się dnia wyraźniej go widzieć.

- Nie jesteś nim - stwierdziła stanowczo. - Powróciłeś, ale nim nie jesteś.

Michael był zbyt wycieńczony, by odpowiedzieć. Odczołgał się od nagiego mężczyzny i leżał obok Shiafy, z którą czuł silny związek; nie miłość, nie żądę ani nawet pociąg, lecz coś *a priori*. Przyciśnięci do siebie leżeli na skałach, czekając, aż ogrzeje ich słońce. Asystentka maga, gdyby tylko zechciała, mogła teraz zrobić z nimi wszystko; byli bezbronni jak wywleczone na brzeg meduzy. Ona jednak siedziała przy magu w kucki, z ręką przyłożoną do jego brzucha, obok liter, które jarzyły się nadal własnym światłem. Zacisnęła powoli palce w pięść i uniosła ją, jakby chciała coś uderzyć, wszystko jedno co, po czym wstała.

- No to cześć - mruknęła. Michaelowi przemknęło przez myśl, że może już odchodzi.

- Towarzyszyłam mu, z przerwami, przez tysiąc lat - podjęła. - Nie mógł się doczekać dnia, kiedy śmierć Tonna i wynikające z niej zawirowania wrócą mu wolność.

- Co mu jest? - wychrypiał Michael. - Nie zrobiłem mu nic takiego, co... doprowadziłoby go do takiego stanu.

- Co jest poza, jest wewnątrz - zacytowała. - Przez sześćdziesiąt milionów lat żył z ludzkim umysłem uwięzionym w ciele węża. Błogosławiony Adonna - wycodziła głosem ociekającym sarkazmem. - Błogosławiony, miłosierny mag Sidhów. Nie wystarczyło mu jednej klątwy. Gdy wygasła pierwsza, on rzucił drugą przestawiając słowa. Teraz mag ma ciało człowieka...

Manus przetoczył się na brzuch i oczami mętnymi jak woda w mulistej kałuży popatrzył bezmyślnie wpraw na Michaela, potem na swoją asystentkę. Otworzył usta i wydał z siebie świst, taki sam, z jakim uchodzi z balonu powietrze.

- ...a umysł Węża - dokończyła asystentka, trącając go lekko stopą. Manus odskoczył.
- Adonna z nim skończył. Co masz?

- Wybacz - odparł Michael, wyczuwając docierający doń z głębi pogłos zgrozy, jakby rozkrzyczał się w nim jakiś tłum więziony za grubym kamiennym murem. - Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Zatem stracił wszystko? - drążyła go Mieszanka. - Całą swoją wiedzę, wszystkie wspomnienia?

Michael zamknął oczy i podążył ścieżką światła przez mrok pod powiekami. Niegdyś był chłopcem i żył w chłopięcym ciele, z chłopięcym umysłem przypominającym malutki, ale bardzo foremny domek.

Teraz chłopca już nie było, a mężczyzna, który zajął jego miejsce, zamieszkiwał w pałacu, sypiącym się i spaczonym, lecz kipiącym od nieopisanego przepychu i pełnym tajemnic. Zwiedzanie tego pałacu i poznanie wszystkich jego zakamarków oraz czyhających w nim niebezpieczeństw mogło mu zająć lata.

- Otóż nie - odpowiedziała sobie sama Mieszanka, stając nad leżącym Michaeliem. - Ty wyświadczyłeś magowi przysługę. On tego nawet nie wie. Przejąłeś od niego wiedzę i zachowałeś ją. Co teraz zrobisz ze swoim łupem? - Odwróciła się do Shiafy. - I tak oto wszystko zaczyna się od nowa. Znow się rozpoczyna cała smutna kronika. - Potrząsnęła głową tak energicznie, że jej długie włosy zafalowały na tle szarzejącego nieba, i pomaszerowała z powrotem do pozostawionej w powietrzu szpary. Dała w nią susa i zaciągnęła za sobą rozprute krawędzie.

Manus obrócił głowę spoglądając na szare, jakby kamienne niebo. Ludzka szczęka unosiła mu się rytmicznie i opadała, a po jego ludzkich nogach przebiegały skurcze.

Michael odważył się pobrać z *hyloki* nieco mocy i podźwignął się z ziemi, pomagając też wstać Shiafie.

- Masz jego wiedzę? - spytała obserwując go błyszczącymi jak w gorączce oczami.

Michael pokiwał głową.

- Pewną część. - Poczul, jak w gardle wzbiera mu szloch i nie potrafił go opanować; wstrząsnął nim gwałtownie i Michael pokrył go odkaszlnięciem, zasłaniając usta dłonią. Po kilku sekundach, odzyskawszy nad sobą kontrolę, odsunął dłoń od twarzy. - Nawet nie wiem, jak ją wziąłem.

Głowę miał pełną nieznanymi głosów. Natknął się na wspomnienie z młodości maga, kiedy to Manus, jeszcze jako dziecko, wędrował przez gaj starej Ziemi wśród ogromnych drzew, przy których mogły się schować sekwoje - drzew o kształtach, jakich Michael nigdy nie widział, o pniach niby polerowana kość słoniowa i liściach przezroczystych niczym szkło.

Zaraz potem przytoczyły się wspomnienia spotkania z ostatnim poważnym ludzkim kandydatem. Manus spożytkował resztki swojej mocy na rzucenie cienia, który przed blisko dwoma tysiącami lat ukazał się pewnej Nazarejce na kamienistym wzgórzu w Galilei.

Michael ujrzał twarz Chrystusa, charyzmatyczną i szlachetną, czarne oczy, lecz włosy brązowe, wpadające niemal w czerwień; oczy odciągały całą uwagę od ciała, które było barczyste, średniego wzrostu.

Michael przyłożył rękę do twarzy, uciskając sobie skronie i nos, i ujrzał Eske i Almę oraz ogród, w którym bawiły się ich dzieci... i małe Żurawice, wnuczki Adonny, tańczące dookoła ozdobionego klejnotami Węża, podczas gdy sam Adonna, pośród gór Araratu i na równinach przecinanych rzekami Tygrys i Eufrat, rozgrywał znaczniejszą partię boskości.

A później Michael zobaczył tę pozycję ponad wszelkimi światami, gdzie muszą stanąć wszyscy biorący się na poważnie za tworzenie światów. Miejsce zwane Nul.

Michaelowi znów napłynęły do oczu łzy. Mając w sobie cząstkę maga, potrafił teraz docenić, jakie naprawdę było długie, męczeńskie życie Manusa...

I wyczuwał emocje, które, pomimo upływu sześćdziesięciu milionów lat, nadal w magu żyły - przerażenie i wściekłość spowodowane tym, co spadło na jego lud, niedowierzenie, że to, co kiedyś było rajem, mogło się tak zdegenerować, popaść w chaos warcholskich przepychanek prowadzących prosto do autodestrukcji.

Żaden z nich nie zasłużył sobie, by być tak doświadczanym.

Nawet wielcy tamtych zamierzchłych czasów byli bezradni jak dzieci wobec zaistniałych okoliczności.

Głębia aspiracji Michaela nie dała się zmierzyć. Ale było już o wiele za późno, by obrać inną drogę. Adonna wyeliminował ze współzawodnictwa potencjalnego rywala: Michael nie złamał prawa magów, bo Manus nigdy nie był tak naprawdę kandydatem. Klątwa zdecydowanie to wykluczyła.

Teraz pozostali tylko Tarax, Clarkham i Michael. Michael zaś posiadał wreszcie większość wiedzy, z którą mógł już zastosować swoje talenty w praktyce, licząc po cichu na sukces.

- Wiem, dokąd wyruszymy w następnej kolejności - oznajmił. Shiafę zaczął już postrzegać jako część siebie, praktycznie nierozłączną.

- Na bitwę z moim ojcem - powiedziała Shiafa.

Pusty Manus próbował przewracać się z boku na bok. Michael przycisnął dłoń do czoła maga. Wykorzystując wiedzę samego Manusa, położył kres żywotowi najstarszego żyjącego na świecie stworzenia, ostatniego przedstawiciela pierwszego ludzkiego plemienia. Oczy maga jęły zachodzić mgłą, aż zgasła w nich ostatnia iskierka świadomości. Michael zamknął dwoma palcami powieki trupa.

- Nie - sprostował - nie do walki z Taraxem. Shiafa sprawiała wrażenie niemal zawiedzionej.

- Na poszukiwania Kristine? - spytała bez przekonania.

Kristine.

Pokręcił głową. Jakiś głos z oddali powiedział: *Krok po kroczku*, a on z trudem go rozpoznał.

Michael wyciągnął do Shiafy rękę i dziewczyna ujęła ją. Przemknęło między nimi coś niezupełnie przyjemnego. Wspomnienia Manusa mówiły mu teraz wyraźnie, co się stanie, jeśli będzie jeszcze długo przestawał ze Shiafa, lecz on w tej chwili nie potrafił powiedzieć sobie: dość. Ciągle potrzebował jej mocy.

Nie mieli potrzeby wracać do Los Angeles. Dla Michaela wszystkie miejsca na Ziemi przedstawiały się teraz mniej więcej tak samo; dostęp do Nul był z każdego z nich jednakowy, a on właśnie tam musiał postawić następny krok.

Mag ani twórca nie mógł tworzyć nowych, dojrzałych światów w obrębie światów już okrzepłych. Dziwił się, że nie wpadł na to wcześniej; młode światy przeczyły starym w zasadniczych kwestiach, a ujęcie w reguły *a priori* udaremniało ich rozwój. Wszystkie pęczniejące mu na dłoniach perłowe globy zostały stłamszone przez miejsca, w których się znajdował, a nie poronione wskutek jego niedoświadczenia. Uzmysłowiwszy to sobie, nie mógł wyjść z podziwu, że Clarkham dokonał równie znaczących postępów co on sam - miał bowiem pewność, że Izomag nigdy nie był w Nul.

Dzięki wiedzy Manusa Michael zdał sobie sprawę, że gdyby uświadomiono mu tę możliwość, kiedy miał jakieś trzy latka, mógłby wówczas wcielić się w rolę twórcy i komponować malutkie, dziecinne światki, słowem: światki-zabawki. Cóż za potencjały

drzemały w rodzaju ludzkim; cóż za potencjały mogły zostać wyzwolone w obecnych czasach, gdy odmieniona Ziemia wysuwa tyle propozycji?

Pochowali maga Manusa wśród wzgórz za jeziorem, pod wyrazistym, miedzianozielonym niebem pociętym wstęgami chmur. Shiafa pomogła mu przenieść ciało bez cienia żywionych wcześniej lęku i odrazy.

Dopełniwszy ceremoniału, Michael ze szczytu wzgórza ogarnął wzrokiem jezioro. Shiafa stała obok, popatrując nań co jakiś czas z niepewnością i nadzieją.

- Nie należysz już do Taraxa - odezwał się w końcu Michael.

- Nie - przyznała.

- Nie możesz już mu służyć.

Pokręciła głową.

- Czy wiesz, po co cię do mnie przysłał?

- Żebym była pułapką - odparła mrużąc oczy jakby spodziewała się policzka.

- Iloma to klątwami obrzucono się podczas Wojny! - westchnął w zadumie Michael. - Klątwy jawne, klątwy ukryte, klątwy przeciwko klątwom. Jacyż przebiegli byli w swym okrucieństwie nasi przodkowie. Ale o tej klątwie... Że mężczyźni i kobiety Sidhów mogą się nawzajem niszczyć. Czy wiedziałas o tej?

- Nie.

- Jeśli stanę się magiem, biorąc uprzednio za towarzyszkę kobietę Sidhów - powiedział Michael - moja sidhowa częśćka, choć niewielka, zaraz da o sobie znać. Dostanę obsesji na punkcie mej towarzyszki, zatopię się w niej bez pamięci, będę ją adorował aż do wyczerpania całej swojej mocy. Pożremy jedno drugie żywcem. Jednak chcąc zyskać władzę potrzebną do uprawiania czarów najwyższej klasy, muszę czerpać moc od kobiety. Magię noszą kobiety Sidhów. A ponieważ mam w sobie Sidha, nie mogę stać się magiem samych ludzi...

Muszę kochać, kraść, po czym... muszę uciekać. Nie ucieknę zaś, jeżeli moja towarzyszka nie ulegnie przeobrażeniu, inaczej będzie mnie coraz bardziej usidlać. To drugi stopień wtajemniczenia. Najpierw zabijasz swojego ulubionego konia... a następnie zabijasz lub przeobrażasz swoją towarzyszkę. - Michael wrzucił ramionami. - Kobiety o tym nie wiedzą?

- Ja nie wiedziałam.

- Kapłanka Godzin wiedziała. Oto z czym wiąże się bycie magiem wśród Sidhów. Ponieważ w moich żyłach płynie sidhowa krew, można na mnie zastawić pułapkę. Tarax zaryzykował. Twój ojciec.

Shiafa dygotała jak w febrze.

- Nie masz całej mojej mocy - powiedziała.

- Nie próbowałem brać jej w całości od razu, lecz jedynie pożyczać. Im więcej pożyczałem, tym bardziej była mi potrzebna. Ale nie mogę wziąć już jej więcej bez aktu parzenia.

- Użyj mocy Węża. Pozostaw mnie tutaj.

- Nie pobrałem od maga żadnej mocy. Dawno już miałem więcej od tej odrobiny, która mu została. Reszta jego mocy stępiła się pod koniec Wojny, kiedy to obłożono go klątwą.

- Ale musisz mnie zostawić...

- Nie mogę - wpadł jej w yłowo Michael. - Jeśli w Nul stawię czoło Taraxowi z tymi tylko atutami, które mam teraz, przegram i ucierpi na tym cały mój lud. Może i mógłbym pokonać Clarkhama, który zdobywał swoją magię innymi sposobami. Ale nie Taraxa.

Shiafa usiadła na trawie. Drżenie jej ciała nasiliło się i przechodziło już niemal w konwulsje. Michael położył dłoń na czubku jej głowy.

- Co czujesz? - spytał.

- Zagubienie - odparła. - Głęboką nienawiść.

- Czy to mnie nienawidzisz?

Potrząsnęła przecząco głową, co przy jej drgawkach przeszło niemal bez zauważenia.

- Zacerpnij z wnętrza - zasugerował Michael.

- W moim wnętrzu nic nie ma - zaoponowała. - Jestem pusta jak dynia. Zawsze byłam niczym. Przynajmniej dla siebie.

- A kim chciałabyś być? - spytał.

To pytanie zdało się ją uspokoić.

- Dobrą panią Sidhów - odparła. - Nie dbam o moc ani o znaczenie. Wyrzekam się dworów i rad. Wyrzekam się celów mego ojca. Z chęcią oddałabym to wszystko... tobie, skoro potrzebujesz. Ale nie oddam. Zbyt mocno to we mnie tkwi. Nie mogę niczego oddać, choć we mnie się marnuje, a jeśli sam weźmiesz, zniszczy to nas oboje.

Michael usiadł obok niej. Przestał już przywiązywać wagę do wyścigu z czasem. Wiedział dokładnie, ile go pozostało światu - trzy dni i parę godzin, a potem sam czas stanie się zupełnie nieobliczalny. Wystarczy z nawiązką, by dokonać czego trzeba.

- Czym zajmuje się dobra pani Sidhów? - spytał.

- Wyobrażam sobie, że moja matka była dobrą panią. Pracowała ramię w ramię ze swym towarzyszem... i odeszła. Nigdy się nie dowiedziałam, co się jej przydarzyło. Najlepiej,

kiedy kobiecie Sidhów nie potrzeba nic ponad proste uciechy życia w dobrze zagospodarowanym świecie, wśród Sidhów...

... - I ludzi?

Shiafa jakby nie mogła pogodzić się z tą sugestią.

- Wciąż córeczka swojego tatusia - westchnął Michael.

- No to mnie porzuć! - parsknęła odsuwając się od niego. - Znajdź sobie to, czego potrzebujesz, gdzie indziej.

- Gdybym tak mógł - mruknął. *Jak bardzo zbliżyłem się do pułapki Taraxa? Prosty sposób, oczywisty sposób - zamiast brnąć w nieznaną, lepiej pożyczać to co potrzebne.* Szukał jakiegoś rozwiązania wśród wszystkich wspomnień Manusa, lecz nie znalazł tam żadnego. Manus nie rozumiał dusz; zabrał je tylko Sidhom, a razem z nimi zdolność do miłości.

Michaelowi nie odpowiadały niczyje rozwiązania.

Jeśli będziesz starał się za wszelką cenę uniknąć porażki zanim bitwa rozgorzeje na dobre - zmarnujesz całą energię na ubezpieczanie się i asekurację, zniszczysz tylko sam siebie.

Skąd pochodziła ta mądrość? Nie od Manusa. Ani od Adonny. Nawet nie od Żurawic ani od maga Cledar.

Pochodziła od młodego, nie ukształtowanego, chwiejnego Michaela Perrina.

- No dobrze. Nie będę już wykorzystywał twojej mocy - powiedział Michael.

- Więc kto będzie? - spytała z nieufnością Shiafa.

- Nie wiem. Być może ty sama.

- Niby po co? Żeby działać dla sprawy mojego ojca?

- Nie wiem. - Wciąż jeszcze był nią zauroczony. Będzie musiał zwalczyć w sobie to uczucie; obecnie, na tle Shiafy, Kristine wypadała blado i jawiła się jako kiepski obiekt namiętności.

Cóż mogła zaoferować magowi Kristine? Była istotą ludzką, śmiertelną, nie wybijającą się jakoś specjalnie urodą, jeśli porównać ją z niektórymi pięknosciami, które w życiu widział - chociażby z Kapłanką Godzin. Jaki pożytek mogła przynieść młodemu magowi, czego mogła go nauczyć lub co mu podarować?

Nic. Była miłością absolutnie niepraktyczną. Zresztą nie wiedział nawet, czy to, co ich łączyło, było prawdziwą miłością. Może chodziło tylko o przelotne uczucie. Uratuje ją, a potem może się okazać, że z każdym tygodniem i miesiącem będzie się powoli od niego oddalała i na koniec go porzuci. Gdyby związał się ze Shiafą, nie mieliby nawet możliwości porzucić jedno drugiego...

Mógł znaleźć... znajdzie jakieś wyjście, by powstrzymać wzajemną destrukcję. *Miarą wartości jest odwaga.*

Jednak na coś takiego nie znajdował w sobie odwagi. Nie mógł zlekceważyć ostrzegawczego wizerunku żony Tonna, bezimiennej, przemienionej w potwora i skazanej na wieczną tułaczkę ze swym brzemieniem po Przeklętej Równinie.

Nic dziwnego, że mag Sidhów zakamuflował swą ostateczną zemstę.

Nic dziwnego, że cała historia pełna była okrucieństw, zemsta goniła zemstę, a kara karę.

Przerwij ten krąg.

- Zwracam cię Taraxowi - oznajmił Michael.

- Nawet nie wiem, gdzie on teraz jest - odparła Shiafa.

- Ja chyba wiem. Jest tam, gdzie być teraz powinien. A zatem udamy się do niego razem.

Okradzione wspomnienia:

Z czasów, kiedy Ziemia zajmowała sam środek całej czasoprzestrzeni, a niebo usiane było nie gwiazdami, i lecz skrzącymi się klejnotami - innymi światami, niezbyt odległymi, do których można było dotrzeć w kilka dni na *eponie*.

I kiedy dni nie determinowała orbita słońca, lecz ciągłość spowijającej wszelką kreację mgiełki światła. Manusa, nowicjusza i kandydata na maga ludzi - jednego spośród dziesiątek tysięcy innych kandydatów - ćwiczącego dyscyplinę w lasach i w górach, pośród nieśmiertelnych drzew i czystych, pachnących świeżym śniegiem szczytów, które nigdy nie porywały się na niczyje życie i tylko czasami pozwalały sobie na odrobinę surowości, po prostu po to, by prowokować do większego wysiłku...

Towarzyszek i żon, które Manus dzielił z innymi kandydatami... niektóre z tych towarzyszek same kandydowały do godności naczelnego kreatora, konserwatora, mistrza rzemieślników, dozorców i projektantów noszących honorowe tytuły *Ogrodniczki* lub *Przędki Koronki*, stróżów raju, w którym żyły tysiące różnorodnych istot, ale przeważali (jedynie liczebnie) Sidhowie, ludzie, Spryggle, Cledarowie... i Urgowie, spośród których wybierano większość, choć nie wszystkich twórców - stąd legendarni demiurgowie, robotnicy w służbie bogów.

Wspomnienia nieba, czystego i olśniewającego jak szafir lub lazuryt, pełnego latających Sidhów Amorfytów i Cledarów, mistrzowskich śpiewaków i wynalazców muzyki niewokalnej; a także oceanów tak przejrzystych, że pływacy i żeglarze bez trudu sięgali wzrokiem na tysiąc stóp w głąb i mogli podziwiać na własne oczy podwodne harce Sidhów Morzoli.

Manus był wówczas młody. Nim osiągnął dojrzałość, złoty wiek zmatowiał, a słodycz między rasami skwaśniała. Nim zgłosił swój akces na maga, odziedziczone przezeń królestwo było już kłębowiskiem potyczek i starć, grożących przerodzeniem się w otwartą wojnę.

Ze względu na przywiązanie do czystości zdrowego rozsądku i rzeczowej dyskusji mało kto w jego czasach był przygotowany do stawienia czoła kiełkującej nienawiści i podejrzliwości. Prawie nikt nie był uodporniony na tę chorobę, która zaczęła się rozprzestrzeniać wśród wszystkich ras. Powstawały ścierające się obozy i ci, którzy popierali ludzi - czyli praktycznie wszystkie rasy prócz Sidhów - podzielili między siebie specjalizacje w procesie tworzenia, przyznając Sidhom najmniej atrakcyjną działkę.

I to właśnie wtedy wojna rozpętała się na dobre...

A Manus nie miał dość sił, by jej zapobiec. Owa choroba toczyła również jego, podobnie jak ówczesnego maga Sidhów i magów innych ras.

Co z tego wynikło, Michael już wiedział, ale wspomnienia Manusa wzbogacały jego wiadomości o przerażający szczegół. Prawdziwy Upadek...

Pomijając wszystko inne, upadek ludzkości, zniekształcony w micie o Adamie, Ewie i wężu, był w rzeczywistości początkiem zmuszonej drogi do nowej dojrzałości w warunkach puszczanego na żywioł procesu tworzenia.

Przestrzeń rozrastała się niemal bez ograniczenia. Proces tworzenia zlał się z dzikimi, nieujarzmionymi kontinuumami i wskutek nieuchronnego przemieszania się praw istnienia wąskie specjalizacje magów i twórców stały się przeżytkiem. Na odległych granicach pojawiły się nie znane dotąd, obce inteligencje. Zwycięscy Sidhowie, zaniepokojeni, że przez swój tryumf zbaczą na bezdroża gnuśności, wyprawili się w Wielką Dal, jak nazywano owe od niedawna dostępne regiony. Nastąpiło to po trwającej miliony lat wojnie zwanej Dylematem, o której więziony wówczas na Ziemi Manus wiedział niewiele.

Wreszcie Sidhowie powrócili, ani zwycięscy, ani pokonani, jednak w pewnym sensie osłabieni swoimi wyprawami... I już tylko jeden z nich aspirował do godności twórcy i maga: Tonn. Tonn był ostatnim, który udał się do Nul, gdzie aranżowano procesy tworzenia, i ostatnim, który za pomocą prawdziwej magii kształtował Królestwo.

Od tamtej pory przez dziesięć tysięcy lat nikt nie odwiedzał Nul.

Michael znał kombinację dyscypliny konieczną do otwarcia bramy maga. Wykorzystując wspomnienia Manusa, ze szczytu wznoszącego się nad jeziorem wzgórze wyorał w skale i ziemi szeroką czarną szramę, inną niż bramy nacinane uprzednio w powietrzu. Szrama prowadziła do niemal kompletnego braku właściwości, do absolutnego minimum narzuconych wzorców.

Michael i Shiafa wkroczyli do Nul.

„Pod” Nul kłębiła się taka sama mgła, jaką Michael widział pod Królestwem, tyle że jeszcze bardziej niestrukturalna i przykra do oglądania. „Nad” Nul znajdowała się negatywna płaszczyzna rozkładu, gdzie można było recykulować poronione twory, strącając je z powrotem w mgłę. Nul odgrywało rolę gumki na wypadek, gdyby mag albo twórca doszedł do wniosku, że trzeba się pozbyć nowej kreacji.

Te dwa elementy, mgła i płaszczyzna negatywna, rozciągały się na wszystkie rodzaje odległości i wymiarów; „między” nimi zaś, czego nie mogło dostrzec ani rozszyfrować żadne niewprawne ludzkie oko, tkwiła prosta struktura z czarnych sześciątów, przypominająca ogromną próbkę minerału. Ale Nul nie było ani ze skały, ani z niczego innego.

Był to znacznik odniesienia, punkt początkowy.

Nikt go nigdy nie „stworzył”. Nul, istniejące zanim jeszcze doszło do wszelkich kreacji, przed pojawieniem się pierwszych ludów, charakteryzowało się beczasową i aprioryczną rzeczywistością, którą Michaelowi trudno było ogarnąć umysłem, choć dysponował wspomnieniami Manusa.

Na najwyższym sześciacie stał już zatopiony w koncentracji Tarax. Trzymał w rękach rozarty cyrkiel, obejmując oboma jego ostrzami bezpostaciową sferę koloru kości słoniowej, która się przed nim unosiła.

Michael wszedł do Nul na pierwszy sześciat poniżej. Shiafa zamknęła oczy i z jękiem pojawiła się na powierzchni trzeciego sześciatu, nieco odleglejszego, jeśli pojęcie odległości coś tu w ogóle znaczyło... a znaczyło niewiele.

Tarax oderwał wzrok od pomiarów, które prowadził, i uśmiechnął się do Michaela jak do równego sobie.

Witaj, kandydacie, powiedział. W Nul nie rozchodził się dźwięk, a w rezultacie i głosy - prócz tych przenoszonych przez umysł. Zresztą nawet ten przekaz wydawał się tu jakiś zniekształcony i osłabiony. Michael zdawał sobie doskonale sprawę, że dłuższy pobyt w Nul grozi utratą całej materialnej powłoki, a możliwe że i równowagi psychicznej. Nie było to miejsce przeznaczone do zamieszkania; było to centrum uprawiania najwyższych form tworzenia.

Dziękuję. Rycerska ogłada wcale nie wydawała się tutaj nie na miejscu. Trzeba było jakoś zrekompensować ten zupełny, przytłaczający brak porządku.

Moja córka nie powinna tutaj przebywać. Nie ma przygotowania do takich przedsięwzięć.

Przekazałem jej część siebie, by mogła tu przybyć i być naocznym świadkiem.

Świadkiem czego, naszych zmagañ?

Kto wie.

Tarax wskazał na sferę uwięzioną pomiędzy ostrzami swego cyrkla.

Jest prawie na ukończeniu. Może przyjąć wszystkich żyjących obecnie na Ziemi. Skazałbyś oba nasze ludy na zagładę dla zaspokojenia własnych przyziemnych ambicji?

Michaela fascynowała różnica między rodzącą się właśnie kreacją Taraxa, a perełkami, które sam kiedyś wyhodowywał.

Chcesz porzucić z kretesem stary świat?

A jaki z niego pożytek? Jest surowy i chaotyczny. Mojemu ludowi trudno w nim żyć. Królestwo jakie było, takie było, ale zapewniało nam chociaż komfort.

A starczy ci miejsca dla wszystkich ras?

Tarax rozpostarł ramiona.

Wszyscy są mile widziani.

Nie sądzę, by mój lud potrafił się odnaleźć w tworze tak odizolowanym od Ziemi.

Przystosują się.

Michael znał teraz prawo magów w pełnym jego brzmieniu. Kandydaci nie mogli w Nul tak po prostu sobie „poużywać”; musieli się tu stosować do pewnego kodeksu. Co to dokładnie znaczyło - kto niby miał narzucać ten kodeks - Michael ze wspomnień Manusa się nie dowiedział. W każdym razie, kiedy tu przebywali, nie wolno im było dochodzić swoich racji poprzez jakiegokolwiek rodzaju walkę.

Z jednym wyjątkiem.

Michael poczuł pęczniejące mu na obu dłoniach perłowe narośle. Miał nad Taraxem przewagę...

Jego kreacja nie rozpocznie się od zera. Wzór zarośniętego, chaotycznego, nieprzewidywalnego ogrodu, zdegenerowana, cieplarniana roślinność, przewaga dzikich samosiejek - wzór Ziemi i całej otaczającej ją czasoprzestrzeni tkwił gdzieś głęboko w Michaelu jako element mu przyrodzony i nawet jeśli nie rozumiany, to odczuwany. Częstka Michaela-twórcy mogła od tego właśnie wzoru wyjść.

Tarax będzie się silił na kreację czystą, w niczym nie nawiązującą do pogardzanej Ziemi. Spróbuje tego, co w końcu nie udało się Adonnie - kreacji *ex nihilo*. Typowo sidhowe podejście - styl i brawura. Michael był pełen uznania.

Ale nawet dysponując wspomnieniami Manusa nie mógł z nim na tym poziomie współzawodniczyć. (Jeśli zespolisz się z Shiafą...)

Odrzucił ten podszept i zerknął na córkę Taraxa. Stała dzielnie na czarnej powierzchni.

Przyprowadziłem ci córkę.

Czy jej szkolenie dobiegło końca?

Tak. Umie tyle, ile umiałem ja, kiedy mi ją oddawałeś. Wyszkolilem ją tak, jak zrobiłyby to zapewne Żurawice.

Twór Taraxa powiększył swą pozorną średnicę. Ta-rax rozwarł ostrza cyrkla i kiwając głową dokonał nowych pomiarów.

Zatem dowiesz się, gdzie jest twoja ludzka kobieta.

Czy Shiafa miała być pułapką na mnie? spytał wprost Michael.

Czy to ważne? Nawet jeśli, to i tak jej uniknąłeś.

Wielu ludzi na Ziemi uznałoby taką pułapkę za nikczemną, godną zdesperowanego tchórza.

Tarax wcale się tym nie przejął.

Zdumiewające że wierzysz, iż obchodzą mnie opinie ludzi.

Gdzie jest Kristine?

Mogę ci powiedzieć, gdzie jest, ale nie jak do niej dotrzeć. Clarkham więzi ją w jednym ze swych nieukończonych szkiców kreacji.

Tyle sam wiem. Wypełniłem swoje zobowiązanie. Mów, co przyrzekłeś mi powiedzieć.

Licząc po kolei, jest to czterdziesta kreacja Clarkhama i możesz ją znaleźć w jednej z butelek wina, które robił w Królestwie... lub w winie, które ukradł Adonnie, okolicznościowym nektarze sidhowych magów.

Wino dla Sidhów?

Gdzie przechowuje te wina?

Niektórych już próbowałeś. Poukrywał je w rozmaitych miejscach.

Michael zapanował nad wzbierającym gniewem.

Nie tak się umawialiśmy, powiedział składając dłonie, między którymi utworzyła mu się natychmiast masa perłowa. Shiafa patrzyła, mrużąc oczy nieprzywykłe do bezcechowości tej wypustki czasoprzestrzeni, jaką było Nul.

Nigdy nie ufaj Sidhowi. Na pewno słyszałeś tę przestrożę.

Michael uśmiechnął się refleksyjnie i zwrócił do Shiafy.

Masz wolny wybór. Nie potrzebuję już twojej mocy. Oświadczenie Taraxa roznieciło w nim nagle perwersyjną pewność siebie. Cała panująca w Nul etykieta, wszelkie reguły narzucone przez kodeks magów, maskowały jedynie prawo dżungli...

Przetrwają najlepiej przystosowani. Albo, mówiąc ściślej, najlepsi.

Michael zaś dorastał właśnie w kreacji przypominającej dżunglę, nie w cieplarnianym Królestwie, które rozpieściło Taraxa.

Michael pozbył się wszelkich chwiejnych sądów i hamulców. Odblokował wszystkie instynkty powściągane dotąd świadomie bądź nie.

Twórca nie kieruje się sumieniem, zwrócił się do Taraxa. *Gdzie twój twórca, Kapłanie?*

Sam jestem sobie twórcą.

W uśmiechu Michaela pojawiła się po prostu dzikość.

To talent wrodzony czy nabyty?

Tarax nie odpowiedział. Jego glob koloru kości słoniowej prawie zrównał się z nim teraz szerokością. Cyrkiel zniknął.

Nie możemy tu ze sobą współzawodniczyć. Człowieku-dziecko.

Ale to jedyne liczące się współzawodnictwo, odparł Michael.

Z masy perłowej utoczył w dłoniach perłę wielkości piłki baseballowej. Małą sferę omotały różowe linie. Wspomnienia Manusa przydały się - ta kreacja żyła. Emitowała własne, wewnętrzne światło i wzbudzała zaufanie. Wyhodowany przez Taraxa duży glob kościanego koloru nie stanowił monolitu i w istocie był płodem poronionym. Urośnie i z czasem może się nawet stać kreacją spoistą, lecz nie lepszą od Królestwa Adonny; prędzej gorszą. Michael domyślał się, że Tarax jest tego świadom.

Wewnątrz swojej perły Michael wyczuwał pełną gamę sprzeczności i zawilosci niezdyscyplinowanej Ziemi.

Dodać przypraw. Przyznać kreacji niewielką autonomię, pozwolić, by zaskakiwała twórcę. Zostawić pszczołę żądło, róży kolec, a w ogrodzie pająka. Te niedogodności przypomną mieszkańcom o kolcach tkwiących w nich samych, o tym, że zło nie pochodzi od całego świata, lecz od poszczególnych jednostek; może nie zapomną o tym tak prędko i nie wyginą na skutek tej samej katastrofy, jaka spotkała wszystkie rasy przed sześćdziesięcioma milionami lat.

Perłka-kreacja Michaela wprost pulsowała własną solidnością i zapalem. *Ten świat już żyje*, stwierdził w duchu. *Muszę tylko dać mu wolność. Potrzebuje ode mnie bardzo niewiele mocy, jedynie zachętę.*

Ten świat jest jak dziecko.

Michael poczuł w głębi duszy wybuch radości, nieporównywalny z żadną przeżywaną do tej pory emocją. Znów był małym brzdącem lepiącym kulki z błota. Najwyższa sztuka wszechczasów - tworzenia światów - wcale nie była bardziej natchniona ani wzniosła od dziecinnej zabawy.

I ten aspekt niewinnego entuzjazmu wtopił się w perłę, aby kontestować mądrość pszczelego żądła i różanych kolców. Perle groziło eksplodowanie światłem.

Tarax trzymał swą rozdętą kreację blisko siebie, obawiając się widocznie, by nie uwolnić jej przedwcześnie.

Michael położył palce na swojej perle, wyniósł ją ponad czarną powierzchnię Nul i pchnął przez „dystans” w kierunku mgły. Myśli obserwującej jego poczynania Shiafy przypominały pieśń.

Nie potrzebujesz mnie, powiedziała. Jestem wolna.

Michael odwrócił się do niej z pałającą twarzą i załzawionymi oczyma.

Nie zdaję sobie sprawy, czego właśnie dokonałem.

Pomogłaś mi się tu dostać. Ale masz rację. Nie jesteś mi potrzebna.

Razem z jego myślami wylewały się resztki energii, którą włożył w perłę. Shiafa dodała cząstkę swego własnego „ja”, swoich myśli. A w myślach tych żył mały, samowystarczalny światek, który przez nie dłużej jak chwilę odcisnął się na nich obojgu.

A w tym maleńkim światku...

Michael ze Shiafą leżeli pod rozłożystymi konarami drzewa o pniu z kości słoniowej, w utraconej kreacji swoich przodków. Zrzucili proste, ręcznie przędzone i szyte okrycia, i delektowali się swymi urokami i niedoskonałościami, czerpiąc tyle samo rozkoszy z niedoskonałości, co z uroków. Katalogowali różnice; różnice między Sidhem a prawie-człowiekiem. Rozładowali nurtujące ich kiedyś napięcia i kosztowali takich smaków, jakich przydają gorzkie zioła pożywnemu gulaszowi.

Obejmowali się w zmatowiałym blasku starego świata, napierając na siebie i tarciami swych ciał rozpalając cudowną namiętność wolną od jakiegokolwiek winy i pożądlivosti.

Kochali się. Michael nie był już nauczycielem, a Shiafa uczennicą. Przez niebezpieczną chwilę byli ze sobą całkowicie zespoleni; lecz chwila ta istniała tylko w

dzielonej wspólnie fantazji, zespolenie zaś pozbawione było wszelkich straszliwych jego konsekwencji.

Rozłączyli się.

Światek się rozwiął.

Shiafa, z twarzą jasną jak księżyc i przymkniętymi oczami, kołysała się w niepewnej „rzeczywistości” Nul, wciąż delektując się światem-marzeniem, jaki sobie nawzajem sprawili. Nagle uczyniła coś, czego nigdy w życiu nie okazała ani Michaelowi, ani nikomu innemu; otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego, wprost i bez jakichkolwiek uprzedzeń.

Michael skinął jej głową - z respektem, z ulgą, z najlepszymi życzeniami.

Shiafa odsunęła zasłonę, odkrywając skąpane w blasku słońca urwiste, pustynne wzgórza - być może Izrael - i opuściła Nul. Została wyzwolona zarówno od Michaela, jak i od swego ojca.

Perła Michaela okrążyła Nul po orbicie siedem razy, po czym spadła gwałtownie we mgłę, gdzie jak nasienie w łonie czekała na właściwy moment, by rozlać się po nieuleczalnie chorej Ziemi. Tarax był nadal uczepiony swego kościanego jaja, które szerokością dorównywało już prawie Nul, o ile Nul miało w ogóle jakąś szerokość.

Nie toczymy żadnej bitwy, powiedział Michael. Życzę powodzenia.

Ścinająca twarz Taraxa desperacja wykraczała poza wszystko, czego Michael oczekiwał i pragnął. Jako twórca Sidh ponosił klęskę, lecz nie miał się na kogo zdać.

Maln zniszczył ostatnich Urgów przed wieloma wiekami.

Michael postąpił naprzód, by mu pomóc. Kościane jajo bulgotało, rozrastając się dziko i ponad miarę, rozwijając zdecydowanie zbyt wiele cech jak na pojedynczą kreację. Dla Michaela stało się jasne, że Tarax przekombinował, przesadził z ostrożnością.

To niebezpieczne, ostrzegł przewodniczącego Malnu. Odeślij ten twór do rozkładu. Zaczynij od nowa.

Nie, odparł Tarax. To najlepsze co potrafię stworzyć...

Jest skażony.

Precz!

Michael przyglądał się, jak kościane jajo pęcznieje pomiędzy mgłą a ohydny, żrącym „niebem”, zaś Tarax uwija się przy nim jak mrówka przy głazie. Przemknęło mu przez myśl pytanie, czy światopodobny, poroniony płód Taraxa może zaszkodzić jego własnej, rodzącej się kreacji.

Ale wspomnienia Manusa uspokoiły go, że po to właśnie jest Nul. Nic, co przebiega tu nie po myśli, nie może urazić światów na zewnątrz. Zagrożenie istniałoby jedynie w

przypadku, gdyby Tarax usiłował pozbyć się tego płodu poza Nul - do czego, zdaniem Michaela, był za słaby. Tak czy inaczej, Michael nie mógł zrobić nic, by go powstrzymać.

Zanim opuścił Nul, pozwolił sobie na ostatni komentarz pod adresem samozwańczego następcy Adonny.

Nic nie zastąpi talentu, rzekł.

Tarax nie odpowiedział. Siwe włosy stały mu dęba z wysiłku, jaki wkładał w kontrolowanie kościanego jaja. Patrzył za Michaeliem z żalną tęsknotą, zupełnie nie pasującą do kapłana Sidhów.

Przeszłość czyni z nas wszystkich ofiary, uświadomił sobie jeszcze wyraźniej Michael. Resztki żywionych do Taraxa animozji zwyczajnie się ulotniły.

Zaciągnął za sobą krawędzie szczeliny i stanął na trotuarze przed domem rodziców, w blasku skwierczącej ulicznej latarni. Noc, niczym przerażający, ciemny arkusz nagrzanego blachy, przykrywała miasto i połowę kuli ziemskiej.

Konwergencja perły z Ziemią jeszcze się nie rozpoczęła. Cokolwiek się wydarzy, wydarzy się we właściwym czasie.

Otworzył drzwi. W livingroomie odbywało się zebranie sąsiadów, któremu przewodniczył ojciec. Nie było prądu i pokój oświetlały świece. Stały na obudowie kominka, na szafce pod radio i telewizor, i na kredensie w korytarzyku. Na widok wchodzącego Michaela pulchny mężczyzna w średnim wieku, ubrany w golf i luźne spodnie, natychmiast przerwał płomienny wywód na temat niedogodności wynikających z braku służb miejskich. Michael przesunął wzrokiem po twarzach obecnych. Rozpoznawał większość z nich: pana Boggina, puciołowatego gadułę i jego żonę Muriel; państwa Wilberforce'ów i ich córki, jedną sześć-, drugą siedmioletnią, siedzące przed zgaszonym telewizorem; starszą panią Miller, która owdowiała przed jego powrotem z Królestwa; Dopsów i księgarza Warrena Verde'a, znajomego Johna.

- Coś nowego? - spytał cicho John.

- Podobno twój syn jest w to wszystko zamieszany, tak mówią Ruth i pani Dopso. To prawda? - spytał pan Boggin Johna. Nie doczekał się odpowiedzi. - No to jak w końcu? - zwrócił się z kolei do Michaela. - Co wiesz? Czego możemy się spodziewać?

Michael ściągnął brwi. Stan psychiczny tego mężczyzny wyczuwał aż nazbyt wyraziście; jego myśli zalatywały potem i strachem biorącym się z niewiedzy. Pan Boggin sam zdawał sobie sprawę, że nie należy do tych, którzy w największych nawet opresjach potrafią zachować fason i humor. Michaelowi przypomniało się, jak Clarkham mówił, dla kogo kandydaci będą tworzyć swoje światy, ale szybko odgonił te wspomnienia.

- Toczy się tutaj swego rodzaju bitwa - powiedział.

- A ci najeźdźcy - wtrącił się Warren Verde. - Rozmawiałeś z nimi?

Michael skinął głową.

- Nie tylko rozmawiałem - odparł.

Pani Miller jęknęła i splotła dłonie na kolanach.

- Staram się dojść, jak można przywrócić normalność. - Tyle, jego zdaniem, mogli na razie zrozumieć. - A gdzie nasi goście? - spytał ojca.

Moffat i Crooke z paroma innymi zabrali ich stąd.

Załatwili im pokoje w paru hotelach w śródmieściu.

Nie wszystko naraz. I oto przyszła pora na najważniejsze.

- Tato, czy pan Waltiri dawał ci jakieś butelki wina?

John uśmiechnął się.

- Nawet dwie - odparł. - Jeszcze ich nie napoczęliśmy. Czekają na specjalną okazję.

- Są w piwniczce z winami? - W chłodnej piwniczce przylegającej do korytarza na parterze John trzymał skromną kolekcję win.

- Chyba tak. Ruth?

- Ja ich nie ruszałam - powiedziała Ruth. Nie spuszczała wzroku z Michaela, odkąd tu wszedł.

- Czyli powinny tam jeszcze być. Potrzebne ci?

- Jaki Waltiri? - zainteresował się pan Boggin.

- Ten kompozytor - wyjaśnił Verde. - John go znał, prawda John?

John opowiedział gościom bardzo niewiele, być może z tych samych powodów, dla których i Michael postanowił ograniczyć swoje wyjaśnienia. Ludziom, którzy wiedli tak rygorystycznie zwyczajnie życie, nie starczyłoby wyobraźni, by ogarnąć umysłem to, o czym wiedział on.

- Przyniosę ci je - zaofiarował się John.

- Pójdę z tobą. - Michael wyszedł za ojcem do korytarza. John wyjął kółko z pękiem kluczy i jednym z nich otworzył drzwi do piwniczki.

- Nic tu nie widzę - powiedział John. - Skoczę po latarkę albo świecę. - Po chwili wrócił ze świecą, ale Michael, kierując się głównie węchem, zdążył już zlokalizować dwie butelki na dolnej półce stelażu po prawej stronie. Jedna z butelek nosiła symbol podwójnego zegara słonecznego z winiarni Clarkhama. Druga nie miała żadnej nalepki; była ciemna, prawie czarna i dziwnego, trochę klepsydrowatego kształtu.

- Arno sam nie miał pojęcia, co w niej jest - powiedział John. - Poradził, żebym zachował ją na jakąś wyjątkową okazję. Rozumiem, że ta okazja właśnie nadeszła?

- Niekoniecznie - odparł Michael. - Mogę je sobie wziąć?

- Bierz. Arno... nie był tak zupełnie człowiekiem, prawda?

- Po części był.

- I ta część umarła.

- Tak.

- Masz jakiś nieobecny głos - stwierdził John. - Stało się coś ważnego, prawda?

- Tak.

- Matka odchodzi od zmysłów ze zmartwienia, i to bardziej o ciebie niż o to, co się dzieje ze światem. Mógłbyś nas jakoś podnieść na duchu?

Michael uścisnął serdecznie ojca.

- Nadal jestem synem swoich rodziców - powiedział. - Nie mam w tej chwili czasu wyjaśniać wam, co się dzieje, bo to długa historia. A ja mam jeszcze coś do zrobienia.

- W związku z Sidhami? - spytał John. Ruth wyszła do korytarza i założywszy ręce oparła się plecami o ścianę. Michael podszedł, by uścisnąć i ją.

- Nie w związku z Sidhami - odparł.

- Gdzie Shiafa? - spytał Ruth.

Michael roześmiał się i pokręcił głową.

- Nie ma jej ze mną. Nie bardzo wiem, gdzie teraz jest. Ale ma się dobrze.

- Nie pomyśl sobie tylko, że się do niej uprzedziłam - zastrzegła Ruth.

- Idę szukać Kristine - oznajmił Michael.

- W butelce wina?

Michael podniósł butelkę bez etykiety.

- Chyba dobrze się stało, że go nie ruszyliście - powiedział. - Jest bardzo stare.

- Ile ma?

- Niewykluczone, że z sześćdziesiąt milionów lat.

- Nie może być - zachnął się John, po czym parsknął gorzkim śmiechem. - Z drugiej jednak strony, czemu by nie. Dasz spróbować?

Michael skinął głową.

- Jak zareagowali ci ludzie, którzy przyszli z Moffatem i Crooke'em, na widok Mozarta i Mahlera?

- Chyba z początku nie byli przekonani - odparł John. - Wszyscy chodzą teraz jacyś otumanieni. Nikt nie wie co robić ani gdzie się obrócić. Ale Moffat wyglądał mi na takiego, który panuje nad sytuacją.

- Wyjdę tylnymi drzwiami - powiedział Michael. - Staraj się uspokoić tych ludzi. Sądzę, że wkrótce wszystko wróci do normy.

- Ale pewności nie masz? - spytała Ruth.

- Nie. Pewności nie mam.

Posłała mu smutne, przenikliwe spojrzenie. Rozedrgany blask świecy padał na jej bladą, ściągniętą twarz.

- Nie wydaje mi się, żebyś nadal był moim synem - powiedziała. - Spotkałeś już swoją pra-prababkę? - Oczy zwęziły jej się do szparek.

- Nie - odparł Michael, uśmiechając się wreszcie. Wiedział, do czego piła. - Z żoną pra-pradziadka Hilla los mnie jeszcze nie zetknął.

- Jak zetknie - wpadła mu w słowo Ruth - koniecznie przekaz jej coś ode mnie.

- Co takiego?

- Pokaż jej język - powiedziała Ruth. John ujął jej wyciągniętą rękę, drugą podała Michaelowi. Uścisnął mocno dłoń matki.

Michael nie miał wątpliwości, że w Clarkhamie jest coś więcej, niż mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać. Ukrywanie przejść do swoich kreacji w butelkach wina było z jego strony posunięciem godnym mistrza. Fakt, że wszystkie światy Clarkhama są tylko pochodnymi, mógł, ale nie musiał mieć jakiegoś istotnego znaczenia; ani myślał lekceważyć Izomaga.

Clarkham zdołał przecież wyjść obronną ręką z nawały wymierzonych przeciwko niemu intryg Rad Sidhów - z tą ostatnią z Michaelem jako grotem na końcu wielowiekowej włóczni włącznie. I Clarkham był od Michaela dużo starszy.

Teraz wszystko równoważyły wspomnienia Manusa obejmujące miliony lat. Ale Michael nie miał czasu na skatalogowanie rozległej tematyki jego wspomnień, a co za tym idzie, na pełne ich wykorzystanie. (Kim się stanie, kiedy wchłonie wreszcie cały ten skarb?)

Niósł butelki ciemną ulicą, mało co widząc w poświacie świec sączącej się z okien domów. Przechodniów napotykał niewielu - a to jakiegoś pijaka, a to grupkę hałaśliwej młodzieży, to znowu kogoś zalęknionego, przemykającego chyłkiem cieniami. Omijał

wszystkich skrzętnie. Przyświecali sobie naftowymi latarniami albo latarkami i zachowywali się bardzo głośno. Ich świat się walił. Michael nie chciał teraz myśleć o nich ani o odpowiedzialności ciążyącej na twórcy i magu...

Koncentrował się na Kristine. Ileż to czasu upłynęło od jej uprowadzenia? Tygodnie? Miesiące? Co się z nią w tym czasie działo?

Co zapamiętała? Czy Clarkham zamknął ją, tak jak jego, Michaela, w jakimś posępnym świecie z sennego koszmaru? Czy w jej przekonaniu Michael nie żyje?

Wracał tam, skąd rozpoczęła się jego pierwsza podróż, do zawsze pustego, zawsze pełnego domu Clarkhama. Znalazłszy się w nim, wzniesie toast.

Ale z której butelki?

Po skradzionej flaszcze nektaru magów, niezależnie od tego ile miała lat, raczej nie można sobie było wiele obiecywać. Sam Clarkham nie uważał jej za na tyle ważną, by zabrać ją ze sobą. A może Waltiri ukrył ją przed nim? A resztę win Clarkham po prostu rozdał, albo zostawił, uznając być może, że jest rzeczą praktycznie nieprawdopodobną, by ktoś odgadł tajemnicę przejść do jego światów.

Ale teraz Clarkham wiedział, że tajemnica została odkryta. Michael już raz wtargnął do jego świata. Izomag, czy też to, co z niego pozostało, będzie bez wątpienia czujny.

Michael przystanął na frontowym ganku domu Clarkhama. Pomimo wszystkiego, co się wydarzyło, dom ten nadal wyglądał na zwyczajną, nieco zaniedbaną posesję w średnio zamożnej dzielnicy.

Wszedłszy po schodach na piętro, Michael skręcił do gościnnej sypialni, stanął na zakurzonej podłodze, wyjął z kieszeni swój wojskowy nóż i ściągnął ołowiany kapturek z szyjki flaszki Clarkhama. Korek wyszedł gładko, z kłusnięciem i w całości. Michael powąchał glazurowy naciek na jego spodzie, po czym przysunął nos do wylotu szyjki.

Nie skwaśniało.

Brama wyraźnie go zapraszała.

Wziął łyk i zwilżył trunkiem nasadę języka, tak jak uczył go ojciec. Przymknął oczy.

W paradzie posmaków wyczuwał znowu wyraźny podział na sektory. Liczył skrupulatnie, wytyczając wyostrzone zmysły, by wytyczyć granice w każdej palecie smaków.

Trzydzieści pięć, trzydzieści sześć odrębnych posmaków - jeden pylisty i trawiasty; świat, w którym ostatnio rozmawiał z Clarkhamem - i trzydziesty siódmy, o wiele bogatszy, trzydziesty ósmy, trzydziesty dziewiąty...

Zupełnie jak liczenie żelaznych bram w tamtej alei pomiędzy światami.

I czterdziesty. Na tym posmaku skupił się, mobilizując całą swoją dyscyplinę. Był szorstki, metaliczny i kamienny, a przecież czaiły się pod nim niewyobrażalnie złożone subtelności całej dotychczasowej procesji. Kiedy przechodził na drugą stronę, przemknęło mu przez myśl, że czterdziesty posmak mógł być kiedyś tym najwykwintniejszym, ale nie wiedzieć czemu zaczął się niezależnie od pozostałych zmieniać.

Dotykając stopami rozgrzanego asfaltu Michael o mało nie wpadł pod nadjeżdżający samochód. Wóz zahamował z piskiem opon, kierowca posłał mu soczystą wiązanę, po czym odjechał, zmieniając pas ruchu.

Michael zszedł oszołomiony ze skrzyżowania i przystanął na chodniku. Spojrzał na drogowskaz. Obie tabliczki, na których powinny widnieć nazwy przecinających się ulic, były puste.

Budynki o ścianach pokrytych pastelowymi sztukateriami pływały się w promieniach prażącego, rozmytego słońca; wejście do każdego ocieniały sięgające połowy szerokości chodników markizy. Ulicami sunęły stare, opływowe samochody - Buicki, Fordy, Chevrolety, a nawet jeden biały Packard - błyszczące lakierem, połyskujące chromem, z pomalowanymi na biało wysokimi bokami opon. Trotuarami spacerowali ludzie w letnich strojach - bermudy, przeciwsłoneczne okulary, hawajskie koszule, wzorzyste sukienki przewiązane w talii wąskimi paskami i żakiety z krótkimi rękawami.

Michael usunął się pod pobliską markizę w czarno-białe pasy. Tyle narodu. Skąd się tu wzięli? A właściwie to gdzie się znalazł? Nie podejrzewał, że Clarkham zdolny jest do stworzenia świata aż tak złożonego, o takim wyraźnym poczuciu rzeczywistości.

Wszedł do sklepu z męską odzieżą, żeby pozbierać myśli. Słońce wlewające się przez okna wystawowe oślepiało. Beznogie i bezgłowe manekiny w witrynie, otoczone miniaturowym, realistycznym płótkiem ze sztachet, prezentowały na sobie sportowe marynarki z szerokimi klapami i koszule firmy Arrow. Stojący obok krzesła, uśmiechnięty od ucha do ucha, odlany z żeliwa Murzynek w czerwono-białej liberii oferował srebrny pierścień. Michael usiadł i przetarł oczy. Posmak na języku zanikał, a mimo to świat istniał dalej, dopieszczony w najdrobniejszym szczególe, niezaprzeczalny. Emanował realnością.

Tylko te puste tabliczki bez nazw ulic.

- Mogę w coś pomóc, sir? - spytał puciołowaty subiekt w garniturze w jodełkę. Michael podniósł wzrok. Subiekt miał okrągłą twarz, czarne, grubo wybrylantynowane włosy i cienki wąsik pod ostrym nosem. Pochylał się nad Michaeliem odsłaniając w uśmiechu olśniewająco białe zęby.

Michael wysondował szybko jego aurę. Ten człowiek nie miał aury. Życia było w nim tyle co w manekinach z witryny, i tyle samo duszy.

Michael wstał bez słowa z krzesła. Subiekt obejrzał się przez ramię na dwóch innych subiektów w głębi sklepu.

- Sir?

- Nic mi nie jest - mruknął Michael.

- Mam taką nadzieję, sir. Pomóc panu w wyszukaniu stosownego ubioru?

- Nie, dziękuję.

- Dobrze, nie narzucam się.

- Którego dzisiaj mamy? - spytał nagle Michael.

- Dziewiętnastego sierpnia, sir. Kończy się lato, rozpoczęliśmy właśnie posezonową wyprzedaż. Ale jak pan zapewne wie, tu, w Los Angeles, letnie stroje praktycznie nigdy nie wychodzą z mody. Można trafić super-okazję.

- A rok?

Subiekt uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Łaskawy pan raczył się pewnie za dużo nacytać Johna Colliera?

- Pytam poważnie.

- Tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy, plus minus kilka minut.

- Dziękuję.

- Nie ma za co.

Michael wyszedł ze sklepu i ruszył ulicą, sondując delikatnie mijanych przechodniów. Wszyscy byli jedynie animowanymi kukłami - animowanymi genialnie, ale wcale nie bardziej przez to realnymi.

Minął niszę wejścia do biurowca o ścianach z kamienia. Na rogu dostrzegł stanowisko pucybuta obsługiwane przez starszego, siwego Murzyna (czarnucha, omal nie pomyślał) w obszernym fartuchu barwy przykurzonego błękitu. Czarny uśmiechał się do przechodzących mężczyzn. „Wyczyścić? Glanc pomada.” Jego wzrok padł na buty Michaela i jął się piąć ku górze. Zamszowe cichobiegi Michaela nie lubiły, kiedy ktoś im się przyglądał.

Pucybut również był bezduszny.

Clarkham zaludnił swój świat bezdusznymi widmami. Istoty te były, w jakimś sensie, jeszcze straszniejsze od mrocznych postaci, którym uszedł Michael w koszmarnym więzieniu Clarkhama. Ktoś pozbawiony dyscypliny wziąłby ich prawdopodobnie za ludzi z krwi i kości.

Pod wpływem impulsu skręcił do niszy i przeszedł przez szklane, obrotowe drzwi w głębi. Znalazłszy się w holu zerknął na kiosk z czasopismami zapchany egzemplarzami

Life'u, stertami gazet i brukowych powieści. Kioskarka, młoda, chuda kobieta z włosami upiętymi w ciasny kok, paliła camela, zatopiona w jakichś jałowych rozważaniach. Dosłownie jałowych, przemknęło przez myśl Michaelowi. *Pustka naśladuje pustkę.*

Jego szacunek do Clarkhama rósł, podbarwiony trwogą. Po co było Clarkhamowi zaludniać światy pozorantami? Zakrawało to na wypaczenie samej idei bycia twórcą lub magiem, czyli zapewniania przestrzeni życiowej realnym istotom.

Może jednak koncentrując się na szczegółach, nie dostrzegał całościowego obrazu. Może były to po prostu obiekty próbne, figurki wykorzystywane przez architekta do przetestowania funkcjonalności projektu. Wsiadł do wyłożonej drewnem windy z trzema kolejnymi pozorantami, z których jeden - siwowłosa kobieta w czarnej, jedwabnej sukni - uśmiechnął się do niego ze stateczną sympatią. Odwzajemnił ten uśmiech. Windziarz, Latynos o głęboko osadzonych czarnych oczach, spytał go, które piętro sobie życzy.

- Trzecie poproszę - odparł Michael.

Wszystko jedno na które, byleby tylko mieć tam spokój, znaleźć się z dala od pozorantów. I roztoczyć stamtąd szeroką sondę na cały ten świat, oszacować jego rozmiary... Poszukać Kristine.

Drzwi kabiny rozsunęły się na trzecim piętrze i Michael wkroczył w chłodny mroczny, wyludniony korytarz. Nie dochodząc do jego końca, zatrzymał się przy białej ceramicznej fontannie. Na szybie najbliższych rzeźbionych drzwi widniał wykaligrafowany złotymi literami napis: „Pellegrini i Shaefer, Innowacje i Organizowanie Przyjęć”. Michael roztoczył sondę.

I z okrzykiem przerażenia natychmiast ją wycofał.

Głowa mu płonęła, osunął się na podłogę. Usta momentalnie wypełnił posmak zepsutego mięsa. Pułapka, pomyślał, mobilizując wszystkie zmysły i wyzwalając odświeżający impuls *hyloki*.

Ale po kilku minutach milczącej regeneracji doszedł do wniosku, że ten świat nie jest jednak pułapką. To co poczuł, nie było przeznaczone dla niego. Granice tego świata - kwadratu o boku pięciu, góra sześciu mil - toczyła zgnilizna.

Ograniczył zasięg sondy i skupił się, biorąc głęboki oddech. *Kristine*.

Punkt po punkcie przemiatął ulice i budynki, muskając w przelocie setki bezdusznych karykatur zapelniających tę atrapę miasta. *To dekoracja do filmu*, przyszło mu do głowy. Nie tak pusta jak dekoracje, które widział w westernowym miasteczku w studio Moffata, ale prawie.

Partactwo.

Bubel nie mogący poważnie rywalizować ze światami konstruowanymi przez innych kandydatów. I nie była to najwyraźniej ostatnia z prób Clarkhama. Ileż jeszcze takich światów-atrap stworzył Clarkham? I jakiego doświadczenia przy tym nabrał?

Kristine.

Wyczuł fundamenty jakiegoś małego światka i zaczął zgłębiać jego tajemnice, porównując odruchowo tutejsze reguły i własności z nakładką, jaką ostatnio wyzwolił po to, by osiadła na Ziemi. Podwaliny miały tutaj gładką teksturę, sonda ślizgała się po nich, trudno ją było analizować, a jeszcze trudniej znaleźć pewny punkt zaczepienia. *Słowa żony Tonna.*

Przez chwilę czuł ślad Clarkhama, ale wrażenie gdzieś mu umknęło i nie potrafił go już odtworzyć. Jednak prawie natychmiast zapomniał o tym przelotnym kontakcie, bo znalazł ją...

Westchnienie ulgi Michaela słyhać było wyraźnie na całej długości pustego korytarza. Żyła, czuła się stosunkowo dobrze - i nie pamiętała, kim jest.

Kristine spowita była w światek Clarkhama i uważała się za jego integralną częśćkę - tak samo jak niegdyś Michael.

Wdusił przycisk przywołania windy i obserwował z niecierpliwością ostrze mosiężnej strzałki pełznące po kolejnych numerach pięter. Strzałka minęła cyfrę „3” i drzwi się nie rozsunęły. Z końca korytarza dobiegło jego uszu szuranie ciężko stawianych stóp. Niczego jednak nie czuł.

Fotel. Obrotowy fotel.

Podczas swojego pierwszego przejścia do Królestwa, gdy mijał posesję sąsiadującą z domem Clarkhama, zatrzymał się na chwilę, by zajrzeć do living-roomu i zobaczył tam stojący tyłem przepastny, obrotowy fotel bujany. Fotel bujał się i na oczach Michaela zaczął obracać...

Z dreszczem zgrozy przemknął wtedy przez tamten living-room obok fotela i niewidocznej osoby, która go zajmowała.

Strażniczek przejścia u Clarkhama mogło być więcej niż dwie. Tristesse postawili tam Sidhowie; Lamia trzymała straż z polecenia zarówno Clarkhama, jak i Sidhów. Ale ten trzeci ktoś...

Cokolwiek siedziało w bujanym fotelu...

Mogło być kontrolowane wyłącznie przez Clarkhama.

Michael nie miał większych wątpliwości, że ten, kto szurając nogami nadchodzi z głębi korytarza i ten, kto siedział w tamtym fotelu, to ta sama osoba.

Zaklął pod nosem i spróbował otworzyć bramę. Ale nie był w stanie znaleźć żadnego chwytu; z tej bezszwowej, szklisto-gładkiej kreacji nie można się było wydostać. Przełknął ślinę w nadziei, że pozbędzie się posmaku wina z języka, ale bez powodzenia. Przypomniała mu się fontanna. Podeszedł szybko do ceramicznej misy i przekręcił gałkę. Zimna woda nie spłukała smaku.

Michael czuł się przez chwilę bardzo głupio. Wyzwolił niedawno coś niewiarygodnie złożonego i potężnego, ulepszając nakładkę na chorą, zranioną Ziemię; wchłonął wiedzę najstarszej żyjącej na świecie istoty...

A nadal się bał. Stłumił pośpiesznie strach i stał pośrodku korytarza, opatulony w posępny spokój. Bycie jedynie człowiekiem mogło kosztować go życie. Sięgnął do wiedzy Manusa o strażnikach oraz innych sztucznych i zmienionych istotach. Ulotne kłaczki wspomnień - odmieńcy, zakłute demony, upiory, poronione płody takie jak Izmail i przetransformowane monstra, jak wampirowata Tristesse - nie pasowały do tego czegoś, co się doń teraz zbliżało.

Za rogiem, w końcu korytarza otworzyły się i zamknęły drzwi. Coś pociągnęło delikatnie nosem.

- Halo - rozległ się stłumiony głos. - Widzę, że dotarłeś aż tutaj.

Głos był ledwie rozpoznawalny.

- Clarkham? - spytał Michael.

Znowu delikatne pociągnięcie nosem.

- Tak. Znalazłeś ją już?

- Znalazłem Kristine.

- To dobrze. Wybacz, że ci się nie pokażę. Zostało mi jeszcze trochę dumy. Wiesz, że nigdy się nie spotkaliśmy?

Michael uniósł ze zdziwienia brwi.

- Słucham?

- Tak, nigdy. Sam rozwikłaj tę zagadkę. Meldunki z odległych wybrzeży. Zepsucie i błędne decyzje. Zastępcze groźby.

- Nie rozumiem.

- Nie stanę ci na drodze. Ambicji pozostało mi już, w najlepszym wypadku, niewiele. I nie myl mnie z tym drugim, choć obaj jesteśmy pomyłkami. To ten drugi sprowadził tutaj twoją kobietę. Z nim, nie ze mną, staniesz do współzawodnictwa. Wielu rzeczy żałuję, w tym i... jego. Teraz możesz odejść.

- Kim jesteś? - spytał zdezorientowany Michael.

- Ujawniłem się. Niech ci to wystarczy. Opowiadanie wszystkiego byłoby zbyt bolesne. Dojdź do tego sam. Skojarz fakty.

Michaelowi przypomniał się bujany fotel.

- To ty byłeś w domu sąsiadującym z posesją Clarkhama.

- Tak.

- Na kogo tam czekałeś?

- Na Arno. Żeby go przeprosić. Zapowiedziałem, że będę czekał, kiedy dawałem mu kkrzcz.

- Spodziewałeś się mnie?

Pociągnięcie nosem było tym razem mniej delikatne i o wiele mniej sympatyczne.

- Możesz odejść.

Drzwi windy rozsunęły się i zadźwięczał dzwoneczek. Michael wsiadł po chwili zawahania do kabiny. Windziarz-pozorant wyszerzył w uśmiechu zęby.

- Do holu? - zapytał.

Michael kiwnął głową.

- Na trzecim piętrze nie ma czego szukać - powiedział windziarz, uśmiechając się głupawo. Drzwi zamknęły się ze zgrzytem, ale Michaelowi wydało się, że za tym zgrzytnięciem słyszy odległy, jękliwy skowyt przepełniony udręką. Pomimo kontrolowanej dyscypliny ciarki przeszły mu po karku i wierzchu głowy.

Jaskrawość słońca nieco przybladła. Minął stanowisko pucybuta, skręcił w lewo i ruszył ulicą w kierunku Kristine. W momencie zlokalizowania dziewczyny ujrzał wyraźnie wąski, dwupiętrowy, biały budynek wzniesiony na drewnianym szkielecie i wklonowany pomiędzy dwie inne budowle z kamienia i cegły. Mając na uwadze ograniczone rozmiary kreacji Clarkhama Michael nie wątpił, że szybko odnajdzie to miejsce.

Kilkaset jardów dalej charakter ulicy zaczął ulegać zmianie. Budynki stawały się ciemniejsze i starsze; miejsce sztukaterii zajmował kamień i cegła, a styl architektoniczny cofnął się jakby gdzieś do początku lat dwudziestych. Powietrze było tu chłodniejsze, bardziej ostre.

Inni byli też ludzie. O wiele mniej uwagi poświęcono szczegółom charakterystyki pozorantów. Ich twarze były bardziej beznamienne, bardziej sztampowe; najgorsi przypominali pustookie manekiny.

Przeszedłszy półtorej mili Michael uświadomił sobie, że zbliżył się już bardzo do krawędzi rozkładu. Na wszelki wypadek ograniczył zasięg swojej sondy w tamtym kierunku.

Im bliżej był Kristine, tym większe, pomimo dyscypliny, zaczynało go ogarniać podniecenie - i niepokój. Podskórne prądy owego niepokoju sprawiały mu udrękę. Tyle się wydarzyło od dnia, w którym się poznali; nawet gdyby zdołał wyprowadzić ją z tej kreacji z powrotem na Ziemię - nawet gdyby Ziemia zregenerowała się pod wpływem jego nakładki - czy to, co do siebie czuli, nadal będzie tak silne i głębokie?

Tak mało spędzili ze sobą czasu, a ich wspólne chwile były tak dziwaczne...

Nieproszone, odżyły w nim wspomnienia Manusa o miłościach sprzed milionów lat, podbarwione burzliwymi namiętnościami i kontekstem, którego nie potrafił jeszcze zinterpretować. Nie było chyba w języku angielskim słów, którymi można by opisać przekaz zawarty w tych wspomnieniach.

Postacie, które teraz mijał, były co najwyżej statystami przechadzającymi się w ledwie naszkicowanych ubraniach. Michael widział i wyczuwał chwiejność obecności tych osobników, tylko na słowo honoru utrzymujących spoistość tutaj, na płonącej krawędzi rozkładu.

Dostrzegł wąski biały budynek wciśnięty między dwie czteropiętrowe kamienice z cegły. Schody pożarowe biegnące zygzakiem po jego frontowej ścianie kończyły się nad chodnikiem, kilka stóp poza zasięgiem wyciągniętej w górę ręki. Zwyczajny, kwadratowy daszek z dykty pod złożoną drabinką ocieniał dwuskrzydłowe drewniane drzwi z szybkami.

Michael przemiótł sondą okolicę w poszukiwaniu obecności Clarkhama, skwapliwie omijając bolesne granice tej kreacji. Nie wyczuwał nic określonego; coś uparcie przyciągało sondę do biurowca, w którym rozmawiał z niewidoczną postacią, a on uparcie odpychał od siebie emanujące stamtąd wrażenie przegranej i rezygnacji.

Wdusił przycisk zatrasku w mosiężnej gałce u prawego skrzydła drzwi, otworzył je powoli i wszedł do środka. Po lewej, obok zamkniętych na kłódkę drzwi portierni, czekał z niewzruszoną cierpliwością rząd zaśnieżonych skrzynek pocztowych. Po prawej, w gablocie, za zakurzoną, popękaną szybą wisiał stary plan Los Angeles.

Ileż szczegółów...

Za skrzynkami pocztowymi pięły się w górę schody pokryte wystrzępionym chodnikiem w orientalny wzór. Wstąpił na nie, nie spoglądając nawet na listę lokatorów. Znał piętro. Ona tu jest.

Kristine, wiedział, siedziała w tym momencie w fotelu obitym popękaną skórą za biureczkiem przykrytym szklaną taflą, w małym gabinecie na ostatnim, drugim piętrze.

Pokonał kolejne skrzydło schodów, minął podest i drzwi pierwszego piętra, drzwi, na których ktoś wymalował ręcznie czarną farbą napis: „Innowacje Pascala y Zaopatrywanie Przyjęć”. Nie „i”, lecz „y”. Szczegół się powtarzał, ale niedokładnie.

Clarkham stworzył sporą część swojej kreacji z połączenia szablonów, innymi słowy, z prefabrykowanych elementów. Michaelowi stanęły przed oczami wielkie zęby obu subiektów i windziarza. Były identyczne.

Na przezroczystej szybie drzwi prowadzących na drugie piętro odczytał wymalowany złotymi literami napis:

PIERWSZORZĘDNI DETEKTYWI

Ernest Brawley Rachel Taylor

Dyskretne Dochodzenia w Sprawach Rozwodowych

Z końca bardzo wąskiego korytarza za tymi drzwiami, biegnącego wzdłuż prawej ściany szczytowej przez całą długość budynku, uszu Michaela dobiegł przyciszony głos Kristine, która z kimś rozmawiała.

Ruszył korytarzem odmierzoną krokiem, poskramiając impuls, który nakazywał mu puścić się biegiem i odnaleźć dziewczynę natychmiast, zobaczyć ją i przekonać się naocznie, że żyje i ma się dobrze.

Rozkład był tak blisko, niespełna sto jardów stąd, praktycznie napierał ze skowytem na materię ulic i budynków, wibrował w drewnie niczym zapowiedź trzęsienia ziemi. Jak ona mogła tyle czasu to znosić?

Drzwi prowadzące do ostatniego biura były uchylone do połowy. Michael zdecydowanym pchnięciem otworzył je na oścież. Kristine siedziała twarzą do drzwi, przed nią, na przykrytym szklaną taflą drewnianym biurku stał czarny, bakelitowy aparat telefoniczny. Dziewczyna trzymała słuchawkę przy uchu; tuż nad mikrofonem widać było jej grubo uszminowane wargi.

Zaczesane do góry włosy tworzyły nad czołem fantazyjną falę i ściągnięte mocno do tyłu układały się w duży kok. Nie była to zbyt atrakcyjna fryzura. Dziewczyna wyglądała na znużoną, wręcz przemęczoną. Jej oczy prawie nie zareagowały na widok Michaela.

- Tak - powiedziała do słuchawki. - Przynieś mi karty kontrolne. Wtedy uwierzę, że Jimmy tam był, jak twierdzisz. Słuchaj, mam gościa, muszę kończyć. - Zdecydowanym ruchem odłożyła słuchawkę na widełki. - Na dole jest brzęczyk. Schodzimy po naszych klientów. Czym mogę służyć? - Mierzyła go chłodnym spojrzeniem.

Uśmiechnął się.

- Pora iść - powiedział.

- Zesztywniała i opuściła jedną rękę pod blat biurka.

- A dokąd to się pan wybiera? - spytała.

To, co w chwilę potem nastąpiło, było czystą improwizacją. Michael przypomniał sobie Bogarta i Stanwyck snujących się po ekranie telewizora w tamten wieczór, kiedy ojciec po raz pierwszy przedstawił mu Waltiriego.

- Wybieramy, chciałaś powiedzieć - odparł zdawkowo.

- Typ twardziela, co? - spytała Kristine, a jej oczy zmierzyły go znowu z lekkim rozbawieniem. - Twój kostium nie pasuje do tej roli. Ernie ma dobrego krawca.

- Tu się nie liczy, co mam na sobie - wpadł jej w słowo Michael - tylko, co myślę.

- Dużo bym dała, żeby się dowiedzieć co. - Nadal trzymała rękę pod biurkiem i Michael wyczuwał, że jej dłoń znajduje się nie dalej jak dwa cale od pistoletu. A Kristine wiedziała, jak się nim posługiwać.

- Powiem ci za darmo. - Michaela zaczynało ogarniać wspaniałe oszołomienie. - Myślę mianowicie, że to nie miejsce dla ciebie. Wyglądasz na silną i grasz taką, ale ja cię znam.

- Widzimy się pierwszy raz, mój panie.

- Cofnij się pamięcią. Sięgnij do wspomnień sprzed przybycia tutaj. Pamiętasz pocałunek?

Uśmiechnęła się z przymusem.

- Zanuć mi piosenkę, która leciała wtedy w radio. Może to odświeży mi pamięć.

Identycznych słów użyła Stanwyck.

Michael zwilżył językiem wargi, wszedł powoli do biura i przysiadł na rogu biurka, nie odrywając oczu od jej wsuniętej pod blat ręki. Zaczął gwizdać w nadziei, że odtworzy chociaż zarys linii melodycznej.

Przestała taksować go wzrokiem. Zdumienie rozszerzyło jej wielkie zielone oczy. Twarz pod makijażem wyraźnie złagodniała.

- Znam tę melodię - wybąkała.

- Nic dziwnego. To nasza pieśń.

- Jak się nazywa? - spytała wykładając na biurko ręce. Obie dłonie miała puste. Sprawiała wrażenie, jakby chciała wstać, może uciekać.

- Opus 45 - odparł Michael. - Koncert na fortepian i orkiestrę, *Koncert Nieskończoności*.

Kristine odepchnęła się z fotelem od biurka.

- Tutaj nie ma takiej muzyki - powiedziała.

- Typowy przypadek uprowadzenia.

- Kogo?

- Ciebie - powiedział Michael, wskazując na nią palcem. - No, musimy już iść.

Jej konsternacja położyła kres zabawie. Michael podał jej rękę, dziewczyna wyciągnęła z ociąganiem swoją i po chwili wahania ścisnęła mocno jego dłoń. Dotyk ciepłej skóry wprowadził go w ekstazę.

- Masz na imię Kristine - powiedział.

- Tak, naturalnie, wiem o tym, Kristine Taylor. Nie, zaraz... Kristine Penders.

- A kim ja jestem?

Uśmiechnęła się i po policzku potoczyła się jej łza, drażąc mikroskopijny kanalik w warstwie makijażu.

- Jesteś Michael - wyszeptała biorąc głęboki, spazmatyczny oddech. - O Boże, Michael! Gdzie my, u diabła, jesteśmy?

- A żebyś wiedziała, że u diabła - powiedział. - Chodź ze mną.

Wybiegła zza biurka i zarzuciła mu ręce na szyję. Nic takiego się, mimo wszystko, nie stało, pomyślał, nic znaczącego. On też płakał.

Zaczynał się najtrudniejszy etap: powrót do domu. Michael wyprowadził Kristine na ulicę.

- Dziwnie dokucza mi tutaj głowa - powiedziała. - Właściwie jakoś nie zwracałam na to tdotąd uwagi, ale ten ból prześladowuje mnie od dawna.

- Całe to miejsce toczy zgnilizna - mruknął Michael.

Kristine skrzywiła się.

- Takie właśnie odnoszę wrażenie. Możemy się stąd wydostać?

- Próbuję.

- Co się z tobą działo? Ile to trwało? Michael pokręcił głową i położył palec na ustach.

- Muszę pomyśleć. - Przyciągnął ją do siebie, musnął wargami jej policzek, potem puścił i złożył dłonie, żeby poszukać drogi wyjścia.

- Boże, ale ohydztwo - powiedziała dotykając palcem ust.

Michael spróbował zlokalizować ponownie szew w pozornie bezszwowej materii świątka Clarkhama. Podłoże detalu i solidności było idealnie gładkie, gładziej niż musiało - równie dobrze ojciec Michaela mógłby poświęcać całe tygodnie na polerowanie spodu stołowego blatu. Znowu więcej tu było znamion mistrzowskiej roboty niż praktyczności, niż wart był osiągnięty efekt w postaci tego świątka.

- Nie będzie łatwo - stwierdził w końcu Michael opuszczając ręce.

- Nie wydostaniemy się?

- Musi istnieć jakaś droga. - Odcedzał fakty ze wspomnień Wężomaga, ale we wszystkim co o twórcach i kreowaniu światów wiedział Manus, niewiele było o przejściach jednokierunkowych. Szczegół, pomyślał. Jak wykorzystać mistrzostwo Clarkhama, żeby się stąd wydostać?

- Pójdziemy w kierunku centrum - zdecydował. - Tam rzeczywistość jest najpełniejsza.

- Jestem gotowa. Mam trochę pytań. W każdym razie tak mi się wydaje. Jak długo tu byłam? To kwestia miesięcy? Lat?

- Raczej miesięcy. Nie dłużej.

- Jestem starsza? Starzej się czuję.

- Nie wyglądasz na starszą.

- Czy to miejsce jest podobne do Królestwa, o którym mi opowiadałeś?

- W pewnym sensie - odparł Michael. - Jest dużo mniejsze i... nie tak samo zrobione. - Spojrzeli na siebie płomiennie. - Kocham cię - powiedział Michael. - Strasznie się czułem, nie mogąc cię odnaleźć.

Twarz Kristine była niemal komicznie poważna.

- Nie odczuwałam upływu czasu, obojętne jak długo to trwało. Zrobił ze mnie kogoś innego. I najdziwniejsze, że nic się nie stało i właściwie... niczego nie zauważyłam. Nie nudziło mi się, a przecież większość czasu spędzałam za biurkiem albo na chodzeniu po mieście i byłam pewna, że prowadzę jakieś śledztwo... Odbierałam telefony. Boże, nie pamiętam nawet, co do mnie mówiono. Teraz to wszystko wydaje mi się jednym wielkim bełkotem, ale nie odnosiłam wcale takiego wrażenia, kiedy... w tym byłam. Jak zły sen. Nie tyle koszmar, co właśnie źle wyreżyserowany sen, artystycznie zły.

Mijali postaci, które w miarę, jak zbliżali się do centrum kreacji Clarkhama, stawały się coraz bardziej przekonujące i szczegółowiej dopracowane.

- Przyszedł mi do głowy pewien pomysł - odezwał się Michael. - Zwariowany, ale kto wie... Jest tu gdzieś sklep z alkoholem albo jakaś dobra restauracja?

- Pewnie - odparła Kristine. - Na przykład elegancka francuska knajpka o nazwie „La Bretonne”. Ulubiony lokal gangsterów.

- Zaprowadź mnie tam - powiedział Michael.

- Po co?

- Musimy zamówić butelkę dobrego wina.

„La Bretonne” mieściła się na parterze okazałej kamienicy stojącej w samym sercu kreacji Clarkhama. Minęła już czwarta albo piąta po południu pozornego czasu tego świata i restauracja szykowała się właśnie do kolacyjnego szczytu. Ani Michael, ani Kristine nie byli odpowiednio ubrani i wyniosły kierownik sali o przyzłizanych czarnych włosach i wydatnych zębach zaparł się, że ich nie obsłuży.

Nie powstrzymało to Michaela. Zostawiwszy Kristine przy wejściu, podszedł do okazałego dębowego stelażu na wina zajmującego całą jedną ścianę i ruszył wzdłuż niego z palcem na ustach. Kierownik sali, drepcząc za nim krok w krok, rugał go za bezczelność i brak wychowania.

- Wezwę policję, *m'sieur* - groził z beznajdziej nym francuskim akcentem.

Michael wybrał wino - Chateau d'Yquem 1929 - obszedł zrzędcącego mężczyznę i ruszył z powrotem w kierunku Kristine, odkorkowując po drodze butelkę.

Kierownik sali, purpurowy na twarzy i nastroszony jak przegrzany gołąb, oddalił się pełnym godności krokiem, grożąc, że idzie dzwonić po policję. Reszta pracowników restauracji - pingwinowaci kelnerzy i ich pomocnicy - trzymali się na uboczu i obserwowali zajście z mieszaniną bezdusznego rozbawienia z bezdusznym poirytowaniem.

Michael podał butelkę Kristine, czyniąc to bardziej z uprzejmości niż z przekonania, że dziewczyna będzie w stanie wykorzystać smak tak, jakby tego chciał. Upiła łyczek i kiwnęła głową.

- Dobre wino - uznała oddając mu butelkę.

- Clarkham jest koneserem win. Nic dziwnego, że przechowuje swój świat w dobrej piwnicy. - Uniósł flaszkę do ust i pociągnął zdrowy łyk. Wino rzeczywiście było dobre, krwawozłocistej barwy, i zawierało w sobie wyraźny przekaz - słodki przekaz o ciepłych, słonecznych polanach i wieczornej mgielce, o ściśle określonym miejscu na Ziemi. Wracał wciąż wzburzony i tokujący kierownik sali, i Michael chwycił Kristine za rękę.

Cień padł na wnętrze restauracji. Kristine zbladła do bólu i ścisnęła dłoń Michaela.

- Wiem, kto to... - zaczęła, ale nie musiała kończyć. Michael także rozpoznawał owo coś.

Na zewnątrz, przed wejściem do „La Bretonne”, ukryta za kamienną kolumną czaiła się obecność, z którą zetknął się na trzecim piętrze. Pozoranci w restauracji zastygli i stracili wyrazistość.

Michael spróbował umiejscowić się pośrodku posmaków wina i zabrać tam ze sobą Kristine, ale trunek kwaśniał mu na języku. Złocisty płyn w butelce spenił się i szerniał, odstawił ją więc czym prędzej na pobliski stół.

- To coś podchodziło czasami pod agencję - powiedziała cicho Kristine z twarzą ściągniętą fascynacją i lękiem. - Nie wiem, co to było... nigdy się nie objawiło. Nigdy tego nie widziałam, ale zawsze wyczuwałam, kiedy tam było.

- Panie Perrin - zawołał ktoś za ich plecami. Odwrócili się. Między pociemniałymi, ziarnistymi sylwetkami kierownika sali i jednego z widmowych kelnerów stał David Clarkham we własnej osobie. Wyglądał dużo starszy niż wtedy, kiedy Michael widział go po raz ostatni, był blady na twarzy, przygarbiony, chudy jak strach na wróble. - Niszczysz pan wszystko na swej drodze. To właśnie cały pan, nieprawdaż?

Michael uśmiechnął się z pewnością siebie, choć wcale tej pewności nie odczuwał. Wydawało mu się kiedyś, że dorównuje Clarkhamowi... że Izomag nie stanowi dla niego specjalnego zagrożenia.

Teraz wcale nie był tego taki pewien. Obecność przed restauracją, w swojej konsekwencji i braku agresywności, była dziwniejsza i bardziej przerażająca od Tristesse albo Lamii.

- Sprytnyś, że skierowałaś swe kroki do mojej kolekcji win. Ja nigdy bym na to nie wpadł. Genialne posunięcie, ale nic ci nie da. Wydaje ci się pewnie, że to koniec bitwy - współzawodnictwa - nieprawdaż? Wydaje ci się też zapewne, że zwyciężyłeś.

- Tego nie wiem - odparł Michael.

Kristine wpatrywała się posępnie w Clarkhama coraz bardziej się rumieniąc.

- Ja też ciebie znam - odezwała się. - To ty groziłeś mi przez telefon, że sprowadzisz mnie do tego za kazanego miejsca.

Clarkham westchnął głęboko.

- Byłbym nawet dumny z tego świata, gdyby nie pewne zasadnicze braki wynikłe niezupełnie z mojej winy - powiedział. - Jeden z braków to fakt, że istoty z prawdziwej, oryginalnej krwi i kości nie mogą z niego uciec. Jak bez wątpienia odkryliście, świat ten zbudowany jest na gładkim, nieskazitelnym fundamencie. Dla każdego niedoszłego maga stanowi ekwiwalent dołu o lodowych ścianach. Nie było to moim pierwotnym zamiarem, wierzcie mi. Nie możecie stąd odejść.

- A ty? - spytał Michael.

- Mam tę przewagę, że mogę do woli tu przybywać i odchodzić. Jak ci poszło we współzawodnictwie?

Michael pokręcił głową.

- Nie wróciłem jeszcze, żeby się przekonać.

- Spieszno ci było ratować swoją kobietę. Chwalebna postawa... jeśli czyjeś ambicje są czysto ludzkiej natury. Mag musi być bardziej wyrachowany i zdyscyplinowany. Co byś zrobił, gdyby na Ziemi coś źle poszło? Nie ma cię tam teraz, by chronić swój lud.

Miał rację. Michaela zalała fala poczucia winy - i złości, że akurat Clarkham mu to wytknął. Wysondował szybko Clarkhama, ekranując swe reakcje przed spodziewaną lawiną zła. Ale prawie nie wyczuł w Izomagu zepsucia.

- Strząsnąłem z siebie najświeższe nagromadzenie nieczystości - wyjaśnił Clarkham. Niewidoczna obecność na zewnątrz wydała głęboki, nieprzyjemny odgłos przypominający kaszel. Clarkham z miejsca okazał po irytowanie. - Ten świat akceptuje moje braki... mam tu pod dostatkiem urządzeń sanitarnych, można by rzec. - Otoczył ramieniem jednego z zatacających wyrazistość pozorantów. - Lepsze to niż wyszukiwać ludzi, na których mógłbym zrzucać swoją chorobę, nie?

Kristine wyglądała tak, jakby za chwilę miała zwymiotować. Michael poczuł, jak jej ręka tężeje mu w dłoni i to podsyciło jeszcze jego gniew. Ale natychmiast nad nim zapanował. Nul, podsunęły mu wspomnienia Manusa. Aborcji świata źle poczętego można dokonać... w Nul.

A jeśli ten świat otacza twórcę?

Żadna kreacja nie jest absolutnie bezszwowa. Przekonanie to, powzięte na podstawie wiedzy Manusa i własnych doświadczeń z pobytu w Nul, wydało się Michaelowi niemal truizmem.

Obecność zbliżała się powoli do drzwi restauracji. Michael widział ją przez moment za szybą witryny, zanim zdążyła skryć się znowu za ścianą; była wielka, ciemna i nie miała żadnej określonej barwy.

- Skoro możesz stąd odejść - odezwał się Michael, wyciągając szybko wnioski - więc nie jesteś pewnie z krwi i kości.

- To już dawno temu powinno stać się dla ciebie oczywiste - powiedział Clarkham. Podszedł do stolika i wyciągnął spod blatu cztery krzeselka. - Zjedzmy lekką kolację i porozmawiajmy. Karmię tu wyjątkowo. Możesz nawet raczyć się tym wspaniałym winem z kieliszka, co byłoby stosowniejsze, nie uważasz?

Michael pchnął łagodnie Kristine. Zerknęła na niego z urazą. Nie uciekając się do sondy, odczytał z jej oczu zmęczenie, strach i nienawiść do Clarkhama. Była u kresu sił. Nie wiedziała, kim stał się Michael; wiedziała tylko, że dosyć długo musiała czekać, aż przyjdzie jej na ratunek, co sugerowało, iż niekoniecznie musi być sprawniejszy bądź potężniejszy od Clarkhama.

- Mamy jeszcze jednego gościa - ciągnął Clarkham. - Michael już go poznał. Moja droga - zwrócił się łagodnie do Kristine - nie przestrasz się go. Jest w pewnym sensie moją lepszą połową, z tym że dotkniętą straszną chorobą. To on stworzył ten świat. To on stworzył mnie.

Clarkham wykonał gest w kierunku drzwi. Do „La Bretonne” wszedł niski, korpulentny mężczyzna odcinający się ciemną sylwetką na tle blasku gasnącego dnia. Ciemność opadała z niego niczym kurz. Cerę miał dziobatą i oszpeconą zmianami patologicznymi, które nadawały jej wygląd gnijącego drewna. Ubrany był w wełniany garnitur, całkiem nieźle skrojony, jeśli zważyć posturę i stan właściciela.

- Uszanowanie - powiedział.

Głos miał taki sam jak Clarkham.

- Mój oryginał - oznajmił Clarkham. - Jest mi więcej niż ojcem.

- Ty zaś jesteś mi czymś mniej niż synem - odparła obecność, zbliżając się powoli, rozkołysanym krokiem do stolika.

Sądząc z wyrazu twarzy Kristine, dziewczyna nie miała najmniejszego zamiaru siedzieć przy jednym stoliku z tymi dwoma. Nic jej nie obchodziła łącząca ich więź; widziała tylko chodzącą zморę i widmowego, uśmiechniętego porywacza. Michael, choć obudziło się w nim nagle prawie chłodne zainteresowanie, w pełni podzielał jej nastawienie.

- Nie będziemy z wami jedli - oświadczył. Korpulentna obecność zatrzymała się kilka jardów od stolika, przez chwilę przestępowała niezdecydowanie z nogi na nogę, w końcu mruknęła:

- Rozumiem.

- Jakaż szkoda - zmartwił się ten drugi.

- Michael - jęknęła Kristine.

- Wszystko w porządku - uspokoił ją Michael. Najwyraźniej mu nie uwierzyła.

- Nie. To straszne. Wolę już wrócić do mojego biura i rozmawiać przez telefon, nie wiedząc... Co zamierzasz?

Wziął ją za rękę, żeby sprawdzić, ile sił jej zostało. Bardzo mało. Stał twarzą do niej, położył jej dłonie na ramionach i spojrzał głęboko w oczy.

- Nigdy więcej ci tego nie zrobię - powiedział.

- Czego?

Przysłonił jej oczy poduszką dłoni i wprowadził w krótki, kojący sen o zielonych trawnikach i naśladowujących renesansowy styl w budynkach kompleksu UCLA. Potem wysunął krzesło spod pobliskiego stolika i posadził ją na nim. Usiadła z twarzą bez wyrazu i rozluźniła się.

- Panowie - powiedział Michael i wskazał stolik, przy którym, wspierając się wciąż rękami o oparcie krzesła, stał bardziej reprezentacyjny Clarkham - porozmawiajmy.

- Spodziewałem się, że okażesz zainteresowanie.

- Przykro mi z jej powodu - odezwała się obecność. Wokół stóp zmory rozlewała się mała czarna kałuża.

- A więc obaj jesteście Davidem Clarkhamem - powiedział swobodnie Michael, sadowiac się na wskazanym krześle. Tamci też usiedli. Ten reprezentacyjny obok Michaela, kładąc sobie serwetkę na kolanach, a ten mroczny, zepsuty, naprzeciwko.

- Tak - przyznał ten mroczny. Reprezentacyjna postać uśmiechnęła się tylko i uniosła dłoń w neutralnym geście.

- A ty jesteś tym jedynym Clarkhamem, którego do tej pory znałem - zwrócił się Michael do tego reprezentacyjnego.

- On jest tym jedynym - przyznał ten drugi.

- Ty go stworzyłeś. Skinienie głowy.

- Jest cieniem? Czy pozorantem?

- Jest mną. Podobnie jak ty, dysponuję pewnymi umiejętnościami twórcy. Coś nieprawdopodobnego, że dwie takie rzadkości, jak ty i ja, pojawiły się w ciągu jednego tysiąclecia, i na dodatek obie wywodzą się po części z Sidhów, po części z ludzi - przy czym ty jesteś bardziej niż ja człowiekiem, a przez to przypadkiem bardziej unikatowym.

- To twórcy, nie ludzie, wprawiają światy w ruch.

- Światy są czyimiś przedłużeniami. Są materialnymi snami. Od kiedy ja... - Mroczny Clarkham wydał odgłos przypominający ni to przelknięcie, ni zadławienie i poprosił o wodę. Rozmywający się kelner, biel zlewająca się z czerwienią, przyniósł mu dzbanek z wodą i Clarkham szybko go opróżnił. - Wiesz, jakie dawno temu popełniłem błędy.

Michael uniósł brew.

- Nie znam szczegółów.

- Szczegóły nie mają znaczenia. Dość powiedzieć, że wybrałem mniej uciążliwą drogę do wykształcenia swoich umiejętności, do nabycia dyscypliny. Nie dostałem zaszczytu

terminowania u Żurawic... Takie szkolenie jest zarezerwowane dla faworytów Rad, a ja nigdy nie byłem ich faworytem. „Ujemną stroną” tej drogi, jak mógłby to teraz określić któryś z waszych biznesmenów, była pustosząca choroba duszy. Stwierdziłem, że nie przygotowałem się odpowiednio. Nabyłem wystarczającej mocy, ale nie zdołałem uniknąć zepsucia. To okrutna dolegliwość, bo mogłem zrzucić z siebie jej skutki jedynie poprzez przekazywanie jej innym. Przez jakiś czas udawało mi się zachowywać kontrolę nad najgorszymi efektami...

- Na przykład Shahpur.

- Tak. Shahpur. Kiedy poniosłem klęskę w Królestwie i Ziemi Paktu otoczone zostały zgliszczami Przekłętej Równiny, Sidhowie skumulowali skutki mej choroby. Nie mogłem przebywać ani na Ziemi, ani w Królestwie. Moja choroba była wtedy tak odrażająca, że w krótkim czasie zaraziłbym nią tysiące, może nawet miliony. Nie mogłem targnąć się na swe życie; uczyniłbym to, gdyby istniała taka możliwość. Zrobiłbym to choćby dlatego, by odpokutować za los, jaki zgotowałem moim... kobietom. Kochankom. Ale śmierć nie jest wyjściem i nigdy nim nie będzie.

- Zatem stworzyłeś ten świat?

- Podjąłem nad nim pracę, zanim zadali mi klęskę. Wiesz, że pod koniec czas w Królestwie, w porównaniu z czasem ziemskim, płynął bardzo kapryśnie. To przyspieszał swój bieg, to znów go spowalniał. Ale tutaj nie ma to prawie żadnego znaczenia. Miałem dostatecznie dużo czasu i spokoju, by, jak to nazywasz, „wprawić ten świat w ruch”. Zawarłem w nim wszystko, co zdołałem. A po... Wycofałem się tu.

- Zawsze kończy się na cywilizowanej rozmowie, prawda? - skomentował reprezentacyjny Clarkham. Michael zignorował go.

- Musiałem tu przybyć. Siałem wokół siebie zepsucie. Tutaj mogłem przynajmniej zrzucić me zło na peryferie.

- Poważny problem - wtrącił ten drugi. - Kiedy składanie w ofierze całych populacji nie wystarcza, by odkupić czyjąś nadprodukcję ohydy. Kiedy tylko świat jest w stanie ją bez reszty zaabsorbować.

- Tak - przyznał oryginał. - Dosyć miałem tworzenia światów. Doszedłem do przekonania, że nie jestem w tym dobry, a moje kalectwo bardzo mnie rozprasza. Stworzyłem więc coś innego niż świat. Odtworzyłem siebie samego. Trochę z cienia, trochę z siebie... Precyzyjnie dostrojony, precyzyjnie wykuty. To przeciw temu Rady Sidhów wystawiły ciebie. - Wskazał na sympatyczniejszego Clarkhama, który skinął głową i uśmiechnął się.

- Więc to był mój przeciwnik... a ty go kontrolowałeś?

- Bynajmniej. Jest zbyt podobny do mnie sprzed wieków. Uparty. Snuł własne plany. Odkrył, że też ma w sobie pewne predyspozycje do tworzenia światów. Podjął kilka prób. Były to twory marnej jakości, pochodne, gorsze od mojego. O ile wiem, natknąłeś się na co najmniej jeden.

W Królestwie, kiedy doszło między wami do konfrontacji, odarłeś go z prawie całej rzeczywistości, jaką mu nadałem. Niemal go zniszczyłeś.

Uśmiech spłynął z twarzy kopii.

- Uczyniłeś ze mnie ducha. To dlatego cię tu zwabiłem. Potrafię jeszcze dokonać czegoś tam na zewnątrz i ty już nie staniesz mi na drodze. A to coś, do czego jestem jeszcze zdolny; to i tak o wiele więcej, niż potrafi Tarax po doznanej porażce.

- Mam tak samo jak ty niezaprzeczalny talent - oświadczył Michaelowi oryginał. - To chyba oczywiste. - Zatoczył wkoło ręką ociekającą czernią. - Nawet Adonna nie stworzyłby kreacji tak dopracowanej w każdym szczególe i tak wyposażonej.

- Nadal nie wydaje mi się, byś rzeczywiście uświadamiał sobie ogrom problemów, z jakimi trzeba się borykać będąc magiem - wtrąciła kopia, pochylając się i wspierając łokciem o blat stolika. - Zwłaszcza magiem ludzi. Nie wyobrażam sobie bardziej skłóconej i podzielonej społeczności. Rozdartej przez religie i filozofie, tak zniekształconej przez Sidhów, że niektóre odłamy są nie do uratowania... A nie możemy winą za wszystkie nasze grzechy obarczać Sidhów. Zastanawiałeś się kiedyś, jaką politykę musiałby prowadzić mag? Jakie kary musiałby wymierzać? Mag to coś więcej niż twórca; musi również kontrolować i przewodzić.

Michael milczał, koncentrując się na szukaniu szwu w fundamentach, które ich otaczało. Niech mówią.

- Moje życie pełne jest goryczy - podjął oryginał. - Sprawiedliwiej będzie, jeśli moje drugie ja zyska sposobność działania bez przeszkód z niczyjej strony.

- Jego również toczy twoja choroba - odezwał się Michael.

Jest - coś zbyt małego, by zdołało się przez to coś precyzyjnie dwoje podróżników, ale wystarczająco dużego, by wstążka chaosu...

- Owszem - przyznała kopia. - Toczy. Też mnie zżera. I też od czasu do czasu muszę się pozbywać jej efektów. Ale nic na to nie poradzę. Podobnie jak dla mojego oryginału, i dla mnie nie ma ucieczki w samobójstwo.

- Cóż byłby z ciebie za mag, jeśli zrzuciłbyś swoje zepsucie na niewinnych? - spytał Michael. - Dostyc już wyrządziłeś szkód.

- A co ze szkodą, którą wyrządzono nam? - zawył oryginał, zrywając się z miejsca. Nogi krzesła uwięzły w pluszowej wykładzinie i krzesło przewróciło się, uderzając oparciem zamglonego pozoranta, który nadchodził z nową butelką wina. Wino rozlało się po podłodze, a jego rozpryski ochlapały mrocznego Clarkhama. Trunek zasyczał i szerniał. - Nie mogę już nawet delektować się winem! Kwaśniej, zanim zdążę donieść je do ust.

- Za to ja się nim delektuję - powiedział ten drugi z beznamiętną miną. Przyglądał się uważnie Michaelowi. - Co robisz?

Michael nie odpowiedział.

- On coś robi.

- Co tam knujesz? - spytał oryginał, obchodząc tyłem przewrócone krzesło i wycofując się od stolika i Michaela.

- Szkoda twojej fatygi - powiedziała bez przekonania kopia. - Ale mimo wszystko...

- Przytrzymaj jego kobietę - rzucił oryginał. Michael bez pośpiechu odsunął się z krzesłem od stolika i stanął między kopią a Kristine.

- Coś jest nie tak - stwierdził oryginał, unosząc ciemne, guzłowate dłonie i obmacując przestrzeń wokół siebie.

- Nie uciekniesz - powiedział ten drugi, przesuwając ręką po włosach. W ciągu kilku ostatnich minut wyraźnie się postarzał i na oko był teraz w tym samym wieku, co podczas pierwszej konfrontacji z Michaeliem w Królestwie.

- Pyskaj! - krzyknął oryginał do swego sobowtóra.

- Zostajesz - powiedział Michael. Z zadziwiającą łatwością, rękoma tuzina własnych duchów, przywiązał kopię do podłogi czepną, wiotką siecią sznurów-cieni.

- Jesteś potworem - wysyczała kopia, rezygnując po chwili z szamotaniny. - Odmieńcem. Nadal jesteś bronią Sidhów. Wciąż naprowadza cię na cel i odpala Tarax!

Michael zignorował go; te słowne napaści nie warte były komentarza. Żadnemu z nich nie miał właściwie nic do powiedzenia. Trochę żał mu było obu - ale pamiętał Shahpura spowitego w białe szaty i przesyconego zepsuciem Clarkhama; Tommy'ego rozsypującego się w proch na chodniku przed domem Waltiriego; poparzoną Emmę Livry, którą od cierpień wybawiła w końcu Kapłanka Godzin; Coleridge'a i Mozarta, i dziesiątki ludzkich geniuszy nękanych ustawicznie przez Clarkhama usiłującego znaleźć kogoś, kto potrafiłby wyrazić jego pragnienia na tyle silnie, by się urzeczywistniły.

Razem z nim.

Michael obszedł oryginalnego Clarkhama i podniósł z podłogi butelkę, delikatnie odsuwając nogę pozoranta-kelnera. Butelka wylądowała na boku i pozostało w niej jeszcze

niecو wina. Michaelowi wydało się, że rozpoznaje etykietę - Doppelsonnenuhr, podwójna tarcza zegara słonecznego. Nie było chyba nic dziwnego w tym, że Clarkham sprowadził tu ze sobą część swoich win. Prawdopodobnie nie otwierały drogi powrotu; mimo wszystko zostały zrobione w Królestwie i ich smak prowadził albo do światów Clarkhama, albo z powrotem do Królestwa, które już nie istniało. Poza tym było bardzo prawdopodobne, że obaj Clarkhamowie mówili prawdę - kiedyś z tego świata nie było wyjścia...

Ale wino stanowiło szew w gładkim fundamencie. Nie było z krwi i kości ani nie pochodziło z tego świata; jego rzeczywistość była subtelnie inna, i Michael wyczuwał poprzez trunek konsystencję chaosu „ponad” Nul, czekającego tylko, by nadejść i zacierać, pożerać.

Przytknął częściowo otwór butelki kciukiem i zaczął spryskiwać zawartością stoliki. Wielka plama wina pieniała się już u stóp oryginału. Pod ciemną kipiela zdawało się jarzyć pomarańczowe światło.

- Nie rozumiem, co robisz - odezwał się cicho oryginalny Clarkham, osuszając spryskane ubranie. Spod błyszczących plam wina odpadały coraz większe płaty czerni. - Chcesz jednak zniszczyć nas wszystkich?

Michael nie odpowiedział. Z posępną miną potrząsał dalej butelką i rozpryskiwał jej zawartość.

- Pomyliłeś się zatem - zwrócił się oryginał do kopii.

- Robi tu cholerny bałagan, już ja mu pokażę.

Michael zdawał sobie sprawę, że drugi Clarkham, choć się nie porusza, pracuje nad swymi więzami. Wkrótce się z nich uwolni.

- On chyba wie, co robi. Jest zdolniejszy, niż sobie wyobrażałeś.

Więzy-cienie pękły i znikły. Kopia kolistym ruchem ramion poprawiła na sobie marynarkę. Michael posłał mu groźne spojrzenie: *trzymaj się od niej z dala*. Kopia umknęła ze wzrokiem.

- Tak już lepiej - powiedział oryginał, zakładając ręce na wydatnym brzuszku. - Prawie mi ulżyło.

Drugi Clarkham blakł. Michael zerknął na butelkę; na dnie pozostało jeszcze z pół cała wina, osad. Obracając się szybko, oblał go osadem.

Zaskoczenie na obu twarzach było komiczne i przerażające zarazem. W miejscach, gdzie wino splamiło mu garnitur i prysnęło na twarz, drugi Clarkham zaczął się jarzyć na pomarańczowo. Usiłował otrzeć wino, ale bezskutecznie. Znajdował się już w siđłach nadciągającego chaosu.

- Robisz rzeczy, o których nawet ja nie pomyślałbym, że są możliwe - mruknął oryginał z nutką szczególnego entuzjazmu. - Rzeczy niepojęte. Moje wino. Wykorzystujesz mnie przeciwko mnie. - Oczy miał pełne zachwyty.

Plama wina rozszerzyła się i wypuściła pod ścianą macki na ulicę. Światło dnia na zewnątrz nagle przygasło.

Zrobiłem już komuś coś takiego - coś w tym rodzaju - tym kimś był Lin Piao Tai.

- Zamierzasz zniszczyć mój świat, prawda? - spytał oryginał.

- Tak - odparł Michael.

- Wiesz, gdybym znał jakąś drogę wyjścia, może pomógłbym się stąd wydostać tobie i tej kobiecie. To on wpadł na pomysł sprowadzenia was tutaj. Ja do ciebie nic nie mam. Naprawdę. Znużyło mnie już...

Kelnerzy, kierownik sali i wszyscy inni pozoranci zniknęli. Martwiejące, czarne jak sadza zło oryginału odpadało coraz szybciej. Otaczał go teraz gruby całun węglatego, bezpostaciowego pyłu.

Michael stanął przed Kristine i ponownie przesunął dłonią przed jej oczami. Rozejrzała się szybko dookoła. Zanim zdążyła coś powiedzieć, Michael zmusił ją, by wstała, i otoczył ramionami.

- Taki mały świątek - powiedział. - Tylko dla nas. Na teraz.

Między jego dłońmi rozlała się najczystsza i najbielsza z perłowych tafli.

- Odchodzimy? - spytała.

- Wracamy do domu - odparł Michael. - Ale najpierw obejrzysz trochę efektów specjalnych. - Przyciągnął ją mocno do siebie, i oboje zaczęła otaczać masa perłowa. - Weź głęboki oddech - powiedział.

- Nie przetrzymałem was tutaj ze złej woli - zawołał oryginalny Clarkham. - Tak będzie najlepiej. Wiem.

Michael odwrócił głowę, żeby na niego spojrzeć. Pośrodku obfitej fontanny sadzy bijącej mu z głowy, na jego pozbawionej teraz rysów twarzy, tam gdzie powinny się znajdować oczy, spływały dwie krople stopionego srebra.

- Bardzo żałuję - powiedział Clarkham i srebrna kropla skapnęła na dywan. „La Bretonne” zadrzała w posadach, ściany wybrzuszyły się i odleciały jak spuszczone z uwięzi baloniki. - Dobry Boże na wysokościach, tak bym chciał zacząć wszystko od początku...

Perła zasklepiła się i Michael był rad, że tak się stało.

Tuląc Kristine pośród bieli, z przymkniętymi do połowy oczami, zmęczony i obojętny na wszystko co może się zdarzyć, Michael wiedział, że wspiął się na wyżyny swych możliwości. Nikt nie mógłby oczekiwać od niego więcej, nawet Żurawice.

- Gdzie jesteśmy? - spytała Kristine.

- Stworzyłem mały światek, który nas ochroni - odparł Michael.

- Aha. - A po chwili: - Co to znaczy?

- To znaczy, że cię trzymam - powiedział. - I jestem szczęśliwy.

- Nie truj - mruknęła bez cienia gniewu. - Gdzie jesteśmy my, a gdzie oni?

- My jesteśmy gdzieś w okolicach Ziemi. Oni umierają, albo już umarli, a wraz z nimi ich świat. Przeszli istnieć.

Rozważała to przez chwilę, a przez jej twarz, jedna po drugiej, przemykały sprzeczne emocje.

- Jesteś pewien?

- Pewien na tyle, na ile zawsze byłem, kiedy chodziło o Davida Clarkhama. - Trącił ją nosem. - Jestem bardzo zmęczony i bardzo szczęśliwy, że mam ciebie. Wyjaśnienia odłożym na później.

Pogłaskała go po policzku.

- Kim ty, u diabła, jesteś? - spytała z czułością.

- Później. Proszę. Kristine odprężyła się nagle.

- Niech ci będzie - powiedziała. - Wszystko mi jedno, co w tobie siedzi. Czuję się bardzo bezpieczna. Nie wiem, co jest grane, a mimo to czuję się bezpiecznie.

Myśl o tym, co właśnie zrobił obu Clarkhamom i o wszystkim przez co przeszedł - i o wszystkim, co stracił, w większości bezpowrotnie - i o długiej drodze, jaką przebył, by znaleźć się tutaj, gdziekolwiek było to tutaj, i że Kristine mu to powiedziała, dając swymi słowami dowód, że go akceptuje...

- Znowu płaczesz - zauważyła. Plecy zaczynały mu się garbić, a ramiona kulić. - Nie płacz - uspokajała. - Odpręż się.

Ale to było nieuniknione. Poczł w sobie wspomnienia Wężomaga pełne opowieści hołubionych przez miliony lat „nasłuchiwanie”, opowieści o wszystkich jego przodkach, i pomyślał o pokonanym Manusie.

Pomyślał o Eleuth.

- Cśśś - uspokajała go Kristine, tuląc do siebie ze wszystkich sił, jakby się obawiała, że jej uleci.

I o Shiafie, smutnej, wolnej w końcu Shiafie - przynajmniej ona nie była stracona - i o jeszcze smutniejszym Taraxie, potężnym i ambitnym, ale pozbawionym, jak się na koniec okazało, koniecznej iskry talentu.

Małeńki ratunkowy światek osiadał powoli na Ziemi, a otoczony nim Michael płakał i drżał, i starał pogodzić się z myślą, kim jest i kim będzie musiał być.

- Nie opuszczę cię - powiedziała Kristine. - Kimkolwiek jesteś. Czuję się przy tobie bezpiecznie.

Biel wokół nich zabarwiła się i rozwiała. Stali na piętrze domu Clarkhama, kilka, stóp od nietkniętej starej butelki wina.

Ziemia nadal istniała i przyjęła ich.

43

Jesień ustąpiła miejsca zimie, zima zaś suchej, pogodnej wiośnie.

44

Inny świt.

Większości oczu bladnoróżowy widnokrąg i szary, przykurzony zenit nie wydawały się wcale inne. Ale dla Michaela, który patrzył nie tylko oczami, zmiany były ewidentne.

Po pierwsze, w nocy mniej było wokół Ziemi gwałtu. W ciągu ostatnich kilku miesięcy tarcia pomiędzy ludźmi i Sidhami znacznie osłabły; teraz dostrzegał również zanikanie animozji pomiędzy samymi ludźmi. Był zadowolony: miał uzasadnione podstawy, by uznawać to za własną zasługę.

Tygodniami pracował nad usunięciem mentalnej mgiełki, która od tysięcy wieków zalegała nad Ziemią. Z nagromadzenia porzuconych marzeń, utraconych wspomnień, fragmentów osobowości zrzuconych przez migrujących umarłych rodzaju ludzkiego - z ogólnej nie oczyszczanej od stuleci brei środowiska psychicznego - powstawał do niedawna zamulający umysły „smog”. Smog ten praktycznie już zanikł.

Jego lud mógł teraz myśleć jaśniej. Namiętności nie wyolbrzymiały się już i nie wypaczały, ludzie nie byli już tacy skorzy do wpadania w destrukcyjny gniew.

Był przekonany, że gdyby nawet do końca życia - jakkolwiek długie miałyby ono być - nie zrobił nic więcej, to i tak, tworząc nakładkę na świat i oczyszczając środowisko psychiczne, wystarczająco wiele dokonał.

Nie zamierzał jednak na tym poprzestać. Ciężały na nim inne jeszcze obowiązki.

Obok niego spała Kristine - wielki, ciężarny, blady kształt pośród oblanej poświatą brzasku zwyczajności sypialni. Zaraz po powrocie przeprowadzili się do domu Waltiriego; John zrobił im nowe meble, bo stare zostały zrujnowane przez ptaki.

Michael rzadko sypiał. Noc była dla niego porą podróży na rozprzestrzeniającej się fali percepcji i doglądania swojej Ziemi. W takie noce świat zdawał się kipieć niewysłowioną krzątanią. Kiedy Kristine zaokrąglił się brzuch i powiększyły piersi, powiedziała mu: „Nie wiem, kto tu jest bardziej w ciąży, ty czy ja. Ale po tobie przynajmniej nie widać”.

Ziemia obracała się pod nim na podobieństwo zachwycającej perły pokrytej skałą, glebą, oceanami, ludźmi, chmurami i niebem. Wiele tu się zmieniło od czasu migracji Sidhów i śmierci Królestwa, wiele też zostało po staremu. Sidhowie stronili w większości od ludzkich miast i ludzkich maszyn, i na miejsca odbudowy własnych społeczności wybierali zazwyczaj odludne zakątki lądu bądź morza. Tak więc Sidhowie zamieszkiwali teraz pośród wzgórz i żuźlowych stożków Doliny Śmierci, pośród piasków Sahary i Gobi, na pustynnych obszarach Australii, gdzie mogli uprawiać swoją magię i żyć we względnym spokoju.

Zdarzały się wyjątki. Liczne skupisko Sidhów egzystowało teraz w Irlandii; byli to w większości Czarownicy i Amorfici. Tysiąc Sidhów osiedliło się w Londynie, kolejny tysiąc w Jerozolimie, a kilkuset w Pekinie.

Życie toczyło się dalej. W Los Angeles samochody nadal tłoczyły się na autostradach, a energia elektryczna nadal pulsowała w oplatających cały kraj sieciach energetycznych. Sidhowie musieli się do tych rzeczy przystosować.

Morzole położyli kres procederowi zabijania waleni i innych morskich ssaków, i nałożyli kontyngenty odłowu ryb na pewnych obszarach oceanu. Do tego z kolei musieli się przystosować ludzie.

Rzekole zaczęli często flisaków na rzece Colorado. Jednak zarówno ludzie, jak i Sidhowie traktowali owe kontakty w kategoriach zabawy i zawiązywały się między nimi silne przyjaźnie.

Niejeden pilot linii lotniczych stwierdzał z zaskoczeniem, że w jego maszynie zagnieździł się Amorfci. Od kiedy w samolotach zaczęli się pojawiać dzicy lokatorowie, ustały zupełnie katastrofy lotnicze.

Pod groźbą surowych restrykcji zaczynało, acz niechętnie, akceptować udział sidhowych koni i jeźdźców w jeździeckich dyscyplinach sportu.

A ujemne strony...

Plemienni czarownicy Sidhów ze Środkowego Wschodu wezwani zostali przez muzułmanów do wskrzeszenia poległych w dawnych wojnach ziomków, by ci mogli stanąć znowu do walki przeciwko Żydom. Umarłego człowieka nie można wskrzesić w dosłownym sensie, ale poddani presji czarownicy podnieśli z martwych cienie i marzenia przodków, i tchnęli w te widmowe szczątki przeszłości namiastkę życia. Powstali z grobów „zmarli” zajęli natychmiast arabskie wioski, wypierając stamtąd żywych i odmawiając nie tylko walki, lecz również zajmowania się czymkolwiek innym. Muzułmanie poprzysięgli Sidhom zemstę. Michael niewiele mógł poradzić na tego rodzaju niesnaski.

Repatriowano pięć tysięcy ludzi więzionych przez Sidhów. Ich pojawienie się na Ziemi nie wywarło, jak dotąd, poważniejszego wpływu na sztukę, ale minął przecież dopiero rok...

Mag Cledar przeniósł się na razie ze swoim orszakiem do meksykańskiej dżungli, by założyć tam enklawę i przeczekać w niej do czasu, kiedy znaleziony zostanie sposób przywrócenia im pierwotnej postaci. Michael rozmawiał z nim często, albo osobiście wyprawiając się w tym celu do Meksyku, albo znów drogą telepatyczną.

Michael poświęcał wiele czasu na konsultacje z Sidhami, z głębokimi waleniowymi umysłami Spryggli oraz z rozproszonymi, tragicznie załamanymi, karaluszymi umysłami Urgów.

Ich czas znowu nadchodził. Wzajemne zaufanie doznało wielkiego uszczerbku, ale ponownie, z mozołem, rodziła się współpraca między rasami. Upłyną jeszcze lata, może nawet stulecia, zanim wszystko wróci do normy, ale to i tak niedługo.

Michael naparł udem na nogę Kristine i dziewczyna westchnęła, poprawiając sobie przez sen wydatny brzuch. Uśmiechnął się i poczuł do niej niewysłowioną miłość, a uczuciu temu towarzyszył nie tyle strach, co niepokój.

Stabilność, w jakiej znajdowała się teraz Ziemia, była, jak zawsze, krucha. Jego władza maga mogła w każdej chwili runąć w gruzy. Brakowało ostatecznego bezpieczeństwa, niezachwianej pewności. Nie mógł wejrzeć w przyszłość. Nie bał się jednak. Strach tylko by go paraliżował.

Przyłożył ostrożnie ucho do brzucha Kristine i słuchał z uśmiechem. Poruszyła się znowu, ale nie przebudziła.

Michael z Kristine stanęli przed frontowymi drzwiami małej nikaraguanskiej restauracyjki przy Pico tuż przed wybiciem godziny otwarcia. Bert Cantor, nadchodzący pod

rękę z Olive ulicą, pierwszy dostrzegł parę przed wejściem. Olive, trącona przez niego łokciem, też na nich spojrziała i uśmiechnęła się szeroko.

- Ciebie to ja znam - oznajmił obcesowo Bert, potrząsając ręką Michaela. - Czy ty tu czasem kiedyś nie pracowałeś? Ale kto to jest? - Obrzucił znaczącym spojrzeniem brzuch Kristine.

- To moja żona, Kristine Pendeers. Kristine, przedstawiam ci Berta i Olive Cantorów.

- Bardzo mi miło cię poznać - powiedziała Olive, uśmiechając się promiennie do Kristine. - Och, kiedy rozwiązanie?

- Mniej więcej za trzy tygodnie - odparła Kristine, opierając ręce na brzuchu i z uśmiechem wybiegając myślą do spodziewanej ulgi.

- Ci mężczyźni, im tam wszystko jedno, prawda? - powiedziała współczująco Olive, cmokając i ponaglając Berta, by otworzył drzwi.

Kristine zgodziła się z grzeczności z Olive, ale spojrzenie, jakie rzuciła Michaelowi, mówiło coś innego. On wiedział, jak przebiega jej ciąża. Czasami odczytywał nawet kiełkujące, płynnosenne myśli dziecka i powtarzał je jej.

- Będziesz mi musiał dużo wyjaśnić - powiedział Bert, wsuwając klucz w dziurkę. - W związku z tym, co się stało. Czytuję w gazecie rzeczy, które w niczym nie przypominają tego, co zwykliśmy czytywać w gazetach. - Westchnął, otworzył drzwi i przepuścił ich przodem. - W dobrych gazetach.

- Nie wszystko jest idealne - przyznał Michael. Jesus krzyknął z kuchni „Hola!” i Michael pomachał mu ręką, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Ta piękna dama to twoja przyjaciółka? - spytał Jesus, wprawiając w ruch obrotowy plastikową torbę napełnioną suszoną czarną fasolą.

- To moja żona - odparł z dumą Michael.

- O! Niech no Juanita usłyszy. Juanita, *brujo* ma swoją *bruja*.

- Nie słuchajcie go - prychnęła Olive machając obiema rękami w stronę kuchni. - Jak tam twoi rodzice? I dlaczego nie zaprosiłeś nas na ślub?

- Mają się dobrze - odparł Michael.

- To była skromna uroczystość - wyjaśniła Kristine.

- Powiedziałaś jej wszystko o...? - spytał Bert unosząc brwi i marszcząc czoło.

- Powiedziałem - odparł Michael.

- I mimo to za ciebie wyszła! - zdumiał się Bert.

- Ja też bym wyszła - wtrąciła Olive, rzucając wyzywające spojrzenie zdumionemu mężowi. - Bert i ja myślimy... myślimy, że masz coś wspólnego z tym, co się wyprawia.

- Właśnie, taką mamy hipotezę - przytaknął Bert - że się najpierw pogorszyło, a teraz polepszyło, chociaż dalej wszystko jest pokielbaszone. Ty jeden coś tam wiedziałeś... choć nie będę ukrywał, że kiedy się ciebie słuchało... - Zakręcił palcem młynka przy uchu. Potem zerknął na okno wystawowe, na drzwi i powiedział: - Interes nie bardzo ostatnio idzie. Tam do diabła, nie otwierajmy dzisiaj, tylko uczcijmy okazję. I pogadajmy. Musisz nas oświecić.

I Michael uczynił to, uciekając się od czasu do czasu do pomocy Kristine, która uzupełniała opuszczone przezeń fragmenty. Jesus przyrządził płatki kukurydziane z czarną fasolą, Juanita podała do stołu i wszyscy jedząc słuchali, jak Michael opowiada przyciszonym głosem, co się wydarzyło. Niewielu osobom opowiadał już tę historię; nie było w nim teraz ani krzty dumy, sama tylko rzeczowość, i wiedział, że niewielu by mu uwierzyło, a z większością z nich nie chciał mieć do czynienia.

Juanita przeżegnała się kilka razy.

- I koniec z mięsem? Ani wołowiny, ani kurczaka? - spytał w pewnym momencie Bert.

Michael pokręcił głową.

- Dojrzewają już rośliny, które wkrótce zastąpią mięso - powiedział. Przed kilkoma zaledwie tygodniami zmodyfikował liczne gatunki istniejących roślin. Przystawienie się, jak wszystko inne, będzie musiało trochę potrwać, ale podwaliny zostały już położone.

- A co z ludźmi? - spytała Olive. - Jak mamy współżyć z tymi wszystkimi innymi, którzy teraz tu są, z tymi czarownikami i różnymi takimi?

- Skreślenie z jadłospisu mięsa jest wielkim krokiem na drodze do poprawienia z nimi stosunków - wyjaśniła Kristine. - Oni nie mogą znieść, że je spożywamy.

- Oj, jak byśmy nie wiedzieli! - zachnął się Bert, potrząsając energicznie głową. - Paru z nich spacerowało miesiąc temu ulicą, wszyscy się za nimi oglądali, ubrani byli jak to oni, zachowywali się jak turyści, i zaszli tutaj... i jak nie łypną spode łba! Wstyd mi się najpierw zrobiło, a potem złość mnie wzięła. Niby wychodzi na to samo, co paradować w czarnych płaszczach i kapeluszach z szerokim rondem, i patrzeć krzywo na gojów, ale mimo wszystko...

- Michael uważa, że to częściowo poczucie winy - wyjaśniła Kristine. - Jedząc mięso czują się tak, jakby pożerali swoich wrogów...

- Tylu ludzi zostało przemienionych w zwierzęta - przypomniał im Michael.

Bert pobladł.

- Po mojemu, będziemy musieli znaleźć nowe definicje na *traef*.

- No a co z nami? - zafrasowała się Olive. - Co się stanie z nami, ludźmi? Potrafimy ich tak po prostu zaakceptować, zaakceptować wszystkie te zmiany?

- Na to wygląda - odparł Michael. Kategorieczność jego tonu kazała Olive wciągnąć głowę w ramiona i zasnuwać usta, na które cisnął się protest.

- I to wszystko twoja robota? - spytał Bert, przygotowany na nową porcję zadziwień.

- Ależ skąd - zaprzeczył Michael. - Bynajmniej. - Roześmiał się, a Kristine zawtórowała mu na myśl, że wcale niewykluczone, iż część doradców Michaela jeszcze teraz ukrywa się w śmieciach na tyłach restauracji. - Bynajmniej!

- Wiedziałam, że dzisiaj wieczorem będzie jakoś inaczej - powiedziała Kristine zmęczona uczestnictwem w cudach. Siedziała niezgrabnie w bujanym fotelu, który John wytaszczył na patio za domem Perrinów.

- To znaczy jak? - zapytał Michael.

- Mag się nie domyśla? - udała zdziwienie. W miarę zbliżania się terminu rozwiązania stawała się coraz bardziej rozdrażniona. - Popatrz na swoją matkę. Nic nie mówi, ale jest kłębkim nerwów, a John wygląda na nieprzytomnego z przerażenia.

- No więc co się dzieje?

- Ktoś przychodzi do nas na kolację. Ktoś nieludzki, że tak powiem. Zazwyczaj to ciebie odwiedzają nieludscy goście, ale tym razem jest inaczej, o ile się nie mylę?

Michael pokręcił głową na znak, że nie ma pojęcia o czym mowa.

- Kogo nieludzkiego zna twoja matka?

Michael zrobił wielkie oczy.

- Nigdy nie znała jej osobiście, ale... moją pra-prababkę - wykrztusił.

Salafrance Underhill przyszła o siódmej wieczorem. Długie rude włosy upięte miała z tyłu głowy w wymuskany kok, ubrana była w opończe koloru jesiennych liści. Ruth otworzyła jej osobiście, odrzucając stanowczo ofertę Michaela, który chciał ją w tym wyręczyć.

- Jest moim gościem - wyjaśniła. - To ja ją tu zaprosiłam, kiedy zadzwoniła. I ja powitam ją w moim domu.

Obie kobiety stały przez chwilę naprzeciwko siebie, przedzielone progiem i Michael po raz pierwszy ujrzał swoją pra-prababkę. Ruth i Salafrance Underhill były uderzająco do siebie podobne, ale od razu rzuciło się w oczy, że Salafrance jest czystej krwi Sidhem, natomiast Ruth w przeważającej mierze człowiekiem.

- Pra-prawnuczko - odezwała się Salafrance głosem jeszcze piękniejszym niż głos Ulath, niemal tak samo czarownym jak głos Kapłanki Godzin. - Śniłaś o mnie. Czułam twoje sny nawet z drugiego końca świata i spoza jego granic.

- Cześć - powiedziała Ruth, z zadziwiającym powodzeniem tłumiąc dreszcz zdenerwowania.

- Czy macie tu w zwyczaju trzymać gości za progiem?

- Nie - zreflektowała się Ruth. - Wejdz.

Salafrance wpłynęła zwiewnie do środka. Wysokością i smukłością przywodziła na myśl drzewo. Z trudnym do odczytania wyrazem na pociągłej twarzy powiodła zimnymi oczyma po obecnych, zatrzymując nieco dłużej wzrok na Kristine i jej nieprawdopodobnie wielkim brzuchu, po czym skupiła całą swą uwagę na Michaelu, który stał w living-roomie obok sofy i znowu czuł się skrępowany i niedojrzały.

- Nie wiedziałam, że moja miłość do mężczyzn do tego doprowadzi - powiedziała Salafrance. - Podążałam drogą Elme przez pięćset lat, nie z wyrachowania jednak, lecz jakiejś wewnętrznej perwersji. Czy to twój mąż, prawnuczko? - Wskazała ruchem brody na Johna.

- Ma na imię... - zaczęła Ruth.

- Wiem. Przyglądam się wam wszystkim od pewnego czasu. Żywię nadzieję, że nie macie mi tego za złe.

Ruth przełknęła z trudem ślinę, ale pokręciła głową.

- Mam za co przeproszać. Nie przygotowałam należycie swoich dzieci. Podejmowały głupie decyzje i nie rozumiały kim ani czym są, ani też w jaki sposób mądrze dobierać sobie partnerów. Cierpiałas z tego powodu, pra-prawnuczko.

Michael odczytywał emocje matki. Ledwie nad sobą panowała - z jednej strony korciło ją, by pokazać Salafrance drzwi, z drugiej chętnie by się rozpląkała. Nie uczyniła ani jednego, ani drugiego. Na zaproszenie Ruth Salafrance rozsiadła się w living-roomie i skinęła na Kristine, żeby zajęła miejsce obok niej.

- Odczytuje ci myśli twojego dziecka? - spytała.

- Michael? - spytała Kristine z zakłopotaniem. - Tak. Odczytuje.

- Czy ono też jest twórcą?

- Nie wiemy - bąknął Michael.

- Chłopiec czy dziewczynka?

- Dziewczynka - powiedziała Kristine. - Lekarze to potwierdzili.

Salafrance uśmiechnęła się ironicznie. Jej migdałowe oczy, nie poruszając się na boki, potrafiły objąć jednocześnie wszystkich obecnych w pokoju.

- Kobieta przenosi moc... pra-prawnuczko - powiedziała, skupiając teraz całą swą uwagę na Ruth.

- Tak?

- Jestem z ciebie dumna, bardzo dumna.

Ruth uśmiechnęła się. Michael wiedział już, że matka nie dość że nie pokocha Salafrance Underhill, to nigdy nie poczuje się w jej obecności swobodnie, ale przynajmniej żyć będzie od teraz w spokoju ducha.

Nie sprzeniewierzyła się swoim korzeniom.

Przy kolacji Salafrance, skubiąc ryż z jarzynami, spytała:

- A gdzie jest nektar magów?

- Oddałem go ojcu - powiedział Michael.

- Jest w mojej piwniczce na wina. To znaczy w ściennej szafie - dorzucił John.

- Wystarczająco długo czekał, nie sądzisz?

- Sidhowie nie piją, babko - zauważył cicho Michael.

- Znasz tę zasadę: zawsze zakazane, przy szczególnej okazji obowiązkowe?

Michael skinął głową.

- To właśnie taka okazja - oznajmiła Salafrance.

- To ja przyniosę - zaofiarował się John, odsuwając się z krzesłem od stołu.

- Mówiono mi, i czułam, że sprawujesz teraz kontrolę nad tym światem, nad jego rozwojem i jego pieśnią - zwróciła się Salafrance do Michaela. - Czy to prawda?

- Prawda - przyznał Michael.

- A jakiego rodzaju magiem jesteś?

Michael uśmiechnął się.

- To bardzo nieprecyzyjne pytanie.

- Jesteś eksponowanym magiem, który przez cały czas tańczy przy akompaniamencie pieśni, który obserwuje kroki stawiane przez wszystkich tańczących wraz z nim?

- On się nie afiszuje - stanęła w obronie Michaela Kristine. - Mało kto wie, co robi i kim jest.

Michael pogłaskał ją czule po grzbiecie dłoni.

- Ja... ja nie chcę kontrolować każdego ani wcielać się w rolę policjanta - powiedział. - Nie uzurpuję sobie prawa do kontrolowania ludzkich zachowań ani do wydawania osądów moralnych. Nikomu nie narzucam swej woli. Jestem poetą, nie nadzorcą. Owszem, stroję instrumenty, ale nie wszystkie nuty pieśni są mego autorstwa.

- A jeśli zdarzy się, że rasy znowu spróbują zburzyć równowagę?

- Ten pasaż napiszę, kiedy tak się stanie - burknął poirytowany, że tak szybko przejrzała, czego najbardziej obawia się w przyszłości.

- Jesteś bardzo młodym magiem - powiedziała Salafarance. Wrócił John ze zmatowiałą, poczerniałą ze starości butelką wina.

- Jakie jest jej pochodzenie? - spytała Salafarance. John stropił się i nie bardzo wiedział co odpowiedzieć.

- Dał nam ją Arno Waltiri...

- Od człowieka, który dzielił ciało z magiem Cledar...?

- Tego samego - potwierdził Michael. - On zaś dostał ją od Davida Clarkhama. Słyszałem, że Clarkham ukradł ją Adonnie.

- Powinniśmy napić się wszyscy... - Salafarance zawahała się. - Oprócz Kristine, która nosi być może pod sercem jeszcze jedną twórczynię; twórczynię, która wypije to wino w stosownym czasie.

- I tak bym go chyba nie przełknęła - powiedziała Kristine.

Butelka zapieczętowana była wielką grudą wosku, w której odcisnięto maleńki, wyraźny symbol składający się z dwóch trójkątów nałożonych na siebie na podobieństwo Gwiazdy Dawida. Kiedy John, ostrożnie, by nie uszkodzić wiekowego szkła, usunął woskową pieczęć z szyjki butelki, po pokoju rozszedł się niemal namacalny aromat o wiele bogatszy od zapachu win Clarkhama, przewyższający pospolite bukiety i przywodzący na myśl królestwo wygrzanego w letnim słońcu owocowego sadu.

- Kto zabrał tę butelkę i kiedy, nie wiem, wiem jednak, skąd pochodzi - powiedziała Salafarance. - Mówi mi to ta pieczęć. Należała niegdyś do kolekcji samych Askego i Elme. Może to być ostatnia tego rodzaju butelka, i ma szczególną moc. Wypada, by pierwszy od niezliczonych stuleci twórca i mag człowiek napił się z niej i został w ten sposób zatwierdzony. Tego życzyłaby sobie Elme, a Aske byłby niewypowiedzianie dumny.

- Znałaś ich? - spytała z nabożną czcią Ruth.

- Aż tak stara to nie jestem, pra-prawnuczko - odparła Salafarance i Michael wyczuł głębię jej rozbawienia. - Ale stykałam się z tymi, którzy ich znali. Michael zresztą też. - Jej spojrzenie było wielce znaczące. Michael omal się nie wzdrygnął. - Po rozwiązaniu obu Rad nastają nowe porządki - podjęła - tańczy się do nowych pieśni, wzniesmy więc toast za skromnego twórcę, który przyrzeka nie zniewalać w imię porządku, lecz czynić co niezbędne i tylko to: pielęgnować ogród dla wszystkich stworzeń Bożych i tkać miłą wszystkim koronkę.

Obcując z Sidhami Michael ani razu nie słyszał, by odwoływali się do jakiegoś innego boga poza Adonną albo Jahwe Adonny.

- Jakiego boga masz na myśli, prababko? - spytał.

- Czujesz tego Boga w swej krwi, czyż nie? - odpowiedziała pytaniem na pytanie. Uniosła kieliszek i pozostali poszli za jej przykładem. - Boga, który oczekuje od nas jedynie pamięci w trudnych chwilach. Łagodnego i dojrzałego, wiecznie młodego Boga, który nie żąda od nas niczego ponad uczestnictwo i rozwijanie się. Kompozytora Pieśni Ziemi i wszystkich światów. Przywołaj tego Boga, Michaelu, i bądź twórcą oraz magiem.

Michael przyjrzał się uważnie barwie wina w kieliszku: złote i brązowe zarazem, wszystkie wina stały się jednym.

- Za nas wszystkich - powiedział - za wszystkie rasy i za materię, z której powstaliśmy, i za ziemię, po której stąpamy, i za światy nad naszymi głowami. Za walkę i jej koniec, za śmierć i życie. - Wzniósł kieliszek wyżej. - Za przerażenia i zachwyty, i za wszystkie silne emocje, a przede wszystkim za miłość.

Salafrance wypila, to samo uczyniła reszta.

Wychyliwszy toast John odstawił kieliszek i powiedział:

- Nareszcie wiem, co to smak dojrzałego wina.

- Jest cudowne - powiedziała Ruth.

Michael, ściągając brwi, kontemplował z mieszanymi uczuciami posmaki. Szczerze mówiąc nie miał zdania. Za kilka dziesięcioleci doceni być może, czego teraz skosztował.

- No i jak? - spytała Kristine.

Pokręcił głową.

- Nie wiem - przyznał.

- Tyle zachodu, a ty nie wiesz? - zakpiła.

Reszta wieczoru upłynęła w sympatycznej atmosferze. Salafrance wspominała swoje dzieje, a Ruth słuchała jej z zapartym tchem. Była to epopeja o życiu na wzgórzach, o posądzeniach o czary, o konfliktach pomiędzy pierwszymi farmerami a klanem Sidhów. Salafrance opowiedziała im, jak pewna samotna, buntownicza, młoda kobieta Sidhów - jednym słowem ona - schodziła ze wzgórz do społeczności ludzkich, by rzucać uroki i sama została zauroczona przez młodego, silnego mężczyznę-człowieka, który zabrał ją do swojej chaty, gdzie urodziła mu dzieci. Salafrance nie mogła żyć długo z dala od swej rasy; ich miłość nadwątlona została przez siły, nad którymi żadne z nich nie potrafiło zapanować, i w końcu się rozstali. Salafrance odeszła od męża-człowieka, zostawiając go w chacie z gromadką czarownic i czarowników - jego własnego potomstwa.

Po północy Kristine zasnęła z głową na ramieniu Michaela. Przed świtem Salafrance oświadczyła, że czas na nią i Ruth odprowadziła ją do drzwi, gdzie zamieniły na osobności kilka słów.

Potem Salafrance wyciągnęła ramiona, wzięła pra-prawnuczkę w objęcia i przytuliła mocno do siebie.

- Ludzie zawsze uczyli nas, jak kochać - powiedziała.

Wyszła w budzący się dzień, a Ruth wróciła do kuchni z twarzą mokrą od łez. John zatkał na powrót butelkę i odniósł ją do szafki na wina. Michael odwiózł Kristine do domu starym Saabem Waltirich.

Poród się opóźnił. Trzy dni potem, w rześki wiosenny poranek, Michael otworzył drzwi frontowe, żeby zabrać z progu gazetę. W nocy spadł długo wyczekiwany deszcz i chodniki oraz jezdnia lśniły jeszcze wilgocią. Coś musnęło nagle jego aurę, zastygł więc, zamieniając się w słuch.

- Człowieku-dziecko - doszedł go głos znad głowy. Spojrzał w górę i ujrzał Coom, która przytrzymując się długimi palcami rynny, patrzyła na niego z dachu.

- Wciąż wiele przed tobą nauki.

Obejrzał się. Na trawniku, po lewej, stała na jednej nodze Nare i przebierała długimi palcami przed płaską klatką piersiową.

- Nawet Prządka Koronki i Ogrodniczka potrze bują paru dziesiątek lat, by dojrzeć i rozwinąć cały swój potencjał - powiedziała Spart; siedziała po turecku, z przekrzywioną na bok głową, na trawniku po prawej i uśmiechała się do niego. - Przyjmiesz nas na nauczycielki?

Pierś Michaela wezbrała wzruszeniem. Roześmiał się.

- Tylko pod warunkiem, że nasze dziecko też będziecie uczyły.

- Ludzie-dzieci - powiedziała Coom. - Nasza specjalność!

I tak Michael Perrin wkroczył w swój czas, a Ziemia odnalazła drugą młodość.

Uwagi

Język, którym mówią Sidhowie, nie jest całkowicie sztuczny. Niektórzy z czytelników mogą się w nim dopatrzeć indo-europejskich korzeni i zapożyczeń z rozmaitych istniejących wciąż języków; większość nie zorientuje się prawdopodobnie, że inne słowa zaczerpnięto z pewnych mało znanych gwar irlandzkich. Tym, którzy zechcą pogłębić swoją wiedzę na ten temat, polecam gorąco wspaniałą książkę Roberta A. Stewarta Macalistera *The Secret Languages of Ireland*, wydanej po raz pierwszy w roku 1937 przez Cambridge University Press. Późniejsze wznowienia ukazywały się nakładem Armoriga Book Company/Philo Press. Pozycję tę powinna też mieć w swoich zbiorach każda dobra biblioteka uniwersytecka bądź publiczna. Miłośnicy języków - albo tacy jak ja dyletanci - będą nią zafascynowani.

Posłowie

Wiodę nieciekawe życie; nie lubię chaosu, a na pierwszym miejscu stawiam spokój, pracę i rodzinę. Wybaczenie, że śmiem coś takiego w ogóle sugerować, ale jeśli powstanie kiedykolwiek moja biografia, to będzie ona śmiertelnie nudna. Jednak zdarzały się też w moim życiu chwile godne uwagi. Jedna z nich wiąże się z pierwszą wersją powieści, którą właśnie przeczytaliście. (Chyba że tak jak ja, przed zabranieniem się do zasadniczej lektury studiujecie najpierw wszystkie teksty towarzyszące).

Wspomnienie owej historii prześladowało mnie latami. Przydarzyła mi się w krytycznym okresie, u schyłku dojrzewania, pomiędzy zimą a wiosną na przełomie lat 1970 i 1971. Dostyc późno zacząłem się udzielać towarzystko i głęboko skrywałem emocje, krótko mówiąc „góra lodowa o gorącym sercu”, jak sam siebie określałem, było więc rzeczą nieuniknioną, że zakocham się na zabój w pierwszej młodej kobiecie, która zgodzi się umówić ze mną na randkę.

Prawdę powiedziawszy, to w Kristine zakochałem się jeszcze przed naszą pierwszą randką. Była wysoką, smukłą, trzpiotowatą dziewczyną o szerokich biodrach, długich nogach z szopą krótko ściętych włosów w stylu ówczesnej Jane Fondy; typowa przedstawicielka cyganerii, całkowite przeciwieństwo mnie. Studiowaliśmy razem w San Diego State College i tak się złożyło, że trafiliśmy razem na ten sam kurs sztuki dramatycznej. Spytałem ją, czy nie poszłaby ze mną na „Satyrykon” Felliniego do nie istniejącego już, nieodżałowanego Unicom Theater w La Jolla. Kristine zgodziła się.

Jadąc po nią zabłądziłem i do wynajmowanego przez Kristine domu przy Ingraham Avenue, nie opodal plaży, przybyłem spóźniony. W drodze do La Jolla zgubiliśmy się jeszcze bardziej, ale kiedy dotarliśmy wreszcie do Unicorn Theater trwała jeszcze wymiana pretensjonalnych pytań i równie pretensjonalnych odpowiedzi pomiędzy widownią a prowadzącym seans. Po filmie wybraliśmy się podyskutować przy wieczornej kawie.

Byłem zadurzony. Za nic w świecie nie przyznałbym się do czegoś takiego przed Kristine; ale objawów musiało być co niemiara. Poprosiłem, by pozowała mi do obrazu, który chciałem namalować, takiego tam surrealistycznego, młodzieńczego memento mori pod tytułem „*Madonna Prawdopodobieństwa*”. Szkic do tego obrazu zrobiłem na krótko przed naszą randką, mając wciąż przed oczyma Kristine...

Zgodziła się pod warunkiem, że będzie pozowała w ubraniu. Nie zakładałem, nie wyobrażałem sobie, ani nawet nie śmiałem wyobrazać, by mogło być inaczej.

W tamtym okresie zarówno malowałem, jak i pisałem, pracując nad swoją pierwszą powieścią, którą zatytułowałem „*Koncert Nieskończoności*”. Myśl przewodnia tej powieści chodziła za mną od pierwszych lat college'u, kiedy to ten sam tytuł nadałem pewnemu krótkiemu opowiadaniu; kilka kluczowych elementów, zwłaszcza epizod z chińskim czarownikiem, którego moc ogranicza się do obiektów złotych bądź żółtych, wymyśliłem jeszcze w szkole średniej.

Po tamtej randce dałem upust swym tłumionym emocjom, czyniąc Kristine jedną z postaci mojej książki. Równolegle pracowałem nad *Madonną Prawdopodobieństwa*, dość odrażającym malowidłem przedstawiającym młodą kobietę, która stoi na tle ołowianoszarego nieba i trzyma na rękach zawinięty w pieluchy szkielet dziecka.

Nasza druga i ostatnia „randka” trwała kilka godzin; siedzieliśmy na trawniku przed Globe Theater w Parku Balboa w San Diego, a ja szkicowałem jej portret. Szkic był tak nieudany, że patrząc na niego dzisiaj nie jestem w stanie przypomnieć sobie dokładnie szczegółów twarzy Kristine, po prostu nie pamiętam, jak wyglądała. Idealizowałem ją, nie patrzyłem na nią obiektywnym okiem; zresztą nigdy nie byłem ekspertem od rysów ludzkiej twarzy. (Z tego też chyba powodu do dziś nie narysowałem portretów swoich pięknych dzieci.)

Podczas owego pleneru powiedziałem Kristine, że uczyniłem ją postacią w książce, którą piszę. Chyba jej to pochlebiło. Obiecałem, że kiedy książka ukaże się drukiem, dostanie ode mnie egzemplarz. Musiałem zrobić na niej bardzo dziwaczne wrażenie.

Odwiozłem ją pod dom, a ona, wysiadłszy z samochodu, odwróciła się, nachyliła do okna i spytała, dlaczego to wszystko robię. Nie przyznałem się do swego zadurzenia;

usiłowałem rozegrać to na chłodno, choć miotające mną uczucia musiały być bardziej niż widoczne, wprost rzucające się w oczy.

Spotkaliśmy się później na zajęciach oraz na próbach jakiejś głupiej studenckiej sztuki (nie przeze mnie, dzięki Bogu, napisanej), w której ona miała grać modelkę artysty, a ja jakąś inną rolę. Nie byłem w tej sztuce artystą, ale namalowałem kilka z założenia szpetnych obrazów do scenografii.

Nie umawialiśmy się więcej.

W trakcie pracy nad powieścią szybko zdałem sobie sprawę, że przez wzgląd na fabułę, w którymś momencie trzeba będzie usunąć Kristine z narracji; mój bohater, obciążony partnerką, nie byłby w stanie doprowadzić do końca swego dzieła. Pamiętam, że pisałem te sceny w jakimś transie; Kristine nie umarła, lecz padła ofiarą strasznego wypadku, w wyniku którego wyeliminowana została z życia bohatera i przeniesiona do „mgły stworzenia”, miejsca, gdzie wszystko jest możliwe. (Mam jeszcze obraz tej Mgły Stworzenia unoszącej się z embrionalnej, niekompletnej, przedwcześnie ujawnionej wiejskiej scenerii, który namalowałem przed ukończeniem powieści).

Przez ponad miesiąc nie zamieniłem z Kristine słowa. Któregoś dnia odrzuciła propozycję kolejnej randki i nie miałem odwagi ponownie jej nagabywać; było dla mnie oczywiste, że wyczuła moje zadurzenie i moje towarzystwo zaczęło ją krępować. Czyż mogłem ją za to winić? Trudno jest obcować z kimś, kogo uczucia się nie odwzajemnia. Choć byliśmy rówieśnikami, przewyższała mnie pod wieloma względami dojrzałością.

Po jakimś czasie przestałem ją nawet widywać na terenie kampusu.

Doświadczałem dziwnych chwil. Pewnego wieczoru, słuchając adagio niedokończonej dziesiątej symfonii Mahlera, doznałem objawienia istoty życia i śmierci tak wyrazistego, że nic, co przedtem i potem odczuwałem, nie mogło się z tym równać. Objawienie to nie wiązało się bezpośrednio z Kristine. Ale kiedy nazajutrz usłyszałem o wypadku samochodowym na Sunset Cliffs, od razu pomyślałem o niej.

Zamknąłem już ten wątek powieści, w którym się pojawiała. Bohater bardzo przeżywał jej stratę. Do końca książki miałem jeszcze daleko, ale „*Madonna Prawdopodobieństwa*” była prawie gotowa. Pewnego wieczoru, nanosząc ostatnie pociągnięcia pędzla, zdecydowałem się zadzwonić do Kristine z wiadomością, że skończyłem, i zaproponować, że jeśli chce, może obejrzeć efekt. Nie zatelefonowałem natychmiast; nie mogłem się przemóc. Przypisywałem to brakowi odwagi. Być może nie chciałem się jej już narzucać. Coś mnie jednak popychało do wykręcenia jej numeru.

Nazajutrz, na ostatnich tego dnia zajęciach z angielskiego, znowu popadłem w jakiś osobliwy nastrój i napisałem wiersz, którego fragment znajduje się teraz w Wężomagu. Wiersz nawiązywał silnie do śmierci ukochanej kobiety. Wciąż wzdrygałem się zadzwonić. Późnym popołudniem stanąłem wreszcie w ciemnym korytarzu swojego mieszkania i wybrałem numer Kristine.

Odebrała jej współlokatorka. „To nie słyszałeś?”, zdziwiła się. Kristine rzuciła przed dwoma miesiącami szkołę i wróciła do okręgu Marin, skąd pochodziła. Zginęła tam w wypadku samochodowym. (Nie w tym na Sunset Cliffs.)

Wybiegłem wstrząśnięty z domu i stałem, sam nie wiem jak długo, na pobliskim pustym parkingu. Po powrocie do pokoju, po prostu siedziałem otępiały. Przez kilka tygodni wykonywałem automatycznie wszystkie codzienne czynności, ale wewnątrz byłem zupełnie rozbity. Przeżywałem już stratę osób, które kochałem - babki, wuja, znajomych. Ale żadna z nich nie wydawała mi się tak osobista, tak dziwna i ostateczna. I nie dawała mi spokoju - przerażała - świadomość, że jakbym od samego początku, od chwili, kiedy po raz pierwszy wyobraziłem ją sobie trzymającą na rękach symbol śmierci, wiedział, co ją czeka.

Próbowałem rozmaitych sposobów ucieczki od tej nie całkiem uzasadnionej żałoby. Nie łączyło nas wiele. Była wobec mnie przyjazna i miła, i niewiele ponad to. A ja przeżywałem teraz męki. Nie miałem do czynienia ze zwyczajnym, ostatecznym pogrzebaniem wszystkich możliwości oferowanych przez miłość, lecz z jakąś metafizyczną zagadką rodem ze Strefy Zmroku.

Wprowadziłem do powieści postać wzorowaną na żyjącej kobiecie, a potem usunąłem ją; i ta żyjąca kobieta umarła. Bardziej niesamowitych aspektów tego zbiegu okoliczności nie brałem zbyt poważnie pod uwagę; byłaby to prosta droga do szaleństwa, a bynajmniej nie chciałem oszaleć. Nie dało się jednak zaprzeczyć, że przewidziałem rychły zgon Kristine; a przynajmniej wiedziałem, że zostanie usunięta ze scenariusza mego życia.

Kilka tygodni później, leżąc w nocy w łóżku, zmobilizowałem wszystkie siły psychiczne, by sforsować barierę śmierci i skontaktować się z Kristine. Próbowałem tego już kiedyś, przed pięciu laty, usiłując nawiązać kontakt z niedawno zmarłym wujem: wtedy się nie udało. Ale to, czego doświadczyłem teraz, zelektryzowało mnie i przeraziło; wyobraziłem sobie coś w rodzaju skorupy po Kristine, przechowującej nadal wspomnienia, lecz pozbawionej duszy, tyle mającej wspólnego z żyjącą kobietą, co strzęp obumarłej skóry z żywym ciałem. Ta Kristine, czy może raczej to, co po niej zostało, zajmowała swoje miejsce w sferze niedawno zmarłych, która otacza Ziemię, chroniąc nas przed surowymi zewnętrznymi realiami, tak jak martwa skóra chroni jeszcze przez jakiś czas rosnące pod nią,

różowe ciało. Wątpię, by była to wizja szczególnie odkrywczą, ale mną wstrząsnęła tak bardzo, że zapisałem ją w dzienniku, a potem wydarłem tę stronę i wyrzuciłem. Były to rzeczy, o których wolałem nic nie wiedzieć.

Od tej pory pracowałem nad swoją powieścią w gorączkowym pośpiechu. Musiałem się dowiedzieć, jak to się wszystko skończy. Osierocony bohater, dokonując coraz to nowych odkryć, przebrnął przez ostatnie rozdziały, by w końcu powrócić na trwalszy świat i odzyskać Kristine.

Takim życzeniowym akcentem zacząłem się oczyszczać. Ukończyłem powieść, wziąłem studencką pożyczkę w wysokości stu dwudziestu pięciu dolarów na koszty przepisania pracy na czysto na maszynie, złożyłem ją raz w wydawnictwie - dostałem list z uprzejmą odmową przyjęcia od Betty Ballantine - i odłożyłem na półkę.

Pracy brakowało zarówno kompletności, jak i dojrzałości. Zamyśl był dobry, ale wykonanie nieudolne; emocje i pomysły świetne, kto wie czy nie bardziej autentyczne niż wszystko, i co napisałem później, ale w sumie nie nadawało się to do publikacji.

Zbyt amorficzna, przeładowana nie do końca zrozumiałymi emocjami książka przeleżała na półce wiele lat. Przychodziło mi czasem do głowy, by ją przejrzeć i przeredagować, ale zajęty byłem pracą nad innymi powieściami i opowiadaniem, co do których miałem pewność, że zostaną ode mnie kupione i wydane.

I nadszedł taki dzień roku 1979, kiedy to w ciągu jednego pełnego inspiracji wieczoru powieść nabrała nowego kształtu. Jak w transie zapisywałem w małym niebieskim notesiku szczegóły. Fabuła ulegała całkowitej zmianie, ale rdzeń pozostawał taki sam. Arno Waltiri, Opus 45, Kristine, cytat z nieistniejącej książki Charlesa Forta i chiński czarownik, wszystko to nadal tam było. Miejsce mojego oryginalnego bohatera - syna Arno Waltiriego - zajął Michael Perrin. Amorficzny surrealizm zastąpiony został misterną intrygą oraz pieczołowicie dopracowanymi elementami fantasy.

Nareszcie powstawała powieść, którą można było napisać i sprzedać. Jednak wstrzymywałem się jeszcze, i dopiero po kilku latach, przy lunchu w chińskiej restauracji w San Francisco zaproponowałem jej wydanie Terri Windling. Powiedziała, że chce rzucić na tekst okiem. „Ostatecznie *Koncert nieskończoności* wstawiony został do zbiorczego kontraktu wraz z zupełnie odmienną charakterem powieścią zatytułowaną *Pieśń krwi*. (Obie książki nadal są w Stanach Zjednoczonych rozliczane łącznie; „*Muzyka krwi*” sprzedaje się o wiele lepiej. Jednak trzecią proponowaną przeze mnie powieść, *Eon*, wydawcy odrzucili, bowiem ryzyko podpisywania kontraktu na trzy książki z początkującym autorem było ich zdaniem zbyt duże.)

Od początku wiedziałem, że *Koncert nieskończoności* to dopiero pierwsza część dłuższej powieści, ale ta druga część musiała jeszcze poczekać; została napisana w stosownym czasie i wydana jako osobna książka.

Pierwszą część zadedykowałem swojej uwielbianej nauczycielce, Elizabeth Chater, która przeczytała w 1971 roku pierwszą wersję i bardzo mnie dowartościowała swoimi pochwałami i zachętą. Drugą część, tę w której występuje Kristine, zadedykowałem Kristine. W ten sposób ofiarowałem jej obiecany niegdyś egzemplarz.

Okres dojrzewania mam już dawno za sobą. Utrzymuję się teraz wyłącznie z pisania. Malarstwem prawie się już nie zajmuję. Jestem po raz drugi żonaty i mam dwójkę dzieci; przykrych momentów nie miałem w życiu wiele, zdecydowanie więcej było w nim chwil radosnych. Jednak tamtej zimy i wiosny los położył kamień węgielny, na którym obecnie stoję. Do dziś czerpię z tematów, które wtedy zgromadziłem.

Co zaś do niezaprzeczalnie mistycznych elementów tamtych miesięcy... Przytrafiały mi się mniej wyraziste, lecz podobne przypadki czegoś, co można by nazwać jasnovidzeniem czy przecuciem. Nie zdarzały się na tyle często, bym zaczął w nich upatrywać niezbitego dowodu na posiadanie jakichś niezwykłych predyspozycji psychicznych; nie mogę jednak nie dostrzegać bogatej dokumentacji w postaci obrazów, rękopisów i wierszy, świadczących o tym, że przeczuwałem śmierć Kristine. W sprawach fenomenów psychicznych pozostaję, o dziwo, sceptykiem; być może dlatego, że tak bardzo chcę w nie wierzyć. Wystrzegam się łatwych, wygodnych odpowiedzi.

Jak się ma ostateczny kształt powieści do jej pierwotnej wersji? Mam wrażenie, że pierwsza wersja była pod pewnymi względami lepsza, bardziej autentyczna i osobista. Lecz w wersji ostatecznej lepiej dopracowane zostały pomysły i emocje. W ogólnym rozrachunku chyba lepsza jest jednak wersja ostateczna; nie tyle przedestykowałem i przekonstruowałem w niej pomysły, co poprowadziłem je pewniejszą ręką.

Od tamtych lat zyskałem sobie opinię pisarza science fiction. Niektórych może zaskakiwać, że moja pierwsza powieść należała do gatunku fantasy, i że powstała na bazie takich doświadczeń. Jestem z tej powieści bardzo dumny i cieszę się, że ukazała się wreszcie w jednym tomie - jedna powieść w dwóch częściach, właśnie tak to sobie od początku wyobrażałem.

G.B.